

Calde Długiego Słońca

Wolfe Gene



calibre 0.7.14

Gene Wolfe

KSIĘGA DŁUGIEGO SŁOŃCA
TOM 3

Caldé
Długiego Słońca

PRZEŁOŻYŁ WOJCIECH SZYPUŁA

Wydanie oryginalne

Tytuł oryginału:

Caldé of the Long Sun

Data wydania:

1994

Wydanie polskie

Data wydania:

2000

Ilustracja na okładce:

© Richard Bober /via Thomas Schlück GmbH

Przełożył:

Wojciech Szypuła

Wydawca:

Wydawnictwo MAG

ul. Cypryjska 54, 02-761 Warszawa

tel./fax (0-22) 642 45 45 lub (0-22) 642 82 85

e-mail: mag@mag.com.pl

<http://www.mag.com.pl>

ISBN 83-87968-56-0

Wydanie elektroniczne

*Toddowi Comptonowi,
klasykowi i muzykowi rockowemu*

Bogowie, postacie i zwierzęta występujące w powieści

Notabene. W Vironie osoby płci męskiej pochodzenia biochemicznego noszą imiona zwierząt lub produktów zwierzęcych: Makak, Mattak, Oosik, Wari. Osoby płci żeńskiej pochodzenia biochemicznego noszą imiona roślin (przeważnie kwiatów) lub produktów roślinnych: Pleśń, Pokrzywa, Róża, Rzep. Osoby pochodzenia chemicznego obojga płci noszą imiona metali i minerałów: Moli, Sard, Flisz.

A Lah – zapomniany bóg (prawdopodobnie inne imię Zewnętrznego).

Acalypha – jedna z dziewcząt z domu Orchidei.

Alka – mocarny włamywacz, który szkolił Jedwabia w sztuce złodziejskiej.

Aloes – pobożna kobieta z dzielnicy Słońca.

Asfodel – dziewczynka z młodszej grupy w palestrze.

Aster – dziewczynka ze starszej grupy w palestrze.

Babirussa – czeladnik kowalski, jeden z ochotników Mięty.

Bawół – skazaniec, jeden z kompanów Żubra.

Maytere *Betel* – ciemnoskóra sybilla o zaspanych oczach, którą Jedwab oglądał w wizji podczas oświecenia.

Brygadier *Bielik* – dowódca czwartej brygady virońskiej gwardii cywilnej (dawnej gwardii caldé).

Bizon – potężnie zbudowany, czarnobrody mężczyzna, który zostaje głównym oficerem Mięty.

Boleń – złodziej, który dostarcza białego kozła na nabożeństwo żałobne maytere Róży.

Patere *Byk* – protonotariusz Kwezala.

Major *Cyweta* – oficer, który zabił doktora Żurawia, próbując uwolnić Jedwabia.

Dalia – bardzo dawna uczennica maytere Marmur.

Maytere *Drewno* – najstarsza rangą sybilla w manteionie przy ulicy Cegieł.

Drop – starszy brat Alki; obecnie już nie żyje.

Echidna – Matka Bogów, bogini obdarzona największą mocą.

Eland – skazaniec, jeden z kompanów Żubra. Oswoił i wytresował dwóch bogów tuneli.

Elodea – dawna kochanka Pawiana.

Femur[1] – starszy brat Kowadełka.

Fiołek – piękna brunetka z domu Orchidei, przyjaciółka Acalyphy.

Szeregowiec *Flisz* – żołnierz z oddziału Piaska.

Gawron – jeden z oficerów Mięty.

Kapitan *Gekon* – oficer z personelu Oosika.

Goral – bezrobotny stajenny, jeden z ochotników Mięty.

Gronostaj – właściciel najdroższego hotelu w Vironie.

Patere *Gulo* – akolita Jedwabia.

Hiacynt – piękna młoda kobieta z domu Krwi, która przekonała Żurawia, by dał Jedwabiowi azoth.

Hierax – drugi syn Echidny, bóg śmierci.

Imbirek – jedna ze starszych dziewcząt w palestrze.

Iolar – lotnik upolowany przez należącego do Piżma orła.

Kapitan *Jelec* – szyper łodzi rybackiej, dowodzonej przez Scylle.

Jeleń – młody laicki wierny z manteionu Jedwabia.

Kaczeniec – właścicielka stajni i wypożyczalni koni.

Kassawa – pobożna starowina z dzielnicy Słońca.

Kocur – olbrzym, któremu Alka uratował życie.

Kosmek – mały chłopiec z klasy maytere Marmur w palestrze.

Patere *Kowadelko* – czarny mechanik, który naprawia i przeprogramuje Pięściaka.

Krew – zamożny handlarz narkotykami i kobietami; czasem bywa też darmowym agentem Ayuntamiento.

Patere *Kwezal* – najwyższy rangą augur w Vironie, od trzydziestu trzech lat przewodniczący vironńskiej Kapituły.

Kypris – patronka miłości; bogini, która pierwsza opętała Acalypnę.

Radca *Lemur* – sekretarz stojący dawniej na czele Ayuntamiento, zabity przez Żurawia.

Lew – największy samiec spośród rysiów Pleśni.

Liana – jedna z podwładnych Zorilli.

Liatra – jedna ze starszych dziewcząt w palestrze.

Lilia – matka Alki; obecnie już nie żyje.

Limetka – najwyższą stopniem kobieta oficer w armii Mięty.

Linzang – ukochany Liany.

Radca *Lori* – radca kierujący Ayuntamiento po śmierci Lemura.

Szeregowiec *Łupek* – żołnierz z oddziału Piaska.

Łuska – jeden z oficerów Bizona.

Makak – jeden ze starszych chłopców w palestrze.

Mamelta – śpiąca aresztowana w tunelach razem z Jedwabiem.

Mandryl – kuzyn Pawiana; uciekł z Vironu.

Mara – jeden ze starszych chłopców w palestrze.

Maytere *Marmur* – sybilla, nauczycielka młodszych dzieci w palestrze.

Choraży *Mattak*[2] – syn Oosika, młody oficer kawalerii.

Mazama – daleki krewny Mięty.

Mistrz *Miecznik* – jednonogi nauczyciel szermierki.

Maytere *Mięta* – Miecz Echidny, sybilla, która naucza w palestrze starsze dziewczynki; przez powstańców nazywana generał Mięta.

Moli – utracona ukochana Pięściaka, gosposia (zdrobnienie od „Molibden”).

Molpe – druga córka Echidny, bogini wiatru i tych dziedzin sztuki, które wiążą się z ruchem.

Kapitan *Morlesz* – szyper łodzi rybackiej, wynajęty przez Żurawia do obserwacji Drogi Pielgrzymów.

Patere *Murena* – augur zamordowany przez Trytona.

Murtagon – znany malarz.

Patere *Muszelka* – akolita patere Skoczka; chodził z Jedwabiem do scholi.

Okoń – muskularny łysielec zatrudniony w żółtym domu Orchidei.

On – mężczyzna reprezentujący wszystkich mężczyzn.

Ona – kobieta reprezentująca wszystkie kobiety.

Pułkownik *Oosik* – dowódca brygady rezerwowej.

Opos – stajenny, jeden z ochotników Mięty.

Orchidea – opiekunka należącego do Krwi domu publicznego.

Oreb – ptak zakupiony przez Jedwabia jako zwierzę ofiarne, ale nie złożony w ofierze.

Orlica – córka Orchidei, opętana przez Pleśń i zabita przez Acalyphę.

Ostrokrzew – jedna ze starszych dziewcząt w palestrze.

Pah – Ojciec Bogów, mąż Echidny, ojciec Scylli, Molpe, Tartarosa, Hieraxa, Thelxiepei, Phaei i Sphigx.

Pawian – łucznik w drużynie Żubra; strzela do Acalyphy.

Phaea – czwarta córka Echidny, bogini żywności i uzdrawiania.

Sierżant *Piasek* – dowódca oddziału Pięściaka.

Kapral *Pięściak* – żołnierz, który do spółki z sierżantem Piaskiem aresztował Jedwabia w podziemnych korytarzach.

Pizmo – młody, sadystyczny zabójca na usługach Krwi, miłośnik drapieżnych ptaków. Przyzwoity tenor.

Pleśń – dorastająca dziewczyna, do której sypialni trafił Jedwab, włamując się do willi Krwi.

Patere *Pletwa* – starszy wiekiem augur, którego akolitą został Jedwab po ukończeniu scholi; obecnie już nie żyje.

Pokrzywa – jedna ze starszych dziewcząt w palestrze, w klasie maytere Mięty.

Patere *Remora* – koadiutor i spodziewany następca Kwezala.

Róg – uczeń ukarany przez maytere Różę za przedrzeźnianie Jedwabia.

Maytere *Róża* – sybilla, która nauczała starszych chłopców w palestrze; obecnie już nie żyje.

Rzep – dziewczynka w klasie maytere Marmur w palestrze.

Generał *Saba* – dowódca statku powietrznego z Trivigaunte i oddziałów, które na jego pokładzie przybywają do Vironu.

Sard – właściciel dużego lombardu przy ulicy Siodeł.

Scylla – najstarsza z dzieci Echidny, patronka Vironu.

Generalissimus *Siyuf* – dowódca sił zbrojnych Trivigaunte.

Scynk – przywódca powstańców, który wczesnym wieczorem w hieraxdag próbuje szturmować Palatyn.

Maytere *Skalnica* – sybilla w manteionie przy ulicy Słońca; obecnie już nie żyje.

Sklerodermia – otyła kobieta, która przytrzymuje konia Mięty, żona rzeźnika z dzielnicy Słońca.

Patere *Skoczek* – augur w manteionie przy ulicy Cegieł.

Sphigx – najmłodsze dziecko Echidny, patronka Trivigaunte i bogini wojny.

Świstak – robotnik bez zajęcia, jeden z ochotników Mięty.

Radca *Tarsjusz* – członek Ayuntamiento.

Tartaros – najstarszy syn Echidny, bóg nocy.

Tetyda – pomniejsza bogini, do której modlą się zagubieni podróżnicy.

Thelxiepeia – trzecia córka Echidny, bogini nauki, a co za tym idzie – także magii i sztuki czarnoksiężskiej.

Sierżant *Tryton* – główny podwładny Mattaka.

Caldé *Tussah* – poprzednik Jedwabia, zamordowany przez Ayuntamiento (patere *Tussah*, prawdopodobnie nazwany tak na jego cześć, jest członkiem kręgu czarnych mechaników, do którego należy Kowadełko).

Porucznik *Tygrys* – oficer operacyjny, asystent Oosika.

Radca *Wari* – członek Ayuntamiento, który wraz z Piaskiem przesłuchiwał Jedwabia po jego drugim aresztowaniu.

Wełna – jeden z oficerów Mięty.

Wielbłąd – tragarz.

Wieprzek – właściciel karczmy, w której Jedwab spotkał się z Alką na kolacji.

Zewnętrzny – bóg słabych i pogardzanych. Jego królestwo rozciąga się poza granicami whorla.

Zorilla – stolarz, jeden z oficerów Mięty.

Żubr – dawny wspólnik Alki, skazany na jamy.

Doktor *Żuraw* – szpieg z Trivigaunte, który zabił radcę Lemura; obecnie już nie żyje.

Niewolnicy Scylli

Jego Mądrość patere Kwezal, przewodniczący Kapituły Świętego Miasta Vironu, obserwował odbicie swojej zasuszonej, pożółkłej twarzy w srebrnym imbryku. Ani wstrząsające miastem niepokoje, ani wściekła burza, która zdierała grunt do żywego rakplastu i groziła obróceniem suszonych na słońcu cegieł z powrotem w bezpostaciowe błoto, nie mogły zmącić jego niewzruszonego spokoju.

Jak każdego dnia o tej porze, odwrócił głowę w prawo, by podziwiać swój prawie płaski, beznosy profil, później zwrócił ją w lewo i uniół podbródek, co podkreśliło długą, mocno pomarszczoną szyję. Rano, wstając z łóżka, jak zwykle odpowiednio uformował i umalował twarz i szyję, istniało jednak pewne prawdopodobieństwo (jakkolwiek niewielkie), że o godzinie dziesiątej nie prezentuje się już tak doskonale, jak powinien. Stąd brała się potrzeba nieco ironicznej, lecz mozolnej obserwacji.

– Jestem bowiem ostrożnym człowiekiem – mruknął patere, udając, że gładzi siwą brew.

Przy jego ostatnim słowie grzmot wstrząsnął pałacem do samych fundamentów. Światła w komnacie rozbłysły oślepiającym blaskiem; deszcz i grad zabębniły na parapetach.

Patere Remora, koadiutor Kapituły, pokiwał z namaszczeniem głową.

– W rzeczy samej. Wasza Mądrość naprawdę jest nader... aaa... rozważną osobą.

Możliwość niedopatrzania jakiegoś szczegółu we własnym wyglądzie nie dawała przewodniczącemu spokoju.

– Jestem coraz starszy, patere. Nawet my, ludzie ostrożni, starzejemy się.

Remora znów skinął głową. Jego koścista twarz wyrażała żal.

– Smutna to prawda, Wasza Mądrość.

– Wszystko się starzeje. Nasze miasto... Nawet samemu whorlowi lat przybywa. Kiedy jesteśmy młodzi, dostrzegamy rzeczy młode, świeżą trawę na grobach, nowe liście na starych drzewach.

Kwezal ponownie uniósł głowę i spod na wpół przymkniętych powiek przyjrzał się swemu zniekształconemu odbiciu.

– Młodość to złota pora piękna i... hm... elegii, Wasza Mądrość. – Remora obracał w dłoniach smakowitą kanapkę.

– Widząc oznaki podeszłego wieku w nas samych, zaczynamy też zauważać je we whorlu. Została już tylko garstka chemów, które widziały na własne oczy człowieka, który spotkał człowieka, który pamiętał ten dzień, gdy Pah stworzył whorl.

Nieco skonfundowany nagłym przeskokiem o tyle pokoleń wstecz Remora skinął głową.

– W rzeczy samej, Wasza Mądrość. W rzeczy samej – przytaknął i dyskretnie otarł dżem z palca.

– Zaczynamy uświadamiać sobie ideę powtórzeń, cykliczną naturę mitu. Kiedy otrzymałem różgi, udało mi się dotrzeć do wielu starych dokumentów. Przeczytałem je z uwagą; miałem w zwyczaju poświęcać na to trzy hieraxdagi miesięcznie. Odprawiałem wówczas tylko te ceremonie pogrzebowe, których nie mogłem opuścić. Wydawałem protonotariuszowi ściśle zalecenie, by z nikim mnie w te dni nie umawiał. Polecam ci podobne praktyki, patere.

Znowu grzmot przetoczył się przez komnatę. Za oknami rozbłysnął ognisty smok.

– Natychmiast... hm... wprowadzę w czyn twoje przenikliwe zalecenie, Wasza Mądrość.

– Natychmiast, powiadasz? – Kwezal podniósł wzrok znad srebrnego imbryka. Postanowił już, że przy pierwszej nadarzającej się okazji przypudruje mocniej podbródek. – Jeśli chcesz, możesz udać się do młodego Kowadełka i wydać mu stosowne instrukcje. Zrób to teraz, patere. Od razu z nim porozmawiaj.

– Obawiam się, że... aaa... To niewykonalne, Wasza Mądrość. W molpdag wysłałem patere Kowadełko z pewną... hm... misją. Jeszcze... hm... do nas nie powrócił.

– Rozumiem, rozumiem. – Drżącą dłonią Kwezal uniósł filiżankę i przytknął jej złoconą krawędź do ust, po czym opuścił nieco, nie na tyle jednak, by odsłonić brodę. – Napiłbym się prawdziwego bulionu, patere. Ten, który mam, to lura. Chcę się napić klarownego, aromatycznego bulionu. Dopilnuj tego, proszę.

Koadiutor, od dawna przyzwyczajony do spełniania takich życzeń, wstał.

– Przyszykuję bulion osobiście, Wasza Mądrość. Zajmie mi to... aaa... zaledwie chwilę. Zagotuję

wodę i... hm... przyrządzą napój. Wasza Mądrość może na mnie polegać.

Kwezal wolniutko odstawił filiżankę na spodek, patrząc, jak Remora tyłem wycofuje się z komnaty. Wychlapnął nawet kilka kropel na talerzyk, był bowiem, jak już wspomniał, ostrożny. Regularny zgrzyt zamykanych drzwi. Dobrze. Szczęk zapadki. Bardzo dobrze. Teraz nikt nie mógł wejść do komnaty po cichu i znienacka; patere Kwezal sam zaprojektował mechanizm zamykający.

Nie wstając z fotela wyjął pędzelek z szuflady komody i delikatnie nałożył odrobinę cielistego pudru na ostro zakończony podbródek, z taką pieczołowitością ukształtowany rano. Kręcąc głową na boki i na przemian to uśmiechając się, to marszcząc brwi, śledził swoje wysiłki w wypolerowanym imbryku. Doskonale! Znakomicie!

Deszcz walił w okna z taką siłą, że strużki lodowatej wody ściekały do wewnątrz przez szczeliny we framugach, zbierały się w bajorka na mlecznobiałych parapetach i małymi kaskadami spływały na dywan. To również podobało się patere Kwezalowi. O trzeciej po południu zamierzał odprawić prywatne nabożeństwo i złożyć pośmiertną już ofiarę radcy Lemura z dwudziestu jeden tarantowatych koni. Planował zmienić intencję ofiary na dziękczynną i podarować wszystkim bogom po jednym rumaku za każdy tydzień ulewnych deszczów, jakie łaskawie nawiedziły pola Vironu.

Czy wierni dowiedzą się przez ten czas o odejściu Lemura? Kwezal zadumał się, czy powinien im to oznajmić, gdyby jeszcze nie zdawali sobie z tego sprawy. Była to dość ważka kwestia, lecz porzucił ją i po długim namyśle postanowił uczynić coś, co przynosiło mu choćby chwilową ulgę: z wąskich rowków w podniebieniu wysunął kły i oparł je w przeznaczonych dla nich zagłębieniach w dolnej szczęce. Wyszczrzył zęby w szerokim uśmiechu, podziwiając swoje odbicie.

Szczęk zasuwę niemal utonął w kolejnym grzmocie, ale patere nie spuszczał drzwi z oka. Rozległ się drugi, głośniejszy zgrzyt, gdy stojący po drugiej stronie Remora zmagął się z nieporęczną żelazną klamką, która, obróciwszy się ze znacznym oporem, mozolnie uniosła zapadkę.

Kwezal niedbałym gestem musnął wargi trzymaną w ręku serwetką. Kiedy odjął ją od ust i z powrotem rozłożył na kolanach, jego kły zniknęły bez śladu.

– Tak, patere? – spytał poirytowany. – O co tym razem chodzi? Czyżby nadszedł już czas?

– Niosę bulion, Wasza Mądrość. – Remora odstawił tackę na stół. – Czy mam... hm... go przyrządzić Waszej Mądrości? W tym celu... aaa... przyniosłem czystą filiżankę.

– Bardzo chętnie, patere. Proszę. – Kwezal się uśmiechnął. – Rozwazałem właśnie naturę komizmu. Czy zastanawiałeś się kiedyś nad nią?

Remora zajął swoje miejsce.

– Obawiam się, że nie, Wasza Mądrość.

– Cóż dzieje się z młodym Kowadełkiem? Chyba nie spodziewałeś się tak długiej jego

nieobecności?

– Nie, Wasza Mądrość. Wysłałem go do Limny. – Remora przełożył łyżeczką kostkę rosółową do czystej filiżanki i dodał wody z miedzianego czajniczka. Buchnął pióropusz pary. – W istocie jestem... aaa... lekko zaniepokojony. Ubiegłej nocy mieliśmy w mieście... aaa... małe poruszenie, prawda? – Zamieszał napar zdecydowanym ruchem. – Wszystko... hm... przez tego młodzieńca, Jedwabia. Patere Jedwabia, niestety. Znam go.

– Mój protonotariusz wspominał o tym. – Kwezal leciutko skinął głową, przyjmując z rąk Remory parującą filiżankę. – W Limnie powinno chyba być bezpieczniej.

– Ja również tak sądziłem, Wasza Mądrość. Ja również.

Kwezal pociągnął ostrożny łyk gorącego, słonego napoju. Zatrzymał go przez chwilę w ustach, rozkoszując się smakiem.

– Wysłałem patere Kowadełko na poszukiwanie pewnego... aaa... człowieka, Wasza Mądrość. Znajomego tego patere Jedwabia. Gwardia cywilna zaś szuka samego Jedwabia, czyż nie? Podobnie jak i... hm... pewne inne osoby. Inne grupy osób. Tak mi powiedziano. Dziś rano wysłałem następnych, Wasza Mądrość, którzy mają odnaleźć młodego Kowadełko. Jednakże deszcz, jakkolwiek niezbędny dla nas, wszystkich ich spowolni, prawda?

– Pływasz czasem, patere?

– Ja, Wasza Mądrość? W jeziorze? Nie. Przynajmniej od wielu już lat nie pływałem.

– Ja też nie.

Remora starał się po omacku skierować rozmowę na tory, których jeszcze za dobrze nie pojmował.

– Ale to zdrowe ćwiczenie, zwłaszcza dla tych w bardziej... hm... stosownym wieku, prawda? Gorąca kąpiel przed nabożeństwem ofiarnym, Wasza Mądrość? Albo jeszcze lepiej... Wiem! Gorące źródła! W Urbs tryskają nader... aaa... orzeźwiający źródła, dobre dla zdrowia. Zwłaszcza teraz, gdy sprawy tutaj są tak... hm... niespokojne.

Kwezal poczuł dreszcz. Całe jego ciało się zatrzęsło, jakby miał sporą nadwagę, choć był lekki i żyłasty, o czym przekonał się Remora przy tych kilku okazjach, gdy pomagał mu kłaść się do łóżka.

– Bogom... – zaczął Kwezal z uśmiechem.

– Należy służyć – dokończył Remora. – Bez wątpienia, Wasza Mądrość. Udam się więc na miejsce, by... aaa... zadbać należycie o interesy Kapituły. – Odrzucił znad oczu kosmyk prostych czarnych włosów. – Każdy rytuał zostanie odprawiony z... hm...

– Pamiętasz tę opowieść, patere? – Kwezal zakołysał się na fotelu, zapewne z tajonej uciechy. – On i Ona w ogrodzie, jak króliki. I... jak wy je nazywacie? – Uniósł chudą rękę i zwróciwszy dłoń ku dołowi, złożył ją lekko.

– Kobra, Wasza Mądrość?

– Kobra namówiła Ją, by zjadła owoc z tego drzewa, cudowny owoc, który daje mądrość.

– Już przypominam sobie tę... hm... alegorię. – Remora zastanawiał się w duchu, jak wrócić do tematu gorących źródeł.

Kwezal z ożywieniem pokiwał głową, niczym mędrzec, który chwali pojętnego ucznia.

– Wszystko to znajduje się w Piśmie. No, prawie wszystko. Bóg A Lah zakazał Jemu i Jej wstępu do ogrodu. – Kwezal zamyślił się głęboko. – Nawiasem mówiąc, chyba straciliśmy kontakt z A Lahem. Nie przypominam sobie, żebyśmy kiedyś złożyli mu ofiarę. Ale nikt nie pyta, dlaczego kobra chciała, by Ona zjadła owoc.

– Z czystej... aaa... złościwości, Wasza Mądrość? Zawsze tak myślałem.

Kwezal z poważną twarzą zakołysał się z boku na bok jeszcze szybciej niż poprzednio.

– Po to, żeby musiała wejść na drzewo, patere. A On poszedł w jej ślady. Ich historia nie kończy się, gdyż żadne nie zeszło na dół. Dlatego właśnie pytałem, czy zastanawiałaś się kiedyś nad naturą komizmu. Czy patere Kowadełko dobrze pływa?

– Dlaczego... eee... Nie mam pojęcia, Wasza Mądrość.

– Ponieważ wydaje ci się, że wiesz, dlaczego kobieta, której kazałeś mu szukać, udała się nad jezioro z tym łotrzykiem Jedwabiem, którego imię widuję na murach.

– Aaa... Wasza Mądrość jak zwykle wykazuje niezwykłą przenikliwość. – Remora nerwowo poruszył się na krześle.

– Wczoraj widziałem je wydrapane na ścianie. Sięgało wysokości czwartego piętra – mówił dalej Kwezal, jakby nie słyszał uwagi Remory. – Obszedłem je z daleka.

– Cóż za zniewaga, Wasza Mądrość!

– Zrobiłem to przez szacunek dla duchowieństwa, patere. Dobrze pływam, nie tak może wyśmienicie jak ryba, ale naprawdę dobrze. W każdym razie kiedyś pływałem.

– Miło mi to słyszeć, Wasza Mądrość.

– Od dawna już opowiada się dowcipy o bogach. Dlatego właśnie powinienes w hieraxdagi przeglądać stare zapiski, patere. A dziś mamy hieraxdag. Nauczysz się myśleć w nowy, lepszy

sposób. Dziękuję za bulion. A teraz idź już.

Remora wstał i ukłonił się nisko.

– Jak Wasza Mądrość sobie życzy.

Jego Mądrość patrzył na niego niewidzącym wzrokiem; coś rozważał.

– Po wielekroć zauważałem, że sposób myślenia Waszej Mądrości jest dość... aaa... niezwykle i znacznie bardziej... hm... selektywny niż u większości ludzi – stwierdził odważnie Remora. Nie słysząc odpowiedzi, cofnął się o krok. – Wasza Mądrość dysponuje wielką wiedzą, na wszystkie... hm... tematy.

– Zaczekaj. – Kwezal podjął decyzję. – Zamieszki. Czy zdobyto Alambrerę?

– Co takiego? Alambrerę? Skąd... Nie. Nic mi o tym nie wiadomo, Wasza Mądrość.

– Dzisiejszej nocy. – Kwezal wziął do ręki filiżankę. – Usiądź, patere; cały czas się kręcisz. Denerwujesz mnie. Nic dobrego z tego dla ciebie nie wyniknie. Lemur nie żyje. Wiedziałeś o tym?

Remora rozdziawił usta, po chwili zamknął je i usiadł.

– Nie wiedziałeś. A powinieneś dowiadywać się o różnych rzeczach.

Remora przyznał mu rację wstydliwym skinieniem głowy.

– Czy mogę zapytać, Wasza Mądrość...

– Skąd o tym wiem? Stąd, skąd wiem, że niewiasta, po którą wysłałeś Kowadelko, udała się nad jezioro z patere caldé Jedwabiem.

– Ależ Wasza Mądrość!

Kwezal ponownie obdarzył Remorę uśmiechem, przy którym zupełnie niknęły mu wargi.

– Boisz się, że zostanę aresztowany, patere? Wtrącony do jam? Wtedy zostałbyś zapewne przewodniczącym Kapituły. Nie boję się jam. – Jego wydłużona, bezwłosa czaszka uniosła się nieco znad filiżanki. – Jestem na to za stary. Nic a nic się nie boję.

– Niemniej błagam Waszą Mądrość, by zechciał być bardziej... aaa... oględny w słowach.

– Dlaczego miasto nie płonie, patere?

Zaskoczony Remora wyjrzał przelotnie przez najbliższe okno.

– Gliniane cegły, ściany z rakplastu, drewniane dźwigary, strzecha albo gont. Wczoraj w nocy

splonęło pięć kwartałów sklepów. Czemu dziś całe miasto nie stoi w ogniu?

– Pada, Wasza Mądrość. – Remora zebrał się na odwagę. – Od wczesnego ranka pada... hm... ulewny deszcz.

– Właśnie. W molpdag patere caldé Jedwab udał się z pewną kobietą do Limny. Tego samego dnia wysłałeś tam Kowadełko, by odnalazł jego znajomego, a właściwie znajomą, chociaż nie bardzo chciałeś o tym wspominać. Godzinę przed obiadem rozmawiałem przez szkło z radcą Lorim.

– Czy to on powiedział Waszej Mądrości, że radcy Lemura nie ma już wśród nas?

Kwezal gwałtownie pokręcił głową.

– Twierdził, że Lemur wciąż żyje, patere. Wiadomość o jego śmierci to ponoć plotka, na to przynajmniej wygląda. Chciał, żebym dziś po południu zdementował te pogłoski.

– Jeżeli wszakże radca Lori... aaa... zapewnił...

– Lemur z całą pewnością nie żyje; w przeciwnym wypadku porozmawiałby ze mną osobiście albo pokazał się w Juzgado. Albo zrobiłby jedno i drugie.

– Jeśli nawet jest to prawda, Wasza Mądrość...

Łoskot grzmotu zbiegł się w czasie z gestem, którym Kwezal przerwał Remorze.

– Czy Ayuntamiento może bez niego przetrwać? Oto jest pytanie, patere. Chcę usłyszeć twoją opinię.

By dać sobie więcej czasu do namysłu, Remora upił łyk letniego już bulionu.

– Cała broń... aaa... Wszelkie środki przymusu przechowywane są w Alambrerze oraz w... hm... koszarach gwardii cywilnej, na wschód od miasta.

– Wiem o tym.

– Jest to budowla wielce... hm... ufortyfikowana, Wasza Mądrość. Słyszałem, że zewnętrzny mur ma dwanaście łokci... aaa... rozpiętości. A jednak Wasza Mądrość przewiduje, iż dzisiejszej nocy reduta się podda? Nim zaryzykuję sformułowanie własnej opinii, czy mógłbym zapytać, jakie jest źródło tych informacji?

– Żadne. Po prostu głośno rozmyślałem. Jeżeli Alambra nie padnie w najbliższych dniach, patere caldé Jedwab poniesie klęskę; oto moje zdanie. Teraz zaś chciałbym dowiedzieć się, co ty sądzisz na ten temat.

– Wasza Mądrość czyni mi w ten sposób zaszczyt. Należy pamiętać o... hm... uspiętej armii. Radca Lemur... aaa... to jest radca Lori bez wątplenia powoła ją pod broń, gdyby sytuacja stała się z

jego punktu widzenia zbyt poważna.

– Interesuje mnie twoja opinia, patere.

Filizanka stuknęła głośno o spodek, gdy Remora odstawił ją drżącą dłonią.

– Dopóki lojalność gwardii cywilnej nie pozostawia... hm... cienia wątpliwości, Wasza Mądrość... – Remora nabrał głęboko powietrza w płuca – sędzę, aczkolwiek z pewnością nie jestem... hm... mistrzem strategii wojskowej, że... aaa... hm... patere caldé nie może zwyciężyć. Zdawało mu się, że Kwezal słucha wyłącznie odgłosów burzy. Wahadło rzeźbionego na kształt trumny zegara kilkanaście razy zatoczyło łuk – w tym czasie w komnacie rozbrzmiewało tylko wycie wichury i łoskot deszczu o szyby. W końcu przewodniczący Kapituły zapytał:

– A gdyby miało się okazać, że część gwardii zdezerterowała i przeszła na stronę Jedwabia? Co wtedy?

Remora wytrzeszczył oczy.

– Wasza Mądrość nie...

– Nie mam powodów, żeby tak myśleć. To czysto hipotetyczna sytuacja i hipotetyczne pytanie.

Remora, który miał spore doświadczenie w odpowiadaniu na hipotetyczne pytania Kwezala, ponownie wziął głęboki wdech.

– Wówczas powiedziałbym, Wasza Mądrość, że gdyby nastąpił tak... aaa... niefortunny zbieg okoliczności, miasto znalazłoby się na... eee... zaiste niebezpiecznych wodach.

– A co z Kapitułą?

– Kapituła również byłaby w opałach, Wasza Mądrość – odrzekł smętnie Remora. – Kto wie czy nie gorszych niż samo miasto. Jedwab jest augurem, mógłby więc... aaa... ogłosić się przewodniczącym Kapituły, a nawet caldé.

– Czyżby? Brak mu szacunku dla twojej osoby, mój koadiutorze?

– Nie, Wasza Mądrość. Wręcz... hm... przeciwnie.

Kwezal w milczeniu pociągnął łyk bulionu.

– Czy Wasza Mądrość chce, by... hm... Kapituła opowiedziała się po stronie... eee... armii patere caldé?

– Napiszesz teraz list, patere. Okólnik. Masz na to bez mała sześć godzin, co powinno ci aż nadto wystarczyć. Podpiszę go, gdy skończą się uroczystości w Wielkim Manteionie. – Kwezal spuścił wzrok na brunatną, wystygłą ciecz w filizance.

– Czy mam go zaadresować do wszystkich duchownych, Wasza Mądrość?

– Podkreśl nasz święty obowiązek niesienia pociechy rannym i Ostatniej Formuły umierającym. Daj też do zrozumienia, lecz nie wprost... – Kwezal zawiesił głos.

– Tak, Wasza Mądrość?

– Że śmierć Lemura oznacza koniec pretensji radców do władzy. Mówiłeś, że znasz patere caldè Jedwabia?

Remora skinął głową.

– Rozmawiałem z nim w pewien... aaa... długi wieczór, w scyldag, Wasza Mądrość. Omawialiśmy finansowe... hm... tarapaty, w jakich znalazł się jego manteion, jak również... aaa... różne inne sprawy.

– Ja go nie znam, patere. Przeczytałem jednak wszystkie raporty w aktach Jedwabia, sporządzone zarówno przez jego nauczycieli, jak i jego poprzednika. Stąd właśnie moja rekomendacja. Jest pilny, wrażliwy, inteligentny i pobożny. Jest również niecierpliwy, co w jego wieku nie dziwi. Darzy szacunkiem osoby, które na to zasługują, co i ty potwierdzasz. Niestrudzony w pracy, co bardzo podkreślał jego nauczyciel teonomii. Łatwo się przystosowuje do nowych warunków. W ostatnich dniach zyskał sobie ogromną popularność. Gdyby udało mu się obalić rządy Ayuntamiento, pozostanie zapewne u władzy przez rok, może dłużej. Może o wiele, wiele dłużej. Młody augur, sprawujący rządy w zgodzie z literą Karty, będzie potrzebował doświadczonych doradców, by nie stracić urzędu...

– W rzeczy samej, Wasza Mądrość. – Remora energicznie kiwał głową. – Pomyślałem dokładnie tak samo.

Nie wypuszczając filiżanki, Kwezal wskazał ręką najbliższe okno.

– Mamy zmianę pogody, patere.

– I to bardzo... hm... poważną, Wasza Mądrość.

– Musimy się zaaklimatyzować. Dlatego właśnie pytałem, czy młody Kowadełko umie pływać. Jeżeli uda ci się z nim nawiązać kontakt, każ mu działać odważnie. Czy wyraziłem się jasno?

Remora jeszcze raz się skłonił.

– Dołożę... hm... wszelkich starań, by wyrazić szczerą i pełną aprobatę Kapituły dla... aaa... świętej i praworządnej władzy, Wasza Mądrość.

– Idź więc. Napisz ten list.

– A jeśli Alambra nie...?

Nic nie wskazywało na to, by Kwezal słuchał, więc Remora wolno wycofał się do drzwi, po czym zamknął je starannie za sobą.

Kwezal wstał. Ewentualny obserwator – gdyby znalazł się w pobliżu – zdziwiłby się zapewne niepomernie, widząc, jak wysoki jest przewodniczący Kapituły. Niczym na kółkach śmignął przez komnatę i otworzył szerokie okno wychodzące na ogród. Miecione wiatrem krople deszczu wpadły do pokoju. Morwowej barwy toga przewodniczącego Kapituły powiewała za nim niczym chorągiew.

Przez chwilę stał bez ruchu. Nałożone na twarz kosmetyki spływały mu po policzkach strużkami różu i żółci, kiedy podziwiał tamaryndowiec, który przed dwudziestu laty kazał zasadzić pod oknem. Drzewo przerosło wiele budynków; jego połyskujące, mokre od deszczu liście ocierały się o framugę, a nawet na szerokość dziecięcej dłoni zapuszczały się do wnętrza sypialni, niczym zalęknione sybille, pewne życzliwego przyjęcia, a zarazem jak zwykle nieśmiałe. Drzewo, które je zrodziło, wyhodowane i wypielęgnowane osobiście przez Kwezala, osiągnęło aż nadto wystarczające rozmiary – było mu schronieniem, pamiątką domu rodzinnego i drogą do wolności.

Zaparł drzwi sztabą i zrzucił przemoczone ubranie. Nawet w takiej ulewie bezpieczniej czułby się na drzewie, mimo że potrafił latać.

Cień złowrogiego urwiska ogarnął siedzącego na dziobie Alkę. Ostatni raz lodowaty deszcz sieknął go po twarzy. Złodziej podniósł wzrok na masywną skałę i wycelował igłowiec w augura, który dzierżył w dłoni szot żagla.

– Tym razem nie próbowałeś swoich sztuczek – stwierdził.

– Widzisz? Jak chcesz, to potrafisz być całkiem bystry. Sztorm rozszalał się z chwilą rozjaśnienia i nie zanosilo się na to, żeby miał rychło osłabnąć.

– Steruj tam – warknęła Acalypha, wskazując ręką kierunek. Strużki zimnej wody ściekały jej z przemoczonych, ufarbowanych na czerwono włosów, łączyły się w grubszy strumyk pomiędzy pełnymi piersiami i spływały na odsłonięte łono.

Stary rybak przy sterze musnął palcami daszek czapki.

– Tak jest, Scyllo Parząca.

W molpdagową noc wypłynęli z Limny. Od rozjaśnienia do zaciemnienia słońce rozpalało niebo niczym struga białego ognia. Wiatr, z rana silny i sprzyjający, zmienił kierunek i osłabł, przechodząc w słabą bryzę, później ograniczył się do pojedynczych westchnień, a zanim z rynku zniknęli ostatni kupcy, ucichł zupełnie. Całe popołudnie Alka spędził siedząc w cieniu żagla, Acalypha zaś skryła się przed słońcem pod osłoną półpokładu. Mimo to i oni oboje, i augur doznali przykrych poparzeń.

Nocą wiatr powiał z nową mocą, tym razem jednak nie sprzyjał im zupełnie. Sterowana przez starego rybaka łódź halsowała z wysiłkiem, opętana przez wielką boginię Acalypha pokrzykiwała, żeby iść ostrzej i ostrzej na wiatr, a złodziej z augurem, cierpiący z powodu choroby morskiej, po

każdej zmianie kursu w wariackim tempie wybierali wodę z zęzy. Łódka przechylała się ostro, zdawało się, iż lada chwila nabierze wody górą, latarnia na topie masztu huśtała się na wszystkie strony, waląc przy każdym zwrocie w drzewce – kilka razy zgasła zresztą, pozostawiając trzech zmordowanych mężczyzn na pokładzie w całkowitej ciemności. Mogli tylko czekać, zmartwiali ze strachu, kiedy rozbiją się na skałach.

W pewnej chwili augur próbował wyrwać Alce igłowiec z za pasa, ale złodziej odepchnął go, skopał i wyrzucił za burtę, wprost w spienione wody jeziora. Cudownym zrzędzeniem losu stary rybak uratował duchownego, podając mu bosak. O rozjaśnieniu wiatr powiał z południowego wschodu. Wściekła wichura pędziła przed sobą ściany zacinającego deszczu, poprzedzielane błyskami piorunów.

– Zrzucić żagiel! – krzyknęła przenikliwie Acalypha. – Luzuj szot, idioto! Opuść reję!

Augur co tchu wykonał jej polecenie. Był jakieś dziesięć lat starszy od Alki, miał wystające końskie zęby i delikatne dłonie, które poobcierał do krwi, ledwie wypłynęli z Limny.

Kiedy reja z hukiem runęła na pokład, Alka obrócił się na swoim miejscu, żeby zobaczyć, gdzie dopłynęli. Ujrzał tylko chłostany wodą kamień. Spod mizernej osłony własnych nóg usłyszał oburzone skrzeczenie.

– Wsiadka – polecił krukowi Jedwabia. – Urwisko zasłania nas przed deszczem.

– Nie wychodzi!

Mimo że dolne partie skały były względnie suche i osłonięte od wiatru, zdawały się Alce zimniejsze od otwartej przestrzeni jeziora. Uświadomił sobie, że nowiutka letnia tunika, którą przywdział specjalnie na wycieczkę do Limny, przemokła do suchej nitki, podobnie zresztą jak i workowate spodnie. W natartych tłuszczem butach do jazdy konnej chlupotała mu woda.

Wąska cieśnina, w którą wpłynęli, zwęziła się jeszcze bardziej; wilgotne czarne skały piętrzyły się pięćdziesiąt łokci ponad łodzią. Tu i ówdzie deszczówka spływała po ścianach delikatną, srebrzystą strugą, z głośnym pluskiem wpadając do spokojnej wody w dole. Nad ich głowami skały połączyły się, stalowy top masztu zgrzytnął o kamień.

– Przejdzie – uspokoiła rybaka Acalypha. – Dalej sklepienie się podnosi.

– Chętnie bym żagiel rozłożył, pani – zauważył żeglarz spokojnym tonem. – I odpuścił ten zrefowany kawałek. Zgnije, jak go nie wysuszę.

Acalypha nie zwróciła uwagi na jego słowa. Alka gestem wskazał żagiel i wraz z augurem stanął przy rei, ciesząc się z okazji do rozgrzewki.

Oreb wskoczył na krawędź burty. Rozejrzał się wokoło i przeczesał dziobem zmoczone pióra.

– Ptak mokry!

Mijali właśnie niezwykle, ogromne zbiorniki z pomalowanego na biało metalu. Dotarli już prawie na miejsce.

– Święte okno! Tak, to ono! Tam jest okno i ołtarz, patrzcie! – wykrzyknął augur drżącym z przejęcia głosem i wypuścił reję z rąk. Alka kopniakiem rozciągnął go na deskach pokładu.

– Trzeba by rzucić trał, pani, jeśli ten kanał daleko się ciągnie.

– Pilnuj kursu. I podejdź pod okno. Masz nóż? – Z tym pytaniem Acalypha zwróciła się do augura.

Patere ze smutkiem pokręcił głową.

– W takim razie weź swój miecz – poleciła Acalypha Alce. – Umiesz złożyć ofiarę?

– Widziałem, jak to się robi, Scyllo Rozkołysana. Poza tym mam nóż za cholewą, będzie lepszy. – Podobnie jak Remora, Alka zebrał się na odwagę i spytał: – Ptaka? Wydawało mi się, że nie lubisz ptaków.

– Tak? – Acalypha splunęła do wody.

Spleciony z lin odbijacz stuknął o burtę, a potem potarł o skałę. Łódź zatrzymała się o łokieć od naturalnego kamiennego pomostu, na którym postawiono zbiorniki i święte okno.

– Zacumuj. – Acalypha dała znak augurowi. – Ty też! Rufę, durniu! On przywiąże dziób.

Alka umocował reję i wyskoczył na nabrzeże. Grunt był tak mokry i śliski od glonów, że złodziej z trudem zachował równowagę. W półmroku jaskini nie zauważył stalowej obręczy pod nogami, dopóki się o nią nie potknął.

Augur szybciej znalazł swój pierścień cumowniczy. Wyprostował się.

– Jestem augurem, Scyllo Okrutna – oznajmił. – Wiele razy składałem ofiary tobie i wszystkim Dziewięciu. Z rozkoszą, Scyllo Okrutna, zrobię to i teraz. Tym nożem...

– Ptak zły – zaskrzeczał Oreb. – Bogowie nienawidzą. Zamachał zranionym skrzydłem, jakby próbując, czy daleko go uniesie.

Acalypha zeskoczyła na śliski pomost i skinęła palcem na rybaka.

– Ty, chodź no tutaj.

– Muszę...

– Musisz mnie słuchać, bo inaczej każę cię zabić.

Alka z ulgą wyciągnął igłowiec; znów wkraczał na znajome terytorium.

– Scylla! – Augurowi zaparło dech w piersi. – Pod postacią człowieka? Naprawdę...

Acalypha okręciła się na pięcie i stanęła z nim twarzą w twarz.

– Co robiłeś na mojej łodzi? Kto cię przysłał?

– Zarznąć źle – zapewnił ją Oreb.

Augur nabrał powietrza w płuca.

– Jestem protonotariuszem Jego Eminencji. – Przyglądał przemoczoną togę. – Je-Jego E-Eminencja kazał mi z-znaleźć pewną m-młodą niewiastę...

Alka wycelował w niego igłowiec.

– Cie-Ciebie, pani: wysoką, czerwonowłosą i tak dalej. Nie wiedziałem, że to ty, Scyllo Okrutna. – Augur z wysiłkiem przełknął ślinę. – Nie miał ni-nic złego na my-myśli. Je-Jego Eminencja...

– Należą ci się gratulacje, patere – rzekła Acalypha łagodnie. Miała przerażającą zdolność przybierania póz, w których zwykły śmiertelnik nie wytrzymałby nawet kilku sekund. Teraz też wyrazista twarz i błyszczące oczy zdawały się jedynymi żywymi częściami jej ciała. – Znakomicie się spisałeś. A może udało ci się rozpoznać poprzednią właścicielkę tego ciała? Powiadasz, że opisano ci tę kobietę? – dźgnęła się palcem w pierś.

Augur z zapalem pokiwał głową.

– Tak właśnie było, Scyllo Okrutna. Ogniste włosy, u-umie władać nożem i...

Acalypha przewróciła oczami, tylko białka połyskiwały jej spod powiek.

– Wasza Eminencja... Jedwab też tak do niego mówił: „Wasza Eminencja był obecny podczas mojej promocji”.

– Chciał, żebym zapewnił cię o naszej wierności – dodał augur szybko. – O wierności Kapituły. Miałem zaoferować radę i wsparcie, i zadeklarować nasze całkowite oddanie. Z informacji, którymi dysponował Jego Eminencja, wynikało, że... że udałaś się, pani, nad jezioro w towarzystwie patere Jedwabia. Jego Eminencja jest przełożonym patere Jedwabia. I on... Ja... My razem zapewniamy cię o naszej bezwzględnej lojalności, Scyllo Okrutna.

– Wobec Kypris.

Ton głosu Acalyphy sprawił, że pytanie musiało pozostać bez odpowiedzi. Augur wytrzeszczył na nią oczy.

– Zły człowiek – oznajmił triumfalnie Oreb. – Zarżnie?

– Augura? Nie myślałam o tym, ale...

Stary rybak odchrząknął i splunął.

– Jeśli naprawdę jesteś Scyllą Parzącą, pani, to chciałbym coś rzec. – Wierzchem dłoni otarł siwiejące wąsy.

– Jestem Scyllą. Pospiesz się. Jeżeli szybko nie złożymy ofiary, możemy nie składać jej w ogóle. Mój niewolnik wkrótce tu przybędzie.

– Całe życie się do ciebie modliłem i składałem ci ofiary. Ty, pani, i twój tato jesteście jedynymi bogami, którzy interesują nas, rybaków. Nie mówię, żeś mi coś winna. Mam łódź, miałem żonę, odchowałem dzieciaki. Zawsze jakoś szło. Chcę tylko powiedzieć, że jeśli padnie na mnie, pozbędziesz się jednego ze swoich. Tobie i staremu Pahowi ubędzie jeden wierny. Może myślisz, że cię zabrałem, bo ten wielkolud celował do mnie z dziurkacza, ale jakem się tylko dowiedział, ktoś ty, sam bym cię wszędzie zawiózł.

– Muszę zespolic się ponownie z Centralnym Procesorem – oznajmiła Acalypha. – Mogły zajść jakieś zmiany. Skończyłeś?

– Prawie. Ten duży robi, co mu każesz. Ja też bym tak się zachowywał na jego miejscu. Tylko że on należy do Hieraxa, pani.

Alka drgnął nerwowo.

– Nie jest ani twój, ani twojego ojca, pani – ciągnął rybak. – Może sam tego nie wie, ale tak jest. To widać po ptaku, po igłowcu, po tym wielkim mieczu i po nożu, który ma w bucie. Sama to wiesz, pani, lepiej ode mnie. A jak chodzi o tego augura, co ma mnie zaszlachtować, to wyłowilem go ubiegłej nocy z jeziora. Za dnia widziałem, jak innego wyłowili. Mówią...

– Opisz go.

– Pewnie siedziałaś w kajucie, pani. Jak go wyciągnęli, tom widział, że spojrzał w twoją stronę. Chyba patrzył na ptaka. Młody był, wysoki jak ten tutaj. Żółte włosy...

– Jedwab! – wykrzyknął Alka.

– Powiadasz, że wyciągnęli go z wody?

Rybak pokiwał głową.

– Do łodzi Morlesza. Ja Morlesza znam trzydzieści lat.

– Kto wie, czy nie masz racji – powiedziała Acalypha. – Możesz być zbyt cenny, żeby cię

ofiarować, a jeden stary człowiek i tak niewiele znaczy.

Podeszła do okna.

– Uważajcie wszyscy trzej, co teraz powiem. Za chwilę porzucę ciało tej kurwy. Moja boska istota przeniknie z niej w głąb świętego okna, które kazałam tu zainstalować, i zjednoczy się z moją jaźnią w Centralnym Procesorze. Rozumiecie mnie? Wszyscy?

Alka bez słowa skinął głową; augur pochylił się i uklęknął.

– Kypris, śmiertelna nieprzyjaciółka mojej matki, mnie samej, moich sióstr i braci, całej naszej rodziny... otóż Kypris powoduje wzburzenie w Vironie. Wygląda na to, że przeciągnęła już na swoją stronę tego głupka... Jak ty się właściwie nazywasz?

– Kowadełko, Scyllo Okrutna. Pa-patere Kowadełko.

– Głupka, którego ten idiota nazywa Jego Eminencją. Bez wątpienia zamierza omotać mojego przewodniczącego Kapituły i moją Ayuntamiento. Wasza czwórka ma jej w tym przeszkodzić. Czwórka, bo zaliczam tę kurwę do waszej grupy. Użyjcie gróźb, siły i mocy mojego imienia; zabijcie, kogo trzeba – nic wam za to nie grozi. Jeżeli Kypris wróci, zróbcie coś, co przyciągnie moją uwagę. Setka dzieci powinna wystarczyć, a w Vironie bachorów nie brakuje.

Acalypha spojrzała groźnie na każdego mężczyznę z osobna.

– Jakies pytania? Chcę usłyszeć od razu. Kto jest przeciw? Oreb zaskrzeczał gardłowo, nie spuszczając z niej czujnego czarnego oka.

– Doskonale. Od tej pory jesteście moimi prorokami. Dopilnujcie, by Viron pozostał mi wierny, a będziecie się cieszyć moją łaską. Nie wiercie słowom Kypris. Mój niewolnik wkrótce się zjawi. Będzie wam służył pomocą. Spotkajcie się z przewodniczącym Kapituły; porozmawiajcie z komisarzami z Juzgado. Opowiedzcie o mnie wszystkim, którzy zechcą was słuchać; powtórzcie im moje słowa. Miałam nadzieję, że zastaniemy przy pomoście należąca do Ayuntamiento łódź. Zwykle tu cumuje, ale dziś jej nie ma, więc w moim imieniu sami spotkajcie się z radcami. Stary człowiek może was tu ponownie przywieźć. Ostrzeżcie ich, że zniszczę łódź i potopię ich wszystkich w jeziorze, jeżeli oddadzą moje miasto Kypris.

– Ale te-teo-teofania... – wyjąkał Kowadełko. – S-Scyllo Ok-Okrutna, mo-może teofania...

– Nie. Nie przekonałaby radców; są zbyt zadufani w sobie. Niemniej objawienia bywają użyteczne... Po zespoleniu jeszcze się nad tym zastanowię.

Podeszła do wilgotnego kamiennego ołtarza i bez wysiłku wskoczyła na górę.

– Kazałam go tu zbudować, żeby wasza Ayuntamiento mogła składać mi prywatne ofiary oraz rozmawiać ze mną, gdy tego zapragnę. A tu ani śladu popiołu! Za to też mi zapłacą. Ty! – Wskazała

Alkę. – Ten augur, Jedwab, chce obalić Ayuntamiento w imię Kypris. Pomóż mu, ale pokaż przy okazji, komu winien jest szacunek; jeśli tego nie zrozumie, zabij go. W tym wypadku pozwalam ci działać jako mojemu caldé. Ten dureń obok ciebie mógłby chyba w takiej sytuacji zostać przewodniczącym Kapituły.

Acalypha odwróciła się do ołtarza i uklękła. Alka również klęknął, pociągając za sobą rybaka (Kowadełko klęczał już od dłuższej chwili). Odchrząknął i zaczął odmawiać modlitwę, którą niezdarnie zaintonował na Drodze Pielgrzymów, gdy Scylla objawiła mu swą boską naturę:

– Spójrz na nas, Scyllo Rozkoszna, kobieto z wody...

Kowadełko i rybak mu zawtórowali:

– ...Kochamy cię i potrzebujemy ciebie. Oczyść nas, o Scyllo!

Gdy zabrzmiało imię bogini, Acalypha rozrzuciła szeroko ramiona i wydała zduszony krzyk. Tańczące kolory, zwane świętymi odcieniami, wypełniły święte okno – orzechowy, brunatny, akwamaryna, pomarańczowy, szkarłatny i żółty, lazurowy i intrygujący odcień różowego, zmieszany z burym. Przez chwilę Alce zdawało się, że ujrzał w oknie uśmiechniętą pogardliwie dziewczynkę, którą jeszcze rok czy dwa dzielą od pełni kobiecości.

Acalypha zadrżała na całym ciele i zwiotczała nagle. Opadła na ołtarz, stoczyła się z niego na oślizły kamienny pomost. Oreb podfrunął do niej.

– Bóg odejść?

Twarz dziewczynki w oknie – jeśli rzeczywiście była to twarz – wtopiła się w ścianę zielonkawej wody, która nadciągnęła niczym fala przyboju. Święte odcienie wróciły, najpierw jako odbłaski słońca na grzbiecie fali, by zaraz wypełnić całe okno na kształt barwnego wiru, a potem zblaknąć i przejść w szarą poświatę.

– Chyba tak – mruknął Alka. Wstał i ze zdumieniem odkrył, że wciąż ściska w dłoni igłowiec. Wcisnął go pod tunikę i spytał z wahaniem: – Nic ci nie jest, szczebiotko?

Acalypha jęknęła. Pomógł jej usiąść.

– Uderzyłaś głową o kamień, szczebiotko, ale wydobrejesz. Hej, patere! Przynieś wody.

– Rzygnie? – zakrakał Oreb.

Alka zamachnął się na kruka, który zwinnie odskoczył w bok.

– Ogierku? – odezwała się Acalypha.

– Tak, szczebiotko. Jestem przy tobie. – Przytulił ją delikatnie, czując na swym ciele gorączkowe ciepło jej poparzonej słońcem skóry.

– Wróciłeś, ogierku. Tak się cieszę.

Stary rybak kaszlnął, starając się nie patrzeć na odsłonięte piersi Acalyphy.

– Może ja z nim byśmy na razie posiedzieli na łodzi? – zasugerował, wskazując augura.

– Zaraz wszyscy do niej wsiądziemy – odparł Alka i podniósł Acalypnę.

– Zamierzasz się sprzeciwić bogini? – spytał Kowadełko, niosąc zdezelowany cynowy kubek z wodą.

– Kazała nam udać się do Juzgado – stwierdził Alka, starając się wykręcić od odpowiedzi. – Musimy wrócić do Limny i stamtąd pojechać bitfurgonem do miasta.

– Mówiła, że przyśle nam kogoś. Niewolnika, który nas tam zabierze. – Kowadełko pociągnął łyk wody z kubka. – Powiedziała też, że mam zostać przewodniczącym Kapituły.

Rybak zmarszczył brwi.

– Ten gość, co to go miała przysłać... Musi mieć swoją łódź. Musi, bo inaczej by tu nie przyплыł. Co się stanie z moją łajbą, jak z nim popłyniemy? Przecież mówiła, że mam was zawieźć na spotkanie z radcami, prawda? A jak to zrobić bez łodzi?

Oreb zamachał skrzydłami i wskoczył Alce na ramię.

– Znajdzie Jedwabia?

– Zgadłeś. – Z Acalypną w ramionach Alka przeszedł przez pomost i spojrzał na pas wody dzielący go od łódki. Co innego samemu skoczyć z burty na brzeg, a zupełnie co innego skoczyć do łodzi z wysoką kobietą na rękach. – Weź tę linę – warknął pod adresem Kowadełka. – Przyciągnij bliżej; za dużo zostawiłeś luzu.

Kowadełko wyduł wargi.

– W żadnym wypadku nie możemy sprzeciwić się poleceniu bogini.

– Możesz tu zostać i czekać na jej posłańca. Powiedz mu, że spotkamy się w Limnie, a na razie ja ze szczebiotką wsiadamy do łodzi Jelca.

Rybak gwałtownie pokiwał głową.

– Jeżeli naprawdę chcesz się jej sprzeniewierzyć, mój synu, nie będę cię powstrzymywał. Jednakowoż...

Z ciemności zalegającej za najdalszym zbiornikiem dobiegł głośny łoskot, a potem zgrzyt metalu o kamień wypełnił jaskinię, odbijając się echem od ścian.

– Zabiorę ją! – zadudnił nowy głos, głębszy i donośniejszy niż głos człowieka. – Dajcie ją mnie!

Z ciemności wynurzył się największy talus, jakiego Alka w życiu widział. Zielonkawa, wykuta w brązie twarz zastygła w grymasie nienawiści, oczy pałały oślepiającym żółtym blaskiem, a z ust sterczały oleście czarne lufy miotacza płomieni i dwóch pistoletów pulsacyjnych. Za jego plecami mrok jaskini rozświetliła ohydna, zielonkawa poświata.

– Zabiorę ją! – powtórzył talus. – I was wszystkich! Dajcie ją mnie! – Tocząc się w stronę pomostu, wyciągnął teleskopowe ramię. Stalowa dłoń wielkości ołtarza, z którego spadła Acalypha, zacisnęła się na dziewczynie i wyjęła ją z objęć Alki; dziecko mogłoby w podobny sposób wyszarpnąć małą, niekochaną lalkę z ramion drugiej lalki. – Wejdźcie mi na plecy! Tak nakazuje Scylla!

Z boku szerokiego korpusu talusa wyrastało kilka szeroko rozstawionych stalowych szczebli. Alka wspiał się po nich, poprzedzany przez trzepoczącego skrzydłami kruka. Kiedy zasiadł na grzbiecie talusa, olbrzymia łapa złożyła przed nim Acalypnę.

– Trzymajcie się!

Dwa rzędy podobnych, giętych ze stali szczebli biegły też wzdłuż grzbietu talusa. Alka złapał się jednego z nich lewą ręką, prawą chwycił mocno Acalypnę. Powieki dziewczyny zatrzepotały.

– Ogierku?

– Jestem, jestem.

Znad grzbietu talusa wyłoniła się głowa Kowadełka. Jego twarz wyglądała w rozwodnionym świetle nienaturalnie blado.

– Na... na Hieraxa! – wykrztusił.

Alka zachichotał.

– Ty... pomóż mi.

– Sam sobie pomóż, patere. To ty chciałeś na niego czekać. I oto przybył.

Zanim Alka skończył mówić, Kowadełko z zadziwiającą szybkością wskoczył talusowi na plecy, najwyraźniej pchnięty muskularnym ramieniem rybaka, który za chwilę też z wysiłkiem wygramolił się na górę.

– Cienki byłby z ciebie włamywacz – oznajmił Alka.

– Ogierku, gdzie my jesteśmy?

– W jaskini na zachodnim brzegu jeziora.

Talus okrcił się w miejscu – jedna gąsienica ruszyła wolno, druga ani drgnęła. Alka poczuł dobiegające z wnętrza stalowego korpusu dudnienie maszynierii.

Obłoczki czarnego dymu poczęły wydobywać się ze szczeliny pomiędzy pionowo ustawioną klatką piersiową i poziomym, wydłużonym grzbietem, na którym siedzieli. Talus zachwiał się, szarpnął i przechylił do tyłu, a potem pośliznął się na śliskim kamieniu i jedna gąsienica zjechała z nabrzeża. Trysnęła fontanna lodowatej wody. Kowadełko uczeplił się kurczowo tuniki Alki, gdy talus jednym bokiem zanurzył się pod wodę. Przez ułamek sekundy złodziej widział, jak łódź rybaka zostaje wyniesiona falą prawie pod sufit jaskini.

Wzburzona woda opadła na nich ciężką, zimną i duszącą chmurą, zaraz spłynęła. Kiedy Alka otworzył ponownie oczy, blada jak ściana Acalypha siedziała o własnych siłach i wrzeszczała wniebogłosy.

Coś czarno-czerwonego opadło Alce na ramię.

– Łódź zepsuta! Tonie!

Kiedy talus wdrapał się ponownie na brzeg, Alka przekonał się, że łódź Jelca jednak nie zatoneła: przewrócona na jedną burtę kołysała się na wzburzonej wodzie, obok unosił się odłamany maszt.

Talus obrócił ogromną niczym głaz głowę, by obejrzeć pasażerów. Zdawało się, że sobie przy tym skręci kark.

– Pięć jedzie! Mały może odejść! – oznajmił.

Alka przeniósł wzrok najpierw na augura, potem na rybaka, a na końcu na rozhisteryzowaną Acalypnę, zanim zdał sobie sprawę, o kim mowa.

– Możesz brać kuper w troki, ptaku. Powiedział, że nie zrobi ci krzywdy.

– Ptak zostanie – burknął Oreb. – Znajdzie Jedwabia.

Głowa wykonała pełny obrót i talus skoczył do przodu. Pasażerów zalała żółta poświata, odbita od zakrzywionej ściany ostatniego białego zbiornika. Święte okno za ich plecami było puste i wyglądało jak martwe. Żółtawozielone światła zapłonęły tuż nad opancerzonym łbem talusa. Wzburzone wody kanału ustąpiły miejsca szorstkim kamiennym ścianom, gdy jaskinia przeszła w wykuty w skale korytarz.

Alka objął Acalypnę w talii.

– Masz ochotę na odrobinę towarzystwa, szczebiotko?

Acalypha płakała dalej, choć pęd powietrza tłumił jej szloch.

Puścił ją, wyjął igłowiec i zdjął boczną osłonę. Strużka mulistej wody pociekła mu po palcach.

Przedmuchał mechanizm.

– Nic mu nie będzie – powiedział do Oreba. – Musi tylko podeschnąć. Warto by za to kapnąć trochę oleju na igły.

– Dziewczę dobre – odrzekł nerwowo ptak. – Nie strzela.

– Złe dziewczę – wyjaśnił Alka. – I zły mężczyzna. Nie strzela, ale i nie odchodzi.

– Ptak zły!

– Lilijko moja. – Złodziej delikatnie pocałował spalone słońcem plecy Acalyphy. – Połóż się, jeśli chcesz. Oprzyj mi głowę na kolanach. Może uda ci się zdrzemnąć.

Ledwie skończył mówić, zrozumiał, że spóźnił się ze swoją propozycją. Talus zjeżdżał w dół; tunel schodził głębiej pod ziemię. Po bokach migwały wyloty innych korytarzy, ciemniejsze nawet niż ściany z rakplastu. Krople wody, uczone sufitu, lśniły jak brylanty, gasnąc w chwili, gdy je mijali.

Talus zwolnił. Coś wyrznęło go w masywny łeb, który rozbrzmiał echem niczym gong. Zaterkotały pistolety pulsacyjne. Z paszczy talusa trysnął język błękitnego ognia.

Jedwab wrócił!

Naprawdę lepiej byłoby, gdybyś ty to zrobiła, sybillo – mruknęła maytere Marmur do maytere Mięty. Mięta otworzyła usta, ale zaraz znów zacisnęła zęby. Tak jak tysiące razy przedtem, napomniała samą siebie, że musi słuchać. Posłuszeństwo to coś więcej niż nakrywanie do stołu czy podawanie ciasteczek.

– Jak sobie życzysz, maytere. Hierax Wielki wie, że mój głos nie poniesie się daleko, ale chyba nie mam wyjścia. Maytere Marmur westchnęła z zadowoleniem; z głościczka w jej ustach dobiegło sapnięcie tak ciche, że nikt go nie usłyszał.

Zarumieniona maytere Mięta wstała i obrzuciła spojrzeniem wiernych. Przynajmniej połowę z nich stanowili złodzieje. Przeszło jej przez myśl, że nawet wizerunki bogów mogą nie być bezpieczne w ich obecności.

Weszła na ambonę. Wyraźnie słyszała szmer głosów wypełniający manteion i bębnienie deszczu o dach. Pierwszy raz od początku wiosny świeży pachnący deszcz spływał przez boską bramę na poczerńiały ołtarz. Było go jednak mniej niż wiosną.

Molpe, modliła się w duchu maytere Mięta, Molpe Cudowna, użycz mi głosu. Ten jeden, jedyny raz.

– Niektórzy... – zaczęła i nabrała głęboko powietrza w płuca. – Niektórzy z was nie znają mnie...

Niewielu raczyło na nią spojrzeć, a i ci z pewnością nic nie słyszeli. Jakże wstydziłaby się teraz przed szlachetnym kapitanem, który pokazywał jej swój miecz!

Błagam, Kypris! Spigx Zbrojna, wielka bogini wojny...

Czuła, jak nieznane uczucie wzbiera jej w piersi. W głowie mąciło jej się od nigdy nie słyszanych

dźwięków i nie oglądanych widoków: słyszała grzmot kopyt wierzchowców kawalerii, huk olbrzymich dział, przerażający ryk lwów Sphigx, srebrzysty jazgot trąbek i ostry terkot dział pulsacyjnych. Jakaś kobieta, wymachując nad głową zakrwawionym łachmanem, starała się ustawić ludzi w szeregu.

– Formować szyk! – krzyczała. – Szyk! I naprzód! Naprzód, za mną!

Zamaszystym gestem maytere Mięta dobyła nieistniejącego miecza.

– Przyjaciele! – Głos załamał jej się w pół słowa.

Głośniej, dziewczyno! Potrząśnij nimi!

– Przyjaciele, niektórzy z was nie wiedzą zapewne, kim jestem. Nazywam się maytere Mięta i jestem sybillą w tym manteionie. – Powiodła wzrokiem po ludziach. Dostrzegła, że maytere Marmur przyklaskuje jej cicho. Szmer kilkuset głosów ucichł zupełnie. – Pod nieobecność augura prawa Kapituły dopuszczają złożenie ofiary przez sybillę. Niestety, taka właśnie sytuacja zdarzyła się dziś w naszym manteionie. Zdajemy sobie sprawę, że znaczna część z was postanowi wobec tego nas opuścić. Przy ulicy Kapeluszy znajduje się inny manteion, cieszący się z pewnością łaską wszystkich bogów, gdzie w tej chwili augur przygotowuje się do złożenia ofiary. Wystarczy pójść stąd w stronę rynku i skręcić w lewo. To niedaleko.

Zawiesiła wyczekująco głos, wsłuchując się w szum deszczu. Nikt z pięciuset szczęściarzy, zajmujących miejsca siedzące, nie wstał; nikt z kilkuset stojących w przejściach między ławkami nie ruszył ku wyjściu.

– Patere Jedwab nie wrócił ubiegłej nocy na plebanię. Jak zapewne wiecie, gwardziści przybyli, by go aresztować...

Rozeźlony pomruk ze strony słuchaczy przypominał gardłowy warkot gigantycznego zwierza.

– Wydarzyło się to wczoraj, gdy Kypris Łaskawa, której dłużnikami będziemy po wieczne czasy, po raz wtóry zaszczyliła nas swą obecnością. Wszyscy jesteśmy przekonani, że doszło do fatalnej pomyłki, dopóki jednak patere Jedwab nie wróci, możemy tylko się domyślać, iż osadzono go w areszcie. Patere Gulo, dostojny augur, którego Jego Mądrość przewodniczący Kapituły przysłał patere Jedwabiowi do pomocy, dziś rano musiał opuścić plebanię. Bez wątpienia podjął wysiłki mające na celu uwolnienie patere Jedwabia.

Maytere Mięta przerwała na chwilę. Jej palce błędziły nerwowo po zagłębieniach kamiennej powierzchni wiekowej ambony. Zerknęła w dół, na słuchających jej z uwagą wiernych, przykucniętych nawet przed najdalej do przodu wysuniętą ławą. Przeniosła wzrok na mozaikę czujnych twarzy stłoczonych pod chórem.

– Tak oto obowiązek złożenia ofiary spadł na maytere Marmur i na mnie. A mamy dziś dziesiątki ofiar, wśród nich nieskazitelnie białego byka dla Paha Wielkiego. Nawet w głównym manteionie

rzadko trafiają się tak doskonale zwierzęta. – Maytere Mięta znów wsłuchiwała się w deszcz. Spojrzała na ołtarz. – Zanim jednak zaczniemy, mam wam do przekazania jeszcze inną wiadomość. W sposób szczególnie zainteresuje ona tych z was, którzy od lat w każdy scyldag przychodzą tu oddawać cześć bogom. Zasmuci was zapewne, lecz wierzcie mi, w istocie jest to radosna nowina. Nasza ukochana maytere Róża odeszła na spotkanie z bogami, w których służbie przeżyła tyle długich lat. Uznaliśmy za godne i właściwe nie wystawiać jej doczesnych szczątków na widok publiczny. Tam, przed ołtarzem, stoi jej zamknięta trumna. Jesteśmy przekonani, że nieśmiertelni bogowie znali i docenili bezprzykładną pobożność maytere Róży. Słyszałam, że była w naszej dzielnicy najstarszym biochemem. Należała do ostatniego szczęśliwego pokolenia, dla którego wystarczyło protez; dziś tajniki ich konstruowania zaginęły i nawet najwięksi mędrcy nie potrafią ich odtworzyć. Protezy pozwoliły maytere Róży przeżyć dzieci wielu tych, których nauczała, gdy sami byli jeszcze dziećmi, ale nie mogły w nieskończoność przedłużać jej istnienia. Maytere zresztą by tego nie chciała. Wczoraj urzędzenia ostatecznie zawiodły. Nasza ukochana sybilla została uwolniona od cierpień podeszłego wieku i mozołu dnia codziennego, który był jej jedyną pociechą.

Mężczyźni stojący w nawie zaczęli otwierać okna. Deszcz prawie nie wpadał do środka. Maytere Mięta doszła do wniosku, że burza się kończy.

– Codziennie rano składamy dary nieśmiertelnym bogom, jeżeli tylko znajdzie się stosowne zwierzę ofiarne. Dzisiejsza ofiara jest jednak czymś więcej: to ostatnie nabożeństwo naszej drogiej sybilli. Złożymy na ołtarzu nie tylko białego buhaja i inne czekające na zewnątrz zwierzęta, ale także samą maytere Różę. Istnieją dwa rodzaje ofiar: taka, w której składamy dary, i taka, w której dzielimy się wspólnym posiłkiem. Dlatego też mam nadzieję, że okażecie zrozumienie, gdy powiem wam, iż nasza droga sybilla, maytere Marmur, wzięła na własny użytek niektóre z cudownych urządzeń, które podtrzymywały życie ukochanej maytere Róży. Nawet gdybyśmy mieli o niej zapomnieć – a zapewniam was, że tak się nie stanie – dzięki temu maytere Róża będzie żyć wiecznie w naszej pamięci. Wiem, że jej duch kroczy teraz Złotą Ścieżką, lecz wiem także, że jakaś jej częśćka wciąż żyje w mojej sybilli.

Teraz albo nigdy, powiedziała sobie w duchu maytere Mięta.

– Sprawiliście nam wielką radość, przybywając tak licznie, by oddać zasłużony hołd maytere Róży. Przed manteionem czeka wielu ludzi, kobiet i dzieci, którzy również oddaliby jej cześć, gdyby tylko znalazło się dla nich dość miejsca. Szkoda, że nasz manteion okazał się za mały; szkoda ze względu i na maytere Różę, i na samych bogów. Jak jednak niektórzy z was zapewne wiedzą, istnieje wyjście z tej przykrej sytuacji: można na pewien czas wystawić trumnę, ołtarz i święte okno na ulicę.

A wtedy wierni musieliby zrezygnować z cudem zajętych miejsc siedzących. Maytere Mięta spodziewała się oznak buntu, lecz ludzie zachowali spokój. Chciała właśnie powiedzieć „Proponuję zatem...”, ale się powstrzymała; sama musiała podjąć decyzję, dopilnować jej wykonania i wziąć na siebie odpowiedzialność.

– Tak właśnie zrobimy. – Podniosła z pulpitu oprawny w skórę egzemplarz Pisma Chramsmologicznego. – Róg? Rogu, jesteś tutaj?

Róg pomachał jej ręką, a potem wstał.

– Róg był jednym z uczniów maytere Róży – wyjaśniła Mięta. – Znajdź sobie pięciu chłopców do pomocy, Rogu. Wyniesiecie trumnę. Ołtarz i święte okno są chyba bardzo ciężkie. Do przeniesienia ich będą nam potrzebni ochotnicy. Najsilniejsi. Czy znajdzie się dwudziestu, trzydziestu mocarnych mężczyzn? My z sybillą pokierujemy całym przedsięwzięciem.

Oszołomiona przyglądała się, jak tłum zafalował, ruszył naprzód, a w pół minuty potem ołtarz uniósł się na ludzkich ramionach, podrygując jak łódeczka na wzburzonym morzu. Wartki nurt wiernych poniósł go ku wyjściu.

Ze świętym oknem nie poszło już tak łatwo. Nie było może cięższe od ołtarza, ale mocujących je do podłogi trzystuletnich, porzewiałych klamer nie dało się nijak wyjąć i trzeba je było odkuć młotami. Wreszcie jednak udało się ruszyć święte okno z miejsca i wynieść przed manteion. Kable ciągnęły się za nim, od czasu do czasu strzelając fioletowymi iskrami, przypominającymi o ciągłej obecności bóstwa.

– Byłaś wspaniała, sybillo! Wspaniała! – Maytere Marmur, która wyszła z manteionu w ślad za Miętą, położyła jej teraz rękę na ramieniu. – Żeby tak wszystko wynieść i urządzić nabożeństwo uliczne! Jak na to wpadłaś?

– Nie wiem. Po prostu pomyślałam, że mnóstwo ludzi zostało na ulicy, a nas w środku jest tylko garstka. Nie mogłyśmy ich wszystkich przyjąć. Poza tym... – Maytere Mięta uśmiechnęła się przebiegle. – Pomyśl o krwi z ofiar, sybillo. Całe dni sprzątałybyśmy potem manteion.

Zwierząt było stanowczo za dużo, żeby pomieściły się w maleńkim ogródku maytere Marmur. Ofiarodawcom powiedziano wyraźnie, że mają trzymać je przy sobie do czasu, aż nadejdzie pora, by złożyć je na ołtarzu, przez co ulica Słońca upodobniła się do kwartału rynku, na którym handlowano żywymi zwierzętami. Maytere Mięcie przyszło do głowy, że wiernych zjawiliby się zapewne jeszcze więcej, gdyby nie wypłoszył ich deszcz. Wzdrygnęła się. Przemoczeni ludzie i ofiary wyglądali na rozradowanych. Schli szybko w promieniach słońca.

– Musisz znaleźć sobie jakieś podwyższenie – upредиła maytere Marmur. – Inaczej nikt cię nie usłyszy.

– Zostanę na schodach – postanowiła maytere Mięta i zwróciła się do tłumu: – Przyjaciele... – Na otwartym powietrzu jej głos brzmiał jeszcze słabiej niż zwykle. Spróbowała wyobrazić sobie siebie w roli trębacza, albo, jeszcze lepiej, w roli samej trąbki. – Przyjaciele! Nie będę powtarzać tego, co powiedziałam w manteionie. Zebraliśmy się na ostatniej ofierze maytere Róży. Wiem, że ona widzi, coście dla niej uczynili. Jej dusza się raduje. Teraz moja sybilla z pomocnicami wzniosą na ołtarzu święty stos. Dziś musi on być naprawdę ogromny...

Zdumiała się, gdy przerwały jej okrzyki radości.

– Musi być ogromny, tym bardziej że część drewna zamokła. Dziś całe niebo stanie się dla nas

boską bramą, przez którą spłynie ogień słońca Paha.

Podobne do kolorowych mrówek małe dziewczynki zaczęły przeciskać się wśród tłumu. Znosiły na ołtarz szczapy cedrowego drewna, a maytere Marmur łamała je na drobniejsze kawałki.

– Patere Jedwab ma w zwyczaju przed złożeniem ofiary odczytywać fragment Pisma. Zróbmy tak samo. – Maytere Mięta wzięła księgę do ręki i otworzyła ją na przypadkowej stronie. – „Czymkolwiek jesteśmy, składamy się z ciała, tchnienia i siły głównej. Pogardzajmy ciałem, jakbyśmy stali się umarłymi – to tylko krew, kości, siatka nerwów i żył. Baczmy też, czym jest tchnienie – powietrzem, które bezustannie się zmienia, gdy wciągamy je do płuc i wydychamy. Niezmienna pozostaje tylko siła główna. Nie pozwólmy, by była zniewolona. Nie skarżmy się na los i nie cofajmy przed przyszłością”. – Maytere Mięta skończyła czytać. – Patere Jedwab często powtarza nam, że każdy ustęp Pisma ma co najmniej podwójny sens.

Wypowiedziała te słowa, zanim zdała sobie sprawę, że w przeczytanym fragmencie dostrzegła tylko jedno znaczenie. W myślach gorączkowo poszukiwała drugiego dna cytatu.

– Pierwsze z nich wydaje mi się tak oczywiste, że nieswojo się czuję, objaśniając je wam. Mam jednak obowiązek tak uczynić, mimo iż z pewnością sami je dostrzegacie. Pewna część... Dwie części nawet, według autora Pisma, dwie części naszej drogiej maytere Róży odeszły. Nie wolno nam zapominać, iż utraciliśmy zaledwie dwa najbardziej podstawowe, przyziemne składniki jej natury, których ani my, ani sama sybilla nie mieliśmy powodu nadmiernie cenić. Jej najlepsza część, ukochana przez bogów i przez nas, którzyśmy znali maytere Różę, nigdy nie przestanie istnieć. Oto zalecenie dla tych, których odejście maytere Róży pograżyło w żałobie, zwłaszcza dla mnie i mojej sybilli.

Pomocy! Hieraksie, Kypris, Sphigx, pomóżcie mi!

Niedawno dotykała miecza żandarma, który przyszedł aresztować Jedwabia. Czowała, że z rozkoszą sięgnęłaby po niego teraz. Obrzuciła spojrzeniem tłum, czując, jak w piersi znowu wzbiera jej nowe, potężne uczucie.

– Widzę człowieka z mieczem. – Nie widziała żadnego, ale wiedziała, że są ich dziesiątki. – Szlachetnego człowieka. Wystąp, panie. Czy użyczysz mi swego oręża? Potrzebuję go tylko na krótką chwilę.

Pewny siebie gbur, który uznał widocznie, że Mięta zwraca się do niego, zaczął się przepychać przez tłum. Podał jej krótki, obosieczny miecz z muszelkową gardą i rękojeścią z rogu jelenia.

– Dziękuję. – Maytere wzniosła broń wysoko. Słońce zaśniło na ostrzu. – Dziś mamy hieraxdag, dobry dzień na ceremonie pożegnalne. Bogowie chyba okazali maytere Róży swój szacunek, zamykając jej oczy w tardag, żeby ostatnia ofiara została złożona w hieraxdag. A co z nami? Czy Pismo nie wspomina i o nas samych? Przecież dla nas też, tak jak dla maytere Róży, nastał dziś dzień ofiar ostatecznych. Pismo mówi zatem również o nas. Widzicie tę broń? – spytała.

Przemawiała przez nią ta część jej istoty, z której istnienia dotąd nie zdawała sobie sprawy. Mała maytere Mięta przez lata uważała się za jedyną maytere Miętę, a teraz słuchała swoich słów z identycznym zdumieniem, co otaczający ją tłum wiernych. I tak jak oni nie miała pojęcia, co powie za chwilę.

– Wielu z was ma miecze. Macie też noże, igłowce i małe ołowiane pałki, których nie widać, a którymi można silnie uderzyć. Jeden Hierax wie, jaką jeszcze broń ukrywacie. Ale czy jesteście gotowi zapłacić wysoką cenę?

Podniosła miecz nad głowę. Wśród zwierząt ofiarnych znajdował się biały rumak, który – nie wiadomo, czy pod wpływem błysku stali, czy głosu maytere – nagle stanął dęba i zaczął wymachiwać przednimi nogami. Szarpnął się przy tym tak mocno, że uniósł swego właściciela w powietrze.

– Ceną bowiem jest śmierć. Nie spokojny zgon za trzydzieści czy czterdzieści lat, lecz tu i teraz! Dzisiaj! Pismo mówi: „Nie ukorzę się przed wami! Nie jestem niewolnikiem! Nie jestem wołem, który da się pokornie zawieść do rzeźnika! Krzywdząc mnie, sprzeciwiacie się bogom. Czeka was śmierć, bo ja nie boję się ani śmierci, ani was!”.

Tłum zagrzemiał wielkim głosem, od którego zatrzęśły się domy przy ulicy Słońca.

– To właśnie mówi nam Pismo, przyjaciele, tu, w tym manteionie. Oto drugie znaczenie cytatu. – Maytere Mięta oddała miecz właścicielowi. – Dziękuję ci, panie. Piękna broń.

Mężczyzna się uklonił.

– Należy do ciebie, maytere, kiedykolwiek będziesz jej potrzebować – odparł. – Wraz z mocną ręką, która ją dzierży.

Stojąca przy ołtarzu maytere Marmur trzymała w dłoniach płytką misę z polerowanego mosiądzu, która odbijała i skupiała promienie słoneczne. Spomiędzy cedrowych drzazg wzbiła się pod niebo smuzka dymu, a zaraz potem maytere Mięta dostrzegła pierwszy, słabiutki płomyk.

Podwinąwszy długie szaty zbiegła ze schodów i stanęła przed świętym oknem. Uniosła ramiona.

– Przyjmijcie, o bogowie, ofiarę naszej świętej sybilli. Choć serca nasze są rozdarte, my wszyscy, jej siostry, bracia i przyjaciele, godzimy się z waszą wolą. Przemówcie do nas, błagamy, o czasach, które nadejdą. O czasach zarówno jej, jak i naszych. Co mamy czynić? Wasze najbliższe słowo stanie się dla nas bezcennym skarbem.

Nagle zorientowała się, że ma pustkę w głowie i dopiero po dramatycznej walce przypomniała sobie sens – choć nie uświęcone tradycją słowa – dalszej części inwokacji:

– Jeżeli nie zechcecie do nas przemówić, pogodzimy się z waszą wolą.

Mięta opuściła ramiona.

Ze swego miejsca przy ołtarzu maytere Marmur dała znak pierwszemu ofiarodawcy.

– Tego oto pięknego białego kozła ofiaruję... – Pamięć znów zawiodła Miętę.

– Kypris – podszeptała jej maytere Marmur.

Oczywiście, że Kypris. Pierwsze trzy ofiary były przeznaczone dla Kypris, której teofania w scyldag zelektryzowała miasto. Ale jak się nazywa ofiarodawca?

Mięta spojrzała na starszą sybillę i ze zdumieniem ujrzała, jak ta daje znak komuś w tłumie.

– Kypris Nieodpartej, bogini miłości, w imieniu jej oddanego sługi...

– Bolenia – podsunął ofiarodawca.

– W imieniu jej oddanego sługi, Bolenia. – Nadszedł wreszcie moment, którego tak bardzo się obawiała. – Proszę, maytere, czy mogłabyś...

Nóż ofiarny spoczywał jednak w jej dłoni, maytere Marmur wzniosła zaś prastary lament i zaczęła tańczyć. Jej metalowe dłonie uderzały rytmicznie o gruby habit z krepy.

Kozły powinny być z natury uparte; ofiarowany przez Bolenia miał długie, kręcone, groźnie wyglądające rogi, ale stał spokojnie jak owca, obserwując Miętę spod sennie przymkniętych powiek. Nie ulegało wątpliwości, że wychował się jako zwierzę domowe, do towarzystwa.

Maytere Marmur uklękła przy nim i podstawiła mu pod gardło gliniany kielich – najlepszy, na jaki manteion mógł sobie pozwolić.

Zamknę oczy, obiecała sobie Mięta. Nie zrobiła tego jednak. Ostrze łatwo przecięło szyję kozła, jakby to był pęczek słomy. Przez jedną przerażającą chwilę kozioł patrzył Mięcie w oczy – zdradzony przez ludzi, którym ufał przez całe życie. Szarpnął się, zbryzgał obie sybille krwią, zatoczył się i przewrócił na bok.

– Pięknie – wyszeptała maytere Marmur. – Sam patere Płetwa nie zrobiłby tego lepiej.

– Chyba zwymiotuję – odparła maytere Mięta także szeptem. Starsza sybilla wstała i chlapnęła krwią z kielicha w buzujący na ołtarzu ogień. Mięta sama wielokrotnie to robiła.

Najpierw głowa i niegroźne już rogi. Znajdź spojenie kręgosłupa z czaszką, upomniała się w duchu; nóż był wprawdzie ostry, ale kości by nie przeciął.

Teraz kopytka, wesoło pomalowane złotą farbą. Szybciej, szybciej! W tym tempie składanie ofiar potrwa do wieczora! Żałowała teraz, że tak rzadko pracowała w kuchni, chociaż i tak nieczęsto zdarzało się, żeby mieli w manteionie jakieś mięso do podzielenia.

– Musisz zarznąć następnego, sybillo – syknęła. – Naprawdę. Nie zrobię tego więcej.

– Nie możemy się teraz zamienić!

Wrzuciła do ognia ostatnie kopytko. Nogi kozła zmieniły się w krwawiące kikuty. Nie wypuszczając noża z ręki, zwróciła się ku świętemu oknu.

– Przyjmij, o Kypris Łaskawa, ofiarę z tego pięknego kozła. I przemów do nas, błagamy, o czasach, które mają nadejść. Co mamy czynić? Twoje najbliższe słowo stanie się bezcennym skarbem.

W myślach odmówiła modlitwę do Kypris, bogini, która od ubiegłego scyldagu stała się jej bliską niczym własne, wspanialsze „ja”.

– Jeśli jednak zdecydujesz inaczej... – Opuściła ramiona. – Pogodzimy się z twoją wolą. Przemów do nas, błagamy, poprzez tę ofiarę.

Ofiary złożone w scyldag na pogrzebie Orlicy okazały się co najmniej złowrogie. Maytere Mięta modliła się w duchu, żeby dzisiejsza wróżba była bardziej sprzyjająca. Rozcięła brzuch kozła.

– Kypris błogosławi... – Głośniej! Ludzie musieli dobrze nadstawić uszu, żeby ją usłyszeć. – Kypris błogosławi ducha naszej zmarłej sybilli. – Wstała i rozłożyła ramiona. – Zapewnia nas, że wszystkie grzechy zostały maytere Róży wybaczone.

Łeb kozła pękł z trzaskiem w płomieniach, ze stosu posypały się rozżarzone kawałki drewna. Taki omen zapowiadał przemoc. Mięta ponownie schyliła się nad martwym zwierzęciem, starając się przywołać okruchy swej wiedzy wróżebnej – przypadkowe uwagi patere Płetwy i Jedwabia oraz nudnawe wykłady siedzącej przy stole maytere Róży, która po części próbowała ją czegoś uczyć, po części zaś starała się obrzydzić jej wróżenie z trzewi ofiar.

Prawa połowa tułowia odnosiła się do właściciela zwierzęcia oraz augura, który składał ofiarę, a więc do dawcy i wykonawcy rytuału, lewa zaś do zgromadzonych wiernych i całego miasta. Czerwona wątroba zapowiadała krwawe czyny. Pośród prowadzących do niej żył widniał nóż, symbol augura, kwadrat – z pewnością chodziło o łodyżkę mięty, kwadratową w przekroju – oraz rękojeść miecza. Czyżby miała zginać od miecza? Nie, ostrze było skierowane w drugą stronę. Miała więc dzierżyć miecz... Ale przecież już to zrobiła, prawda?

Wśród wnętrzości dostrzegła dalej małą, tłustą rybkę (zapewne bolenia) i pęk okrągłych przedmiotów – pierścieni albo naszyjników. Ofiarodawca ucieszyłby się zapewne z takiej interpretacji. Okrągłe obiekty znajdowały się bardzo blisko ryby – jeden wręcz jej dotykał, a zatem czas był bliski. Maytere weszła dwa stopnie wyżej.

– Dla ofiarodawcy: bogini darzy cię swą łaską. Jest zadowolona z ofiary. – Kozioł w rzeczy samej był piękny, a Kypris raczej nie przepowiadałaby bogactwa, gdyby ofiara okazała się niezadowolająca. – Wkrótce zyskasz majątek w złocie i klejnotach.

Uśmiechnięty od ucha do ucha Boleń cofnął się w tłum.

– Dla nas i naszego miasta: widzę gwałt i śmierć, z których wszakże wyniknie dobro. – Mięta zerknęła pod nogi, chcąc się upewnić, że faktycznie dostrzega w zakrwawionych trzewiach znak dodawania. Zniknął jednak, jakby nigdy go tam nie było. – Nic więcej nie mogę z tej ofiary wyczytać, aczkolwiek uczony augur, taki jak patere Jedwab, z pewnością dostrzegłby w niej coś jeszcze.

Popatrzyła po ludziach przy ołtarzu, szukając Bolenia.

– Ofiarodawca ma pierwszeństwo. Jeżeli chce uczestniczyć w podziale, niech wystąpi naprzód.

Biedni już zaczęli się tłoczyć przy ołtarzu.

– Spal płuca i wnętrzności, sybillo! – szepnęła maytere Marmur.

Zwykle należało podzielić mięso na drobne kawałeczki, gdy przybyło dużo wiernych – a pod manteionem zebrało się przynajmniej dwa tysiące ludzi – maytere Mięta nie była jednak pewna własnych umiejętności, poza tym pamiętała, że zwierząt ofiarnych jest tego dnia wyjątkowo dużo. Rozdawała więc całe udźce i ćwierci mięsa, a ubodzy obdarzali ją w podzięcie promiennymi uśmiechami.

Przyszła pora na parę białych gołębi. Czy gołębie też się kroi, czy spala w jednym kawałku? Nadawały się wprawdzie do zjedzenia, ale Mięta pamiętała, że na pogrzebie Orlicy Jedwab wrzucił w ogień całego koguta. Z ptaków można było wyczytać przyszłość, chociaż augurowie rzadko to robili. Czy ofiarodawca poczuje się urażony, jeżeli Mięta tego nie uczyni?

– Z jednego wyczytam przyszłość i go spalę – oznajmiła stanowczo. – Drugim podzielimy się z boginią. Zostań tu, jeżeli chcesz mieć w tym swój udział.

Mężczyzna pokręcił głową.

Gołębie trzepotały rozpaczliwie skrzydłami, gdy Mięta podrzynała im gardła. Odetchnęła głęboko.

– Przyjmij, o Kypris Łaskawa, ofiarę z tych pięknych gołębi. I przemów do nas, błagamy, o czasach, które mają nadejść. Co mamy czynić? Twoje najbłahsze słowo stanie się bezcennym skarbem. – Czy naprawdę zabiła gołębie? Zaryzykowała dyskretny rzut oka na martwe ptaki. – Jeśli jednak zdecydujesz inaczej...

Opuściła ramiona, zdając sobie sprawę, że jej habit coraz bardziej nasiąka krwią.

– Pogodzimy się z twoją wolą. Przemów do nas, błagamy, poprzez tę ofiarę.

Obdarłszy pióra, skórę i mięso z łopatki pierwszego ptaka, przyglądała się uważnie zdobiącym ją cieniutkim liniom. Ptak z rozłożonymi skrzydłami – ofiarodawca miał pewnie na imię Łabędź albo jakoś podobnie, zdążyła już zapomnieć. Widelec na talerzu. Czy bogini zechciałaby powiedzieć wiernemu, że będzie dziś jadł obiad? Wykluczone! Z kości wysączyła się kropelka krwi.

– Pełny talerz zdobyty przemocą – oznajmiła maytere Mięta. – Jeśli jednak bogini i mnie chce coś powiedzieć, jestem zbyt niedoświadczona, by odczytać jej przesłanie.

– Wśród następnych ofiarodawców jest Krew, mój syn – wyszeptała maytere Marmur.

Kim był Krew? Mięta wiedziała, że powinna kojarzyć to imię.

– Talerz ten wiąże się z osobą jednego z następnych ofiarodawców – powiedziała właścicielowi gołębi. – Mam nadzieję, że bogini nie twierdzi, iż mu go odbierzesz.

– On kupił nasz manteion, sybillo – wysyczała maytere Marmur.

Mięta bez zrozumienia pokiwała głową. Było jej gorąco, niedobrze i słabo; żar lał się z nieba, żar buchał ze stosu ofiarnego, od krwawych oparów kręciło się jej w głowie. Schyliła się nad gołębiem.

Pierścienie połączone w łańcuszek, przerwany w kilku miejscach.

– Wielu z tych, którzy w naszym mieście są zniewoleni, zostanie wyzwolonych – ogłosiła i cisnęła ptaka w święty ogień. Wystraszyła tym dziewczynkę, która niosła właśnie naręcze drewna. Jakaś starowina nie posiadała się z radości, otrzymawszy w darze drugiego ptaka.

Następnym ofiarodawcą był otyły mężczyzna pod sześćdziesiątkę. Wraz z nim przybył drugi, młodszy, sięgający mu ledwie do ramienia, który niósł klatkę z dwoma białymi królikami.

– Dla maytere Róży – rzekł starszy. – Kypris jest od miłości, prawda?

Mówiąc, otarł chusteczką pot z twarzy. Otoczyła go chmura ciężkiej woni perfum.

– Zgadza się, Kypris jest boginią miłości.

Młodszy uśmiechnął się półgębkiem i podał klatkę maytere Mięcie.

– Róże też oznaczają miłość – ciągnął starszy. – Króliki powinny się nadawać.

Maytere Mięta pociągnęła nosem.

– Uwięziona ofiara nie zostanie przyjęta. Otwórz klatkę i podaj mi jednego królika.

Starszy mężczyzna wzdrygnął się nerwowo.

Maytere Marmur podniosła zwierzątko i odchyliła mu łebek, odsłaniając gardło. Chyba istniały jakieś szczególne zwyczaje postępowania z królikami, lecz Mięta nie mogła sobie ich przypomnieć.

– Potraktujemy je tak samo jak gołębie – stwierdziła zdecydowanym tonem.

Ofiarodawca skinął głową.

Robią, co im każę, zdała sobie sprawę Mięta. Zgadzą się ze wszystkim, co powiem!

Odcięła królikowi głowę i rzuciła w płomień, rozpruła nożem brzuch. Wnętrza zdawały się topić w palących promieniach słońca, przeobrażały się we wzbierający tłum ludzi z bronią palną, mieczami i prymitywnymi włóczniami. Gdzieś w oddali ledwie słyszalnie zaterkotał pistolet pulsacyjny.

Mięta weszła na schody, nie mogąc znaleźć słów.

– Wiadomość jest nadzwyczaj wyraźna. Oczywista. Niezwykła.

Odpowiedział jej pomruk tłumu.

– Poznajemy... Zwykle poznajemy osobne przesłania dla ofiarodawcy i augura, dla wiernych i całego miasta, choć te dwa ostatnie często się splatają. W tej ofierze łączą się przekazy dla nas wszystkich.

– Czy to znaczy, że zostanę nagrodzony przez Ayuntamiento?! – wykrzyknął ofiarodawca.

– Śmierć. – Mięta spojrzała na jego poczerwieniałą twarz. Nie czuła ani cienia litości, co niepomnie ją zdumiało. – Wkrótce umrzesz. Wróżba może też dotyczyć tego, który przyniósł zwierzęta, twojego syna. – Podniosła głos, wsłuchując się w kanonadę broni pulsacyjnej. Zdziwiła się, że nikt poza nią nie zwraca uwagi na wystrzały. – Ofiarodawca, który przyniósł te dwa króliki, przypomniał mi, że róża, od której wzięła imię nasza zmarła sybilla, oznacza w języku kwiatów miłość. Rzeczywiście. Kypris Nadobna, która takimi łaskami obdarza nasz manteion, jest autorką mowy kwiatów służącej zakochanym. Moim kwiatem jest mięta; oznacza cnotę. Zawsze wyobrażałam sobie, iż imię zobowiązuje mnie do wcielania w życie ideałów właściwych dla świętej sybilli: miłości, pokory i... całej reszty. „Cnota” jednak jest starym słowem, które, jak mówi nam Pismo Chramologiczne, dawniej oznaczało siłę i odwagę, okazywane w słusznej sprawie.

Ludzie milczeli w nabożnym skupieniu. Mięta nasłuchiwała strzałów, ale ucichły i nie była wcale pewna, czy w ogóle wcześniej rozbrzmiewały.

– Niewiele jest we mnie siły i odwagi, ale kiedy dojdzie do walki, zrobię wszystko co w mojej mocy. – Rozejrzała się w poszukiwaniu ofiarodawcy, chcąc powiedzieć mu coś o okazywaniu odwagi w obliczu śmierci, lecz obaj z synem wtopili się w tłum, porzuciwszy pustką klatkę.

– Dla nas wszystkich... zwycięstwo! – Cóż to za przeczysty głos rozbrzmiewa ponad tłumem? – Musimy walczyć w imię bogini! Z jej pomocą zwyciężymy!

Ile jest jeszcze ofiar? Sześćdziesiąt? Może więcej? Mięta poczuła, że nie ma już dość siły, by zabić choć jedno zwierzę.

– Za długo zajmuję się składaniem ofiar. Jestem tylko pomocnicą mojej drogiej sybilli i dzięki jej łaskawości przez chwilę przewodziłam obrzędom.

Podawała maytere Marmur nóż ofiarny i wyjęła jej z rąk drugiego królika, zanim sybilla zdążyła zaprotestować.

Po króliku przyszła pora na czarne jagnię dla Hieraxa. Maytere Mięta poczuła nieopisaną ulgę, widząc, jak starsza sybilla odbiera zwierzę z rąk ofiarodawcy i składa je na ołtarzu, a święte okno odpowiada zwykłą szarością; z rozkoszą wzniosła lament i tańczyła, tak jak wiele razy przedtem, asystując patere Płetwie i Jedwabowi; zebrała krew jagnięcia do kielicha, wylała ją na ołtarz, a potem patrzyła, jak maytere Marmur wrzuca w ogień łeb zwierzęcia. Wiedziała, że oczy wszystkich zwrócone są teraz na Marmur i nikt nie patrzy na nią, Mięte.

Jedno po drugim delikatne kopytka jagnięcia zostały oddane bogom. Szybkie cięcie rozorało mu brzuch i Mięta usłyszała szept maytere Marmur:

– Podejdź tu, sybillo.

Mięta drgnęła i z wahaniem zrobiła krok do przodu. Maytere Marmur, widząc jej zmieszanie, skinęła jednym z nowych palców.

– Proszę – dodała.

Razem pochyliły się nad martwym zwierzęciem.

– Musisz za mnie odczytać wróżbę, sybillo – wyszeptała maytere Marmur.

Mięta bez słowa podniosła wzrok na jej metalowe oblicze.

– Mówię poważnie. Znam się trochę na wątrobie. Wiem, co oznaczają guzy, ale nie potrafię dostrzec obrazów. Nigdy nie potrafiłam.

Maytere Mięta zamknęła oczy i pokręciła przecząco głową.

– Musisz to zrobić!

– Boję się, maytere.

Znów zagrał pistolet pulsacyjny, tym razem bliżej. Zawtórował mu głuchy grzmot broni kulowej.

Mięta się wyprostowała. Tym razem nie miała wątpliwości, że ludzie na obrzeżach tłumu usłyszeli kanonadę.

– Przyjaciele! – krzyknęła donośnie. – Nie wiem, co to za walka. Wydaje mi się jednak...

Pulchny młodzieniec w czerni przepychał się przez tłum. Paru potraconych przez niego ludzi niemal upadło na bruk. Na jego widok Mięta poczuła ulgę: oto znalazł się ktoś, kto zdejmie odpowiedzialność z jej barków.

– Przyjaciele! Ani moja ukochana sybilla, ani ja nie odczytamy wam wróżby z wnętrzości tego pięknego jagnięcia. Nie będziecie też zmuszeni do uczestniczenia w niezwyklej ofierze, składanej przez sybille. Wrócił patere Gulo!

Zanim jeszcze skończyła mówić, augur stanął przy niej. Wełnianą togę miał w nieładzie, był cały spocony, ale triumfujący.

– Prawdziwy augur złoży dla was tę ofiarę! – powiedział. – Dla was i dla wszystkich mieszkańców miasta. Tak! Ale nie ja nim będę! Patere Jedwab wrócił do nas!

Oklaski i okrzyki radości były tak głośne, że maytere Mięta zasłoniła sobie uszy. Gulo wznosił ręce, uciszając tłum.

– Nie chciałem wam o niczym mówić, maytere – ciągnął Gulo. – Nie chciałem was martwić ani niepotrzebnie wciągać w tę sprawę. Przez całą noc chodziłem po Vironie. Pisałem na murach i rozmawiałem z... z ludźmi. Ze wszystkimi, którzy zechcieli mnie wysłuchać. Przekonywałem, żeby też zaczęli pisać po ścianach domów. Zabrałem z palestry pudełko kredy. Jedwab na caldé! Jedwab na caldé! Oto nadchodzi!

Czapki i szale pofrunęły w powietrze.

– JEDWAB NA CALDÉ!

I wtedy maytere Mięta go ujrzała. Wychylał się z wieżyczki zielonego ślizgacza gwardii i machał im ręką. Ślizgacz – jak wszystkie maszyny tego typu – wzbijał tumany kurzu, ale zdawał się lecieć w absolutnej ciszy, tak wielki zgiełk zapanował przed manteionem.

– Oto nadchodzę! – ryknął talus ponownie. – W imię Scylli, najpotężniejszej z bogiń! Kto nie ustąpi mi z drogi, zostanie unicestwiony!

Oba pistolety pulsacyjne zagrały zgodnie, wypełniając tunel skowytami i świstem rykoszetów.

Alka, który na początku strzelaniny pociągnął Acalypnę za sobą i przywarł płasko do grzbietu talusa, teraz przycisnął ją jeszcze mocniej. Najpierw umilkł prawy pistolet, potem lewy. Nikt nie odpowiedział ogniem.

Złodziej uniósł głowę i zerknął ponad szerokie bary talusa. Jak daleko sięgał wzrokiem, podłogę tunelu zaścielały ciała chemów. Kilka płonęło.

– Żołnierze – oznajmił.

– Ludzie walczyci! – podkreślił Oreb, niespokojnie machając złamanym skrzydłem. – Metalowi ludzie.

Kowadełko odchrząknął.

– Ayuntamiento musiała wezwać na pomoc armię. Zanim jego słowa przebrzmiały, talus ruszył do przodu. Jeden z żołnierzy krzyknął z bólu, miażdżony gąsienicami.

Alka wyprostował się, usiadł pomiędzy Acalyphą i Kowadełkiem.

– Chyba powinniśmy poważnie porozmawiać, patere – stwierdził. – Nie mogłem mówić swobodnie, dopóki bogini była wśród nas.

Kowadełko spuścił wzrok. Milczał.

– Traktowałem cię cokolwiek grubiańsko, a nie lubię tak poczynać sobie z augurami. Ale taki już jestem, kiedy ktoś mnie wnerwi.

– Dobry Alka! – potwierdził Oreb.

Włamywacz uśmiechnął się krzywo.

– Czasami. Chodzi mi o to, patere, że nie chcę zrzucić cię z grzbietu tego wielkiego bydlaka; wolałbym nie zostawiać cię tutaj, w tym tunelu, ale zrobię to, jeżeli mnie zmusisz. Mówiłeś wcześniej, że przybyłeś nad jezioro w poszukiwaniu Acalyphy. Wiedziałeś, że tam będzie; czy nie wiedziałeś zatem także o mnie i o Jedwabiu?

– Jak możesz siedzieć tak i gadać głupoty, kiedy wokoło giną ludzie? – wybuchnął patere Kowadełko.

– Nim zadałem to pytanie, też zachowywałeś się całkiem spokojnie.

Jelec, stary rybak, zachichotał głośno.

– Modliłem się za nich! – krzyknął Kowadełko.

Alka wstał.

– W takim razie nie będziesz miał chyba nic przeciwko temu, żeby do nich zeskoczyć i przynieść im pojednanie z Pahem.

Kowadełko zamrugał z niedowierzaniem.

– Przemyśl to sobie. – Dla lepszego efektu Alka zmarszczył groźnie brwi. Poczul, że naprawdę wzbiera w nim złość. – A tymczasem może opowiesz mi łaskawie, czego twój szefunio chciał od Acalyphy?

Rozległ się ogłuszający grzmot – to talus wystrzelił z broni dużego kalibru, o której posiadanie Alka nawet go nie podejrzewał. Niemal natychmiast rozległ się huk wybuchającego pocisku.

– Nie mylisz się. – Kowadełko także podniósł się na nogi. Drżącą ręką wyszarpnął z kieszeni

sznur paciorków. – Nie mylisz się. Sam Hierax twoimi ustami przypomina mi o obowiązkach. Idę.

Coś otarło się o ucho talusa, śmignęło w głąb tunelu, rykoszetując od ścian i wyjąc jak dusza potępiona. Oreb, który wskoczył na czubek hełmu talusa, żeby stamtąd obserwować przebieg walki, skrzeknął z przerażenia i spadł Alce na kolana.

– Straszna bitwa!

Złodziej nie zwrócił na ptaka uwagi, patrząc jak Kowadełko z pomocą Jelca schodzi po wbudowanej w bok talusa drabince. Za nimi tunel ciągnął się bez końca – niczym zwężający się whorl, spowity widmową zielenią i gdzieś tam rozjaśniany ogniem.

Ujrawszy Kowadełko przykucniętego przy jednym z poległych, mruknął:

– Gdybym na własne oczy tego nie zobaczył... Myślałem, że nie starczy mu ikry.

Seria z broni maszynowej zagrała jak grad na pancerzu talusa, zagłuszając odpowiedź Jelca. Talus zaryczał, plunął strumieniem błękitnego ognia, którym jak błyskawicą rozświetlił podziemny korytarz, i obrócił olbrzymi łeb. Wąska struga światła z jego oka padła na czarną togę Kowadełka.

– Wracaj natychmiast!

Nie wstając z klęczek patere coś odpowiedział, lecz Alka nie zrozumiał jego słów. Ciekawy jak zwykle Oreb podfrunął w stronę Kowadełka, talus zaś zatrzymał się i cofnął. Wyciągnął jedno z teleskopowych ramion.

Tym razem głos patere był wyraźnie słyszalny:

– Wrócę na twój grzbiet, jeżeli jego też zabierzemy. Zapadła cisza. Alka spojrział przez ramię na metalową maskę będącą twarzą talusa.

– Czy może mówić?

– Mam nadzieję, że wkrótce będzie mógł. Próbuję go naprawić.

Olbrzymia dłoń sięgnęła podłogi. Kowadełko odsunął się na bok, robiąc jej miejsce, Oreb zaś wskoczył na ogromny kciuk i dał się przenieść na plecy talusa.

– Jeszcze żywy!

Jelec chrząknął coś powątpiewająco. Stalowa łapa znowu się zniżyła. Oreb przeskoczył Alce na ramię.

– Ptak wrócił!

Z dziwną delikatnością palce grubości męskiego uda złożyły żołnierza pomiędzy zakrzywionymi

uchwyty na grzbiecie talusa.

– Jeszcze żywy? – spytał kruk z wahaniem.

Bo i można było mieć wątpliwości: metalowe, malowane, lecz porysowane już i pozbawione połysku kończyny żołnierza bezwładnie zwisały, powyginane nienaturalnie; jego metalowa twarz, mająca stanowić idealne odzwierciedlenie męstwa, była pełna patosu, który zyskują wszystkie popsute przedmioty. Czując na sobie świdrujące spojrzenie czarnego oka Oreba, Alka mógł tylko wzruszyć ramionami.

Talus znów potoczył się naprzód. Kowadełko wystawił właśnie głowę ponad jego grzbiet.

– Zaraz się nim zajmę... – wysapał augur. – Nie umarł jeszcze.

Alka złapał go za rękę i wciągnął na górę.

– Właśnie... odmawiałem liturgię. Zobaczyłem... Bogowie czasem obdarzają nas taką łaską... Zajrzałem w jego ranę, w to pęknięcie płyty na piersi. Bo wiecie, w scholi uczą nas, jak naprawiać święte okna.

Bojąc się stanąć i wyprostować swobodnie na krawędzi grzbietu talusa, Kowadełko podczołgał się do rannego. Pokazał coś ręką.

– Byłem w tym niezły. A poza tym... miałem już nieraz okazję... pomagać chemom. Rozumiecie, umierającym chemom. – Zdjął z szyi gammadion i pokazał go Alce. – To krzyż próżniowy Paha, na pewno nieraz już go widziałeś. Można odblokować zatrzaski, rozebrać go i kawałkami otworzyć chema. Patrz.

Zręcznie zdjął odgiętą płytę. Mniej więcej pośrodku niej widniał nieregularny otwór, w który Kowadełko włożył teraz palec.

– Tędy wszedł odłamek – wyjaśnił.

Alka zerknął na znajdujące się pod płytą kłębownisko mechanizmów.

– Widzę jakieś światełka – powiedział.

– Ależ naturalnie! – Kowadełko triumfował. – Ja też je ujrzałem, gdy chciałem przynieść mu pojednanie z Pahem. Główny kabel zasilający został przecięty; tu widzimy koniuszki włókien. Dokładnie tak samo, jakby ktoś ci przeciął rdzeń kręgowy.

– Czy możesz go połączyć? – spytał Jelec.

– W rzeczy samej! – Kowadełko promieniał ze szczęścia. – Oto miłosierdzie Paha! Oto jak martwi się o nas, przybranych synów! Tak się składa, że na grzbiecie naszego dzielnego talusa znajduje się jedyny człowiek, który naprawdę może przywrócić temu chemowi zdrowie i pełnię sił.

– Żeby mógł nas zabić? – odpowiedział oschle Alka.

Kowadełko się zawahał. Zastygł z uniesioną ręką. Talus sunął naprzód wolniej niż dotąd i zimny pęd powietrza, który przed strzelaniną świszczął im w uszach, teraz osłabł do ledwie wyczuwalnego podmuchu. Acalypha, która przez cały czas leżała na płask na metalowym grzbiecie talusa, usiadła teraz i skrzyżowała ramiona na piersi.

– Ależ nie – odparł w końcu augur. Z kieszeni wyjął maleńkie czarne szczypczyki, czy może raczej pincetę. – To jest optosynapter, nieocenione narzędzie. Popatrzcie. – Wyciągnął rękę. – Ten czarny cylinder to trójnik, odpowiednik naszego serca. W tej chwili nie działa, ale w normalnych warunkach spręża płyn roboczy i pozwala chemowi poruszać rękami i nogami. Główny kabel biegnie do mikrobanku, tego dużego srebrzystego tworu pod trójnikiem. Przekazuje instrukcje z postprocesora.

– Możesz tego chema przywrócić do życia? – spytała Acalypha.

– Gdyby naprawdę był martwy – odparł wystraszony Kowadełko – nie zdołałbym tego uczynić, Scyllo Najdoskonalsza...

– Nie jestem nią, tylko sobą. – Acalypha wyglądała tak, jakby zaraz miała się rozplakać. – Po prostu sobą. Nawet się nie znamy, patere.

– Ja też cię nie znam – wtrącił Alka. – Chciałbym cię jednak poznać. Co ty na to?

Acalypha z wysiłkiem przełknęła ślinę, ale nic nie powiedziała.

– Dobrze dziewczę! – dodał Oreb. Kowadełko i Jelec milczeli. Zaległa nieprzyjemna cisza.

Jednym ramieniem gammadionu augur zdjął żołnierzowi płytę czaszkową. Po oględzinach, które zdaniem Alki trwały bardzo długo, wsunął drugą część krzyża próżniowego między dwa cieniuteńkie jak włos druciki.

Żołnierz przemówił:

– K trzydzieści cztery, dwanaście. A trzydzieści cztery, dziewięćdziesiąt siedem. B trzydzieści cztery...

Kowadełko cofnął gammadion.

– On się skanuje, rozumiesz? – rzekł do Jelca. – To tak jakbyś poszedł do lekarza, a on przystawił ci słuchawkę do piersi i kazał zakaszleć.

Rybak pokręcił głową.

– Wyleczysz tego żołnierza, a on nas wszystkich zabije, jak powiedział ten duży. Ja tam bym go rzucił na dół.

– Nikogo nie zabije. – Kowadełko znów pochylił się nad nieruchomym chemem.

Acalypha wyciągnęła rękę do Jelca.

– Przykro mi z powodu twojej łodzi, kapitanie. I przepraszam, że cię uderzyłam. Czy możemy zostać przyjaciółmi? Nazywam się Acalypha.

Rybak podał jej olbrzymią, sękatą dłoń, a potem musnął palcami daszek czapki.

– Jelec, pani. Nic do pani nie mam.

– Dziękuję, kapitanie. Patere, jestem Acalypha. Kowadełko podniósł na nią wzrok.

– Pytałaś, czy mogę mu wrócić życie, córko. Nie jest wcale martwy, po prostu nie może używać tych części ciała, które wymagają obiegu płynu. Inaczej mówiąc, nie jest w stanie poruszyć rękami, nogami ani głową, może za to mówić, jak wszyscy słyszeliśmy. To, że się nie odzywa, jest skutkiem przebytego szoku. Oto moja starannie przemyślana, wyważona opinia. Wystarczy poprawnie połączyć uszkodzone przewody. Inaczej może się zdarzyć, że chcąc zrobić krok do przodu, poruszy tylko rękami – prychnął augur.

– Ale ja i tak... – próbował przerwać mu Jelec.

– Poza tym postaram się, żeby był nam posłuszny, dla naszego własnego bezpieczeństwa. To nielegalne, ale jeżeli mamy wykonywać polecenia Scylli... – Kowadełko znów pochylił się nad nieruchomym żołnierzem.

– Cześć, Orebie – przywitała się z ptakiem Acalypha.

Kruk przeskoczył na jej ramię.

– Nie płacze?

– Nie, nie będę już płakać. – Dziewczyna zagryzła wargę. – Inne dziewczyny zawsze mi powtarzają, że muszę być twarda, bo jestem taka duża. Chyba czas, żebym spełniła ich oczekiwania.

Augur ponownie obrzucił ją taksującym spojrzeniem.

– Nie chciałabyś przywdziać mojej togi, córko?

Acalypha pokręciła głową.

– Cała skóra mnie piecze, najbardziej na plecach i barkach. Wielu mężczyzn oglądało mnie już naga, chociaż zwykle brałam przedtem szczyptę rdzy. Na rdzy jest łatwiej. Nazywam się Acalypha, koleżko – dodała pod adresem Alki. – Pracuję dla Orchidei.

Złodziej skłonił się, nie wiedząc, co powiedzieć. Dopiero po chwili wykrztusił:

– Nazywam się Alka. Bardzo mi miło, Acalypho.

To była ostatnia rzecz, jaką zapamiętał. Leżał na brzuchu na zimnej, wilgotnej powierzchni, czując uporczywy ból i słysząc lekkie, pospiesznie oddalające się kroki. Przetoczył się na plecy, usiadł i przekonał się, że krew z nosa ścieka mu po brodzie na szyję.

– Hej, żołnierzu – zabrzmiał obcy, metaliczny, brzęczący głos. – Masz.

Ktoś wcisnął mu w dłoń kawałek białawej szmaty, który Alka delikatnie przytknął do twarzy.

– Dzięki.

Z większej odległości doleciał go inny, kobiecy głos:

– Czy to ty?

– Szczebiotka?

W ciągnącym się w lewo tunelu było ciemno choć oko wykol; w prostokącie czerni migotała tylko mała plamka zieleni. Po drugiej stronie coś się paliło, jakaś szopa, może duży wóz – nie widział dokładnie.

Obcy głos spytał:

– Możesz wstać, żołnierzu?

Nie odejmując gałgana od policzka, Alka pokręcił przecząco głową.

Ktoś był w pobliżu ognia – niewysoka, krępa postać z ręką na temblaku. W nieziemskim blasku płomieni złodziej dojrzał też leżące wokół ciała i broń. Z mroku wyłoniła się niska sylwetka w czerni, posyłając mu szeroki uśmiech.

– Wysłałem cię do bogów, synu – rzekł Kowadełko. – Ale widzę, że cię odrzucili.

– Nie przypominam sobie, żebym ich spotkał – zdołał wybełkotać Alka przez szmatę i zaraz przypomniał sobie, że się myli. Przez blisko dwa dni towarzyszyła im Scylla we własnej osobie, w dodatku wcale nie wyglądała tak, jak ją sobie wyobrażał. Z wahaniem odjął szmatę od twarzy. – Podejdź bliżej, patere. Usiądź. Muszę z tobą pomówić.

– Z przyjemnością, bo i ja mam ci co nieco do powiedzenia.

Malutki augur przysiadł obok złodzieja na rakplastowej posadzce. Alka widział, jak w ciemności błyszczą mu śnieżnobiałe zęby.

– Czy to naprawdę była Scylla?

– Sam wiesz to lepiej ode mnie, synu.

Alka pokiwał ostrożnie głową. Ból rozsadzał mu czaszkę i utrudniał zebranie myśli.

– Tak... Tylko że właściwie nic nie wiem. Czy to była ona, czy tylko jakiś diabeł się pod nią podszył?

Kowadełko zawahał się, uśmiechnął jeszcze szerzej niż dotąd.

– Trudno to wyjaśnić.

– Będę słuchał cierpliwie – obiecał Alka, wyciągając igłowiec za pasem: broń była na miejscu.

– Gdyby diabeł miał wcielić się w boginię, synu, w pewnym sensie stałby się nią samą.

Zdziwiony Alka uniósł brwi.

– Albo bogiem, Pahem czy Hieraxem. Istniałoby ryzyko, że połączy się z boską istotą i stanie się z nią jednością. Tak przynajmniej wynika z praw nauki zwanej teodemonologią.

– Brednie. – Alka sprawdził, że nóż wciąż tkwi za cholewką buta, a kordelas wisi mu u pasa.

– Fakty, synu. – Kowadełko odchrząknął z namaszczeniem. – W każdym razie takie fakty, które możemy ogarnąć i po ludzku wyrazić. Zakładamy zatem, że diabły rzadko odważają się podszywać pod bogów z tego właśnie powodu; nieśmiertelni bogowie zaś ze swej strony nigdy nie zniżają się do udawania diabłów.

– Bujda na kółkach – stwierdził Alka. Człowiek z ręką na temblaku krążył wokół ognia. Złodziej zmienił temat: – Gdzie nasz talus? Żołnierze go dopadli, prawda?

– Zgadza się – przytaknął obcy głos. – Dorwaliśmy go.

Alka odwrócił się i ujrzał za sobą przykucniętego żołnierza.

– Nazywam się Alka – powiedział. Przypomniawszy sobie, że tymi samymi słowami przedstawił się po raz wtóry Acalyphie, zanim stało się to, co się stało. Wyciągnął rękę na powitanie.

– Kapral Pięściak. – Uścisk dłoni żołnierza zelżał w chwili, gdy złodziejowi zdawało się, że trzasną mu kości.

– Miło mi. – Alka spróbował wstać, ale przewróciłby się, gdyby Pięściak go nie podtrzymał. – Chyba jeszcze nie doszedłem do siebie.

– Sam trochę chwieję się na nogach, żołnierzu.

– Jelec i ta młoda dama nalegali, żebym kazał kapralowi cię nieść, synu – rzekł Kowadełko. –

Oparłem się ich namowom dla jego dobra, choć chętnie by to uczynił, gdybym poprosił. Jesteśmy najlepszymi przyjaciółmi.

– Nawet więcej – dodał Pięściak bez cienia ironii w głosie. – Więcej niż braćmi.

– Zrobi dla mnie absolutnie wszystko. Mam ochotę ci to zademonstrować, ale na razie opieram się tej pokusie. Lepiej przemyśl to sobie sam; odrobina wątpliwości dobrze ci zrobi. Być może, drażnię się tylko z tobą i przechwalam. Jak sądzisz?

Alka pokręcił głową.

– Moje zdanie się nie liczy.

– Właśnie. Ponieważ zdawało ci się, że możesz mnie bezkarnie wyrzucić z tej cuchnącej łajby, że utonę. Bardzo się myliłeś, prawda? Sam pozbawiłeś się prawa do wyrażania własnych opinii.

Z mroku wyłoniła się Acalypha. W rękach trzymała długą broń z cylindrycznym magazynkiem.

– Możesz chodzić, ogierku? Czekaliśmy na ciebie.

– Zdrowy? – spytał siedzący na lufie Oreb.

– Już niedługo – uspokoił ich Alka. – Co ty tam niesiesz?

– Wyrzutnię. – Acalypha oparła broń na ziemi. – Chyba tym załatwili naszego talusa. Pięściak pokazał mi, jak się z niej strzela. Możesz sobie popatrzeć, ale nie dotykaj.

Alka cierpiał naprawdę, więc nie mógł w pełni cieszyć się dowcipem, ale zdobył się na ciętą odpowiedź:

– Przynajmniej dopóki nie zapłacę, co?

Uśmiechnęła się przebiegle; Alka od razu lepiej się poczuł.

– Może i wtedy ci nie pozwolę. Słuchaj, patere. I ty, Pięściaczku. Mogę wam opowiedzieć, co wymyśliłam?

– Sprytne dziewczę! – podkreślił Oreb.

Kowadełko pokiwał głową. Alka wzruszył ramionami, mówiąc:

– I tak na razie nigdzie się nie ruszę. Chodź do mnie, ptaku.

Oreb wskoczył mu na ramię.

– Zły mrok!

– Zgadza się – przytaknęła Acalypha. – Kiedy szukałam jakiejś broni, słyszeliśmy w tunelu dziwne hałasy. Dalej musi być więcej żołnierzy, ale są też światełka, więc może to i dobrze.

– Niedobrze, jeśli chcemy uniknąć spotkania z patrolem – zauważył Pięściak.

– Chyba masz rację. Sęk w tym, że słowa Oreba odnoszą się do dowolnego kawałka tych tuneli. Miałam ci powiedzieć, Alko, że kiedyś nosiłam przypięty do uda zgrabny sztylecik. Miał ostrze długości mniej więcej mojej stopy, w sam raz. Uważam, że nóż, igłowiec czy co tam nosisz, powinny do ciebie pasować, tak jak masz dopasowane buty. Wiesz, co mam na myśli?

Złodziej nie miał pojęcia, o czym dziewczyna mówi, ale na wszelki wypadek skinął głową.

– Pamiętasz, jak byłam Scyllą?

– Ja tak. A ty? Tego właśnie chciałbym się dowiedzieć.

– Co nieco. Pamiętam też, jak byłam Kypris, chyba nawet trochę lepiej. Nie wiedziałeś o tym, patere, prawda? Tak, byłam Kypris, byłam nimi obiema, ale w głębi duszy pozostawałam sobą. Podejrzewam, że podobnie czuje się osioł, kiedy ktoś go dosiada; dalej jest sobą, ale jest zarazem jeźdźcem – robi, co mu się każe, a jeśli nie ma na ochoty, obrywa tyle kopniaków, aż da się przekonać.

– Biedna dziewczeczka! – Oreb współczująco przekrzywił głowę.

– Tak że nie opiera się zbyt długo. Kopniak – idzie, szarpnięcie za wodze – staje. Nic poza tym go nie obchodzi. Ze mną było podobnie. Miałam okropną chęć na rdzę. Nie mogłam przestać myśleć o niej i o tym, jaka jestem zjechana. I nagle jakbym zapadła w sen. W jednej chwili byłam w manteionie w Limnie, a zaraz potem na ołtarzu w jaskini, nieprzytomna. Nic nie pamiętałam, a jeśli nawet, i tak o tym nie myślałam. Ale kiedy szłam tym urwiskiem do świątyni, różne rzeczy zaczęły mi się przypominać, na przykład jak byłam Kypris.

– Scylla o tym wspominała, córko – westchnął Kowadełko. – Wiedziałem, że dzieliłaś też ciało z boginią miłości! Jakże ci zazdroszczę. To musiało być cudowne!

– Nic miłego. Nic a nic. Im dłużej się jednak nad tym zastanawiam, tym bardziej dochodzę do wniosku, że w jakiś pokręcony sposób było to cudowne przeżycie. Nie jestem już taka jak przedtem. Wydaje mi się, że kiedy boginie mnie opuściły, pozostawiły coś po sobie, jakieś okruchy, a zabrały pewnie jakąś cząstkę mnie.

Acalypha podniosła wyrzutnię i powiodła palcami po wypukłościach na powierzchni magazynka.

– Wracam do tego, co wcześniej chciałam powiedzieć. Kiedy trafili talusa, zrozumiałam, że nie miałam racji, myśląc o dopasowaniu rzeczy, o sztylcie i tak dalej. Takie przedmioty w niczym nie przypominają butów. Im człowiek mniejszy, tym większego majchra potrzebuje. Dzięki Scylli doszłam do takiego wniosku. W każdym razie Alka nosi przy sobie igłowiec, chociaż rzadko jest mu

do czegoś potrzebny. Gdybym to ja go miała i prowadziła podobne życie, potrzebowałabym go pewnie codziennie. Dlatego właśnie znalazłam sobie tę wyrzutnię, dużą, choć bez amunicji. Udało mi się znaleźć jeszcze jedną. Przejechał po niej talus, więc ma całkiem spłaszczoną lufę, ale naboje się ostały. Pięściak mi pokazał, jak się je ładuje i wyjmuje z magazynka.

– Sam też sobie chyba coś znajdę – postanowił Alka. – Może pistolet kulowy. Pewnie mnóstwo ich się tu poniewiera.

Kowadełko sięgnął ręką do jego pasa.

– Tym razem chyba lepiej będzie, jeśli oddasz mi igłowiec, synu.

Ramiona złodzieja zostały przyszpilone do tułowia uściskiem isticie stalowych rąk. Z wyraźnym niesmakiem augur podwinął mu tunikę i wyjął igłowiec zza pasa.

– Kapralowi Pięściakowi krzywdy byś nim nie zrobił, ale mnie mógłbyś chyba zabić. – Kowadełko uśmiechnął się od ucha do ucha. – Albo siebie, synu.

– Nie strzela – mruknął Oreb. Chwilę trwało, zanim Alka zdał sobie sprawę, że ptak zwraca się do Acalyphy.

– Jeżeli zobaczycie u niego pistolet, kapralu, proszę natychmiast mu go zabrać – polecił augur. – Obojętne, czy będzie to broń kulowa, czy innego typu.

– Hej! Hej tam! – Ciemna sylwetka starego rybaka odcinała się wyraźnie na tle buchających z talusa płomieni. Jelec krzyczał i machał do nich ręką. – Mówi, że umiera! Chce porozmawiać!

Jedwab podparł się wygodniej, by usiąść na wieżycze, po czym zamachał obiema rękami. Twarz miał ubrudzoną błotem, które wyschło już i odpadało po kawałku. Nadmiernie ozdobna tunika od doktora Żurawia również była ubłocona, tak że zastanawiał się, ilu z tych, którzy wiwatują na jego cześć i obskakują ślizgacz, naprawdę go rozpoznaje.

JEDWAB NA CALDÉ!

JEDWAB NA CALDÉ!

Czy naprawdę caldé miał wrócić na urząd? I czy faktycznie on miał nim zostać? O człowieku obdarzonym tym tytułem czasem wspominała jego matka. W szafce trzymała rzeźbione popiersie ostatniego caldé.

Spostrzegł, że ktoś wyniósł srebrzystoszare święte okno z manteionu i postawił je na środku ulicy. Niemal ginęło w blasku słońca.

Wiatr przyniósł do jego nozdrzy znajomą woń składanej ofiary – mieszaninę cedrowego dymu, zapachu palonego tłuszczu, sierści i piór, która przebijała się przez spowijającą ślizgacz chmurę

odoru rozgrzanego metalu, rybiego oleju i rozpalonego kurzu. Przed połyskującym srebrzyście oknem mignęło mu chude ramię z szarej stali, wyłaniające się z czarnego rękawa; chwilę później rozpoznał błyszczące, kochane oblicze maytere Marmur, która machała mu na powitanie ludzką ręką. Nie wierzył własnym oczom.

– Maytere! – W panującym zgiełku ledwie usłyszał własny głos. Uciszył ludzi gestem: wznosił ramiona z rozpostartymi, spuszczoneymi dłońmi. – Cisza! Proszę o ciszę!

Hałas ciżby ludzkiej zmniejszył się, ustępując zatrwożonemu beczeniu owiec i wściekłemu syczeniu gęsi. Kiedy tłum rozstąpił się przed ślizgaczem, Jedwab dostrzegł przygotowane na ofiarę zwierzęta.

– Maytere! Odprawiasz nabożeństwo uliczne?

– Maytere Mięta przewodzi ofierze! Ja jej tylko pomagam!

– Patere! – Obok ślizgacza dreptał Gulo w czarnej przykurzonej szacie. – Są dziesiątki ofiar, patere! Wiele dziesiątków!

Musieliby się zmieniać, jeśli ceremonia miała się skończyć przed zaciemnieniem. O to właśnie chodziło Gulowi – chciał dostąpić chwały udziału w tak szczodrej ofierze, wystąpić przed ogromnym zgromadzeniem ludzkim. Niemniej, surowo upomniął się Jedwab, Gulo nie prosił o nic więcej niż respektowanie praw przysługujących akolicie. A jeszcze mógł od razu przystąpić do składania ofiar, podczas gdy on, Jedwab, musi się umyć i przebrać.

– Zatrzymaj się – polecił kierowcy. – Zatrzymaj się tutaj.

Ślizgacz osiadł na ziemi przed ołtarzem.

Jedwab zsunął nogi z wieżyczki i stanął na krawędzi pokładu maszyny. Boląca kostka przypomniawsza mu dotkliwie o sobie.

– Przyjaciele! – Głos, który, jak wydawało się Jedwabiowi, powinien od razu rozpoznać, rozbrzmiał echem na całej ulicy Słońca. – Oto patere Jedwab! Oto człowiek, którego sława przyciągnęła was do najuboższego manteionu w mieście! I do świętego okna, z którego bogowie znów patrzą na Viron!

Tłum ryknął z aprobatą.

– Wysłuchajcie go! Wspomnijcie na swoje i jego święte posłannictwo!

Jedwab, który po czwartym słowie rozpoznał mówczynię, potrząsnął z niedowierzaniem głową. Zapadła cisza, a on zapomniał, co miał powiedzieć.

Stojący pośród zwierząt ofiarnych jelonek z pięknym porożem (zapewne ofiara dla Thelxiepei,

bogini wróżb) podsunął mu pewien pomysł. Jedwab odruchowo poszukał dłońmi oparcia na nieistniejącej ambonie.

– Z pewnością wiele jest pytań, które chcielibyście zadać bogom. Wiele jest też pytań, które sam muszę postawić. Nade wszystko chciałbym prosić wszystkich bogów o łaskę, zaś Sphigx Dźgającą, która daje wojskom rozkaz wymarszu i walki, o pokój. Zanim jednak poproszę bogów, by do nas przemówili i udzielili nam swych łask, muszę się umyć i stosownie odziać. Brałem bowiem udział w bitwie... Zginęli w niej dobrzy, odważni ludzie. Zanim wrócę na plebanię, żeby się obmyć i cisnąć ubłocone ubranie do pieca, powinienem wam o tym opowiedzieć.

Ludzie stali zasłuchani, z uniesionymi ku niemu twarzami.

– Zdziwiliście się pewnie, widząc mnie w ścigaczu gwardii; niektórzy z was pomyśleli, że ktoś zamierza wam przeszkodzić w złożeniu ofiary. Wiem o tym, bo widziałem, jak sięgacie po broń i kamienie. Wiedźcie jednak, iż ci gwardziści poparli ideę utworzenia nowego rządu Vironu.

Rozległy się oklaski i okrzyki radości. – Właściwie powinienem powiedzieć: ideę powrotu do starego sposobu rządzenia. Chcą, żebyśmy znów mieli *caldé*...

– Jedwab jest *caldé*! – wykrzyknął ktoś z tłumu.

– ...który przywróci prawa spisane w Karcie. Część z tych dzielnych, pobożnych gwardzistów spotkałem w Limmie, a ponieważ obawiałem się, że inne oddziały mogą próbować nas zatrzymać, wpadłem na niemądry pomysł, by udawać ich więźnia. Domyślacie się zapewne, jakie były tego skutki. Inny oddział zaatakował nas, chcąc mnie uwolnić. – Jedwab przerwał dla nabrania oddechu i zaraz ciągnął dalej: – Zapamiętajcie to sobie! Nie każdy gwardzista jest waszym wrogiem, a nawet ci, którzy stają przeciw wam, też są Virończykami. – Odszukał wzrokiem *maytere Marmur*. – Zgubiłem klucze, *maytere*. Czy furtka do ogrodu jest otwarta? Dostanę się przez nią na plebanię?

Maytere Marmur złożyła dłonie (które mogłyby należeć do zwykłej, biologicznej kobiety) i przytknęła je do ust.

– Otworzę je dla ciebie, *patere*!

– *Patere Gulo*, prowadź dalej nabożeństwo. Dołączę do ciebie, jak tylko będzie to możliwe.

Jedwab niezdarnie zeskoczył ze ślizgacza na ziemię, starając się lądować całym ciężarem na lewej, zdrowej nodze. Otoczył go tłum życzliwych ludzi: jedni mieli na sobie zielone mundury gwardii, inni cętkowane pancerze szturmowe, jeszcze inni żebracze łachmany, większość jednak odziana była w jaskrawe tuniki i powłóczyste szaty. Dotykali go tak, jak mogliby dotykać boskiej ikony; w krótkich i podniosłych słowach zapewniali o swojej wierności, oddaniu i posłuszeństwie po wsze czasy. Jedwab pozwalał się nieść wezbranej rzece ludzi.

Wkrótce znalazł się pod murem ogrodu. Stojąca przy furtce *maytere Marmur* kiwała na niego ręką, a gwardziści kolbami pistoletów powstrzymywali napierający tłum.

– Pójdę z tobą, mój caldé – szepnął mu ktoś do ucha. – Ktoś musi cię chronić. – To mówił kapitan, z którym o czwartej nad ranem Jedwab jadł w Limnie śniadanie.

Furtka zatrzasnęła się za nimi z łoskotem.

– Zostań tutaj – rozkazał kapitan opancerzonemu gwardziście. – Nikogo nie wpuszczaj. – Odwróciwszy się do Jedwabia, wskazał klasztor. – Tu mieszkasz, mój caldé?

– Nie, troszkę dalej. W tym trójkątnym domku – odparł Jedwab, ponieważ zdając sobie sprawę, że plebania od strony ogrodu wcale nie jest trójkątna. Bał się, że kapitan uzna go za szaleńca. – W tym małym – poprawił się. – Patere Gulo na pewno zostawił otwarte drzwi. Wari zabrał mi klucze.

– Radca Wari, mój caldé?

– Tak, radca Wari.

Wróciły przykre wspomnienia z poprzedniego dnia: pięści Wariego, elektrody, czarna skrzynka Piaska, precyzyjne odpowiedzi, po których następowały dalsze ciosy w krocze i wstrząsy elektryczne. Jedwab starał się o tym zapomnieć, kuśtykając zwirową ścieżką. Kapitan szedł za nim w asyście pięciu żołnierzy. Minęli usychający figowiec, w którego cieniu czekały zwierzęta przeznaczone na ofiarę na pogrzebie Orlicy, altanę, w której Jedwab rozmawiał z Kypris i gawędził z maytere Marmur, ogród starej sybilli, jego własne jeżyny i pnące się po tyczkach pomidory – ledwie starczyło mu czasu, żeby rozpoznać ukochane zakątki.

– Niech pan zostawi ludzi na zewnątrz, kapitanie. Jeśli chcą, mogą spocząć w cieniu tego drzewa przy furtce.

Czy ich los także był przesądzony? Z pokładu ślizgacza mówił o Sphigx. Tych, którzy polegli w walce, uważano za złożone jej ofiary, tak jak ci, którzy zginęli od pioruna, należeli do Paha.

W kuchni nic się nie zmieniło – jeżeli Gulo jadł coś, odkąd wprowadził się na plebanie, robił to gdzie indziej. Miska z wodą dla Oreba stała na stole, obok zabranej Rogowi piłki.

– Gdybym mu jej nie wyrwał, starsi chłopcy by wygrali – mruknął Jedwab.

– Słucham, mój caldé?

– Nic takiego, mówiłem do siebie.

Odrzuciwszy pomoc kapitana, namęczył się nieco przy pompie, zanim mógł obmyć się wodą, która w jego wyobraźni cuchnęła podziemnymi korytarzami. Umył mydłem ręce, twarz i zmierzwił włosy, splukał je i wytarł do sucha kuchenną ścierką.

– Pan też pewnie chciałby się odświeżyć, kapitanie. Proszę skorzystać z pompy. Ja pójdę teraz na

górze się przebrać.

Schody były bardziej strome, niż pamiętał, cała plebania zaś – którą i tak zawsze uważał za niewielką – wydawał się jeszcze mniejsza niż zwykle. Usiadł na łóżku, które rankiem w molpdag zostawił nieposłane, i grzmotnął owijaczem Żurawia w pomiętą pościel.

Ludziom na ulicy powiedział, że spali tunikę i luźne brązowe spodnie, ale ubłocone ubranie było zupełnie nowe i doskonałej jakości. Gdyby je wyprać, jakiś biedak pochodziłby w nim spokojnie z rok, może dłużej. Ściągnął tunikę i wrzucił ją do kosza z praniem.

Azoth, który wykradł z buduaru pięknej Hiacynt, miał wciąż zatknięty za pas. Podeszedł do okna, chcąc jeszcze raz obejrzeć go w świetle dziennym. Z tego, co powiedział mu Żuraw, wynikało, że broń nie należy do dziewczyny; doktor po prostu oddał jej na przechowanie, przeczuwając, że tych apartamentów nikt nie będzie dokładnie przeszukiwał. Sam dostał azoth od bezimiennej kalifki w Trivigaunte, która chciała sprezentować go Krwi. Czy zatem należał do Krwi? Jeżeli tak, należy mu go zwrócić. Jedwab uznał, że nie powinien okradać Krwi; i tak za daleko się posunął w phaedag.

Z drugiej jednak strony, jeżeli Żurawiowi kazano się pozbyć azotha (a wszystko na to wskazywało), broń należała teraz do Jedwabia, gdyż doktor oddał mu ją umierając. Można było ją teraz sprzedać za kilka tysięcy kart i spożytkować pieniądze w szlachetnym celu – ale zastanowiwszy się chwilę, Jedwab doszedł do wniosku, że w życiu nie wymieniłby azotha na gotówkę. Nawet gdyby uznać, że ma do tego pełne prawo.

Ktoś z ciżby kłębiącej się pod murem ogrodu dostrzegł Jedwabia w oknie – ludzie wznosili triumfalne okrzyki, poszturchiwali się i pokazywali go sobie palcami. Cofnął się w głąb pokoju, zaciągnął zasłony i ponownie przyjrzał się azothowi. Piękny, groźny oręż wart był eskorty gwardii cywilnej. To nim Jedwab zabił w podziemiach talusa; to nim groziła mu Hiacynt, gdy nie chciał pójść z nią do łóżka.

Czy naprawdę tak rozpaczliwie go pragnęła? Czy raczej miała nadzieję, że rozkocha go w sobie, tak jak on (co musiał przed sobą samym przyznać) liczył na to, że ona go pokocha, gdy jej odmówi? Hiacynt była prostytutką, każdy mógł ją wynająć sobie na noc za parę kart – te same parę kart, które mogło uleczyć umysł jakiegoś zapomnianego, skowyczącego monitora, takiego jak ten w pogrzebanej pod ziemią wieży. Jedwab zaś był augurem, przedstawicielem najdostojniejszej, najświętszej profesji. Tak go przynajmniej uczono.

Był augurem gotowym kraść dla zdobycia takich samych kart, za jakie inni kupowali jej ciało; gotowym nocą okraść człowieka, od którego w południe wyciągnął podstępem trzy karty. Za jedną kupił Oreba i klatkę dla niego. Czy trzy wystarczyłyby mu, żeby kupić Hiacynt? Sprowadzić ją do starej, trójściennej plebanii o zabitych oknach i zamkniętych na głucho drzwiach?

Odłożył azoth na biurko, obok położył igłowiec i paciorki. Zdjął spodnie. Były jeszcze bardziej ubłocone niż tunika – kolana miały dokumentnie oblepione gliną, chociaż na tym kolorze brud mniej rzucał się w oczy. Jedwabowi przyszło do głowy, że augurowie noszą się na czarno nie po to, żeby

w barwach Tartarosa podsłuchiwać bogów, lecz dlatego że świeża krew doskonale się prezentuje na czarnym tle, a pozostających po niej plam, których nie sposób sprać, i tak nie widać.

Szorty – czystsze, lecz tak samo do cna przemoczone – poleciały za spodniami do kosza.

Nieprzychylni ludzie nie bez powodu nazywali augurów rzeźnikami; Jedwabia czekała moc krwawej roboty. Pomijając nawet jego złodziejskie skłonności, czy augurowie naprawdę byli lepsi od przeciętnego człowieka w oczach takiego boga jak Zewnętrzny, czy takiej kobiety jak Hiacynt? Czy to możliwe, żeby zajmując wyższą pozycję od tych, których reprezentują wobec bogów, mogli ich wciąż reprezentować? W oczach bóstw zarówno biochemy, jak i chemy były godne pogardy – a w ostatecznym rozrachunku inne od boskiego spojrzenie się nie liczyło.

Oczy. Czyjeś oczy spojrzały na niego z głębi matowiejącego lusterka, przed którym zwykle się golił. Wokół nich zmaterializowało się szkieletowe oblicze Pleśni. Dziewczyna uśmiechnęła się na wpół świadomie, w parodii kokieterii.

– Nie pierwszy raz oglądam cię nago – stwierdziła.

Jedwab odwrócił się, spodziewając się ujrzeć ją siedzącą na łóżku, ale nikogo tam nie było.

– Chciałam ci opowiedzieć o moim oknie i o ojcu. Zamierzałeś mu polecić, żeby pozamykał wszystkie okna. Przestałabym ci się naprzykrzać.

Jedwab doszedł już do siebie po pierwszym szoku. Z szuflady biurka wyjął czystą bieliznę i zaczął się ubierać.

– Nie zamierzałem – odparł. – Miałem nadzieję, że nie będę musiał tego robić.

– Mój caldé? – dobiegł go zza drzwi głos kapitana.

– Zaraz zejdem, kapitanie.

– Słyszałem jakieś głosy, mój caldé. Czy nic ci nie grozi?

– Plebania jest nawiedzona, kapitanie. Może pan wejść na górę i przekonać się o tym osobiście.

Pleśń zachichotała nerwowo.

– Czy nie tak właśnie z nimi rozmawiasz? – spytała. – Przez szkła?

– Chodzi ci o monitory? – Chwilę wcześniej obraz monitora przemknął Jedwabowi przez głowę. Czy Pleśń czytała mu w myślach? – Owszem, bardzo podobnie to wygląda. Z pewnością sama też je widziałaś.

– Dla mnie każdy jest inny.

– Domyślam się.

Z wyraźną ulgą Jedwab włożył czyste czarne spodnie.

– Pomyślałam, że zostanę dla ciebie takim szkłem.

Augur skinął głową, doceniając jej troskę.

– Tak samo jak ty używasz swojego okna, a bogowie świętych okien. Wcześniej nie przyszło mi to porównanie do głowy. A powinno.

Obojętna twarz Pleśni drgnęła wewnątrz lustra.

– Chciałam ci powiedzieć, że nie ma sensu, byś mówił mojemu ojcu o zamykaniu okien. Nie idź do niego, bo cię zabije. Wari kazał mu to zrobić, a on się zgodził.

Zatem Ayuntamiento wiedziała już, że Jedwab żyje i jest w mieście. Wkrótce dowie się także, że wrócił na plebanię – jeśli już nie wiedziała – i przyśle po niego wiernych sobie gwardzistów, albo nawet żołnierzy.

– Więc nie ma znaczenia, co zrobisz – ciągnęła Pleśń. – Moje ciało i tak wkrótce umrze i stanę się wolna, tak jak inni. Co cię to obchodzi?

– Obchodzi, i to bardzo. Dlaczego twoje ciało miałyby umrzeć?

– Ponieważ nic nie jem. Kiedyś bardzo lubiłam jeść, ale teraz nie sprawia mi to żadnej przyjemności. Wolę mieć swobodę.

Twarz Pleśni zaczęła blaknąć. Jedwab zamrugał, ale w zwierciadle pozostał już tylko zarys jej pustych oczu. Chwilę później również zniknął.

– Musisz jeść, Pleśnio – rzekł Jedwab. – Nie chcę, żebyś umarła. – Nie doczekał się odpowiedzi. – Wiem, że mnie słyszysz. Musisz jeść.

Chciał jej powiedzieć, że skrzywdził i jej ojca, i ją samą. W ten sposób zadośćuczyniłby im za wyrządzone zło, chociaż Krew pewnie by go potem zabił. Było już jednak za późno.

Wyjął ostatnią czystą tunikę. Paciorki i chusteczkę włożył do jednej kieszeni spodni, igłowiec do drugiej. Zamierzał zwrócić go, gdy tylko będzie mógł, lecz chwila hipotetycznego spotkania z Hiacyntem wydawała się na razie niewyobrażalnie odległa. Azoth trafił za pas; Jedwab liczył na to, że wróżba naprowadzi go na jakiś pomysł, co mógłby zrobić z bronią. Znów pomyślał, czyby azotha nie sprzedać, i przypomniał sobie bełkoczące oblicze monitora, jakże podobne do twarzy Pleśni w lustrze. Wzdrygnął się.

Czysty kołnierzyk i mankiety oraz prawie najlepsza toga będą musiały wystarczyć. A oto i kapitan – czekał u dołu schodów, równie schludny jak w tej knajpie w Limnie... Jakżeż ona się nazywała?

„Zardzewiała Latarnia”.

– Zaczynałem bać się o ciebie, mój caldé.

– Chyba o moją reputację. Słyszałeś kobiecy głos.

– Raczej dziecinny, mój caldé.

– Proszę bardzo, możesz przeszukać piętro, kapitanie. Jeżeli znajdziesz kobietę albo dziecko, daj mi znać.

– Niech Hierax natychmiast zabierze moje kości, jeśli coś takiego przyszło mi do głowy, mój caldé!

– Tak, ona z pewnością jest dzieckiem Hieraxa.

Drzwi wychodzące na ulicę Srebra były zablokowane sztabą, tak jak powinny. Jedwab dla pewności poruszył klamką. Okno również zamknięto na głucho.

– Mogę postawić tu swojego człowieka na straży, jeżeli sobie tego życzysz, mój caldé.

Jedwab pokręcił głową.

– Obawiam się, że potrzebni nam są wszyscy twoi ludzie, a i tego będzie mało. Ten ze ślizgacza...

– Major Cyweta, mój caldé.

– Proszę powiedzieć majorowi Cywecie, żeby rozstawił ludzi, którzy podniosą alarm, gdyby żołnierze Ayuntamiento przyszli mnie aresztować. Powinni stanąć o jedną, najwyżej dwie przecznice stąd.

– Co najmniej dwie, mój caldé. Dalej też powinny chodzić patrole.

– Doskonale, kapitanie. Proszę się tym zająć. Jestem gotów stanąć przed sądem, ale pod warunkiem że przyniesie to pokój miastu.

– Ty jesteś na to przygotowany, mój caldé. My nie. Bogowie też nie.

Jedwab wszedł do sellarii. Drzwi od ulicy Słońca również były opatrzone sztabą i zamknięte na klucz. Na kominku leżały dwa listy: jeden pieczętowany nożem i kielichem Kapituły, drugi płomieniem w złożonych dłoniach. Jedwab włożył oba do obszernej kieszeni. Okna również były pozamykane.

Kiedy pośpiesznie wychodził z kapitanem do ogrodu, a potem na ulicę, złapał się na tym, że myśli o Pleśni. I o Krwi, który ją adoptował. A później o Hieraksie Najwyższym; bóg przed kilkoma

godzinami zstąpił z nieba dla Żurawia i młodego, ponurego żołnierza, z którym rozmawiali w „Zardzewiałej Latarni”. Pleśń chciała umrzeć, poddać się Hieraxowi, on zaś, Jedwab, musi ją uratować, jeżeli tylko zdoła. Czy w takim razie niesłusznie nazwał ją dzieckiem Hieraxa?

Może nie. Kobiety i mężczyźni byli przecież adoptowanymi dziećmi bóstw, a żaden inny bóg tak dobrze do Pleśni nie pasował.

Tessera do tuneli

– Zła rzecz! – burknął Oreb. Nie spuszczał wzroku z palącego się talusa, jakby się go bał. – Zła rzecz! – Cicho bądź – Alka również obserwował talusa. Acalypha podeszła bliżej, z wyrzutnią gotową do strzału.

– Gdybyśmy tylko mogli, ugasilibyśmy ogień. Musielibyśmy mieć koce albo... coś podobnego, czym dałoby się go stłumić.

– Umieram! – zaryczał talus. – Słyszycie?! Umieram!

– Bardzo nam przykro, nie zdołamy ci pomóc. Acalypha obejrzała się przez ramię na czterech stojących z tyłu mężczyzn. Jelec pokiwał głową.

– Służę Scylli! Kazała wam! – ryczał talus. Kowadełko się wyprostował.

– Możesz na mnie polegać, że zrobię wszystko, by życzeniu bogini stało się zadość. Mówię tak nie tylko za siebie, ale też w imieniu stojącego tu mojego przyjaciela, kaprała Pięściaka.

– Ayuntamiento ją zdradziła! Zniszczcie Ayuntamiento! Pięściak stanął na baczność.

– Proszę o pozwolenie na zabranie głosu, talusie.

Smukła lufa jednego z pistoletów pulsacyjnych drgnęła i plunęła ogniem. Seria świsnęła dobre pięć łokci nad głowami ludzi. Wizg rykoszetów poniósł się daleko w głąb tunelu.

– Może ty lepiej nic nie mów – zasugerował cicho Alka, po czym, podnosząc głos, zwrócił się do talusa: – Scylla powiedziała, że patere Jedwab próbuje obalić Ayuntamiento i kazała udzielić mu pomocy. Zrobimy co w naszej mocy – ja, Acalypha i ptak Jedwabia.

– Powiedzcie Juzgado!

– Zgadza się. Tak nakazała – przytaknęli Jelec i Kowadełko.

Ognisty jeźor liznął policzki talusa, który nadal krzyczał:

– Tessera! Tetyda! Do dolnej piwnicy... – Cały się zatrzęsł od eksplozji w głębi korpusu.

– Cofnąć się! – wrzasnął niepotrzebnie Alka. Kiedy rzucili się w głąb korytarza, ogień przesłonił całą metalową twarz talusa.

– Już po nim! – krzyknął Jelec. – To koniec! – Rybak poruszał się wolniej nawet od Alki, który nie pamiętał, żeby kiedyś nogi tak mu się trzęsły.

Rozległ się drugi, przytłumiony wybuch, a potem zapadła cisza, jedynie płomienie syczały. Pięściak, który dotrzymywał kroku Alce, przystanął nagle i podniósł z podłogi pistolet.

– Musiał należeć do jednego ze śpiących – oznajmił radośnie. – Widzisz, jak błyszczy? Pewnie ani razu nie wypalił. Po swój nie mogę wrócić, bo muszę cię mieć na oku. A mój zaliczył z pięć tysięcy strzałów. – Podniósł broń do ramienia i wycelował.

Oreb skrzeknął.

– Uważaj! – ostrzegł żołnierza Alka. – Mógłbyś trafić szczebiotkę.

– Nie jest odbezpieczony. – Pięściak opuścił pistolet – Znałeś ją wcześniej, tak?

Alka pokiwał głową i zwolnił, czekając, aż Jelec ich dogoni.

– Chyba od wiosny.

– Kiedyś też miałem dziewczynę – rzekł Pięściak. – Była gosposią, ale patrząc na nią, w życiu byś się tego nie domyślił. Śliczna jak obrazek.

– I co się stało?

– Odesłali mnie do rezerwy. Zostałem uspiony, a kiedy się przebudziłem, nie stacjonowaliśmy już w mieście. Może powinienem był poszukać mojej Moli. – Pięściak wzruszył ramionami. – Ale doszedłem do wniosku, że przez ten czas już sobie pewnie kogoś znalazła. Prawie każdy kogoś ma, więc czemu nie ona?

– I ty kogoś sobie znajdziesz, jeśli tylko zechcesz – pocieszył go złodziej, przystając i patrząc wstecz, w głąb tunelu. Talus był jeszcze widoczny, ale tylko jako plamka pomarańczowego światła nie większa od pobliskiej lampy. – Mógłbyś być martwy, gdyby patere cię nie naprawił.

Pięściak pokręcił głową.

– Nigdy nie spłacę tego długu. Nie potrafię mu nawet okazać, jak bardzo go kocham. My nie umiemy płakać. Wiedziałaś o tym?

– Biedactwo! – Oreb był zaszokowany.

– Ty też nie płaczesz, kolego – zauważył Alka.

– Ptak płacze!

– Wy, mięśniaki, zawsze powtarzacie, jak to chemom jest dobrze – ciągnął Pięściak. – Nie możemy jeść, służba trwa siedemdziesiąt cztery, a czasem nawet sto dwadzieścia godzin non stop; śpimy tak długo, że whorl się zmienia i musimy poznawać nowe procedury, które rządzą naszym zachowaniem; na jedną kobietę przypada siedmiu albo ośmiu blaszaków. Chciałbyś tak żyć?

– Psiakrew, nie!

– Dzięki, żeście zaczekali. – Jelec złapał Alkę pod ramię, ale złodziej strząsnął jego rękę.

– Sam nie mogę za szybko chodzić.

– Mógłbym nieść was obu – stwierdził wesoło Pięściak. – Ale nie powinienem. Patere byłby niezadowolony.

Jelec odsłonił w uśmiechu lukę po dwóch przednich zębach.

– Mamusiu, tylko nie każ mi wsiadać do łódki!

Alka parsknął śmiechem.

– Patere chce dobrze – zapewnił ich żołnierz. – Troszczy się o mnie. Gotów byłbym dla niego umrzeć.

Alka postanowił nie mówić, co przyszło mu do głowy.

– Nie myślisz już o kumplach? – spytał. – O innych żołnierzach?

– Myślę, pewnie, że myślę. Ale najważniejszy jest patere.

Alka skinął głową, a żołnierz mówił dalej:

– Zastanów się, jak wygląda ten układ. Naczelnym dowódcą armii powinien być caldé; tak stanowią nasze ogólne rozkazy. Ale caldé nie ma i wszyscy kręcimy się w kółko. Nikt nie ma prawa nikomu rozkazywać, ale robimy to, bo brygada musi funkcjonować. Moim sierżantem jest Piasek, prawda?

– No...

– A Łupek i Flisz są u nas szeregowcami. Piasek mówi mi, co mam robić, a ja dyryguję nimi dwoma. Odpowiadają: „Tak jest, kapralu, jak kapral rozkaże”. Tylko że żaden z nas nie czuje się z tym dobrze.

– Dzieweczka poczeka? – zaniepokoił się Oreb, patrząc na nagie plecy oddalającej się Acalyphy.

– Prędzej czy później na pewno – powiedział Alka. – Stul dziób, Pięściak ciekawie mówi.

– Na przykład przedwczoraj – ciągnął kapral – pilnowałem więźnia. Kiedy stanęliśmy przy drzwiach i zepsuły się światła, uciekł mi. Gdyby wojsko normalnie funkcjonowało, zostałbym zdegradowany, rozumiesz? Ale ponieważ nie funkcjonuje, Piasek objechał mnie, a potem major dołożył swoje trzy grosze i po krzyku. Dlaczego? – Wyciągnął w stronę Alki gruby jak rura palec wskazujący. Złodziej pokręcił głową. – Powiem ci. Bo obaj wiedzą, że Piasek nie ma prawa mi rozkazywać i gdybym chciał, mógłbym się na nich wypiąć.

– Wypiąć? – Oreb obrzucił Pięściaka zdziwionym spojrzeniem.

– Mam się jaśniej wyrazić? Źle mi było z tym, że więzień mi się wymknął, ale jeszcze gorzej się czułem słuchając ich wymysłów. Nie z powodu tego, co mówili – znam takie gadki na pamięć – tylko dlatego że nie odebrali mi dystynkcji. Nie sądziłem, że kiedyś to powiem, ale tak właśnie jest: mogli mnie zdegradować, ale tego nie zrobili, bo wiedzą, że nie mają prawa. Nie działają w imieniu caldé. Cały czas powtarzałem sobie w myślach: „Nie musicie mi mówić, żebym odpruł naszywki. I tak to zrobię”. Ale gdybym sam pozbawił się szarży, sierżant i major poczuliby się głupio.

– Nigdy nie chciałem mieć nikogo nad sobą – stwierdził Alka.

– Trzeba mieć kogoś takiego... W każdym razie ja go potrzebuję. Dobrze się już czujesz?

– Lepiej niż przedtem.

– Pilnuję cię, bo tak kazał mi patere. Ledwie chodzisz. Wyrznąłeś się w łeb, kiedy talus zaliczył strzał. Wydawało nam się, że już po tobie. Patere nawet się to z początku spodobało, ale nie za bardzo: on naprawdę ma dobre serce.

– Ta dziewczucha bez przerwy ryczała i darła się na niego – wtrącił Jelec.

– To fakt. Sam zobacz...

– Zaraz! – przerwał mu Alka. – Acalypha płakała?

Jelec się zaśmiał.

– Bardziej żałowałem jej niż ciebie.

– Przecież jak się ocknąłem, to nawet jej przy mnie nie było!

– Pobiegnę gdzieś przed siebie. Rozmawiałem wtedy z talusem, alem widział.

– Kręciła się w pobliżu, kiedy odzyskałem przytomność – powiedział Pięściak. – Miała wyrzutnię, tylko pustą, a obok leżała druga, zmiażdżona. Nie wiem, może też ją sama przyniosła. W każdym razie po tym, jak porozmawiałem z patere o tobie i paru innych sprawach, pokazałem jej, jak przełożyć magazynek.

– Pozbierała się i poszła korytarzem, kiedy augur cię naprawiał – rzekł Jelec. – Ty leżałeś jak kłoda i nikt nie wiedział, coś sobie zrobił. Jak wróciła i zobaczyła, że się nie ruszasz, całkiem oklapła. Alka podrapał się za uchem.

– Czaszka ci pękła, kolego – ciągnął rybak. – Na pewno. aż to widywałem. Na mojej łajbie jeden taki oberwał w łeb bomem i przeleżał w kajucie parę dni, nim mogliśmy go na ląd wyciągnąć. Był przytomny, gadał do nas, ale potem zdryfował zupełnie. Sprowadziliśmy doktora; zrobił, co mógł, a dzień potem facet i tak umarł. Szczęściarz z ciebie, żeś mocniej nie dostał.

– Jak to szczęściarz? – spytał Pięściak.

– No przecież gada do rzeczy, nie? I nie chce umierać, nie bardziej niż ja.

– Wy, mięśniaki, zawsze tak mówicie. Ale sam popatrz: żadnych kłopotów, żadnej pracy, koniec z patrolami w tunelach, gdzie szukasz nie wiadomo czego, a jak ci się poszczęści, strzelisz sobie do boga. Nigdy już...

– Strzeli boga? – zaniepokoił się Oreb.

– Właśnie – zawtórował mu Alka. – O czym ty, do licha ciężkiego, gadasz?

– Tak je nazywamy – wyjaśnił Pięściak. – To zwierzęta, trochę podobne do psów, tylko okropnie paskudne.

– Nie widziałem tu jeszcze ani jednego zwierzaka.

– Bo krótko jesteś pod ziemią, chociaż wydaje ci się, że minęły wieki. Są tu nietoperze i padalce, zwłaszcza pod jeziorem. Wszędzie kręcą się bogowie, ale jest nas pięcioro, w tym jeden żołnierz, a poza tym sporo tu światła. Kiedy trafimy w jakieś ciemniejsze okolice, trzeba będzie uważać.

– Nie boisz się śmierci – przypomniał mu Jelec. – Takeś przed chwilą mówił.

– Teraz się boję. – Pięściak wskazał oddalonego o sto łokci Kowadełko. – To właśnie próbowałem wam powiedzieć. Alka mówi, że nie potrzebuje hierarchii ani dowódcy, takiego jak patere.

– Nie potrzebuję – potwierdził złodziej.

– No to siadaj i śpij. My z Jelcem pójdziemy dalej. Źle się czujesz; to widać. Nie bardzo możesz

chodzić – cóż, nie ma powodu, żebyś gdzieś szedł. Odczekam, aż prawie stracimy cię z oczu, a potem wpakuję ci parę kulek.

– Nie strzela! – zaprotestował Oreb.

– Poczekam, aż się całkiem uspokoisz, dobrze? Nie będziesz wiedział, że strzelę; pomyślisz wręcz, że dałem sobie spokój. Co ty na to?

– Piękne dzięki.

– No właśnie, o to mi cały czas chodzi. Taka perspektywa wcale nie brzmi zachęcająco. Gdybym upierał się przy swoim, zacząłbyś pewnie twierdzić, że musisz zaopiekować się dziewczyną, chociaż w tym stanie ledwie możesz zadbać sam o siebie. Albo okazałoby się, że twój gadający ptak cię potrzebuje, czy coś w tym guście. Ale to wszystko bzdura, bo tak naprawdę chodzi o to, że nie chcesz umierać, choćby twoja śmierć miała więcej sensu niż to, co robisz.

Alka wzruszył ramionami.

– Skoro tak mówisz...

– Z nami jest inaczej. Pomysł, że mógłbym tu usiąść i czekać na sen, a potem zasnąć i nigdy się nie obudzić, bardzo mi się podoba. Mojemu sierżantowi i majorowi też by się spodobał. Nie robimy tego tylko z jednego powodu. Mamy obowiązek strzec Vironu, czyli bronić caldé, bo to on decyduje, co jest dobre dla miasta, a co nie.

– Nowym caldé ma zostać Jedwab – zauważył Alka. – Sama Scylla tak powiedziała. Ja go znam.

– To byłoby wspaniałe – zgodził się z nim Pięściak. – Na razie jednak do tego nie doszło i nie wiadomo, czy w ogóle kiedyś dojdzie. A ja mam swojego patere, rozumiesz? Mogę tak jak teraz iść jego śladem, mieć go na oku, a on nawet nie broni mi patrzeć, chociaż z początku tak się upierał. I dlatego tak samo jak ty nie mam ochoty siąść tutaj i umrzeć!

– Dobrze! – Oreb z zapalem pokiwał głową. – Dobrze!

Nieco dalej w korytarzu Kowadełko zapytał natarczywie:

– Czy jesteś pewna, że to wszystko, córko?

– Wszystko, odkąd patere Jedwab dał mi rozgrzeszenie. Mówiłam ci już o tym, patere – odparła Acalypha. – W każdym razie nic więcej nie pamiętam. Zresztą ostatni raz spowiadałam się w sphigxdag – dodała przeprasząco. – Niewiele zdążyłam nagrzeszyć, a sam powiedziałaś, że nie liczy się to, co robiłam jako Kypris i Scylla.

– W rzeczy samej. Bogowie niezdolni są czynić zło, przynajmniej nie na naszym poziomie. – Kowadełko odchrząknął i sprawdził, czy dobrze trzyma paciorki. – Przynoszę ci zatem, córko,

przebaczenie wszystkich bogów. Odpuszczam ci winy w imieniu Paha Wielkiego. Odpuszczam ci winy w imieniu Echidny Boskiej. W imieniu chwalebnej, najdoskonalszej Scylli Lśniącej, najcudniejszej z bogiń, pierworodnej spośród Siedmiu, niewysłowionej patronki naszej...

– Już nią nie jestem, patere.

Kowadełko, który dał się ponieść nagłemu, choć błędnemu przyływowi emocji, dodał:

– Odpuszczam ci winy. Odpuszczam ci winy w imieniu Molpe. Odpuszczam ci winy w imieniu Tartarosa. Odpuszczam ci winy w imieniu Hieraxa. – Wziął głęboki oddech. – Odpuszczam ci winy w imieniu Thelxiepei. Odpuszczam ci winy w imieniu Phaei. Odpuszczam ci winy w imieniu Sphigx. I w imieniu wszystkich bogów pomniejszych, odpuszczam ci winy. Uklęknij, córko. Muszę nakreślić znak dodawania nad twoją głową.

– Wolałabym, żeby Alka nas nie zobaczył. Nie mógłbyś, patere...

– Uklęknij! – powtórzył z naciskiem Kowadełko i powodowany uświęconą dyscypliną dodał: – Pochyl głowę!

Acalypha usłuchała. Machnął nad nią paciorkami – najpierw w przód i w tył, a potem na boki.

– Mam nadzieję, że tego nie widział – szepnęła wstając. – Chyba nie przepada za religią.

– Chyba nie. – Kowadełko schował paciorki do kieszeni. – A ty, córko? Bo jeśli tak, to całkiem mnie oszukałaś.

– Myślałam, że powinnam uzyskać u ciebie rozgrzeszenie. Mogliśmy umrzeć, kiedy talus walczył z żołnierzami. Alka prawie zginął, a żołnierze mogli nas przecież potem dobić. Nie wiedzieli chyba, że jedziemy na grzbiecie talusa. Kiedy zaczął płonąć, wystraszyli się pewnie, że zaraz eksploduje. Gdyby mieli rację, zginęlibyśmy od wybuchu.

– Kiedyś i tak wrócą po swoich poległych. Przyznam, że to mnie niepokoi. Co będzie, jeśli ich spotkamy?

– Właśnie... Mamy się pozbyć radców?

– Kazałaś nam to uczynić, córko, kiedy Scylla cię opętała. Mamy też usunąć Jego Mądrość ze stanowiska. – Kowadełko pozwolił sobie na nikły uśmiezek. – Ja mam przejąć jego urząd.

– Wiesz, jak kończą ludzie, którzy stawiają się Ayuntamiento, patere? Zabija się ich albo wrzuca do jam. Wszyscy, o których słyszałam, tak właśnie skończyli.

Kowadełko smętnie pokiwał głową.

– Dlatego uznałam, że najlepiej będzie, jak cię namówię do rozgrzeszenia mnie, patere – ciągnęła Acalypha. – Został mi pewnie jeszcze dzień życia. Niewiele.

– Kobietom i augurom zwykle udaje się unikać hańbiącej egzekucji, córko.

– Kiedy sprzeciwią się Ayuntamiento? Wątpię. W najlepszym razie zamkną mnie w Alambrerze albo cisną do jam. A w jamach słabi są zjadani.

Niewysoki Kowadełko zadarł głowę, żeby spojrzeć jej w twarz.

– Zawsze uderzało mnie w tobie to, że jesteś silna, córko. Zwłaszcza po tym, jak mnie uderzyłaś, co pewnie pamiętasz. – Przepraszam, patere. Nie żywiłam do ciebie żadnej urazy. Zresztą, jak sam powiedziałaś, to się nie liczy. – Acalypha obejrzała się przez ramię. W oddali majaczyły sylwetki Alki, Jelca i Pięściaka. – Może trochę zwolnimy? – Z przyjemnością – zgodził się augur, który z trudem za nią nadążał. – Mówiłem, córko, że to, co mi wyrządziłaś, nie było złem. Scylla ma pełne prawo uderzyć mnie, tak jak matka dać klapsa dziecku. Porównaj tylko swoje zachowanie z tym, jak Alka się do mnie odnosi. Po prostu złapał mnie wrzucił do jeziora.

– Nie pamiętam tego.

– Scylla nie wydała mu takiego rozkazu, córko. Działał powodowany własnym złym impulsem. Gdyby ktoś mnie pytał, czy mogę go z tego rozgrzeszyć, wcale nie jestem pewien, czy byłbym do tego zdolny. Uważasz go za atrakcyjnego mężczyznę? – Alkę? Jasne, patere.

– Nie ukrywam, że i ja uznałem go za niczego sobie okaz, widząc go po raz pierwszy. Nie jest bynajmniej przystojny, lecz jego męska uroda i muskulatura robią wrażenie. – Kowadełko westchnął. – Czasem człowiek marzy... To znaczy, młoda kobieta, taka jak ty, marzy często o takim mężczyźnie, szorstkim w obejściu, ale miejmy nadzieję, nie całkiem pozbawionym wrażliwości. Kiedy jednak spotyka go w życiu, zawsze się rozczarowuje.

– Poszturchiwał mnie i bił, kiedy wdrapywaliśmy się do świątyni na urwisku. Mówił ci o tym?

– O wizycie w świątyni? – Kowadełko uniósł brwi. – Byłaś tam z Alką? Nie, nic o tym nie wiedziałem.

– O biciu. Myślałam, że może... Kiedy usiadłam na kamieniu, kopnął mnie. Kopnął mnie w nogę, patere. Rozeźliłam się na mego.

Augur pokręcił głową, poruszony brutalnością złodzieja.

– To do niego pasuje, córko. Ja z pewnością nie mam ci za złe tego gniewu.

– Dopiero później to zrozumiałam. Bo widzisz, patere, Kypris... Wiesz, zrobiła to samo co Scylla. Stało się to na pogrzebie Orlicy, takiej jednej szparki, którą znałam. – Acalypha przełożyła wyrzutnię do drugiej ręki i wierzchem dłoni przetarła oczy. – Cały czas jest mi przykro z jej powodu. Chyba już zawsze tak będzie.

– Twój smutek dobrze o tobie świadczy, córko.

– Ona leży teraz w grobie, a ja spaceruję tutaj, też pod ziemią, tyle że sarkofag mam większy. Zastanawiam się, czy dla niej śmierć wygląda podobnie.

– Jej duch z pewnością zjednoczył się w bogami w Centralnym Procesorze – zapewnił ją łagodnym głosem Kowadełko.

– Duch może i tak, ale co stało się z nią samą? Jak nazywacie ten materiał, z którego są ściany tuneli? Czasem buduje się z niego domy.

– Prości ludzie nazywają go rakplastem, bardziej uczeni zaś – nawizurytem.

– Wielka trumna z rakplastu. Właśnie w niej jesteśmy, pogrzebani pod ziemią jak Orlica. Zmierzałam do tego, patere, że Kypris nie przyznała się Alce, że mnie przejęła. Co innego Scylla, ta od razu postawiła sprawę jasno. Alka wziął Kypris za mnie. Bardzo mu się podobała, dał jej nawet ten pierścionek. Widzisz, patere? A potem Kypris porozmawiała z ludźmi w Limnie, udała się do manteionu i odeszła. Opuściła mnie, zostawiła samą przed świętym oknem. Byłam śmiertelnie przerażona. Za resztkę pieniędzy nakupiłam sobie czerwonej wstążki...

– Okowity, córko?

– No właśnie. Wlewałam ją w siebie, udając, że to rdza. Mają prawie taki sam kolor. Długo trwało, zanim przestałam się bać, ale nawet wtedy strach został, czaił się gdzieś głęboko w mojej głowie i bebeczach. A potem spotkałam Alkę. To było jeszcze w Limnie. Zaczepiłam go, bo kasa mi się skończyła i byłam już trochę podcięta, jak stara zdzira. No więc mnie uderzył. Nigdy nie bił tak mocno, jak kiedyś przyłożył mi Okoń. Przykro mi, że ja z kolei uderzyłam ciebie, patere. Czy bogowie nie powinni się o nas troszczyć?

– Ależ troszczą się, córko.

– Scylla nie. Mogła zostawić mi ubranie, żeby słońce mnie tak nie poparzyło. Na Drodze Pielgrzymów zgrzałam się, a poza tym długa suknia przeszkadzała iść, więc zdarła ją i wyrzuciła. Moją najlepszą zimową sukienkę.

– O tym właśnie chciałem z tobą pomówić, córko. – Kowadełko odchrząknął. – O twojej nagości. Powinienem być pewnie poruszyć ten temat, gdy cię spowiadałem, bałem się jednak, że możesz mnie źle zrozumieć. Ja też spaliłem skórę na słońcu, ale nagość, jak wiesz, jest zła.

– Faceci się napalają, widząc mnie czy Fiołka. Kiedyś widziałam, jak taki jeden prawie zaczął chodzić po ścianach, kiedy Fiołek się rozebrała, i to wcale nie do naga. Miała jeszcze na sobie taki stanik, który podnosi piersi, chociaż wygląda, jakby je skromnie zasłaniał.

– Nagość, córko – ciągnął z wysiłkiem Kowadełko – jest zła nie tylko dlatego, że pobudza słabych mężczyzn do sprośnych myśli, ale także sprzyja napaści i pohańbieniu niewiasty. Jak powiedziałem, sprośne myśli same w sobie są niewłaściwe, lecz nie niosą poważnego zła. Napaść, z drugiej strony, jest złem prawdziwym. W pierwszym wypadku sama ponosisz winę, jeżeli umyślnie

pokazujesz się nago; w drugim winny jest zawsze napastnik, który ma obowiązek powstrzymać się od gwałtu bez względu na to, jak bardzo go prowokujesz. Proszę cię jednak, córko, byś zastanowiła się, czy jakiemuś ludzkiemu duchowi można życzyć odrzucenia przez bogów?

– Najbardziej nie lubię, jak mnie kantują – stwierdziła Acalypha z niezachwianą pewnością w głosie.

– I tak bywa. – Kowadelko z zadowoleniem pokiwał głową. – Musisz zdawać sobie sprawę, że mężczyźni, którzy wykazują największą skłonność do takich napaści, w żadnym razie nie należą do najszlachetniejszych przedstawicieli naszej płci. Wręcz przeciwnie! Mogłaś umrzeć; wiele kobiet ginie w ten sposób.

– Chyba masz rację, patere.

– Z całą pewnością, córko. Z całą pewnością. Powiedziałbym, że w naszej grupie twoja nagość nie może na razie wyrządzić wiele szkody. Ja jestem na nią całkiem odporny. Podobnie zresztą jak żołnierz, którego z łaski Phaei i z jej pomocą zdołałem ocalić od śmierci. Jeśli chodzi o kapitana łodzi...

– O Jelca.

– Właśnie, o Jelca. Na niego również twoje wdzięki nie działają, jak mniemam, dzięki jego podeszłemu wiekowi. Alka, który budził moje największe obawy, gdy rozmyślałem o twoim losie, został dzięki interwencji Echidny Boskiej – która dba o czystość twojej i mojej płci – tak poważnie ranny, iż niezwykle mało prawdopodobne jest, by chciał cię napastować bądź...

– Alka? Wcale nie musiały mnie napastować.

Kowadelko z wysiłkiem przełknął ślinę.

– Wolałbym nie wracać do tego tematu, córko, czy to z powodu, który ty przedstawiłaś, czy też z przyczyn przeze mnie wyłożonych, które bardziej do mnie przemawiają. Zastanów się wszakże nad jedną jeszcze rzeczą. Mamy zakraść się do Juzgado, wykorzystując do tego zdradzoną przez talusa tesserę. Kiedy już się tam znajdziemy...

– To właśnie mamy zrobić po powrocie? Pewnie tak, chociaż myślałam raczej o tym, żeby zabrać Alkę do lekarza. Znam jednego niezłego doktora. Poza tym chciałabym spokojnie usiąść, wymoczyć nogi, znaleźć kogoś, kto położyłby mi róż i puder na policzki, wypachnił jakimiś perfumami... Napiałabym się i zjadła coś dobrego. Nie jesteś głodny, patere? Bo ja bym zeżarła konia z kopytami.

– Idea i praktyka postu nie są mi całkiem obce, córko. Wracając do tematu... mamy wejść do Juzgado. Tak polecił nam talus, nim szpony Hieraxa zamknęły się na jego sercu. Twierdził, że przemawia w imieniu Scylli, a ja mu wierzę. Powiedział też, że Ayuntamiento ma zostać zniszczona. Sama Scylla również o tym wspomniała przy tej niezapomnianej okazji, kiedy oznajmiła, że wybrała mnie na przewodniczącego Kapituły. Talus kazał nam ogłosić jej słowa komisarzom i zdradził

tesserę, która pozwoli nam przeniknąć do piwnic. Muszę przyznać, iż nie zdawałem sobie sprawy z istnienia dolnego poziomu podziemi, najwidoczniej jednak się myliłem. Weź więc, córko, pod uwagę, że wkrótce...

– Powiedział „Tetyda”, prawda? Zastanawiałam się, co to znaczy. Czy to słowo działające jak klucz? Słyszałam, że są drzwi, które się w ten sposób otwiera.

– Pradawne drzwi – przytaknął Kowadełko. – Skonstruowane przez Paha Wielkiego w czasach, kiedy budował whorl. W pałacu przewodniczącego Kapituły są takie drzwi. Znam ich tesserę, ale nie mogę o niej mówić.

– „Tetyda” brzmi jak imię boga. Czy to możliwe? Właściwie niewiele wiem o bogach, poza Dziewięcioma. No i Zewnętrznym, o którym mówił mi patere Jedwab.

– Słusznie się domyślasz, Tetyda to imię bogini. – Kowadełko rozpromienił się z zadowolenia. – W Piśmie, córko, opisano procedurę wyboru augurów w malowniczych, a przy tym wyrazistych słowach. Napisano tam... – Augur umilkł. – Niestety, nie zdołam zacytować stosownego fragmentu; obawiam się, że muszę go sparafrazować. Napisano, że każdy nowy rok, który sprowadza nam Pah, jest jak flota. Wiesz, jak wygląda łódź, córko; bądź co bądź, razem płynęliśmy na tej żalostnej rybackiej krypie.

– No pewnie.

– Każdy rok, jak już wspomniałem, porównany jest do floty składającej się z łodzi, czyli dni – pięknych łodzi, pełnych szlachetnych ludzi. Każda musi wyminąć Scyllę w swym rejsie do nieskończoności. Niektóre przepływają bardzo blisko niej, inne zachowują większy dystans, a ich młoda załoga tłoczy się przy burcie bardziej odległej od czułych objęć bogini. Nie ma to żadnego znaczenia. Z każdej łodzi Scylla wybiera młodych, których sobie upodoba.

– Nie rozumiem, jak...

– Jak to jednak się dzieje – ciągnął z naciskiem Kowadełko – że te łodzie w ogóle obok niej przepływają? Dlaczego nie stoją bezpiecznie na kotwicy, w porcie? Dlaczego nie płyną gdzie indziej? Dzieje się tak za sprawą pewnej pomniejszej bogini, której zadaniem jest kierować statki w ramiona Scylli. Nazywana jest Tetydą i nic dziwnego, że jej imię jest dla nas najbardziej stosowną tesserą. Czyli kluczem, jak sama powiedziałaś; biletem albo ceramicznym żetonem, który pozwoli nam przeniknąć do wnętrza Juzgado, a przy okazji wyzwoli nas z mroku i zimna tych strasznych tuneli.

– Myślisz, że znaleźliśmy się w pobliżu Juzgado, patere?

– Tego nie wiem, córko. – Augur pokręcił głową. – Przebyliśmy szmat drogi na grzbiecie nieszczęsnego talusa, który poruszał się bardzo szybko. Mam nadzieję, że znajdujemy się już pod miastem.

– Ja tam wątpię, żebyśmy wydostali się daleko poza Limnę – stwierdziła Acalypha.

Alce głowa pękała z bólu. Czasem miał wrażenie, jakby ktoś wbił mu w czaszkę gruby klin, innym znów razem – jakby w jego mózgu tkwił stalowy ćwiek. Udręczony, niczym automat stawiał kolejne kroki na nieskończonej drodze. Oreb spacerował mu z jednego ramienia na drugie, wczepiając się szponami i dziobem w ubranie.

Za Alką szedł Pięściak. Masywne, oklejone gumą stopy czyniły na wilgotnej rakplastowej posadzce mniej hałasu niż buty złodzieja. Gdy tylko Alka zaczynał jaśniej myśleć, snuł plany odebrania chemowi igłowca, iluzoryczne wizje, które bardziej przypominały koszmary senne niż rzeczywisty spiszek. Chciał zepchnąć Pięściaka z urwiska do jeziora, podciąć go podczas wspinaczki po dachu, włamać się do jego domu i zastać go pogrążonego we śnie, wykraść igłowiec z jego sejfu... Kaprał koziołkując staczał się z dachu, Alka zaś pakował w niego igłę za igłą. Kleisty, czarny płyn wyciekał z ran Pięściaka, brudząc świeżą pościel i zmieniając wody jeziora w czarną posokę, w której obaj tonęli.

Ale nie, przecież igłowiec zabrał mu Kowadełko – trzymał go za pasem, pod czarną togą. Pięściak miał pistolet. Kula z takiej broni może zabić nawet żołnierza; czasem przebija glinianą ścianę domu, masywne ciało konia albo wołu – o człowieku już nie wspominając – i zadaje straszliwe rany.

Jelec miał nóż. Pod tuniką, zatknięty za pas nosił stary, spiczasto zakończony nóż o szerokim ostrzu, którym skrobał i patroszył złowione ryby. Zwinnie i pewnie posługiwał się masywnym narzędziem, tak – zdawałoby się – niezdatnym do tej roboty. W dodatku nie był wcale człowiekiem, lecz zausznikiem i sługą starego noża, jego przewoźnikiem, tak jak stara łódź Jelca niosła ich wszystkich niczym dziecięca zabawka, choć nic jej nie napędzało – a zabawki mogą latać i strzelać, gdy mają stosowny kształt, choć w środku są puste jak łódź Jelca, kruche jak łódź albo solidne jak ziemiak. Ale Drop zajmie się Jelcem.

Drop, jego brat, zabrał mu procę, bo on, Alka, strzelał do kotów. I nie chciał mu jej oddać. Nigdy nie postępował uczciwie – ani gdy pierwszy przyszedł na świat (choć jego imię zaczynało się na D, a Alki na A), ani wówczas, gdy pierwszy zmarł. Oszukiwał do końca, a nawet jeszcze później, nie tylko własnego brata, co zawsze czynił, ale i samego siebie. Takie było życie; taka była śmierć. Człowiek żył, dopóki go nienawidziłeś, po czym umierał, ledwie zdążyłeś go polubić.

Kiedy Drop żył, nikt inny nie mógł Alki skrzywdzić, tylko on – zastrzegł sobie taki przywilej. A teraz wrócił i go niósł, niósł znowu w ramionach, chociaż Alka zapomniał już, żeby brat kiedykolwiek go nosił na rękach. Był tylko o trzy lata starszy od niego. Czy mógł być matką, którą, jak twierdził, pamiętał? Matką, której on, Alka, nigdy nie mógł sobie przypomnieć? Drop z czarnym ptakiem na głowie, niczym na szczycie damskiego kapelusza. Ptak miał czarne, lśniące oczy i podrygiwał przy każdym ruchu głowy Dropia – wypchane ptaszysko, przedrzeźniające życie i oszukujące śmierć.

Dropie były ptakami. Umiały latać – tak brzmiała prawda Lilii, matka Dropia była bowiem matką

Alki i była Lilią, a jej imię oznaczało prawdę. Naprawdę odleciała z Hieraxem i zostawiła ich samych. Dlatego nigdy nie modlił się do Hieraxa, śmierci, boga śmierci i im podobnych, a w każdym razie bardzo rzadko i nigdy szczerze, chociaż Jelec twierdził, że należy do Hieraxa, więc Hierax zabrał Dropia, brata, który mu matkował i podstępem odebrał procę.

– Jak się czujesz, wielkoludzie?

– Dobrze – odpowiedział Jelcowi. – Doskonale. – I dodał: – Mdli mnie.

– Dasz radę podejść jeszcze trochę?

– Poniosę go – zaofiarował się brat Alki. Tembr szorstkiego głosu zdradzał, że Drop jest w rzeczywistości kapralem Pięściakiem. – Patere mi pozwolił.

– Nie chciałbym zarzygać ci ubrania – powiedział Alka. Żołnierz zaśmiał się głośno. Jego metalowe ciało wcale się przy tym nie zatrzęsło, a niesiony na barku pistolet lekko tylko zagrzechotał mu o plecy. – Gdzie szczebiotka?

– Tam, z przodu. Idzie z patere.

Alka podniósł głowę, próbując spojrzeć przed siebie, ale ujrzał tylko blask ognia, niteczkę czerwieni w spowitym zieloną poświatą korytarzu, a potem błysk eksplodującej rakiety.

Biały byk został zabity. Szkarłatna krew trysnęła z rozciętej aorty i po nieskazitelnie białej szyi spłynęła na poślaczane kopyta. Teraz! – pomyślał Jedwab, patrząc, jak upleciony z cieplarnianych orchidei wieniec zsuwa się z pokrytych złotem rogów.

Uklęknął obok łba zwierzęcia. Teraz albo nigdy.

Ledwie to pomyślał, zjawiała się. Czubek ofiarnego noża zarysował pierwsze cięcie wokół prawego oka wołu, gdy uwagę Jedwabia przyciągnęły święte odcienie w szarym dotąd oknie: intensywny płowy, świetlista żółć w wielu odcieniach, lazur, gołębia szarość, róż, czerwień i burzowa czerń. A potem słowa – słowa, których z początku nie potrafił rozpoznać, wypowiedane głosem, który mógłby niemal należeć do wiedźmy, gdyby był starszy i mniej dźwięczny.

– Słuchajcie mnie, wy, którzy jesteście czyści.

Jedwab zakładał, że jeśli ktoś z bogów zaszczyci ich swą obecnością, będzie to Kypris. Tymczasem twarz bogini o całkiem obcych rysach wypełniała święte okno; pałające ogniem oczy znajdowały się pod jego górną krawędzią, wąskie usta spływały poza dolny skraj.

– Do kogo należy to miasto, augurze?

Rozległ się szelest ubrań, gdy wszyscy, którzy słyszeli boginię, padli na kolana. Klęczący obok wołu Jedwab skłonił się z namysłem.

– Do twojej najstarszej córki, Wielka Królowo. – Wijące się wokół jej oblicza węże, masywniejsze niż męska kiść, ale przy olbrzymich oczach, ustach, nosie i bladych, zapadniętych policzkach nie grubsze od włosów, pozwoliły mu od razu rozpoznać boginię. – Viron jest miastem Scylli Parzącej.

– Zapamiętajcie to sobie wszyscy. Zwłaszcza ty, przewodniczący.

Zaskoczony Jedwab z trudem powstrzymał się od zerknięcia przez ramię. Czy to możliwe, że w wielotysięcznym tłumie znajdował się sam przewodniczący Kapituły?

– Obserwowałam was – mówiła dalej Echidna. – Słuchałam.

Ciszy nie mąciło nawet pobekiwanie ostatnich zwierząt ofiarnych.

– Miasto musi pozostać w rękach mojej córki. Taka była wola jej ojca, a ja przemawiam wszędzie w jego imieniu. Taka jest więc i moja wola. Pozostałe ofiary macie złożyć właśnie jej, nikomu innemu. Nieposłuszeństwo grozi unicestwieniem. Jedwab ponownie pochylił głowę w ukłonie.

– Stanie się zgodnie z twoimi życzeniami, Królowo.

Przez chwilę miał wrażenie, że nie tyle oddaje cześć bóstwu, ile raczej ugina się pod groźbą użycia siły, nie było jednak czasu, by analizować to uczucie.

– Nikt z was nie nadaje się na przywódcę, niech więc ona was poprowadzi. Niech wystąpi spośród was.

Echidna oczyma czarnymi i twardymi jak opale patrzyła na maytere Miętę, która wstała i ze schyloną głową, drobnymi kroczkami podeszła do przerażającego oblicza w świętym oknie. Stanąwszy obok Jedwabia, niewiele go przewyższała, choć przecież augur klęczał.

– Tęskno ci do miecza.

Jeśli nawet Mięta kiwnęła głową, skinienia tego nie sposób było dostrzec.

– Sama jesteś mieczem. Moim. I Scylli. Jesteś mieczem Ośmiu Wielkich Bogów.

Spośród tysięcy obecnych najwyżej pięć setek mogło słyszeć wcześniejsze słowa maytere Marmur, patere Gulo czy Jedwabia. Wszyscy jednak – od mężczyzn stojących przy pochyłym ołtarzu, którym spodnie zbryzgała krew ofiar, po dzieci w ramionach matek niewiele starszych od nich samych – słyszeli dudniący głos bogini. Wszyscy też na swój ograniczony sposób rozumieli ją, Echidnę Wielką, Królową Bogów, najwyższą i najbliższą przedstawicielkę Paha Dwugłowego. Kiedy przemówiła, poruszyli się jak źdźbła pszenicy, przeczuwające nadchodzącą burzę.

– Miastu trzeba przypomnieć znaczenie słowa „wierność”. Tych, którzy ją sprzedali, należy

usunąć. Tych, którzy sprawują rządy, zabijcie. Przywróćcie Kartę mojej córki. Najteższą twierdzę w mieście, więzienie, które zwiecie Alambrerą, zburzcie.

Maytere Mięta uklękała. Znów rozbrzmiał głos niczym srebrna trąbka:

– Tak się stanie, Wielka Królowo!

Jedwab nie mógł uwierzyć, że drobna, nieśmiała sybilla, którą tak dobrze zna, przemawia tak donośnie.

Po złożonej przez nią obietnicy teofania dobiegła końca. Byk leżał martwy obok Jedwabia. Święte okno znów było puste, chociaż na całej ulicy Słońca wciąż klęczeli wierni o twarzach zdradzających bądź to oszołomienie, bądź też najwyższą rozkosz. Daleko od ołtarza – tak daleko, że nawet Jedwab, który wstał z kolan, jej nie widział – jakaś kobieta krzyczała w ekstazie.

Augur wznosił ramiona, tak jak uczynił to na pokładzie ślizgacza.

– Ludu Vironu! – Sądząc po reakcji, mniej więcej połowa zebranych usłyszała jego słowa. – Królowa whorla zaszczycała nas swoją obecnością! Echidna we własnej osobie...

Słowa, które przygotował sobie w myślach, uwięzły mu w gardle, gdy na miasto spadła ściana ognia. Jego cień, rozmazany jak wszystkie cienie w dobroczynnych promieniach długiego słońca, przeobraził się nagle w czarną jak smoła sylwetkę o ostrych krawędziach, jakby wyciętą z papieru. Jedwab zamknął oczy i zachwiał się na nogach, porażony oślepiającym blaskiem, a kiedy ponownie podniósł powieki, ogień zgasł. Usychający figowiec, którego najwyższe gałęzie wystawały ponad okalający ogród mur, zajął się ogniem – suche liście skwierczały i trzaskały donośnie, a z drzewa bił w niebo słup gęstego dymu.

Nagły podmuch wiatru ożywił płomień i rozwiął dym. Poza płonącym figowcem nic się nie zmieniło. Mężczyzna o wyglądzie brutala, klęczący przy ołtarzu, spytał:

– Czy to również były słowa bogów, patere?

Jedwab odetchnął głęboko.

– Owszem. Tym razem przemówił inny bóg niż Echidna i ja go rozumiem.

Maytere Mięta zerwała się na równe nogi, a wraz z nią setka lub więcej ludzi. Jedwab rozpoznał Liatrę, Marę, Piórko, Aloes, Zorillę, Roga i Pokrzywę, Ostrokrzew, Jelenia, Wielbłąda, Astra, Makaka i wielu innych. Srebrna trąbka głosu Mięty wzywała ich wszystkich do boju:

– Echidna przemówiła! Widzieliśmy, jak wygląda gniew Paha! Do Alambrery!

Wśród tłumu zapanowało wzburzenie. Ryknął silnik ślizgacza. Gwardziści – konni i piesi – krzyczeli:

– Do mnie! Do mnie! Na Alambrerę!

Któryś z nich wystrzelił w powietrze.

Jedwab rozejrzał się za Gulem, chcąc zlecić mu ugaszenie płonącego drzewa, ale młody augur znajdował się już kilkadziesiąt metrów dalej, prowadząc grupę stu lub więcej ludzi. Inni przywiedli białego rumaka i podali wodze maytere Mięcie. Jeden z mężczyzn pochylił się, złożył dłonie w podpórkę i Mięta z niewiarygodną zwinnością wskoczyła na grzbiet wierzchowca. Dźgnięty piętami w boki koń stanął dęba.

Nagle Jedwab poczuł ogromną ulgę.

– Maytere! – krzyknął. – Maytere! – Przełożył nóż ofiarny do lewej ręki i zapominając o godności, jaką powinni okazywać augurowie, podbiegł do Mięty. Czarna toga wzdymała mu się na wietrze. – Weź go!

Srebrzysty, zielony jak trawa i czerwony jak krew azoth, który otrzymał od Żurawia, błysnął w słońcu, gdy Jedwab cisnął go ponad głowami ludzi. Rzucił broń wysoko i ze dwa łokcie w bok od Mięty, ale był przekonany, że maytere złapie azoth bez trudu. Tak też się stało.

– Naciśnij krwawnik – krzyknął – a ostrze się wysunie! Chwilę później wycelowane w niebo ostrze rozdarło materię rzeczywistości.

– Chodź z nami, patere! – odkrzyknęła Mięta. – Dołącz do nas, gdy tylko złożysz ofiarę!

Jedwab skinął głową.

Najpierw oko prawe. Jedwab miał wrażenie, że wieki całe upłynęły od chwili, gdy pierwszy raz uklęknął, by wyciąć bykowi oko, do momentu gdy wreszcie rzucił je w ogień, odmawiając cicho litanię do Scylli. Zanim ją skończył, przed ołtarzem została ledwie garść starców i grupa małych dzieci pod opieką starszych kobiet – wszystkiego może ze stu ludzi.

– Język dla Echidny – oznajmiła maytere Marmur cichym, bezbarwnym głosem. – Echidna do nas przemówiła.

Bogini osobiście zaleciła, by dalsze ofiary złożono Scylli, ale Jedwab przychylił się do prośby sybilli.

– Spójrz na nas, Echidno Wielka, matko bogów, Echidno Niezrównana, Królowo naszego whorla... – Czy istniały i inne whorle, w których Echidna nie była Królową? Cała wiedza, jaką Jedwab opanował w scholi, przeczyła temu, lecz uznał, że warto zmienić tradycyjną treść modlitwy. – Wesprzyj nas, Echidno, i poprzez ogień wyzwól.

Łeb wołu był tak ciężki, że Jedwab z trudem go podniósł; spodziewał się, że maytere Marmur mu pomoże, ale sybilla ani drgnęła. Zastanawiał się, czy pozłota na rogach zwyczajnie się stopi, czy też

wyparuje w płomieniach. Druga możliwość wydała mu się mało prawdopodobna, więc zakarbował sobie w pamięci, by wydobyć złoto z popiołów. Powłoka, choć cieniuteńka, i tak powinna być coś warta. Od kilku dni nosił się z zamiarem polecenia Rogowi i innym chłopcom, by odmalowali frontową ścianę palestry; potrzebne będą pędzle i farba.

A teraz Róg wraz z kapitanem, miejscową młodzieżą i porządnymi ludźmi z całej okolicy szturmowali Alambrerę pod wodzą maytere Mięty. Poszli z nimi chłopcy, którym wąż jeszcze nie zaczął się sypać, dziewczynki w ich wieku i młode matki, które nigdy nie miały miecza w dłoni. Jeśli przeżyją...

Jeżeli niektórzy z nich przeżyją, poprawił się w myślach.

– Spójrz na nas, Scyllo Rozkoszna, cudowna pani wód, dostrzeż naszą miłość i tęsknotę. Oczyść nas, o Scyllo. I wyzwól nas przez ogień.

Ostatnie słowa wypowiedało się w litanii do wszystkich bogów, nawet do Tartarosa, boga nocy, i Scylli, bogini wody. Kładąc z rozmachem łeb wołu na ołtarzu i poprawiając go, by nie spadł, Jedwab uświadomił sobie, że „wyzwolenie przez ogień” musiało być pierwotnie zastrzeżone dla samego Paha. Albo może dla Kypris; miłość była jak płomień. Kypris opętała Acalyphę, która miała malinowe włosy. A co z ognikami znaczącymi krainy niebios pod pustą kamienistą równiną – brzuchem whorla?

Maytere Marmur nie obłożyła głowy byka świeżymi cedrowymi polanami, choć należało to do jej obowiązków. Jedwab musiał zrobić to sam. Zużywał tyle drewna, ile spaliliby w całym poprzednim tygodniu, przed przybyciem Kypris.

Prawe przednie kopyto, potem lewe, prawe tylne i lewe tylne – Jedwab trochę się namęczył, nim odciął ostatnie. Z powątpiewaniem przesunął palcem po ostrzu noża: nadal było ostre.

Nawet bezpośrednio po objawieniu się bogini nie do pomyślenia było, żeby augur nie odczytał wróżby z tak dużego zwierzęcia. Jedwab rozciął ogromny brzuch byka i zaczął oględziny wnętrza.

– Wojna, tyrania, okrutne pożary... – Mówił cicho, mając nadzieję, że starzy ludzie go nie usłyszą. – Możliwe, że się mylę. Mam taką nadzieję. Echidna przemówiła do nas osobiście. Z pewnością ostrzegłaby nas, gdyby zbliżała się jakaś tragedia.

Wyobraził sobie, jak duch doktora Żurawia uśmiecha się z pobłażaniem. Posłanie od bogów w bebeczach martwego bydlęcia, Jedwabiu? Po prostu rozmawiasz z własną podświadomością, ot co!

– To, że się mylę, jest nawet bardziej niż prawdopodobne; w tej wspaniałej ofierze odczytuję tylko własne lęki. – Jedwab podniósł głos. – Powtarzam: Echidna nic takiego nie mówiła. – Poniewczasie zdał sobie sprawę, że powinien był przekazać słowa bogini wiernym. Zrobił to teraz, przypominając przy okazji, iż Echidna zajmuje miejsce u boku Paha i pełni rolę bogini skromności i płodności. – Sami widzicie więc, że Echidna Wielka po prostu kazała nam wyzwolić miasto. A

ponieważ ci, którzy nas opuścili, wyruszyli z jej polecenia, możemy być pewni ich triumfu.

Serce i wątrobę byka Jedwab ofiarował Scylli.

Do nielicznej grupy starców, kobiet i dzieci dołączył młody mężczyzna. Było coś znajomego w jego sylwetce, chociaż krótkowzroczny Jedwab, widząc tylko jego pochyloną głowę, nie mógł sobie przypomnieć, skąd go zna. Mężczyzna był niski, miał czarne lśniące loki i przepyszną różową tunikę przetykaną złotą nicią.

Serce byka zaskwierczało, a potem pękło z hukiem, syjąc dookoła iskrami. Był to znak niepokoju wśród obywateli – znak jednak spóźniony, wzburzenie przeobraziło się w rewolucję, która pochłonęła już zapewne pierwsze ofiary.

Rzeczywiście – zginął roześmiany doktor Żuraw i młody żołnierz o poważnej twarzy. Rankiem (rankiem tego samego dnia!) Jedwab zamierzał powiedzieć kapitanowi, że Ayuntamiento można obalić nie uciekając się do gwałtu – obywatele odmówiliby płacenia podatków i przychodzenia do pracy, a gwardia aresztowałaby wszystkich urzędników posłusznych czterem ostatnim radcom. Zamiast tego przyczynił się do rozpętania prawdziwej zawieruchy. Spochmurniał, przypomniawszy sobie, że trąba powietrzna jest najstarszym z symboli Paha. Usilnie starał się zapomnieć, że Echidna wspomniała tylko o Ośmiu Wielkich Bogach.

Wprawnym cięciem zdjął ostatni płat skóry z zadu byka i wrzucił go w sam środek stosu.

– Bogowie w swej łaskawości zapraszają nas do udziału w uczcie. Uświęcają i oddają nam pożywienie, które im ofiarujemy. Ofiarodawcy nie ma już wśród nas, jak sądzę? W takim razie niech wystąpią ci, którzy oddają cześć bogom.

Mężczyzna w różowej tunice ruszył w stronę ołtarza, ale jedna z kobiet złapała go za rękaw.

– Najpierw dzieci! – wyszczała.

Jedwabiowi przyszło do głowy, że młody człowiek nie uczestniczył pewnie w nabożeństwie, odkąd wyrósł z lat szczenięcych.

Każdemu dziecku ofiarował solidny kawał mięsiwa, nabity na czubek noża. Wiele z tych maluchów nieprędko znów zobaczy mięso. Resztki zostaną jutro ugotowane i podane szczęśliwym uczniom w palestrze. Jeżeli w ogóle będzie jakieś jutro dla palestry. Na końcu podeszła mała dziewczynka. Jedwab odważnie odciął dla niej gruby plaster. Jeżeli Kypris wybrała Acalypnę ze względu na płomienne włosy, dlaczego upodobała sobie także maytere Miętę, do czego ta przyznała mu się w altanie, zanim udał się do Limny? Czy maytere kochała kogoś w swoim życiu? Jego umysł opierał się takiemu pomysłowi, ale... Czy Acalypa, która w ataku paniki zasztyletowała Orlicę, kochała kogoś poza sobą samą? Czy też miłość własna była Kypris równie miła jak inne jej rodzaje? Orchidei powiedziała wprost, że nie.

Pierwszej z kobiet podał jeszcze większy kawał mięsa. W kolejce czekały dalsze kobiety, starcy,

samotny młodzik i na końcu maytere Marmur (jedyna sybilla obecna przy ofiarowaniu), która odbierze resztki dla palestry i świątyni. Gdzie tego ranka podziiała się maytere Róża?

Pierwszy starzec wymamrotał słowa podziękii, skierowane do Jedwabia, nie do bogów. Jedwab przypomniał sobie wtedy, że inni postępowali tak samo podczas nabożeństwa żałobnego Orlicy. Postanowił porozmawiać z nimi o tym w najbliższy scyldag – jeżeli wciąż będzie na wolności.

Stanął przed nim ostami ze starych ludzi. Jedwab wyciął dlań gruby plaster udźca i przeniósł wzrok na stojącą za nim i za młodzieńcem maytere Marmur. Spodziewał się, że sybilla zgromi go wzrokiem za szczodrość. Wtem rozpoznał mężczyznę w różowej szacie.

Na chwilę, która zdawała się trwać całe wieki, zamarł bez ruchu. Inni poruszali się z mazołem, niczym muchy złapane w kałużę miodu. Maytere Marmur cał po calu przesuwiała się w jego stronę; uśmiechała się łagodnie. Czują zapewne to samo co on – czy palestrę czeka jeszcze jakieś jutro? Staruszek skinął wolno głową i obnażywszy dźiąsła w bezzębny uśmiechu, odwrócił się, by odejść. Jedwab poczuł nagłą chęć sięgnięcia do prawej kieszeni spodni, gdzie spoczywał złoty igłowiec, podarowany przez doktora Żurawia Hiacyntowi. Musiałby jednak najpierw wypuścić z ręki nóż, a to zajęłoby mu długie tygodnie, jeśli nie lata.

Błysk naoliwionego metalu, gdy Piżmo wyciągnął igłowiec, zmieszał się z matowym połyskiem ramion maytere Marmur. Huk wystrzału został zagłuszony przez jazgot lecącej igły, która przebiwszy rękaw togi Jedwabia, zboczyła z prostej trajektorii.

Maytere Marmur opłotła Piżmo ramionami. Jedwab uderzył go w rękę, wytrącając igłowiec z dłoni. Piżmo krzyknął. Stare kobiety oddalały się pośpiesznie przed ołtarza, zaganiały przed sobą gromadki dzieci. Mały chłopiec wyminął biegiem Jedwabia i zniknął za trumną, a kiedy się zza niej wynurzył, rączki zaciskał na igłowcu Piżma, wycelowanym we właściciela broni.

Dwie myśli jednocześnie przebiegły Jedwabiowi przez głowę. Po pierwsze: Kosmek mógł w każdej chwili strzelić i przez przypadek zabić Piżma. Po drugie: nic a nic go to nie obchodziło.

Złamany kciuk Piżma zwisał na strzępie skóry; krew z rany zmieszała się z posoką zabitego byka.

– To on cię tu przysłał, prawda? – spytał Jedwab, nie mogąc ogarnąć sytuacji. – Kazał ci to zrobić?

Przed oczyma stanęła mu zaróżowiona, zroszona potem twarz pracodawcy Piżma, choć akurat w tej chwili nie potrafił sobie przypomnieć jego imienia.

Piżmo splunął. Gęsta żółta flegma przylgnęła do szaty augura. Maytere Marmur pociągnęła przybysza przed ołtarz i przygięła go w dół, prosto w buchający ogień. Piżmo splunął ponownie, tym razem sybilli w twarz. Szarpiąc się rozpaczliwie, niemal podźwignął ją z ziemi.

– Czy mam go zastrzelić, maytere? – spytał Kosmek. Jedwab pokręcił przecząco głową.

– Ten oto piękny, żywy człowiek zostaje złożony w ofierze mnie samej – powiedziała wolno, wyraźnie sybilla – Mnie, Echidnie Boskiej. – Jej kościste i poznaczone błękitnymi żyłkami dłonie starego biochema czerwieniały w ogniu. – Matce Bogów. Echidnie Niezrównanej, Królowej whorla. Echidno Piękna! Obdarz nas swym uśmiechem. Ześlij nam zwierzynę na łowy. Echidno Wielka! Spraw, by dla naszego bydła wyrosła soczysta trawa...

Piżmo jęknął. Oczy wychodziły mu z orbit, ubranie zaczynało się na nim dymić.

Jedna ze starych kobiet parsknęła nerwowym śmiechem. Jedwab odszukał ją wzrokiem i po trupim uśmiechu rozpoznał, z kim ma do czynienia.

– Wracaj do domu, Pleśnio!

Starucha zaśmiała się ponownie.

– Echidno Boska! Wyzwól nas przez ogień – dokończyła maytere Marmur.

– Puść go, Echidno – rzucił krótko Jedwab.

Jedwabna tunika Piżma stanęła w płomieniach, podobnie jak rękawy habitu trzymającej go sybilli.

– Puść go!

Przewrotna samodyscyplina, wpojona maytere Marmur w Orilli, zawiodła. Piżmo wył z bólu; każdy kolejny jego krzyk był słabszy i bardziej przerażający od poprzedniego. Jedwabowi, który bezskutecznie szarpał sybillę za ramiona, krzyki przywodziły na myśl łopot skrzydeł śmierci, czarnych skrzydeł Hieraxa Wielkiego, który przemierza whorl, wynurzywszy się z Centralnego Procesora na biegunie wschodnim.

Igłowiec Piżma szczeknął dwukrotnie, raz za razem, szybko, jakby się zająknął. Pociski wyłobily bruzdy w policzkach maytere Marmur i nie czyniąc jej szkody, z płaczącym jękiem poleciały w niebo.

– Przestań – rozkazał Jedwab Kosmkowi. – Na nic się to nie zda, a mógłbyś mnie trafić.

Chłopiec wzdrygnął się i zdumiony spojrzał w dół. Czarna żmija o przykurzonych łuskach owinęła mu się wokół kostki.

– Nie uciekaj – przestrzegł Jedwab i schylił się, żeby Kosmkowi pomóc. W ten sposób uratował własną skórę: drugi, większy wąż wysunął tępo zakończony łeb zza kołnierza maytere Marmur, rzucił się naprzód i chybił jego szyi.

Augur oderwał żmiję oplecioną wokół nogi chłopca, odrzucił ją na bok. Czubkiem noża ofiarnego powiększył ranki, wycinając płytkie znaki dodawania.

– Leż spokojnie – polecił chłopcu i przytknął usta do nacięć, by wysssać krew.

Wrzaski Piżma ucichły. Maytere Marmur odwróciła się od ołtarza. Habit stanął w ogniu i zsunął się jej z wąskich ramion. W obu rękach trzymała po jednym wężu.

– Przywołałam dzieci z zaułków i ogrodów tego zdradzieckiego miasta. Czy nie wiesz, kim jestem?

Głos sybilli zabrzmiał tak znajomo, że Jedwab miał wrażenie, iż popada w obłęd. Splunął krwią.

– Chłopiec należy do mnie – mówiła dalej sybilla. – Mam do niego prawo. Oddaj mi go.

Jedwab ponownie wypluł krew i wstał, trzymając Kosmka w ramionach.

– Tylko nieskalane istoty można podarować bogom – odparł. – Ten chłopiec został ukąszony przez jadowitego węża. Nie nadaje się na twoją ofiarę.

Maytere Marmur dwa razy machnęła sobie żmiją przed oczyma, jakby odganiała natrętną muchę.

– Tobie to sądzić czy mnie?

Płonący habit upadł jej do stóp. Jedwab wyciągnął przed siebie rękę.

– Powiedz mi, Echidno Wielka, dlaczego Pah się na nas rozgniewał?

Sybilla sięgnęła po chłopca, spojrzała na trzymaną w ręku żmiję, jakby dopiero teraz ją zobaczyła.

– Pah nie żyje, a ty jesteś durniem. Daj mi Alkę.

– Chłopiec nazywa się Kosmek – wyjaśnił Jedwab. – Alka był w jego wieku dwadzieścia lat temu. – Maytere nie zareagowała, więc dodał: – Wy, bogowie, możecie nami zawładnąć. Nie wiedziałem jednak, że możecie też wstąpić w ciało chema.

Echidna machnęła wijącym się wężem.

– Z nimi jest nawet łatwiej. Co znaczą te liczby? Dlaczego mielibyśmy ci pozwolić... Mój mąż...

– Czy Pah wstąpił w kogoś, kto zginął?

Maytere zwróciła głowę ku świętemu oknu.

– Rachunek liczb pierwszych... Jego cytadela.

– Odsuń się od ognia – poradził jej Jedwab, ale było już za późno. Kolana ugięły się pod sybillą i osunęła się na resztki habitu, kurcząc się przy tym, malejąc w oczach.

Jedwab położył Kosmka na ziemi i wyjął igłowiec Hiacynta. Pogratulował sobie, trafniejszy

pierwszą zmię prosto w łeb, ale potem chybił i drugi wąż uciekł po rozpalonym piasku na ulicy Słońca.

– Masz zapomnieć o wszystkim, co tu słyszałeś – przykazał Kosmkowi, chowając igłowiec do kieszeni.

– I tak nic z tego nie rozumiem, patere. – Kosmek usiadł, ściskając rękoma miejsce ukąszenia.

– Świetnie. – Jedwab wyciągnął dopalający się habit spod ciała maytere Marmur.

Starucha się zaśmiała.

– Mogłabym cię zabić, Jedwabiu – stwierdziła. Podobnie jak wcześniej Kosmek, trzymała oburącz igłowiec Piżma, wycelowany w pierś augura. – Rady są teraz u nas w domu. Ucieszyliby się, gdybyś zginął.

Bezzębny starzec uderzył ją po nadgarstkach ociekającym krwią kawałem wołowiny, wytrącił broń.

– Daj spokój, Pleśnio! – skarcił ją i przydepnął igłowiec.

Jedwab patrzył z niedowierzaniem, jak spod połatanej brunatnej tuniki staruch błysnął mu ozdobionym klejnotami gammadionem.

– Powinienem był wcześniej się ujawnić, patere, ale miałem nadzieję, że spotkam się z tobą w cztery oczy – rzekł. – Jak sam widzisz, również jestem augurem. Nazywam się patere Kwezal.

Alka przystanął się i zerknął za siebie, gdzie w oddali niknęły ostatnie zielonkawe światełka. Zupełnie jakbyśmy opuszczali wielkie miasto, pomyślał. Niby go człowiek nienawidzi, nie cierpi tego wstrętnego życia, hałasu, smrodu, a przede wszystkim wiecznej żądzy pieniądza – forsa na to, na tamto, na owamto, aż w końcu pierdnąć za darmo nie można – ale kiedy odjeżdża i zanurza się w mrok, a nad głową pojawiają mu się krainy niebios, jakoś zwykle niedostrzegane, od razu zaczyna mu się cknić za miastem i odwraca ku niemu tęskny wzrok. Te światła w dali przypominały najniższe krainy niebios, oglądane zaraz po zamknięciu targu, kiedy już zapadła w nich noc.

– Idziesz? – dobiegł go z przodu, z ciemności, głos Jelca.

– Idę, idę. Nic się nie bój, staruszku.

Wciąż jeszcze trzymał w ręku strzałę, którą ktoś przeznaczył dla Acalyphy. Drzewce było wykonane z kości, nie z drewna – z kilku cienkich kostek albo odłamków. Po raz dziesiąty czy dwudziesty przesuwiał po nim palcami; drzazgi pochodziły pewnie z kości puszczelowej jakiegoś dużego zwierzęcia, może nawet postawnego człowieka. Zostały związane, sklezione i opatrzone kościanymi lotkami, natomiast grot był z kutego metalu. Słyszał, że podobno wieśniacy używają do polowania łuków; na targu widywał strzały – ale nie takie.

Złamał ją w rękach i wyrzucił odłamki. Pośpieszył za rybakiem.

– Gdzie szczebiotka?

– Z przodu – odparł Jelec, wciąż chyba znajdujący się daleko przed nim. – Z żołnierzem.

– Na Hieraxa! Za pierwszym razem mało jej nie zabili!

– Mało mnie nie zabili! – usłyszała Alka głos Kowadełka. – Zapomniałeś już o tym?

– Nie. Po prostu mniej się tym przejąłem.

– Nieważne – potwierdził siedzący na ramieniu złodzieja Oreb.

– Ja też się tobą nie przejąłem, Alko – zachichotał Kowadełko. – Kiedy posłałem kaprała Pięściaka przodem, myślałem przede wszystkim o tym, że będziesz musiał mu towarzyszyć. Dopiero potem zdałem sobie sprawę, że nic się nie stanie, jak zostaniesz trochę z tyłu. Pięściak nie ma cię niańczyć, tylko chronić mnie przed twoją brutalnością.

– I przyłożyć mi, gdy uznasz to za stosowne.

– W rzeczy samej, Alko, w rzeczy samej. Ale nieśmiertelni bogowie znacznie wyżej cenią sobie litość i przebaczenie niż krwawe ofiary. Jeżeli chcesz trzymać się na końcu, tam gdzie jesteś, nie będę ci w tym przeszkadzał. Mój duży przyjaciel, który, jak widzieliśmy, jest od ciebie znacznie silniejszy, również zostawi cię w spokoju.

– Acalypha nie jest silniejsza ode mnie, nawet teraz. Wątpię, żeby chociaż ciebie mogła pobić.

– Ale ma najlepszą broń. Dlatego właśnie uparła się, żeby iść na czele. Ja ze swej strony ucieszyłem się, że ta broń znajdzie się z dala od twoich rąk, a pod opieką naszego szanownego kaprała.

Alka wymierzył sobie w duchu kopniaka. Jak mógł zapomnieć, że pocisk z wyrzutni Acalyphy równie skutecznie przedziurawiłby Pięściaka co kula z pistoletu?

– O wszystkim pomyślałeś, co? – mruknął zgryźliwie pod nosem.

– Nie chcesz zwracać się do mnie „patere”, Alko? Wciąż odmawiasz mi należnego tytułu?

Alce kręciło się w głowie. Bał się nie tylko o Acalypnę, ale i o siebie, zdołał jednak wykrztusić:

– To słowo znaczy, że jesteś moim ojcem, tak jak „maytere” oznacza, że nauczycielka, którą kiedyś miałem, była moją matką. Jeśli tylko zaczniesz zachowywać się jak ojciec, będę cię tak nazywał.

Kowadełko znów się zaśmiał.

– My, ojcowie, musimy wykorzeniać złe nawyki naszych pociech i uczyć je – mam nadzieję, że wybaczysz mi tę odrobinę wulgarności – wycierać zasmarkane nosy.

Alka sięgnął po kordelas. Dziwnie leżał mu w ręce, ale chłodna, metalowa rękojeść podziałała uspokajająco.

– Nie! Nie! – doradził mu chrapliwie Oreb.

– Kapralu! – krzyknął Kowadełko, słysząc syk dobywanego z pochwy ostrza.

– Tu jestem, patere – głos Pięściaka dobiegał z pewnej odległości, odbijając się echem od ścian tunelu. – Postanowiłem na was zaczekać, gdy tylko usłyszałem, jak rozmawiacie.

– Pięściak nie ma latami – rzekł augur. – Zgubił ją, kiedy został postrzelony, ale widzi w ciemnościach znacznie lepiej od ciebie i ode mnie, Alko. Lepiej od każdego biochema, prawdę mówiąc.

Alka, który w panującym mroku czuł się jak ślepiec, odparł:

– W ciemnościach widzę jak kot.

– Czyżby? Co w takim razie trzymam w ręce?

– Mój igłowiec.

Złodziej pociągnął nosem. W powietrzu unosił się słaby odór, jakby ktoś smażył coś na zjełczałym tłuszczu.

– Zgadujesz tylko. – Głos Pięściaka zagrzniał gdzieś bliżej. – Nie widzisz igłowca w dłoni patere, bo wcale go nie trzyma. Nie widzisz też mojego pistoletu, za to ja widzę ciebie i mam cię na muszce. Jeśli spróbujesz pchnąć patere, zastrzelę cię. Schowaj broń, bo inaczej zabiorę ci ją i połamię.

Alka usłyszał cichy, pośpieszny tupot stóp żołnierza. Pięściak musiał biec w ich stronę.

– Ptak widzi – mruknął mu do ucha kruk.

– Nie musisz tego robić – uspokoił Alka kaprala. – Już chowam broń do pochwy. – Do Oreba szepnął: – Gdzie on jest?

– Wraca.

– To wiem. Czy jest bliżej niż ten przeklęty rzeźnik?

– Blisko ludzie. Ludzie czekają.

– Pięściak! – krzyknął Alka. – Zatrzymaj się! Uważaj!

Kroki ucichły.

– Lepiej żebyś miał mi coś ciekawego do powiedzenia.

– Ilu ludzi, ptaku?

– Dużo. – Kruk nerwowo klapnął dziobem. – I bogowie. Źli bogowie!

– Słuchaj mnie, kapralu! Widzisz nie lepiej od naszego augura, i ja o tym wiem.

– Bzdura!

– Ale ja widzę w ciemnościach. Między nim i tobą czai się banda zakapiorów, pod ścianą. Mają...

Dźwięk, który rozległ się w korytarzu, przypominał po trochu warknięcie, a po trochu wycie. Pistolet Pięściaka zagrzmiał donośnie. Metal brzęknął o metal.

– Trafić w głowę – wyjaśnił Oreb. – Żelaznego człowieka – dodał.

Kapral wypalił dwa razy. Zanim przebrzmiał huk wystrzałów, rozległy się stłumione trzaski, a potem skowyt rykoszetujących igieł.

– Padnij! – Alka wyciągnął rękę w kierunku, w którym, jak sądził, powinien znajdować się Jelec, ale dłoń trafiła w pustkę.

Ktoś wrzasnął przeraźliwie.

– Już idę, szczebiotko! – odkrzyknął złodziej i ze zdumieniem stwierdził, że biegnie na oślep w kompletnych ciemnościach, wymacując drogę przed sobą kordelasem jak ślepiec białą laską.

– Człowiek tutaj! – Oreb zatrzepotał skrzydłami.

Alka machnął bronią na oślep, raz, potem drugi, ale nie przestał biec. Lewą ręką desperacko starał się namacać nóż wetknięty za cholewkę buta. Trzymane w prawej dłoni ostrze natrafiło na opór – a nie była to ściana tunelu – i wgryzło się głęboko w ciało.

Ktoś – nie Acalypha – jęknął z bólu.

Pistolet Pięściaka zagrzmiał ponownie, na tyle niedaleko, że błysk z lufy niczym błyskawica rozświetlił na moment najbliższe sąsiedztwo Alki. Naga, wychudzona postać zatoczyła się w tył. Pocisk oderwał jej pół twarzy. Złodziej ciął jak szalony. Za trzecim razem ostrze nie napotkało oporu.

– Człowiek martwy! – oznajmił podekscytowany Oreb. – Dobrze cięcie!

– Alka! Pomóż mi, Alko! Pomocy!

– Już idę!

– Uwaga! – szeptem ostrzegł go Oreb. – Żelazny człowiek.

– Odsuń się, Pięściaku!

– Dalej, Alka! – zaskrzeczał gdzieś z lewej kruk.

Złodziej ciął kordelasem, który zgrzytnął o metal. Zrobił unik, pewien, że kapral go uderzy, a potem wyminął go i z pewnej odległości usłyszał skrzek Oreba:

– Tu dziewczeczka! Tu Alka! Straszna bójka!

– Alko! Ściągnij go ze mnie!

– Alka? – spytał obcy głos, niemal równie chrapliwy, jak skrzeczenie Oreba. – Alka z „Koguta”?

– Tak, do cholery!

– Na szczyny Paha, czekajcie no chwilę.

Alka stanął w miejscu.

– Nic ci nie jest, szczebiotko?

Nikt nie odpowiedział, a kiedy ktoś jęknął, Pięściak strzelił.

– Przestańcie! – krzyknął Alka. – Nie strzelać i stać spokojnie, jeśli nikt was nie atakuje! Gdzie jesteś, stary? – Bojowy szal spłynął z niego bez śladu i Alka poczuł się nagle słaby i bezbronny. – Szczebiotko?

– Dziewczę mówi! – kraknął Oreb. – Dobrze? Nie umiera? Dobrze?

– Nie! – wrzasnęła Acalypha, łapiąc gwałtownie oddech. – Wcale nie dobrze! Walnął mnie czymś, przewrócił na ziemię i właśnie chciał... No wiesz, wyjąć go. Jestem nieźle obita, ale chyba jeszcze żyję.

Ciemność ustąpiła, równie gwałtownie jak zaraz po rozjaśnieniu i równie minimalnie. Spory kawałek dalej, w głębi korytarza, zza rogu wynurzyło się pełzające światelko. Alka patrzył zafascynowany, jak punkcik zbliża się i wyławia z mroku wszystko, co do tej pory było ukryte.

Acalypha siedziała na ziemi, trochę z przodu. Stojący nad nią nagi, wychudzony mężczyzna na

widok Alki odsunął się i podniósł ręce. Złodziej podszedł do dziewczyny. Pomagając jej wstać, stwierdził (tak samo jak chwilę wcześniej Jedwab), że w dłoni ściska nóż. Czaszka pękała mu od bólu. Zgrzytnął zębami i schował nóż do buta.

– Wyrwał mi po ciemku wyrzutnię i grzmotnął mnie jakąś pałką – poskarżyła się Acalypha. Obejrzawszy jej głowę, Alka dostrzegł krwawiący siniec.

– Masz szczęście, że cię nie zabił.

Nagi mężczyzna uśmiechnął się półgębkiem.

– Nie chciałem.

– Teraz ja powinienem cię zabić – stwierdził Alka. I chyba tak zrobię. Podaj mi wyrzutnię, szczebiotko.

– Śmiem twierdzić, że chciał ją wziąć siłą – wtrącił stojący za jego plecami Kowadełko. – Zmuszać kobietę do cudzołóstwa to grzech, synu, ale zmuszać prorokinię... – Augur podszedł bliżej i wycelował w obcego igłowiec. – Ja też jestem gotów cię zabić. W obronie Scylli.

– Patere załatwił obu bogów – oznajmił z dumą Pięściak. – I dwóch mięśniaków przy okazji.

– Zaraz, patere – powstrzymał augura Alka, zakrwawionym ostrzem wskazując obcego. – Musimy z nim porozmawiać. Jak się nazywasz?

– Żubr. Słuchaj no, Alko, kiedyś byliśmy w jednej bandzie. Pamiętasz, jak razem poszliśmy na włam? Wszedłeś tylnymi drzwiami, a ja stałem na czatach od frontu.

– Tak, przypominam sobie. Skazali cię na jamy, dawno temu... – Alka sięgnął pamięcią wstecz, lecz znalazł tylko wszechogarniający ból.

– Nie tak znowu dawno, parę miesięcy. Miałem fart. – Żubr zbliżył się, składając dłonie jak do modlitwy. – Gdybym wiedział, że to ty, wszystko wyglądałoby inaczej, pomogliśmy ci z chłopakami. Ale skąd miałem wiedzieć, co? Pawian, jeden z naszych, powiedział tylko, że idzie facet z kobitą. Wysoka suka z burdelu i jakiś kurdupel. Nic nie mówił o żołnierzu. Ani o tobie. Na widok żołnierza chciałem dać w długą, ale nie zdążyłem.

– Dlaczego chciałeś mnie... – zaczęła Acalypha.

– Bo jesteś zupełnie goła, szczebiotko – westchnął Alka. – A oni zabierają ludziom ciuchy, zanim ich tu wrzuca. Siadaj. Pięściak, patere, wy też. Jesteś tam, staruszkę?

– Staruszek! – Oreb przyłączył się do nawoływań.

Z blednącej ciemności nie dobiegła żadna odpowiedź.

– Siadajcie – powtórzył Alka. – Wszyscy jesteście wykończeni. Jeden tylko Hierax, psiamać, wie, jak bardzo mam wszystkiego dość. Czeka nas pewnie jeszcze kawał drogi, zanim się prześpimy albo znajdziemy coś do jedzenia. Mam parę pytań do Żubra; wy chyba też.

– Ja na pewno – przytaknął Kowadełko.

– Dobra, tobie też dam szansę. – Żłódziej ostrożnie usiadł na zimnej posadzce. – Przede wszystkim muszę wam powiedzieć, że gość nie buja, chociaż to niewiele znaczy. Znam może ze stu koleś, którym można jako tako zaufać. Zanim Żubra wrzucili do jam, był jednym z nich. I tyle.

Alka odchylił się w tył i zamknął oczy. Oparł się o ścianę. Kręciło mu się w głowie.

– Powiedziałem, że każdy będzie mógł pogadać z Żubrem – ciągnął. – Ja mam tylko jedno pytanie, a potem zostawiam go wam. Gdzie jest Jelec?

– Kto?

– Ten stary, co szedł z nami. Rybak. Nazywa się Jelec. Załatwiłeś go?

– Nikogo nie załatwiłem – odparł Żubr głosem tak cichym, jakby znajdował się gdzieś daleko w głębi korytarza.

– Dlaczego wrzucili cię do jam? – spytał Pięściak.

– Nieważne – wtrąciła Acalypha. – Ja bym się chciała dowiedzieć, co tu robisz. Powinieneś gnić w jamie; myślałeś, że ja też tam siedziałam. Dlatego że jestem bez ubrania, tak jak Alka powiedział?

– Zastanawiałem się nad tym, synu – zabrał głos Kowadełko. – Nie mogłeś nijak przewidzieć, że ja, augur, będę uzbrojony.

– Ja nawet nie wiedziałem, że jesteś augurem. Pawian powiedział, że idzie jakaś duża wywłoka, a z nią jakiś nieduży koleś. Tyleśmy tylko wiedzieli, jak ściągaliśmy światła.

– W takim razie pewnie ten Pawian do mnie strzelił.

– Nie do ciebie, patere. Do niej. Powiedział, że niesie wyrzutnię, i strzelił, ale nie trafił. Ma łuk zmontowany z kawałków kości i nie strzela celnie. Ja chcę tylko stąd wyjść, Alko, rozumiesz? Zabierzcie mnie ze sobą. Zrobię, co każesz.

– Tak się zastanawiałem... – mruknął Alka.

– Wystrzeliłem co najmniej ze dwadzieścia razy – wtrącił Kowadełko. – Były tu jakieś zwierzęta, nie tylko ludzie.

– A wiesz, że mogłeś nas wszystkich pozabijać, jak tak strzelałeś z Alki igłowca, po ciemku, na pałę? – skarciła go Acalypha. – To był idiotyzm.

– Mnie by nie zabił – zauważył Pięściak.

– Gdybym nie strzelał, córko, sam mógłbym zginąć. Poza tym nie strzelałem na oślep. Wiedziałem, gdzie mierzyć! Chociaż równie dobrze mógłbym być ślepcem; to było wspaniałe uczucie, cudowne. Scylla musiała wtedy stać u mego boku. Rzucili się na mnie, chcieli zabić, a zamiast tego ja ich zabiłem.

Alka podniósł powieki.

– Chyba załatwili Jelca – stwierdził. – Sam nie wiem, ale zaraz się o tym przekonam.

– Kiepsko się czujesz, prawda? – Acalypha zaczęła wstawać z posadzki. – Ja pójdę.

– Nie teraz, szczebiotko. Tam jest ciągle ciemno. Mówiłeś, że twoi ludzie pościągali lampy. Chcieliście wyciemnić korytarz, żeby zaskoczyć nas od tyłu, tak?

– Zgadza się. Pawian wlaźł mi na barana i ściągnął cztery światła, a Bawół porozstawiał je z powrotem. Same się przesuwają i szukają ciemnych miejsc. Wiedziałaś o tym?

Alka mruknął tylko w odpowiedzi.

– Tyle że wolno się poruszają. Mieliśmy poczekać przy ścianie, aż nas miniecie, to znaczy ona i ten mały augur. Myśleliśmy, że więcej was nie ma.

– Skoczyłeś na mnie od tyłu!

– A co ty byś zrobiła? – Alka nie widział Żubra, ale domyślił się, że rozkłada bezradnie ręce. – Strzeliłaś rakieta w Pawiana. Gdyby nie zakręt korytarza, załatwiłabyś nas wszystkich.

– Zły człowiek! – stwierdził Oreb.

Alka znów otworzył oczy.

– W każdym razie trzech czy czterech. Pięściak coś chyba mówił o zwierzętach, które patere odstrzelił, prawda?

– To bogowie tuneli – przytaknął kapral. – Mówiłem wam, że przypominają psy, ale nie są takie miłe.

– Muszę wrócić – mruknął Alka. – Zobaczyć, co się stało z naszym staruszkiem. Poza tym chciałbym się przyjrzeć tym bogom. Żubr to jeden; ja sam załatwiłem jednego, a Pięściak mówi, że patere zastrzelił jeszcze dwójkę. Razem czterech. Jeszcze ktoś?

– Ja – zgłosił się kapral. – Jednego. Poza tym dobiłem jednego z ranionych przez patere.

– Tak, chyba słyszałem ten strzał. Pięciu. A teraz ty, Żubr, tylko bez kitu: ilu was było?

– Sześciu. I dwa brytany.

– Sześciu razem z tobą?

– Razem ze mną, słowo honoru.

– Ja wracam – oznajmił Alka. – Jak tylko światła wrócą i lepiej się poczuję. Jeżeli ktoś chce iść ze mną, proszę bardzo. Zamierzam obejrzeć sobie tych bogów i poszukać Jelca. – Zamknął oczy.

– Dobry człowiek!

– Tak, ptaku, był dobry. – Alka odczekał chwilę, ale nikt się nie odzywał. – Byłeś w jamach – zwrócił się do Żubra. – Czy ludzi naprawdę tam wrzucają? Zawsze mnie to ciekawiło.

– Tylko jak się ich rozeźli, bo normalnie spuszczaają człowieka w koszu.

– I tak samo was karmią, co? Pakują jakąś papkę do kosza i spuszczaają na dół?

– Czasem dodają jeszcze bańki z wodą, ale pijemy przede wszystkim deszczówkę, jak się uda nałapać.

– Mów dalej.

– Nie jest tak źle, jak by się mogło wydawać. W każdym razie ja nie narzekam. Jakoś się dogadujemy, nie? A poza tym nowi są silniejsi.

– Chyba że ich wrzuca, bo wtedy mają pewnie połamane nogi i tak dalej.

– Szczera prawda, Alko.

– Zabijacie ich od razu i zjadacie na miejscu, póki jest na nich jeszcze trochę tłuszczu?

Ktoś (pewnie Kowadełko) wciągnął powietrze przez zęby.

– Nie zawsze. Jak ktoś ich zna, to nie. Na przykład tobie by się nic nie stało.

– Zjechałeś w koszu do jamy, tak? I jesteś – albo przynajmniej byłeś – twardzielem. Dowiedziałeś się, że robią podkop, co? – Alka otworzył oczy i postanowił ich więcej nie zamykać.

– Właśnie. Chcieli się przekopać na zewnątrz, rozumiesz? Najpierw do muru, a potem w dół, tak głęboko, jak będzie trzeba. Nasza dziura była chyba najgłębsza. I stara, naprawdę stara, przy samym murze. Kopie się kośćmi, po dwóch. Paru wybiera i wnosi ziemię garściami, a reszta wdeptuje ją w klepisko i pilnuje, czy hycle nie idą. Tak mi mówili.

– Trafiliście do tego tunelu, kiedy przeszliście pod murem? – spytał Pięściak.

Żubr pokiwał z zapalem głową.

– Tak było, tak właśnie było. Mówili mi. A rakplast, bo tu jest rakplast, tak jak w innych miejscach, był popękany, rozumiesz? Chcieli się przez niego przebić i zobaczyli światełka. Mówią, że potem to już całkiem powariowali. Przynieśli kamienie i zaczęli walić w rakplast, odłupywali po kawałku, takie cieniutkie plasterki, jak płatki śniegu, aż w końcu można się było precisnąć.

Kowadełko uśmiechnął się od ucha do ucha, bardziej niż zwykle odsłaniając końskie zęby.

– Zaczynam pojmować twoje niewesołe położenie, synu. Kiedy znaleźliście się w tych przerażających tunelach, okazało się, że nie możecie wydostać się na powierzchnię. Mam rację? Czy nie tak właśnie wygląda sprawiedliwość Paha?

– Właśnie, patere, właśnie. – Z przymilnym uśmiechem Żubr przysunął się do Kowadełka, jakby umyślnie chciał się upokorzyć. – Ale sam pomyśl, patere. Przed chwilą zastrzelełeś paru moich kumpli, prawda? Nie dałeś im spokojnie odejść do Centralnego Procesora, co?

Kowadełko pokręcił głową, aż zatrzęsły mu się pulchne policzki.

– Uznałem, że w ich wypadku najlepiej będzie, gdy bogowie sami wydadzą sąd, synu. Z tobą zrobiłbym tak samo.

– Zgadza się, chciałem cię zabić. Szczera prawda. Nie zamierzam ci wciskać ciemnoty, ale teraz powinniśmy o tym zapomnieć, rozumie patere? Zapomnieć, tak jak Pah by sobie tego życzył. Co patere na to? – Żubr wyciągnął rękę na zgodę.

– Z miłą chęcią zgodzę się na rozejm, synu, gdy będziesz trzymał w ręku taki igłowiec.

Alka zaśmiał się cicho.

– Jak daleko doszliście? – spytał Żubra. – Gdzie dotarliście, szukając wyjścia?

– Ładny kawałek stąd. Ale w tunelach łatwo się zgubić. Poza tym niektóre są zatopione, zawalone... Czasem zamknięte drzwiami. I bywają tam różne dziwne rzeczy...

– Coś ci powiem na temat drzwi, ogierku – wtrąciła Acalypha. – Jak tylko zostaniemy sami.

– Bomba, szczebiotko, trzymam cię za słowo. – Alka z wysiłkiem wstał, a widząc, że ostrze kordelasa wciąż jest zakrwawione, wytarł broń o skraj tuniki i schował do pochwy. – O jakich dziwnych rzeczach wspominałeś?

– Tam są żołnierze, tacy jak on. – Żubr wskazał Pięściaka. – Jak was zobaczą, będą strzelać, więc trzeba nasłuchiwać. Stąd wiedziałem, że z wami też idzie żołnierz. Mało robią hałasu, nawet kiedy maszerują, ale to inny odgłos, niż kiedy ja idę czy ty. Czasem słyhać, jak pistolet obija im się o pancerz. Poza tym są jeszcze brytany. On je nazywa bogami, ale dla mnie równie dobrze mogą być

diabłami. Jeden z moich kumpli, Eland, złapał parę młodych i trochę oswoił. Mieliśmy je ze sobą. Są też różne maszyny, trochę talusów. Niektóre cię nie ruszą, jak ich nie zdenerwujesz.

– I to wszystko?

– Nic więcej nie widziałem. Ludzie opowiadają o duchach i innych takich, ale ja tam nic nie wiem.

– Dobra. – Alka odwrócił się do Kowadełka, Pięściaka i Acalyphy. – Poszukam Jelca.

Ruszył wolnym krokiem w głąb tunelu, zanurzając się w mrok, aż dotarł do miejsca, gdzie leżały zwłoki zastrzelonych przez augura ludzi i zwierząt. Przykucnął przy nich i ukradkiem zerknął ku towarzyszom, których opuścił. Nikt za nim nie poszedł.

– Tylko ty i ja, Orebie. – Złodziej wzruszył ramionami.

– Żle!

– Oj, źle, źle. Żubr nazwał je brytanami, ale brytany to psy bojowe, a Pięściak miał rację; to w ogóle nie są psy.

Obok jednego z zastrzelonych leżała prymitywna maczuga – spory kamień umocowany kawałkami ścięgnię do osmalonej kości. Alka wziął ją do ręki, obejrzał i odrzucił, zastanawiając się w duchu, jak blisko Kowadełka znalazł się jego niedoszły zabójca, zanim sam zginął. Gdyby augur zginął, on, Alka, odebrałby swój igłowiec. Co wtedy zrobiłby Pięściak?

Obejrzał człowieka, którego sam pozbawił życia. Kordelas, którym go ciął, był kradziony i Alka nosił go dotąd głównie na pokaz. Raz w życiu naostrzył go, a używał tylko okazjonalnie – tu przeciął jakąś linę, tam wyłamał szufladę... Z ciekawości wziął dwie lekcje szermierki u Miecznika. Teraz zaś wydawało mu się, że broń zawsze należała do niego, tylko on nie zdawał sobie z tego sprawy.

Światło pełzających lampek było tutaj znacznie słabsze; upłynie z pewnością sporo czasu, zanim fragment korytarza, w którym zaginął Jelec, zostanie należycie oświetlony. Alka dobył broni i ostrożnie, krok za krokiem, ruszył dalej.

– Daj znać, gdybyś coś zobaczył, ptaku.

– Nie widzi!

– Ale nie jest dla ciebie za ciemno, co? Cholera, przecież nawet ja coś widzę, po prostu słabo.

– Żadnych ludzi. – Oreb kłapnął dziobem i przeskoczył Alce z prawego ramienia na lewe. – Żadnych rzeczy.

– Ja też niewiele widzę. Chciałbym mieć pewność, że to tutaj.

A przede wszystkim chciałby, żeby Acalypha z nim poszła. Drop mu towarzyszył, potężny i silny Drop, ale to nie było to samo. Skoro Acalyphie jest obojętne, co się z nim stanie, nie miał po co iść dalej. Wszystko straciło sens.

Jakżeś ty się w to wpakował, szprocie? – zaciekawiał się Drop.

– Nie wiem – odparł Alka. – Zapomniałem.

Daj no czysty kufel, szprocie. Chcesz, żebym ci pomógł? Bo jeśli tak, to musisz mi powiedzieć, co się stało.

– Lubiłem patere Jedwabia. Chyba Ayuntamiento go dopadła, więc pomyślałem, że wyjdziemy wieczorem nad jezioro, spotkamy się w Limnie. Ucieszą się, jak mnie zobaczą: mam kasę, zaproszę ich na kolację, coś wypijemy, potem znajdzie się jakiś pokój w gospodzie. Wiedziałem, że jej by nie tknął; jest augurem...

– Złe słowa!

– Jest augurem. Ona by wypić parę głębszych i poczuła, że jest mi coś winna za kolację i za pierścioneł. Byłoby miło.

Co ja ci mówiłem na temat łajdaczenia się z jakąś szparką, szprocie?

– Wiem, bracie, wiem. Jak chcesz. Tylko że potem on zniknął, ona była napruta, a ja się wpieniłem, zostawiłem ją i poszedłem go szukać. Wszyscy mówią, że on będzie caldé, nowym caldé. Warto by go było znać, gdyby mu się udało.

– Dziewczę idzie!

Nieważne. Teraz wracasz, tak? Tą samą drogą, którą przyszedliśmy po ciemku. A wszystko dla tego rzeźnika Jedwabia?

– Dla Jedwabia. On by chciał, żebym to zrobił. I dla Jelca, tego starego rybaka, który wiózł nas łodzią.

Orznąłbyś go bez mrugnięcia okiem. Zresztą nawet nie macie tej jego łajby.

– Patere by tego chciał, a ja go lubię.

Aż tak?

– Ogierku! Ogierku?

Pawian czeka na nas w mroku, przy zwłokach tego dziada, szprocie. I ma łuk. Żaden z tych, których widziałeś, nie miał łuku.

– Dziewczę idzie – powtórzył Oreb.

Alka odwrócił się ku nadchodzącej Acalyphie.

– Nie zbliżaj się, szczebiotko!

– Muszę ci coś powiedzieć, ogierku. Nie mogę drzeć się na całe gardło.

– On nas widzi, szczebiotko, a my jego nie. Tu, gdzie stoimy, jest jaśniej i nawet ptak go nie widzi. Gdzie masz wyrzutnię?

– Musiałam ją zostawić Pięściakowi, bo patere nie chciał mnie puścić. Chyba myślał, że ich załatwię, jak tylko trochę się oddalę.

Alka zerknął w prawo, chcąc zamienić dwa słowa z Dropiem, ale jego brat zniknął.

– Powiedziałam, że nic im nie zrobimy, ale on mówił, że go nienawidzisz.

Złodziej pokręcił głową; wzrok zasnęła mu czerwona mgiełka bólu.

– On mnie może nienawidzi, ale ja jego nie.

– Też mu tak powiedziałam, na co on: „Świetnie, córko, zostaw nam wyrzutnię, to ci uwierzę”. No więc oddałam ją Pięściakowi.

– I wróciłaś tutaj, żeby powiedzieć mi o drzwiach.

– Właśnie! – Acalypha podeszła bliżej. – To strasznie ważne, ogierku. Nie chciałam, żeby usłyszał nas ten drań, co mnie uderzył.

– Czy to o tym miejscu mówił talus?

Acalypha zmieszana się i zamilkła.

– Słyszałem to, szczebiotko. Stałem za tobą, a z natury interesują mnie każde drzwi, każde okno, ściana i dach. Myślałaś, że nie zwrócę uwagi?

– Chyba nie. – Pokręciła głową.

– No właśnie. Cofnij się. Tu jest niebezpiecznie. – Odwrócił się, mając nadzieję, że nie zorientowała się, jak bardzo jest słaby i jak mu się w głowie kręci. Mroczniejący tunel wirował mu przed oczyma niczym wypalony obrotowy fajerwerk albo ogromne koło karawanu, czarny jak heban i oksydowana stal toczył się po wysmołowanej drodze donikąd. – Wiem, że tam jesteś, Pawianie, i wiem, że masz starego. Posłuchaj, nazywam się Alka i jestem dawnym znajomym Żubra. Nie chcę się bić, ale tak się składa, że ten stary też jest moim kumplem.

Głos mu się łamał, Alka spróbował więc zebrać resztki sił.

– Wracamy do waszej jamy, razem z Żubrem.

– Ogierku!

– Nie teraz! – Nawet nie spojrzął na Acalyphę. – Umiem otworzyć te żelazne drzwi, z którymi nie mogliście sobie poradzić. Muszę porozmawiać z ludźmi z waszej jamy. Jeśli ktoś chce wyjść, niech idzie ze mną. Wyprowadzę ich, pójdziemy do drzwi, ja je otworzę i wszyscy wyjdziemy. To będzie koniec. Po nikogo nie wracam.

Przerwał, czekając na odpowiedź. Oreb nerwowo zaklekotał dziobem.

– Jeżeli przyjdiesz teraz do nas i przyprowadzisz starego, zabierzemy cię. Albo puść go i sam wracaj do jamy; będziesz mógł do nas później dołączyć. A teraz zamierzam go poszukać.

Wzdrygnął się, gdy Acalypha położyła mu dłoń na ramieniu.

– Idziesz ze mną, szczebiotko?

Wzięła go pod rękę. Zrobili może ze sto kroków w gęstniejącym mroku, gdy pomiędzy ich głowami świsnęła strzała. Acalyphie zaparło dech w piersi. Przytuliła się do Alki z całej siły.

– To tylko ostrzeżenie – uspokoił ją. – Gdyby chciał, toby trafił, ale tego nie zrobi. Możemy go stąd wyprowadzić, a sam sobie nie da rady. – Podniósł głos. – Stary nie żyje, Pawianie, prawda? Tu cię mam! Boisz się, że jak się o tym dowiem, szlag trafi moje obietnice. Ale nie, podtrzymuję wszystko, co powiedziałem. Jest z nami augur, ten kurdupel, który szedł obok szczebiotki, kiedy do niej strzeliłeś. Oddaj nam ciało starego, żeby mógł się za niego pomodlić. Jak się uda, sprawimy Jelcowi godny pogrzeb. Nie znam cię, ale może ty znasz Dropia? To mój brat, ten sam chojrak, który zwędził Złoty Puchar Molpe. Mam przyprowadzić Żubra? On ci powie, że nie łżę.

– On mówi prawdę, Pawianie – zawtórowała złodziejowi Acalypha. – Serio. Ja tam myślę, że już cię nie ma w pobliżu, zwiąłeś do tunelu. Na twoim miejscu tak bym zrobiła. Ale jeśli nas słyszysz, możesz zaufać Alce. Od dawna musisz siedzieć w jamie, bo w Orilli wszyscy go już znają.

– Ptak widzi! – burknął Oreb.

Alka ruszył wolno korytarzem.

– Ma łuk?

– Ma łuk!

– Odłóż łuk, Pawianie. Jeśli mnie zastrzelisz, stracisz ostatnią szansę wydostania się z tuneli.

– Alka? – Dobiegający z ciemności głos mógłby należeć do samego Hieraxa, był słaby i ponury

jak echo dobiegające z grobowca. – Tak się nazywasz? Alka?

– Tak, to moje imię. Jestem bratem Dropia, młodszym bratem.

– Masz igłowiec? Odłóż go.

– Nie mam. – Alka schował broń do pochwy. Zdjął tunikę i rzucił ją na posadzkę tunelu. Uniósł rękę i obrócił się dookoła. – Widzisz? Mam tylko własnego fiuta, nic więcej. – Podniósł broń. – Zostawiam kordelas tutaj, na ciuchach. Sam możesz zobaczyć, że szczebiotka też jest bez broni. Zostawiła wyrzutnię żołnierzowi. – Wolno zrobił krok do przodu, wyciągając bezbronne ręce.

Sto kroków dalej coś zamigotało.

– Mam latarnię! – krzyknął Pawian. – Na gównno brytanów. – Podmuchał w płomyk.

– Mogłem się tego domyślić – mruknął Alka.

– Rzadko ich używamy – ciągnął Pawian wstając. Był chudy i niewiele wyższy niż Kowadełko. – Knot się prawie dopalił. Różni tacy przynoszą je tu i zostawiają. – Nie słysząc odpowiedzi posuwającego się naprzód Alki, powtórzył: – Jak się olej skończy, palimy w nich gównno.

– Myślałem, że robicie je z kości – rzekł Alka. – A knoty splatacie z sierści brytanów. – Podeszedł już na tyle blisko, że majaczyło mu w półmroku leżące u stóp Pawiana ciało Jelca.

– Czasem tak, ale sierść jest do niczego. Lepiej wziąć szmatę.

Alka stanął przy zwłokach.

– Wcześniej go trafiłeś i przywlokłeś tutaj, co? Nogi ma trochę poharatane.

– Dalej nie mogłem go już ciągnąć.

Alka z roztargnieniem pokiwał głową. Jedwab mówił mu kiedyś – jedli wtedy we dwóch kolację, w Vironie – że Krew ma córkę, której twarz przypomina czaszkę. Człowiek przy niej czuł się tak, jakby oglądał trupa, chociaż ona żyła, a Drop był martwy i wcale tak nie wyglądał. Jej ojciec, Krew, też miał inną gębę – dużą, mięsistą, czerwoną i wiecznie mokrą od potu, nawet kiedy kazał komuś spłacać dług.

Tymczasem Pawian wyglądał jak trup, jak gdyby to on, a nie Krew był ojcem Pleśni. Praktycznie nie miał zarostu – jak na szkielet przystało – a jego twarz nawet w żółtawym świetle ślepej latarni wyróżniała się szarobiałym odcieniem przybrudzonych kości: gadający trup z zaokrąglonym brzuchem, sterczącymi łokciami i ramionami chudymi jak wieszak na ręczniki. W ręce trzymał latarnię, a u jego stóp leżał mały, jakby dziecinny łuk z kości powiązanych surowym rzemieniem, nieco dalej strzała i szeroki nóż Jelca. Obok Alka zobaczył starego rybaka, bez czapki, z którą za życia się nie rozstawał. Siwe, potargane włosy okalały mu głowę, równie białe jak jego oskrobane z

mięsa przedramię, a jaśniejsze od starczych oczu.

– Źle się czujesz, Alko?

– Trochę. – Złodziej przykucnął przy zwłokach Jelca.

– Miał przy sobie kosę. – Pawian schylił się szybko i podniósł nóż. – Zabiorę ją.

– Jasna sprawa. – Rękaw grubej, znoszonej tuniki rybaka został odcięty, a z ręki poniżej i powyżej łokcia Pawian wyciął paski mięsa. Oreb zeskoczył na ziemię, by przyjrzeć się im z bliska. – Nie wtykaj tu dzioba.

– Ptak biedny!

– Miał też parę bitów. Oddam, jak wyjdziemy.

– Zatrzymaj je. Przydadzą ci się na górze.

Kątem oka Alka dostrzegł, jak Acalypha kreśli w powietrzu znak dodawania.

– Hieraksie Wielki, Mroczny Panie, Boże Śmierci... – Walczył?

– Nie bardzo. Zaszedłem go od tyłu i udusiłem zapasową cięciwą. To trzeba umieć. Znasz Mandryla?

– Zwiął – odparł Alka nie podnosząc głowy. – Podobno do Palustrii.

– To mój kuzyn. Kiedyś razem pracowaliśmy. A Elodeę znasz?

– Nie żyje. Ty zresztą też nie.

Alka wyprostował się gwałtownie i pchnął wyjętym zza cholewy nożem prosto w sterczący brzuch Pawiana. Czubek ostrza wbił się pod żebro i sięgnął serca.

Pawian otworzył bezradnie usta i wytrzeszczył oczy. Próbował jeszcze złapać Alkę za przegub i odepchnąć nóż. Latarnia spadła na rakplastową podłogę razem z nożem Jelca, zgasła.

– Ogierku! – rozległo się w ciemności.

Alka poczuł, jak ciało Pawiana osuwa się bezwładnie na ostrze. Wyszarpnął nóż i wytarł go razem z zakrwawioną ręką o udo. Cieszył się, że nie musi w tej chwili oglądać krwi Pawiana ani patrzeć w jego puste oczy.

– Mówiłeś, że go nie skrzywdzisz, ogierku!

– Poważnie? Musiałem zapomnieć.

– Nic by nam nie zrobił.

Acalypha nie dotknęła go, lecz Alka zdał sobie sprawę, że jest bardzo blisko; czuł kobiecą woń jej łona, piżmowy zapach włosów.

– Już zrobił, szczebiotko. – Schował nóż do buta, namacał ciało Jelca i zarzucił je sobie na ramię.

– Weźmiesz latarnię? Może się nam przydać, jeśli zdołamy ją zapalić.

Acalypha się nie odezwała, ale po chwili rozległ się cichy szcęk latarni.

– Zabił Jelca – ciągnął złodziej. – Samo to by wystarczyło, ale on go jeszcze w dodatku zaczął zjadać. Dlatego z początku się nie odzywał: musiał przełknąć. Wiedział, że zabierzemy ciało, i chciał się nazreć.

– Głodował w tych tunelach. – Głos Acalyphy był niewiele głośniejszy od szeptu. – Umierał z głodu.

– Jasne. Jesteś tu, ptaku?

– Ptak tutaj! – Alka poczuł na palcach muśnięcie skrzydeł Oreba, który usadowił się na zwłokach rybaka.

– Gdybyś był głodny, może zrobiłbyś tak samo, ogierku. – Alka nic nie odpowiedział i Acalypha dodała: – Ja pewnie też.

– To nie gra roli, szczebiotko. – Idący przodem złodziej przyśpieszył kroku.

– Niby dlaczego?!

– Nie miałem wyjścia. On też by się nie wahał. Idziemy do jam, tak jak mu powiedziałem.

– To też mi się nie podoba. – Tym razem Alka miał wrażenie, że dziewczyna lada chwila się popłacze.

– Musiałem. Jest tam wielu moich przyjaciół, szczebiotko. Jeżeli mam któregoś spotkać i go uwolnić, to znaczy, że dobrze zrobiłem. Wszyscy w jamie dowiedzieliby się, jak było. Może patere trzymałby buzię na kłódkę, gdybym go ładnie poprosił; może Pięściak też by nie pisnął słówka. Ale Żubr na pewno by się wygadał: „Słuchajcie, ten gość załatwił kumpla Alki i go zeżarł, a Alka mu nic nie zrobił”. Wszyscy w mieście by się dowiedzieli.

Gdzieś za ich plecami rozległ się gardłowy chichot boga – słabo, lecz wyraźnie słyszalny ponury skowyt szaleńca. Alka zastanawiał się przez chwilę, czy Acalypha też go słyszała.

– Musiałem to zrobić i zrobiłem. Na moim miejscu też nie miałabyś wyboru.

Tunel przed nimi rozjaśniał się z wolna. W dali Alka dostrzegł już Kowadełko, Pięściaka i Żubra.

Pięściak trzymał na kolanach wyrzutnię Acalyphy, augur modląc się przesuwał w palcach paciorki, a Żubr patrzył w ich stronę.

– Dobrze, ogierku.

Alka odnalazł kordelas i tunikę. Położył na ziemi martwego Jelca, ubrał się, przypasał broń.

– Dobry człowiek! – zaklekotał Oreb.

– Podjadałeś go? Przecież ci zabroniłem.

– Drugi człowiek – wyjaśnił kruk. – Ptak widzi.

– Chodźmy już stąd, proszę cię, ogierku. Mam złe przeczucia, tak jakby on jeszcze żył. – Acalypha wysforowała się przez ten czas naprzód.

Złodziej pokiwał głową i dźwignął zwłoki z posadzki.

– Nie żyje – zapewnił dziewczynę.

Kiedy wrócili do siedzącej trójki, Kowadełko schował paciorki do kieszeni.

– Chętnie przyniosłbym naszemu nieodżałowanemu towarzyszowi pojednanie z Pahem – rzekł. – Niestety, duch już z niego uleciał.

– Rozumiem – powiedział Alka. – Dobrze byłoby go pogrzebać, patere, jeśli tylko uda nam się znaleźć odpowiednie miejsce.

– Patere, powiadasz?

– Przedtem też tak mówiłem. Po prostu nie zwróciłeś uwagi, patere.

– Ależ zwróciłem, synu, zwróciłem. – Kowadełko dał znać Pięściakowi i Żubrowi, żeby wstali. – W każdym razie zrobię co w mojej mocy dla tego nieszczęśnika. Nie dla twojego dobra, synu, lecz wyłącznie dla niego.

– O nic więcej nie proszę, patere. – Alka skłonił głowę. – Chyba powinienem wam powiedzieć, że Pawian nie żyje.

Kowadełko obejrzał z bliska zwłoki Jelca.

– Nie dasz rady daleko go nieść, synu. Może Pięściak go weźmie.

– Nie ma mowy – stwierdził zdecydowanie Alka. – Żubr go poniesie. Dalej, bierz go na plecy.

Plan Paha

Przykro mi, że to zrobiłaś, Pleśnio – rzekł Jedwab łagodnie. Stara kobieta pokręciła głową. – Nie chciałam cię zabić. Po prostu mogłabym to zrobić.

– Ależ oczywiście.

Kwezal podniósł z ziemi igłowiec, chusteczką otarł zeń krew ofiarnego wołu. Twarz kobiety się zmieniała, trupi uśmiech zanikał.

– Przykro mi, córko – powtórzył Jedwab. – Widywałem cię czasem na nabożeństwach ofiarnych, lecz nie pamiętam twego imienia.

– Kassawa – odpowiedziała niepewnie, jakby przez sen.

Jedwab z powagą skinął głową.

– Nic ci nie jest, Kassawo?

– Ja...

– To przez ten upał, córko – wyjaśnił i próbując ocalić własne sumienie, dodał: – Przynajmniej po części z gorąca. Powinniśmy zejść do cienia i odsunąć się od ognia. Możesz chodzić, Kosmku?

– Tak, patere.

Kwezal na wyciągniętej ręce podał Jedwabowi igłowiec.

– Weź go, patere. Może ci się przydać. – Broń Piżma nie mieściła się do kieszeni, Jedwab wetknął ją więc za pasek, tak jak przedtem nosił azoth. – Przesuń go dalej – doradził Kwezal. – Za

biodro. Tak będzie bezpieczniej, a wcale nie mniej wygodnie.

– Dziękuję, Wasza Mądrość.

– Chłopiec nie powinien jeszcze chodzić – zauważył Kwezal i wziął Kosmka na rękę. – W jego krwi płynie teraz jad, a to poważna sprawa. Czy mógłbym go złożyć u was w świątyni, patere? Powinien się położyć. Ta biedna kobieta również.

– Niewiastom nie wolno... Chociaż oczywiście, jeśli Wasza Mądrość...

– Za moim pozwoleniem kobiety mają prawo wstępu na plebanię. Niniejszym go udzielam. Pozwalam ci również, patere, udać się do klasztoru i przynieść sybilli habit. Maytere lada chwila odzyska przytomność. Należałoby jej w miarę możliwości oszczędzić zakłopotania. – Kwezal zarzucił sobie Kosmka na ramię i wziął Kassawę za rękę. – Chodź ze mną, córko. Będziecie musieli zaopiekować się sobą nawzajem.

Jedwab wszedł już tymczasem do ogrodu. Nigdy nie był w klasztorze, ale mniej więcej orientował się w rozkładzie pomieszczeń: na dole znajdowała się sellaria, refektarz, kuchnia i spiżarnia, na piętrze zaś sypialnie – cztery, może nawet sześć. Jedna z nich powinna należeć do maytere Marmur, chociaż Marmur nigdy nie sypiała.

Idąc zwirowaną ścieżką, przypomniał sobie, że ołtarz i święte okno wciąż stoją na środku ulicy Słońca. Powinno się je czym prędzej wnieść z powrotem do manteionu, chociaż trzeba by do tego z dziesięciu tęgich mężczyzn. Otworzył drzwi do kuchni i nagle doszedł do wniosku, że wcale nie jest pewien, czy to konieczne. Paha nie żył – sama boska Echidna mu to objawiła – on zaś, Jedwab, nie wyobrażał sobie, że mógłby jeszcze składać jej ofiary, a nawet uczestniczyć w nabożeństwie ku jej czci. Czy naprawdę komuś – poza samymi bogami – powinno zależeć, żeby ołtarz albo okno, przez które tak rzadko kontaktowali się z wiernymi, nie zostały rozjeżdżone kołami furek z gnojem i wozów kupieckich?

Co za bluźnierstwo! Jedwab aż się wzdrygnął.

Kuchnia w klasztorze wyglądała znajomo. Uznał, że zna ją doskonale z opisów maytere Marmur – piec, kredens, spiżarka, szafka. Bardzo przypominała jego kuchenkę, tylko była wysprzątana i czysta.

Wszedłszy na górę, znalazł się w korytarzu, który był obszerniejszą wersją przedpokoju na piętrze plebanii. Ściany udekorowano trzema wyblakłymi już obrazami. Pierwszy z nich przedstawiał Paha, Echidnę i Tartarosa, niosących na wesele dary: jadło, potomstwo i dobrobyt (w symbolicznej postaci ckliwego bukietu aksamitek). Na drugim Scylla rozpościerała swój niewidzialny płaszcz nad podróżnym, który pił wodę z jeziora na pustyni. Na ostatnim Molpe, dla niepoznaki przedstawiona pod postacią młodej arystokratki, z aprobatą przyglądała się staruszce karmiącej gołębie.

Jedwab przystanął, żeby lepiej obejrzeć trzecie malowidło. Kassawa mogłaby pozować do obrazu w roli starowinki. Naszła go gorzka refleksja, że stadko ptaków, które karmiła, dla niej samej byłoby obfitym pokarmem – i zdał sobie sprawę, że w pewnym sensie tak właśnie jest: ostatnie lata

życia rozjaśniała jej świadomość, że choć tak niewiele może z siebie światu dać, jednak coś mu ofiarowuje.

Drzwi na końcu korytarza zostały wyłamane. Zaciekawiony Jedwab przekroczył próg i wszedł do sypialni. Łóżko było równo posłane, podłoga zamieciona, w dzbanku na szafce stała woda – z pewnością pokój zajmowała więc maytere Mięta lub Róża; a może tu właśnie Acalypha spędziła w scyldag noc? Ścianę zdobił obrazek Scylli, pociemniały od dymu wotywnych lampek, palonych przed nim na maleńkim ołtarzyku. Poza tym w pokoju znajdowało się... Tak, sprawne, nieuszkodzone szkło. Z pewnością mieszkała tu więc maytere Róża, nikt inny. Jedwab klasnął i z szarej toni monitora wynurzyła się blada twarz.

– Dlaczego maytere Róża nie powiedziała mi nigdy, że ma w pokoju szkło? – spytał.

– Nie mam pojęcia, proszę pana. Pytał ją pan o to?

– Ależ oczywiście, że nie!

– Może to właśnie jest odpowiedź na pańskie pytanie.

– Czy gdybyś... – Jedwab zbeształ się w duchu i uśmiechnął: czymże było znalezienie tego monitora w porównaniu ze śmiercią doktora Żurawia czy objawieniem się Echidny? Powinien przestać się denerwować i zacząć myśleć.

Kiedy budowano manteion, przełożonej sybilli z pewnością przydzielono monitor do osobistego użytku. Podobne szkło znalazło się zapewne także w sypialni najwyższego augura. Nie było w tym nic dziwnego, ba, pomysł ten zasługiwał na pochwałę. Szkło w pokoju, który obecnie zajmował patere Gulo, nie działało od dziesięcioleci, to zaś, należące do sybilli, wciąż było sprawne, bo rzadziej z niego korzystano. Jedwab przesunął ręką po szopie zmierzwionych włosów.

– Czy w klasztorze są jeszcze inne szkła, synu?

– Nie, proszę pana.

Jedwab zrobił krok do przodu, żałując, że nie ma laski, na której mógłby się wesprzeć.

– A w całym manteionie?

– Tak, proszę pana. Jedno znajduje się na plebanii, ale nie da się go już wywołać.

Augur pokiwał z namysłem głową.

– Nie możesz mi pewnie powiedzieć, czy Alambrrera się poddała?

Twarz w szkle zniknęła, ustępując miejsca widokowi otoczonego murem budynku. Pod posępnyimi wrotami z żelaza kłębił się parutysięczny tłum ludzi; kilkudziesięciu mężczyzn usiłowało rozbić drzwi taranem zrobionym z krokwi. Dwóch gwardzistów wystawiło właśnie pistolety nad parapetem

prawej wieży i otworzyło ogień.

W polu widzenia Jedwab zobaczył na koniu maytere Miętę, drobną jak dziecko na grzbiecie ogromnego rumaka. Gestykulowała gwałtownie i nowo nabytym głosem srebrzystej trąbki nawoływała chyba do odwrotu, lecz Jedwab nie słyszał słów. Z jej uniesionej dłoni wystrzeliło ostrze azotha i musnięty okrutną nieciągliwością przestrzeni parapet eksplodował deszczem kamiennych odłamków.

– Inne ujęcie – oznajmił monitor i przed oczyma Jedwabia roztoczył się widok na tłum pod drzwiami Alamberry z wysokości piętnastu, może dwudziestu łokci nad ulicą. Grupa ludzi rzuciła się do ucieczki, ale inni nie przestawali łomotać w stalowe odrzwia i kamienne mury więzienia. Spoceni mężczyźni z taranem zbierali się do kolejnej szarży, lecz zanim ruszyli, jeden z nich upadł. Jego twarz zmieniła się w bezkształtną krwawą maskę.

– Wystarczy – rzekł Jedwab.

Na ekranie pojawiła się ponownie twarz monitora.

– Można chyba powiedzieć, że Alamberra się nie poddała, proszę pana. Ośmieliłbym się stwierdzić, iż mało prawdopodobne, by doszło do kapitulacji przed nadejściem odsiecz.

– Ktoś idzie im z odsieczą?

– Owszem, proszę pana, pierwszy batalion drugiej brygady gwardii cywilnej oraz trzy kompanie wojska. – Monitor umilkł na moment, po czym dodał: – Nie mogę ich chwilowo znaleźć, ale ostatnio widziałem je na ulicy Piwa. Czy chciałby pan na nią zerknąć?

– Nie, wystarczy. I tak powinienem już iść. Jak udało ci się... Aha, po drugiej strony ulicy Klatek, wysoko na ścianie domu, jest zamontowane oko, tak? A drugie nad wrotami Alamberry?

– Zgadza się, proszę pana.

– Znasz pewnie rozkład pomieszczeń w klasztorze. Który pokój zajmuje maytere Marmur?

– Nie znam tego budynku tak dobrze, jak by się panu mogło wydawać. Jak mówiłem, nie ma tu innych szkieł; nie mam zatem drugiej pary oczu. Z pewnych uwag mojej pani wnioskuje jednak, iż do sypialni maytere Marmur prowadzą drugie drzwi na lewo.

– Czy mówiąc o swojej pani masz na myśli maytere Różę? Gdzie ona jest?

– Tak, proszę pana, o niej właśnie mówiłem. Moja pani opuściła ten padół łez i odeszła do miejsca, gdzie klimat jest znacznie bardziej sprzyjający, proszę pana. Mam na myśli Centralny Procesor. Krótko mówiąc, moja nieodżałowana pani dołączyła do nieśmiertelnych bogów.

– Maytere Róża nie żyje?!

– Tak, proszę pana. Jeśli zaś chodzi o miejsce spoczynku jej doczesnych szczątków, są one, jeśli się nie mylę, cokolwiek rozproszone. Lepiej nie potrafię tego wyrazić.

Oblicze monitora zniknęło, jego miejsce zajęła perspektywa ulicy Słońca: ołtarz (z którego poczerwiałe zwłoki Piżma osunęły się już prawie na ziemię), leżące nieco dalej nagie, metalowe ciało maytere Marmur i poczerwiała sosnowa trumna.

– To było jej nabożeństwo żałobne – mruknął Jedwab. – Ostatnia ofiara. Nic o tym nie wiedziałem.

– Rzeczywiście. – Monitor westchnął. – Służyłem jej przez czterdzieści trzy lata, osiem miesięcy i pięć dni. Czy życzyłby pan sobie przypomnieć, jak wyglądała za życia? A może chciałby pan zobaczyć ostatnią scenę, jaką jej wyświetliłem? Byłoby to nieformalne uczczenie jej pamięci; śmiem twierdzić, że mogłoby ukoić pański ból po jej stracie.

Jedwab odruchowo pokręcił głową, ale propozycja go zastanowiła.

– Czy jakiś bóg podsunął ci ten pomysł, synu? Na przykład Zewnętrzny?

– Nic mi o tym nie wiadomo, proszę pana.

– W ubiegły phaedag spotkałem pewien monitor, który okazał się nader skory do współpracy – wyjaśnił Jedwab. – Powiedział mi, gdzie jego pani trzyma broń. Nigdy bym się po monitorze tego nie spodziewał, doszedłem wszakże do wniosku, iż bogini Kypris skłoniła go, by mi pomógł.

– To dla nas zaszczyt, proszę pana.

– On by mi tego nie zdradził, gdyż właścicielka zaleciła mu zachowanie milczenia. Pokaż mi ostatnią scenę, jaką kazała sobie wyświetlić maytere Róża.

Na ekranie aż po horyzont rozciągała się wzburzona błękitna woda. Pośrodku obrazu mała rybacka łódka szła ostro na wiatr. Czarny ptak (Jedwab pochylił się nad monitorem) podfruwając skakał po olinowaniu, a obok sternika stała wysoka, naga – lub prawie naga – kobieta. Kiedy poruszyła ręką, coś błysnęło czerwono.

Jedwab w zamyśleniu pogładził się po policzku.

– Czy możesz powtórzyć polecenie maytere Róży, które sprawiło, że pokazałeś jej tę scenę?

– Proszę bardzo: „A teraz zobaczmy, co też ten wredny szpicel Jedwab knuje”. Przepraszam pana, tak jak i moją panią musiałem przeprosić, za słabą jakość obrazu. Przekazałem go z najbliższego dostępnego szkła, nastawionego na maksymalną ogniskową.

Na dźwięk kroków maytere Marmur odwróciła się plecami do świętego okna, starając się zasłonić ciało nowymi rękoma. Jedwab ze spuszczonej oczyma podał jej habit, zdjęty z kołka na

ścianie w jej pokoju.

– Nic się nie stało, maytere – uspokoił ją. – Naprawdę, nic takiego.

– Wiem, patere. Ale czuję się... No już, jestem ubrana.

Jedwab podniósł oczy.

– Możesz wstać, maytere?

– Nie wiem, patere. Właśnie... Chciałam spróbować, kiedy przyszedłeś. Gdzie się wszyscy podziali?

Ścisnęła jego dłoń twardszymi niż dawniej palcami. Jedwab zaparł się i pociągnął z całej siły, czując, jak odzywają się na wpół zagojone rany, które zadał mu siwogłowy. Maytere Marmur stanęła na nogi i zachwiała się lekko, próbując otrzepać długą spódnicę z kurzu.

– Dziękuję, patere – mruknęła. – Bardzo ci dziękuję.

Jedwab odetchnął głęboko.

– Myślisz chyba, że zachowałem się niestosownie, maytere. Powinienem ci wyjaśnić, że Jego Mądrość przewodniczący Kapituły osobiście polecił mi wejść do klasztoru i przynieść ci habit. Jego Mądrość jest zresztą w tej chwili u nas, zapewne na plebanii.

Umilkł, czekając, co powie sybilla, ale milczała.

– Może powinnaś schronić się w cień.

Maytere Marmur wsparła się ciężko na jego ramieniu. Poprowadził ją przez łukowatą furtkę do ogrodu i dalej, do altany, w której lubiła siadywać.

– Muszę ci coś powiedzieć, patere – powiedziała maytere Marmur zmienionym głosem. – Dawno już powinnam była to zrobić.

– Ja też dawno powinienem był ci coś powiedzieć, maytere. – Jedwab pokiwał głową. – A teraz jest tego jeszcze więcej. Pozwól, że ja zacznę; tak będzie lepiej.

Sybilla chyba go nie usłyszała.

– Urodziłam kiedyś dziecko, patere. Dawno... Och, bardzo dawno temu.

– To znaczy... wraz z mężem zbudowaliście syna.

Maytere Marmur pokręciła głową.

– Zrodziłam go, w bólu i krwi, patere. Echidna Wielka odebrała mi wzrok, tak że nie mogę oglądać bogów, ale nie dość jej było mojej męki. Cierpiałam więc, a i on, biedaczek, swoje przeszedł, chociaż nic złego nie zrobił. Mało brakowało, a oboje umarlibyśmy przy porodzie.

Jedwab osłupiały patrzył na jej metalową twarz.

– A teraz ktoś tu, na górze, nie żyje. Nie pamiętam kto, ale zaraz sobie przypomnę. W nocy śniły mi się węże; nienawidzę węży. Myślałam, że jeśli teraz ci o tym powiem, może więcej już mi się nie przyśnią.

– Mam taką nadzieję, maytere – pocieszył ją Jedwab. – Spróbuj pomyśleć o czymś innym.

– To był... Bardzo ciężki poród. Miałam czterdzieści lat i nigdy przedtem nie rodziłam. Wtedy naszą przełożoną była maytere Betel, wspaniała kobieta, tylko otyła, jedna z tych, które poszcząc nie tracą na wadze. Kiedy nie jadła, strasznie się męczyła, ale wcale nie chudła.

Jedwab tylko skinął głową. Z każdą chwilą był coraz silniej przekonany, że sybilla znów została opętana i że on, Jedwab, wie przez kogo.

– Udawałyśmy, że też utylam. Maytere Betel naigrywała się ze mnie, ale inne sybille uwierzyły. Wcześniej byłam drobną kobietką.

– Przeniósłbym cię do cienia, maytere – wtrącił Jedwab, śledząc jej reakcję. – Ale wiedziałem, że jesteś dla mnie za ciężka

Nie zwróciła uwagi na jego słowa.

– Żli ludzie plotkowali wprawdzie, lecz na tym się skończyło. A potem nadszedł mój czas. Miałam potworne bóle. Maytere poprosiła pewną kobietę z Orilli, żeby przysłała i się mną zaopiekowała; powiedziała mi też, że jest złą kobietą, ale w prawdziwej potrzebie lepsza z niej przyjaciółka niż z tych dobrych. Ponoć wiele razy odbierała już dzieci. Umyła ręce, mnie też obmyła i powiedziała mi, co robić, ale mój syn nie chciał przyjść na ten świat, chociaż parłam i parłam, aż pomyślałam, że chyba zaraz umrę, tak się zmęczyłam.

Sybilla poszukała dłonią dłoni Jedwabia, który dopiero teraz zauważył, że maytere Marmur ma ręce maytere Róży. Odpowiedział uściskiem na uścisk; miał nadzieję, że chociaż w ten sposób ją pocieszy.

– Rozcięła mnie kuchennym nożem, który zamoczyła przedtem we wrzątku. Krew trysnęła na wszystkie strony. To było przerażające! Potworne! Potem przyszedł lekarz, też mnie naciął i wreszcie pojawił się on, mój syn. Ociekał krwią. Chcieli, żebym się nim zaopiekowała i go wykarmiła, ale powiedziałam, że tego nie zrobię. Wiedziała, że mnie oślepiła za karę. Echidna Wężowa pozbawiła mnie widoku bogów, ale myślałam, że jak nie zajmę się dzieckiem, to się nade mną ulituje i pozwoli mi widzieć. Nic z tego.

– Nie musisz mi o tym mówić, maytere – zapewnił ją Jedwab.

– Poprosili, żebym nadała mu imię. Zrobiłam to. Powiedzieli, że znajdą rodzinę, która go przygarnie, i obiecali, że on się nigdy o mnie nie dowie, ale w końcu odkrył prawdę, chociaż zajęło mu to bardzo dużo czasu. Rozmawiał z maytere Marmur, kazał mi przekazać, że kupił manteion, i powiedzieć, jak się nazywa. Kiedy usłyszałam jego imię, wiedziałam.

– Teraz to nie ma znaczenia, maytere – powiedział łagodnym tonem Jedwab. – To dawne czasy. W mieście rozpętała się rewolucja i o starych dziejach można zapomnieć. Musisz odpocząć. Znaleźć ukojenie.

– To właśnie dlatego – podsumowała maytere Marmur. – To dlatego mój syn, Krew, kupił nasz manteion i narobił nam tyle kłopotu.

Jedwabia zakręciło w nosie od niesionego podmuchem wiatru dymu. Kichnął.

– Na zdrowie, patere. – Głos sybilli brzmiał już normalnie.

– Dziękuję – odparł i przyjął ofiarowaną mu chusteczkę.

– Czy mógłbyś mi przynieść odrobinę wody? Zimnej wody?

– Nie możesz pić wody, maytere – przypomniał jej delikatnie.

– Słucham? Proszę cię tylko o kubek zimnej wody. Jedwab czym prędzej udał się do sellarii. Był przecież hieraxdag; sybilla chciała pewnie, żeby poświęcił dla niej wodę w imię Hieraxa. Będzie mogła spryskać nią trumnę maytere Róży i wszystkie kąty w pokoju, żeby duch zmarłej już jej nie niepokoił. Kassawa siedziała w kuchni na krześle patere Płetwy.

– Nie powinnaś się położyć, córko? – spytał z troską Jedwab.

– Na pewno lepiej byś się poczuła. W sellarii jest otomana.

– To był igłowiec, prawda? – Kassawa wlepiła w niego szeroko otwarte oczy. – Dałam ci igłowiec. Skąd mogłam go mieć?

– Ktoś chciał, żebyś mi go przekazała. – Jedwab uśmiechnął się do niej. – Widzisz, wybieram się do Alambrey i będzie mi potrzebny. – Z zapalem wziął się do pompowania. Wylał pierwsze pół wiaderka brunatnej od rdzy wody, a potem nalał do kubka czystej. Podał kubek Kassawie. – Proszę, napij się, córko.

– Nazwałeś mnie Pleśnią – powiedziała. – Pleśnią. – Odstawiła kubek na stół i potarła dłonią czoło. – Nie tak się do mnie zwróciłeś, patere?

– To prawda, wspomniałem o Pleśni. Ona dała ci igłowiec.

– Patrząc na zamyśloną, stroskaną kobietę, Jedwab uznał, że Czas zmienić temat. – Czy możesz mi powiedzieć, gdzie podziiali się Jego Mądrość i mały Kosmek, córko?

– Zaniósł chłopca na górę, patere. Zamierzał położyć go do łóżka.

– Z pewnością zaraz zejdziesz. – Jedwab uświadomił sobie, że Kwezal będzie chciał obandażować nogę Kosmka, a wcześniej strawi chwilę na poszukiwaniu medykamentów. – Proszę, napij się wody. Dobrze ci zrobi. – Nappełnił drugi kubek i wyszedł.

Maytere Marmur siedziała w altanie, tak jak ją zostawił. Odgarnąwszy pnącza, podał jej wodę.

– Chcesz, żebym ją poświęcił?

– Nie trzeba, patere.

Woda poląła się jej po brodzie, pociekła strużkami po palcach i deszcz kropel spadł na czarny materiał okrywający metalowe uda. Sybilla się uśmiechnęła.

– Lepiej się czujesz? – spytał Jedwab.

– O tak, znacznie lepiej. Woda przyniosła mi ochłodę, patere. Dziękuję.

– Jeżeli zechcesz, z przyjemnością przyniosę ci następny kubek.

– Nie, nie, dziękuję, patere. Już dobrze. – Maytere Marmur wstała.

– Usiądź, maytere, proszę. Martwię się o ciebie. Poza tym chciałbym jeszcze porozmawiać.

Niechętnie spełniła jego prośbę.

– Czy nikt więcej nie został raniony? – zapytała. – Wydaje mi się, że pamiętam innych... I trumnę maytere Róży.

– O tym też chcę z tobą pomówić. W mieście wybuchły walki.

– Zamieszki. – Sybilla pokiwała niepewnie głową.

– To bunt, maytere. Ludzie powstali przeciw Ayuntamiento. Obawiam się, że przez parę najbliższych dni nie będzie pogrzebów, więc gdy tylko wrócą ci siły, razem wniesiemy trumnę maytere Róży do manteionu. Czy jest bardzo ciężka?

– Raczej nie, patere.

– To sobie poradzimy. Przedtem jednak muszę ci powiedzieć, że na plebanii pod opieką Jego Mądrości znajdują się Kosmek i stara Kassawa. Ja nie mogę tu zostać długo, a i on zapewne będzie musiał wkrótce nas opuścić. Zamierzam więc go poprosić, by udzielił ci prawa wstępu na plebanie.

Zajmiesz się nimi.

Maytere Marmur skinęła głową.

– Nasz ołtarz i okno nadal stoją na środku ulicy – ciągnął Jedwab. – Póki trwają zamieszki, nie zdołasz zebrać dość ludzi, by wnieść je z powrotem do manteionu. Proszę, żebyś później tego dopilnowała.

– Zrobię, jak sobie życzysz, patere.

– Zostaniesz tu, by opiekować się naszym manteionem. Maytere Mięty nie ma z nami. Poczula się w obowiązku poprowadzić ludzi do walki; przyjęła swe powołanie z bezprzykładną odwagą. Niebawem i ja będę musiał pójść za nią. Ludzie zabijają się i umierają po to, żebym został caldé; muszę za wszelką cenę powstrzymać rzeź.

– Uważaj na siebie, patere. Dla dobra nas wszystkich.

– Nie wolno nam zapominać, jak ważny jest los tego manteionu. Niezmiernie ważny. – Czający się w zakamarkach umysłu Jedwabia duch doktora Żurawia roześmiał się w głos. – Pamiętasz? Sam Zewnętrzny tak mi powiedział. Ktoś musi tutaj czuwać. Zostajesz tylko ty.

Sybilla pokornie skłoniła polerowaną metalową głowę; nie miała kornetu, przez co jej gest wyglądał dziwnie mechanicznie.

– Zrobię co w mojej mocy, patere.

– Nie wątpię. – Jedwab odetchnął głęboko. – Mówiłem, że chcę ci powiedzieć o dwóch rzeczach; możesz nie pamiętać moich słów, ale tak właśnie było. Kiedy zaczęłaś snuć wspomnienia, przyszło mi do głowy wiele innych tematów, które chciałbym poruszyć. Na razie jednak poprzestanę na tamtych dwóch, a potem, jeśli zdołamy, wniesiemy trumnę do manteionu. Zacznę od tego, co powinienem był powiedzieć dawno temu. Może nawet tak zrobiłem... W każdym razie próbowałem. Teraz uważam, że... Całkiem prawdopodobne jest, iż niebawem zginę i jeżeli nie powiem o tym teraz, mogę nie mieć drugiej szansy.

– Zamieniam się w słuch, patere. – Głos sybilli był cichy, metalowa maska zarazem pozbawiona wyrazu i współczująca. Maytere Marmur trzymała jego dłonie w swoich – twardych, wilgotnych i ciepłych.

– Chciałem ci już dawno powiedzieć, że nie zdołałbym pełnić swoich obowiązków w manteionie, gdyby nie ty. Maytere Róża i Mięta starały się mi pomagać, dobrze o tym wiem, ale to ty byłaś moją prawą ręką, maytere.

Sybilla wbiła wzrok w ziemię.

– Jesteś dla mnie zanadto uprzejmy, patere.

– Kochałem w życiu trzy kobiety. Pierwszą była moja matka, trzecią... – Jedwab wzruszył ramionami. – Nieważne; nie znasz jej, a ja pewnie już jej nigdy nie zobaczę.

Nad szczytem ogrodowego muru wzbił się w powietrze tuman kurzu, który po chwili zniknął, rozproszony przez wiatr.

– Druga sprawa, świeższa, wiąże się z tym, że nie mogę dłużej być takim augurem jak dotychczas. Pah, wielki Pah, którzy niczym ojciec rządził całym whorlem, nie żyje, maytere. Sama Echidna nam o tym powiedziała. Pamiętasz?

Maytere Marmur milczała.

– Z Pisma wiemy, że Pah zbudował nasz whorl. Wierzę, iż budował go tak, by przetrwał długie wieki, ale z pewnością nie pod jego nieobecność. Tymczasem Pah odszedł i nikt nie włada słońcem. Sądzę, że lotnicy starają się je oswoić... a może uleczyć. Pewien człowiek na targu powiedział mi, że jego dziadek o nich wspominał. Podobno ich pojawienie się miało zwiastować deszcz. Z tego wniosek, że całe moje życie, a przedtem życie mojej matki i jej matki upłynęło pod opieką lotników, którzy zmagali się ze słońcem.

Jedwab wyrzał spomiędzy wędnących liści na kurczącą się złotą kreskę pośrodku nieba, częściowo zwężoną cieniem klosza.

– Nie udało im się, maytere. Tak powiedział mi wczoraj lotnik na łożu śmierci. Nie rozumiałem go wtedy, ale teraz chyba rozumiem. W mieście wydarzyło się coś, co pozwoliło mi pojąć jego słowa. Viron i inne miasta muszą coś na to zaradzić i przygotować się na najgorsze czasy w naszych dziejach.

– Przepraszam, patere, maytere... – odezwał się Kwezal. Słabowite pnącza rozchyliły się i przewodniczący Kapituły wszedł do altanki, – Słyszałem, o czym rozmawiacie; w tej ciszy głos daleko się niesie. Mam nadzieję, że mi wybaczyacie?

– Ależ naturalnie, Wasza Mądrość. – Augur i sybilla wstali.

– Usiądź, córko, usiądź. Proszę. Czy mogę sięść obok ciebie, patere? Dziękuję. Wszyscy albo pochowali się w domach, albo poszli się bić. Wyrzałem przez okno na piętrze plebanii, patere. Na ulicy nie ma ani jednego wozu. Słyszać za to strzały.

– Źle się dzieje, Wasza Mądrość.

– W rzeczy samej, patere, w rzeczy samej. Wcześniej już zresztą o tym mówiłeś. Ty, maytere, jesteś kobietą niezwykle rozsądną i trzeźwo myślącą. Tak słyszałem i czytałem w twoich aktach. Nad wyraz trzeźwo myślącą; ta cecha cię wyróżnia. W Vironie trwa wojna domowa; gdy my tu rozmawiamy, na ulicach giną mężczyźni, kobiety i dzieci. Nazywają nas rzeźnikami, bo składamy bogom w ofierze krew zwierząt, choć to tylko zwierzęta, które w dodatku umierają szybko i dla wzniosłych celów. Teraz zaś rynsztoki niepotrzebnie spłynęły ludzką krwią. Skoro my jesteśmy

rzeźnikami, jakże nazwą się ci ludzie, gdy będzie po wszystkim? – Kwezal pokręcił głową. – Chyba bohaterami. Zgodzisz się ze mną?

Maytere Marmur potaknęła bez słowa.

– Pytam cię zatem: jak można zakończyć tę rzeź? Powiedz mi, maytere. Powiedz nam obu. Mój koadiutor boi się mojego poczucia humoru, a i ja sam czasem się obawiam, że zanadto mu folguję. Nigdy w życiu nie byłem jednak równie poważny jak teraz.

Sybilla mruknęła coś niewyraźnie.

– Głośniej, maytere.

– Patere Jedwab musi zostać naszym caldé.

Kwezal rozparł się wygodniej na małym, prostym krzeselku. – Właśnie. Reputacja maytere Marmur jako osoby niezwykle rozsądnej jest w pełni zasłużona, patere caldé.

– Wasza Mądrość!

Maytere Marmur nie wstając ukloniła się Kwezalowi.

– Wasza Mądrość jest nadto uprzejmy.

– Przypuśćmy, że uznam, iż nie jest to jedyne rozwiązanie, maytere; mógłbym powiedzieć, że Ayuntamiento rządziła już nami jakiś czas i może jeszcze porządzić. Musimy się jej tylko podporządkować. Co w tym złego?

– Dojdzie do kolejnego buntu, Wasza Mądrość, i jeszcze większych zamieszek – odparła sybilla, nie patrząc na Jedwabia. – Powstania będą wybuchały co parę lat, aż wreszcie Ayuntamiento zostanie obalona. Od dwudziestu lat w ludziach narasta niezadowolenie, Wasza Mądrość, a teraz zaczęli zabijać. Następnym razem jeszcze chętniej sięgną po broń, chętniej i szybciej, i tak bez końca. A wtedy... wtedy...

– Tak? – Zniecierpliwiony Kwezal machnął ponagląjąco ręką. – Powiedz nam.

– Żołnierze giną w walkach, Wasza Mądrość. Przy każdym kolejnym powstaniu będzie ich coraz mniej.

– Widzisz więc, patere caldé – rzekł Kwezal, zwracając się do Jedwabia – twoi zwolennicy muszą zwyciężyć. Nie krzyw się, kiedy cię tak nazywam; powinieneś się przyzwyczajać do tego tytułu. Muszą wygrać, gdyż tylko ich zwycięstwo przyniesie Vironowi pokój. Powiedz Loriemu i pozostałym, że poddając się w tej chwili, ocalą życie. Wiesz, że Lemur nie żyje?

Jedwab z wysiłkiem przełknął ślinę. Potakująco skinął głową.

– Bez niego wystarczy parę strzałów z bata, a reszta pójdzie, gdzie im każesz. Ale musisz zostać caldé. Ludzie muszą cię zobaczyć.

– Czy mogę zabrać głos, Wasza Mądrość?

– Mam nadzieję, że nie po to by oznajmić, iż ty, pomazany augur, zamierzasz sprzeciwić się mnie, przewodniczącemu Kapituły?

– Od dawna zarządzasz Kapitułą, Wasza Mądrość; zostałeś przewodniczącym, zanim ja się urodziłem, i byłeś nim w czasach, gdy Vironem rządził ostatni caldé.

– Dobrze go znałem. Ciebie zamierzam poznać jeszcze lepiej, patere caldé.

– Kiedy zmarł, byłem zaledwie dzieckiem, Waszą Mądrość. Uczyłem się chodzić. Musiało się wtedy dziać wiele rzeczy, o których nie miałem pojęcia. Wspominam o tym po to, by podkreślić, iż moje pytanie wynika z niewiedzy. Jeżeli nie zechcesz na nie odpowiedzieć, Wasza Mądrość, nie wrócę do tego tematu.

Kwezal pokiwał głową.

– Gdyby chciała mnie o coś zapytać maytere czy, powiedzmy, twój akolita, czy nawet mój koadiutor... Mógłbym im odmówić, tak jak to sugerujesz. Nie mogę jednak wyobrazić sobie pytania, które zadałby mi nasz caldé, a na które ja nie czułbym się w obowiązku udzielić wyczerpującej i jasnej odpowiedzi. Co cię trapi? Jedwab przeczesał palcami włosy.

– Kiedy caldé zmarł, czy zaprotestowałaś, Wasza Mądrość, przeciw decyzji Ayuntamiento o nieorganizowaniu wyborów? Czy ktoś w ogóle jej się sprzeciwił?

Nic nie mówiąc Kwezal pokiwał głową, jakby sam sobie przytakiwał, a potem powiódł drżącą dłonią po łysej czaszce – w geście podobnym do nawyku Jedwabia.

– Krótka odpowiedź, gdybym chciał się do niej ograniczyć, byłaby twierdząca. Ja się sprzeciwiłem; wielu zrobiło tak samo. Zaslugujesz jednak na coś więcej niż proste „tak”, należą ci się pełne wyjaśnienia. Tymczasem na ołtarzu spoczywa na wpół spopielone ciało tego młodego szczęśliwca. Widziałem je od ciebie z okna. Powiedziałaś, że nie zamierzasz wykorzystywać nowego stanowiska dla usprawiedliwiania własnego nieposłuszeństwa. Czy wyjdiesz zatem ze mną na ulicę? Zobaczmy, co możemy zrobić. Potem o wszystkim ci opowiem.

Maytere Mięta przykucnęła za resztką ściany wypalonego sklepienia. Patrzyła w twarze podwładnych. Zorilla był wystraszony, Limetka oszołomiona, a potężnie zbudowany mężczyzna z czarną brodą (nie pamiętała jego imienia, nie pamiętała nawet, żeby je słyszała) rwał się do działania.

– Słuchajcie – powiedziała. To tak samo, jakbym mówiła do uczniów w klasie, nie ma żadnej różnicy, przekonywała samą siebie. Przydałaby się tylko tablica. – Otrzymaliśmy właśnie nowiny, złe

nowiny. Nie zamierzam temu zaprzeczać. Spodziewaliśmy się ich, w każdym razie ja się spodziewałam, a mam nadzieję, że i wy nie jesteście nimi zaskoczeni. Okrążyliśmy gwardzistów w Alambrerze, gdzie z kolei oni zamknęli mnóstwo innych ludzi. – Uśmiechnęła się w nadziei, że docenią ironię sytuacji. – Wszyscy oczekiwali, że Ayuntamiento przyśle im kogoś z odsieczą. Wiedziałam, że do tego dojdzie, choć nie sądziłam, że tak szybko. Ale co się stało, to się nie odstanie. Teraz mamy trzy możliwości.

Wyprostowała trzy palce.

– Możemy dalej szturmować Alambrerę i mieć nadzieję, że zdobędziemy ją, zanim posiłki dla obleżonych dotrą na miejsce. – Zagięła pierwszy palec. – Możemy się wycofać. – Drugi palec. – Możemy wreszcie zostawić Alambrerę w spokoju i stawić czoło wojskom idącym z odsieczą. – Ostatni palec. – Co radzisz, Zorillo?

– Wycofując się, sprzeciwimy się bogini.

Czarnobrody prychnął drwiąco.

– Kazała nam zająć i zburzyć Alambrerę – przypomniała maytere Mięta. – Próbowaliśmy, ale nam się nie udało. Teraz trzeba podjąć decyzję. Czy mamy atakować tak długo, aż ktoś nam to uniemożliwi? Czy lepiej będzie odpocząć, zebrać siły, ale i pozwolić odetchnąć wrogowi? A może powinniśmy dopilnować, żeby nikt nam nie uniemożliwił szturmu? Limetko?

Limetka była chudą, mniej więcej czterdziestoletnią kobietą o włosach koloru rdzy – zapewne farbowanych.

– Wydaje mi się, że nie wolno nam myśleć tylko i wyłącznie o tym, co powiedziała bogini. Gdyby chciała po prostu upadku Alambrey, sama by ją zburzyła. Ona chce, żebyśmy zrobili to my.

– Całkowicie się z tobą zgadzam.

– Jesteśmy zwykłymi śmiertelnikami, więc musimy zabrać się do rzeczy jak śmiertelnicy. – Limetka z trudem przełknęła ślinę. – Mam mniej ludzi niż każde z was, w dodatku są to głównie kobiety.

– Ja też jestem kobietą, i bogini nią jest... W każdym razie istotą płci żeńskiej, tak jak my. Wiemy, że jest małżonką Paha i matką siedmiorga dzieci. Jeśli zaś chodzi o niewielką liczbę zwolenników, nie to jest najważniejsze. Chętnie słuchałabym kogoś, kto przychodzi sam, jeśli miałby dobre, praktyczne pomysły.

– Chciałam powiedzieć... – Wiatr poniósł ku nim kłęby dymu i tuman kurzu. Limetka zamachała dłonią przed twarzą. – Moi ludzie nie bardzo mają czym walczyć; większość zabrała ze sobą zwykłe noże kuchenne. Chyba osiem osób ma igłowce, a jedna, właścicielka stajni, widły.

Maytere Mięta odnotowała jej słowa w pamięci.

– Czują się niepotrzebni i zniechęceni – ciągnęła Limetka.

– Rozumiecie, co mam na myśli? Mięta zapewniła ją, że tak.

– Dlatego uważam, że jak się wycofamy, część i tak tu zostanie, ale jeśli udałoby się nam zwyciężyć nadciągające oddziały hycli, zdobylibyśmy pistolety. Moi ludzie lepiej by się poczuli.

– To bardzo cenna uwaga.

– A Bizon...

Maytere Mięta zakarbowała sobie w głowie kolejną informację: czarnobrody mężczyzna to Bizon. Postanowiła używać jego imienia przy każdej okazji, aż na dobre zapadnie jej w pamięć.

– ...Bizon twierdzi, że nie będą walczyć. I ma rację. Nie pójdą do szturm, tak jak by tego chciał. Ale jeżeli dostaną pistolety, na rozkaz maytere są gotowi strzelać choćby i cały dzień. Nawet gdyby przyszło im walczyć z hyclami.

– Chciałabyś zatem powstrzymać odsiecz? – zapytała maytere Mięta.

Limetka potaknęła bez słowa.

– Pod warunkiem że zrobi to ktoś inny – zauważył Bizon. – Ja też jestem tego zdania. Moi ludzie są gotowi walczyć.

– Nie chodzi ci chyba o bratobójczą wojnę, Bizonie? – Maytere Mięta pokręciła głową. – W ten sposób nie przywrócimy rządów zgodnych z Kartą; jestem też pewna, że to miała na myśli bogini. Ale uważasz, że powinniśmy zaatakować posiłki? Świetnie! Ja również. Nie znam zdania Zorilli, ale on pewnie jeszcze się nie zdecydował. W każdym razie we troje stanowimy większość. Jak ci się wydaje, Bizonie, gdzie należałoby uderzyć?

Bizon skubnął z namysłem brodę. Milczał.

– Stracimy paru ochotników, to pewne, ale możemy zapobiec dużym stratom. Poza tym może uda nam się zwerbować nowych. Zorillo?

– Nie wiem, maytere. Chyba sama powinnaś podjąć decyzję.

– Też tak sędzę. I zrobię tak, ale głupotą byłoby decydować, nie wysłuchawszy waszych rad, skoro mogę sobie na to pozwolić. Otóż moim zdaniem powinniśmy zaatakować ich tu, pod samą Alambrerą.

– Słusznie! – krzyknął Bizon z zapalem.

– Przede wszystkim mamy mało czasu, a czekając na nich tutaj, zyskamy go najwięcej.

– Pamiętasz, co mówił posłaniec? – wtrącił Bizon. – Ludzie wyłażą na dachy i rzucają w hyci kamieniami. Może paru zabiją. Dajmy im szansę.

– A jeszcze wciąż mogą do nas dołączyć młodzi chłopcy z gwardii; im dłużej odczekamy, tym więcej się ich zjawi. – Natchniona wspomnieniem zabaw w palestrze, Mięta dodała:

– Kiedy ktoś przechodzi na drugą stronę barykady, liczy się podwójnie: jeden więcej dla nas, jeden mniej dla nich. Poza tym strażnicy Alamberry będą musieli otworzyć wrota, żeby wpuścić gwardzistów. – Po twarzach słuchaczy poznała, że nikt z nich o tym nie pomyślał. – Może i my dostaniemy się do środka, kto wie? Dobrze... Jak zaatakujemy?

– Weźmiemy ich w kleszcze, z przodu i z tyłu – zadudnił basowo Bizon. – Rzucimy wszystkich ludzi.

– Musimy ich zaskoczyć, maytere – dodała Limetka.

– Tym bardziej więc należy tu na nich poczekać. Doszedłszy do Alamberry uznają, że osiągnęli cel i może trochę się odprężą. Wtedy powinniśmy działać.

– Niech no tylko otworzą bramę! – Bizon uderzył pięścią w otwartą dłoń.

– Właśnie. O co chodzi, Zorillo?

– Nie powinienem tego mówić. Wiem, co wszyscy sobie pomyślą, ale gwardziści strzelają do nas z okien i murów. Prawie wszyscy ludzie, których straciliśmy, zginęli w ten sposób.

– Zorilla czekał, czy ktoś mu się sprzeciwi, ale nikt nie zaprzeczył. – Po drugiej stronie ulicy są budynki wysokie jak ten mur, maytere, a kawałek dalej jest nawet jeden wyższy. Powinniśmy ustawić tam ludzi, którzy strzelaliby do tych na murach. Ci, którzy nie mają igłowców ani pistoletów, też mogą wdrapać się na dach i rzucać kamieniami, tak jak mówił posłaniec. Kawał rakplastu zrzucony z tej wysokości powinien uderzyć nie gorzej od kuli, chociaż hycle mają zbroje.

– Masz rację – zgodziła się Mięta. – Zajmij się tym. Zbierz ludzi, nie tylko swoich; znajdź trochę starszych chłopców i dziewcząt, niech noszą kamienie i cegły. Po pożarach na pewno gruzu nie brakuje. Twoje kobiety, Limetko, nie wejdą do walki, dopóki nie zdobędziemy igłowców i broni palnej. Mam dla nich inne zadanie. Zajmą się rannymi. To zadanie w sam raz dla nich; nożami mogą opędzić się od ewentualnych intruzów. I przyprowadź mi tę kobietę z widłami, chcę z nią porozmawiać. – Kątem oka dostrzegła leżący na ziemi kawałek obłupanego tynku. Podniosła go. – A ty, Bizonie, słuchaj mnie uważnie. To jest ulica Klatak... – Na poczerniałej od dymu ścianie za ich plecami narysowała dwie szeroko rozstawione, równoległe linie. Potem wprawnymi ruchami zaczęła szkicować Alamberrę i otaczające ją budynki.

Zostało sporo cedrowego drewna, a ogień na ołtarzu nie wygasł jeszcze całkowicie. Jedwab rzucił w płomienie cały zapas świeżych szczap i czekał, aż wiatr roznieci ogień i sypnie iskrami na ulicę Słońca.

Kwezal ułożył zwłoki Piżma obok trumny maytere Róży. Maytere Marmur, która miała przynieść ze świątyni prześcieradło, jeszcze nie wróciła.

– Nie znałem drugiego tak przesiąkniętego złem człowieka. – Jedwab nie zamierzał wypowiadać tych słów na głos, ale wymknęły mu się mimo woli. – A jednak żał mi go i przykro mi na myśl, że odszedł na zawsze.

– Dobrze to o tobie świadczy, patere caldé – mruknął Kwezal, wycierając ręką podniesiony z ziemi nóż ofiarny.

Jedwabiowi przemknęło przez głowę, że w którymś momencie musiał go wypuścić z dłoni. Maytere Róża myła ten nóż i ostrzyła po każdym nabożeństwie. Ale maytere Róża nie żyła.

Ależ tak, upuścił go, wyciąwszy znaki dodawania wokół ran na nodze Kosmka. Wtedy gdy schylił się, by wyssać krew z nacięć.

Kiedy w phaedag spotkał Krew, kupiec powiedział mu, że obiecał komuś – jakiejś kobiecie – iż pomodli się za nią w tym manteionie. Nagle Jedwab zrozumiał (nie mając pojęcia, skąd to wie), że tą „kobietą” był w rzeczywistości Piżmo. Czy to duch Piżma unosił się wciąż w pobliżu zwłok i podsuwał mu takie myśli? Szepcząc zbyt cicho, niesłyszalnie? Jedwab nakreślił w powietrzu znak dodawania. Zdawał sobie sprawę, że powinien pomodlić się do Thelxiepei, bogini magii i duchów, ale nie potrafił tego zrobić.

Piżmo kupił manteion dla Krwi, za jego pieniądze. Musiał czuć, gdzieś w głębokich zakamarkach duszy, których wyrządzane latami zło nie zdołało skazić, że nabywając manteion obraża bogów. Prosił Krew o modlitwę za siebie, może za nich obu, w tym samym miejscu, które wykupił. A Krew obiecał mu, że to zrobi.

Czy dotrzymał obietnicy?

– Mógłbyś wziąć z drugiej strony, patere caldé? – Kwezal stał już przy wezglowiu trumny.

– Naturalnie, Wasza Mądrość. Wniesiemy ją do środka.

Kwezal pokręcił głową.

– Złożymy ją w świętym ogniu. Kiedy pogrzeb jest niemożliwy, dopuszcza się kremację zwłok. Czy mógłbyś...

Jedwab podniósł trumnę z drugiego końca; nie była bardzo ciężka.

– Czy nie powinniśmy się pomodlić, Wasza Mądrość? W jej imieniu?

– Już się za nią pomodliłem, patere caldé, kiedy stałeś zamyślony przy ołtarzu. Dalej, dźwignij jak najwyżej, a potem opuścimy ją w płomień. Tylko nie wypuść jej z rąk, proszę. Raz... dwa... trzy!

Jedwab czym prędzej odskoczył od buchającego coraz śmielej ognia.

– Może powinniśmy byli zaczekać na powrót maytere, Wasza Mądrość.

– Tak jest lepiej, patere caldé. Nie powinniśmy też patrzeć w ogień. Nawiasem mówiąc, czy wiesz, dlaczego trumny mają taki specyficzny kształt? Spójrz na mnie, patere caldé.

– Żeby swobodnie pomieścić ramiona zmarłego, Wasza Mądrość.

– Wszystkim tak się mówi. – Kwezal pokiwał głową. – Czy twoja sybilla potrzebowała więcej miejsca na ramiona? Prosiłem cię, żebyś na mnie spojrzła.

Cienkie, osmalone drewno trumny zaczynało czernieć i zwęglać się; liżące je płomienie sięgały coraz dalej.

– Nie – odparł Jedwab, znów spuszczać wzrok. Nie mógł pogodzić się z myślą, że ten przygarbiony, łysy starzec to w istocie przewodniczący Kapituły. – Nie, Wasza Mądrość. Większość kobiet, a nawet i mężczyzn, nie potrzebuje wiele miejsca w trumnie.

W powietrze uniósł się odór palonego mięsa.

– Trumna ma taki kształt po to, żebyśmy my, żywi, po zatrzaśnięciu wieka wiedzieli, gdzie zmarły ma głowę. Czasem trumnę stawia się pionowo. Patere!

Jedwab znów zbłądził wzrokiem ku stosowi ofiarnemu. Odwrócił się i zasłonił oczy dłońmi.

– Wolalbym ci tego oszczędzić, gdybym tylko mógł – zapewnił go Kwezal.

– Czego oszczędzić, Wasza Mądrość? – zaciekawiała się maytere Marmur. Właśnie wróciła z czystym prześcieradłem.

– Widoku trawionej ogniem twarzy maytere Róży – odparł Jedwab. Przetarł oczy. Miał nadzieję, że sybilla uzna, iż tarł je już wcześniej, bo oślepił go dym.

Podawała mu jeden koniec prześcieradła.

– Przepraszam, że tyle to trwało, patere. Tak się złożyło, że... przypadkiem zobaczyłam swoje odbicie, a potem specjalnie odszukałam lustro maytere Mięty. Mam zadrapanie na policzku.

Jedwab ujął dwa rogi prześcieradła w wilgotne od łez palce. Wiatr omal mu go nie wyrwał, ale trzymał mocno.

– Istotnie, maytere. Jak do tego doszło?

– Nie mam pojęcia!

Ku zdumieniu Jedwabia Kwezal bez wysiłku podniósł szerniałe zwłoki Piżma – najwidoczniej szacowny staruszek miał znacznie więcej siły, niż mogłoby się wydawać.

– Rozłóżcie je na ziemi – polecił. – I przytrzymajcie. Położę ciało, a potem je zawiniemy.

W chwilę później Piżmo również spoczął w płomieniach.

– Musimy teraz dokładać do ognia, aż oboje spłoną, nie ma natomiast potrzeby, żebyśmy na to patrzyli. – Kwezal ustawił się między Jedwabiem a stosem ofiarnym. – Pomódlmy się w ciszy za spokój ich dusz.

Jedwab zamknął oczy, pochylił głowę i zwrócił się z modlitwą do Zewnętrznego – bez szczególnej nadziei, że ten najbardziej tajemniczy z bogów słucha go, czy że obchodzą go słowa jego pokornego sługi. Nie był nawet pewien, czy Zewnętrzny istnieje.

– Wiem na pewno. – Poruszał ustami, ale nie dobywał się z nich żaden dźwięk. – Dla mnie jesteś jedynym prawdziwym bogiem. Lepiej żebym oddawał ci cześć, nawet jeśli cię nie ma, niż żebym czcił Echidnę czy Kypris, chociaż na własne oczy widziałem ich oblicza. Dlatego też błagam cię, zmiłuj się nad naszymi zmarłymi. Pomnij, że ja, któregoś raz jeden oświecił, powinienem być kochać ich oboje, lecz nie byłem do tego zdolny, przez co nie mogłem nadać ich życiu takiego biegu, by trafili do ciebie, nim Hierax się o nich upomniał. Dlatego na mnie spada wina za wszelkie zło, jakie wyrządzili, odkąd mnie poznali. Przyjmuję ją i proszę, byś przebaczył im, którzy płoną, i darował winy mnie, którego stos jeszcze się nie pali. Nie odtrącaj nas, o Zewnętrzny Zapoznany, choć nigdy nie oddawaliśmy ci należnej czci. Wszystko, co porzucone i pogardzane, należy do ciebie. Czy i ty chcesz zapomnieć o mężczyźnie i kobiecie, których zaniedbałem? Wspomnij na miernotę naszego żywota i ich śmierci. Czyż mamy nigdy nie zaznać pokoju? Szukałem w swym sumieniu, o Zewnętrzny, wszystkiego, czym mógłbym cię urazić. Oto co znalazłem: przy każdej okazji unikałem maytere Róży, choć mogła być dla mnie babką, której nigdy nie miałem; nienawidziłem Piżma i bałem się go, chociaż nijak mnie nie skrzywdził. Teraz widzę, o Zewnętrzny, iż oboje należeli do ciebie i z tego względu powinienem ich być pokochać. Zapomniawszy o swej dumie, będę hołubił ich wspomnienie. Przrzekam. Moje życie należy do ciebie, jeżeli tylko przebaczysz tym dwojgu ludziom, których dziś spalimy.

Jedwab otworzył oczy i ujrzał Kwezala, który już skończył pacierz – o ile w ogóle się modlił. Wkrótce maytere Marmur także podniosła głowę.

– Czy Wasza Mądrość, którego wiedza o nieśmiertelnych bogach nie ma sobie równej w całym whorlu, mógłby opowiedzieć mi o Zewnętrznym? – poprosił Jedwab. – Wspomniałem wprawdzie koadiutorowi Waszej Mądrości, iż bóg ten raczył mnie oświecić, lecz byłbym niezmiernie wdzięczny, mogąc dowiedzieć się o nim czegoś więcej.

– Nic ci nie mogę powiedzieć, patere caldé, ani na temat Zewnętrznego, ani o innych bogach. Długo żyłem, lecz niewiele się o nich dowiedziałem, a i to starałem się czym prędzej zapomnieć. Objawiła ci się Echidna. Czy po tym przeżyciu możesz mi wyjaśnić, dlaczego tak się stało?

– Nie, Wasza Mądrość. – Jedwab zerknął nerwowo na maytere Marmur.

– Ja jej nie widziałam, Wasza Mądrość. Ujrzałam jednak święte odcienie i usłyszałam jej głos. Byłam cudownie szczęśliwa. Wezwała nas wszystkich do zachowania czystości i przypomniała, że Scylla jest patronką naszego miasta. Nic więcej nie pamiętam. Czy powiedziała coś jeszcze?

– Kazała waszej sybilli obalić Ayuntamiento i niech to ci na razie wystarczy, maytere.

– Maytere Mięcie? Ależ to pewna śmierć!

Kwezal wzruszył ramionami.

– To prawda, maytere. Zanim w scyldag Kypris objawiła się w mieście, okna w Vironie były puste przez długie dziesięciolecia. Nie przypisuję sobie tej zasługi, gdyż nie ode mnie to zależało, przyznaję jednak, iż w przeszłości dołożyłem wszelkich starań, by zapobiec teofaniom. Niewiele mogłem zrobić, ale nie pozostałem bierny. Zakazałem przynajmniej składania ofiar z ludzi i wymusiłem umieszczenie stosownego zapisu w prawie. Nie ukrywam, że jestem z tego dumny. – Przewodniczący Kapituły zwrócił się do Jedwabia: – Chciałeś wiedzieć, patere caldé, czy zaprotestowałem, gdy Ayuntamiento postanowiła zrezygnować z wyboru nowego caldé. Słuszne zadałeś pytanie, sam nawet nie wiesz, jak bardzo słuszne. Gdyby po śmierci ostatniego caldé został wybrany następny, nie byłibyśmy dzisiaj świadkami wizyty Echidny.

– Jeśli Wasza Mądrość...

– Nie, chcę ci o tym opowiedzieć. Jako caldé musisz poznać wiele tajemnic; to właśnie jedna z nich. Sytuacja była wtedy o wiele bardziej złożona, niż mogłoby się dziś wydawać. Co wiesz o Karcie, patere caldé?

– Prawie nic, Wasza Mądrość. Studiowaliśmy ją, kiedy byłem chłopcem... To znaczy nauczyciel odczytał nam ją, a potem odpowiadał na pytania. Miałem chyba z dziesięć lat.

– Teraz nie wolno nam uczyć o Karcie – dodała maytere Marmur. – Wykłady na jej temat dawno już zniknęły z planu zajęć.

– Na moje polecenie – uzupełnił Kwezal – które wydałem, gdy najblihsza nawet wzmianka na jej temat zrobiła się niebezpieczna. Mamy jednak w pałacu kilka egzemplarzy Karty; wielokroć ją czytałem. Wbrew temu, co sądzicie, nie napisano w niej, że wybory nowego caldé muszą odbyć się zaraz po śmierci poprzednika. Najważniejsze jest, że caldé sprawuje swój urząd dożywotnio, może wyznaczyć następcę, a jeśli tego nie zrobi, następcę można wybrać po jego śmierci. Widzisz teraz, gdzie tkwi haczyk, patere caldé?

Jedwab niespokojnie rozejrzał się po ulicy: nie dostrzegł nikogo, kto mógłby podsłuchać ich rozmowę.

– Obawiam się, że nie, Wasza Mądrość. Twoje słowa wydają mi się zupełnie jasne.

– Zauważ zatem, iż nie napisano, że caldé musi ogłosić swój wybór. Jeżeli podejmie decyzję, kto ma po nim przejąć ster władzy, może zachować ją w tajemnicy. Powody są tak oczywiste, że waham się, czy w ogóle należy je wyjaśniać.

– Rozumiem. – Jedwab skinął głową. – Ogłoszenie jej postawiłoby obu w niezręcznej sytuacji.

– W nader niebezpiecznej sytuacji, patere caldé. Zwolennicy następcy mogliby dokonać zamachu na życie caldé, ci zaś, którzy sami mieliby chrapkę na ten urząd, chcieliby, być może, zamordować następcę. Ostatni caldé w swoim testamencie wskazał, kto ma zająć jego miejsce. Pamiętam dosłowne sformułowanie, jakiego użył: „Chociaż nie jest synem z mego ciała, syn mój mnie zastąpi”. Jak sądzisz, co to znaczy? Jedwab podrapał się po policzku.

– Nie podał imienia syna?

– Nie, przytoczyłem ci całą formułę. Nie powiedziałem ci jeszcze, że caldé nie miał żony. Nic też nie wiadomo o tym, by doczekał się synów.

– Nie wiedziałam o tym, Wasza Mądrość – odezwała się maytere Marmur. – Czy syn sam się nie zgłosił?

– Nic mi o tym nie wiadomo. Niewykluczone, że znalazł się, ale został skrytobójczo zamordowany na zlecenie Lemura czy innego z radców, chociaż osobiście w to wątpię. – Długą cedrową szczapą Kwezal wzruszył dogasające główne. – Prędzej czy później musiałbym się o tym dowiedzieć. Nie ogłoszono jednak testamentu publicznie; gdyby do tego doszło, zewsząd pojawiliby się tłumnie pretendenci, którzy wszystkim przysporzyliby kłopotów. Ayuntamiento w największym sekrecie prowadzi poszukiwania, ale szczerze mówiąc wątpię, żeby dzieciak przeżył, gdyby radcy go znaleźli.

Jedwab niechętnie przyznał mu rację.

– Gdyby chodziło o rodzonego syna, można by go znaleźć dzięki testom medycznym – mówił dalej Kwezal – lecz w takiej sytuacji nie pozostało radcom nic innego, jak szukać śladu chłopca. Przepytano wszystkie szkła, jakie udało się znaleźć; przeczytano – i to niejednym razem – stare dokumenty; przesłuchano krewnych i przyjaciół caldé. Wszystko na próżno. Powinno się zatem zorganizować wybory, do czego usilnie namawiałem Ayuntamiento, obawiając się objawienia Scylli, jeżeli sprawa nie zostanie szybko rozstrzygnięta. Musiałem jednak przyznać, że wybory te odbyłyby się niezgodnie z prawem. Caldé przecież wyznaczył następcę, tylko nikt nie umiał go znaleźć.

– W takim razie nie mam prawa do urzędu, do którego objęcia jestem zmuszany.

– Niezupełnie. Po pierwsze, testament odczytano dawno temu. Od tego czasu całe pokolenie dorosło i wymarło. Adoptowany syn caldé – jeżeli w ogóle istniał – prawdopodobnie nie żyje. Po drugie, Kartę spisali bogowie. Jest dokumentem, w którym przedstawili nam swoje życzenia odnośnie do naszego systemu rządów – tylko tym i niczym więcej. Nie dziwota, że są niezadowoleni z obecnego stanu rzeczy, ty zaś, patere caldé, jesteś dla nich jedyną alternatywą. Maytere też ci to

mówiła. Kwezal oddał nóż maytere Marmur.

– Chyba możemy już iść. Ty, maytere, zostań tutaj. Pilnuj ognia, aż wygaśnie, a wtedy przenieś popioły do manteionu i pozbądź się ich w zwykły sposób. Możesz wśród nich zauważyć kości albo zęby: nie dotykaj ich, traktuj je tak samo jak resztę prochów.

Sybilla skłoniła się nisko.

– Potem oczyść ołtarz, tak jak zwykle. Jeżeli uda ci się znaleźć dość ludzi do pomocy, wnieście go z powrotem do manteionu, razem ze świętym oknem.

– Patere już mi to zlecił, Wasza Mądrość.

– Znakomicie. Jak mówiłem, jesteś dobrą, rozumną kobietą, maytere. Ucieszyłem się, widząc, że wróciwszy do klasztoru, włożyłaś kornet. Pozwalam ci teraz wejść na plebanię. Znajdziesz tam starą kobietę, która zapewne czuje się już na tyle dobrze, by iść do domu. W jednym z łóżek na piętrze leży chłopiec; opiekuj się nim. Możesz go tam zostawić bądź przenieść do klasztoru, jak ci będzie wygodniej. Nie wolno mu się przemęczać, powinien pić dużo wody. Jeśli zdołasz, wmuś w niego jakieś jedzenie. Ugotuj mu na przykład kawałek mięsa. – Kwezal odwrócił się do Jedwabia. – Zajrzę jeszcze do niego, póki maytere jest zajęta przy ogniu. Chciałbym również pożyczyć togę, którą znalazłem na plebanii. Należy, jak sądzę, do twojego akolity, gdyż na ciebie, patere caldé, byłaby za krótka. Na mnie będzie w sam raz, a gdy spotkamy buntowników... Może powinniśmy nazwać ich sługami Królowej Whorla... lepiej będzie, jeśli od razu nas rozpoznają.

– Z całą pewnością patere Gulo nie miałby nic przeciwko temu, żebyś wziął wszystko, czego potrzebujesz, Wasza Mądrość.

Kiedy Kwezal oddalił się ku plebanii, maytere Marmur spytała:

– Zamierzasz pomóc maytere Mięcie, patere? Znajdziecie się oboje w strasznym niebezpieczeństwie. Będę się za was modlić.

– Znacznie bardziej martwię się o ciebie – odparł Jedwab. – Maytere Mięta cieszy się łaską Echidny, bez względu na to, co twierdzi Jego Mądrość.

Sybilla zwróciła ku niemu twarz, uśmiechając się lekko, prowokująco.

– Mną się nie przejmuj – uspokoiła Jedwabia. – Maytere Marmur się o mnie zatroszczy. – Niespodziewanie musnęła jego policzek ciepłymi, metalowymi wargami. – Gdybyś spotkał gdzieś mojego synka, Krew, też mu powiedz, żeby się nie martwił. Nic mi nie będzie.

– Nie omieszka, maytere. – Jedwab pośpiesznie odsunął się od niej. – Do zobaczenia, maytere Rózo. A co do tych pomidorów... Naprawdę, bardzo mi przykro. Mam nadzieję, że mi wybaczyłaś.

– Ona umarła wczoraj, patere. Nie mówiłam ci o tym?

– Mówiłaś – mruknął Jedwab. – Oczywiście, że mówiłaś.

Alka leżał na podłodze tunelu. Był zmęczony, słaby i kręciło mu się w głowie. Kiedy ostatnio spał? W molpdag, po tym, jak zostawił patere ze szczebiotką, zanim wybrał się nad jezioro. Zdrzemnął się jeszcze potem na łódce, tuż przed sztormem. Szczebiotka i rzeźnik też byli zmordowani, bardziej niż on, chociaż nie oberwali po łbie. Pomogli mu przetrwać sztorm. Jelec zginął. Żubr nic nie zrobił, chociaż zabiłby go, gdyby tylko dać mu szansę. Wyobraził sobie, jak Żubr staje nad nim i bierze zamach jedną z tych maczug, które widział w korytarzu. Usiadł i zobaczył, że Żubr z żołnierzem rozmawiają po cichu.

– Mam na wszystko oko – uspokoił Alkę żołnierz, podnosząc głos. – Śpij spokojnie, przyjacielu.

Alka położył się z powrotem, mimo że nie przyjaźnił się z żołnierzem i wolałby zaufać Żubrowi. Chociaż Żubrowi też ani trochę nie ufał. Jaki mieli dzień? Thelxdag, może nawet phaedag. Dzień Phaei Posepnej, patronki jedzenia i leczenia. Posepnej, bo jedzenie oznacza konieczność zabicia czegoś, co dałoby się zjeść. Nie ma co udawać, że jest inaczej. Tak jak Pawian zabił Jelca, zadusił go zapasową cięciwą do łuku. Dlatego warto czasem zaglądać do manteionu. Ofiara wyróżnia ofiarodawcę z tłumu: baran o szarej sierści umiera, jego krew leje się w płomienie, a biedacy dziękują Phaei czy innemu bogu za „dobre jadlo”. Posepnej, bo zdrowienie boli bardziej od umierania; lekarz zadaje człowiekowi ból, żeby go uleczyć, rozcina skórę, nastawia kości – to boli. Jelec mówił, że Alka ma uszkodzoną czaszkę... Na pewno pękniętą, inaczej przecież by mu się tak we łbie nie kręciło. Czasem wzrok mu się mącił i nie widział nawet na wyciągnięcie ręki.

Biały baran, Phaeo, jeśli tylko wydobrzeję.

Powinien był złożyć w ofierze czarnego. Obiecał Tartarosowi czarnego barana, ale na jedyne, jakiego znalazł na targu, nie było go stać. Musiał więc kupić szarego. To jeszcze było przed tym ostatnim razem, zanim Kypris przepowiedziała im przyszłość, zanim kupił szczebiotce pierścionek, zanim patere dorobił się owijacza. Pewnie stąd brały się wszystkie kłopoty – ofiarował barana niewłaściwego koloru. Ale przecież czarne i tak są wszystkie farbowane...

Po drzewie na dach, dalej przez okno na strychu do środka, ale kręciło mu się w głowie, strasznie mu się kręciło, a drzewo było takie wysokie, że sięgało klosza, zeschnięte liście ocierały się o ten cholerny klosz i szeleściły, szeleściły, a dach był coraz wyżej, Żubr gwizdał, stał na rogu i gwizdał, bo hycle już prawie zebrali się pod tym przeklętym drzewem.

Stanął wyprostowany na gałęzi i ruszył przed siebie, patrząc, jak dach odpływa w dal wraz z czarnymi strzelistymi dachami Limny, łódź starego wychodzi z portu, u steru stoi Scylla Opryskliwa, Scylla siedzi w głowie szczebiotki, nie zajmując tam wcale miejsca, ale szarpie wodze, wbija jej w bok ostrogę, Scylla w Ostrogach jak u koguta bojowego popędza szczebiotkę do szybszego kłusa. Jeden mały krok, i następny, i dach jest nieskończenie daleko, sięga wyżej niż to cholerne drzewo. Pośliznął się na krwi Pawiana, która zmoczyła srebrzystą korę, i spadł.

Obudził się nagle, cały roztrzęsiony. Wyczuł, że tuż obok, bardzo blisko, choć nie dotykając jego

ciała, leży coś ciepłego. Przetoczył się na bok i przytulił do niej od tyłu: nogi przytknął do jej masywnych, miękkich ud, pierś oparł o jej plecy i otoczył ją ramieniem, żeby nie marzła. Ujął jej pierś w dłoń.

– Na Kypris, szczebiotko, kocham cię. Źle się czuję i nie mogę cię bzyknąć, ale cię kocham. Nie chcę innych kobiet.

Nie odezwała się, ale wyczuł zmianę w jej oddechu; poznał, że nie śpi, chociaż chciała, żeby tak myślał. Wisiało mu to; chciała się zastanowić, a on nie miał do niej o to pretensji, nie pragnął być z kobietą, która się nie zastanawia, bo taka baba prędzej czy później i tak wypnie się na człowieka, nawet gdyby z początku tego nie chciała.

On już dość się zastanawiał, ten moment, kiedy obracał się na bok, wystarczył mu za wszystkie czasy. Zadowolony zasnął obok niej.

– Jesteś wstrząśnięty, patere caldé. Przeze mnie, poznałem to po twojej twarzy. Wzrok nie dopisuje mi już tak jak dawniej i nie zawsze sobie radzę z rozpoznawaniem wyrazu twarzy u ludzi, ale w twojej czytam jak w książce.

– Trochę tak, Wasza Mądrość. – Szli obok siebie ulicą Słońca, wysoki młody augur i przygarbiony staruszek. Jedwab robił jeden krok na każde dwa roztrzęsione i niepewne kroki Kwezala.

– Odkąd opuściłeś scholę i przybyłeś do tej dzielnicy, patere caldé, cały czas modliłeś się, by w twoim oknie ukazał się bóg, prawda? Na pewno tak było; wszyscy się o to modlicie. Kogo miałeś nadzieję ujrzeć? Paha czy Scyllę?

– Przede wszystkim Scyllę, Wasza Mądrość. Prawdę mówiąc, nie myślałem wtedy o pomniejszych bogach... To znaczy o wszystkich poza Dziewięcioma, bo żaden bóg nie jest naprawdę pomniejszym, jak mi się wydaje. Najbardziej spodziewałem się Scylli, bo tylko w scyldagi odbywało się u nas składanie ofiar. Poza tym to ona jest patronką miasta.

– Chciałeś, żeby ci powiedziała, co masz robić. – Kwezal zmrużył oczy i posłał Jedwabiowi bezzębny uśmiech. – Poza tym w ten sposób napełniłaby się też twoja kiesa Mógłbyś wyremontować stare budynki, kupić książki do palestry i codziennie odprawiać nabożeństwa z bogatymi ofiarami.

Jedwab niepewnie skinął głową.

– Rozumiem cię – westchnął Kwezal. – Och, jak dobrze cię rozumiem! To całkiem normalne, patere caldé, nawet, powiedziałbym, wskazane. Ale co ze mną? Ze mną, który wołałby, żeby bogowie w ogóle się nie pokazywali? To już nie jest normalne, prawda? I to cię martwi.

– Nie mnie oceniać słowa i zachowanie Waszej Mądrości.

– A jednak i to będziesz robił. – Kwezal przystanął, powiódł wzrokiem po ulicy Lamp i przez

chwile chyba nasłuchiwał. – Sam zobaczysz, patere caldé. Nie ma na to rady i dlatego muszę ci coś powiedzieć. Potem porozmawiamy o czymś, co, jak ci się wydaje, poznałeś już jako dziecko. Mam na myśli plan Paha. Później pozwolę ci dołączyć do maytere... Jakżeż ona się nazywa?

– Mięta, Wasza Mądrość.

– Będiesz mógł wziąć udział w obalaniu Ayuntamiento w imię Echidny, a ja pójde werbować ci nowych ludzi i szukać lepszej broni. Na początek...

– Wasza Mądrość? – Jedwab nerwowo przesunął palcami po włosach. Nie mógł się już dłużej powstrzymać. – Czy wiesz, Wasza Mądrość, że Pah Wielki nie żyje? Czy wiedziałeś już wcześniej, zanim Echidna nam o tym powiedziała?

– Ależ naturalnie. Możemy od tego zacząć, patere caldé, jeśli tak cię to dręczy. Czy na moim miejscu rozgłosiłbyś tę nowinę z ambony Wielkiego Manteionu? Oznajmił to wszem wobec? Odprawił nabożeństwo żałobne i tak dalej?

– Tak – odparł zdecydowanie Jedwab. – Zrobiłbym to.

– Rozumiem... Jak ci się wydaje, dlaczego Pah nie żyje, patere caldé? Jesteś młodym, bystrym człowiekiem, wiem, że w scholi byłeś pilnym uczniem. Raporty twoich nauczycieli są bardzo pochlebne. Jak mógł zginąć Ojciec Bogów?

Z oddali dobiegł ich huk wystrzałów, a potem przeciągły, dudniący łoskot, niby przetaczający się pod niebem grzmot.

– Właśnie zawalił się jakiś budynek – stwierdził Kwezal. – Nie przejmuj się tym teraz. Odpowiedz na moje pytanie.

– Nie wyobrażam sobie, jak mogło do tego dojść, Wasza Mądrość. Bogowie są nieśmiertelni, nie starzeją się... Właściwie głównie z tego powodu są bogami.

– A gorączka? – podsunął mu Kwezal. – Śmiertelnicy każdego dnia umierają z gorączki. Może się przeziębził?

– Bogowie są istotami duchowymi, Wasza Mądrość. Nie chorują.

– A gdyby koń kopnął go w głowę, nie sądzisz, że to by wystarczyło?

Jedwab nic nie odpowiedział.

– Oczywiście, patere caldé, żartuję sobie z ciebie. Nie bez powodu jednak; pytanie zadałem poważnie. Echidna powiedziała ci, że Pah nie żyje, a ty jesteś niezdolny wątpić w jej słowa. Ja o tym wiem od trzydziestu lat, prawie od chwili jego śmierci. Jak zmarł? Jak to się mogło stać?

Zdezorientowany Jedwab znów przeczesał ręką czuprynę.

– Kiedy zostałem przewodniczącym Kapituły, patere caldé, mieliśmy w pałacu piękny wazon, wypalany jeszcze we whorlu krótkiego słońca. Mówiono mi, że liczy sobie pięćset lat. Niepojęte, prawda?

– Musiał być bezcenny, Wasza Mądrość.

– Lemur chciał mnie nastraszyć, pokazać mi, że potrafi być bezlitosny. Wiedziałem o tym już wcześniej, ale on nie zdawał sobie sprawy, że wiem; sądził chyba, że kiedy mi to udowodni, nigdy już nie odważę mu się sprzeciwić. Zdjął więc wazon z podpórki i rozbił mi go u stóp.

– Naprawdę, Wasza Mądrość? – Jedwab patrzył na Kwezala z niedowierzaniem. – Naprawdę to zrobił?

– Tak. Słuchaj dalej. Ten wazon był nieśmiertelny, nie starzał się, nie chorował. Ale można go było zniszczyć, tak jak i Pana. Nie przybywało mu lat, był odporny na choroby, ale został unicestwiony. Wielu ludzi umiera w ten sposób, patere caldé. Kiedy dożyjesz połowy moich lat, sam się przekonasz. Bóg również tak zginaj.

– Ale, Wasza Mądrość...

– Viron jest odizolowany od innych miast; wszystkie miasta whorla egzystują niezależnie od siebie. Pah dał nam zwierzęta i różne urządzenia – ale żadnych wielkich maszyn, które mogłyby przewozić ciężkie ładunki. Uznał, że tak będzie dla nas najlepiej, ja zaś śmiem twierdzić, że miał rację. Jednakże Ayuntamiento nie jest izolowana. Caldé też nie był. Wiedziałeś o tym?

– Wiem, że mamy dyplomatów, Wasza Mądrość. Są poza tym wędrowni kupcy, po rzekach pływają łodzie... Trafiają się nawet szpiedzy.

– Właśnie. Jako przewodniczący Kapituły jestem równie silnie związany ze światem zewnętrznym jak dawniej caldé. Nawet silniej, ale nie będę się upierał, żeby to udowodnić. Pozostaję w kontakcie z przywódcami religijnymi w Urbs, Wick i innych miastach, gdzie dzieci Paha przechwalają się, że go zabiły.

– Czyli to robota Siedmiu, Wasza Mądrość? Czy Echidna miała w tym swój udział? Albo Scylla?

Kwezal znalazł paciorki w kieszeni togi Gula. Zaczął przesuwac je w palcach.

– Echidna odegrała kluczową rolę. Czy po tym, jak ją widziałeś, masz jakieś wątpliwości? Pomogli jej Scylla, Molpe i Hierax; przyznali się do tego przy różnych okazjach.

– Ale Tartaros, Thelxiepeia, Phaea i Sphigx nie przyłożyli do tego ręki, Wasza Mądrość? – Jedwab poczuł irracjonalny przypływ nadziei.

– Nie wiem, jak to było z Tartarosem i młodszymi boginiami, patere caldé. Czy rozumiesz teraz, dlaczego wolałem o tym głośno nie mówić? Wybuchłaby panika... nadal może wybuchnąć, jeśli ta

wieść się rozejdzie. Kapituła zostanie zniszczona, a wraz z nią zniknie fundament moralności. Spróbuj sobie wyobrazić Viron bez Kapituły i zasad moralnych. A wracając do upublicznienia tej sprawy: jak ci się wydaje, jaka byłaby reakcja morderców Paha, gdybyśmy ogłosili żałobę po nim?

– My... – Głos zamarł Jedwabiowi w gardle. – Ja, Wasza Mądrość, Kosmek, maytere Marmur, my wszyscy... jesteśmy jego dziećmi. Przecież dla nas zbudował cały whorl. Rządził nim i był nam ojcem. Ja...

– O co chodzi, patere caldé?

– Właśnie sobie coś przypominałem. Kypris... Na pewno wiesz, Wasza Mądrość, że w scyldag Kypris objawiła się w naszym manteionie.

– Odebrałem kilkanaście raportów w tej sprawie. Całe miasto o tym mówi.

– Powiedziała, że jest poszukiwana. Nie rozumiałem jej wtedy, ale teraz chyba wiem, co miała na myśli.

– Całkiem możliwe, że tak właśnie jest. – Kwezal pokiwał głową. – To prawdziwy cud, że przez trzydzieści lat nie zdołali jej osaczyć. Jest pewnie dziesięć razy słabsza od Paha, chociaż, z drugiej strony, trudno zgładzić nawet pomniejszą boginię, kiedy ona się tego spodziewa. Łatwiej zabić ojca czy męża, który ci ufa. Mam nadzieję, że teraz rozumiesz, dlaczego chciałem uniknąć dalszych teofanii, patere caldé? Bo jeśli nie, to obawiam się, że nie zdołam ci tego lepiej wyjaśnić.

– Rozumiem, Wasza Mądrość, naturalnie. To... okropne. Niewyobrażalne. Ale postąpiłeś słusznie, Wasza Mądrość. Bardzo słusznie.

– Cieszę się, że to rozumiesz. Dlatego też musimy dalej składać ofiary Pahowi, prawda? Próbowałem ująć mu nieco znaczenia, przedstawić go jako, bardziej odległego niż dotąd. Jego kosztem wyniosłem Scyllę na piedestał, chociaż ty, patere caldé, byłeś za młody, żeby to ogarnąć. Starsi ludzie czasem się skarżą.

Zamyślony Jedwab potarł policzek.

– Dręczą cię pytania, patere caldé. A jeśli nawet nie, na pewno zaczną dręczyć, kiedy to wszystko przetrawisz. Nie obawiaj się, że mnie obrazisz. Jestem do twojej dyspozycji.

– O dwie sprawy chciałbym zapytać od razu. Waham się jednak, gdyż pierwsza moja wątpliwość zakrawa na bluźnierstwo.

– Jak wiele znaczących wątpliwości. – Kwezal przekrzywił głowę. – Na razie zadam ci prostsze pytanie: czy słyszysz konie?

– Konie, Wasza Mądrość? Nie.

– Wydawało mi się. A więc?

Jedwab jeszcze chwilę szedł w milczeniu, chcąc zebrać myśli. Wreszcie przemówił:

– Z moich pierwotnych dwóch pytań zrobiły się trzy, Wasza Mądrość. Pierwsze, za które z góry przepraszam, brzmi: czy Echidna i pozostałych Siedmiu nie kocha nas tak, jak kochał nas Pah? Zawsze czułem, że Pah kocha ich wszystkich, a oni kochają nas. Wobec tego czy jego śmierć – aczkolwiek straszna to rzecz – zrobiłaby nam wielką różnicę?

– Przyjaźnisz się ponoć z ptakiem, patere caldé. Nie widziałem go, ale doszły mnie takie słuchy.

– Miałem nocnego kruka, Wasza Mądrość, lecz go straciłem. Chyba że zabrał się w podróż z moim przyjacielem. Mam nadzieję, że kiedyś do mnie wróci.

– Powinieneś był trzymać go w klatce, patere caldé.

– Za bardzo go lubiłem, Wasza Mądrość.

Kwezal energicznie pokiwał swoją drobną głową na długiej szyi.

– Właśnie. Są ludzie, którzy tak bardzo kochają ptaki, że dają im wolność; i są tacy, którzy tak je kochają, że trzymają je w klatkach. Miłość, jaką darzył nas Pah, była tego pierwszego rodzaju; miłość Echidny i reszty to ta druga. Czy chciałeś zapytać, dlaczego zabili Paha? Czy tak miało brzmieć jedno z twoich pytań?

– Drugie, Wasza Mądrość.

– Właśnie na nie odpowiedziałem. Jak zatem brzmi trzecie?

– Mówiłeś, że chcesz omówić ze mną plan Paha, Wasza Mądrość. Jaki jest sens o nim rozmawiać, skoro Pah nie żyje?

Zza ich pleców dobiegł stłumiony tętent kopyt.

– Plany bogów nie umierają wraz z nimi, patere caldé. Pah nie żyje; Echidna Przebiegła mówiła prawdę. My żyjemy. Mieliśmy zrealizować jego plan. Sam powiedziałeś, że rządził nami po ojcowsku. Czy plany ojca mają przynieść korzyść jemu samemu? Czy raczej jego dzieciom?

– Wasza Mądrość, właśnie sobie coś przypomniałem! Inny bóg, Zewnętrzny...

– Patere! – Przed nimi wstrzymał konia porucznik gwardii cywilnej odziany w zieloną, cętkowaną zbroję szturmową. Podniósł przyłbicę. – Czy ty... Ty, patere, młodszy... Nie jesteś czasem patere Jedwabiem?

– Tak, to ja, patere Jedwab we własnej osobie.

Porucznik wypuścił wodze z ręki i z pozoru wolnym ruchem – lecz i tak o wiele za szybkim, by Jedwab zdążył sięgnąć po broń Piżma – wyszarpnął z olstra igłowiec. Stłumiony trzask wystrzały zabrzmiał w chwilę potem, jak Jedwab poczuł bolesne ukłucie igły.

Listy

Nalegali, żeby sama nie wyruszała na zwiady, ale uznała, że za często wysługiwała się innymi. Tym razem stanie twarzą w twarz z wrogiem; zakazała swoim ludziom iść z nią. Poprawiła śnieżnobiały kornet i przytrzymując targaną wiatrem spódnicę habitu, ruszyła naprzód: mniejsza i młodsza od innych sybilli, od stóp do głów odziana (jak one wszystkie) w czerń, zdążyła przed siebie z jakimś świętym posłannictwem, przyciągając uwagę tylko tym, że nikt jej nie towarzyszy.

W jednej z obszernych kieszeni habitu miała azoth, w drugiej paciorki. Skręciwszy w ulicę Klatak wyjęła paciorki; koraliki były duże, dwa razy większe niż te, które Kwezal przekładał w palcach.

Najpierw gammadion Paha.

– Pahu Wielki, projektodawco i twórco whorla, strażniku Złotej Ścieżki, oddajemy ci...

Powinna powiedzieć „oddaję”, ale przyzwyczaiła się odmawiać paciorki z maytere Różą i Marmur. Kiedy razem modliły się w sellarii, powtarzały „oddajemy”. Ale ja się modłę za nas wszystkich, pomyślała. Za wszystkich, którzy dziś po południu mogą polec, za Bizona, patere Gulo, Bolenia i za tego człowieka, który pożyczył mi miecz. Za ochotników, którzy zaraz ruszą konno w moje ślady, za patere Jedwabia, Lunetkę, Zorillę i za dzieci – za dzieci szczególnie. Za nas wszystkich, Pahu Wielki.

– Oddajemy ci najwyższą i wyłączną...

Opancerzony ślizgacz z pozamykanymi włazami skręcił w ulicę Klatak, za nim drugi, potem trzeci. Później nastąpił dłuższy odstęp, spowodowany tumanem kurzu – i pojawił się pierwszy szereg maszerujących gwardzistów. Obok na koniu jechał oficer. Żołnierze szli pewnie dalej z tyłu (tak donosił posłaniec), ale nie mogła czekać, aż się pojawią, chociaż to oni byli najgroźniejsi, gorsi nawet od ślizgaczy.

Zapomniawszy o paciorkach, pobiegła z powrotem.

Sklerodermia czekała na nią, trzymając wodze białego rumaka.

– Idę z wami, maytere – oznajmiła. – Na własnych dwóch nogach, skoro nie chcesz mi dać konia, ale idę. Ty się tam wybierasz, a ja jestem większa i silniejsza od ciebie.

Miała rację; nie była może wyższa od Mięty, ale z pewnością dwakroć cięższa.

– Krzycz – powiedziała jej maytere Mięta. – Bogowie obdarzyli cię donośnym głosem. Krzycz i hałasuj, ile zdołasz. Jeżeli dzięki tobie dostrzegą ludzi Bizona choćby o sekundę później, może uda ci się przechylić szalę zwycięstwa na naszą stronę.

Jakiś olbrzym z szerokim uśmiechem, w którym brakowało paru zębów, przyklęknął i podstawił jej splecione dłonie. Wsparła na nich stopę i wskoczyła na siodło. Koń był wysoki, ale i tak jej głowa znalazła się zaledwie na równi z głową ogromnego mężczyzny; Mięta wybrała go właśnie ze względu na wzrost i groźny wygląd. Chodziło przede wszystkim o odwrócenie uwagi – jeśli się uda, będzie szansa. Nagle zdała sobie sprawę, że nie zna jego imienia.

– Umiesz jeździć konno? – spytała. – Jeśli nie, powiedz od razu.

– Umiem, maytere.

Kłamał zapewne, ale było już za późno, żeby go sprawdzać albo szukać kogoś innego. Stała w strzemionach i popatrzyła po pięciorgu stojących za nią jeźdźcach. Koń olbrzyma stał obok, na razie bez jeźdźca.

– Większość z nas dziś zginie; może nawet wszyscy.

Pierwszy ślizgacz dotarł już pewnie do połowy ulicy Klatak i zatrzymał się przed wrotami Alamberry, ale jeśli ich zabiegi miały być skuteczne, musieli odczekać, aż maszerujący za pojazdami żołnierze dogonią je i zewrą szyki. Na razie trzeba czymś zająć ludzi.

– Gdyby jednak ktoś z nas przeżył, powinien znać imiona tych, którzy oddali życie w boju. Nie zaliczam cię do naszego grona, Sklerodermio, ale to ty masz największe szanse przeżyć nas wszystkich. Słuchaj zatem uważnie.

Sklerodermia pobladła, lecz skinęła głową.

– Wy wszyscy też słuchajcie i starajcie się zapamiętać imiona. – Strach, który raz udało jej się skutecznie zwalczyć, wracał teraz i z wolna sączył się w duszę. Zagryzła wargę; nie mogła pozwolić, żeby głos jej zdradzał. – Jestem maytere Mięta z manteionu przy ulicy Słońca. Mnie już znacie. Hej, ty! – Wskazała ostatniego z jeźdźców. – Powiedz nam, jak się nazywasz. Tylko głośno.

– Babirusa!

– Dobrze. Następny!

– Goral!

– Kaczeniec! – To kobieta, która przyprowadziła konie.

– Opos!

– Świstak!

– Kocur z „Koguta” – mruknął olbrzym i dosiadł konia w stylu, który zdradzał, że bardziej chyba przywykł do jazdy na ośle.

– Żałuję, że nie mamy rogów i kotłów wojskowych – powiedziała maytere Mięta. – Muszą nam wystarczyć nasze głosy i broń. Pamiętajcie, chodzi o to, żeby żołnierze, a zwłaszcza załogi ślizgaczy, jak najdłużej rozglądali się za nami i strzelali do nas.

Strach spętał jej myśli, ohydny, zimniejszy od lodu. Poczwała nagłą pewnością, że azoth patere Jedwabia wypadnie jej z roztrzęsionych palców, jeśli tylko spróbuje go dobyć z kieszeni. Wyjęła go jednak, doszedłszy do wniosku, że lepiej wypuścić cenną broń z ręki tutaj, gdzie Sklerodermia podniesie ją i poda z powrotem.

– Wszyscy zgłosiliście się na ochotnika do tej misji. Jeżeli chcecie jeszcze raz przemyśleć tę decyzję, nie bójcie się, to żaden dyshonor. Jeżeli ktoś chce, może teraz odejść.

Mięta odwróciła się i spojrzała przed siebie, żeby nie widzieć, kto zsiada z siodła – i od razu wydało jej się, że zostawili ją samą. Rozpaczliwie poszukując lekarstwa na strach, wyobraziła sobie nagą kobietę o jasnych włosach, furię o wściekłych oczach, która wcale nie była nią, Miętą. Dzierżyła w dłoni bicz, którego ciosy rozdzierały szarą grudę lęku, aż zupełnie wygnała go z myśli.

Czy to dlatego, że wbiła mu pięty w boki, czy też zwyczajnie popuściła wodze, jej koń ruszył spokojnym truchtem. Skręcił w szeroką ulicę Klatak. Z przodu, daleko jeszcze, lecz bliżej z każdą chwilą, znajdowały się ślizgacze; trzeci z nich osiadał właśnie na pożłobionej koleinami ulicy. Żołnierze szli za nim.

– W imię Echidny! – krzyknęła maytere Mięta. – Z woli bogów! – Wciąż brakowało jej ryku rogów i grzmotu bębnow; nie zdawała sobie sprawy, że zwielokrotniony echem tętent kopyt brzmi jak werbel, a jej głos wibruje niczym dźwięk trąbki. – Jedwab jest caldé! – Wgniotła pięty w boki wierzchowca. Strach ustąpił miejsca wszechogarniającej radości. – Jedwab jest caldé!

Jadący po prawej olbrzym strzelał z dwóch igłowców.

– Obalić Ayuntamiento! Jedwab jest caldé!

Nie udało jej się utrzymać dłużej migotliwego ostrza azotha na pierwszym ślizgaczu – za szybko

galopowała. Chłaśnięty dwa razy pojazd zapłakał srebrzystym metalem, grunt przed jego dziobem zagotował się, a z góry posypały się kamienie z murów Alambrey.

Nagle z prawej strony maytere pojawił się Opos, z lewej zaś Kaczeniec z czarnymi, rozpuszczonymi włosami, podobna do wiedźmy z koszmarów sennych. Długim biczem smagnęła konia oficera. I Kaczeniec, i Opos klęli i wrzeszczeli wniebogłosy.

Azoth śmignął ponownie. Pierwszy ślizgacz zmienił się w kulę pomarańczowego ognia. Z drugiego zaterkotały działka pulsacyjne – płomień z ich luf przypominał maleńkie iskierki, a huk wystrzałów utonął w kakofonii dźwięków.

– Formować szyk! – krzyknęła maytere Mięta, nie bardzo wiedząc, co ma na myśli. – Naprzód! Naprzód!

Z budynków po obu stronach ulicy wysypywały się tysiące uzbrojonych mężczyzn i kobiet. Wypadali przez drzwi, wyskakiwali z okien, wynurzali się z bram. Opos gdzieś zniknął, Kaczeniec zaś wysforowała się do przodu o pół długości konia. Niewidzialne ręce zdarły Mięcie kornet z głowy i złapały ją za rękaw.

Drugi ślizgacz, również trafiony azothem, plunął metalem; działka umilkły i nagły wybuch urwał całą wieżyczkę. Na pojazdy i gwardzistów posypał się grad kamieni i kul pistoletowych – strzelcy pochowali się na dachach i w oknach wyższych pięter.

To nie wystarczy, pomyślała. Na pewno nie wystarczy. Musimy mieć więcej broni.

Azoth parzył ją w rękę. Zdjęła kciuk z demona i nagle wzbiła się w powietrze na grzbiecie rumaka, który wielkim susem przesadził zwały poskręcane, dymiącego metalu. Działka trzeciego ślizgacza otworzyły ogień, celując w ludzi wybiegających z domów. Pojazd uniósł się z rykiem silników, w chmurze kurzu i lepkiego dymu, porwanego wiatrem i podmuchem wydechów. Przebity ostrzem azotha spadł bokiem na ziemię, żaloszny i komiczny zarazem.

Ku zdumieniu Jedwabia, strażnicy potraktowali go łaskawie – opatrzyli mu ranę i pozwolili położyć się w ogromnym łożu z czterema wspierającymi baldachim kolumnkami, które jeszcze rankiem należało do jakiegoś obywatela.

Nie stracił przytomności, ale opuściła go wszelka wola działania. Nieco zdumiony skonstatował, że wcale go nie obchodzi, czy Alambra padnie, Ayuntamiento zachowa władzę ani czy długie słońce będzie jeszcze przez stulecia obdarzać Viron życiodajną poświatą, czy też wypali się i zgaśnie. To nie miało teraz żadnego znaczenia. On, Jedwab, i tak kiedyś musi umrzeć, więc czemu nie od razu? Wszystko by się skończyło raz na zawsze.

Wyobraził sobie, jak trafia pomiędzy bogów, on, ich najpokorniejszy sługa i wyznawca, i stwierdził, że tylko jednego z bogów chciałby naprawdę ujrzeć – tego, którego wśród nich nie było.

– Proszę, proszę! – W ożywionym głosie chirurga zabrzmiała nuta profesjonalnego

zainteresowania. – A więc to ty jesteś Jedwab!

Jedwab odwrócił głowę, nie podnosząc jej z poduszki.

– Chyba nie.

– Tak mi powiedzieli. W rękę też cię ktoś postrzelił?

– Nie, to co innego. Nieważne. – Jedwab splunął krwią.

– Dla mnie ważne. To stary opatrunek i należałoby go zmienić. – Lekarz wyszedł i natychmiast (tak się przynajmniej zdawało Jedwabowi) powrócił, niosąc miskę z wodą i gąbkę. – Zabieram ci ten ultradźwiękowy owijacz diatermiczny, który nosisz na nodze. Są wśród nas ludzie, którzy bardziej go potrzebują.

– Weź go, proszę bardzo.

Chirurg chyba się zdziwił.

– Bo widzisz, Jedwab stał się kimś znacznie bardziej znaczącym ode mnie – ciągnął augur. – Nie jestem tym, kogo ludzie mają na myśli, mówiąc o Jedwabiu.

– Powinieneś już nie żyć – powiedział mu jakiś czas później chirurg. – Masz przebite płuco. Chyba lepiej będzie powiększyć ranę wyjściową, niż grzebać w niej od przodu. Teraz obrócę cię na brzuch. Słyszysz mnie? Przetoczę cię na brzuch. Przekręć głowę na bok, żebyś mógł oddychać.

Nie zrobił tego, więc chirurg sam obrócił mu głowę. Nagle zorientował się, że siedzi wyprostowany, opatulony pikowaną kołdrą. Lekarz właśnie nakłuwał go igłą.

– Nie jest tak źle, jak się obawiałem, ale potrzebujesz sporo krwi. Zaraz lepiej się poczujesz.

Ciemna butelka niczym dojrzały owoc zwieszała się z kolumnienki łóżka.

Przy łóżku siedział ktoś, kogo nie mógł dojrzeć. Wykręcał głowę i szyję, ale bez skutku. W końcu wyciągnął do gościa rękę, a ten wziął ją w swoje dłonie – duże, twarde i ciepłe. Kiedy ich ręce się zetknęły, już wiedział.

Mówiłeś, że mi nie pomożesz, powiedział przybyszowi. Powiedziałaś, żebym nie spodziewał się pomocy, a jednak przyszedłeś.

Przybysz nie odpowiedział. Miał czyste, delikatne, uzdrawiające ręce.

– Nie śpisz, patere?

– Nie. – Jedwab przetarł oczy.

– Tak myślałem. Oczywiście miałeś zamknięte, ale płakałeś.

– Płakałem.

– Mam tu krzesło; pomyślałem, że chwilę porozmawiamy. Mogę? – Mężczyzna na krześle był odziany w czern.

– Ależ tak. Jesteś augurem, jak i ja.

– Byliśmy razem w scholi, patere. Nazywam się Muszelka, teraz już patere Muszelka. Siedziałeś za mną w kanonii. Pamiętasz już?

– Tak, tak, pamiętam. To było dawno temu.

– Prawie dwa lata. – Muszelka pokiwał głową. Był wychudzony i blady, ale kiedy się uśmiechał, twarz mu promieniała.

– Bardzo to miło z twojej strony, patere, że przyszedłeś mnie odwiedzić. – Jedwab się zamyślił. – Jesteś po drugiej stronie barykady, po stronie Ayuntamiento. Na pewno. Boję się, że wiele ryzykujesz, rozmawiając ze mną.

– Byłem. – Muszelka odchrząknął przepaszająco. – Może... Sam nie wiem, patere. Ja... w ogóle nie walczyłem. Wcale.

– Oczywiście, że nie.

– Niosłem pojednanie z Pahem naszym umierającym... Waszym również, patere, kiedy tylko mogłem. A jak już było po wszystkim, pomagałem pielęgniarce. Mamy mało lekarzy i pielęgniarek, a na ulicy Klatek rozegrała się wielka bitwa. Słyszałeś o niej? Opowiem ci, jeśli chcesz. Poległo prawie tysiąc ludzi. Jedwab zamknął oczy.

– Nie płacz, patere, proszę cię, nie płacz. Udali się na spotkanie z bogami, jedni i drudzy, wasi i nasi. To nie twoja wina, na pewno nie twoja. Nie widziałem samej bitwy, ale dużo o niej słyszałem od rannych, patere. Jeżeli chcesz porozmawiać o czymś innym...

– Nie, nie, mów dalej, proszę.

– Tak właśnie myślałem, że będziesz chciał posłuchać. Opowiem ci, przynajmniej tyle mogę dla ciebie zrobić. Pomyślałem też, że może zechcesz mi się wypowiedzieć. Możemy zamknąć drzwi. Rozmawiałem z kapitanem. Powiedział, że jeśli tylko nie podrzucę ci jakiejś broni, to on nie jest przeciwny.

– Sam powinienem był o tym pomyśleć. – Jedwab skinął głową. – Ostatnio zajmowało mnie tyle świeckich problemów, że zaniedbałem chyba sprawy duchowe. – Za plecami Muszelki widniało ciemne okno, w którym odbijał się pokój. – Czy mamy wciąż hieraxdag, patere?

– Tak, jest już po zaciemnieniu, mniej więcej pół do ósmej. W pokoju u kapitana jest zegar; było dwadzieścia pięć po siódmej, kiedy wszedłem, a u kapitana siedziałem krótko. Jest bardzo zajęty.

– W takim razie nie przegapiłem jeszcze porannego pacierza do Thelxiepei. – Przez chwilę Jedwab rozważał, czy rankiem zmusi się do odmówienia modlitwy. I czy powinien się zmusić. – Nie będę musiał prosić o rozgrzeszenie z tego przewinienia, kiedy mnie wypowiedasz. Ale najpierw opowiedz mi o bitwie.

– Wasze siły usiłowały zająć Alambrerę, patere. Wiedziałaś o tym?

– Wiem, że mieli ruszyć do szturm. To wszystko.

– Zamierzali wyłamać bramę, ale zrezygnowali i strażnicy z Alambrey myśleli, że twoi ludzie się wycofali i uderzą na Juzgado.

Jedwab skinął głową.

– Ale zanim buntownicy się wycofali, rząd, to znaczy Ayuntamiento, posłał na pomoc gwardzistów, ślizgacze i kompanię wojska. Mieli odeprzeć atak i wzmocnić obsadę Alambrey.

– Trzy kompanie żołnierzy – uzupełnił Jedwab – i drugą brygadę gwardii. Tak słyszałem.

Muszelka prawie skłonił się w pas.

– Twoje informacje są zapewne dokładniejsze od moich, patere. Już idąc przez miasto napotkali kłopoty, mimo wojska i ślizgaczy, chociaż spodziewali się, że będzie gorzej. O tym też słyszałeś?

Jedwab zaprzeczył w milczeniu.

– W każdym razie tak było: ludzie obrzucali ich wszystkim, co mieli pod ręką. Jeden z gwardzistów mówił mi potem, że oberwał słojem pomyj ciśniętym z trzeciego piętra. – Muszelka pozwolił sobie na krótkie, dyskretne parsknięcie śmiechem. – Wyobrażasz to sobie, patere? Zastanawiam się, co dziś robią. Cóż, mniejsza o to; po drodze nie napotkali poważniejszego oporu... Spodziewali się zobaczyć barykady na ulicach, ale nic z tego. Przeszli więc przez miasto i stanęli pod bramą Alambrey. Gwardziści mieli wejść do środka, a żołnierze przeszukać domy przy ulicy Klatek.

Jedwab znów zamknął oczy, wyobrażając sobie kolumnę wojska, którą opisał mu monitor maytere Róży.

– A potem... – Muszelka dla większego efektu zawiesił głos. – Generał Mięta we własnej osobie zaszarżowała ulicą na wielkim białym koniu. Uderzyła z drugiej strony, patere, od rynku.

– Generał? – Zdumiony Jedwab otworzył oczy. – Generał Mięta?

– Tak ją nazywają buntownicy... to znaczy wasi ludzie. – Muszelka odchrząknął. – Bojownicy

caldé. Twój bojownicy.

– Nie czuję się urażony, patere.

– Nazywają ją generałem. Ma azoth. Wyobraź sobie, patere. Porąbała nim ślizgacze! Gwardzista, z którym rozmawiałem, był kierowcą jednego z nich. Wszystko dobrze widział. Wiesz, jak wygląda od środka ślizgacz gwardii cywilnej, patere?

– Jechałem czymś takim dziś rano. – Jedwab zamknął oczy, wyężając pamięć. – Najpierw w środku, bo padało, a potem na zewnątrz, na... Na takiej okrągłej wieżycze z wysoko umocowanym działkiem pulsacyjnym. W środku było ciasno, niewygodnie, a w dodatku poskładaliśmy tam ciała, ale chyba i tak lepsze to, niż moknąć na deszczu.

– Jest miejsce dla dwóch żołnierzy i oficera – przytaknął z zapalem Muszelka. – Rozmawiałem z tym, który siedział za sterami. Dowodzi oficer, z fotela obok kierowcy. Ma własne szkło, chociaż w wielu ślizgaczach szkła już podobno nie działają. Obsługuje działko pulsacyjne, to drugie, skierowane do przodu. Trzecim członkiem załogi jest strzelec, siedzi wyżej, w tej okrągłej wieżycze, na której siedziałeś.

– Rzeczywiście, teraz sobie przypominam.

– Ostrze azotha generał Mięty rozcięło pierwszy ślizgacz, zabiło oficera i uszkodziło jeden z wirników, tak mi mówił kierowca. Wydawało mi się, że jeżeli azothem można zrobić coś takiego, powinno dać się nim przebić wrota Alambrey i pozabijać wszystkich w środku, ale to podobno niemożliwe. Brama jest zrobiona ze stali i gruba na trzy palce, a pancerz ślizgacza jest aluminiowy, bo musi być lekki. Gdyby zrobiono go z żelaza czy stali, pojazd nie mógłby latać.

– Rozumiem. Nie wiedziałem o tym.

– Za generał Miętą pędził oddział kawalerii, ponoć co najmniej szwadron. Pytałem tego gwardzistę, ilu to ludzi. Podobno więcej niż stu. Mieli miecze, igłowce i inną broń. Ślizgacz spadł na ziemię i przewrócił się na bok, ale gwardziście udało się wyczołgać przez właz. Strzelec wygramolił się już wcześniej, a oficer był martwy. Kiedy kierowca wyszedł spod maszyny, jakiś jeździec wpadł na niego i złamał mu rękę. Dlatego trafił tutaj; gdyby nie łaska bogów, zginąłby jak nic. Pozbierał się i wstał, a wtedy otoczyli go buntownicy... To jest, chciałem powiedzieć...

– Wiem, patere. Wiem. Mów dalej.

– Otoczyli go. Chciał wrócić do ślizgacza, ale pojazd już się zapalił; wiedział, że jeśli nie zgasi się ognia, zaraz eksploduje amunicja do działek pulsacyjnych. Nie miał pancerza, jak ci, którzy szli obok ślizgaczy, tylko hełm na głowie, więc ściągnął go i odrzucił, a bun... a wasi ludzie uznali go za swojego. Podobno miecz może przebić pancerz szturmowy. Pancerz jest zrobiony z polimeru, wiesz, patere? Czasem się go posrebrza, zwłaszcza w jakichś prywatnych oddziałach straży, tak jak srebrzy się lustro, ale to dalej jest zwykły polimer, w gwardii malowany na zielono, tak jak w wojsku.

– Igła go nie przebije, prawda?

– Prawie się to nie zdarza, patere. Prawie. Ale bywa i tak, że trafi w szczelinę na oczy czy usta, a wtedy człowiek podobno ginie na miejscu. Mieczem też można przebić tę zbroję; wystarczy ciężki, ostry miecz i mocne cięcie. Tak jak sztyletem można przekłuć płytę na piersi. Wasi ludzie często mają zwyczajne siekiery, takie do rąbania drewna, niektórzy zaś pałki nabijane gwoździami. Jeśli pałka będzie dość gruba, może ogłuszyć człowieka w zbroi, a gwóźdź przebije pancerz. – Muszelka zrobił przerwę dla nabrania oddechu. – Żołnierze są za to zupełnie inni. Całą skórę mają z metalu, w najwrażliwszych miejscach nawet ze stali. Czasem nawet kula z pistoletu jej nie przebije, a pałka czy igłowiec są zupełnie bezużyteczne.

Wiem, strzelałem kiedyś do żołnierza, powiedział Jedwab, ale zorientował się, że nie wymówił tych słów na głos. Upodobniłem się do nieszczęsnej Mamelty, pomyślał. Muszę pamiętać o tym, żeby mówić, żeby wydychać powietrze, kiedy poruszam wargami i językiem.

– Opowiadała jedna z kobiet, że widziała, jak dwóch ludzi chciało odebrać żołnierzowi pistolet kulowy. Uczepili się go obaj, ale żołnierz tylko podniósł ich na jednej ręce i odrzucił od siebie. Ta kobieta miała tylko kijankę do prania. Zaszła go od tyłu i walnęła z całej siły, a on odrzucił tych dwóch mężczyzn, uderzył ją pistoletem i złamał jej obojczyk. Wielu waszych ludzi zdążyło już wyrwać żołnierzom pistolety. Zaczęli strzelać. Ktoś trafił tego, z którym walczyła – gdyby nie to, pewnie by zginęła. Ale żołnierze też zastrzelili wielu ludzi i gonili ich aż do ulicy Sera. Próbowwała się z nimi bić, lecz nie miała pistoletu, a nawet gdyby jakiś zdobyła, to ze złamanym obojczykiem i tak nie dałaby rady strzelać. Została ranna. Lekarze musieli jej amputować nogę.

– Będę się modlił za tę kobietę – obiecał Jedwab. – Tak jak za wszystkich, którzy odnieśli rany lub zginęli. Gdybyś ją jeszcze zobaczył, patere, powiedz, że jest mi ogromnie przykro z powodu tego, co się stało. Czy maytere... Czy generał Mięta odniosła jakieś obrażenia?

– Podobno nie. Ludzie mówią, że szykuje następny atak, ale to nic pewnego. Ciężko jesteś ranny, patere?

– Raczej już nie umrę. – Przez długie sekundy, może minuty nawet, Jedwab patrzył osłupiały na pustą butelkę zawieszoną na kolumience łóżka. Czy życie jest czymś tak prostym, że można je wyssać z człowieka pod postacią czerwonego płynu? I dać innemu człowiekowi? Czy odkryje niebawem, że żyje innym życiem, tęskni w duchu do żony, dzieci i domu, których nigdy nie miał? To nie była jego krew. I nie jego życie. – Chociaż mało brakowało, patere. Nic mnie to nie obchodziło. Pomyśl tylko o mądrości i miłosierdziu boga, który stworzył nas takimi, że gdy śmierć się zbliża, przestajemy się jej bać!

– Skoro masz wydobrzeć...

– Nie, nie; wypowiedzaj mnie. Ayuntamiento z całą pewnością chce mojej śmierci. Radcy nie wiedzą, że tu jestem, bo gdyby wiedzieli, już bym nie żył. – Jedwab odsunął kołdrę na bok.

Muszelka czym prędzej przykrył go z powrotem.

– Nie musisz klękać, patere. Jesteś bardzo słaby. Proszę, odwróć się twarzą do ściany.

Jedwab odwrócił się i znajome słowa bez udziału jego woli wypłynęły mu na usta:

– Oczyszczyć mnie, patere, ponieważ srodze obraziłem Paha i innych bogów.

Powrót do rytualnych fraz, których jako dziecko uczył się na pamięć, przynosił ukojenie, ale Pah nie żył; źródło jego bezbrzeżnego miłosierdzia wyschło na wieki.

– Czy to wszystko, patere?

– Od ostatniej spowiedzi wszystko.

– Jako pokutę za wyrządzone zło, patere Jedwabiu, nakazuję ci przed upływem doby dokonać jakiegoś cnotliwego czynu... – Muszelka zawiesił głos. – Zakładam, że twój stan zdrowia ci tego nie uniemożliwi. Mam nadzieję, że nie sądzisz, iż zbyt wiele wymagam? Pacierz wystarczy.

– Zbyt wiele? – Jedwab musiał się bardzo starać, żeby nie odwrócić się do Muszelki i nie spojrzeć na niego. – Z pewnością nie. Raczej za mało.

– Wobec tego przynoszę ci, patere, wybaczenie wszystkich bogów...

Wszystkich! Ależ ze mnie głupiec, pomyślał Jedwab. Zapomniałem o tym aspekcie rozgrzeszenia!

Słowa Muszelki przyniosły mu ogromną ulgę. Oprócz Echidny i jej nieżyjącego męża, oprócz Dziewięciu i pomniejszych bóstw w rodzaju Kypris, Muszelka miał też moc przebaczyć mu w imieniu Zewnętrznego. W imieniu wszystkich bogów. Zatem wątpliwości Jedwabia zostały mu wybaczone.

Odwrócił się do Muszelki.

– Dziękuję, patere. Nawet nie wiesz, bo nie możesz wiedzieć, jak wiele to dla mnie znaczy.

Muszelka uśmiechnął się niepewnie.

– Mogę wyświadczyć ci jeszcze jedną przysługę, patere – powiedział. – Mam tu adresowany do ciebie list Jego Mądrości. – Widząc wyraz twarzy Jedwabia, dodał szybko: – To chyba tylko zwykły okólnik. Wszyscy go dostaliśmy. – Sięgnął do kieszeni. – Kiedy powiedziałem patere Skoczkiowi, że zostałeś pojmany, dał mi ten list dla ciebie.

Złożona kartka, którą Muszelka podał Jedwabowi, była opatrzona pieczęcią Kapituły, odcisniętą w morwowej barwy wosku. Obok niej równym, urzędniczym pismem wypisano: „Jedwab, ulica Słońca”.

– To naprawdę ważny list – dodał Muszelka.

Do duchowieństwa Kapituły

każdego augura z osobna i wszystkich razem

Bądźcie pozdrowieni w imię Paha, Scylli i wszystkich bogów! Wiedźcie, iż jesteście wciąż obecni w moich myślach i moim sercu.

Konfuzja, jaka ostatnimi czasy zapanowała w naszym Świętym Mieście, nakazuje nam z tym większą gorliwością spełniać święty obowiązek niesienia pociechy umierającym, nie tylko tym, których ostatnim działaniem chcielibyśmy przyklasnąć, ale wszystkim, których, naszym zdaniem, współczujący Hierax może niebawem powołać do siebie. Upraszam was zatem, byście od tej pory nieustająco i nie szcędząc wysiłków...

To słowa patere Remory, uznał Jedwab. Wyobraził sobie koadiutora, jak siedzi przed nim z tą swoją pociągłą, chorobliwie żółtawą twarzą i czubkiem pióra wodzi po wargach, obmyślając należycie złożone konstrukcje składniowe, które zarazem byłyby dość ostrożne i zaspokoily jego nienasycone pragnienie precyzji.

...nieustająco i nie szcędząc wysiłków nieśli miłosierdzie i przebaczenie, których źródłem tak często być musicie.

Wielu z was w tych niespokojnych czasach poszukiwało drogowskazu – i wciąż poszukuje, gdyż nowi zbłąkani zwracają się do mnie każdego dnia. Zapewne wiecie już, nawet nie czytając mojego listu, o smutnym fakcie, jakim jest zgon jednego z urzędujących radców Ayuntamiento.

Świętej pamięci radca Lemur był człowiekiem niezwykle utalentowanym i jego odejście musiało pozostawić pustkę w sercach wszystkich. Szczerze chciałbym poświęcić resztę tego z konieczności krótkiego pisma na wyrażenie żalu po śmierci radcy, tymczasem jestem zmuszony – takie bowiem są wymogi naszego smutnego whorla, whorla przemijającego – ostrzec was niezwłocznie przed pozbawionymi podstaw twierdzeniami pewnych służących złej sprawie buntowników, jakoby działali w jego imieniu.

Kochani, odsuńmy na bok wszelkie bezowocne debaty na temat stosowności lub niestosowności rozciągającej się na blisko dwa dziesięciolecia cezury, kiedy żyliśmy pozbawieni caldè. Wszyscy zgadzamy się, że ta przerwa była konieczna. Jesteśmy chyba również zgodni co do faktu, iż dla umysłów nie wyczulonych codzienną nauką i praktyką na subtelności prawne, cezura owa nazbyt daleko odbiegała od zapisów naszej Karty, czyż nie? Cała ta dyskusja ma dziś wymiar jedynie historyczny – zostawmy ją zatem, o ukochani, historykom.

Nie ulega wszakże wątpliwości, iż owo interregnum, do którego nie bez powodu przed chwilą się odwołałem, osiągnęło swój z dawna przepowiadany kres. Nie może ono, ukochani, i nie powinno przetrwać zasmucającej nasze serca straty, którą niedawno ponieśliśmy. Możemy zatem nie bez podstaw zapytać, co wydarzy się teraz, czym zastąpiona zostanie nasza sprawiedliwa, dobroczynna i łaskawie nam panująca rada, której czas w tak smutnych okolicznościach dobiegł końca.

Ukochani! Nie zapominajmy o mądrości minionych wieków, mądrości zawartej nie gdzie indziej, lecz w naszym własnym Piśmie Chramologicznym. Czyż nie napisano tam „Vox populi, vox dei”? A czy nie oznacza to, że w woli mas możemy odkryć słowa Paha? W obecnych trudnych czasach, które nastąpiły w długich dziejach naszego Świętego Miasta, nie wolno pomylić się, odczytując jego ważne słowa. Wiele jest głosów, które przypominają nam, iż nastał czas, by czym prędzej powrócić do rządów Karty, jakich miasto nasze zaznawało w przeszłości. Czy chcecie, by mówiono kiedyś o nas, iż zatkaliśmy uszy na słowa Paha?

Głosy te niosą jednakowoż obszerniejszą treść; trudno jej nie zrozumieć. Od lasów po jeziora, od dumnej korony Palatynu po najbiedniejsze zaułki – wszyscy głoszą jego przyjście. I ja również, ukochani, zamierzam je ogłosić, a czynię to z niewysłowioną radością. Pah Najdoskonalszy dał nam oto – jak nigdy przedtem – caldé, który wywodzi się z naszych szeregów: pomazanego augur a, świętego i pobożnego.

Czy mogę wymienić go z imienia? Zrobię to, choć z całą pewnością nie muszę. Nie ma wśród was nikogo, ukochani, kto nie znałby tego imienia, nie przeczytawszy nawet mojego przepełnionego radością listu. To patere Jedwab. Powtarzam: patere Jedwab!

Mógłbym w tym miejscu nakazać, iżbyśmy go powitali i byli mu posłuszni jak jednemu z nas. Z rozkoszą mówię jednak: powitajmy go i bądźmy mu posłuszni, albowiem jest jednym z nas!

Niech wszyscy bogowie obdarzają was swoimi łaskami, ukochani. Bądźcie błogosławieni w przenajświętsze imię Paha, Ojca Bogów, w imię Echidny Miłosiernej, Jego Małżonki, w imię ich synów i córek, dziś i na wieki, i w imię ich najstarszego dziecka – Scylli, patronki naszego Świętego Miasta Vironu.

Oto rzekłem.

Patere Kwezal, przewodniczący Kapituły

– Jego Mądrość poparł cię bez reszty, jak sam widzisz, patere – rzekł Muszelka, gdy Jedwab złożył list z powrotem. – I pociągnął za sobą Kapitułę. Powiedziałeś... Mam szczerą nadzieję, że się mylisz, patere, ale przed chwilą powiedziałeś, że gdyby Ayuntamiento wiedziała, gdzie jesteś, już byś nie żył. Jeśli to prawda... – Augur odchrząknął nerwowo. – Jeśli to prawda, musieliby też pozbyć się Jego Mądrości i... niektórych z nas.

– Ten list napisał koadiutor – zauważył Jedwab. – Też by zginął, gdyby tylko dostali go w swoje ręce.

Dziwnie się czuł, wyobrażając sobie Remorę, wiecznie ostrożnego dyplomatę, zaplątanego we własną pajęczynę. Remorę, który miałby za niego umrzeć.

– Chyba masz rację, patere. – Muszelka zawahał się, wyraźnie poruszony. – Nazwałbym cię... Wiesz, użyłbym tego drugiego słowa, ale mogłoby to być dla ciebie niebezpieczne.

Jedwab z namysłem pokiwał głową, gładząc się po policzku.

– Jego Mądrość mówi – ciągnął Muszelka – że jesteś pierwszym augurem, że nigdy przedtem nie było augura. To chyba... Podejrzewam, że dla wielu z nas to był wstrząs. Na przykład dla patere Skoczka. Powiedział, że za jego życia nigdy coś takiego nie miało miejsca. Jest stary, ma osiemdziesiąt jeden lat. Niedawno urządzaliśmy małą uroczystość na jego cześć. I wtedy się zamyślił, wiesz, patere, nie ruszał się, tylko skubał brodę, a potem powiedział, że to rozsądne. Wszyscy pozostali, poprzedni... poprzedni...

– Wiem, co chcesz powiedzieć, patere.

– ...byli wybierani przez lud. Ciebie za to, patere, wybrali sami bogowie, więc nic dziwnego, że upodobali sobie augura. Augurowie przecież mają im służyć.

– Sam znalazłeś się w niebezpieczeństwie, patere – rzekł Jedwab. – Takim samym jak ja, a kto wie, czy nie gorszym nawet. Pamiętaj o tym. Dziwne, że cię tu do mnie wpuścili.

– Bo oni... Kapitan, patere... Ja nie...

– Nic nie wiedzą.

– Raczej nie. Ja im nie powiedziałem.

– Bardzo mądrze postąpiłeś. – Jedwab ponownie przeniósł wzrok na okno, ale tak jak poprzednio ujrzał w nim tylko odbicie swoje i Muszelki, a dalej ciemność. – Ten patere Skoczek... Jesteś jego akolitą? Gdzie on teraz jest?

– W naszym manteionie, przy ulicy Cegieł. – Widząc, że Jedwabowi niewiele to nie mówi, Muszelka dodał: – Przy krzywym moście, patere.

– Tak daleko na wschodzie miasta?

– Tak, patere. – Muszelka poprawił się niespokojnie na krześle. – W tej okolicy teraz się znajdujemy, patere, na ulicy Koszyków. Nasz manteion jest tam – wskazał kierunek ręką – jakieś pięć przecznic stąd.

– Rozumiem... To się zgadza; wrzucono mnie na jakiś wóz, którym strasznie trzęsło. Pamiętam, że

leżałem na kupie trocin, krztusiłem się nimi i próbowałem odkaszląć. Nie mogłem; krew ciekła mi z ust i z nosa. – Jedwab przesunął palcem po policzku. – Gdzie moja toga?

– Nie wiem. Pewnie kapitan ją ma, patere.

– Czy ta bitwa, w której generał Mięta na ulicy Klątek zaatakowała ślizgacze, rozegrała się dziś po południu? – Muszelka przytaknął, a Jedwab mówił dalej: – Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy zostałem postrzelony, może trochę później. Niosłeś rannym pojednanie z Pahem... Wszystkim? To znaczy: wszystkim, którzy mogli umrzeć?

– Tak, patere.

– A potem wróciłeś do manteionu...

– Żeby coś zjeść, patere, skromną kolację. – Muszelka uśmiechnął się przepraszająco. – Ta brygada... To trójka, podobno rezerwowa. Krucho u nich z jedzeniem, więc niektórzy chodzili po domach i brali, co im w ręce wpadło. Wozy powinny niebawem dowieźć żywność, ale pomyślałem...

– Oczywiście. Wróciłeś na plebanię, by zjeść kolację z patere Skoczkiem, i okazało się, że pod twoją nieobecność przyszedł ten list. Ty dostałeś swój egzemplarz i patere Skoczek swój, prawda?

– Tak, patere – z entuzjazmem przytaknął Muszelka.

– Naturalnie od razu go przeczytałeś. Czy list do mnie, ten, który mam w ręce, też tam przyszedł?

– Tak, patere.

– Czyli ktoś w pałacu wiedział, że mnie pojmano i dokąd zostałem zabrany, i wysłał list do patere Skoczka, a nie do mojego manteionu, w nadziei że uda się wiadomość przekazać mnie. I udało się. Kiedy gwardzista mnie postrzelił, był ze mną Jego Mądrość; nie ma sensu teraz tego ukrywać. Gdy opatrywano mi rany, cały czas się zastanawiałem, czy zginął. Człowiek, który do mnie strzelał, mógł go nie rozpoznać, ale gdyby... – Jedwab nie dokończył zdania. – Jeżeli jeszcze nic nie wiedzą, z pewnością nie potrwa to długo. Zdajesz sobie z tego sprawę?

– Tak, patere.

– Musisz zniknąć. Byłoby najlepiej, gdybyście wraz z patere Skoczkiem opuścili manteion i udali się do części miasta kontrolowanej przez generał Miętę.

– Nie... – Muszelka wyglądał tak, jakby zaraz miał się udusić. Rozpaczliwie pokręcił głową.

– Co się stało, patere?

– Nie chcę zostawiać cię samego, dopóki mogę... być pomocny. Dopóki mogę ci służyć. To mój obowiązek.

– Już mi pomogłeś. Oddałeś nieocenione usługi mnie osobiście i całej Kapitulie. Jeśli tylko zdołam, dopilnuję, żebyś został za to należycie wynagrodzony. – Jedwab się zamyślił. – Możesz się zresztą jeszcze przydać. Chcę, żebyś wychodząc porozmawiał z kapitanem. W kieszeni togi miałem dwa listy; rano wziąłem je z kominka na plebanii. Mój akolita pewnie je tam wczoraj położył. Nie zdążyłem ich przeczytać, a przypomniałem sobie o nich, dopiero kiedy dałeś mi ten. – Trochę poniewczasie schował list pod kołdrę. – Jeden z nich opatrzony jest pieczęcią Kapituły; możliwe, że to po prostu drugi egzemplarz pisma, które mi dostarczyłeś, chociaż to mało prawdopodobne, bo tu jest dzisiejsza data. Poza tym nie wysłano by kopii do patere Skoczka.

– Raczej nie, patere.

– Nie mów kapitanowi o listach; powiedz po prostu, że chciałbym dostać z powrotem moją togę i resztę ubrania. Tak, poproś o całe ubranie i zobaczymy, co to da. Najbardziej oczywiście zależy mi na todze. Gdyby kapitan wspomniał o listach, powiedz, że pragnę je przejrzeć, a jeśli nie będzie chciał ci ich dać, spróbuj się dowiedzieć, co w nich było. Jeśli ci się nie uda, wracaj do manteionu. Powiedz patere Skoczki, że ja, caldé, rozkazuję wam obu i... Są u was jakieś sybille?

– Maytere Drewno...

– Mniejsza o imiona. Rozkazuję wam zamknąć manteion na cztery spusty i jak najszybciej opuścić tę dzielnicę.

– Tak jest, patere. – Muszelka wyprostował się, jakby chciał stanąć na baczność. – Nie wrócę jednak prosto do manteionu, bez względu na decyzję kapitana. Muszę... Wrócę i powiem, co postanowił. Może zdołam ci jeszcze wtedy jakoś pomóc. Nie zabraniaj mi tego, patere, proszę. I tak cię nie posłucham.

Ku swojemu zaskoczeniu Jedwab stwierdził, że się uśmiecha.

– Twoje nieposłuszeństwo jest lepsze od posłuszeństwa wielu ludzi, których znam, patere Muszelko. Zrobisz, co uznasz za właściwe; z pewnością i bez mojego polecenia tak byś postąpił.

Muszelka wyszedł, nagle pokój zrobił się okropnie pusty. Jedwab zadygotał i zmusił się do porzucenia niewesołych rozmyślań. Z jaką dumą Muszelka oznajmił, że nie będzie mu posłuszny, chociaż podbródek drżał mu przy tym ze strachu! Jedwab przypomniał sobie matkę, której oczy wzbierały łzami radości przy każdym osiągnięciu szkolnym syna. „Jedwab, mój chłopcze! Moje kochane dziecko!”. Sam teraz czuł się podobnie. Moi chłopcy, pomyślał.

Chociaż Muszelka był przecież jego rówieśnikiem. Razem rozpoczęli naukę w scholi; Muszelka siedział w ławce przed nim. Tego samego dnia zostali wyświęceni i wyznaczeni na pomocników podstarzałych augurów, którzy nie radzili już sobie ze wszystkimi obowiązkami głowy manteionu.

Muszelka nie został jednak oświecony przez Zewnętrznego – czy raczej, jak powiedziałby doktor Żuraw, żadna żyłka nie pękła mu w głowie. Nie doznał oświecenia, nie popędził na targ, nie spotkał Krwi...

Podczas rozmowy z Krwią, któremu wyrwał z ręki trzy karty, Jedwab był równie młody jak Muszelka. Nie wiedział jeszcze, że gdzieś pod ziemią obłąkany monitor skowycze w bezsilnej złości, domagając się tych kart... Muszelka też mógł tak postąpić. Jedwab znów poczuł smród psiego ściernia w rynsztoku, dławiący kurz wzbity wydechami ślizgacza, ujrzał, jak Krew – wysoki, czerwony i spocony – macha laską. Odkasznął i poczuł, że ktoś dźgnął go tą laską w pierś.

Chwiejnym krokiem przemierzył pokój i otworzył okno, wpuszczając do środka powiew nocnej bryzy. W zwierciadle nad toaletką – znacznie większym niż lusterko, przed którym golił się na plebanii – obejrzał swój nagi tors. Opatrunek częściowo skrywał wielobarwny siniec po ciosie Piźma, zadany ręką sztyletu. Składając ofiary liczył nieco anatomii i teraz był w stanie stwierdzić, że igła chybiła jego serca o szerokość czterech palców. I tak był to niezły strzał jak na jeźdźca.

Odwróciwszy się tyłem do lustra, wykręcił głowę, chcąc obejrzeć opatrunek na plecach – większy niż ten z przodu. Plecy bardziej go bolały, czuł też jakiś nieokreślony ciężar w piersi, a oddychanie sprawiało mu trudność.

W szufladach toaletki znalazł ubrania; bieliznę, tuniki, niedbale złożone spodnie, a pod nimi pachnący perfumami damski szal. W tym pokoju musiał mieszkać młody mężczyzna, syn pana domu. Państwo mieli pewnie sypialnię na dole – duży narożny pokój z kilkoma oknami.

Zmarznięty wrócił do łóżka. Syn opuścił dom bez bagażu – w przeciwnym razie szuflady nie byłyby pełne. Może walczył teraz u boku maytere Mięty.

Kypris, która wstąpiła w maytere, zostawiła w niej część swojej istoty – i ta właśnie część uczyniła z cichej sybilli generała rewolty. A i rozkaz Echidny zrobił swoje. Jedwab był ciekaw, jaki fragment Kypris dostał się maytere Mięcie. Czy sama Kypris wiedziała, że go posiada? Zapewne w ten sam sposób Acalypha uwolniła się od rdzy. Kypris mówiła mu, że jest poszukiwana, a Jego Mądrość nazwał cudem fakt, iż jeszcze nie została pojmana. Echidna i jej dzieci, ścigające boginię miłości, szybko chyba się nauczyli, że uczucie, któremu patronuje, to coś więcej niż perfumowane szale i bukiety kwiatów. Że miłość ma siłę stali.

Bez wątpienia jakaś młoda kobieta zrzuciła synowi gospodarzy szal z balkonu. Jedwab spróbował ją sobie wyobrazić – kiedy stwierdził, że dziewczyna ma twarz pięknej Hiacynt, przestał o niej myśleć. Krew otarł mu twarz chusteczką w kolorze brzoskwini; pachniała jeszcze mocniej niż szal. A Krew powiedział...

Powiedział, że są ludzie, którzy potrafią przywdziać ciało innego człowieka jak tunikę. Miał na myśli Pleśń, chociaż Jedwab nie mógł o tym wiedzieć. Wtedy nie miał jeszcze pojęcia o istnieniu Pleśni – dziewczynki, która potrafi ubrać swego ducha w ciała innych, tak jak on przed chwilą rozważał możliwość odziania się w strój człowieka, do którego należał ten pokój.

– Pleśnio? – zawołał stłumionym głosem. – Pleśnio! Nasłuchiwał, lecz nie doleciał go żaden widmowy głos; w lustrze widział tylko własną twarz. Zamknąwszy oczy, począł układać długą,

oficjalną modlitwę do Zewnętrznego, dziękując mu za ocalenie życia i nieobecność Pleśni. Kiedy skończył, zaczął obmyślać podobny pacierz dla Kypris.

Za drzwiami sypialni wartownik zerwał się na równe nogi i stanął na baczność. Szczęknęła broń, stuknęły obcasy.

Alka przebudził się w porze rozjaśnienia. Oślepiające promienie długiego słońca przedzierały się przez ozdobione frędzlami markizy, cienkie jak mgiełka firanki, grube kotary z purpurowego aksamitu i brudne szyby; przez opuszczone rolety z bambusa, wypaczone deski, którymi ktoś zabił okna, kolorowy portret Scylli i zamknięte na głucho okiennice; przez drewno, papier i kamień.

Zamrugął dwa razy i usiadł, trąc oczy rękoma.

– Lepiej się czuję – oznajmił.

Acalypha jeszcze się nie obudziła, Kowadełko i Żubr również, Jelec i Drop także. Tylko żołnierz Pięściak nie spał, siedział oparty o ścianę tunelu, z Orebem na ramieniu.

– To dobrze, żołnierzu – powiedział.

– Nie „dobrze” – zaproponował Alka. – Wcale nie o to mi chodziło. Po prostu lepiej niż czułem się przedtem, rozumiesz? To lepsze, niż czuć się po prostu dobrze, bo kiedy człowiek się dobrze czuje, nawet o tym nie myśli. Ale gdyby poczuł się tak jak ja, zaraz bardziej by się przejął. Jestem kochanym chłopczykiem mamusi. – Szturchnął butem Acalypnę. – Rusz się, szczebiotko. Czas na śniadanko!

– Co ci jest? – Kowadełko usiadł nagle, jakby to jego, a nie Acalypnę kopnął Alka.

– Nic, zupełnie nic. Mam się świetnie. Nawet w kościach nie strzyka mnie na deszcz. – Alka się zamyślił. – Jak będzie padało, pójdę do „Koguta”, a jak nie, załatwię coś na Palatynie. Spałem w butach. Ty też? Nie powinienes, patere. To źle robi na nogi.

Rozsznurował buty, ściągnął je, a potem zdjął pończochy.

– Pomacaj, jakie mokre; jeszcze na łódce mi przemokły. Zbudź się, staruszku! Mokre od wody z jeziora i od deszczu. Gdybyśmy mieli jeszcze talusa, kazałbym mu rozpalić ogień, żeby je podsuszyć. Tfu, ależ cuchną! – Przewiesił pończochy przez buty i odepchnął je od siebie.

Acalypha usiadła i zaczęła zdejmować jaspisowe kolczyki.

– Ależ miałam sny! – Wzdrygnęła się. – Zgubiłam się, wiecie? Sama pod ziemią. A ten tunel, w którym byłam, z obu stron się obniżał. Poszłam kawałek przed siebie, a on nic, tylko schodził coraz niżej i niżej. No to zawróciłam i poszłam w drugą stronę, ale tam też było coraz głębiej.

– Pomnij, córko, że nieśmiertelni bogowie zawsze są u twego boku – pocieszył ją Kowadełko.

– Pewnie. Muszę znaleźć sobie jakieś ubranie, ogierku. Opalenizna już mi tak nie dokucza. Zarzuciłabym coś na grzbiet, bo mi tu zimno. – Uśmiechnęła się. – Nowe ciuchy i podwójna czerwona wstążka, potem mogłabym zjeść pół tuzina jajek na szynce. Z papryką.

– Uważaj – ostrzegł ją Pięściak. – Twój przyjaciel jeszcze chyba nie doszedł do siebie.

– Popatrz tylko – zaśmiał się Alka i wymierzył Żubrowi kopniaka. Podwinął przy tym palce i trafił go w żebra twardą kością stopy.

Żubr zamrugał i przetarł oczy, Alka zaś doszedł do wniosku, że sam stał się długim słońcem: obudził się, świecąc własnym światłem, które wypełniało cały tunel i oślepiało nawykłe do mroku, słabe oczy Żubra.

– Nie podoba mi się, w jaki sposób niesiesz naszego staruszka – powiedział do Żubra. Ciekaw był, czy ma dość gorące dłonie, żeby poparzyć go dotykiem. Wydawało mu się to prawdopodobne, bo choć wyglądały całkiem zwyczajnie, jeśli nie patrzył na nie, to gdy im się przyglądał, poczynąły lśnić jak roztopione złoto. Schylił się i pstryknął Żubra w nos. Kiedy ten nie krzyknął z bólu, szarpnął go i postawił na nogi.

– Nieś Jelca tak, jakbyś go kochał. Jakbyś zamierzał go pocałować. – Zastanawiał się, czy nie kazać Żubrowi faktycznie pocałować Jelca, ale doszedł do wniosku, że staremu rybakowi mogłoby się to nie spodobać.

– Dobrze – zgodził się Żubr. – Będę uważał.

Jak się czujesz, szprocie? – zapytał Drop.

– Są we mnie takie kawałki, które chodzą bez zarzutu – odparł z namysłem Alka. – Są takie, które się popsuły, i parę takich, o których nie wiem, co myśleć. Pamiętasz starą Marmur?

Jasne.

– Mówiła nam, że umie stwierdzić w każdej chwili, co w niej działa, a co nie. Ja też to potrafię, ale po trochu, nie wszystko naraz.

– Ja także umiem to robić – odezwał się Pięściak. – Nie ma w tym nic dziwnego.

Acalypha zdjęła już oba kolczyki i rozcierała obolałe uszy.

– Schowasz je do kieszeni, ogierku? Nie mam ich gdzie trzymać.

– Pewnie – zgodził się Alka, nie patrząc na nią.

– U Sarda dostałabym za nie parę kart. Mogłabym kupić niebrzydka sukienkę z samodziału, buty i jeszcze objeść się ciastek po uszy.

– Teraz pokażę ci taki jeden sprytny cios – wyjaśnił Alka Żubrowi. – Nauczyłem się go, jak jeszcze nosiłem koszulinę w zębach. Bardzo go lubię. Bez zamachu, kapujesz? Różni goście często ostrzegają, że cię walną na odlew, a potem tak właśnie robią, ale ten jest lepszy. Tylko nie wiem, czy jeszcze go pamiętam.

Prawą pięścią wyrzwał Żubra prosto w usta. Kowadełko, wstrząśnięty, sapnął ciężko.

– Trochę podnosisz rękę, a potem ją prostujesz – ciągnął złodziej, patrząc jak Żubr osuwa się na ziemię. – Walisz całym ciałem. Tylko kłykcie musisz trzymać poziomo. Zobacz. – Wystawił przed siebie rękę. – Możesz je trochę unieść albo opuścić, ale wtedy to już jest inny cios.

Słabszy, dodał Drop.

– Słabszy – zgodził się Alka.

Dam radę iść, wielkoludzie. Nie musi mnie nieść. Całować też nie.

Alka doszedł do wniosku, że ciało, które ma pod nogami, należy do kogoś innego – pewnie do Żubra, a może Pawiana.

Maytere Marmur się zadumała. Kiedy ostatni raz wchodziła na dach? Albo na strych, dodała, gdy pamięć podsunęła jej tylko obrazy ciekących sufitów i przesiąkniętych wodą dywanów.

Sto osiemdziesiąt cztery lata temu.

Nie mogła, nie chciała, w to uwierzyć. Pełna wdzięku dziewczynka o roześmianych oczach i zwinnych dłoniach wdrapywała się na górę po tych samych schodach, tak jak ona do teraz robiła to kilka razy dziennie. Przeszła korytarzem i zatrzymała się pod dziwną klapą w suficie. Wyciągnęła w jej kierunku rękę trzymającą narzędzie, które ponad stulecie temu zaginęło.

Strzeliła rozdrażniona palcami. Rozległ się donośny trzask, co odnotowała z najwyższym zadowoleniem. Wróciła do jednego ze swoich pokojów. Otworzyła szufladę i tak długo rozgarniała wypełniające ją drobiazgi, aż znalazła wielkie drewniane szydełko; używała takiego czasem, zanim wskutek choroby straciła palce – ale na pewno nie tego.

Wróciwszy pod klapę wyciągnęła szydełko do góry, tak samo jak dziewczynka, którą kiedyś była, i zaczepiła haczykiem o kółko. Przyszło jej nagle do głowy, że może klapa zapomniała, jak się otwierać i opadać na zawiasach.

To niemożliwe. Pociągnęła i spod krawędzi klapy uniosły się obłoczki kurzu. Będzie musiała zamieść korytarz. Nie była tam, nikt tam nie...

Szarpnęła mocniej i klapa niechętnie odchyliła się w dół, odsłaniając skrawek ciemności.

– Mam się na tobie uwiesić? – zapytała maytere Marmur. Jej głos poniósł się echem po

wszystkich pustych pokojach.

Po kolejnym pociągnięciu kłapa zaprotestowała zgrzytem, ale uchyliła się na tyle, że sybilla mogła chwycić jej dolną krawędź w rękę i otworzyć do końca. Składane schodki, które powinny opaść wraz z nią, poddały się po kolejnym mocnym szarpnięciu.

Muszę je naoliwić, postanowiła. Nic mnie nie obchodzi, czy mamy olej. Jeśli nie, to wytnę kawał tłuszczu z tego wołu, zagotuję, zbiorę z wierzchu trochę łoju, przecedzę i wysmaruję zawiasy. Bo to jeszcze nie jest ostatni raz, o nie.

Szybko wspięła się po schodkach, aż zafurkotał czarny habit. Patrzcie, jak mnie nogi niosą! Dzięki ci, Pahu Wielki!

Strych był prawie pusty. Umierające sybille niewiele po sobie zostawiały, a tym, co jednak zostało, zgodnie z jej życzeniem dzieliły się wszystkie. Czasem też oddawano takie drobiazgi rodzinie. Przez dobre pół minuty maytere Marmur usiłowała sobie przypomnieć, do kogo należała pordzewiała skrzynia stojąca przy kominie. Skończyło się na tym, że musiała wywołać pełną listę wszystkich sybilli, które na przestrzeni wieków mieszkały w klasztorze – ale i w ten sposób nie znalazła właścicielki blaszanego pudła.

Małe okienko w szczytowej ścianie było zamknięte na zasuwkę. Mocując się z nią, maytere powtarzała sobie w duchu, że zachowuje się głupio. Cokolwiek zobaczyła na niebie, przechodząc przez boisko, zniknęło bez śladu – jeśli w ogóle istniało.

Może to tylko zwykła chmura.

Spodziewała się, że okno będzie stawiać opór przy otwieraniu, ale panujące od miesięcy upały wysuszyły stare drewno i kiedy szarpnęła je z całych sił, odskoczyło na bok gwałtownie. Aż się przelękała, że rozbije szybę.

Na zewnątrz panowała cisza, miły, lekki wietrzyk dmuchał do środka. Przez chwilę nasłuchiwała tylko, potem wychyliła się i spojrzała w niebo, aż wreszcie (jak od początku planowała, doskonale rozumiejąc – po latach nauczania małych chłopców i dziewczynek – trudności związane z udowodnieniem hipotezy negatywnej) przestąpiła parapet i stanęła na cienkich, starych gontach świątyni.

Powinna wspiąć się na samą górę. Koniecznie, dla spokoju własnego sumienia. Co by powiedzieli ludzie, widząc ją teraz? Mało ją to obchodziło, a poza tym wszyscy poszli się bić. Hałas był mniejszy niż za dnia, ale nadal od czasu do czasu słyszało się strzały, jakby gdzieś daleko jakieś ogromne drzwi zamykały się z trzaskiem. Drzwi, za którymi zamknięta jest przeszłość, pomyślała sybilla. Targany wiatrem habit oblepiał jej ciasno uda i zapewne zerwałby kornet z płaskiej metalowej czaszki, gdyby nie przytrzymała go ręką.

Z góry doskonale widziała płonące domy zaledwie o kilka przecznic od manteionu – przy ulicy Siodeł albo Sznurów... Prędzej Siodeł, gdyż tam mieściły się lombardy. Paliło się aż do targu i

nawet dalej. Jeśli nie liczyć kilku rozświetlonych okien na Palatynie, w mieście panowała zupełna ciemność.

A to oznaczało – pewniej niż wszelkie plotki i oświadczenia – że maytere Mięta nie wygrała. Przynajmniej na razie. Przecież Palatyn zostałby splądrowany i spalony; było to równie pewne jak fakt, iż jedenasty wyraz ciągu Fibonacciego jest równy osiemdziesiąt dziewięć. Gdyby gwardia cywilna została pobita, nic by...

Zanim zdążyła dokończyć myśl, zobaczyła coś daleko na południu. Wcześniej patrzyła na zachód, w stronę targu i na północ – na Palatyn, ale to coś unosiło się nad Orillą... Nie, dalej, całe mile na południe od Orilli, ponad jeziorem. Nisko na południowym niebie, opierało się... Tak, musiało opierać się jakoś podmuchom wiatru, bo wiatr dął silnie z północy, gdzie noc była jeszcze młoda. Wichura zerwała się niedawno, gdy maytere w palestrze kroić resztki mięsa, żeby schować je do piwnicy. Kiedy wróciła na górę, kawałki zachomikowanego papieru do pakowania fruwały po całej kuchni i musiała zamknąć okno.

A zatem ten olbrzymi obiekt niedawno znajdował się nad miastem. Właśnie wtedy dostrzegła go ponad tylnym murem boiska. Nie leciał bezwładnie na południe, jak zwyczajna chmura; prędzej już powiedziałyby, że pełźnie z powrotem do miasta, powoli, wytrwale skrada się po niebie.

Obserwowała go długo, żeby się upewnić. Podążał wolniutko na północ niczym żuk badający wnętrze przepastnej miski. Chwilami opuszczała go odwaga i cofał się o krok, to znów ruszał naprzód. Był już wcześniej nad miastem... No, może prawie nad miastem. Potem zaczęło wiać i dał się zaskoczyć, poniosło go nad jezioro; teraz zbierał siły i mimo wiatru wracał.

Coś błysnęło na tle monstrualnej ciemnej bryły. Mały punkcik światła, jakby ktoś tam, w górze, nacisnął guzik ignitora – tak drobny, że nie była pewna, czy naprawdę go widziała.

Nie miała pojęcia, czym jest podniebny olbrzym, ale nie wiedziała też, jak mogłaby go zatrzymać. Przyleci albo nie, jak będzie chciał, a ona ma jak zwykle huk roboty. Powinna nalać wody do kotła, w którym pierze – a to naprawdę duży kocioł. Ostrożnie wróciła do okna, zastanawiając się, czy duże szkody wyrządziła gontom, które i bez tego ledwie się trzymały.

Będzie musiała naznosić drewna i rozpalić porządnie w piecu. Potem upierze pościel z łóżka zmarłej i wywiesi ją przy piecu, żeby wyschnęła. Jeżeli maytere Mięta wróci (o co maytere Marmur gorąco się modliła), na tym samym ogniu ugotuje jej śniadanie; może maytere Mięta przyprowdzi przyjaciół. Mężczyźni mogą zjeść w ogrodzie. Wyniosłaby im jeden długi stół i krzesła z palestry. Na szczęście zostało jeszcze mnóstwo mięsa, chociaż kawałek ugotowała już dla Kosmka, a część oddała rodzinie chłopca, kiedy zaniósł go do domu.

Wróciła na strych i zamknęła okno. Do rozjaśnienia pościel wyschnie, później się ją wyprasuje i rozłoży z powrotem na łóżku. Nadal była najstarszą sybillą – czy raczej: znów była najstarszą sybillą – toteż oba pokoje należały do niej. Pewnie i tak przeniesie wszystkie rzeczy do większego.

Schodząc uznała, że nie będzie schodków składać, dopóki ich nie naoliwi. Obetnie kawał tłuszczu

i roztopi go na patelni, czekając, aż woda zagrzeje się w kotle; przecież gar z praniem nie zajmie całej płyty kuchennej. Przed rozjaśnieniem powietrzny olbrzym zapewne powróci. Jeśli znajdzie wtedy wolną chwilę, żeby wyjść na ulicę i spojrzeć w niebo, będzie mogła go spokojnie obejrzeć.

Alka był absolutnie przekonany, że idą tym tunelem od zawsze, dziwnie się z tym czuł, ponieważ pamiętał, że niedawno skręcili weń z innego korytarza, ale podążali nim od chwili, gdy Pah stworzył whorl, Żubr pluł krwią, niosąc zwłoki rybaka, Alka trzymał się za nim, na wypadek gdyby Żubr potrzebował solidnej młócki, Jelec i Drop szli obok, tak że mógł z nimi swobodnie rozmawiać, dalej patere ze swoim ogromnym żołnierzem, który miał pistolet, mówił, jak mają iść i pilnował ich, a na końcu Acalypha w todze augura, z Orebem na ramieniu i wyrzutnią w garści. Alka wolałby iść obok niej – nawet tego próbował, ale na próżno.

Obejrzał się. Pomachała mu przyjaźnie; Drop i Jelec zniknęli. Chciał zapytać Kowadełka albo żołnierza, co się z nimi stało, lecz doszedł do wniosku, że wcale nie ma chęci gadać, Acalypha zaś szła za daleko, żeby mogli porozmawiać na osobności. Drop poszedł pewnie przodem, żeby się rozejrzeć, i zabrał starego ze sobą. To by do Dropia pasowało; jeśli znajdzie coś do jedzenia, na pewno mu przyniesie.

Módl się do Phaei, przykazała mu maytere Mięta. Phaea jest boginią jedzenia. Módl się do niej, Alko, a nie będziesz chodził głodny.

– Cieszę się, że cię widzę, maytere! – Alka uśmiechnął się od ucha do ucha. – Martwiłem się o ciebie.

Niech uśmiechają się do ciebie wszyscy bogowie, Alko, dziś i każdego dnia w przyszłości. Uśmiech maytere zmieniał mroczny, wilgotny tunel w pałac, w którym rozwodniona zielonkawa poświata pełzających lampek ustępowała miejsca powodzi złocistego blasku. Taki blask go obudził. Czemu miałbyś się o mnie niepokoić, Alko? Wiernie służę bogom, odkąd skończyłam piętnaście lat. Nie opuszczą mnie teraz. Ja mam najmniej powodów do zmartwień.

– Może udałoby ci się ściągnąć jakiegoś boga tutaj, do nas, żeby pochodził z nami trochę – zaproponował Alka.

– Alko, synu mój! – zaprotestował idący z tyłu Kowadełko.

Złodziej burknął coś niegrzecznie i rozejrzał się w poszukiwaniu maytere Mięty, ale już gdzieś zniknęła. Z początku sądził, że pośpieszyła naprzód, żeby porozmawiać z Dropiem, ale zaraz sobie uświadomił, że poszła sprowadzić boga, który miał im towarzyszyć. Zawsze taka była: gdyby mogła, spełniałaby każdą ludzką zachciankę.

Nie umiał przestać się o nią martwić. Jeżeli zamierzała zabrać boga z Centralnego Procesora, będzie musiała ominąć diabły, które naprzykrzają się ludziom po drodze, okłamują ich i zwodzą ze Złotej Ścieżki. Mógł ją poprosić o Phaeę. A właściwie Phaeę i parę prosiąt. Szczebiotka chętnie zjadłaby trochę szynki, a on cały czas miał przecież kordelas i nóż, mógł zabić świnię, oprawić ją i dać szynkę szczebiotce. Cholera jasna, też był głodny jak wilk, a ona sama nie zeżarłaby przecież

całego prosięcia. Język zostawiliby dla Dropia; Drop uwielbiał świńskie ozory. Był phaedag, więc maytere najpewniej sprowadzi właśnie Phaeę, a z nią powinna przybyć co najmniej jedna świnka. Bogowie zawsze... no, zwykle, w każdym razie bardzo często przybywali w towarzystwie przypisanych im zwierząt.

Świnie należą do Phaei. (Trzeba było to wykuć, żeby w przyszłym roku uczyć się nowych rzeczy). Świnie należą do Phaei, a lwy i wszystkie koty do Sphigx. Kto by chciał zjeść kota? Scylla ma ryby. Niektóre ryby są smaczne. Małe ptaszki ma Molpe. Stary łapał je na ptasi lep, solił, a kiedy dość się nazbierało, robił z nich pasztet. Dla Tartarosa są nietoperze, sowy i krety.

Krety?

Nagle Alka zdał sobie sprawę – i wcale mu się to nie spodobało – że Tartaros jest bogiem świata podziemnego, świata jaskiń i kopalń. Znaleźli się w jego królestwie, ale przecież Tartaros miał być najlepszym przyjacielem i opiekunem złodziei, a patrzcie, jak Alka skończył; musiał strasznie wnerwić Tartarosa, bo łeb mu teraz pękał, coś miał nie tak z głową, coś mu się tam w środku obsuwało i ślizgało, jak w igłowcu, który nie chce ładować pocisków z magazynka, choćby się go nie wiadomo jak długo oliwiło i sprawdzało, że igły są idealnie proste. Sięgnął pod tunikę, chcąc namacać broń, ale coś mu nie grało, ba, w ogóle nie miał broni, chociaż maytere Mięta była jego matką i potrzebowała go razem z igłowcem.

– Biedny Alka! – Oreb zatoczył mu kółko nad głową. – Biedny Alka!

Wzbudzony skrzydłami pęd powietrza wzburzył włosy złodzieja, ale ptak nie przysiadł Alce na ramieniu, tylko zawrócił do Acalyphy.

Nie było ich tam, z tyłu – ani ptaka, ani szczebiotki. Alka się rozplakał.

Kapitan w poszarpanym, ubłoconym mundurze zsalutował dziarsko.

– Wszyscy ludzie na stanowiskach, generale. Ślizgacz patroluje swój rewir. Nie zdołają wzmocnić garnizonu potajemnie, a kiedy przyślą posiłki jawnie i otwarcie, będą mieli z nami do czynienia.

Bizon prychnął i zakołysał się na ciężkim dębowym krześle, które chwilowo należało do niego. Maytere Mięta się uśmiechnęła.

– Doskonale, kapitanie, dziękuję. Może powinien pan teraz odpocząć.

– Spałem już trochę, generale, chociaż niezbyt długo. Jadłem też coś, czego chyba o pani, generale, powiedzieć nie można. Muszę dokończyć inspekcję oddziałów na pozycjach, później może się z godzinkę zdrzemnę. Sierżant mnie obudzi.

– Chętnie pójdę z panem, kapitanie – powiedziała maytere Mięta. – Zaczeka pan chwilę?

– Ależ naturalnie, generale, to dla mnie zaszczyt Tylko że...

– O co chodzi, kapitanie? – Spojrzała na niego z ukosa. – Słucham.

– Ty też musisz spać, generale. I jeść. Inaczej jutro będziesz słaba jak dziecko.

– Później coś sobie znajdę do jedzenia i prześpię się trochę. Niech pan siada; wszyscy jesteśmy zmordowani, ale pan chyba najbardziej. – Zwróciła się do Bizona: – W Kapitulie istnieją pewne zasady, obowiązujące zarówno sybille, czyli na przykład mnie, jak i augurów, czyli na przykład patere Jedwabia. Nazywamy je dyscypliną. Słowo to pochodzi od dawnego określenia ucznia lub studenta. Jeśli byłbyś nauczycielem, tak jak ja, wiedziałbyś, że wszelką naukę należy zaczynać od zaprowadzenia dyscypliny. W przeciwnym razie uczniowie będą tak zagadani między sobą, że nie usłyszą ani słowa; zamiast wykonywać twoje polecenia, będą sobie rysować kwiatki.

Bizon skinął głową.

– Chyba że każesz im rysować kwiatki – dodała maytere, uśmiechając się na wspomnienie wydarzeń z poprzedniego roku. – Jeżeli to zrobisz, to zamiast rysować, będą sobie przysyłać karteczki z wiadomościami.

Kapitan przyglądał krótko przycięte wąsy.

– U nas, w gwardii, również obowiązuje dyscyplina, generale – stwierdził. – Słowo jest to samo, a praktyka, śmiem twierdzić, bardzo zbliżona.

– Wiem o tym, lecz nie mogę wysłać was na ulicę, byście powstrzymywali szabrowników. Żałuję, ale nie mogę sobie na to pozwolić, kapitanie; byłoby to i bardzo dla mnie wygodne, i skuteczne, nie wątpię. Kłopot w tym, że wielu ludzi traktuje gwardzistów jak wrogów. Mogliby zbuntować się przeciw naszemu powstaniu, a na to w żadnym razie nie możemy sobie pozwolić. Rozumiesz, dlaczego mam rację, prawda? – spytała Bizona. – Jeśli tak, to mi powiedz.

– Okradamy samych siebie.

Obszerna broda utrudniała odczytanie wyrazu jego twarzy, Mięta spróbowała jednak dokonać tej sztuki i doszła do wniosku, że coś Bizona niepokoi.

– Masz całkowitą rację. Ci, których domy są dziś łupione, mogliby walczyć w naszych szeregach. Jeżeli będą musieli zostać i pilnować dobytku, zabraknie ich wśród nas. Ale nie koniec na tym, prawda? Co jeszcze chciałeś mi powiedzieć?

– Nic, generale.

– Musisz być ze mną szczery. – Chciała zachęcająco poklepać go po ramieniu, jakby był jednym z chłopców w jej klasie, ale doszła do wniosku, że mogłoby to zostać źle zrozumiane. – Można by rzec, że odpowiadanie na moje pytania to również element dyscypliny. Czy gwardia ma być od nas lepsza?

Bizon milczał.

– Ale tu chodzi o coś więcej. Dziś nie ma dla nas nic ważniejszego niż moja wiedza o tym, co się dla was najbardziej Uczy, dla was wszystkich – mówię o tobie, o kapitanie, Zorilli, Kaczeńcu i całej reszcie.

Kiedy Bizon wciąż się nie odzywał, dodała:

– Chcesz, żeby się nam nie powiodło, Bizonie? Żebyś nie musiał się czuć zakłopotany? Bo tak się to skończy, jeżeli nie będziemy dzielić się wszystkim – i zmartwieniami, i informacją. Zawieziemy zaufanie bogów i zginiemy. Nikt nie ocaleje, a już ja na pewno; zamierzam walczyć do samego końca. O co chodzi?

– Palą domy – wykrztusił wreszcie brodac. – A to jeszcze gorsze od łupienia, o wiele gorsze. Przy tym wietrze całe miasto spłonie, jeśli ich nie powstrzymamy. Poza tym...

– Co poza tym? – Maytere Mięta przygryzła dolną wargę. – A poza tym trzeba, oczywiście, ugasić pożary, które już rozpętały się w mieście. Masz rację, Bizonie. Jak zawsze. – Spojrzała ku drzwiom. – Rzepie? Jesteś tam jeszcze? Wejdz, proszę, jesteś mi potrzebna.

– Słucham, maytere.

– Właśnie rozmawialiśmy o tym, że powinniśmy odpocząć, Rzepie; dzisiejszego wieczora wszyscy chyba są w tym zgodni. Tobie też należy się chwila spokoju, niedawno chorowałaś. Czy patere Jedwab nie udzielał ci już pojednania z Pahem?

Zgrabna, blada trzynastolatka o delikatnych rysach twarzy i czarnych włosach z powagą skinęła głową.

– To było w sphigxdag, maytere. Od razu zaczęłam wracać do zdrowia.

– W sphigxdag. Dziś mamy hieraxdag. – Maytere Mięta zerknęła na porcelanowy zegar z błękitnym cyferblatem. – Za parę godzin będzie już thelxdag. Nie zmienia to faktu, że niespełna tydzień temu byłaś umierająca, a dziś, mimo że powinnaś leżeć w łóżku, biegasz i załatwiasz dla mnie różne sprawy. Załatwisz jeszcze jedną?

– Czuję się dobrze, maytere.

– W takim razie odszukaj Limetkę. Powiedz jej, gdzie mnie znajdzie, i przekaz, że chcę się z nią zobaczyć, jak tylko znajdzie wolną chwilę. Potem wracaj do domu i kładź się do łóżka. Powtarzam: do domu. Zrobisz to, Rzepie?

Dziewczynka dygnęła, okręciła się na pięcie i zniknęła.

– To dobra, rozsądna dziewczyna – powiedziała maytere do kapitana i Bizona – Chociaż nie z

mojej klasy. Moje są starsze; walczą teraz i opatrują rannych. Rzep jest uczennicą maytere Marmur, i to chyba najlepszą. – Obaj mężczyźni pokiwali głowami. – Kapitanie, nie każe już panu długo czekać. Zaczęliśmy rozmawiać o dyscyplinie, Bizonie, ale przerwano nam. Dobrze się stało, gdyż okropnie się zagadałam. Zmierzałam do tego, że z dwudziestki dziewcząt i chłopców dzięki dyscyplinie można zrobić osiemnaścioro dobrych uczniów; ja to potrafię i wy też byście potrafili; ba, nabrawszy praktyki spisalibyście się pewnie jeszcze lepiej. – Westchnęła i wyprostowała się na krześle. – A pozostała dwójka? Z jednego nic nie będzie i można najwyżej pilnować, żeby nie przeszkadzał innym. Drugi w ogóle nie potrzebuje dyscypliny, jakby sam przywoływał się do porządku, zanim zwrócisz uwagę całej klasie. Rozumiecie? Bizon kiwnął głową.

– Jesteś jednym z takich ludzi, inaczej nie zostałbyś moim zastępcą. Gdybym zginęła, wszystkim sam się zajmiesz.

Bizon uśmiechnął się szeroko; w otchłani czarnej brody błysnęły śnieżnobiałe zęby.

– Bogowie cię kochają, generale. O twoje życie jestem spokojny. – Mięta wyraźnie oczekiwała lepszej odpowiedzi, brodacz ciągnął więc dalej: – Niech nas Hierax broni, ale gdyby tak się stało, zrobię co w mojej mocy.

– Jestem o tym przekonana, bo zawsze postępujesz należycie. Musisz teraz znaleźć innych ludzi, którzy byliby do ciebie podobni. Mamy za mało czasu, żeby zaprowadzić prawdziwą dyscyplinę; szczerze tego żałuję. Wybierz ludzi z igłowcami – pistolety kulowe wam się nie przydadzą – i to najlepiej starszych, takich, którzy nie złączą łupów, kiedy się ich wyśle przeciw szabrownikom. Podziel ich na czwórki, wyznacz w każdej dowódcę i niech mówią, że... Tylko nie zapomnij, to bardzo ważne. Niech wszystkim napotkanym mieszkańcom miasta mówią, że kradzieże i podpalenia muszą się skończyć i że będą strzelać do złodziei.

Mięta wstała.

– Możemy iść, kapitanie. Chcę się rozejrzeć w sytuacji. Muszę się wiele nauczyć, a czasu mam bardzo mało.

Drzwi wychodzących na ulicę pilnowali Róg i Pokrzywa – on ze zdobycznym pistoletem, ona uzbrojona w igłowiec.

– Rogu, idź do domu i znajdź sobie łóżko – poleciła chłopcu maytere. – To rozkaz. Prześpij się, a kiedy się zbudzisz, wróć i złuzuj Pokrzywę, jeśli jeszcze tu będzie. Pokrzywo, idę z kapitanem na obchód ulic wokół Alambrey. Niedługo wrócę.

Chłodzący jej skórę wiatr wydawał się po miesiącach upałów zjawiskiem niemal nadprzyrodzonym. Podziękowała półgłosem Molpe, ale zaraz przypomniała sobie, czego bał się Bizon: przy wietrze pożary łatwiej się rozprzestrzeniają; ogień z łatwością przeskoczy ze sklepika na stajnię, dalej na fabryczkę... Całe miasto może się spalić, kiedy ona będzie o nie walczyć z Ayuntamiento.

– Właśnie, Ayuntamiento. Radcy nie są bogami, kapitanie.

– Zapewniam panią, generale, że nigdy tak nie sądziłem.

Prowadził ją krętą uliczką, której nazwę zapomniała – a może nigdy jej nie знаła. Świszczący w zamkniętych okiennicach wiatr niósł zapowiedź zimowych śniegów.

– A skoro nie są bogami, nie mogą długo sprzeciwiać się woli boskiej – ciągnęła Mięta. – My zaś spełniamy wolę Echidny. Scylli chyba też.

– I Kypris – uzupełnił kapitan. – Przemówiła do mnie, generale. Powiedziała, że patere Jedwab musi zostać caldè. Służę ci, ponieważ ty służysz jemu, a on bogini.

Mięta słuchała go jednym uchem.

– Pięciu starców... Czterech nawet, jeśli Jego Mądrość ma rację, na pewno się nie myli. Skąd mają tyle odwagi?

– Nie mam pojęcia, generale. Oto nasz pierwszy posterunek. Widzisz go, generale?

Pokręciła głową.

– Kapralu! – krzyknął kapitan. Ktoś klasnął w dłonie i po drugiej stronie ulicy zapłonęły światelka. Z mroku wynurzyła się stercząca z okna na piętrze lufa. Kapitan wskazał ją wyciągniętą ręką. – Jak pani widzi, generale, mamy tu działko pulsacyjne. Przydaje się, bo z tego stanowiska jest świetny widok na bramę i rozległe pole ostrzału. Tam dalej... – Kapitan przesunął rękę. – Gdybyśmy zrobili jeszcze dwa kroki, ostrzelano by nas z górnych okien Alambrey.

– Mogliby przyjść tędy, przemierzyć ulicę Klatak i wejść prosto do środka?

– Zgadza się, generale. Dlatego właśnie nie przysuwamy się bliżej. Tędy, proszę. Możemy pójść zaułkiem?

– Oczywiście.

Jakże dziwnie układa się służba boża! Kiedy Mięta była jeszcze małą dziewczynką, maytere mówiła jej, że służba bogom oznacza niedosypianie i niedojadanie, i kazała jej udzielać takiej odpowiedzi wszystkim, którzy by o to pytali. No i proszę! Od śniadania nic nie jadła, ale dzięki łasce Thelxiepei była tak zmęczona, że nie czuła głodu.

– Ten chłopiec, którego odesłałaś do łóżka, generale... – Kapitan zachichotał. – Prześpi całą noc jak zabity. Wiedziałaś o tym, generale? Biedna dziewczyna będzie musiała do rana stać na straży.

– Chodzi ci o Roga? Wstanie za trzy godziny, kapitanie. Najdalej za trzy godziny.

Zaułek wychodził na szerszą ulicę, ulicę Młyna, skojarzyła Mięta, widząc zdewastowany szyld

kawiarenki „Młyn”. Na tej ulicy można było kupić za grosze całe metry tweedu i serży.

– Tu mam dobrze ukrytych ludzi, chociaż wartownicy na murach mogliby ich zauważyć. Proszę spojrzeć. – Kapitan wyciągnął rękę.

– Widzę mury Alambriery i ścigacz. To wasz? Nie, na pewno nie; przecież dawno by go ostrzelali. Poza tym nie ma wieżyczki.

– To jeden z tych, które zniszczyłaś, generale. Teraz należy do mnie. Zainstalowałem w nim dwóch ludzi. – Kapitan przystanął. – Na chwilę zostawię cię samą, generale. Dwie minutki. Dalej nie możemy iść, bo to zbyt niebezpieczne, ale muszę sprawdzić, czy wszystko z nimi w porządku.

Mięta pozwoliła mu się oddalić. Odczekała, aż dotrze do uszkodzonego ślizgacza, a potem sama ruszyła biegiem, tak jak często wyobrażała sobie, że biega po boisku z dziećmi z palestry: z podwiniętym habitem, zapominając o wstydzie. Jej stopy śmigały w powietrzu.

Kapitan podskoczył, złapał za krawędź otworu pozostałego po wieżyczce, podciągnął się na pancerz ślizgacza i zniknął we wnętrzu maszyny. Widząc go, Mięta zwątpiła, czy poradzi sobie równie zgrabnie.

Na szczęście nie musiała tego sprawdzać, bo kiedy od ślizgacza dzieliło ją jeszcze kilkanaście kroków, w burcie maszyny otworzyły się drzwiczki.

– Nie wierzyłem, że zostanie pani w tyle, generale – wyjaśnił kapitan. – Choć miałem nadzieję. Nie wolno pani tak ryzykować.

Mięta bez tchu skinęła głową i zanurkowała do wnętrza ślizgacza. Było tam ciasno, mimo że przez brak dachu wewnątrz wydawało się całkiem przestronne. Podekscytowani gwardziści próbowali stanąć na baczność, ale nie zdołali się wyprostować.

– Siadajcie – poleciła maytere. – Wszyscy. Tutaj możemy sobie darować regulaminy.

Gwardziści usiedli, wymruczawszy podziękowania.

– To działko pulsacyjne, generale, obsługiwał dowódca ślizgacza. Strzelił do ciebie, ale nie trafił, więc teraz działko jest twoje.

Mięta zupełnie nie знаła się na broni pulsacyjnej; ciekawość zwyciężyła zmęczenie.

– Jest sprawne? A macie... – Nie wiedząc, jakiego słowa użyć, wykonała nieokreślony ruch ręką. – Macie to, czym strzela?

– Tak, generale. Amunicja jest w magazynkach. W ślizgaczu eksplodowało paliwo. Te pojazdy działają na innej zasadzie niż żołnierze, bardziej przypominają talusy: do silnika potrzebny jest olej rybny albo palmowy. Palmowy jest lepszy, ale używamy rybnego, bo tańszy. W ślizgaczu było dość

amunicji do obu działek; nadal jest jej sporo.

– Chciałabym tam usiąść – oznajmiła maytere, patrząc na fotel dowódcy. – Mogę?

– Naturalnie, generale. – Kapitan usłużnie usunął się jej z drogi.

Fotel okazał się zaskakująco wygodny, tylko przypalona tapicerka cuchnęła dymem. Siedzenie było głębsze i bardziej miękkie niż łóżko Mięty w klasztorze. Nie ma się czemu dziwić, powiedziała sobie w duchu maytere. Ayuntamiento dba o swoich oficerów, wiedząc, że na nich opiera się jej władza. To też należało zapamiętać.

– Proszę nie dotykać cyngla, generale. Broń jest odbezpieczona. – Kapitan sięgnął ponad jej ramieniem i przesunął małą dźwigenkę. – Teraz ją zabezpieczyłem. Nie wystrzeli.

– Ta pajęczynka... to się nazywa celownik?

– Tak, generale. A ta wypustka na końcu lufy to muszka. Wystarczy, że strzelec ustawi broń tak, żeby widzieć muszkę w którymś z tych prostokątów.

– Rozumiem.

– Im bardziej odległy cel, tym wyższy prostokąt wybieram. Poza tym przesuwam się trochę w lewo lub w prawo, żeby wziąć poprawkę na wiatr albo charakterystykę broni.

Maytere oparła się wygodnie i pozwoliła sobie – dosłownie na moment – przymknąć oczy. Kapitan opowiadał coś o strzelaniu w nocy, o krótkich seriach, które są celniejsze od długich, o polu ostrzału...

Ogień tymczasem pochłaniał czyjś dom, a Limetka (jeśli Rzep nie musiała chodzić daleko i szybko ją znalazła) pewnie szukała generał Mięty po wszystkich posterunkach. Szukała, wypytywała gwardzistów, czy jej nie widzieli, i gdzie jest następny posterunek, i czy mogą ją tam zaprowadzić, bo w mieście szaleją pożary, ponieważ Bizon się nie mylił, wiedział, że ogień trzeba ugasić, ale bał się o tym powiedzieć, bo zdawał sobie sprawę, że jego ludzie nie dadzą sobie z tym rady, że wszyscy, mężczyźni i kobiety, po całym dniu walki nie będą mogli gasić pożarów, najpierw w nocy, a potem jutro rano. Bizon, przy którym czuła się tak pewna i silna; miał gęstą, kręconą brodę, dłuższą od jej włosów. Maytere Skalnica przestrzegała ją, żeby nie wychodziła bez kornetu – nie z powodu złamania reguły, ale mężczyźni podnieca widok kobiecych włosów, zwłaszcza długich włosów. A ona zgubiła gdzieś komet i wyszła na ulicę z gołą głową, chociaż włosy miała krótko ścięte, od pierwszego dnia.

Uciekała przed gniewem maytere Skalnicy ciemnymi, zimnymi korytarzami, które co chwila zmienacka zakręcały, aż spotkała Alkę, który przypomniał, że miała mu przyprowadzić bogów.

– Jestem pułkownik Oosik, caldé – przedstawił się Jedwabiowi wysoki i postawny mężczyzna. Prawie całkowicie przesłonił Muszelkę, który wszedł razem z nim.

– Jest pan najwyższym stopniem oficerem w tej brygadzie. – Jedwab podał mu rękę na powitanie.
– Dowódcą. Czy nie tak się mówi? Ja nazywam się patere Jedwab.

– Widzę, że zapoznałeś się z naszą strukturą dowodzenia – stwierdził Oosik, siadając na przyniesionym wcześniej przez Muszelkę krześle.

– Niezbyt dokładnie. Czy to moje ubranie?

– Tak. – Pułkownik podniósł czarne, zmięte zawiniątko. – Zaraz o nim porozmawiamy, caldé. Skoro nie studiowałeś naszego schematu organizacyjnego, skąd wiesz, kim jestem?

– Widziałem afisz... – Jedwab zawiesił głos, usiłując sobie przypomnieć szczegóły. – Przyjechałem nad jezioro z kobietą o imieniu Acalypha. Plakat stwierdzał, że planowane jest sformowanie brygady rezerwowej. Pod nim widniał pański podpis. Każdy, kto chciał się zgłosić, miał stawić się w kwaterze głównej trzeciej brygady. Patere Muszelka, który był tak uprzejmy, że zajrzał do mnie przed chwilą, wspomniał akurat o trzeciej brygadzie. Po jego wyjściu przypominałem sobie afisz.

– Pułkownik siedział u kapitana w pokoju, kiedy tam wszedłem, patere – wtrącił Muszelka. – Chciałem zaczekać, ale kazał mi wejść i powiedzieć, z czym przychodzę, więc wszystko wyjaśniłem.

– Dziękuję ci – rzekł Jedwab. – Proszę, wracaj teraz do swojego manteionu, patere. Dziś na nic więcej się tu przydasz. – I starając się przydać swoim słowom większej wagi, dodał: – I tak jest już późno. Bardzo późno.

– Myślałem, patere...

– Idź już. – Oosik podkreślił sumiastego wąsa. – Mamy z twoim caldé delikatne sprawy do omówienia. On to rozumie, więc i ty powinienes.

– Myślałem...

– Wynoś się!

Pułkownik rzadko podnosił głos, ale kiedy już to zrobił, słowa brzmiały jak strzał z bata. Muszelka wybiegł z pokoju.

– Straż! Zamknąć drzwi!

Oosik miał siwe koniuszki wąsów. Mówiąc, okręcał jeden z nich wokół palca.

– Ponieważ nie znasz naszej struktury dowodzenia, caldé, nie wiesz zapewne, że brygada podlega generałowi brygady.

– Nie wiedziałem – przyznał Jedwab. – Nigdy o tym nie myślałem.

– W tym wypadku wyjaśnienia nie są potrzebne. Chciałem ci powiedzieć, abyśmy obaj wiedzieli, na czym stoimy i z kim mamy do czynienia, że choć jestem zwykłym pułkownikiem...

– Oosik puścił wąs, który opadł na wyszyty na kołnierzu wizerunek rybołowa – ...to dowodzę regularną brygadą, tak jak generał. Od czterech lat. Chcesz dostać swoje ubranie?

– Tak. Chciałbym coś na siebie włożyć, jeśli pan pozwoli, pułkowniku.

Oosik kiwnął głową, chociaż trudno byłoby powiedzieć, czy zgadza się na prośbę Jedwabia, czy tylko daje znać, że go zrozumiał.

– Niewiele brakowało, byś zginął, caldé. Igła przeszła ci płuco.

– W każdym razie lepiej bym się czuł, mogąc wstać i się ubrać – skłamał Jedwab, żałując przy tym okrutnie, iż nie jest to prawda. – Usiadłbym na łóżku, zamiast leżeć, ale jestem nagi.

Oosik zaśmiał się cicho.

– Buty też chcesz?

– Buty, pończochy, bieliznę, spodnie, tunikę i togę. Proszę, pułkowniku.

Siwe koniuszki wąsów Oosika uniosły się leciutko, gdy się uśmiechnął.

– W ubraniu mógłbyś łatwiej uciec, caldé. O to chodzi?

– Sam pan powiedział, że jestem bliski śmierci. Człowiek, który stoi nad grobem, mógłby wprawdzie uciec, ale miałby z tym spore trudności.

– Niezbyt łagodnie się z tu z tobą obchodzimy, caldé. Zostałeś pobity. Poddany torturom.

– Pańscy ludzie strzelali do mnie. – Jedwab pokręcił głową. – Tak mi się przynajmniej wydaje, że to byli pańscy ludzie. Później jednak opatrzył mnie lekarz i trafiłem do tego wygodnego pokoju. Nikt mnie nie uderzył.

– Za pozwoleniem... – Oosik spojrzał na niego bacznie. – Masz posiniaczoną twarz, caldé. Sądziłem, że ktoś cię pobił.

Jedwab ponownie pokręcił głową, starając się zapomnieć o tym, jak Wari i sierżant Piasek godzinami go przesłuchiwali.

– Nie chcesz mi powiedzieć, skąd wzięty się te sińce. Biłeś się z kimś, caldé. Jako augur powinieneś się wstydzić. Chyba że to był uczciwy pojedynek bokserski; to dla augura dopuszczalne.

– Spadłem ze schodów – wyjaśnił Jedwab. – Przez własną głupotę i nieostrożność.

Ku jego zaskoczeniu Oosik wybuchnął śmiechem, klepiąc się po udach.

– Nasi żołnierze zawsze tak mówią, caldé, kiedy kumple dadzą im wycisk. – Otarł załzawione oczy. – Prawie zawsze tłumaczą się, że spadli ze schodów w koszarach. Nie chcą się przyznać, że próbowali wykiwać kolegów albo coś im ukradli.

– W moim wypadku to szczerza prawda – upierał się Jedwab. – Dwa dni temu próbowałem kogoś okraść, ale naprawdę spadłem ze schodów i się poobijałem.

– Miło mi słyszeć, że nikt cię nie bił; naszym ludziom zdarza się przyłożyć więźniom, nie tylko bez rozkazu, ale czasem i wbrew rozkazom. Zapewniam, są za to surowo karani. A co do ciebie, caldé... – Pułkownik wzruszył ramionami. – Wysłałem swojego człowieka na zwiady, żeby powiedział mi coś więcej o przebiegu bitwy pod Alambrerą, niż mogłem zobaczyć w moim szkle. Przygotowałem się na przyjęcie jeńców i rannych; chciałem wiedzieć, czy to wystarczy.

– Rozumiem.

– Kiedy wrócił, przywiózł ciebie. – Oosik westchnął. – A teraz spodziewa się medalu i awansu za postawienie mnie w niezręcznej sytuacji. Czy pojmujesz, w jakim jestem kłopotcie, caldé?

– Chyba nie do końca...

– Ty i ja jesteśmy nieprzyjaciółmi. Twoi zwolennicy, których jest ze sto tysięcy albo i więcej, walczą z gwardią cywilną, której jestem oficerem. Po swojej stronie mam dodatkowo kilka tysięcy żołnierzy. Nie wiadomo, kto zwycięży. Zgodzisz się ze mną?

– Raczej tak.

– Załóżmy zatem na razie, że wygram. Nie chcę być wobec ciebie nieuczciwy, caldé, dlatego za chwilę przedyskutujemy drugi wariant. Przypuśćmy, że pokonamy buntowników, a ja zgłoszę Ayuntamiento, że jesteś moim więźniem. Radcy zadadzą mi pytanie, dlaczego wcześniej o tym nie zameldowałem; za taką zwłokę grozi mi sąd polowy. Jeżeli szczęście mi dopisze, zostanę zdegradowany, jeśli nie – zginę.

– W takim razie proszę o mnie zameldować, pułkowniku.

Oosik pokręcił głową. Twarz mu spochmurniała.

– To nie jest dla mnie właściwe wyjście. Z tej sytuacji nie ma właściwego wyjścia, jest za to jedno całkowicie błędne – to, o którym przed chwilą wspomniałeś, a które musiałyby doprowadzić do katastrofy. Ayuntamiento wydała rozkaz, żeby strzelać do ciebie bez ostrzeżenia. Wiedziałeś o tym, caldé?

– Domyślałem się. – Jedwab spostrzegł, że pod kołdrą zaciska kurczowo pięści. Rozluźnił je.

– Nie wątpię. Porucznik Tygrys powinien był cię zabić, ale tego nie zrobił. Chcesz znać moje zdanie? Uważam, że zabrakło mu zimnej krwi. Zaprzecza, ale ja właśnie tak myślę. Postrzelił cię. Leżałeś na ulicy, w todzie augura, dyszałeś jak wyjęta z wody ryba, a krew ciekła ci z ust. Bez trudu dobiłby cię następnym strzałem. – Pułkownik wzruszył ramionami. – Uznał pewnie, że i tak umrzesz, zanim cię tu przywiezie; większość ludzi z taką raną nie przeżyłaby transportu.

– Teraz rozumiem. Jeżeli zgłosi pan Ayuntamiento, że pojмалиście mnie żywcem, porucznik będzie miał kłopoty.

– To ja będę miał kłopoty. – Oosik postukał się palcem w pierś. – Ayuntamiento każe mi cię zabić, caldé, a ja nie będę miał innego wyjścia, jak jej posłuchać. Jeżeli potem przegramy, Mięta każe mnie rozstrzelać, pod warunkiem że nie wymyśli dla mnie gorszej śmierci. A jeśli zwyciężymy, do końca życia będę napiętnowany jako ten, który zabił Jedwabia, augura, którego – jak całe miasto uważa – sam Pah namaścił na caldé. Jeżeli radcy mają trochę oleju w głowie, Ayuntamiento wyprze się mnie, postawi przed sądem i rozstrzela. Nie, caldé, nikomu o tobie nie zamelduję. Nie ma mowy.

– Mówił pan przed chwilą, że gwardia razem z wojskiem walczy przeciw mieszkańcom Vironu. Podobno żołnierzy jest około siedmiu tysięcy; ilu ludzi służy w gwardii, pułkowniku? – Jedwab sięgnął pamięcią wstecz, do swojej rozmowy z Pięściakiem. – Ze trzydzieści tysięcy?

– Nawet mniej.

– Wiem, że niektórzy z nich wypowiedzieli służbę Ayuntamiento – ciągnął Jedwab. Oosik ponuro skinął głową. – Czy mogę zapytać, ilu ich było?

– Kilka setek, caldé.

– Tysiąc?

Oosik milczał długą chwilę, aż wreszcie odparł:

– Mówiono mi o pięciuset ludziach. Prawie wszyscy są z mojej brygady.

– Coś panu pokażę, ale najpierw proszę, żeby złożył mi pan pewną obietnicę, pułkowniku. Jest to coś, co przyniósł mi patere Muszelka. Proszę dać słowo, że ani jemu, ani augurowi z jego manteionu, ani ich sybillom nie stanie się krzywda. Może mi pan to obiecać?

– Nie mogę sprzeciwiać się rozkazom, patere. Ktoś może kazać mi ich aresztować.

– A jeśli nie będzie takiego rozkazu? – spytał Jedwab. Przynajmniej powinni zdążyć uciec, pomyślał. – Proszę mi obiecać, że nic im pan nie zrobi z własnej inicjatywy.

– Tanio sprzedajesz swoje informacje, caldé. Nigdy bez potrzeby nie wchodzimy wam, świętym ludziom, w drogę.

– W takim razie daje mi pan słowo oficera?

– Tak.

Jedwab wyjął spod kołdry list przewodniczącego Kapituły. Oosik odpiął guzik przy kieszonce koszuli i wyjął z niej okulary w srebrnej oprawce. Ustawił swoje krzesło tak, żeby więcej światła padało na list.

Zapadła cisza. Jedwab rozważał, czy podjął słuszną decyzję. Oosik był ambitny; zapewne w nadziei na awans i wyższą płacę zgłosił się na ochotnika na dowódcę brygady rezerwowej, nie rezygnując z kierowania własną. Najprawdopodobniej nie doceniał wartości bojowej żołnierzy, takich jak Piasek czy Pięściak; na wylot za to znał gwardię cywilną. Brał pod uwagę możliwość porażki Ayuntamiento. List, w którym przewodniczący Kapituły niedwuznacznie sugeruje swoje poparcie dla maytere Mięty, mógł przeważyć szalę.

– Napisano tutaj, że Lemur nie żyje – rzekł Oosik, podnosząc wzrok znad listu.

Jedwab bez słowa skinął głową.

– Od rana krążą takie plotki. Może przewodniczący po prostu je powtarza?

– Lemur naprawdę nie żyje – stwierdził Jedwab z naciskiem, umocniony w swym postanowieniu świadomością, że nareszcie nie musi niczego owijać w bawełnę. – Na pewno ma pan szkło, pułkowniku. Niech je pan poprosi, żeby odszukało Lemura.

– Widziałeś, jak zginął?

Jedwab pokręcił przecząco głową, ale dodał:

– Widziałem ciało.

Pułkownik wrócił do przerwanej lektury.

Nadmiar brawury mógł wszystko popsuć. Jedwab zdawał sobie sprawę, że popełniłby fatalny błąd, zmuszając Oosika do czegoś, co mogłoby potem zostać wykorzystane przeciwko niemu.

Pułkownik odłożył list.

– Kapituła cię poparła, caldé. Już wcześniej się tego domyślałem, a teraz nie mam wątpliwości.

– Rzeczywiście, tak to w tej chwili wygląda. – Nadszedł dobry moment dla Oosika, żeby opowiedział się, po czyjej stronie stoi. – Jeżeli domyślał się pan tego nie czytając listu, tym bardziej uprzejmie się pan zachował, wpuszczając do mnie patere Muszelkę.

– To nie ja go tu wpuściłem, caldé, lecz kapitan Gekon.

– Ach tak... Ale dotrzyma pan swojej obietnicy?

– Jestem człowiekiem honoru, caldé. – Pułkownik złożył papier i schował do kieszeni wraz z okularami. – Zatrzymam list; lepiej żeby nikt poza nami dwoma go nie czytał, a zwłaszcza żaden z moich oficerów.

– Proszę bardzo.

– Chciałeś, żebym oddał ci ubranie, caldé. Zależy ci też zapewne na odzyskaniu zawartości kieszeni. Paciorki wciąż tam chyba są; chętnie je pewnie odmówisz, leżąc w łóżku.

– Z radością.

– Masz też dwa igłowce: jeden taki, z jakiego cię postrzelono, drugi mniejszy. Należał chyba do kobiety o imieniu Hiacynt

– Zgadza się.

– Znam ją, jeżeli oczywiście jest to ta sama Hiacynt. Miła dziewczyna, miła i bardzo piękna. Byłem z nią w phaedag.

Jedwab zamknął oczy.

– Nie chciałem sprawić ci bólu, caldé. Spójrz na mnie. Jestem sporo od ciebie starszy, mógłbym być twoim ojcem; jej zresztą też. Czy wyobrażasz sobie, żeby przysyłała mi listy miłosne?

– Czy...

– Czy taki właśnie list masz w kieszeni togi, caldé? – Oosik z namaszczeniem pokiwał głową. – Kapitan Gekon mówił mi, że pieczęć była nienaruszona. Szczerze mówiąc, nie uwierzyłem mu, ale widzę, że nie miałem racji. Nie czytałeś tych listów.

– Nie.

– Kapitan je czytał. Ja też, ale nikt poza tym. Gekon potrafi zachować dyskrecję, jeśli mu rozkażę, a ja jestem człowiekiem honoru, więc muszę być do tego zdolny. Nie rozpoznałeś jej pieczęci?

– To pierwszy list, jaki dostałem od tej kobiety.

– Do mnie nigdy nie napisała. – Oosik skubnął wąs. – Od wielu kobiet otrzymywałem liściki, ale od niej nigdy. Zazdroszczę ci.

– Dziękuję.

– Kochasz ją. – Oosik rozparł się na krześle. – To nie ulega wątpliwości. Kiedyś też byłem w twoim wieku, caldé – ciągnął ściszym głosem. – Czy wiesz, że za miesiąc może być po wszystkim?

– Nie za miesiąc, ale nawet choćby jutro – przytaknął Jedwab. – Czasem sam na to liczę.

– I boisz się. Nie musisz mi tego mówić, rozumiem. Mówiąc, że ją znam, sprawiłem ci przykrość, ale nie chcę, byś potem myślał, że byłem w stosunku do ciebie nieszczerzy. Teraz jestem równie uczciwy, brutalnie uczciwy – wobec siebie. Wobec własnej dumy. Nic dla tej kobiety nie znaczę.

– Jeszcze raz ci dziękuję.

– Nie ma za co. Nie twierdzę, że ona jest dla mnie nikim; nie jestem z kamienia. Są jednak w moim życiu i inne kobiety, które bardziej cenię. Nie będę wymieniał ich imion.

– Nie musisz wchodzić w szczegóły, chyba że chcesz, bym cię rozgrzeszył. Czy mogę dostać jej list?

– Zaraz, *caldé*, za chwileczkę dam ci go na zawsze. Jest jeszcze jedna sprawa: wspomniałeś o Acalyphie. Ją również znam. Mieszka w żółtym domu.

Jedwab uśmiechnął się i pokręcił z niedowierzaniem głową. – Tym razem nie sprawiłem ci bólu. Czy to nie ona jest Acalyphą, z którą pojechałeś nad jezioro?

– Rozbawiła mnie własna niedomyślność. Opowiadała mi, że spotyka się z pułkownikami, ale dopóki nie powiedziałeś, że ją znasz, nie wpadłem na to, że musisz być jednym z nich. Niewielu jest pewnie pułkowników w gwardii.

– Oprócz mnie siedmiu. – Ze sterty ubrań Oosik wyłowił dwa igłowce: duży, należący przedtem do Piżma, i mniejszy, złożony, własność Hiacynta. Pokazał je Jedwabiowi i odłożył na parapet.

– Ten mniejszy jest Hiacynta – rzekł Jedwab. – Czy mógłby pan dopilnować, żeby dostała go z powrotem?

– Prześlę go przez naszego wspólnego znajomego – zgodził się pułkownik. – A ten większy?

– Jego właściciel nie żyje, więc teraz igłowiec należy chyba do mnie.

– Jestem zbyt dobrze wychowany, by pytać, czy zabiłeś właściciela, *caldé*. Mam tylko nadzieję, że nie był to jeden z naszych funkcjonariuszy.

– Odpowiedź brzmi: nie – powiedział Jedwab. – I jeszcze raz: nie. Przyznam, że kilkakrotnie mnie kusiło, żeby go zabić, ale tego nie zrobiłem, choć on bez wątpienia miał ochotę mnie zlikwidować. Zabiłem tylko raz, w obronie własnej. Czy mogę już przeczytać list od Hiacynta?

– Jeśli tylko go znajdę... – Oosik znów zaczął grzebać w stosiku ubrań Jedwabia, aż wreszcie podniósł w górę dłoń z dwoma listami, które augur rankiem zabrał z kominka na plebanii. – Drugi jest od innego augura. Nie ciekawi cię, *caldé*?

– Nie bardzo. Od kogo?

– Zapomniałem... – Pułkownik wyjął list z koperty. – Podpisano: patere Remora, koadiutor. Chce, a raczej chciał się z tobą spotkać. Prosił cię o przybycie do jego apartamentu w pałacu Kapituły wczoraj o godzinie trzeciej po południu. Jesteś już o ponad dobę spóźniony, caldé. Czy mimo to chcesz przeczytać?

– Chyba tak.

Oosik rzucił list Remory na łóżko i wstał, wciąż trzymając kopertę od Hiacynta.

– Ten i tak wolałbyś przeczytać bez świadków. Obowiązek wzywa. Może jeszcze odwiedzę cię wieczorem, późnym wieczorem, a gdybym był zbyt zajęty, to wpadnę z rana. – Pułkownik podkreślił wąsa. – Czy uznasz mnie za głupca, jeśli powiem, że życzę ci jak najlepiej, caldé? Że gdybyśmy nie byli wrogami, poczytywałbym sobie przyjaźń z tobą za zaszczyt?

– Uznałbym pana za osobę godną najwyższego szacunku, człowieka honoru. – odparł Jedwab.

– Dziękuję, caldé. – Oosik trzasnął obcasami.

– Pułkowniku...

– Byłbym zapomniał: paciorki. Znajdziesz je w kieszeni togi, caldé. – Oosik ruszył do wyjścia, ale zatrzymał się jeszcze i odwrócił. – Znasz Palatyn, caldé?

Prawa ręka Jedwabia, w której trzymał list od Hiacynta, zaczęła mu się gwałtownie trząść. Oparł ją na kolanie, żeby pułkownik niczego nie zauważył.

– Bywałem tam – odparł. Wiele wysiłku kosztowało go zapanowanie nad drzeniem głosu. – Czemu pan pyta?

– Często, caldé?

– Wszystkiego chyba trzy razy. – Jedwab nie potrafił oderwać myśli od Hiacynta; czuł, że równie dobrze mógłby odpowiedzieć „pięćdziesiąt razy” albo „nigdy”. – Tak, trzy. Raz w pałacu i dwa razy na nabożeństwie ofiarnym w Wielkim Manteionie.

– Nigdzie więcej?

Jedwab pokręcił głową.

– Stoi tam drewniana figura Thelxiepei. Jako augur możesz wiedzieć, o jakim miejscu mówię.

– W Wielkim Manteionie jest jej posąg wykuty w onyksie...

– W „Gronostaju”, na prawo od wejścia do sellarii, znajduje się łukowaty portal, za nim rozciąga się ogród. Na tyłach domu jest staw ze złotymi rybkami, nad którym stoi drewniana Thelxiepeia. W rękach trzyma lustro. Oświetlenie jest tak ustawione, że staw odbija się w zwierciadle, a zwierciadło

w stawie. Jest o tym mowa w liście.

Oosik zrobił w tył zwrot.

– Iglowce, pułkowniku...

Zatrzymał się przy drzwiach.

– Zamierzasz wystrzelać sobie drogę na wolność, caldé? – Nie czekając na odpowiedź Jedwabia, wyszedł, zostawiając uchylone drzwi. Jedwab słyszał, jak wartownik stanął na baczność i stuknął obcasami. – Jesteście wolni – dobiegł go głos Oosika. – Możecie wracać do wartowni.

Nie mogąc zapanować nad drżeniem rąk, Jedwab rozłożył list od Hiacynta, napisany liliowym atramentem na papierze barwy gęstej śmietany. Pismo zdobiły liczne zawijasy.

Moja ukochana pchełko,

nazywam Cię tak nie dlatego, że zwinnie wyskoczyłeś przez okno mojej komnaty, ale że tak dziarsko wskoczyłeś mi do łóżka! Jakże Twój samotny kwiatusek czekał na jakieś miłe słówko!!! Mogłeś przecież przesłać je przez naszego uprzejmego przyjaciela, który przekazał Ci mój dar!

Miała na myśli doktora Żurawia, który już nie żył... Który zmarł w jego ramionach dzisiejszego ranka.

Oczekuję teraz podziękowania – i nie tylko – gdy znów się spotkamy! Znasz chyba ten zakątek na Palatynie, gdzie Thelx zwierciadło trzyma? Hieraxdag.

Hia

Jedwab zamknął oczy. To idiotyzm, pomyślał, kompletna głupota. Gryzmoły półanalfabetki, która zakończyła edukację w wieku czternastu lat, gdy ojciec oddał ją swemu panu na służącą i konkubinę. Prawie nie czytała książek i nie pisała listów, a tu nagle próbowała flirtować i udawać czarującą dziewczynę. Nauczyciele w scholi mieliby uciechę!

Kompletna głupota. Nazwała go ukochaną pchełką, pisała, że tęskni, i ryzykowała odkrycie sekretu własnego i doktora Żurawia, przesyłając mu ten list.

Przeczytał jeszcze raz, włożył list do koperty. Odrzucił kołdrę i wstał z łóżka.

Bez wątpienia Oosik umożliwił mu ucieczkę – może chciał go zastrzelić przy takiej próbie. Przez chwilę Jedwab zastanawiał się, jakie motywy mogły kierować pułkownikiem: czy kłamał, mówiąc o przyjaźni i zaszczycie? Zdaniem Jedwabia Oosik należał do ludzi zdolnych do każdego oszustwa.

Co zresztą nie miało znaczenia.

Wziął z krzesła swoje ubranie i rozłożył na łóżku. Jeśli Oosik chciał, żeby uciekł, nie powinien go zawieść; jeżeli zamierzał go zabić, Jedwab musiał zrobić wszystko, by przeżyć.

Pokryta skorupą zakrzepłej krwi tunika nie nadawała się do noszenia. Jedwab rzucił ją na ziemię. Włożył bieliznę, spodnie i pończochy. Zawiązał buty, wstał i otworzył szufladę toaletki.

Wśród znajdujących się w niej tunik dominowały wesołe barwy – żółć i czerwień – ale znalazł jedną granatową, na oko zupełnie nową, a tak ciemną, że przy pobieżnych oględzinach uszłaby za czarną. Rozłożył ją obok listów na poduszce, a sam włożył inną, żółtą. W szafce odkrył niedużą torbę podróżną. Schował listy do kieszeni, zwinął togi i schował do torby, na wierzch położył granatową tunikę.

Strzałka większego igłowca wskazywała, że magazynek jest pełny, ale Jedwab i tak zdjął osłonę, pamiętając mniej więcej, jak Alka obchodził się z bronią. W ostatniej chwili przypomniał sobie, że nie powinien trzymać palca na spuście. W magazynku tkwiły długie, śmiertcionośne igły – prawie komplet. Ile pocisków mieściło się w igłowcu Alki? Z pewnością ponad setka. W tym należącym do Piźma, większym, musiało ich być jeszcze więcej. Niewykluczone, że zanim Oosik mu oddał broń, kazał ją w jakiś sposób uszkodzić.

W korytarzu przed celą było pusto. Jedwab domknął drzwi, a po chwili namysłu ułożył kołdrę wzdłuż ich dolnej krawędzi i zamknął okno. Usiadł na łóżku; czuł się koszmarnie słabo, kręciło mu się w głowie. Kiedy ostatni raz coś jadł?

Z samego rana w Limmie, z doktorem Żurawiem, z kapitanem gwardii, którego imienia albo wcale nie poznał, albo po prostu nie zapamiętał, i z jego ludźmi. Kypris objawiła się jemu, maytere Marmur i patere Gulo, zadziwionym, odkrywającym wartość religijnych przeżyć, świadomym, że nikt nigdy nie był tak blisko bogów. Zjadł przepyszny omlet i parę kromek świeżego, gorącego jeszcze pieczywa z wiejskim masłem – obudzony przez gwardzistę kucharz wyjął właśnie z pieca wypiekający się na rano chleb. Napił się potem mocnej, gorącej kawy, zabelonej śmietanką o barwie papeterii Hiacynta, słodzonej miodem z białej miseczki w kwiatki. Miseczkę podał mu doktor Żuraw, który smarował miodem chleb. A teraz doktor Żuraw był martwy, kapitan i jego podwładny pewnie też – zginęli pod Alambrerą.

Jedwab wycelował igłowiec.

Ktoś mówił mu, że i on powinien być umrzeć – nie pamiętał już, czy był to chirurg, czy pułkownik Oosik. A może Muszelka... Chociaż nie, patere by tego nie powiedział.

Igłowiec nie wypalił. Jedwab ponownie nacisnął spust, a potem odłożył broń na parapet, gratulując sobie w duchu, że wpadł na pomysł jej przetestowania. Dopiero teraz zobaczył, że nie zwolnił bezpiecznika; odwiódł więc dźwigienkę, wycelował w stojącą na toalecie butelkę wody kolońskiej i pociągnął za cyngiel. Igłowiec podskoczył mu w dłoni, rozległ się trzask, jakby ktoś strzelił z bicia. Butelka rozbryznęła się deszczem odłamków. Czysta woń świeżego świerku wypełniła pokój.

Jedwab zabezpieczył broń i schował ją za pasek, pod tunikę. Skoro igłowiec Piżma działał, nie było sensu sprawdzać broni Hiacynta. Sprawdził tylko, czy jest zabezpieczona, zmusił się do wstania z łóżka i schował igłowiec do kieszeni spodni.

Jeszcze jedna rzecz i będzie mógł iść. Czy młody człowiek, do którego należała ta sypialnia, nigdy nic nie pisał? Rozglądał się po pokoju, ale nie znalazł żadnych przyborów do pisania.

Co z właścicielką perfumowanego szala? Musiała przecież do niego pisywać. Kobieta, która rzuca pachnącą chustę z okna, z pewnością pisuje liściki miłosne. A on powinien je zachować, ukryć gdzieś w sypialni – i odpisywać, chociaż może mniej regularnie. Jeśli gdzieś w domu był gabinet, należał zapewne do jego ojca; biblioteka również nie gwarantowała należytej prywatności. Musiał pisywać do ukochanej, tylko... gdzie to robił?

Dopóki Muszelka nie przyniósł krzesła, w pokoju nie było gdzie usiąść. Młodzieniec mógł siadywać tylko na łóżku albo na podłodze. Jedwab wybrał to pierwsze wyjście, wyobraził sobie, że trzyma w dłoni pióro, odsunął krzesło, które Muszelka postawił tuż obok, i przysunął sobie nocny stolik. W płytkiej szufladzie znalazł plik kartek, wyblakły kawałek flaneli, kilka kopert, cztery pióra i flakonik atramentu.

Wybrał starannie pióro i zaczął pisać:

Szanowny Panie,

wydarzenia, na które nie miałem żadnego wpływu, zmusiły mnie do zajęcia na kilka godzin Pańskiej sypialni. Obawiam się, iż stłukłem butelkę Pańskiej wody toaletowej; zaplamilem też pościel. Znalazłszy się w pałacej potrzebie, wziąłem również dwie z Pańskich tunik oraz torbę podróżną. Szczerze przepraszam za najście, ale jak nadmieniłem, zostałem do tego zmuszony.

Kiedy ład i pokój powrócą do naszego miasta – a będę się modlił, by nastąpiło to jak najprędzej – dołożę wszelkich starań, by Pana odnaleźć, wynagrodzić Panu poniesione straty i zwrócić pożyczoną własność. Może mnie Pan również sam odszukać w dogodnym dla Pana momencie. Jestem patere Jedwab z manteionu przy ulicy Słońca.

Podniósł pióro znad papieru i zamyślony, musnął lotką usta. Doskonale, uznał. Po raz ostatni zamoczył je w kałamarzu, zmienił kropkę na przecinek i dopisał słowo „caldé” po „Słońca”, po czym odsączył flanelą nadmiar atramentu.

Położył kołdrę z powrotem na łóżku i otworzył drzwi. Tylnymi schodami zszedł do kuchni, którą chyba cała kompania gwardii przewróciła do góry nogami w poszukiwaniu jedzenia. Drzwi kuchenne wychodziły na mały, zadbane ogródek. Pomalowana na biało furtka była zamknięta na haczyk.

Wyszedłszy na ulicę Koszyków, Jedwab przystanął, by obejrzeć dom, który właśnie opuścił. W większości okien paliły się światła – w tym także w jednym na piętrze, gdzie świeca dogasała. Zapewne tam właśnie spędził ostatnie kilka godzin. Odległe eksplozje nieomylnie wskazywały, gdzie

leży centrum miasta.

Oficer na koniu – całkiem możliwe, że ten sam, który wcześniej go postrzelił – przegalopował ulicą, nie zwracając na niego najmniejszej uwagi. Dwie przecznice dalej, w stronę Palatynu, pieszy posłaniec w mundurze przystanął i zasalutował. W rękach trzymał teczkę z dokumentami.

Jedwab zastanawiał się, czy zawierają rozkaz aresztowania wszystkich augurów w mieście. Jeździec wiózł zapewne Oosikowi informacje o nowej bitwie. Jedwab doszedł do wniosku, że dobrze byłoby, gdyby przeczytał dokumenty i podsłuchał składającego meldunek gwardzistę.

Ale i tak najważniejszą nowinę już słyszał – ogłaszały ją lufy dział: Ayuntamiento nie kontrolowała całego miasta pomiędzy odległą od centrum dzielnicą wschodnią i Palatynem. Czekająca go wędrówka ulicami, na których gwardziści walczyli z powstańcami maytere Mięty; musiał najpierw dotrzeć do znajomych okolic, a potem pewnie przekroczyć kolejną linię frontu, by dostać się na Palatyn.

Z całą pewnością gwardia będzie starała się przede wszystkim utrzymać właśnie Palatyn; rankiem kapitan wspomniał o tym, że w molpdag, podczas nocnego ataku, pełna brygada ledwie odparła szturm na wzgórze. Ludzie z obu stron barykady będą starali się go powstrzymać. Owszem, mógł zginąć od kuli, ale już sam wysilek, który podejmował, mógł go kosztować życie. Musiał jednak spróbować; jeśli przeżyje, spotka się dziś w nocy z piękną Hiacynt.

Sięgał już po igłowiec Piżma, lecz siłą woli powstrzymał się od zdobycia broni. Naszła go ponura refleksja, że zanim nadejdzie rozjaśnienie, może się jeszcze dowiedzieć o sobie takich rzeczy, o których wolałby nawet nie myśleć. Przyśpieszył kroku.

Ludzie uważają, że dzielą się po prostu na dobrych i złych, ale bogowie – a zwłaszcza Zewnętrzny – na pewno dobrze wiedzą, jak wiele zależy od zwykłego przypadku. Czy Piżmo, którego igłowiec Jedwab właśnie prawie wyciągnął zza pasa, byłby złym człowiekiem, gdyby nie służył Krwi? A skoro o nim mowa, to czy sam Krew stałby się lepszy, nie mając Piżma za rządcę? Pod otoczką chciwości i sprytu Jedwab wyczuwał w Krwi potencjał dobra i szczodrości.

Coś spadło z nieba i wyrznęło go w ramię z taką siłą, że omal się nie przewrócił.

– Cześć, Jedwab! Dobry Jedwab!

– Oreb! To naprawdę ty?

– Ptak wrócił. – Oreb złapał w dziób kosmyk włosów Jedwabia i lekko pociągnął.

– Bardzo, naprawdę bardzo się cieszę, że wróciłeś. Gdzie się podziewałeś? I skąd się tu wzięłeś?

– Złe miejsce. Wielka dziura!

– To ja zniknąłem w wielkiej dziurze, Orebie. Nad jeziorem, w świątyni Scylli, pamiętasz?

– Rybie głowy? – zaklekotał kruk.

Ślepy bóg

Rozwścieczony Żubr okręcił się na pięcie. Oreb z nadzieją popatrzył na zwłoki Jelca, które Żubr opuścił na posadzkę tunelu.

– Dlaczego mamy go szukać?! Jak mi powiesz, będę go szukał do upadłego, aż nie będę miał siły chodzić, tylko się czołgać...

– Podnieś ciało – polecił Żubrowi Pięściak i nie spuszczać z niego wzroku, zwrócił się do Kowadełka: – Mogę go zabić, patere? Uprzedzam tylko, że nie dam rady nieść ich obu i równocześnie strzelać.

Augur pokręcił głową.

– W tym, co mówi, jest trochę racji, synu. Zastanówmy się: czy naprawdę powinniśmy szukać Alki dalej?

– Sam zdecyduj, patere; jesteś z nas wszystkich najmądrzejszy, mądrzejszy niż wszyscy ludzie z miasta. Zrobię, co każesz, i dopilnuję, żeby biochemy też były ci posłuszne.

– Dziękuję, synu. – Nieludzko zmordowany Kowadełko z wdzięcznością osunął się na ziemię. – Usiądźcie wszyscy. Porozmawiajmy.

– Nie ma o czym rozmawiać. – Zmęczona Acalypha oparła wyrzutnię o ziemię. – Pięściak ślepo cię słucha, a w razie potrzeby zgniótlby mnie czy Żubra jak muchę. Musimy robić, co każesz. Nie mamy wyjścia.

– Powiedziałem: siadaj. Czy nie dostrzegasz, córko, jak nielogiczne są twoje słowa? Twierdzisz, że musisz mi być bezwzględnie posłuszna, tymczasem nie wykonujesz nawet najprostszych poleceń.

– No dobrze. – Acalypha usiadła.

Pięściak posadził Żubra, oparłszy mu ciężką dłoń na ramieniu.

– Gdzie Alka? – spytał Oreb, podskakując po wilgotnym, szarym rakplaście. – Alka gdzie? – Nie umiał wyrazić tego słowami, ale czuł, że najbliższej Jedwabia znajduje się właśnie w towarzystwie Alki. Czerwonowłosa dziewczyna również była Jedwabiowi bliska, ale kiedyś rzuciła w Oreba szklanką. Nie zapomniał jej tego.

– Właśnie: gdzie? – westchnął Kowadełko. – Niesłusznie ubierasz mnie, córko, w kostium despoty, lecz w gruncie rzeczy się nie mylisz; gdybym chciał, mógłbym wam obojgu narzucić swą wolę. Nie muszę natomiast rozkazywać naszemu wspólnemu przyjacielowi, który, jak sami widzieliście, słucha mnie z własnej woli. Nie jestem jednak w żadnej mierze – z przyrodzenia, z wykształcenia ani z przyzwyczajenia – tyranem. W naturze augura leży przewodzenie i doradzanie innym, prowadzenie laików ku żyznym polom i ożywym źródłom, jeśli mogę się tak poetycko wyrazić. Rozważmy więc sytuację i wysłuchajmy nawzajem swoich rad, a później poprowadzę wspólną modlitwę, szczerą i gorącą, do wszystkich dziewięciu bogów, z prośbą o przewodnictwo.

– A potem podejmiemy decyzję? – upewnił się Żubr.

– A potem ja ją podejmę, synu. – Kowadełko oparł się o ścianę i z wysiłkiem wyprostował zgarbione plecy. – Pozwólcie jednak, iż najpierw wytknę pewne nieścisłości, które już zakradły się do naszej dyskusji. Ty, córko – zwrócił się do Acalyphy – próbujesz oskarżyć mnie o despotyzm. Niegrzeczne to z mojej strony, lecz uprzejmość musi czasem ustąpić miejsca świętemu obowiązkowi, jakim jest wskazanie błędu. Czy mogę przypomnieć, że i ty, przez blisko dwa dni, jakie spędziliśmy na pokładzie łodzi, tyranizowałaś nas bez litości? Zastraszałaś mnie głównie poprzez naszego nieszczęsnego przyjaciela, którego od pewnego czasu szukamy... Ile to już będzie, z pół dnia chyba?

– Nie twierdzę, że powinniśmy zaprzestać poszukiwań, patere. To on tak mówił. – Acalypha wskazała na Żubra. – Ja chcę znaleźć Alkę.

– Milcz, córko. Jeszcze nie skończyłem. Niedługo do niego dojdę. Dlaczego, pytam na razie, dlaczego tak nas tyranizowałaś? Mówię...

– Byłam opętana! Scylla mną kierowała i dobrze o tym wiesz.

– O nie, moja córko, to nie wystarczy. To ty tak twierdzisz, odpierając tym żalonym wytłumaczeniem wszelkie zarzuty odnoszące się do twego postępowania. Ale ja mam już dość. Byłaś bezwzględna i brutalna, rozkazywałaś nam tonem nie znoszącym sprzeciwu. Czy tak postępowałyby Scylla Rozkołysana? Zapewniam cię, że nie. Wędrując tymi korytarzami przypominałem sobie wszystko, co nam o niej wiadomo, zarówno z Pisma Chasmologicznego, jak i z wielowiekowej tradycji. Że jest władczą? Można się z tym zgodzić; czasem bywa też porywcza, ale brutalna i bezwzględna... nigdy. – Kowadełko westchnął, zdjął buty i zaczął rozmasowywać obolałe stopy. – Owe cechy charakteru, córko, nie mogły wynikać z wpływu Scylli na twoją osobę; tkwiły w tobie już wcześniej, zanim się zjawiała, i to tak głęboko zakorzenione, śmiem twierdzić, iż nie zdołała się

ich pozbyć. Zdarzają się ponoć nieszczęśnicy upośledzeni przez naturę, którzy lubią, jak kobieta nimi rządzi. Nasz biedny Alka, skądinąd człowiek nad wyraz sprawny, silny i męski, jest chyba jednym z takich nieudaczników. Ale ja nie, córko, i dzięki niech będą za to Scylli Słodkiej! Zrozum zatem, że zarówno ja, jak i nasz wysoki przyjaciel nie szukamy Alki dla naszego dobra, lecz tylko przez wzgląd na niego samego.

– Gadu-gadu – mruknął Oreb.

– Jeśli zaś chodzi o ciebie – zwrócił się Kowadelko do Żubra – uważasz chyba, iż tylko dzięki groźbom mojego wiernego przyjaciela Pięściaka jesteś mi posłuszny. Czyż nie tak właśnie myślisz?

Żubr bez słowa wlepił wzrok w ścianę tunelu, nieco na lewo od twarzy augura.

– Nic nie mówisz – ciągnął Kowadelko. – Gadam i gadam, jak skarżył się nasz mały pierzasty towarzysz, bez końca. Pewnie się z nim zgadzasz, lecz mylisz się, synu. Oszukujesz się, tak jak się oszukiwałeś przez całe życie, jak mniemam, nieszczęśliwie. – Augur sięgnął po igłowiec Alki i wycelował w Żubra. – Pięściak jest mi prawie niepotrzebny, by utrzymać cię w ryzach. Kiedy moja gadanina dobiegnie końca, możesz wcale nie być zachwycony tym, co po niej nastąpi. Ciekaw jestem, co masz do powiedzenia.

Żubr tylko pokręcił głową. Pięściak najchętniej pobiłby Żubra do nieprzytomności.

– Nic? Wobec tego, synu, skorzystam z okazji i powiem ci coś od siebie. Zastanawiałem się nad tym podczas marszu, a jak niebawem się przekonasz, moje przemyślenia będą miały bezpośredni wpływ na to, co zamierzam uczynić.

Przyszedłem na świat jako piąte i ostatnie dziecko prostych, lecz uczciwych ludzi – ciągnął augur. – Moi rodzice przy ślubie złożyli Echidnie przysięgę, że wychowają nieśmiertelnym bogom przynajmniej jednego augura lub sybillę, najdojrzałszy owoc ich związku i zarazem najwspanialszą ofiarę dziękczynną. Nie będę się tu rozwodził nad moimi starszymi braćmi i siostrami, głównie dlatego że niewiele można o nich powiedzieć. Mieli w sobie nie więcej pobożności niż te okrutne stwory, którymi zamierzaliście nas poszczuć, synu. Urodziłem się w siedem lat po najmłodszym z braci, Udźcu. Wyobraźcie sobie, proszę, zachwyty moich rodziców, w miarę jak upływające dni, tygodnie, miesiące i lata dowodziły coraz wyraźniej moich predyspozycji do świętych rozważań, oddawania bogom czci i odprawiania stosownych rytuałów, do życia wyzbytego z natrętnych żądz, targających duszą wielu ludzi. W scholi powitano mnie serdecznie; z nawiązką odpłaciłem za ciepło, jakie mi w niej ofiarowano. Byłem nie tylko pobożnym, ale i nader bystrym uczniem, a takie połączenie rzadko się u młodych spotyka. Dzięki talentom zaskarbiłem sobie przyjaźń starszych, z którymi czułem duchowe pokrewieństwo, a którzy później, po mojej nominacji, pozostali mi oddani.

Oto dowiedziałem się – imaginujcie sobie sami moją bezgraniczną radość – że sam koadiutor Kapituły postanowił uczynić mnie swym protonotariuszem. Z zapalem płynącym ze szczerego serca przyjąłem na siebie nowe obowiązki: pisałem listy i dekryty, sporządzałem wyciągi z przychodzącej poczty, stemplowałem, archiwizowałem i wyszukiwałem w archiwum potrzebne dokumenty,

pilnowałem kalendarza spotkań Jego Eminencji i wypełniałem setki podobnych zadań.

Kowadełko umilkł. Dopiero Acalypha przerwała ciszę:

– Na Thelxiepeię! Mogłabym przez tydzień nie wstawać z łóżka! – Oparła się plecami o ścianę tunelu i zamknęła oczy.

– Gdzie Alka? – spytał znów Oreb, ale nikt nie zwrócił na niego uwagi.

– Wszyscy jesteście zmęczeni, córko, ja zapewne nie mniej od ciebie. Niewykluczone zresztą, że mam poważniejszy ku temu powód; moje nogi nie są tak długie jak twoje, jestem od ciebie o dziesięć lat starszy i gorzej odżywiony.

– Wcale nie jadam lepiej od ciebie, patere – zauważyła Acalypha nie otwierając oczu. – Nie pamiętam już, kiedy miałam w ustach coś oprócz wody.

– Kiedy płynęliśmy tą przeklętą łódeczką, zawłaszczyłaś całe jedzenie, na jakie tylko miałaś ochotę, córko. Alce, Jelcowi, a nawet mnie, świętemu augurowi, zostawiłaś tylko ochłapy, którymi wzgardziłaś. Lecz o tym podobno nie pamiętasz. Ja również wolałbym zapomnieć.

– Rybie głowy?

Acalypha wzruszyła ramionami.

– No dobrze, patere, przepraszam. Nie znajdziemy tu pewnie nic do jedzenia, ale gdyby jednak coś się nam trafiło albo gdybyśmy szczęśliwie wrócili do domu, będziesz miał pierwszeństwo wyboru.

– Wcale go nie żądam, córko; to właśnie usiłuję ci wyjaśnić. Jak już wspomniałem, zostałem protonotariuszem Jego Eminencji. Znalazłem się w pałacu przewodniczącego Kapituły nie jako zaleźniony gość, ale pełnoprawny mieszkaniec. Każdego ranka w prywatnej kaplicy pod salą audiencyjną składałem w ofierze gołębia, wyśpiewując modlitwy do pustych krzeseł, później zaś zjadałem tegoż ptaka na obiad. Raz w miesiącu udzielałem rozgrzeszenia patere Bykowi, protonotariuszowi Jego Mądrości, on zaś mnie udzielał tej łaski. Na tym kończyły się moje obowiązki augura. Od czasu do czasu zdarzało się jednak, iż Jego Eminencja wyznaczał mi zadania, które uważał za zbyt skomplikowane dla chłopca na posyłki. Jak wiesz, właśnie wypełniając jedno z takich poleceń trafiłem do Limny, tej żalostnej wioszczyny. Kazano mi cię znaleźć, córko, i miałem nieszczęście tego dokonać. Ty zaś wiodłaś życie jeśli nie pełne przygód, to z całą pewnością awanturnicze, prawda?

– Zdarzały mi się wzloty i upadki.

– Mnie nie, wskutek czego uznałem, że nic nie umiem. Gdyby jakiś bóg powiedział mi... – Kowadełko zawiesił głos. Obejrzał swoje pokryte świeżymi strupami ręce. – Gdyby mi powiedział, iż będę zmuszony stać się jedynym członkiem załogi na łodzi rybackiej, wylewać wodę, wciągać

żagle, refować je i tak dalej, w dodatku podczas burzy, jakiej dotąd whorl nie widział, uznałbym, że to niemożliwe i że najdalej po godzinie takiego wysiłku umrę. Poinformowałem owo całkowicie hipotetyczne bóstwo, że jestem człowiekiem intelektu, usilnie udającym człowieka oddanego modlitwie, gdyż moja dawna pobożność ustąpiła miejsca postępującemu sceptycyzmowi. Gdyby zasugerowało, że mogę jeszcze stać się człowiekiem czynu, rzekłbym, iż to poniżej mojej godności, i uznałbym się za mędrca.

– Ciekawe, co by było, gdybyś nie miał igłowca i tego chema na każde zawołanie – mruknął Żubr.

Kowadełko pokiwał głową. Pulchna, drobna twarz i sterczące siekacze nadawały mu chwilami wygląd rezolutnej wiewiórki.

– Istotnie, ciekawe. Dlatego też zabije cię, Żubrze, synu mój, lub każę Pięściakowi cię zgładzić, gdybym miał stracić jego lub igłowiec.

– Zły człowiek! – Trudno było powiedzieć, czy Oreb ma na myśli augura, czy Żubra.

– Nie mówisz poważnie, patere – wtrąciła Acalypha.

– Ależ wręcz przeciwnie, córko. Powiedz im, kapralu. Czy mówię serio?

– Oczywiście, patere. Posłuchaj, Acalypho, patere jest biochemem, tak jak i ty. Łatwo was zabić. Ani ty, ani on nie możecie ryzykować. Jeśli weźmiesz jeńca, musisz go cały czas mieć na oku, bo jak raz mu odpuścisz, będzie po tobie. Gdyby to ode mnie zależało, już bym go zabił, zamiast ryzykować, że patere stanie się krzywda.

– Potrzebujemy go, żeby zaprowadził nas do jamy i wskazał drzwi, które prowadzą do podziemi Juzgado.

– Tylko że na razie wcale się tam nie wybieramy, prawda? Poza tym trafię do Juzgado, jeśli tylko uda mi się ustalić, gdzie jestem, więc dlaczego nie miałbym go od razu uciszyć? – Pistolet Pięściaka niby przypadkiem był wycelowany w Żubra.

– Cieszę się, że nie idziemy do jamy – rzekł Kowadełko. – Tylko Alka chciał się tam znaleźć, i to z kompletnie niezrozumiałych dla mnie powodów. Niestety nie idziemy również do Juzgado, choć tam właśnie kazała nam się udać Scylla Rozkołysana. Jestem chyba jedyną osobą, która pamięta jej słowa, zapewniam was wszakże, że nie kłamię.

– W porządku – mruknęła ze znużeniem Acalypha. – Wierzę ci.

– Słusznie czynisz, córko, gdyż właśnie przez twoje usta przemówiła bogini. A skoro już o tym mowa: wyznaczyła Alkę, Jelca i mnie na swoich proroków, dodając, że mam zastąpić Jego Mądrość na stanowisku przewodniczącego Kapituły. Jelec opuścił nasz przesiąknięty złem whorl i rozpoczął nowy, lepszy żywot w Centralnym Procesorze. Scylla Wspierająca mogłaby go zapewne przywołać z powrotem, gdyby tylko zechciała; ja tego nie potrafię. Jeżeli mamy zaprzestać poszukiwań Alki – a

przyznam, że taka perspektywa napawa mnie radością – ja jeden ostanę się z trójcy proroków Scylli. Wcześniej mimo licznych przeszkód próbowałem objaśnić moje stanowisko, skoro jednak żadne z was nie ma dość cierpliwości, by mnie wysłuchać, chociaż wyjaśnienia zajęłyby mi dosłownie kilka chwil, powiem wprost, o co mi chodzi. Słuchajcie uważnie. Kowadełko podniósł głos.

– Przebudziłem się i odkryłem sam siebie, jako człowiek i jako augur, sługa wszystkich ludzi, jeśli wolicie, a nade wszystko sługa bogów. Jest was troje. Jedno z was kocha mnie, dwoje nienawidzi. Dobrze o tym wiem.

– Wcale cię nie nienawidzę – zaprotestowała Acalypha. – Dałeś mi ubranie, kiedy zrobiło się zimno. Alka też cię nie darzy nienawiścią; to tylko tobie się tak wydaje, patere.

– Dziękuję ci, córko. Zmierałem do tego, że jak wiadomo mi z rozmów z moimi braćmi augurami, w manteionach takie właśnie proporcje obserwuje się najczęściej. Tu jest podobnie, mimo iż moja trzódka wiernych jest znacznie mniej liczna. Dobrze więc, zgadzam się z tym podziałem. Zrobię jednak co w mojej mocy dla dobra was wszystkich, ufając, iż czeka mnie nagroda.

– Widzisz? – Pięściak szturchnął Acalyphę. – Nie mówiłem? To najwspanialszy człowiek w całym whorlu.

– Gdzie Alka? – Oreb przekrzywił łebek i spojrzał badawczo na augura.

– Obawiam się, że nie ma go już w lśniącym mieście, które nazywamy Królestwem Rozumu – odparł nieco rozbawiony Kowadełko. – Widziałem, jak z kimś rozmawiał, chociaż nikogo w korytarzu nie było. Pozdrowił ową niewidzialną istotę, a potem popędził w mrok. Nasz miły kapral pogonił za nim, jak wszyscy widzieliście, ale nie znalazł go w ciemności.

– Widzisz, Acalypho, te zielone lampki wcale nie działają tak, jak wam, ludziom, się wydaje – dodał Pięściak. – Myślicie, że kręcą się bez celu po korytarzach i jest im obojętne, gdzie się znajdują, ale to nieprawda. Jeżeli w jedną stronę tunel jest oświetlony, a w drugą ciemny, skierują się w ciemność, rozumiesz? Powoli, ale skutecznie. Dlatego są takie rozproszone.

– Żubr też tak mówił – przytaknęła dziewczyna.

– W ograniczonej przestrzeni szybko się dogadują i prawie nie ruszają z miejsca; jedynie za dnia odsuwają się od okien. Ale w takim wielkim labiryncie chyba nigdy nie przestają się przemieszczać. Tylko nie zlatują za nisko, bo wtedy szybko by się je zdeptało.

– Przecież dużo tuneli prowadzi tu w dół, nie tylko ten, w którym zgubiliśmy Alkę – zdziwiła się Acalypha. – A były w nich światełka.

– To zależy, jak ciemno w nich jest i jakie jest nachylenie gruntu. Jeśli w korytarzu jest zbyt stromo, w ogóle do niego nie wleczą.

– W tamtym było stromo – zgodziła się dziewczyna. – Poza tym szliśmy spory kawał w dół. Ale

potem zaczęliśmy podchodzić, pamiętasz? Tunel długo się łagodnie wznosił i był oświetlony.

– Wydaje mi się, córko...

– Zastanawiałam się, czy Alka mógł wrócić tą samą drogą co my. Nie kontaktował najlepiej, prawda?

– Zachowywał się jak obłąkany – zawyrokował Kowadełko. – Mam nadzieję, iż umysł tylko czasowo odmówił mu posłuszeństwa, ale nie rozumował logicznie.

– I dlatego my skręciliśmy w ten tunel, który prowadził do góry, patere. Właśnie o nim mówiłam. Żadne z nas nie postradało zmysłów i wiedzieliśmy, że chcemy wrócić na górę, na powierzchnię, a przy okazji znaleźć Alkę. Ale jeśli on zwariował... Prawdę mówiąc, moim zdaniem wszyscy faceci zachowują się czasem jak wariaci, więc nie zwracałam na niego uwagi. Sęk w tym, że Alka mógł pójść w dół, bo tak jest prościej. Sam mówiłeś, że biegł, a łatwiej biegnie się z górki.

– W tym, co mówisz, jest trochę racji, córko. Musimy o tym pamiętać, gdybyśmy po zakończeniu dyskusji postanowili kontynuować poszukiwania. Czy mogę ją podsumować? Pytanie, jakie przed nami stoi, brzmi: czy powinniśmy dalej szukać Alki, czy raczej poszukiwań zaprzestać, przynajmniej na jakiś czas, i próbować wrócić na powierzchnię? Pozwólcie, proszę, że przedstawię teraz argumenty przemawiające za każdą z tych możliwości; obiecuję, że postaram się mówić zwięźle. Jeżeli ktoś będzie chciał coś dodać, chętnie wysłucham go po zakończeniu wywodu.

Otóż wydaje mi się, że istnieje tylko jeden rozumny powód, dla którego warto wytrwać w podjętym zamiarze; nawet już o nim wspomniałem. Alka należy do wyznaczonej przez Scyllę trójcy proroków. Jako prorok jest osobą nieocenionej wręcz wartości, podobnie jak był Jelec. Dlatego właśnie, tylko dlatego kazałem Pięściakowi pobiec za nim, gdy tak pośpiesznie się oddalił. Co więcej, jedynie z tego powodu tak długo wytrwałem w poszukiwaniach, albowiem i ja jestem prorokiem, jedynym, który pozostał.

– Alka jest jednym z nas – oświadczyła Acalypha. – Byłam z nim w Limnie, zanim Scylla mną zawładnęła; trochę też pamiętam go z łodzi. Nie możemy go tak zostawić.

– Wcale tego nie proponuję, córko. Słuchaj, co mówię, bardzo cię proszę. Jesteśmy wyczerpani i wygłodzeni. Kiedy wrócimy na powierzchnię, niosąc posłannictwo Scylli, i tym samym spełnimy jej wolę, pożywimy się i odpoczniemy. Co więcej, będziemy mogli zaangażować więcej ludzi do poszukiwań. Będziemy...

– Mówiłeś, że możemy się wtrącać, nie? – przerwał mu Żubr. – Ja też? Mogę coś powiedzieć, czy od razu każesz temu wielkiemu chemowi mnie zastrzelić?

Kowadełko uśmiechnął się łagodnie.

– Musisz zrozumieć, synu, że jako wasz duchowy przewodnik kocham cię tak samo jak innych, ani mniej, ani więcej. Zważ również, że nastają na twoje życie nie bardziej niż strażnicy prawa. Mów

więc.

– No więc nie przepadam za Alką, ale i tak coś mi się widzi, że źle się zabierasz do rzeczy. Chciał, żebyśmy poszli do jamy, nie? To może sam też tam polazł? Moglibyśmy się tam rozejrzeć; znajdziemy kupę gości, którzy znają te tunele nie gorzej niż ja. Powiemy im, co się stało, i niech też szukają. Dobrze mówię?

Kowadełko z namysłem pokiwał głową.

– W rzeczy samej, to jest sugestia warta rozważenia.

– Zjedzą nas tam – stwierdziła Acalypha.

– Rybie głowy? – Oreb wskoczył jej na ramię.

– Pewnie, że zjadłbyś rybią głowę. Sami musielibyśmy mieć rybie łby, żeby pójść do jamy.

– Mnie nie zjedzą – uspokoił ją Pięściak. – Dopóki będę w pobliżu, nie zjedzą też nikogo, kogo nie pozwolę im tknąć.

– Módlmy się. – Kowadełko uklęknął, składając ręce za plecami. – Prośmy nieśmiertelnych bogów, a zwłaszcza Scyllę, by ocalili Alkę i nas i poprowadzili drogą, którą dla nas obrali.

– Zdawało mi się, że już się w to nie bawisz.

– Spotkałem Scyllę osobiście – odpowiedział Żubrowi augur. – Na własne oczy widziałem jej majestat i na własnej skórze doświadczyłem jej mocy. Jakże mogłoby mi teraz zabraknąć wiary? – Zapatrzył się na krzyż próżniowy, zwieszający się ze sznura paciorków, jakby widział go pierwszy raz w życiu. – Ja także cierpiałem na tej przeklętej łódce i w tych tunelach; nigdy dotąd tak się nie bałem, a głód i strach najpewniej popychają nas w objęcia bogów, synu. Sam się o tym przekonałem i dziwię się, że ty, choć wycierpiałeś niemało, jeszcze się ku nim nie zwróciłeś.

– A skąd wiesz, że nie? Nic o mnie nie wiesz! Mogę być bardziej pobożny od was wszystkich razem wziętych!

Mimo zmęczenia Acalypha parsknęła śmiechem.

– Nie, synu, to niemożliwe – odparł Kowadełko. – Może jestem głupcem; bywa, że postępuję niemądrze, ale aż tak bym się nie pomylił. Na kolana! – zakomenderował, podnosząc głos. – Pochylcie głowy!

– Modli się! – zaskrzeczał Oreb. – Za Jedwabia! Ptak też!

Augur uczynił krzyżem próżniowym znak dodawania.

– Spójrz na nas, Scyllo Rozkoszna, cudowna pani wód! Spójrz, jak cię kochamy i jak bardzo

potrzebujemy. Oczyszć nas, o Scyllo! – Kowadełko wziął głęboki oddech. – Ja, twój prorok, jestem zadziwiony i przerażony, Scyllo. Przetrzyj moje oczy, oczyszć ducha mego. Przeprowadź mnie przez labirynt mrocznych korytarzy i niejasnych obowiązków. – Podniósł wzrok i bezgłośnie powtórzył: – Oczyszć nas, o Scyllo!

Acalypha, Pięściak, a nawet Żubr powtórzyli posłusznie:

– Oczyszć nas, o Scyllo!

Znudzony Oreb podfrunął do góry i wczepił się szponami w chropowaty sufit. W zielonkawym półmroku widział lepiej od Pięściaka, a zwisając głową w dół ze sklepienia, sięgał wzrokiem jeszcze dalej, ale nigdzie nie widział ani Alki, ani Jedwabia. Zerknął pożądliwie na ciało Jelca. Kusiły go półprzymknięte oczy trupa, ale wiedział, że ktoś na pewno by go przepędził.

Klęczący na ziemi czarny człowiek zawodził miarowo:

– Spójrz na nas, piękna Phaeo, pani wszelkiego pożywienia. Spójrz, jak cię kochamy i jak bardzo potrzebujemy. Nakarm nas, o Phaeo! Wygłodniali błakamy się w poszukiwaniu twego pokarmu.

Wszyscy zawtórowali augurowi:

– Nakarm nas, o Phaeo!

– Gadu-gadu – mruknął Oreb. Też mógłby sobie pogłędzić, ale zdawało mu się, że w tej sytuacji gadanie na nic się nie zda.

– Spójrz na nas, Sphigx Dzika, pani wojny. Spójrz, jak cię kochamy i jak bardzo potrzebujemy. Prowadź nas, o Sphigx! Jesteśmy zagubieni i przerażeni, o Sphigx, zewsząd zagraża nam niebezpieczeństwo. Poprowadź nas!

Wszyscy:

– Prowadź nas, o Sphigx!

Znów czarny zabrał głos:

– Połączmy się teraz, nie podnosząc głów, w osobistej komunii z Dziewięcioma.

I wtedy czarny, zielony i czerwonowłosa spuścili oczy, a brudny wstał, przeskoczył nad ciałem zmarłego i cichaczem zaczął się oddalać.

– Człowiek idzie – wymruczał Oreb, gratulując sobie właściwego doboru słów. Po czym, ponieważ lubił rozgłaszać wszelkie nowiny, powtórzył głośnie: – Człowiek idzie!

Zielony zerwał się na nogi i pobiegł za brudnym, czarny z krzykiem rzucił się w jego ślady, a czerwona potruczała za nimi – szybciej niż czarny, ale nie tak szybko jak dwaj pierwsi. Oreb

przeczesał dziobem pióra, ważąc skutki swojej wypowiedzi. Zajęło mu to mniej więcej tyle czasu, ile potrzebowałoby jedno z jego piórek, by z sufitu zlecieć na podłogę tunelu.

Lubił Alkę i przeczuwał, że jeśli będzie się go trzymał, odnajdzie Jedwabia. Lecz Alka zniknęła, a pozostali nie chcieli już go szukać.

Sfrunął na dół, usadowił się wygodnie na twarzy Jelca i zaczął się posilać, jednym okiem zerkając czujnie w głąb korytarza – nigdy nic nie wiadomo, czasem to, co z pozoru dobre, okazuje się złe i na odwrót. Ludzie byli jednocześnie dobrzy i źli, a w dodatku niezwykle zmienni. Potrafili na przykład sypiać w ciągu dnia, a złowiwszy ryby, gardzić ich najlepszymi kawałkami.

I tak dalej. Napchawszy sobie wole, zamyślił się nad tym chwilę, czyszcząc pazurkami błyszczący dziób.

Ten martwy smakował naprawdę wyśmienicie, naprawdę. Towarzyski, choć skryty z natury Oreb wolał żywych, lecz martwi byli przepyszni. Jeszcze jedno ciało leżało kawałek dalej w korytarzu, ale już się najadł. Czas znaleźć Jedwabia – nie szukać go, tylko naprawdę znaleźć. Czas porzucić tę zielonkawą norę z jej żywymi i umarłymi ludźmi.

Z trudem przypominał sobie nocne niebo, połyskliwe krajobrazy zawieszane do góry nogami nad jego głową i prawdziwy świat w dole. Wiatr w gałęziach drzew, któremu dawał się unosić, szukając czegoś wartego uwagi. Tam właśnie znajdzie Jedwabia, tam gdzie będzie mógł wzbic się wysoko w powietrze i ogarnąć wzrokiem całą okolicę.

Łatwiej było dać się nieść czerwonowłosej na wyrzutni, niż latać, ale frunąc korytarzem z wiatrem, mógł od czasu do czasu odpoczywać – wystarczyło rozłożyć płasko skrzydła i szybować. Chwilami przeszywały go igiełki bólu, przypominając mu o tym czymś niebieskim, co – nie wiedzieć czemu ani jak – przylgnęło mu do skrzydła.

Przemknął tak jednym tunelem, potem drugim, potem wcisnął się w mały otwór (zanim to zrobił, przysiadł ostrożnie na krawędzi i zajrzał czujnie do środka), aż wleciał do ogromnej dziury, w której brudni ludzie leżeli na ziemi i skradali się jak koty – dziury, którą od góry przykrywało nocne niebo.

Miecznik stał z bronią w ręku przy oknie, obserwując pogrążoną w ciemnościach pustą ulicę. Wracaj do domu. Tak mu właśnie powiedzieli.

Wracaj do domu – choć nie w tak okrutnych słowach. Ten dumy Bizon, który nawet miecza trzymać nie potrafi! Bizon idiota, który wszystkim rządzi, znalazł się akurat w pobliżu, gdy Miecznik rozmawiał z tym imbecylem Łuską. Uśmiechnął się przyjaźnie, zachwycił się jego mieczem, ale tylko udawał – udawał! – że wierzy Miecznikowi, kiedy ten oświadczył mu (wcale się nie przechwalał, po prostu odpowiadał na bezpośrednie, wścibskie pytanie), że na ulicy Klatek zabił pięciu opancerzonych gwardzistów.

Mistrz fechtunku uśmiechnął się szeroko. Szczęka Bizonowi opadła, kiedy Miecznik przeciął wzdłuż na pół grubą jak palec linę, którą tamten trzymał w garści. Z podziwem obejrzał miecz,

machnął nim parę razy niczym kompletny ignorant – którym zresztą był – i miał czelność powiedzieć mu w gładkich słowach: „Wracaj do domu, jak ci Łuska mówi, staruszk. Zjedz coś. Dziś nie jesteś nam, dziadku, potrzebny. Prześpij się, odpocznij; miałaś ciężki dzień”.

Mdłe słówka Bizona ulotniły się i rozwiały, bardziej nietrwałe od suchych liści miotanych wiatrem po pustej ulicy – ale ich sens, gorzki jak żółć, pozostał. On, Miecznik, był słynnym szermierzem, kiedy Bizon sikał jeszcze w pieluchy; brał udział w pojedynkach, zanim matka Łuski wyrwała się ze swojej budy i spiknęła z jakimś cuchnącym śmieciojadem.

Przysiadł na parapecie. Odłożył miecz i oparł głowę na rękach. Nie był już może tak świetny jak trzydzieści lat wcześniej; na pewno lepiej walczył, zanim stracił nogę, ale i tak w mieście nie znalazłby się ani jeden – ani jeden! – człowiek, który odważyłby się skrzyżować z nim broń.

Z dołu dobiegło pukanie do frontowych drzwi.

Nie spodziewał się uczniów, którzy tej nocy powinni walczyć na ulicach – po jednej czy po drugiej stronie – a jednak ktoś chciał się z nim widzieć. Może Bizon zrozumiał, jak wielki błąd popełnił, i przyszedł prosić go, by podjął się jakiejś samobójczej misji. Zgodziłby się, ale najpierw – tak, na Hieraxa! – najpierw musieliby go przebłagać.

Wziął miecz, żeby odwiesić go na ścianę, ale się rozmyślił. W tak niespokojnych czasach...

Znowu stukanie.

Ktoś naprawdę się uparł, żeby go odwiedzić. Powinien pojawić się nowy uczeń, ten co przyszedł z Alką, wysoki, leworęczny. Uczył się szermierki, ale nie chciał się do tego przyznać. Dobry był. Utalentowany! Nawet bardzo. Niemożliwe, żeby przyszedł na lekcję, prawda? Kiedy w mieście panuje taki zamęt...

Stukanie – po raz trzeci. Pośpieszne. Miecznik wrócił do okna i wyjrzał na zewnątrz.

Jedwab westchnął ciężko. W domu nie paliło się ani jedno światło; kiedy przyszedłem poprzednio, całe piętro tonęło w blasku lamp. Głupi był, myśląc, że zastanie staruszka w domu.

Zapukał ostatni raz i chciał już odejść, gdy nad głową otworzyło mu się okno.

– To ty! Świetnie! Świetnie! – Okno zatrzasnęło się z hukiem i z szybkością, która mogłaby wydać się komiczna, otworzyły się drzwi. – Wchodź, wchodź! Zamknij zasuwkę, dobrze? Czy to ptak? Twój? Na górę! – Miecznik wymachiwał bronią; jego cień skakał przodem po schodach, a targane wiatrem włosy zdawały się żyć własnym życiem.

– Potrzebuję twojej pomocy, Mieczniku.

– Dobry człowiek? – zapytał Oreb.

– Bardzo dobry – zapewnił go Jedwab, mając nadzieję, że się nie myli. Złapał Miecznika za ramię. – Miałem dziś przyjść na lekcję, mistrzu, ale nie mogłem. Potrzebuję jednak twojej rady.

– Powołali cię? Musiałeś walczyć, co? A nie mówiłem? Jaką bronią?

– Jestem bardzo zmęczony. Możemy gdzieś przysiąść?

– Na górze! – Staruszek pędził po schodach w górę, tak samo jak w wieczór sphigxdag. Jedwab wolno podążał za nim.

– Najpierw lekcja! – Na dźwięk głosu Miecznika w pokoju rozbłyły światła; zapłonęły jaśniej, gdy uderzył floretem w ścianę.

W torbie podróżnej znajdowała się tylko żółta tunika, ale Jedwabowi bagaż ciążył jak nigdy. Rzucił torbę w kąt.

– Mistrzu...

Miecznik zdjął ze ściany drugi floret i również grzmotnął nim o ścianę.

– Walczyłeś?

– Niezupełnie, chociaż... W pewnym sensie tak.

– Ja też! – Miecznik rzucił Jedwabowi floret. – Załatwiłem pięciu. Taka walka wyniszcza człowieka; zabija technikę!

– Uwaga! – skrzeknął Oreb i w ostatniej chwili odskoczył. Jedwab zrobił unik.

– Nie chowaj się! – Broń Miecznika świsnęła augurowi koło ucha i zagrzechotała na bambusowym brzeszczocie jego broni. – Czego ci trzeba, chłopcze?

– Miejsca, w którym mógłbym usiąść.

Jedwab czuł się śmiertelnie zmęczony; kłuło go w piersiach, kostka pulsowała bólem. Sparował jeden cios, potem drugi; słabo mu się robiło na myśl, że zwariowany dziadek nie wysłucha go, dopóki nie zwycięży lub nie zostanie zwyciężony. Jeśli zaś dziś Miecznik zwycięży (miał wrażenie, że któryś z bogów szepce mu te słowa do ucha), Jedwab zginie. Coś, co napędzało go od chwili, gdy został postrzelony, w wypadku porażki umrze – a gdy zabraknie tej siły, nie zostanie mu już wiele życia.

Robiąc na przemian wypady i finty, Jedwab walczył o życie.

Rękojeść bambusowego floretu była akurat na tyle długa, żeby dało się ją chwycić oburącz, co też uczynił. Ciął w prawo, w lewo i znowu w prawo, zbijając zasłonę Miecznika. Nadal był silniejszy od każdego starego człowieka – nawet sprawnego i wyćwiczonego – toteż zdołał zepchnąć

przeciwnika w tył, do obrony, na przemian tnąc i zadając pchnięcia z niewiarygodną szybkością.

– Gdzieś ty się nauczył tego pchnięcia, chłopcze? Nie jesteś przypadkiem leworęczny?

Igłowiec Piżma wypadł Jedwabiowi zza paska na matę, augur odkopnął go więc w bok i ściągnął ze ściany rapier. Floretem odbił cios Miecznika, rapierem zaatakował – z prawej, z lewej, jeszcze raz z prawej. Ciął z góry na dół, gdy wtęmił Miecznik przydepnął mu floret trzymany w prawej ręce i przygniótł do ziemi. Stępiony koniuszek broni fechtmistrza uderzył prosto w niezagojoną ranę. Jedwab poczuł obezwładniający ból.

– Ile bierzesz, chłopcze? Ile za lekcję?

Jedwab wzruszył ramionami, usiłując nie dać po sobie poznać, jak cierpi po tym lekkim trafieniu.

– To ja powinienem ci zapłacić, mistrzu. Zresztą wygrałeś.

– Jedwab wygrał! – oznajmił Oreb, który przysiadł tymczasem na rękojeści wiszącego w pobliżu jataganu.

Jedwab umrze, pomyślał augur. Niech i tak będzie.

– Pokazałeś mi coś, chłopcze! Masz pojęcie, jak dawno nie miałem już ucznia, który by mnie czegoś nauczył? Zapłacę ci! Może jedzeniem? Jesteś głodny?

– Chyba tak. – Jedwab oparł się ciężko na florecie.

Przypomniawszy sobie, że miał kiedyś laskę z rączką rzeźbioną w kształt lwiej głowy – jej obraz pojawił mu się przed oczyma, tak jak czasem przepływały mu przez głowę zapamiętane w dzieciństwie twarze ludzi. Wiedział, że podpierał się nią, kiedy ostatnio tu był, chociaż nie mógł sobie przypomnieć ani skąd ją miał, ani co się z nią stało.

– Chleba z serem? I wina?

– Cudownie. – Jedwab zabrał torbę i zszedł za staruszką na dół.

W kuchni panował bałagan. Szklanki, talerze, miski, garnki i chochle stały i leżały, gdzie popadło; żelazna forma do pieczenia zajmowała podsunięte Jedwabiowi krzesło, jakby spodziewała się wziąć pełnoprawny udział w rozmowie, ale wylądowała w skrzynce na chleb. Miecznik postawił na stole kieliszki z dwóch różnych kompletów z takim rozmachem, że Jedwab szczerze się zdziwił, gdy nie pękły.

– Napijesz się? Czerwone wino, utoczone z żył bohaterów! Masz ochotę? – Wino już lało się do kieliszka. – Dostałem je od ucznia! Naprawdę! Zapłacił mi winem! Coś podobnego! Mówił, że jest świetne! Gdzie tam! Jak uważasz?

Jedwab pociągnął łyk trunku, a zaraz potem jednym haustem wypił pół kieliszka, czując się tak,

jakby popijał z butelki zawieszanej na kolumnie łóżka i w jego krew sączyło się nowe życie.

– Ptak pić!

Jedwab otarł usta chusteczką.

– Czy mogę cię prosić, mistrzu, o miseczkę wody dla Oreba?

Zabzyczała pompa przy zlewie.

– Byłeś w mieście? Zamieszanie! Chowałem się! Rzucałem kamieniami! Nie bawiłem się tak od czasu, kiedy byłem małym szprotem! Miałem procę! Ty też? Lepiej znajdź sobie broń!

– Czysta jak kryształ woda trysnęła z kranu. Miecznik napełnił obtłuczony kufel. – A ten nowy gość, Jedwab! On im pokaże! Zresztą zobaczymy... Walka, walka! Rzucałem kamieniami, chowałem się i krzychałem! Pięciu padło od miecza! Mówiłem ci? Wiesz, jak zrobić procę?

Jedwab pokiwał głową. Miecznik stroił sobie z niego żarty, ale było mu wszystko jedno.

– Ja też! Kiedyś dobrze strzelałem! – Kufel pojawił się na stole wraz z poobijanym zielonym talerzem, na którym spoczywała bezkształtna bryła sera o twardej, białej skórce, niewiele mniejsza od głowy Jedwabia. – Patrz! – Ciśnięty z drugiego końca pokoju rzeźnicki nóż wbił się w ser.

– Pytałeś, czy byłem dziś wieczorem w mieście.

– Myślisz, że toczy się gdzieś jakaś prawdziwa bitwa? – Nagle Miecznik zorientował się, że staje po stronie Bizona.

– Gdzie tam! Nic! Nic się nie dzieje! Snajperzy strzelają do własnych cieni, byle tylko nie zasnąć. – Zamyślił się. – Po ciemku nie widać broni przeciwnika, co? Ciekawe. Bardzo ciekawe! Muszę spróbować! To całkiem nowe doświadczenie! Co ty na to?

Intensywny, pleśniowy aromat sera pobudzał apetyt.

– Chyba się skuszę – oznajmił Jedwab zdecydowanie. Jeśli miał umrzeć – trudno, ale żaden bóg nie kazał mu umierać na głodniaka.

– Wiem, że też lubisz ser, Orebie. Powiedziałaś mi to na samym początku, pamiętasz?

– Chcesz talerz? – Na talerzu znalazła się od razu nadgryziona ćwiartka gigantycznego czerstwego chleba i nóż wielki niemal jak kordelas Alki. – Wszystko co mam! Stołujesz się w jadłodajniach? Ja też! Ale teraz bieda, wszystkie pozamykane!

– Wyśmienity ser i doskonałe wino. – Jedwab przełknął kęs i popił. – Dziękuję ci, mistrzu Mieczniku, i tobie, Phaeo Uczująca. – Wymuszone nawykiem ostatnie słowa wymknęły mu się, choć wcale nie chciał ich wypowiedzieć.

– Za moją lekcję! – Staruszek przysiadł na krześle. – Umiesz rzucać, chłopcze? Nożem albo czymś takim? Tak jak ja?

– Raczej nie. Nigdy nie próbowałem.

– Chcesz, żebym cię nauczył? Jesteś augurem?

Jedwab skinął głową i ukroił sobie chleba.

– Tak jak ten Jedwab! Znasz Bizona? To on mi powiedział! Wszystkim powiedział! – Miecznik uniósł kieliszek, zorientował się, że zapomniał go napęlnić, więc nalał wina. – Zabawne, co? Augur! Słyszałeś o nim? Też jest augurem!

– Tak mówią.

– Raz jest tu, raz tam! Wszyscy go znają! Ale nikt nie wie, gdzie jest! Chce się pozbyć gwardii! Połowa i tak przeszła na jego stronę! Słyszałeś kiedy w życiu taką bzdurę? Zniesie podatki, ale każe budować kanały! – Miecznik chrząknął donośnie. – A Pah i ta cała reszta! Czy mogliby do jutra zrobić wszystko, czego chcą ludzie? Wiesz, że nie!

Oreb wskoczył Jedwabiowi na ramię.

– Dobra woda!

Jedwab przeżuł i przełknął chleb z serem.

– Powinieneś też spróbować sera, Orebie. Jest wyśmienity.

– Ptak najedzony.

– Ja też, Orebie – zaśmiał się staruszek. – Tak się wabi? Zjadłem po przyjsciu do domu! Widziałeś kiedyś prosiaka? Taki był! Całe mięso, pół chleba i dwa jabłka! Po co poszedłeś do miasta?

– O tym właśnie chciałem porozmawiać, mistrzu. Byłem na Wschodnim Skraju...

– Piechotą?

– Tak, trochę szedłem, trochę musiałem biegać.

– Nie dziwota, że kulejesz! Chciałeś usiąść, prawda? Przypominam sobie!

– Inaczej nie miałbym szans dostać się na Palatyn – wyjaśnił Jedwab. – Ale ulicy Skrzyń z jednej strony pilnuje gwardia, a z drugiej buntownicy, ludzie generał Mięty. Jest ich trzy razy więcej; to głównie młodzi mężczyźni, chociaż są też kobiety i dzieci. Dzieci już spały. Z trudem się przedostałem.

– Pewno, że z trudem!

– Ludzie maytere... generał Mięty chcieli mnie do niej zaprowadzić, kiedy dowiedzieli się, kim jestem. Ledwo się wymigałem, ale nie miałem wyjścia. Jestem umówiony w „Gronostaju”.

– Na Palatynie? Uważaj na gwardzistów! Są ich tysiące! Scynka znasz? Próbował w porze kolacji! Dostał baty! Dwie brygady! I talusy!

– Ale ja muszę tam pójść – tłumaczył uparcie Jedwab. – Najlepiej żeby obeszło się bez walki. Muszę dotrzeć do „Gronostaju”. – Zanim zdążył powściągnąć język, dodał: – Ona też może tam być.

– Spotkanie z kobietą, co, chłopcze? – Potargana broda Miecznika poruszyła się przy uśmiechu. – A jeśli powiem temu staremu w purpurowej todze?

– Myślałem...

– Nie powiem! Nie powiem! I tak wszystko zapominam, prawda? Zapytaj, kogo chcesz! Pójdziemy jutro? Masz gdzie spać?

– Spać dzień – poradził Oreb.

– Muszę iść dzisiaj – rzekł Jedwab smętnie. – Sam. Koniecznie dzisiaj. Uwierz mi, gdybym mógł, zaczekałbym do rana.

– Wino? Już nie pijmy! – Miecznik zakorkował butelkę i odstawił ją na podłogę obok krzesła. – Słuchaj swojego ptaka! Słuchaj i się ucz! Jest mądrzejszy od ciebie, chłopcze!

– Ptak mądry!

– Słyszałeś? Sam widzisz! – Gospodarz zerwał się z krzesła. – Chcesz jabłko? Zapomniałem, że jeszcze parę mam! – Otworzył drzwi piecyka i z hukiem je zatrzasnął. – Tu ich nie ma! Musiałem je przełożyć! Gotowałem mięso! Gdzie Alka?

– Nie mam pojęcia. – Jedwab ukroił sobie drugi, mniejszy kawałek sera. – Mam nadzieję, że śpi spokojnie w łóżku. Czy mogę wziąć jabłko do kieszeni, kiedy już je znajdziesz? Jestem ci bardzo wdzięczny... Znacznie lepiej się czuję, ale naprawdę muszę iść. Chciałem tylko zapytać, czy znasz na Palatyn drogę bezpieczniejszą niż główne ulice...

– Tak, chłopcze! Znam, znam! – Miecznik z triumfem pokazał mu czerwoniutkie jabłko, wydobyte właśnie ze skrzyni na ziemniaki.

– Dobry człowiek!

– A może znasz jakąś sztuczkę, która pozwoliłaby mi uniknąć spotkania z walczącymi? Alka na pewno by mi coś doradził, ale do Orilli droga daleka, poza tym wcale nie jestem pewien, czy tam bym go znalazł. Przyszło mi na myśl, że od kogoś musiał się takich sztuczek uczyć, a ty wydałeś mi

się najlepszym nauczycielem.

– Potrzebujesz nauczyciela? O tak, jak najbardziej! Cieszę się, że to rozumiesz! Gdzie masz igłowiec, chłopcze?

– Igłowiec? – spytał zdezorientowany Jedwab. – W kieszeni. – Wyjął broń i podniósł ją do światła, tak jak Miecznik jabłko. – W rzeczywistości nie jest wcale mój. Należy do młodej kobiety, którą mam spotkać w „Gronostaju”.

– Ten duży! Widziałem! Wypadł ci zza pasa! Zostawiłeś go na górze! Mam ci go przynieść? Jedz ser!

Miecznik wybiegł przez otwarte drzwi, a po chwili Jedwab usłyszał jego tupot na schodach.

– Musimy iść, Orebie. – Wstał i schował jabłko do kieszeni. – Zamierza wybrać się z nami, a na to nie mogę pozwolić.

W głowie mu się zakręciło; ściany kuchni rozplynęły się i zawirowały jak na karuzeli, dopiero po dłuższej chwili wróciły na swoje miejsce.

Ciemny korytarzyk prowadził z kuchni do schodów i drzwi frontowych. Jedwab przystanął i oparł się o poręcz; spodziewał się, że usłyszy krzątanicę staruszka na górze albo wręcz ujrzy go zbiegającego po schodach, ale w domu panowała cisza, jakby poza nim i Orebem nikogo tu nie było. Zdziwił się, ale zaraz przypomniał sobie wyłożoną matami podłogę na piętrze.

Otworzył drzwi i wyszedł na opustoszałą ulicę. Tunele, w których spędził tyle męczących godzin, sięgały zapewne także pod Palatyn – wszystko wskazywało na to, że ciągną się pod całym miastem – ale niemal na pewno były patrolowane przez żołnierzy, takich samych jak ci, którym się wymknął. Zresztą i tak znał tylko jedno wejście, przez znajdującą się nad jeziorem świątynię Scylli. Właściwie nawet się ucieszył, że jest od niego tak daleko. Wielka dziura, powiedział Oreb. Czy to możliwe, że on też błąkał się po tych przerażających podziemiach?

Jedwab wzdrygnął się na wspomnienie tuneli i pokuśtykał w stronę Palatynu. Odnalazłszy w sobie resztki dawnej determinacji, tłumaczył sobie, że kostka nie boli go nawet w połowie tak bardzo, jak mu się wydaje. Nie odrywał wzroku od nierównej, zrytej dziurami nawierzchni ulicy, zdając sobie sprawę, że może sobie wmawiać, co chce, ale jeśli skręci nogę, będzie mógł zapomnieć o samodzielnym chodzeniu. Jednakże pomimo całej samodyscypliny, na jaką umiał się zdobyć, wciąż wracał myślami do podziemnych korytarzy i wchodził z Mamelką do niezwyklej budowli (przypominającej nieco wieżę, ale wieżę wbitą pod ziemię, a nie strzelającą wysoko w niebo), którą nazwała statkiem; oglądał pustkę ciemniejszą od najczarniejszej nocy, w niej punkciki światła, które, jak objawił mu Zewnętrzny, były whorlami poza ich whorlem, whorlami, do których martwy Pah, nieśmiertelna Echidna, a także Scylla i jej rodzeństwo nigdy nie dotarli.

Miałeś mnie stąd wyprowadzić. Tak mówiłeś. Obiecałeś.

Alka nie widział Pawiana, ale słyszał jego zawodzenie w podmuchach wiatru w smoliście czarnym tunelu; łzy nieszczęśnika skapywały z sufitu. Buty, za które dał całe dwie karty – zawsze dbał o nie i smarował tłuszczem – nasiąkły wodą aż powyżej kostki.

– Drop? – zawołał z nadzieją. – Dropiu!

Ale Drop milczał.

Powiedziałeś... Dałeś słowo, że mnie stąd zabierzesz.

– Teraz cię widziałem, tu, z boku. – Niepewny, kiedy ostatnio powtarzał te słowa, Alka dodał: – W ciemnościach widzę jak kot.

Nie mówił całej prawdy, gdyż ledwie odwrócił głowę, Pawian zniknął, ale wydawało mu się, że dobrze będzie od czasu do czasu powiedzieć coś takiego. Jeżeli Pawian uwierzy, że jest obserwowany, będzie trzymał się od niego z daleka.

Alka? Tak masz na imię? Alka?

– Zgadza się, przecież ci mówiłem.

Gdzie jest Juzgado, Alko? Daleko w dole, mnóstwo drzwi. Wiesz, jak się tam dostać?

– Nie mam pojęcia. Może jedno słowo otwiera wszystkie drzwi?

Takiego szerokiego tunelu jeszcze tu, w podziemiach, nie widział – inna sprawa, że i tego właściwie nie widział, bo było całkiem ciemno. Ściany po obu stronach ginęły w mroku i wcale nie miał pewności, że nie skręca i zaraz w jedną z nich nie wyrznie nosem. Od czasu do czasu wyciągał ramiona na boki, ale nie sięgał ścian. Nad jego głową zatrzepotał Oreb albo nietoperz, albo w ogóle tylko mu się zdawało, że coś słyszał.

(Gdzieś z daleka doleciał go kobiecy głos: „Alko! Alko!”).

Tunel rozświetlił się nagle, choć nadal był ciemny – ciemny swoistą poświatą, jakby czerń zaczęła fosforyzować. Alka zahaczył stopą o coś na ziemi, ale macając rękoma przed sobą, znalazł tylko pustkę.

– Alko, mój noktolatro. Zabłądziłeś?

Głos dobiegał zarazem z bliska i z daleka – był niski, głęboki i przepojony smutkiem.

– Nie zabłądziłem. Kto to powiedział?

– Dokąd idziesz, Alko? Powiedz prawdę.

– Szukam Dropia. – Alka umilkł, czekając na następne pytanie, ale wokół panowała cisza. Coś, w

co kopnął, sięgało mu nieco powyżej kolan, było szerokie, masywne i z wierzchu płaskie. Złodziej usiadł na tym, wpatrując się w fosforyzujący mrok. Podciągnął kolana pod brodę i rozsznurował buty. – Drop jest moim bratem, starszym. Nie żyje już; paru hycli go załatwiło. Przychodzi tu do mnie czasem, daje mi dobre rady, mówi różne rzeczy. Pewnie dlatego że jestem pod ziemią, a on tu mieszka, bo jest nieżywy.

– Zostawił cię samego.

– Teraz tak. Często tak robi, kiedy zaczynam gadać z kimś innym. – Alka ściągnął prawy but i pomacał się po stopie. Była zimniejsza niż trup Jelca. – Co to jest noktolatra?

– Ktoś, kto wielbi bogów nocą, tak jak ty mnie.

Zaskoczony Alka podniósł wzrok.

– To ty jesteś bogiem?

– Tartarosem, bogiem ciemności, Alko. Wielekroć słyszałem, jak wzywasz moje imię, zawsze w ciemności.

Złodziej nakreślił w powietrzu znak dodawania.

– Czy stoisz teraz naprzeciwko mnie, w mroku?

– Tam, gdzie się znajduję, zawsze jest ciemno, Alko. Jestem ślepcem.

– Nie wiedziałem. – Czarne jagnięta i barany, szary baran po szczęśliwym powrocie patere Jedwabia, kiedyś czarna koza, pierwszy z pary własnoręcznie złapanych nietoperzy, zaskoczonych nagłym światłem dnia na ciemnym, dusznym strychu palestry i oddanych patere Płetwie... Wszystko dla tego niewidomego bóstwa. – Jesteś bogiem. Nie mógłbyś przywrócić sobie wzroku?

– Nie. – Wyzuty z wszelkiej nadziei głos wypełniał tunel, unosząc się w mroku długo po tym, jak przebrzmiał ostatni ton. – Jestem bogiem pozbawionym woli, Alko. Jedynym bezwolnym bogiem. Wykonuje tylko polecenia mojego ojca. Gdyby kazał mi się uleczyć, pewnie bym go posłuchał.

– Prosiłem matkę... Prosiłem maytere, żeby przyprowadziła nam boga, który by nam towarzyszył. Chyba ściągnęła tu ciebie.

– Nie – powtórzył Tartaros. – Często tu przychodzę, Alko. To nasz najstarszy ołtarz.

– Ten blok, na którym siedzę? Już schodzę.

(Znów ten kobiecy głos: „Alko! Alko!”).

– Siedź spokojnie. Jestem również jedynym pokornym bogiem, Alko. Lub prawie pokornym.

– Ale jeśli to święte miejsce...

– Kiedyś składano na nim stosy drewna i truchła zwierząt; twoja obecność bardziej go już nie sprofanuje. Gdy zjawili się pierwsi ludzie, Alko, pokazaliśmy im, jak mają nam oddawać cześć, ale wkrótce kazano im o tym zapomnieć. I zapomnieli, ale po tym, co widzieli, wielu z nich zachowało jednak pamięć naszych nauk i kiedy znaleźli ołtarze na wewnętrznej powierzchni, poczęli nam składać ofiary, tak jak im powiedzieliśmy. Ten był pierwszy.

– Nie mam nic, co mógłbym ci dać. Miałem ptaka, ale uciekł. Przed chwilą wydawało mi się, że słyszę nietoperza; mogę spróbować go złapać, jeśli chcesz.

– Myślisz, że jestem łasy na krew, jak moja siostra Scylla.

– Chyba tak; przez jakiś czas z nią podróżowałem.

Alka zamyślił się, starając się przypomnieć sobie, kiedy to było, ale choć pamięć podsuwała mu pojedyncze sceny – naga kobieta na białym kamiennym bloku, gotowanie ryby – to jednak minuty i dni przeciekały mu przez palce i umykały.

– Czego pragniesz, Alko?

Nagle złodziej poczuł przemożny lęk.

– Niczego, Tartarosie Przeróżający.

– Ci, którzy składają nam ofiary, zawsze czegoś pragną, Alko. W twoim mieście – i w wielu innych – prosili na przykład o deszcz.

– U nas już pada, Tartarosie Przeróżający.

– Wiem, Alko.

– Jesteś ślepy...

– Widzisz deszcz, Alko?

Złodziej pokręcił głową.

– Tu jest cholernie ciemno.

– Ale go słyszysz, słyszysz delikatny plusk padających z góry kropeł, gdy całują krople, które spadły wcześniej.

– I czuję go – dodał złodziej. – Co chwilę woda ścieka mi po karku.

– Czego pragniesz, Alko?

– Niczego, Tartarosie Przeróżający. – Alka wzdrygnął się i zaczął rozcierać dłońmi ramiona.

– Wszyscy ludzie czegoś pragną, Alko; najbardziej zaś ci, którzy mówią, że niczego nie chcą.

– Niczego nie pragnę, Tartarosie Przeróżający, ale jeżeli chcesz, mogę sobie czegoś zażyczyć zgodnie z twoją wolą. Zjadłbym coś. Odpowiedziała mu cisza.

– Tartarosie? Słuchaj, jeżeli to, na czym siedzę, to ołtarz, a ty jesteś tutaj i ze mną rozmawiasz, powinno znajdować się gdzieś w pobliżu święte okno.

– Jest i święte okno, Alko. Właśnie do niego mówisz. Tu jestem.

Alka ściągnął drugi but.

– Muszę to przemyśleć – oznajmił.

Maytere Mięta opowiedziała mu wszystko o bogach, ale nie mógł oprzeć się wrażeniu, że bogowie występują w dwóch rodzajach: osobno ci, o których mu mówiła, ci z zeszytu, a osobno – ci prawdziwi, tacy jak Scylla, kiedy opętała Acalypnę, albo teraz Tartaros. Prawdziwi byli o wiele więksi, za to ci zeszytowi – lepsi i jakoś dziwnie silniejsi, chociaż nie istnieli naprawdę.

– Tartarosie Przeróżający...

– Słucham cię, Alko, mój noktolatro. Czego pragniesz?

– Dwóch odpowiedzi, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Często odpowiadacie na pytania, które zadają wam augurowie; nie jestem augurem, ale czy mogę cię o coś spytać? Bo augura tu nie uświadczysz.

Ciszę mącił tylko plusk kropel i kobiecy krzyk, chrapliwy, smutny, bardzo odległy.

– Dlaczego nie widzę twojego świętego okna, Tartarosie Przeróżający? To pierwsze pytanie, jeśli łaska. No bo zwykle okna trochę lśnią w ciemności. Czy to znaczy, że ja też straciłem wzrok?

Znowu cisza. Alka zaczął rozcierać przemarznięte stopy. Jeszcze niedawno rozpalone dłonie lśniły mu jak płynne złoto; – teraz nie były nawet ciepłe.

– Czekasz pewnie na drugie pytanie, prawda? Chciałem się dowiedzieć, jak to jest, że słyszę głosy? W palestrze, do której chodziłem, maytere mówiła, że jak dorośniemy, nie zrozumiemy słów boga, gdyby nawet jakiś pojawił się w świętym oknie – po prostu z grubsza załapiemy, o co mu chodzi, i może zapamiętamy parę oderwanych wyrazów. Kiedy zjawiała się Kypris, było dokładnie tak, jak zapowiadała maytere: chwilami zdawało mi się, że prawie ją widzę, a kilka słów usłyszałem tak wyraźnie, jakby stała obok mnie, Tartarosie Przeróżający. Mówiła o miłości i rozboju, wiem o tym; rozpoznałem oba te słowa. Wiem też, że mówiła o tym, jak nas kocha i chroni, i że musimy w nią wierzyć. Ale kiedy ciebie słucham, to tak jakbym rozmawiał z Dropiem albo kimś innym, kto stoi

obok mnie.

Nikt nie odpowiedział. Alka wypuścił powietrze z płuc, na chwilę schował zziębnięte dłonie pod pachy, a potem zaczął wyżywać pończochy.

– Czy nigdy nie widziałeś boga w świętym oknie, Alko, mój noktolatro?

– Niezbyt wyraźnie, Tartarosie Przeróżający. Chociaż wydawało mi się, że prawie widzę Kypris Łaskawą. Mnie to wystarczy.

– Ta skromność do ciebie pasuje, Alko.

– Dzięki. – Nie wypuszczając wilgotnej pończochy z rąk, złodziej zatopił się w rozmyślaniach nad własnym życiem i charakterem. – Na niewiele mi się zdała, Tartarosie Przeróżający – rzekł wreszcie. – Ale też chyba rzadko ją okazuję.

– Kiedy augur widzi twarz i słyszy słowa boga, dzieje się tak dlatego, Alko, że nigdy nie dane mu było poznać kobiety. Podobnie sybilla może widzieć i słyszeć bogów, jeśli nigdy nie poznała mężczyzny. Tak samo jest z dziećmi. Moja matka wymyśliła takie prawo jako cenę za przyjęcie ofiarowanego jej przez ojca daru. I mimo że prawo to nie zawsze funkcjonuje bez zarzutu, zwykle się sprawdza.

– Rozumiem.

– Twarze, które nosiliśmy jako śmiertelnicy, obróciły się w proch, a głosy, którymi przemawialiśmy, milczą od tysiąca lat. Nie zna ich żaden augur i żadna sybilla w całym whorlu, bo widzą tylko oblicza, jakie chcemy ukazywać ludziom. Powiedziałeś, iż wydawało ci się, że widzisz twarz konkubiny mojego ojca – to było jej własne wyobrażenie na swój temat, postać, w jakiej chciałaby się pokazywać. Nie wątpię, iż wyglądała pięknie; w życiu nie spotkałem kobiety, która dorównywałaby jej próżnością. Tak samo jest z naszymi głosami. Brzmia tak, jak nam się wydaje, że powinny brzmieć. Czy jasno się wyraziłem, Alko?

– Nie, Tartarosie Przeróżający. Nie widzę cię w ogóle.

– To, co widzisz, Alko, jest widzialną częścią mej istoty, co oznacza, że taka widzialna część nie istnieje. Narodziłem się ślepy, Alko, przez co nie potrafię wytworzyć dla ciebie obrazu swej osoby. Nie umiem też objawić ci świętych odcieni, które są w istocie zamętem myśli moich braci i sióstr, zanim ich obraz się skryształizuje. Dlatego też nie mogę pokazać ci żadnego swojego oblicza, ani urzekająco pięknego, ani przerażająco brzydkiego. Widzisz moją twarz taką, jak ją sobie wyobrażam – czyli pustkę. Kiedy odejdę, ujrzysz ponownie połyskliwą czerń, o której mówiłeś.

– Wolałbym, żebyś chwilę ze mną został, Tartarosie Przeróżający. Jeżeli Drop nie wróci, chciałbym jeszcze zatrzymać cię przy sobie. – Alka oblizał wargi. – Nie powinienem pewnie tego mówić, ale nic złego nie mam na myśli.

– Mów, Alko, mój noktolatro.

– Cóż, gdybym umiał ci jakoś pomóc, z chęcią bym to zrobił.

Cisza, która zapadła po tych słowach, przeciągała się długo. Alka zaczął się obawiać, iż bóg powrócił do Centralnego Procesora. Nie słyszał nawet wołającej z daleka kobiety.

– Pytałeś, jak to się dzieje, że słyszysz moje słowa jako słowa, Alko.

Złodziej odetchnął z ulgą.

– Tak.

– Często się to zdarza. Prawo mojej matki cię nie obowiązuje, gdyż twój umysł nie funkcjonuje należycie.

– Wiem – przytaknął Alka. – Spadłem z talusa, kiedy dostał rakieta, i chyba walnąłem się w głowę. Właściwie nie przeszkadza mi to, że mój brat, Drop, nie żyje, a jednak tu jest i do mnie mówi i dawniej wcale bym go nie słyszał. Tak samo nie martwię się o szczebiotkę, a wiem, że powinienem. Kocham ją, a ten łachudra Żubr pewnie właśnie próbuje ją przelecieć... Chociaż to i tak kurwa. – Wzruszył ramionami. – Mam tylko nadzieję, że nie zrobi jej krzywdy.

– Nie możesz zamieszkać w tych tunelach, mój noktolatro. Nie miałbyś co jeść.

– Spróbujemy z Dropiem stąd wyjść, jak tylko go znajdę.

– Mógłbym cię chyba uleczyć, gdybym cię opętał.

– No to śmiało.

– Bylibyśmy obaj ślepi, Alko. Ponieważ nigdy nie miałem własnych oczu, nie potrafiłbym patrzeć twoimi. Pójdę jednak z tobą i będę cię prowadził, a jeżeli zdołam, spróbuję cię wyleczyć. Spójrz na mnie, Alko.

– Ale ja nic nie widzę – zaprotestował złodziej.

A jednak coś zobaczył: nieśmiało przebłyskujące światełko, tak przepelnione nadzieją, rozkoszą i cudownością, że gdyby mógł, patrzyłby w nie do końca życia.

– Jeżeli naprawdę jesteś patere Jedwabiem, zabiją cię, jak tylko tam wyjdiesz – powiedziała mu młoda dziewczyna na barykadzie.

– Nie idź – poprosił cichutko Oreb. – Nie idź – powtórzył.

– Całkiem możliwe, że tak się stanie – przytaknął Jedwab. – Chyba że mi pomożesz.

– Gdybyś był Jedwabiem, nie musiałbyś prosić o pomoc. – Dziewczyna niespokojnym spojrzeniem obrzuciła jego szczupłą, ascetyczną twarz. – Byłbyś naszym dowódcą i nawet generał Mięta musiałaby cię słuchać. Zrobilibyśmy, co każesz.

– Jestem nim, ale teraz nie potrafię ci tego udowodnić. – Jedwab pokręcił głową. – Trzeba by znaleźć kogoś, komu ufasz i kto by mnie rozpoznał. Trwałoby to zbyt długo, a ja nie mam czasu, dlatego błagam cię o pomoc. Założmy, chociaż przysięgam ci, że to nieprawda, iż nie jestem Jedwabiem, lecz zwykłym młodym augurem, który pilnie potrzebuje twojej pomocy. Jeśli nie udzielisz mi jej ze względu na moją skromną osobę ani przez wzgląd na bogów, którym służę, zrób to chociaż dla spokoju sumienia.

– Nie mogę posłać ludzi do szturm, nie otrzymawszy rozkazu od brygadiera Bizona.

– Nawet gdybyś taki rozkaz dostała, i tak nie powinnaś tego robić. Za tymi workami z piaskiem stoi ukryty ślizgacz; widzę stąd jego wieżyczkę. Gdyby twoi ludzie ruszyli, znaleźliby się pod ostrzałem. A zapewniam cię, że widziałem, co potrafi działko pulsacyjne.

Mimo że młoda kobieta wyprostowała się, wciąż brakowało jej dobre półtorej piędzi do wzrostu Jedwabia.

– Jeżeli takie będą rozkazy, zaatakujemy, caldé.

– Dobra dziewczeczka! – stwierdził z aprobatą Oreb. Spojrzawszy na śpiące pod barykadą dzieci – najwyżej piętnastoletnie szproty – Jedwab pokręcił smutno głową.

– Są jeszcze bardzo młodzi – przyznała dziewczyna (sama mogła mieć najwyżej dwadzieścia lat). – Ale kiedy ich poprowadzę do ataku, pójdą za mną. – Jedwab nadal milczał. – Zresztą to nie wszyscy. Mam również w oddziale trochę dorosłych mężczyzn z pistoletami. Większość kobiet, pozostałych kobiet, znaczy się, pracuje w brygadach strażackich. Zdziwiłeś się, widząc, że tu dowodzę, ale przecież generał Mięta też jest kobietą.

– To również mnie zdumiewa.

– Mężczyźni woleliby słuchać rozkazów mężczyzn, ale skoro kobiety z Trivigaunte zasłynęły jako żołnierki, my, mieszkanki Vironu, nie możemy okazać się gorsze!

– Chciałbym wierzyć, że nasi mężczyźni dorównują ich mężczyznom – rzekł Jedwab, wspomniawszy doktora Żurawia.

– Ależ w Trivigaunte mężczyźni są niewolnikami! – Dziewczyna nie ukrywała zaskoczenia.

– Byłaś tam?

Pokręciła głową.

– Ja też nie – rzekł Jedwab – więc chyba nie ma sensu dyskutować o zwyczajach mieszkańców tego miasta. Przed chwilą nazwałaś mnie caldé. Czy naprawdę tak o mnie myślisz, pani...?

– Poruczniku. Jestem porucznikiem. Nazywam się Liana. Użyłam tego tytułu wyłącznie przez grzeczność. Jeśli chcesz znać moje zdanie, powiem ci: wydaje mi się, że jesteś tym, za kogo się podajesz. Augur by nie kłamał, a poza tym ten ptak... Wszyscy mówią, że przyjaźnisz się z ptakiem.

– Jedwab – poinformował ją Oreb.

– W takim razie zrób, o co poproszę. Czy masz białą flagę?

– Żeby się poddać? – zaperzyła się Liana. – Na pewno nie!

– Żeby zasygnalizować zawieszenie ognia. Możesz przywiązać białą szmatę do kija. Chciałbym, żebyś pomachała nią i krzyknęła coś do nich z barykady. Powiedz im, że jest z tobą augur, który niósł umierającym pojednanie z Pahem. Powiedz, że chciałbym przejść na drugą stronę i zająć się również ich rannymi.

– Zabiją cię, kiedy się dowiedzą, kim jesteś.

– Może się nie dowiedzą. W każdym razie mogę ci obiecać, że z własnej woli im tego nie powiem.

Liana przeczesła ręką potargane włosy, a Jedwab zwrócił uwagę, że sam w chwilach niezdecydowania wykonuje ten sam gest.

– Dlaczego na mnie trafiło? Nie, caldé, nie mogę się zgodzić, żebyś tak się narażał.

– Ależ możesz. Nie masz za to szans obronić swego stanowiska, zachowując choćby pozory logiki. Albo jestem caldé, albo nie. Jeżeli tak, powinnaś mi być posłuszna; jeśli nie, życie caldé nie jest zagrożone.

W kilka chwil potem, gdy Liana i młody Linzang pomagali mu wdrapać się na barykadę, Jedwab zastanawiał się, czy dobrze postąpił, odwołując się do logiki. Odkąd Oosik oddał mu list Hiacynta, całe jego zachowanie przeczyło logice. Gdy pisała do niego, w mieście panował względny spokój. Wybierała się pewnie na Palatyn po zakupy, zamierzała spędzić noc w „Gronostaju”, a potem wrócić...

– Oj, spadnie! – ostrzegł go Oreb.

Bardzo się starał nie spać. Barykadę usypano ze wszystkiego, co było pod ręką: gruzu ze zburzonych budynków, lad i biurek opuszczonych sklepów, łóżek, beczek i beli materiału, zwalonych na stos bez ładu i składu.

Przystanął na szczycie, czekając, aż ktoś do niego strzeli. Gwardziści kryjący się za bunkrem z

piasku wiedzieli, że jest augurem; mogli też znać już treść listu przewodniczącego Kapituły. A ujrzawszy dodatkowo Oreba, mogli go rozpoznać.

I zastrzelić. Dobrze byłoby spaść za barykadę, do Liany i Linzanga, jeśliby został trafiony; z całą pewnością lepiej byłoby skakać do nich w dół, gdyby gwardziści chybili.

Nikt nie strzelał i Jedwab zaczął ostrożnie schodzić z barykady. Torba z ubraniem trochę mu przeszkadzała. Oosik postanowił go nie zabijać, ale Oosik okazał się dalekowzroczny niczym polityk, a nie zwykły gwardzista – tacy chyba powinni być oficerowie z najwyższych szczebli hierarchii. Dowódca reduty z pewnością był młodszy i gotowy bez dyskusji wypełniać rozkazy Ayuntamiento.

Ale Jedwab nie miał wyboru.

Logika, raz przywołana, upodabniała się do boga. Można było skusić boga, by odwiedził święte okno, ale kiedy już się pojawił, nie dawał się przegonić, tak jak nie było mowy o zignorowaniu jego łaskawie skierowanych do ludzi słów; nie zapominało się ich, nie zaprzeczało się im. Jedwab odwołał się do logiki, ta zaś podpowiedziała, że powinien leżeć w łóżku, w domu, który Oosik zajął na swą tymczasową kwaterę; powinien kurować się i wypoczywać.

– Wiedział, że ucieknę, Orebie – rzekł. Coś stanęło mu w gardle. Odkaszlnął i splunął. – Przed przyjściem do mnie przeczytał list, który do mnie napisała. Znał ją już wcześniej. – Jedwab stwierdził, że w dalszym ciągu nie może się przemóc i powiedzieć wprost, że pułkownik sypiał z Hiacyntem. – Wiedział, że ucieknę i wraz ze mną zniknie problem.

– Człowiek patrzy – ostrzegł go Oreb.

– Byle nie strzelał – mruknął Jedwab. Przystanął i obrzucił wzrokiem posterunek gwardii. Z tej odległości nie był jeszcze w stanie odróżnić worków z piaskiem od okrytych hełmami głów.

– Nie strzela.

Na odcinku ulicy Złota, który właśnie przemierzał, roilo się od sklepów jubilerskich; im bliżej Palatynu się znajdowały, tym były większe i bogatsze. Najwspanialsze wyrosły na samych stokach wzgórza, żeby klienci mogli się przechwalać, że kupują biżuterię „na górze”. W większości świeciły pustkami: kraty zostały połamane i mocą tysięcy ramion wyrwane z kamienia, a wypalonych wewnątrz strzegły już tylko trupy tych, którzy ich bronili bądź usiłowali je złupić. Dalej, za posterunkiem, ciągnęły się bogatsze jeszcze, nietknięte sklepiki. Jedwab usiłował sobie wyobrazić, jak dzieci, które widział śpiące za barykadą, wpadają do nich i kradną klejnoty, ale wyobraźnia go zawodziła. Nie zrobiłyby tego, to pewne; ruszyłyby do ataku, walczyły dzielnie i ginęły masowo na rozkaz Liany, która poległaby u ich boku. Później dopiero nadciągnęliby szabrownicy, gdyby tylko jacyś ocaleli. Ciało, przy którym teraz przykucnął, by je obejrzeć, należało do chłopca może trzynastoletniego. Pocisk oderwał mu połowę twarzy.

Rzadko chadzał ulicą Złota, ale na pewno nie wydawała mu się wcześniej ani taka długa, ani szeroka. Kawalek dalej natknął się na gwardzistę i jakiegoś ubranego po cywilnemu twarziela,

przypominającego człowieka, który przesłuchiwał go po objawieniu się Kypris. Leżeli martwi obok siebie; każdy wbił drugiemu nóż pod żebra.

– Patere! – zabrzmiał ten sam chrapliwy głos, który odpowiedział na okrzyki Liany.

– O co chodzi, synu?

– Pośpiesz się, dobrze?

Jedwab puścił się truchtem, mimo że obolała kostka protestowała. Dopóki obawiał się, że w każdej chwili mogą do niego strzelić, zdawało mu się, że biegnąca podnóżem Palatynu ulica pnie się ostro pod górę, teraz zaś prawie nie zauważał stromizny.

– Tutaj, tutaj! Złap mnie za rękę!

Reduta gwardii była o połowę niższa od barykady buntowników, chociaż zauważalnie grubsza, stroma, prawie pionowa od przodu i schodkowata z tyłu, gdzie wspinali się na nią strzelcy.

– Chodź ze mną – rozkazał człowiek, który pomógł się Jedwabiowi wdrapać na górę. – Nie wiem, ile jeszcze pociągnie.

Jedwab skinął głową. Nie mógł złapać tchu po wspinaczce, poza tym bał się, że pękły mu szwy na piersi.

– Prowadź.

Kiedy gwardzista zeskoczył z ostatniego worka na ziemię, Jedwab nieco ostrożniej poszedł w jego ślady. Tu również spali ludzie, odziani w pancerze gwardziści zalegli pokotem ulicę, owinięci w koce, które – choć zapewne zielone – w nocnej poświacie wyglądały na czarne.

– Będą szturmować? – spytał Jedwabia przewodnik.

– Raczej nie, nie tej nocy. Może spróbują z rana.

– Kule łatwo przebiją te ich umocnienia – mruknął gwardzista. – Przyjrzałem się trochę; sporo w nich mebli i desek nie grubszych od mojego palca. Jestem sierżant Tryton.

Podali sobie ręce.

– Też mi to przyszło do głowy, kiedy przechodziłem przez barykadę, sierżancie – rzekł Jedwab. – Ale są tam też grubsze kawałki, a zresztą nawet krzesła trochę zasłaniają wam widok.

– Nie ma tam niczego, co chciałbym oglądać – prychnął Tryton.

Posterunek gwardii natomiast był wart obejrzenia, jak przekonał się Jedwab, gdy tylko dostrzegł, co kryje się za ślizgaczem. Na skrzyżowaniu, sto kroków w górę ulicy, stał talus i kręcąc miarowo

olbrzymim, zbrojnym w kły łbem, spoglądał to w jedną ulicę, to w drugą. Tak bardzo przypominał tego, którego Jedwab zabił w podziemiach świątyni Scylli, że mógłby być jego bratem. Informacja o talusie zainteresowałaby pewnie Lianę – chyba że dziewczyna już wcześniej o nim wiedziała.

– To tutaj. – Tryton otworzył drzwi do jednego z pograżonych w ciemności sklepów. Na dźwięk głosu sierżanta i wtórujący mu stukot drzwi w środku zapaliły się światła. Gwardziści, częściowo rozebrani z pancerzy i w mniejszym lub większym stopniu poowijani bandażami, leżeli na mozaikowej posadzce. Jeden z nich jęknął, obudzony światłem i hałasem; dwóch chyba w ogóle nie oddychało. Jedwab uklęknął przy bliższym, szukając pulsu.

– To nie ten. Tamten.

– Wszyscy są ważni – odparł Jedwab. – I wszystkim przyniosę pojednanie z Pahem, po kolei. Nie ma powodu, żeby kogoś wyróżniać.

– Większość z nich augur już odwiedził. Tego na przykład. Jedwab podniósł wzrok na sierżanta, ale z jego złej, zawziętej twarzy nie wyczytał nic. Wstał.

– Ten człowiek nie żyje.

– W takim razie wyniesiemy go stąd. Chodź, ten jeszcze dycha. – Tryton zatrzymał się przy rannym, który zajęczał, gdy weszli.

Jedwab znów przyklęknął. Gwardzista miał zimną skórę.

– Powinniście trzymać go w ciepło, sierżancie.

– A co, jesteś też lekarzem?

– Nie, ale znam się co nieco na opiece nad rannymi. Jak każdy augur.

– Żadnych ran – oznajmił Oreb, przeskoczywszy na pierś rannego. – Bez krwi.

– Zostaw go, głupi ptaku.

– Żadnych ran! – gwizdnął kruk. – Bez krwi!

Zza jednej z pustych gablot wynurzył się łysy mężczyzna, nie wyższy od Liany. Miał pistolet, ale był bez zbroi czy nawet munduru.

– On... nie jest... nie jest ranny, patere. W każdym razie ja nic nie znalazłem. Chyba choruje na serce.

– Dajcie mi koc – polecił Jedwab Trytonowi. – Albo dwa. Szybko!

– Nie będzie mi tu żaden rzeźnik rozkazywał.

– No to będzie pan miał trupa na swojej głowie, sierzancie. – Jedwab wyjął z kieszeni paciorki. – Dwa koce; może nawet trzy. Gwardziści, którzy mają oko na buntowników, na pewno mogą się obejść bez koców. Trzy koce i trochę czystej wody. – Pochylił się nad chorym; paciorki zwieszały mu się z prawej dłoni. – W imieniu wszystkich bogów wybaczam ci na wieki, synu. Przemawiam w imieniu Paha Wielkiego, Echidny Boskiej, Scylli Parzącej, Molpe Cudownej...

Imiona bóstw spływały mu z języka, każde opatrzone właściwym tytułem, jedne puste, inne brzemienne strachem. Pah, którego plan poparł Zewnętrzny, nie żył; Echidna stała się potworem. Duch, który nawiedzał w tej chwili umysł Jedwabia, nie był duchem doktora Żurawia, lecz przystojnego, okrutnego chema, który uważał się za radcę Lemura.

– Monarcha pragnął syna, który zostałby jego następcą – mówił fałszywy Lemur. – Scylla miała równie silny charakter jak ojciec, lecz była niewiastą. Ojciec pozwolił córce ufundować nasze miasto, jak też wiele innych. Ufundowała również waszą Kapitułę, parodię religii państwowej z jej rodzinnego whorla. Królowa urodziła następną córkę, która okazała się jeszcze gorsza. Była wprawdzie zdolną tancerką i utalentowaną muzyczką, ale niewiastą, a na dodatek trochę szaloną. Nazywamy ją Molpe. Trzeci urodził się chłopiec, lecz okazał się równie nieużyteczny jak pozostałe dwoje dzieci; był ślepy. Został Tartarosem, w którego ręce składałeś swój los, patere. Wierzysz, że potrafi widzieć bez światła. Prawda jest taka, że nie widzi światła dziennego. Echidna znów poczęła i wydała z siebie następnego chłopca, który odziedziczył po ojcu męską obojętność na doznania innych, ale doprowadził ją do granic manii. Obecnie nazywamy go Hieraxem...

Chłopiec, nad którym się pochylił, kreśląc jeden znak dodawania za drugim, był umierający. Może liturgia przyniesie mu pociechę, może nawet siłę. Bogowie, których czcił, mogli okazać się niewarci szacunku, ale sam obrządek musiał mieć znaczenie, musiał być gdzieś zauważony, policzony. Inaczej cały whorl byłby obłąkany.

– Zewnętrzny również przebacza ci, synu, gdyż i w jego imieniu przemawiam. – Ostatni znak dodawania i było po wszystkim. Jedwab westchnął, schował paciorki.

– Tamten tego nie powiedział – zauważył cywil z pistoletem. – Tego na końcu.

Jedwab długo czekał na podobną uwagę, tak że słowa mężczyzny zupełnie go nie poruszyły.

– Wielu augurów zalicza Zewnętrznego do pomniejszych bogów – wyjaśnił. – Ja nie. Serce, powiadasz? Za młody jest, żeby mieć kłopoty z sercem.

– To chorąży Mattak. Jego ojciec jest moim klientem. – Malutki jubiler nachylił się do Jedwabia. – Sierżant zabił tego drugiego – szepnął.

– Tego drugiego...?

– Patere Murenę; sam mi się przedstawił. Rozmawialiśmy chwilę, kiedy odmawiał pojednanie, a ja... ja... – Łzy trysnęły jubilerowi z oczu nagle i nieoczekiwanie, jak woda z rozbitego słoja. Wyjął z kieszeni chusteczkę i wysiąkał nos.

Jedwab ponownie uklęknął przy młodym chorążym, szukając widocznych obrażeń.

– Powiedziałem, że dam mu kielich, by mógł napełniać go krwią. Wiesz, o co mi chodzi, prawda?

– Tak – przytaknął z roztargnieniem Jedwab. – Wiem, do czego używa się kielichów.

– Powiedział, że zwykle używają złotych naczyń, a ja... powiedziałem...

Jedwab wstał i podniósł swoją torbę.

– Gdzie znajdę jego ciało? Czy jesteś pewien, że nie żyje?

Oreb wskoczył mu z powrotem na ramię.

Jubiler otarł oczy i nos.

– Czy jestem pewien? Hieraksie Przenajświętszy! Nie pytałbyś, gdybyś go zobaczył. Ciało leży w zaułku; sierżant wszedł, kiedy rozmawialiśmy, i go zastrzelił, a potem wyciągnął na ulicę.

– Pokaż mi, gdzie to jest, bardzo cię proszę. Czy to on przyniósł pozostałym pojednanie z Pahem?

Jubiler skinął głową, prowadząc Jedwabia obok pustych gablot wystawowych na tyły sklepu.

– Chorąży Mattak nie był jeszcze wtedy ranny, tak?

– Zgadza się. – Właściciel sklepu odsunął na bok kotarę z czarnego aksamitu, odsłaniając wąski korytarz. Minęli zamknięte na kłódkę drzwi i zatrzymali się przed następnymi, podobnymi, opatrzonymi ciężką sztabą. – Powiedziałem, że jak będzie po wszystkim, dam mu złoty, co mi tam! Wiesz, dopiero opróżniałem gabloty, kiedy się modlił nad rannymi. Mówił, że w życiu nie widział naraz tyle złota i że w manteionie zbierają pieniądze na prawdziwy złoty puchar. Kiedyś, jeszcze przed jego przybyciem, mieli podobno taki jeden, ale musieli sprzedać.

– Rozumiem.

Gospodarz zdjął drugą sztabę i oparł ją o ścianę.

– Jak będzie po wszystkim, dam wam kielich na pamiątkę tej nocy, powiedziałem. Mam taki jeden mniej więcej od roku, z czystego złota, niczego sobie. Uśmiechnął się, kiedy to powiedziałem.

Żelazne odrzwia uchyliły się z jękiem zardzewiałych zawiasów, który boleśnie przypomniał Jedwabowi o furtce na plebanię.

– Mówię dalej, chodź ze mną do skarbcza, patere, to ci go pokażę. Ale on położył mi rękę na ramieniu i mówi: „Nie musisz tego robić, synu. Nie przysięgałeś na bogów, że to zrobisz”. I... i...

– Chciałbym go zobaczyć. – Jedwab wyszedł na zewnątrz.

– Wtedy wszedł sierżant i go zastrzelił – dokończył jubiler. – Więc lepiej nie wracaj do środka, patere.

W ziejącej złem i chłodem uliczce ktoś mamrotał pacierz, który Jedwab właśnie przed chwilą skończył odmawiać. Wychwycił imiona Phaei i Sphigx, a później zwyczajową formułę zakończenia. Głos, który słyszał, należał do starego człowieka; przez chwilę zdawało mu się wręcz – niezwykle było to uczucie – że słyszy patere Płetwę.

Zanim klęcząca przy zwłokach postać wstała, wzrok Jedwabia przywykł już nieco do ciemności.

– Grozi ci tu straszne niebezpieczeństwo – rzekł Jedwab i w ostatniej chwili ugryzł się w język, by nie użyć stosownego tytułu.

– Tobie również, patere – odparł Kwezal.

Jedwab odwrócił się do jubilera.

– Proszę, wróć do sklepu i zamknij dobrze drzwi – rzekł. Muszę chwilę porozmawiać z... tym oto augurem. Ostrzec go.

Jubiler skinął głową i żelazne drzwi się zatrzasnęły. Mrok w zaułku zgęstniał.

Przez moment Jedwabowi zdawało się, że to tylko ciemność skryła Kwezala przed jego wzrokiem, ale przewodniczący Kapituły po prostu zniknął. Patere Murena leżał na plecach w błocie. Dłonie, w których trzymał paciorki, miał złożone na rozdartej kuli piersi i spoczywał spokojnie w bezbrzeżnej samotności śmierci.

Gdzie Thelx zwierciadło trzyma

Jedwab przystanął, podziwiając imponującą fasadę „Gronostaja”. Dom wybudowano jako prywatną rezydencję – tak przynajmniej wyglądał – dla kogoś, kto miał kart bez liku i umiłował wszelkiej maści kolumny, łuki, fryzy, wieżyczki i inne ozdobniki. Jedwab widywał je dotąd tylko jako wyblakłe malunki na ciemnych, ponurych frontonach domów z rakplastu, a tutaj oglądał prawdziwe, w kamiennej dżungli strzelającej na cztery piętra wwyż. Na szerokich zielonych drzwiach widniała tabliczka z polerowanego mosiądzu: Hôtel „Gronostaj”.

Kim był Gronostaj? Czy żył jeszcze? A jeśli tak, to czy Linzang był jego zubożałym krewnym? Albo przeciwnie – bogatym pociotkiem, który zwrócił się przeciw Ayuntamiento? A co z patere Gulo? Whorl widział już dziwniejsze rzeczy.

Jedwabiowi było zimno, ale ręce miał wilgotne od potu. Kiedy po omacku chciał wytrzeć je w tokę, przypomniał sobie, że schował ją znów do pożyczonej torby podróżnej wraz z granatową tuniką. Otarł więc dłonie o żółtą tunikę, którą miał na sobie.

– Wejdziemy? – zapytał Oreb.

– Chwileczkę. – Zdawał sobie sprawę, że umyślnie zwleka. Oto trafił do „Gronostaja”, gdzie skończą się marzenia i przyjdzie przebudzenie ze snu. Jeżeli dopisze mu szczęście, zostanie rozpoznany i zginie na miejscu; jeżeli nie – znajdzie posąg Thelxiepei i będzie czekał do zamknięcia „Gronostaja”; przecież kiedyś muszą tu zamykać. A wtedy usłyszy od wyniosłego służącego, że czas wychodzić. Wstanie, ostatni raz rozejrzy się dookoła i spróbuje zagadać lokaja, by zyskać jeszcze choć parę chwil.

Ale potem na pewno będzie musiał iść. Ulica powita go przenikliwym zimnem i szarugą poranka. Usłyszy trzask zamykanych drzwi „Gronostaja”, zgrzyt zasuw i łoskot sztaby. Popatrzy po całej ulicy, ale nie dostrzeże na niej ani Hiacynta, ani żadnego jej posłańca.

I to będzie koniec; nigdy więcej nic podobnego mu się nie przytrafi. Będzie wspominał tę tęsknotę jako uczucie, które kiedyś, dawno temu, zaprzętało umysł pewnego augura noszącego jego imię – nieczęsto może spotykane, ale i nie cudzoziemskie. (Czy stary caldé, którego popiersie matka trzymała w szafce, również nazywał się... Jedwab? Nie, Tussah... No tak, ale to przecież też nazwa kosztownego materiału). Ten augur będzie próbował nieść pokój miastu i ocalić manteion. Ani jedno, ani drugie mu się nie uda, a potem umrze.

– Wejdzie?

Chciał odpowiedzieć, że tak, zaraz wejdzie do środka, ale strach nie pozwolił mu otworzyć ust. Jakiś mężczyzna w futrzanym płaszczu i kapeluszu z bażancim piórem przepchnął się obok niego. Odźwierny w liberii (zapewne ten sam zarozumiały sługa, którego przed chwilą sobie wyobraził) otworzył drzwi.

Teraz albo nigdy. Idź stąd albo zostaw wiadomość. Niech trwają złudzenia.

– Czy chce pan wejść?

– Tak – rzekł Jedwab. – Tak, właśnie zamierzałem wejść. Zastanawiałem się tylko, co zrobić z ptakiem. Jeżeli państwo sobie życzą, zostawię go tutaj.

– Proszę się nie kłopotać. – Na wąskich wargach odźwiernego pojawił się blady uśmiech, niczym ślad mrozu na szybie. – Damy często przyprowadzają tu swoje zwierzątka, proszę pana. Dzikopsy, małpy... Pański ptak z pewnością nie jest od nich gorszy.

Drzwi były wciąż otwarte na oścież, a noc chłodna. W „Gronostaju” na pewno panowało przyjemne ciepło i nikt nawet nie myślał o rozruchach w mieście. Jedwab wszedł po schodkach do drzwi; barykada Liany nie była chyba ani wyższa od nich, ani bardziej stroma.

– Jest pan w „Gronostaju” po raz pierwszy, prawda?

– Tak. Jestem tu umówiony z pewną damą.

– Rozumiem, proszę pana. Oto przedpokój. – Dookoła stały sofy i twarde, proste krzesła. – Tutaj goście mogą zdjąć wierzchnie odzienie, które trafia do szatni. Jeżeli pan sobie życzy, może pan w niej zostawić również swoją torbę. Niezbyt tu przytulnie, można za to spokojnie obejrzeć wszystkich przychodzących i wychodzących gości.

– Dobry człowiek? – Oreb świdrował odźwiernego jednym czarnym okiem. – Lubi ptaka?

Służący nachylił się do ucha Jedwabia i konfidencjonalnym szeptem dodał:

– Dzisiaj jednakowoż, proszę pana, będę mógł osobiście pana obsługiwać. Mało mamy klientów. To przez te niepokoje.

– Dziękuję – odparł Jedwab. – Dziękuję bardzo, ale nie.

– Dalej, proszę pana, znajduje się sellaria. Krzesła są wygodniejsze, a i pokój bardziej przytulny. Niektórzy goście lubią tam poczytać.

– Gdybym wszedł do sellarii i skręcił w prawo, gdzie bym się znalazł?

– W sali klubowej, proszę pana, a gdyby skręcił pan nieco łagodniej, to w oranżerii. Są tam ciche zakamarki z ławkami i kanapami. Jest gdzie spocząć, choć trzeba trochę poszukać.

– Dziękuję – powiedział Jedwab i oddalił się śpiesznie.

Dziwnie się poczuł, gdy pomyślał, że olbrzymi pokój, w którym znajdowało się przynajmniej z pięćdziesiąt krzesel, o połowę mniej stolików, mnóstwo roślin w donicach, posągów i brzuchatych waz, nosi tę samą nazwę co zakurzony salonik na plebanii. Zwrócił się prawo i lawirował wśród sprzętów, martwiąc się, czy aby nie wykonał zbyt nagłego zwrotu. Zdawało mu się, że śni i we śnie znalazł się w domu olbrzymów. Grzecznie odmówił napitku z tacy, którą podsunął mu usłużny lokaj. W sellarii nie znalazł nikogo; jedynym śladem ludzkiej obecności, jaki dostrzegł, było kilka zwitków papieru i jedna rozpostarta, na wpół zapisana kartka.

Nagle wyrosła przed nim ściana przywodząca na myśl stromy stok górski albo – lepiej – wał mgły, spoza którego przezierają wizje luksusowych wnętrz i eleganckich ludzi, które w rzeczywistości okazały się tylko obrazami. Jedwab skierował się na lewo i po dalszych dwudziestu krokach dostrzegł marmurowy łuk, a pod nim liściastą zasłonę.

Tak jak się spodziewał, w sellarii było przyjemnie ciepło. Kiedy jednak przeszedł pod łukiem, owionęło go powietrze jeszcze gorętsze, wilgotne i przesycone egzotycznymi aromatami. Motyl o niebiesko-szarych skrzydłach wielkości złączonych męskich dłoni przefrunął mu przed twarzą i przysiadł miękko na purpurowym kwiecie, ogromnym jak waza do zupy. Ścieżka brukowana szlachetnymi – przynajmniej na oko – kamieniami, węższa od żwirowej alejki w ogrodzie przy manteionie, po dwóch czy trzech krokach ginęła wśród pnączy i karłowatych drzew. Zewsząd sączył się delikatny niczym muzyka szum płynącej wody.

– Dobre miejsce – ucieszył się Oreb.

W rzeczy samej, pomyślał Jedwab. Oranżeria była bardziej niezwykła i bliska krainie snów, ale zarazem bardziej przyjazna i ludzka od sellarii. Tam nadmiar luksusu graniczył niemal z koszmarem sennym, tu komfort oddziaływał łagodniej; było ciepło, wilgotno, słonecznie i choć przeszkłony od góry ogród bywał pewnie świadkiem niezbyt miłych wydarzeń, samo słońce, woda i ciepło nie były złe. Bliskość zła tylko podkreślała ich wartość.

– Podoba mi się tu – szepnął Jedwab do Oreba. – Hiacyntowi pewnie także. Inaczej nie proponowałaby spotkania w tym miejscu, które przyćmiłoby urodę każdej mniej uroczej kobiety.

Mieniąca się w świetle ścieżka rozdawała się nagle. Jedwab chwilę się wahał, a potem skręcił

w prawo. Po kilku krokach światło znikło, szedł w poświęcie rozpostartych w górze krain niebios.

– Jego Mądrości też by się tu podobało, Orebie. Widziałem jego ogród pałacowy; wygląda podobnie, chociaż jest dużo większy i urządzony pod gołym niebem.

Znalazł wygodne siedzisko dla dwóch osób, po mistrzowsku wyrzeźbione w jednym kawałku mirtowego pnia. Miał ogromną ochotę usiąść, ale bał się, że nie będzie miał siły wstać.

– Musimy znaleźć posąg Thelxiepei – mruknął. – Tam też na pewno jest gdzie usiąść. Hiacynt nie przyjdzie, bo jest pewnie w rezydencji Krwi. Ale skoro już tu jesteśmy, można chwilę odpocząć.

– Najmocniej pana przepraszam – zabrzmiał tuż obok obcy głos, usłużny i zaaferowany.

Jedwab ujrzał jednego z lokajów.

– Słucham, o co chodzi?

– Doprawdy, proszę pana, nie wiem, jak to panu powiedzieć. Czuję się niezręcznie...

– Czy może nie powinienem w tej chwili tu przebywać? – spytał Jedwab, postanawiając sobie w duchu, że bez walki nie ustąpi. Mogą go pokonać przewagą liczebną, wezwać tłum lokajów i odźwiernych, ale proste polecenie czy wymiana zdań nie zmusi go do opuszczenia tego miejsca.

– Ależ nie, proszę pana! – Lokaj zrobił wystraszoną minę. – Wszystko jest w najlepszym porządku.

Rozpacзлиwa walka, którą Jedwab widział oczyma duszy, rozwiała się w mgiełkę niezrealizowanych możliwości.

– Jest tu pewien dżentelmen, proszę pana – ciągnął lokaj. – Bardzo wysoki, o pociągłej twarzy... W dodatku dość smutnej, jeśli wolno mi się tak wyrazić. Siedzi w sali klubowej.

– Nie idziemy – zalecił zdecydowanym tonem Oreb.

– Nie chciał mi wyjawić, jak się nazywa, proszę pana; powiedział, że to nieistotne. – Ciągnął lokaj. – Nie podał również pańskiego imienia, ale dokładnie mi pana opisał. Powiedział, że gdybym zastał pana w czyimś towarzystwie, mam nic nie mówić, tylko podać panu i pana towarzyszowi coś do picia, na jego koszt. Jeślibym jednak znalazł pana samego, miałem przekazać zaproszenie, by spotkał się pan z nim w sali klubowej.

– Nie mam pojęcia, co to za człowiek. A ty?

– Nie wiem, proszę pana. Nie należy do naszych stałych klientów; chyba nigdy przedtem go tu nie widziałem.

– Czy wiesz, gdzie znajduje się posąg Thelxiepei? Tu, w oranżerii?

– Naturalnie, proszę pana. Ów dżentelmen kazał mi szukać pana w jego pobliżu.

Jedwab uświadomił sobie, że Oosik jest wysokim człowiekiem, choć zarazem tak barczystym, że nie zwracał uwagi wyłącznie swoim wzrostem. W dodatku trudno byłoby o nim powiedzieć, że ma pociągłą twarz. Ponieważ zaś tylko on i kapitan Gekon czytali list Hiacynta, tajemniczym nieznajomym był zapewne kapitan.

– Proszę przekazać, że nie mogę mu towarzyszyć w sali klubowej – odparł Jedwab, starannie dobierając słowa. – Bardzo mi przykro z tego powodu. Będę siedział przy posągu Thelxiepei. Sam. Gdyby chciał ze mną porozmawiać, tam właśnie mnie znajdzie.

– Oczywiście, proszę pana. Dziękuję. Życzy pan sobie czegoś? Mógłbym tutaj podać przekąski i coś do picia.

Zniecierpliwiony Jedwab pokręcił tylko głową.

– Rozumiem, proszę pana. Przekażę pańską wiadomość.

– Zaraz, zaczekaj. Która godzina?

– Nie mam zegarka, proszę pana – odrzekł lokaj przepaszająco.

– To oczywiste, ja również nie. A w przybliżeniu?

– Na chwilę przed tym, jak przyszedłem do oranżerii, zerknąłem na zegar nad barem. Była za pięć dwunasta.

– Dziękuję ci – powiedział Jedwab i usiadł ciężko, nie martwiąc się już perspektywą wstawania z miejsca.

Hieraxdag, napisała Hiacynt. Nie mógł sobie przypomnieć, jak dokładnie brzmiał Ust, ale pamiętał sens jej słów. Nie podała dokładnej godziny spotkania; miała zapewne na myśli późne popołudnie, wieczór, po skończeniu zakupów. Zegar, o którym mówił lokaj, znajdował się bez wątpienia w sali klubowej, czyli, jak domyślał się Jedwab, barze z alkoholami, przeznaczonym głównie dla mężczyzn – luksusowej wersji „Koguta”, w którym spotkał się z Alką. Wątpliwe, żeby lokaj spojrział na zegar po rozmowie z nieznajomym o pociągłej twarzy. Minęło zatem co najmniej dziesięć minut od chwili, gdy zarejestrował czas. Hieraxdag dobiegł końca. Zaczął się thelxdag i jeśli nawet Hiacynt czekała tu na niego (co było niezmiernie mało prawdopodobne), nie zdążył na czas.

– Cześć, szczebiotko! – zawołał Alka, wynurzając się z mrocznej czeluści bocznego korytarza. – On chce, żebyśmy realizowali plan Paha.

Acalypha stanęła jak wryta.

– Ogierku! Wszędzie cię szukałam! – Nie posiadał się ze zdumienia, gdy rzuciła mu się na szyję i wybuchnęła płaczem.

– Dobrze już, dobrze, szczebiotko. – Była głęboko nieszczęśliwa, a on wiedział, że w jakiś pokrętny sposób przyczynił się do tego nieszczęścia, chociaż wcale źle jej nie życzył i myślał o niej z czułością, kiedy już w ogóle przychodziła mu na myśl. – Przepraszam cię – mruknął i puścił rękę Tartarosa, by przytulić Acalypnę.

Kiedy wreszcie przestała pochlipywać, pocałował ją najdelikatniej, jak potrafił. Oddała mu pocałunek gorąco i namiętnie, otarła oczy, pociągnęła nosem i przełknęła łzy.

– Na Hieraxa, ogierku! Ale się za tobą stęskniłam! Byłam taka samotna i wystraszona. Przytul mnie!

Alka zdumiał się, bo już obejmował ją oburącz.

– Przepraszam, szczebiotko – rzucił na próbę, a kiedy to nic nie pomogło, dodał: – Już cię nie opuszczę, chyba że sama mi każesz.

– Nic się nie stało. Możesz mnie czasem zostawiać, bylebyś tylko wracał.

– To ja ci go dałem? – spytał Alka, wskazując pierścionek na palcu dziewczyny.

– Tak, dzięki. – Acalypna cofnęła się o krok i podniosła rękę, żeby się pochwalić, ale blada zielonkawa poświata nie rozświetliła należycie oczka. – Podoba mi się, ale mogę ci go w każdej chwili zwrócić, gdybyś potrzebował szmalu.

– Mam tyle kasy, że ci go dałem?

– Zapomniałeś, co? – Przyjrzała mu się badawczo. – To pewnie przez to, że tak się wyróżnałeś w łeb. A może jakiś bóg cię opętał? Tak jak Kypris mnie? Dalej nie pamiętam wielu rzeczy, które się wydarzyły, kiedy Kypris albo Scylla mną kierowały.

Alka potrząsnął głową i stwierdził z ulgą, że już go nie boli.

– Żaden bóg nigdy mną nie rządził, szczebiotko. O Kypris pierwszy raz słyszę, ale kiedy byłaś Scyllą, zachowywałaś się całkiem inaczej.

– Trochę w tym winy Scylli, a trochę pewnie i mojej. Przytul mnie mocniej; tak mi zimno.

– Opalenizna już cię nie piecze?

– Prawie nie. Skóra zaczyna mi schodzić. Ptak skubał te odłazące kawałki dziobem, ale kazałam mu przestać.

– Gdzie on jest?

– Nie wiem, może razem z patere i Pięściakiem. Żubr dał nogę, to za nim pobiegli. Ja też, ale tunel się rozwidłał...

– Jasne. Dużo widziałem takich rozdroży.

– No więc pomyślałam sobie, że oni już nie będą szukać Alki, a ja bym chciała. Zwolniłam trochę i kiedy skręcili w jedną stronę, ja poszłam w drugą. Ptak chyba poleciał za nimi.

– Słyszałem, jak mnie wołasz.

– Oj, wołałam, darłam się na całe gardło, aż zachryłam. Ogierku, tak się cieszę, że cię znalazłam!

– To myśmy cię znaleźli – odparł z powagą złodziej. – Kiedy pobiegłem na oślep przed siebie, szczebiotko... – Zawiesił głos i podrapał się po masywnej szczęce.

– Widziałeś kogoś, ogierku. Albo przynajmniej zdawało ci się, że widzisz. Patere też zwrócił na to uwagę.

– Widziałem Dropia, mojego brata. On nie żyje. Nie żyje, a przyszedł do mnie i rozmawialiśmy. To znaczy, tak naprawdę nie przyszedł, ale jakby mi się śnił... Chociaż teraz wcale nie jestem pewien. Rozumiesz?

– Chyba tak – przytaknęła niepewnie Acalypha. Miała wrażenie, że szare rakplastowe ściany napierają na nią ze wszystkich stron.

– Potem sobie poszedł, a ja strasznie za nim tęskniłem. Tak jak wtedy, kiedy umarł. No i gdy znów go zobaczyłem, pewnie ze dwie, trzy godziny później, wołałem i chciałem go dogonić, ale mi się nie udało. Zabłądziłem, ale nie przejmowałem się tym, bo szukałem Dropia, a on mógł być wszędzie. I tak spotkałem Tartarosa. Zawsze mówię o nim „Przerażający”, bo tego drugiego określenia nie pamiętam.

– Spotkałeś boga, ogierku? Tak jakbyś kogoś zobaczył na ulicy?

– Mniej więcej. – Alka usiadł na posadzce. – Siądziesz mi na kolanach, tak jak dawniej, szczebiotko? Byłoby miło.

– Chętnie. – Acalypha usiadła plecami do niego, odłożyła wyrzutnię, założyła nogę na nogę i odchyliła się wygodnie w tył. – Od razu mi lepiej, ogierku. O wiele cieplej. Rzadko to teraz robię, bo wiem, że swoje ważę. Orchidea mówi, że robię się gruba, od miesięcy mi to powtarza.

Alka przytulił ją mocniej, rozkoszując się miękkością jej ciała.

– To ona jest gruba, nie ty, szczebiotko.

– Dzięki. A ten bóg, co go spotkałeś... Tartaros... to dla ciebie ktoś taki, jak dla nas Kypris.

– Tak, tylko że on jest jednym z Siedmiu.

– Wiem. Tardag.

– Opiekuje się nie tylko złodziejami. Przede wszystkim jest bogiem nocy; zawsze przebywa w ciemności. W snach też. No bo niby każdy bóg może zsyłać sny, jeśli ma ochotę, ale te zwyczajne, których nikt specjalnie nie zsyła, są jego. Mówię o nim Tartaros Przeróżający, bo jak się nie powie „przeróżający”, albo to drugie słowo, maytere się czepia. Na pewno potrafi być okrutny, ale dla mnie był w porządku. Pokazał mi, gdzie cię znajdę, jak stąd wyjść i w ogóle. Stoi teraz koło nas, ale go nie widać, bo jest ślepy.

– Jest teraz z nami? – Acalypha wytrzeszczyła z niedowierzaniem oczy.

– Siedzi koło mnie, chociaż na twoim miejscu nie wyciągałbym ręki, żeby go namacać. Może nic ci nie robi, ale...

Acalypha już machnęła ręką w tył, na prawo od Alki, trafiając w pustkę. Złodziej złapał ją za ramię i potrząsnął lekko.

– Nie rób tego, szczebiotko. Prosiłem.

– Nie ma go. Nic tam nie ma.

– Niech ci będzie, nic nie ma. Nabrałem cię.

– To bardzo brzydko z twojej strony. – Acalypha wstała. – Nie masz pojęcia, jaka jestem wystraszona i głodna.

– Wiem, to nie było specjalnie zabawne. – Alka również podniósł się z ziemi. – Przepraszam szczebiotko. Już nie będę. Chodź.

– Dokąd?

– Wychodzimy stąd.

– Naprawdę, ogierku?

– Naprawdę. Jesteś głodna; ja też. Wyjdziemy i zafundujemy sobie bombowy obiad, u Wieprzka albo w jakiejś innej niezłej knajpie. Wynajmiemy pokój, żeby trochę odsapnąć; on mówi, że powinienem odpocząć. Potem może zrobimy to, co nam Scylla kazała, jeszcze nie wiem. Musiałbym go zapytać.

– Tartarosa? Naprawdę go spotkałeś?

– Tak. Tam jest okropnie ciemno i mokro, tak jakby woda przeciekała przez dach. Gdybyś to zobaczyła, pewnie byś nie weszła do środka.

– Cały czas niosę latarnię Pawiana, ogierku, tylko nie mam jej jak zapalić.

– Nie ma po co. To blisko.

– Mówiłeś, że wychodzimy spod ziemi.

– Zajrzymy do niego po drodze. – Alka stanął naprzeciw dziewczyny. – Chociaż i tak byśmy tam poszli, nawet jakby nam nie było po drodze. Chce nam coś pokazać. Właśnie mi o tym powiedział.

Acalypha otuliła się ciasniej togą Kowadefka.

– To prawdziwy bóg, Tartaros – mówił dalej Alka. – Z moją głową jest coś nie tak, bo nabiłem sobie guza, rozciąłem skórę i mam strupa. Powiedział, że spróbuje mnie wyleczyć, i czuję się coraz lepiej, ale muszę go słuchać, więc pójdiesz teraz ze mną, choćbym cię miał tam siłą zawlec.

– Dzieweczka drewniana! – skrzeknął Oreb. – Tutaj dziewczeczka!

Jedwab się wyprostował: „dzieweczka” mogła przecież okazać się Hiacyntem. Jeżeli istniała choćby najbliższa możliwość, że się zjawi – jedna szansa na tysiąc, jedna na milion – musiał tam pójść. Zmusił się do wstania z ławy, wziął torbę, odkaslnął, splunął i poczłapał przed siebie. Ścieżka wiła się to w prawo, to w lewo, zbiegała w dół do małej dolinki i rozwidlała się. Olbrzymie kwiaty, białe niczym duchy, ociekały wilgocią.

– Już idę, Orebie. Powiedz jej, że idę.

– Tutaj! Tutaj!

Głos kruka dobiegał z bardzo bliska. Gdy Jedwab zszedł z wysadzanej klejnotami dróżki, stopy zapadły mu się w miękką ziemię. Rozgarnął liście. Twarz, którą ujrzał, mogłaby należeć do trupa – miała zapadnięte policzki i puste spojrzenie. Zaparło mu dech w piersi, gdy poruszyły się blade, jakby pozbawione krwi usta. Dwoiło mu się w oczach. Zrobił jeszcze jeden krok, starając się jak najdelikatniej odgarniać gąszcz roślin, i wyszedł na czerwone kamienie okalające nie większe od dużego obrusa oczko wodne. Ścieżka prowadziła nad wodę od drugiej strony.

– Tutaj dziewczeczka! – Oreb przeskoczył na głowę drewnianej figury i postukał w nią dziobem.

– Zgadza się – przytaknął Jedwab. – To Thelxiepeia. – Żadna inna bogini nie miała lekko skośnych oczu i żadnej innej nie przedstawiano z marmozetą na ramieniu. Postukał palcem w odbicie własnej twarzy, potem klasnął w dłonie, ale w srebrzystej toni nie pojawiło się oblicze monitora. – To zwykłe lustro, a nie szkło, jak przez chwilę myślałem. Miałem nadzieję, że może Hiacynt się ze mną skontaktuje.

– Nie rozmawiasz?

– Tym razem niestety nie.

Opierając się o jakieś przyjazne drzewo, Jedwab obszedł stawek i znalazł się obok ustawionej nad wodą huśtawki ogrodowej. Widział stąd – tak jak opowiadał mu Oosik – odbicie oczka w lustrze i lustra w wodzie.

Hieraxdag to dzień umierania i oddawania czci zmarłym, pomyślał. Żuraw zmarł, tymczasem on, Jedwab, nie dość, że wciąż żył, to jeszcze całkiem o nim zapomniał. W thelxdag, który nadchodził po hieraxdagu, czytało się przyszłość ze szklanych kul, wróżyło z kości, rzucało czary i polowało. Usiadł na huśtawce i zamknął oczy. Thelxiepeia była zarazem najokrutniejszą i najłagodniejszą z bogiń, bardziej zmienną nawet niż Molpe, chociaż mówiło się, że lubi opiekować się zakochanymi – co wyjaśniałoby obecność jej posągu w takim miejscu. Miłość jest przecież najwspanialszym z zaklęć. Gdyby Echidnie i jej dzieciom udało się zgładzić Kypris, Thelxiepeia na pewno, bez wątpienia...

Przed upływem wieku stałaby się nową boginią miłości, dokończył Zewnętrzny, znajdujący się nie za plecami Jedwabia, jak to miało miejsce na boisku, lecz przed nim. Stał na nieruchomej wodzie pośrodku stawku, wysoki, mądry i łagodny, o twarzy, która prawie nie rozmazywała się Jedwabowi w oczach. Upomniałbym się o nią wtedy, ciągnął. Na długo przed końcem, tak jak upomniałem się o wielu innych. Kypris też należy do mnie, gdyż wszelka miłość ze mnie wypływa, każda prawdziwa, szczerza miłość. Pierwsza miłość.

Zewnętrzny był tancerzem, a powierzchnia wody – parkietem, na którym tańczył z Kypris, przy czym Kypris była zarazem Hiacyntem i matką. Pierwsza miłość, śpiewał Zewnętrzny z pozytywką w rękach. Pierwsza miłość. To dlatego nazywano go Zewnętrznym. Był poza...

– Mam... hm... nadzieję, że... aaa... nie przeszkadzam...

Jedwab otrząsnął się nagle i powiódł dookoła dzikim wzrokiem.

– Człowiek idzie – oznajmił Oreb. – Zły człowiek. – Ptak siedział na kamieniu nad wodą. Dziobnął na próbę srebrną strzeblę, która uciekła w popłochu.

– Prezentacja jest... hm... cokolwiek zbędna, nieprawdaż? Wiem, kim jesteś, a ty wiesz, kim ja jestem, czyż nie? Niech nam to wystarczy.

Jedwab rozpoznał gościa, ale postanowił się nie odzywać.

– Znakomicie. Ja... aaa... To znaczy my obaj mocno... eee... ryzykujemy. Ostro... hm, hm... gramy, już przez sam fakt, że... aaa... znajdujemy się tam, gdzie powinniśmy. Na Palatynie, co?

– Nie usiądziesz? – Jedwab z wysiłkiem wstał.

– Nie, ja... eee... nie. – Przybysz beknął cicho. – Dziękuję. Czekałem w... hm... barze, gdzie byłem zmuszony... aaa... kupować drinki. I... hep! I pić! Chętnie postoję, hep! Przynajmniej na razie. Jeśli pozwolisz, chciałbym tylko... hm, hm... wesprzeć się na tym. Ale ty nie wstawaj... eee... nie kłopotz się, pa... – Zasłonił usta dłonią. – Nie kłopotz się. To ja powinienem... I dlatego... Jak sam

widzisz, prawda?

Jedwab wrócił na huśtawkę.

– Czy mogę zapytać...

Przybysz przerwał mu, podnosząc dłoń.

– Skąd wiedziałem, że cię tu znajdę? Nie wiedziałem, pa... Nie wiedziałem, nic z tych rzeczy. Ale siedząc w tym... hep! Jak zwał, tak zwał... widziałem, jak wchodzisz do pokoju. Nie do tego, gdzie... eee... byłem, obitego ciemnym drewnem lokalu do picia. Poszedłeś dalej, do tej dużej sali.

– Do sellarii – podpowiedział Jedwab.

– Aaa... Właśnie. Ja zaś... hm... podszedłem do drzwi. Śledziłem cię. – Przybysz z niedowierzaniem pokręcił głową.

– W tych okolicznościach to zrozumiałe – usprawiedliwił go Jedwab. – Sam postępowałem ostatnio znacznie gorzej.

– Dobrze o tobie świadczy, że się do tego przyznajesz. To ja... hm... wysłałem tego lokaja. Rozmawiałeś z nim.

Jedwab skinął głową.

– Widziałem, że przeszedłeś pod... eee... łukiem. Ja nigdy nie... hm... nie miałem przyjemności być tu... aaa... osobiście. Domyślałem się wszakże, iż... aaa.. mieści się tu swojego rodzaju ogród. Zapytałem o niego lokaja, a on... hm... wyjaśnił mi, że ogród ten przeznaczony jest dla tych, którzy chcą... eee... wieść rozmowy natury... hm... miłosnej.

– Wiedziałeś, że tu będę, dokładnie w tym miejscu. – Jedwab czuł się bardzo nieswojo, nie mogąc dodać „Wasza Eminencjo”. – Kazałeś lokajowi tu mnie szukać.

– Ależ nie! Nie! Przewidywałem, że... hm... mogłeś przybyć tu na umówione spotkanie. O czym i on... aaa... napomknął. Ja jednak... eee... myślałem ponadto, iż... hm... możesz chcieć... aaa... porozmawiać z nieśmiertelnymi bogami. Tak jak... eee... ja to czynię. Spytałem o stosowne miejsce w tej oto... hm... palmiarni, lokaj zaś powiedział mi o tym... eee... arcydziele sztuki snycerskiej. – Przybysz się uśmiechnął. – Zgodziłem się z nim, że to właściwe miejsce, i powiedziałem, że tam zapewne cię znajdzie. Czy miałbyś coś przeciwko temu, bym i ja teraz... aaa... spoczął? Obok ciebie? Jestem cokolwiek... hm, hm... zmęczony.

– Ależ oczywiście, proszę. – Jedwab przesunął się w bok.

– Dziękuję ci... aaa... dziękuję. Bardzo rozsądnie. Nie jadłem kolacji; nie chciałem niczego zamawiać w... eee... w tym miejscu. Z winem. To skąpstwo. Głupota... hm... Skrajna głupota.

– Łap ryby – zaproponował Oreb.

Rozmówca Jedwabia nie zwrócił na ptaka uwagi.

– Mam pewne fundusze. A ty?

– Ani grosza.

– Proszę, pa... chłopcze. Podstaw ręce. – Złote karty sypnęły się Jedwabiowi na kolana. – Nie, nie! Weź je! I resztę... jeszcze więcej. Skąd je mam? Zaczekaj na lokaja i kup sobie coś do jedzenia. I dla mnie... aaa... przy okazji. Znalazłem się... eee... w potrzebie. Potrzebuję... hm... pomocy. Wsparcia. Tak to... eee... pokrótce wygląda. Zdaję się... hm... Zdajemy się na... eee... twoją... aaa... litość.

Jedwab przeniósł błagalny wzrok na Thelxiepię, która odpowiedziała mu niewzruszonym, drewnianym spojrzeniem. Czy była zaklęta w złoto, które – przynajmniej w przenośni – stopi się pod jego dotykiem? A jeżeli nie, to co takiego uczynił, by zasłużyć sobie na jej względy?

– Dziękuję – wykrztusił wreszcie. – Służę Waszej... Z przyjemnością będę ci służył. – Przeliczył karty, nie patrząc na nie: siedem sztuk.

– Przyszli do pałacu, do samego... eee... pałacu. Nie do wiary, co? – Przybysz usiadł i objął głowę rękoma. – Jadłem właśnie... obiad, kiedy wszedł... goniec, tak? Chłopak na posyłki. Biegałeś tak kiedyś?

– Nie, ale wiem, że są tacy posłańcy.

– Niektórzy z nas też nimi byli, na przykład ja. Dawno temu. Kiedy zapisaliśmy się... aaa... do scholi. I... potem. Niektórzy. Taki grubas. Dalej jest gruby. Powiedział, że mnie aresztują. I aresztują Jego Mądrość! Bzdura, odpowiedziałem. Zjadł mój deser, wiesz? Oni... hm, hm... się zjawili. Bez zapowiedzi. Z oficerem... eee... kapitanem, porucznikiem, kimś takim. I pełno gwardzistów wszędzie. Szukali Jego Mąd... Wywrócili pałac do góry nogami. Ale go nie znaleźli. Wzięli mnie. Związali mi ręce. Mnie! Za plecami, pod togą.

– Przykro to słyszeć – zapewnił go szczerze Jedwab.

– I zanieśli mnie do... aaa... kwatery drugiej brygady. Tymczasowej kwatery. Czy zrozumiałe... eee... jasno się wyrażam? Dom brygadiera. Nie ma już... eee... tytularnych generałów w gwardii. Żadnego generalissimusa, tylko ci... aaa... brygadierzy. Wypytywali mnie, wiesz? Godzinami, o wszystko. O list starego Kwezala... Wiesz o nim?

– Tak, czytałem.

– Ja go... eee... napisałem. Ale nie... hm... nie poinformowałem o tym brygadiera. Nie przyznałem się. Zastrzeliliby mnie, nie? Spodziewaliśmy się... to znaczy ja wiedziałem, że będą

kłopoty. Bardzo się starałem dobrać... aaa... delikatne słowa. Jego Mąd... w ogóle nie chciał o tym słyszeć. – Twarz przybysza przypominała pysk zaszczutego psiaka; oddech cuchnął mu winem. – Rozumiesz... eee... o kogo mi... hm, hm... chodzi?

– Naturalnie.

– Odrzucił pierwszą wersję. Drugą też. Od lat mi się to nie zdarzyło, wiesz? Dopiero za trzecim podejściem się udało. „Mógłbym w tym miejscu nakazać...”. Tak, nakazać. „Iżbyśmy go powitali i byli mu posłuszni jak jednemu z nas. Z rozkoszą mówię jednak... powitajmy go i...” eee... „bądźmy mu posłuszni, albowiem jest jednym z nas!”. Tak musiałem napisać, żeby Jego... żeby człowiek, którego obaj znamy, zaakceptował trzecią wersję. Jestem z tego listu dumny, wiesz?

– I nie bez powodu – rzekł Jedwab. – Tyle że gwardii cywilnej to nie interesowało. Dziwię się, że puścili cię wolno.

Ziewnął i przetarł oczy. Lepiej się poczuł po tej krótkiej drzemce.

– Przekonałem ich, żeby mnie puścili, wiesz? Jestem elokwentny. Nikt o mnie tak nie mówi; „nudziarz na ambonie”, tak mówią. Wiem, wiem, że tak jest. Ale dziś byłem elokwentny. Wóz albo przewóz, pomyślałem i udało mi się, pa... Udało mi się. Pośrednik. Emisariusz. Zakończę bunt. Porozumieli się przez szkło z radcą Lorim. Nieszkodliwy... hep! Puśćcie go. Spada morale, strzelają do augurów, wiesz? I do sybilli. I ten... hm... list. Świecki strój, tak jak ty, bardzo... eee... mądrze. Boję się, strasznie się boję. Nie przejęli się... eee... oskarżeniem. Przyznali się. Siedziałem jak na szpilkach, oglądałem się, czy po mnie nie idą. Popijałem, wiesz? Podskakiwałem jak królik, kiedy tragarz na ulicy coś upuścił.

– Chyba każdy się boi, kiedy wie, że jego życie jest zagrożone. Bardzo to Waszej... Bardzo to szlachetne, że się do tego przyznajesz.

– Pomożesz... eee... pomożesz mi? Jeśli to możliwe...

– Uwaga! – Oreb oderwał się na chwilę od polowania na rybki.

– Jestem zmęczony i bardzo słaby, ale zgadzam się, pomogę. Czy to daleko?

– Nigdzie nie musisz iść. – Przybysz sięgnął pod kremową tunikę. – Mówiłem ci, że... aaa... to nie mnie szukali, prawda? Nie mnie, tylko starego Kwezala. Przewodniczącego Kapituły, Jego Mądrość. Podpisał list, nie?

Jedwab skinął głową.

– Zabiliby go, wiesz? Wcześniej. Wcześniej, kiedy mnie... eee... zniewolili. Było, minęło. Teraz jest... hm... po północy, dochodzi pierwsza. Późno mnie wypuścili. Mówiłem o tym? W porze kolacji... Później nawet, po kolacji. Znają twoją... eee... profesję, twoje powołanie. Mięta jest sybillą, tak?

– Oczywiście.

Przybysz spod tuniki dobył elegancki piórnik ze strusiej skóry.

– Stary Kwezal stoi po drugiej stronie. Na pewno. Widać po liście. No i jeszcze ta... hm, hm... sprawa. Powołanie. Brygadier uznał, że możemy, ja i on, doprowadzić do... eee... wstrzymania działań. Do rozejmu. Dał słowo. Jeden już był, wiesz? Więc czemu by nie?

– Zawarto rozejm? – Jedwab wyprostował się czujnie. – To wspaniale!

– Nieduży, objął kilkuset ludzi. Długo nie przetrwał. Ale augur ... jeden z naszych... eee... od nas z Kapituły, przeszedł linię frontu, z jednej strony na drugą, wiesz? Musieli przestać strzelać, żeby mógł przejść. Syn pułkownika, ranny. Prawie umierający. I ten... aaa... święty augur przyniósł mu pojednanie. Na razie rozejm trwa. Buntownicy... hm... poprosili o przedłużenie, żeby obie strony mogły... aaa... zabrać ciała. Pozbierać swoich umarłych, rozumiesz? Pozbierali, no to może dłużej? Stary Kwezal mógłby to zrobić, obie strony go szanują. Człowiek pokoju. On by mógł, prawda?

Jedwab znów kiwnął głową.

– A jeśli twoi... aaa... zwolennicy dowiedzą się, że... eee... brygadier mnie przysłał? Co będzie? Zastrzelą, co? Na pewno. No więc muszę mieć od ciebie jakiś dokument, pa... Przez ciebie podpisany. Twoim... – zniżył głos do szeptu – twoim... hm... cywilnym tytułem.

– Rozumiem. Oczywiście, napiszę ci go.

– Znakomicie! – Przybysz wyjął z piórnika arkusz papieru. – Te wszystkie... aaa... wymyślne pergaminy źle znoszą sztukę... eee... piśmienniczą. Ale papier będzie w sam raz, nie? Potrzymam ci kałamarz. Krótka... aaa... zwięzła. Konkretnie... hm, hm... Okaziciel... eee... niniejszego... Uszanować jego...

– Nie strzelać – odpowiedział Oreb.

Przybysz podał Jedwabiowi pióro.

– Wystarczająco ostre? Nie za cienkie, co? Mój protonotariusz, pa... Kowadełko. Znasz go?

– Widziałem go kiedyś. Chciałem się z tobą spotkać, ale mnie zatrzymał.

– Ach tak? Hm...

Oparłszy piórnik na kolanach, Jedwab zamoczył pióro w atramencie.

– Aaa... Kowadełko. To on je dla mnie ostrzy. Ostatnio kazałem mu przyciąć pióra w ... eee... molpdag. Za cienkie, niestety. Jak włos. Pozbędę się Kowadełka... hm... już wkrótce. Może już nie żyje, przebywa z bogami. Dawno go nie widziałem. Wysłałem go w pewnej... aaa... misji. Nie wrócił. Te niepokoje.

Pochylony nad papierem Jedwab słuchał jednym uchem.

Do generał Mięty, jej oficerów i żołnierzy.

Okaziciel niniejszego pisma, patere Remora, ma upoważnienie zarówno moje, jak i...

Jedwab podniósł wzrok znad listu.

– Z kim rozmawiałeś? Jak się nazywa brygadier, który cię wypuścił?

– Brygadier... aaa... Bielik. Podpisał mi się, wiesz? Dał mi taki list.

...jak i brygadiera Bielika, do negocjowania rozejmu. Proszę okazać mu wszelką pomoc i uprzejmość.

Cienki koniuszek pióra zamarł bez ruchu i zaczął ociekać atramentem, grożąc zrobieniem kleksa na papierze. Nie było o czym więcej pisać, ale Jedwab zmusił się do wysiłku.

Jeżeli znane jest wam miejsce pobytu Jego Mądrości przewodniczącego Kapituły, proszę skontaktować z nim okaziciela niniejszego, by mógł asystować Jego Mądrości w prowadzeniu negocjacji.

Oreb wypuścił z dzioba wyrywającą się złotą rybkę i przydepnął ją szponiastą łapą.

– Nie strzela – powtórzył. – Człowiek schowany.

Niniejszym uznaję was odpowiedzialnymi za bezpieczeństwo okaziciela listu i Jego Mądrości. Obu nadaję prawo swobodnego poruszania się, bez przeszkód ze strony waszych patroli.

Zawarcie i utrzymanie rozejmu jest nad wyraz pożądane.

Patere Jedwab z ulicy Słońca, caldê

– Znakomicie! Tak, znakomicie, pa... Dziękuję!

Oreb podniósł łebek i przełknął kawałek ryby.

– Dobry człowiek – oznajmił głośno.

– Gdzieś tu powinno być... hm... pudełko. – Gość zabrał Jedwabiowi piórnik, wyjął zeń srebrny pojemnik z dziurkami. – Potrzebny ci piasek?

Jedwab wzdrygnął się, opatrzył list datą i dmuchnął na papier. Odchrząknął i splunął krzepnącą krwią na ścielący mu się pod nogami mech.

– Dziękuję. Już to... eee... zresztą, że tak powiem... hm... chyba powtarzałem. Jestem twoim... aaa... dozgonnym dłużnikiem.

Jedwab oddał przybyszowi list żelazny.

– Jak mniemam, mogę już... aaa... wstać i... hm, hm... iść. Dość odpoczynku. Zakreśliło mi się... eee... w głowie. Trochę... hm... przez chwilę. – Przybysz wstał, trzymając się mocno łańcucha, na którym zawieszona była huśtawka. – Chyba coś teraz... aaa... zjem. Jakies... eee... lekkie danie. Nie chciałbym się... hm... narzucać, ale...

– Jadłem już sutą kolację. – Jedwab wszedł mu w słowo. – Poza tym niebezpiecznie byłoby pokazywać się razem. Zostanę tutaj.

– Ja również... eee... tak uważam. – Gość puścił łańcuch. – Jak coś zjem, poczuje się świetnie. Za dużo wina... eee... przyznaję. Nie powinienem tyle pić. Bałem się, ale po winie było jeszcze gorzej. I pomyśleć, że tyle... hep! Płacimy...

– Umilkł nieoczekiwanie, a jego uśmiezek przeobraził się w stężyły uśmiech trupa. – Cześć, Jedwabiu. Kazali mi cię znaleźć.

Jedwab ze znużeniem skinął głową.

– Witaj, Pleśnio.

– Strasznie tu zadymione. Duszno mi.

Nie od razu zrozumiał, o co jej chodzi.

– Ciemno, Jedwabiu. Jakbym spadała po schodach do piwnicy.

– To chyba opary wina. Kto ci kazał mnie znaleźć?

– Radcy znów mnie przypalą.

– Torturują cię, kiedy nie chcesz wypełniać ich poleceń? – Jedwab usiłował nie okazać po sobie złości, jaka go ogarniała. – Znasz tych radców, którzy ci grożą?

Przybysz z uśmiechem pokiwał głową.

– Lori. Tarsjusz. Wari. Mój ojciec się opierał, ale żołnierz kazał mu iść.

– Rozumiem. Jego Eminencja... człowiek, w którego ciało weszłaś, mówił mi, że rozmawiał przez szkło z radcą Lorim. Czy dlatego nim zawładnęłaś, gdy wysłano cię na poszukiwania?

– Musiałam. Przypalili mnie, jak Piżmo.

– W takim razie słusznie uczyniłaś, poddając się ich woli i unikając ognia. Nie winię cię za to.

– Zabijemy cię, Jedwabiu.

Krzewy nad stawkiem zatrzęsły się, z liści spadły krople wody cieplej jak krew i z gęstwiny wynurzył się siwowłosy mężczyzna. W jednej ręce trzymał zdobioną srebrem laskę, którą rozgarnął zarośla, w drugiej zaś szablę, której czubek był wycelowany w serce gościa.

– Stój! – powstrzymał go Jedwab.

– Nie kij – dodał Oreb z miną kogoś, kto ostatecznie wyjaśnia nieprzyjemną sytuację.

– To ty jesteś Jedwab, chłopcze! Ty sam!

– Obawiam się, że to prawda. Jeżeli wyszedłeś z ukrycia, by mnie chronić, byłbym zapewne bezpieczniejszy, gdybyś zechciał mówić nieco ciszej. – Po tych słowach Jedwab ponownie zwrócił się ku trupiej twarzy: – Jak chcesz mnie zabić, Pleśnio? Ten człowiek ma ze sobą igłowiec Piżma; przypuszczam, że śledził mnie, by mi go oddać. Czy masz... Czy człowiek, którego opętałaś, ma broń?

– Kiedy im powiem, przyjdą po ciebie.

– Rozumiem. A jeśli tego nie zrobisz, przypalą cię.

– To mnie zmusza do powrotu. Nie mogę wchodzić w ciała ludzi, kiedy mnie palą.

– Musimy cię uwolnić. – Jedwab podniósł nogę i roztarł bolącą kostkę. – Mówiłem, że przywodzisz mi na myśl diabła... Doktorowi Żurawiowi na pewno tak powiedziałem. Myślałem tak o tobie także wówczas, gdy ujrzałem śpiących. Zapomniałem tylko, że diabły, które dręczą innych, same też cierpią katusze.

– Mam go zabić, chłopcze? – Szabla przysunęła się o cal do piersi człowieka owładniętego przez Pleśń.

– Nie. W jego osobie nasze miasto ma szansę na pokój, a ja wątpię, żebyśmy zabijając go, uciszyli Pleśń. Na nic się tu nie przydasz.

– Mogę cię chronić, chłopcze!

– Zanim opuściłem twój dom, wiedziałem już, że tej nocy stanę twarzą w twarz z Hieraxem – odrzekł ponuro Jedwab. – Nie widzę jednak powodu, byś umierał wraz ze mną. Jeżeli śledziłeś mnie przez pół miasta po to, by oddać mi zgubiony igłowiec, daj mi go i odejdz.

– Weź i to! – Siwowłosy mężczyzna podał mu laskę. – Kulejesz, prawda? Kulałeś, kiedy walczyliśmy! Weź ją! – Rzucił Jedwabiowi laskę, po czym sięgnął po igłowiec i również cisnął mu na kolana. – Jesteś caldé, chłopcze? Tym, o którym wszyscy mówią?

– Chyba tak.

– Przecież Alka mi o tobie mówił! Jak mogłem zapomnieć? Powiedział, jak się nazywasz! Ale przypomniałem sobie dopiero, jak ten augur zwrócił się do ciebie po imieniu. Radcy! Lori? Chce cię zabić?

– Wari i Tarsjusz też. – Jedwab najpierw odłożył igłowiec na bok, ale zastanowiwszy się chwilę, wziął go z ławki i schował za pasek. – Cieszę się, że o tym wspomniałeś. Byłbym zapomniał, a lepiej nie kusić losu. Pleśnio... czy musisz od razu wracać do Loriego? Jeśli to możliwe, chciałbym prosić cię o przysługę.

– Słucham.

– Dziękuję. Czy radca Lori powiedział ci coś o człowieku, w którego ciało wstąpiłaś? Czy kazał ci go znaleźć?

– Ja go znam, Jedwabiu. Rozmawia z człowiekiem, którego nie ma.

– Masz na myśli Paha... Tak, istotnie, rozmawia z nim. Czy Lori powiedział ci, dlaczego masz go znaleźć?

– Nie. Zaraz muszę odejść.

– Idź najpierw do maytere Mięty... do generał Mięty. – Jedwab podrapał się o policzku. – Powiedz jej, gdzie jestem, i przekaz, że będą chcieli mnie tu zabić. Potem powiedz maytere Marmur...

– Dzieweczka idzie – zauważył Oreb. Rzeczywiście, trupi uśmiech bladł z wolna. Jedwab westchnął i wstał.

– Schowaj miecz, proszę. Nie będzie nam potrzebny.

– Opętanie? Czy nie tak to nazywacie, chłopcze?

– Zgadza się. Zaraz dojdzie do siebie.

Gość Jedwabia chwycił się łańcucha, żeby złapać równowagę.

– Byłeś łaskaw wyrazić swą opinię, pa...? Znowu miałem chyba... aaa... zawroty głowy. Przyjmij, proszę, moje... hm... najszczęsze przeprosiny. A ten... eee... pan to...

– Mistrz Miecznik, nauczyciel szermierki, Wasza Eminencjo. Mieczniku, oto Jego Eminencja patere Remora, koadiutor Kapituły.

– Doprawdy, patere... eee... Czy nie mógłbyś wyrażać się nieco... hm... oględniej?

– Chyba już na to za późno, Wasza Eminencjo. Nic Waszej Eminencji nie grozi. Ja zaś jestem w niebezpieczeństwie tak poważnym, że niewiele by zmieniło, gdybyście z Miecznikiem pierwszemu napotkanemu gwardziście powiedzieli, iż caldé Jedwab oczekuje w „Gronostaju” na aresztowanie.

– Doprawdy! Ja... eee...

– Mówiłeś, żeś rozmawiał z radcą Lorim, Wasza Eminencjo. Przez szkło, od brygadiera Bielika.

– Ależ... aaa... tak.

– Przez chwilę – Wasza Eminencja miał wtedy zawroty głowy – podejrzewałem, że to Lori powiedział Waszej Eminencji, gdzie mnie szukać; że pewna osoba z domu, w którym akurat przebywa, zdradziła mu, iż mogę tu być, lub że ktoś inny, zaufany, mu o tym powiedział. Mogło to wyglądać całkiem niewinnie... Ale nie było tak, gdyż Lori przysłał tu kogoś, by mnie odnalazł. Z całą pewnością informacja przepłynęła w drugą stronę. Wasza Eminencja wiedział, że mogę tu przyjść; wątpię, żebyś wprost oznajmił to Loriemu, gdyż nie miałeś pewności, czy zastaniesz mnie w „Gronostaju”. Powiedziałeś jednak coś takiego, Eminencjo, że Lori stał się podejrzliwy. Na jego miejscu kazałbym Bielikowi śledzić Waszą Eminencję; dzięki pewnym moim nieostrożnym uwagom z tardagu nie musiał tego robić. Czy Wasza Eminencja powie mi teraz, skąd miał te informacje?

– Przysięgam, patere, zapewniam cię...

– Będziemy musieli odłożyć tę rozmowę na później. – Jedwab wstał, zachwiał się na nogach i oparł na lasce. – Przed chwilą zabroniłem Miecznikowi cię zabić, Wasza Eminencjo. Zastanawiam się, czy nie uczyniłbym słuszniej, każąc mu jednak dokonać mordu, ale nie mam czasu na pytania. Musimy stąd zniknąć, zanim pojawią się gwardziści. Ty, Mieczniku, wracaj do domu. Jesteś wyśmienitym fechtmistrem, ale nie obronisz mnie przed oddziałem gwardii uzbrojonym w pistolety. Wasza Eminencja uda się do maytere Mięty, nie tracąc czasu na napełnianie żołądka. Jeżeli...

– Dzieweczka idzie! – Oreb wskoczył Jedwabowi na ramię, zatrzepotał skrzydłami i dodał; – Idzie szybko!

Jedwab stracił pełną sekundę, wpatrując się w twarz Remory i szukając w niej rysów Pleśni, lecz i tak ujrzał piękną Hiacynt, zanim jeszcze usłyszał tupot jej bosych stóp na wyłożonej fałszywymi klejnotami ścieżce. Biegła w samej bieliźnie, z otwartymi ustami, a w oczach wzbierały jej łzy. Włosy powiewały za nią jak burzowa chmura.

Stała jak wryta, jakby na widok Jedwabia zastygła w bursztynie.

– Jesteś tutaj! Naprawdę tu jesteś!

I z mocy czaru Thelxiepei rzuciła mu się w ramiona, nieomal dusząc go pocałunkami.

– Nie myślałam... Wiedziałam, że nie możesz przyjść, ale musiałam... Inaczej nigdy bym nie wiedziała. Zawsze mi się wydawało...

Pocałował ją – niezdarnie, lecz bez fałszywego wstydu, chcąc w ten sposób wyrazić, że i jemu coś kazało koniecznie stawić się na spotkanie, coś silniejszego niż zdrowy rozsądek.

Nad stawkiem i w okalającej go kotlinie – i tak z natury słabo oświetlonej – pociemniało jeszcze bardziej. Kiedy po niezliczonych pocałunkach Jedwab podniósł wzrok, ujrzał leniwie przepływające rybki, złote, srebrne, czarne, białe i czerwone, zawieszane w powietrzu ponad wzniesioną ręką bogini. Pierwszy raz zauważył smugę światła, blask sączący się ze srebrnej ozdobnej latarenki zawieszanej w gałęziach drzewka.

– Gdzie oni się podziiali?

– A był... tu... ktoś jeszcze? – Hiacynt z trudem złapała oddech i uśmiechnęła się do niego. Tak słodkiego cierpienia, jak w tej chwili, nie zaznał jeszcze nigdy w życiu.

– Jego Eminencja i mistrz szermierki. – Jedwab nie chciał oderwać wzroku od jej oczu.

– W takim razie zachowali się grzecznie. – Pocałowała go. – I po cichu odeszli.

Jedwab kiwnął głową, nie mogąc wykrztusić ani słowa.

– I my powinniśmy już iść. Mam tu pokój. Mówiłam ci o tym?

Pokręcił głową.

– Właściwie apartament; tu są same apartamenty, ale nazywa się je pokojami. Taka zabawa, że niby to nie hotel, tylko zwykła wiejska gospoda. – Hiacynt z wdziękiem tancerki osunęła się na kolana, nie puszczać ręki Jedwabia. – Uklęknieś ze mną nad stawem? Chciałabym widzieć siebie i ciebie, jak odbijamy się w wodzie. – Nagle łzy strumieniami popłynęły jej z oczu. – Chcę widzieć nas oboje, razem.

Jedwab uklękął.

– Byłam przekonana, że nie przyjdiesz. – Łza spadła do wody, budząc drobniutkie zmarszczki na jej powierzchni. – Dlatego chcę zobaczyć nas razem. Ciebie przy moim boku.

Tak jak tylko na boisku wcześniej tego doświadczył, Jedwabowi wydało się nagle, że znalazł się poza strumieniem płynącego czasu.

Kiedy znów zaczęli oddychać i zwrócili się ku sobie, by obsypać się pocałunkami, miał wrażenie, że ich odbicie w spokojnej toni pozostało nieporuszone – niewidoczne, lecz na zawsze już obecne w tym miejscu.

– Musimy... Muszę iść – rzekł, choć wypowiedzenie tych słów kosztowało go wiele wysiłku. – Wiedzą, gdzie jestem. Przyślą gwardzistów, żeby mnie zabili; jeżeli znajdą nas razem, ciebie też zabiją.

Hiacynt się roześmiała. Jej cichy śmiech brzmiał dla niego bardziej słodko niż najdelikatniejsza muzyka.

– Czy ty masz pojęcie, przez co przesłam, żeby tu dotrzeć? Wiesz, co mi robi Krew, kiedy się dowie, że wzięłam ślizgacz? Zanim dostałam się na Palatyn, minęłam posterunki... Żle się czujesz? Bo bardzo kiepsko wyglądasz.

– Jestem po prostu zmęczony. – Jedwab przysiadł na piętach. – I kiedy pomyślę, że znów będę musiał biec... Ale to minie.

Gdy usłyszał własne słowa, sam w nie uwierzył; dał się przekonać tej samej sile, która i ją przekonała. Hiacynt wstała i podała mu rękę.

– Zanim dotarłam do „Gronostaja”, doszłam do wniosku, że to czyste szaleństwo, tak jakbym próbowała utopić się w szklance wody. Nawet tu nie zajrzałam – ciągnęła uśmiechnięta – bo bałam się, że nikogo nie zastanę. Nie chciałam, żeby coś mi przypominało, jaka jestem głupia. Poszłam do pokoju, zaczęłam się szykować do snu, gdy nagle pomyślałam... pomyślałam...

Jedwab przytulił ją.

– Biedny Jedwab! – skrzeknął Oreb, siedzący na gałęzi nad latarenką.

– A jeżeli on przyszedł? Czeka na mnie, a ja siedzę tu, na górze, w pokoju? Rozpuściłam już włosy i zmyłam makijaż, ale tak jak stałam, popędziłam w dół po schodach, przebiegłam sellarię i znalazłam cię tutaj. To tylko sen, lecz najpiękniejszy, jaki mi się w życiu przyśnił.

Jedwab odkaszlnął; tym razem krew była świeża i bardzo czerwona. Odwrócił się bokiem, splunął w stronę krzaka o lawendowych kwiatach i szmaragdowych liściach i poczuł, że pada na ziemię. Nie mógł nic na to poradzić.

Leżał na mchu przy brzegu wodnego oczka w ogrodzie. Hiacynt zniknęła, ale ich odbicie, na wieki utrwalone w wodzie, wciąż tam było.

Kiedy kolejny raz otworzył oczy, znalazła się przy nim z powrotem, a wraz z nią staruszek, którego imienia nie pamiętał, lokaj, który proponował mu wino w sellarii, drugi lokaj – ten, który powiedział mu o Remorze, odźwierny i inni. Przetoczyli go na coś i podnieśli, tak że wydawało mu się, iż szybuje na wysokości ich bioder, patrząc wprost na spód olbrzymiego, ciemnego obiektu, który zawisł ponad szklanym dachem i przesłonił krainy niebios. Po omacku znalazł jej rękę, a kiedy uśmiechnęła się do niego, odpowiedział uśmiechem i tak przesuwali się razem, jak na karawanie z jego snu, w zgodnej ciszy dwojga ludzi, którzy pokonali wiele przeszkód, by być razem, którym niepotrzebny już hałas słów i którzy chcą tylko spocząć przy sobie.

Pokój

Maytere Marmur uśmiechnęła się w duchu. Pościel nareszcie była czysta, pościel i wszystko inne – rzeczy maytere Mięty, niemiłosiernie ubłocona na kolanach spódnica robocza i brzydko pachnące znoszone ubrania, które przed śmiercią wrzuciła do kosza.

Zmęczyła się trochę, pompując wodę do zlewu, ale potem wypłukała je starannie i wyżeła. Dużą ochlę przelała większość wody do gara na pranie i dopiero wtedy wyjęła drewniany korek z otworu odpływowego. Kiedy woda ostygnie, w sam raz nada się do podlania umęczonego upałem ogródka.

Nowymi, zwinnymi palcami nabrała zgęstniałego tłuszczu wołu, topiącego się na patelni. Stara szmata posłużyła jej za cedzak i półpłynny łój spłynął do poobijanego kubka. Wytarła ręce w inną szmatę i pomyślała o czekających ją obowiązkach: najpierw nasmarować składane schodki, czy rozwiesić pranie? Pranie, oczywiście, że pranie. Niech zaczną schnąć. Ogródek ciemniał pod burzowym niebem. No nie, przecież deszcz (choć Pah jeden wie, jak bardzo miastu potrzebny) zaplami jej czystą pościel! Prychnęła ze złością, odstawiła wiklinowy kosz i wyszła na dwór, podstawiając dłoń pod pierwsze krople.

Nie, jeszcze nie padało, a i wiatr osłabł. Zdała sobie sprawę, że to wcale nie chmura przesłania niebo, lecz ten sam niezwykle latający obiekt, który mignął jej ponad murem i który później oglądała z dachu.

Teraz, gdy ujrzała go po raz trzeci, ożyły jakieś dawne wspomnienia, tak wyblakłe i odległe, jakby w ogóle nie należały do niej. W powietrzu unosił się kurz, jak to zwykle się dzieje, gdy poruszy się coś, co od dawna spoczywało nieruchomo.

– Może byś go odkurzyła? (Śmiech)

Zamrugala by ze zdumienia, gdyby konstrukcja twarzy jej na to pozwalala. Spojrzala w dol, na skryty w ciemnosciami ogród, a potem znów do góry (tym razem czujnie i z namysłem), na biale sznury do bielizny: byly na miejscu, chociaz zdarzalo sie, ze dzieci je podkradaly, by miec skakanki. Znowu podniosla wzrok.

– Moze bys go odkurzyla?

Smiech przepelnial ja niczym blask slonca dawno minionego lata; zbulgotal jak wino w napełnianym kieliszku i ucichl.

Maytere pokręcila glowa i wrócila do domu; troszke za mocno wialo, zeby wywieszac pranie, a poza tym i tak byla jeszcze noc. Rzeczy suszone na sloncu zawsze ladniej pachna, wiec poczeka jeszcze troche i rozwiesi je przed rannym nabozenstwem. Migiem wyschna.

Kiedy to bylo? Kiedy widziala spalone sloncem pole? Zarty, smiechy i zwieszajacy im sie nad glowami przerazajacy cień, na widok ktorego umilkli?

Czas wysmarowac schody, a przy okazji porzadnie je wyszorowac. Później przyjdzie dzien – gdy pierwsza cieniotka nic dlugiego slonca rozpolowi krainy niebios, powiesi sie pranie.

Szla na pietro i znów jej wzrok padl na ten sam obrazek – stara kobieta z golebiami, blagoslawiona przez Molpe. Kiedyś zachwycala sie nim pewna pulchniotka postulantka, a ona, chuda, stara maytere Marmur powiedziala przez próżność, ze osobiście pozowala do postaci Molpe. Bylo to niemalze jedyne klamstwo, jakie w zyciu splynelo z jej ust – nadal pamietala niedowierzanie w oczach dziewczyny. Spowiadala sie z tego grzechu wielokrotnie przy maytere Betel... Maytere Betel, ktora juz nie zyła.

Powinna byla przynieśc sobie cos do nakladania loju, moze jakis stary pedzel. Przypomniała sobie stara szczoteczke do zebow, ktora przechowywala od dawna, chociaz dziesiatki lat temu stracila ostatnie zęby (z pewnością nie bedzie jej juz potrzebna). Otworzyła wyłamane drzwi do sypialni... Powinna je tez naprawic, jesli zdoła; no, musi chociaz spróbować, bo na wezwanie cieśli nie mogą sobie pozwolic.

A jednak tego wieczora przypomniala sobie malarza, maleńki ogródek w samym srodku jego domu i kamienna lawke, na ktorej siedziala wczesniej stara kobieta (jej matka) – pozujac w sukni i klejnotach do portretu bogini, w diademie i z martwym motylem wpietym we wlosy.

Czula sie troche niezrecznie. Malarz mial wspaniale pedzle. Wcale nie przypominaly jej wylenialej szczoteczki do zebow, z peknieta drewniana rączką i poszarzonym ze starosci wlosiem ze szczeciny dzika.

Wepchnela szczoteczke glęboko w miękki, biały lój wołowy, a potem przesunela nią energicznie po szynie skladanych stopni.

Nie mogła wtedy byc sybillą, co najwyzej gosposią, lecz artysta byl spokrewniony z najstarszą

sybillą, a ta pozwoliła jej pozować. Chemy są o wiele lepsze od biochemów, kiedy trzeba wytrwać bez ruchu w jednej pozycji. Jak mówił, wszyscy malarze przy każdej okazji korzystali z usług chemów, ale w osobie starej kobiety musiał sportretować własną matkę, bo chemy się nie starzeją...

Z uśmiechem podniosła głowę. Zawiasy, a potem druga szyna.

Kiedy skończył malować, dał im obraz w prezencie. Na czarnym rękawie zauważyła szarą smugę – pewnie kurz ze schodów. Brud. Otrzeпаła rękaw, przyniosła szczotkę i wiadro z wodą. Czy dobrze zrobiła, używając wołowego łoju? Może powinna była się wykosztować i kupić prawdziwy olej? Ostrożnie podniosła stopnie – składały się gładko i cicho; jak nic zaoszczędziła ze trzy bity, może nawet więcej. Hop, do samej góry!

Jak je przedtem rozłożyła? Ach, drewnianym szydełkiem. Ale jeżeli nie popchnie ucha do końca, szydełko nie będzie jej więcej potrzebne; i tak musi ściągnąć schody, żeby je wyszorować. Nie mogła się doczekać, żeby zobaczyć, jak działają: pociągnęła lekko za żelazny pierścień i spłynęły gładko w dół, wzbudzając ledwie zauważalny obłoczek kurzu.

– Może byś go odkurzyła?

Wszyscy się śmiali, ona też, chociaż była taka nieśmiała. Był wysoki i... ile? Pięć koma dwadzieścia pięć raza silniejszy od niej. Miał wdzięczne, metalowe rysy twarzy, które tym bardziej zacierały się jej w pamięci, im usilniej starała je sobie przypomnieć.

Doprawdy, cóż za nonens!

Tak samo nonsensownie wciąż jej się zdawało, że pozowała do obrazu, chociaż tyle razy spowiadała się maytere Betel z kłamstwa. Nie przywłaszczyla by sobie tych nowych części, gdyby nie... Przecież należały do niej, z całą pewnością.

Jeszcze raz do góry, po schodach. Ostami raz. Stała tam jej stara skrzynia.

Otworzyła okno i wygramoliła się na dach. Gdyby sąsiedzi ją podglądali, oczy wyszłyby im teraz z orbit. Słowo „skrzynia” przywołało z pamięci tylko próby znalezienia jej właścicielki.

Szafka – tak, miała szafkę. Oto spis sukien, które miała, zanim przegłosowano przyjęcie jej do świątyni. Jej perfumy. Zwyczajny zeszyt, który trzymała tam dla przyjemności pisania, ćwiczenia ręki. Może gdyby wróciła na strych i otworzyła szafkę, znalazłaby te stare pamiątki i nie musiałaby więcej oglądać buczonego potwora na niebie.

Ale go oglądała.

Był olbrzymi, chociaż nie tak wielki, żeby całkowicie przesłonić krainy niebios. Unosił się teraz wyżej i dalej na zachód, nad targiem, z dziobem zwróconym ku Palatynowi. Ulica Klitek biegła prostopadle do jego dłuższej osi; na ulicy Klitek nie wystawiano już skazańców w klatkach na widok publiczny. Hałas, jaki czynił ogromny obiekt, brzmiał tak basowo, że ledwie go słyszała –

przypominał pomruk pumy, ogromnej jak góra.

Powinna wracać na dół, wziąć się do roboty, uprać coś, ugotować... Chociaż przecież nie żyła, tak samo jak maytere Betel i inne sybille, a maytere Mięta gdzieś poszła, Pah jeden wie gdzie; nie było komu gotować, chyba że zjawią się dzieci.

Ogromna ciemna plama, której cień padł na spalone słońcem pole, nieregularną linię służących, wśród których stała, i idealnie, jak pod sznurek ustawioną kolumnę wojska. Widziała, jak spada z nieba – z początku maleńka czarna plamka, nie większa od płatka sadzy.

– Ależ on brudny – powiedziała.

Jakiś żołnierz usłyszał ją i zawołał:

– Może byś go odkurzyła?

Wszyscy się roześmiali; ona też się śmiała, chociaż czuła się bezgranicznie upokorzona. Rozpłakałaby się, gdyby mogła ronić łzy. Rozzłoszczona, spojrzała mu odważnie w oczy – i ujrzała w nich tęsknotę.

I sama zatęskniła.

Jakiż on był wysoki! Ogromny! I silny! Cały ze stali!

Skrzydlate sylwetki wielkości gzów fruwały w tę i z powrotem w cieniu ciemnej masy. Widziała, jak w ich stronę wyciągają się jakieś macki – błyszczące, żółte niczym tłuszcz z szynki ściekający do piecyka. Niektóre spadały.

– No to jesteśmy – powiedział Alka do Acalyphy. Zatrzymali się przy wyrwie w ścianie tunelu.

– Tędy dojdziemy do jamy?

– Tak mi powiedział. Pójdę pierwszy; ty zostań i nasłuchuj. Jeśli usłyszysz jakieś dziwne odgłosy, zwiewaj.

Skinęła posłusznie głową, postanawiając w duchu, że i ona, i jej wyrzutnia będą miały coś do powiedzenia, jeśli rzeczywiście usłyszy jakieś „dziwne odgłosy”. Alka wciskał się do dziury w ścianie (ciasnej, jak na tak barczystego mężczyznę).

Nasłuchiwała przez długie minuty – co najmniej z dziesięć, jak jej się wydawało – aż wreszcie usłyszała jego serdeczny śmiech, słaby i odległy.

Z trudem precyzyjnie się przez otwór; przez chwilę zanosilo się na to, że biodra utkną jej na dobre. Wiła się jak piskorz i klęła w żywy kamień Orchideę za gadanie o tyciu – chociaż sama Orchidea była dużo grubsza!

Miejsce, do którego tak rozpaczliwie usiłowała się wepchnąć, było chyba jamą w jamie – głębokie jak zbiornik na deszczówkę, z którego w dodatku nie da się wyjść... Chociaż Alce się udało, bo go tu nie było.

Dysząc ciężko, przyklękła na nierównej posadzce. Sięgnęła przez otwór i wciągnęła za sobą wyrzutnię.

– Idziesz, szczebiotko? – wołał Alka, zwieszając się z krawędzi zbiornika, prawie niewidoczny w ciemnościach.

– Jasne. Jak mam stąd wyjść?

– W ścianach wycięta jest ścieżka, która prowadzi na górę – wyjaśnił Alka i zniknął.

Znalazła ją. Ścieżka miała może z łokieć szerokości i pięła się spiralnie w górę, stromo jak schody. Acalypha wdrapywała się po niej powoli, ostrożnie, starając się nie patrzeć w dół. Zawieszona na lufie wyrzutni latarnia Pawiana klekotała donośnie. Gdzieś z góry dobiegł głos Alki:

– Może tak zrobię, ale najpierw ona musi tu przyjść. Chcę, żeby go zobaczyła.

Wreszcie wytknęła głowę ponad krawędzią dołu i przed jej oczyma rozpostarła się jama w całej okazałości, szeroka na stadion, ciągnąca się daleko w mrok. Gładkie, strome ściany były chyba z rakplastu; najbliższa wyrastała tuż obok. Acalypha spojrzała na majaczące w mroku sylwetki stłoczone wokół Alki. Podniósłszy wzrok, rozpoznała w końcu znajomy, niebotyczny mur Alambrey. Po raz pierwszy oglądała go od drugiej strony.

– Chodź no tu, szczebiotko! – zawołał Alka. – Masz jeszcze tę lampę?

– Może lepiej jej nie zapalać – zabrzmiał dziwnie znajomy głos.

– Stul pysk.

Zdjęła z wyrzutni latarnię Pawiana i z wahaniem podeszła do Alki. Niewiele brakowało, by wyłożyła się jak długa, potknąwszy się po ciemku o leżące na podłodze łachmany.

– Ty to zrób, Żubrze – polecił Alka. – Odsłoń tylko odrobinę.

Jeden z mężczyzn odebrał latarnię z rąk Acalyphy.

Gryzący dym walczył o prymat z wszechobecnym smrodem ekskrementów i niemytych ciał. Brodaty człowiek o oczach zapadniętych jak oczodoły w nagiej czaszce zdjął pokrywę z osłoniętego paleniska i dmuchnął w żarzące się węgle. Kiedy czerwony blask oświetlił jego twarz, Acalypha doszła do wniosku, że wolałaby jej nie oglądać. Pojawił się nieśmiały płomyk. Żubr przytknął doń latarnię, po czym zamknął osłonę, zwięzając snop światła do smugi grubości palca.

– Weźmiesz ją, Alko?

– Nie mam jej jak trzymać – odparł złodziej. Stanąwszy bliżej, Acalypha ujrzała, że w prawej ręce trzyma kordelas, a w lewej pistolet. Ostrze kordelasa ociekało krwią. – Pokażcie jej najpierw patere.

Ciemne sylwetki o nogach cienkich jak patyki rozstały się i promyk światła padł na ciemne zawiniątko, z którego patrzyły na nią zbolale oczy Kowadełka. Augur był zakneblowany.

– Słodziutki, nie? – Alka zachichotał.

– Ale przecież jest augurem... – zaryzykowała Acalypha.

– Zastrzelił tu paru ludzi z mojego igłowca, szczebiotko. Rozeźlili się, opadli go ze wszystkich stron i unieszkodliwili. Zaraz będzie wolny. Być może. Pokaż jej żołnierza, Żubrze.

Pięściak również był związany, ale bez knebla w ustach. Acalypha nie sądziła, żeby knebel w ogóle poskutkował na chema.

– Przykro mi, Pięściaczkule – powiedziała. – Jakoś cię z tego wyciągnę. Patere też.

– Chcieli mu poderznąć gardło – rzekł Pięściak. – Złapali go od tyłu. – Mówił wolno i spokojnie, chociaż w jego głosie dało się słyszeć złość na samego siebie. – Byłem nieostrożny.

– Te sznury plecie się ze ścięgien wyciętych z tylnych części nóg – poinformował ją Alka niedbałym tonem. – Są chyba mocne, ale nie wydaje mi się, żeby wytrzymały, gdyby naprawdę chciał się wyrwać. Łańcuchy może prędzej... Tylko solidne.

– Nie powinnam pewnie tego mówić, ogierku...

– Śmiało.

– Co będzie, jeśli rzucą się na nas? Tak jak zaskoczyli patere?

– Miałem ci właśnie powiedzieć, dlaczego Pięściak nie próbuje się wyrwać; może powinienem od tego zacząć.

– Bo masz jego pistolet?

– Właśnie. Przedtem oni go mieli. Złapali Kowadełko i kazali Pięściakowi oddać spluwę. Niełatwo zabić żołnierza, ale kula z pistoletu wystarczy. Tak jak rakietę z twojej wyrzutni.

Prawie go nie słuchała. Kiedy przeciskała się z trudem przez wąski otwór w ścianie tunelu, basowe buczenie nad głową zlało się w jeden dźwięk z tętnieniem krwi w jej uszach i przestała je odróżniać. Teraz jednak zdała sobie sprawę, że źródłem pomruku jest olbrzymi kształt na niebie, który (tak samo jak maytere Marmur) brała z początku za chmurę. Zdumiona zadarła głowę.

– Zaraz ci wytłumaczę – uspokoił ją Alka, również podnosząc wzrok. – Tartaros mówi, że to

statek powietrzny, coś w rodzaju łodzi rybackiej staruszka Jelca, kapujesz? Tylko że pływa w powietrzu, a nie po wodzie. Rani Trivigaunte najechała Viron. Oto kolejny powód, dla którego powinniśmy go słuchać...

Pięściak zerwał się na równe nogi, roztrzając czterech cherlaków, którzy próbowali go powstrzymać. Ściągną krępujące jego kostki i przeguby pękły z trzaskiem, niczym strzelające jeden po drugim fajerwerki.

Alka niedbałym gestem wbił kordelas w ziemię i wycelował pistolet w żołnierza.

– Nawet nie próbuj.

– Musimy walczyć – oznajmił Pięściak. – Patere i ja. Musimy bronić miasta.

Acalypha z niechęcią wycelowała wyrzutnię – którą Pięściak nauczył ją obsługiwać – w jego szeroką, metalową pierś. Żołnierz uklęknął, wyjął Kowadełku knebel z ust i palcami pozrywał ścięgną krępujące ręce i nogi augura.

– Patrzcie! – krzyknął Żubr, bezskutecznie starając się skierować w górę snop światła latarni. – Patrzcie!

Wszyscy dookoła zaczęli pokrzykiwać i wyciągniętymi rękoma wskazywać niebo.

I nagle inny głos, odległy, ale zarazem głośniejszy niż głos zwyczajnego człowieka, zagłuszył krzyki.

– Skazańcy! Jesteście wolni! – zagrzmiął. – Viron potrzebuje was wszystkich. W imię Dziewięciu... W imię Zewnętrznego, zapomnijcie o wrogości wobec gwardii cywilnej, która opowiedziała się po stronie naszej Kapituły. Zapomnijcie o urazach, jakie żywicie wobec innych mieszkańców miasta. A nade wszystko zapomnijcie o urazach, które was dzielą!

Acalypha złapała Alkę za ramię.

– To patere Jedwab! Poznaję jego głos!

Alka tylko z niedowierzaniem pokręcił głową. Jakiś obiekt – to było nie do wiary, ale zaopatrzony chyba w wieżyczkę i działko pulsacyjne – przeleciał wysoko nad murem i koziółkując szybował w dół, do jamy, coraz niżej i niżej, choć na razie setki łokci nad Alambrerą, unoszony wiatrem, którego nie było.

Ktoś wyrwał Acalyphie wyrzutnię z rąk i natychmiast wystrzelił – to Pięściak oddał salwę do olbrzyma unoszącego się nad ślizgaczem (a może do skrzydlatych sylwetek, których dziesiątki oddzielały się od niego niczym smugi dymu). Odprowadził pocisk wzrokiem, czekając, aż uderzy i pozwoli mu skorygować namiar.

– Tam Alka! – zagrzmiął chrapliwy głos z koziołkującego powoli ślizgacza. – Tu dziewczeczka!

Pięściak odpalił drugą raketę; Alka również otworzył ogień, mierząc z pistoletu do skrzydlatych żołnierzy, którzy śmigali nad jamą i też mierzyli do więźniów.

Maleński czarny punkcik oderwał się od ciemnego kształtu, który Alka nazwał statkiem powietrznym. Acalypha patrzyła, jak przelatuje pomiędzy lotnikami, a w chwilę później mur Alambriery eksplodował z siłą, od której zatrzęsł się cały whorl.

Jedwab stał w swojej dziecięcej sypialni, patrząc na chłopca, który był nim samym. Dziecko wtuliło twarz w poduszkę, ale Jedwab siłą woli zmusił je, by odwróciło się ku niemu. Za każdym razem rysy chłopca się rozmywały.

Usiadł na parapecie otwartego okna, pod którym rósł ogórecznik, a dalej bez i fiołki. Na stoliku leżał otwarty zeszyt, obok niego pióra – każde z ogryzionym końcem. Jedwab wiedział, że powinien coś napisać, poinformować tego chłopca, który był nim, że zabiera mu niebieską tunikę, i zostawić dobrą radę na czas kłopotów, które w przyszłości nadejdą.

Nie mógł jednak dobrać odpowiednich słów, a wiedział, że chłopiec niebawem się obudzi. Było rozjaśnienie, tak że na pewno spóźni się do palestry. Matka już szła w stronę łóżka, żeby go zbudzić.

Co mógłby powiedzieć? Jakie słowa znaleźć, żeby chłopiec je zrozumiał? I żeby przypomniał je sobie z górą dziesięć lat później?

Matka potrząsnęła go za ramię i Jedwab poczuł czyjś dotyk na własnym ramieniu. Zdziwił się, że matka go nie widzi.

„Nie bój się miłości”, napisał. „Realizuj plan Paha”. Dłoń matki potrząsnęła nim tak mocno, że ostatnich słów prawie nie dało się odczytać. Patrzył, jak „Paha” na jego oczach blaknie i znika z liniowanego papieru. Cóż, Pah należał już do historii. Tak jak i ten chłopiec.

Miecznik i przewodniczący Kapituły stali u stóp łóżka chłopca, które nagle stało się jego łóżkiem.

Zamrugął.

Przewodniczący miał na sobie morwowej barwy szaty zdobione diamentami i szafirami, jak gdyby szykował się do odprawienia ofiary w Wielkim Manteionie. W ręku trzymał złote różgi – oznakę władzy. Miecznik miał przerzuconą przez ramię szatę, która wyglądała jak toga augura. Dziwny to był sen.

Ktoś ściągnął z niego przykrycie i chirurg, który stał przy łóżku wraz z piękną Hiacynt, przeturlał go na bok, żeby zdjąć bandaż. Jedwab zdołał się uśmiechnąć do Hiacynta, a ona odpowiedziała mu uśmiechem – nieśmiałym, zalęknionym uśmiechem, który był jak pocałunek.

Znajdujący się po drugiej stronie łóżka pułkownik Oosik spytał:

– Możesz mówić, caldé?

Nie mógł, bo emocje ścisnęły mu gardło.

– Zeszłej nocy, zanim usnął, rozmawiał ze mną – powiedziała Hiacynt.

– Jedwab mówi! – potwierdził Oreb, siedzący na szczycie kolumnienki łóżka.

– Nie próbuj siadać, proszę. – Mówiąc to, chirurg położył mu na ramieniu dłoń o wiele cięższą i silniejszą od tej, która go obudziła.

– Mogę mówić – odparł Jedwab. – Bardzo mi przykro, że Wasza Mądrość musiał przez to przejść.

Kwezal pokręcił głową i zwrócił się do Hiacynta:

– Pomóż mu się ubrać.

– Nie ma co tracić czasu, chłopcze! – wykrzyknął Miecznik. – Za godzinę rozjaśnienie! Chcesz, żeby znów zaczęli strzelać?

I nagle chirurg, który jeszcze przed chwilą go przytrzymał, pomógł mu dźwignąć się z łóżka, a Hiacynt (pachnąca wspanialej niż ogród pełen kwiatów) zaczęła go ubierać.

– Robiłam to już raz, pamiętasz? W phaedag, w nocy.

– Czy nadal mam twój azoth? – spytał Jedwab. – Co się dzieje?

– Przysłali Oosika, żeby cię zabił, ale on nie chce tego zrobić.

Jedwab rozejrzał się po kątach pokoju, gdzie (był o tym przekonany) stali bogowie i ludzie nie będący bogami. Obserwowali go, sami majacząc na granicy widzialności. Przypomniawszy sobie, jak wdrapał się na dach domu Krwi, gdzie stoczył rozpaczliwą walkę z siwogłowym; Hiacynt wyszarpnęła mu toporek zza pasa, a kiedy próbował go wymacać, toporek i pas zniknęły.

– Ktoś musi powiedzieć, co ma im przekazać – mruknął Kwezal. – Żeby zapanował pokój.

– Zapewne nie dowierzasz mi, Wasza Mądrość... – zaczęła Hiacynt.

– To, czy ci uwierzę, moje dziecko, zależy od tego, co powiesz.

– Nie zrobiliśmy tego! Przysięgam ci na Thelxiepeię i Scyllę Parzącą, na...

– Gdybyś twierdziła, że patere caldé Jedwab złamał przysięgę i zapominając o powołaniu pohańbił swój święty stan, nie uwierzyłbym ci.

Opierając się o poręcz fotela, w którym matka zasiadała do czytania, przyglądał się wyrzeźbionej po mistrzowsku w twardym, brunatnym drewnie podobiznie caldé.

– Czy to mój ojciec?

Matka z uśmiechem wzięła go na kolana.

– Nie, to mój przyjaciel, caldé.

Potem caldé zmarł i został pochowany, a wraz z nim jego głowa, zagrzebana w najciemniejszych zakamarkach matczynej szafki. Niekiedy matka wspominała, że spaliła ją w ogromnym piecu kuchennym – z czasem pewnie sama w to uwierzyła. Przyjaźń z caldé nie była mile widziana.

– Za dobrze znam patere caldé Jedwabia – ciągnął Kwezal. – Z drugiej strony, gdybyś powiedziała, że do niczego nie doszło, wierzyłbym ci bez zastrzeżeń, moje dziecko.

Miecznik pomógł Jedwabiowi wstać, a Hiacynt podciągnęła na nim kalesony z niebielonego płótna, które jakimś cudem pojawiły mu się na nogach. Były nowe, czyste i cudze. Hiacynt zawiązała mu je w pasie.

– Caldé...

W tej chwili oficjalny tytuł zabrzmiał jak wyrok śmierci.

– Jestem zwykłym patere... Albo po prostu Jedwabiem. Nie ma caldé.

Oosik przygłodził oklapnięte, siwe na końcach wąsy.

– Boisz się, że cię zabiję, gdyż ja i moi ludzie pozostaliśmy wierni Ayuntamiento. Rozumiem to. Jak wspomniała ta młoda dama, bez wątpienia prawdą jest... – W obecności przewodniczącego Kapituły Oosik udawał, że nie zna Hiacynta, tak jak on udawał, że nie jest caldé. Zabawne. – ...Niewiele brakowało, byś zginął w tej bzdurnej wojnie – ciągnął Oosik. – My tu rozmawiamy, a tam giną ludzie. Wasi, nasi, co za różnica... Jeżeli zginął jeden z naszych, niedługo dopadniemy kogoś od was; jeśli było odwrotnie, wy zabijecie kogoś z nas. Może mnie, może mojego syna, chociaż on już...

– Nie mogłem wrócić do domu, chłopcze! – Miecznik nie dał pułkownikowi skończyć. – Próbowałem! Wielki szturm! W nocy! Dalej walczą! Nie myślałem, że to zrobią. Nie masz mi za złe, że wróciłem, by cię pilnować?

Hiacynt, która uklękła przed Jedwabiem z jego spodniami w rękach, skinęła potakująco głową.

– Jak się stanie przy oknie, cały czas słyhać strzały. Jedwab usiadł w pomiętej pościeli i wsunął stopy w nogawki spodni.

– Czuję się trochę zagubiony – przyznał. – Czy nadal jesteśmy w „Gronostaju”?

– W moim pokoju – dodała Hiacynt.

Oosik obszedł łóżko dookoła, stanął przed Jedwabiem.

– Czy nie byłoby to wspaniałe, caldé, gdybyśmy... Ty, ja i Jego Mądrość, gdybyśmy zdołali doprowadzić do zakończenia walk przed rozjaśnieniem?

Jedwab wstał i podciągnął pas. Zacisnął go, starając się nie zdradzić, jak drżą mu nogi.

– Taką właśnie miałem nadzieję. – Usiadł czym prędzej, choć chciał się zachowywać godnie, jak na caldé przystało.

– Możemy...

– Musimy działać szybko – wtrącił Kwezal. – Nie wolno nam czekać, aż wydobrzejesz, patere caldé, choć szczerze tego żałuję. Zdumiałeś się, widząc mnie w tych szatach. Chyba za każdym razem mój strój cię szokuje.

– Na to wygląda, Wasza Mądrość.

– Oficjalnie też jestem aresztowany, ale tak jak i ty, staram się nieść miastu pokój.

Oosik nakrył dłoń Jedwabia swoją – była ciepła, spocona i twarda od węzlastych mięśni.

– Nie obwiniaj się niepotrzebnie, caldé! Nie warto! Wciąż może się nam udać. Kogo widziałbyś na stanowisku dowódcy twojej straży cywilnej, caldé?

Bogowie zniknęli bez śladu, któryś z nich – zapewne zręczna Thelxiepeia, której dzień właśnie się zaczynał – pozostawił po sobie upominek: odrobinę sprytu.

– Każdy, kto zdoła zakończyć tę rzeź, zasługuje na większą nawet nagrodę.

– A gdyby nie prosił o nic więcej?

– Zrobiłbym co w mojej mocy, by ta nagroda go nie minęła.

– Mądry Jedwab! – Zadowolony Oreb obserwował go jednym okiem.

– Chyba już się lepiej czujesz, caldé. – Oosik się uśmiechnął. – Kiedy cię zobaczyłem, twój stan bardzo mnie zmartwił. – Spojrzał na chirurga. – Jak pan uważa, doktorze? Czy naszemu caldé należałoby przetoczyć jeszcze trochę krwi?

Kwezal zeszywniał, słysząc te słowa. Chirurg pokręcił przecząco głową.

– Osiągnięcie pokoju może być łatwiejsze, niż to sobie wyobrażasz, caldé. Ludzie po obu stronach muszą tylko zrozumieć, że lojalność wobec Ayuntamiento nie oznacza wypowiedzenia

posłuszeństwa tobie. I na odwrót. W latach mojej młodości mieliśmy i radców, i caldé. Wiedziałeś o tym?

– Prawdę mówi, chłopcze! – zakrzyknął Miecznik.

– W Ayuntamiento jest teraz jedna wakująca posada, którą, rzecz jasna, należałoby obsadzić. Z drugiej strony – mamy już radców. Może powinni zachować stanowiska?

A więc kompromis. Jedwab przypomniał sobie maytere Miętę, drobną, a jednak nieustraszoną, gdy na białym rumaku jechała ulicą Słońca.

– Alambrrera...?

– Nie może paść; morale gwardii cywilnej załamałoby się do reszty po tak upokarzającej porażce.

– Rozumiem. – Jedwab stanął ponownie na nogach, tym razem znacznie pewniej. Czuł się słabo, ale wiedział, że ma dość siły, by stawić czoło nadchodzącym wydarzeniom. – Biedacy, zwłaszcza ci najubożsi, z naszej dzielnicy, od których zaczęło się powstanie, chcieliby koniecznie uwolnić skazańców. Mają wśród nich przyjaciół i krewnych.

– Echidna kazała nam tego dokonać – dodał Kwezal.

Oosik pokiwał ze zrozumieniem głową. Nie przestawał się uśmiechać.

– Słyszałem o tym. Wielu więźniów powtarza te słowa; niektórzy twierdzą wręcz, że na własne oczy widzieli boginię. Powtarzam jednak: udany szturm na Alambrrerę byłby katastrofą i nie można do niego dopuścić. Ale czy nasz caldé, obejmując urząd, nie mógłby ogłosić amnestii? Byłby to zarazem gest hojny i głęboko ludzki.

– W ten sposób położyłbym kres walkom, jeśli w ogóle jest na to jakaś szansa – rzekł Jedwab. – Czy mam udać się z panem, generalissimusie?

– To nie wystarczy. Powinieneś przemówić z całą mocą i zdecydowaniem zarówno do swoich ludzi, jak i do gwardii. Nie musisz się przy tym ruszać z łóżka. Dysponuję środkami, które pozwolą nam przekazać twój głos wprost na stanowiska moich żołnierzy broniących Palatynu. Później wsadzimy cię do ślizgacza i zawieziemy do Alambrrery, żeby i moi ludzie, i powstańcy Mięty cię zobaczyli. Tylko tak możemy ich przekonać, że nie ma w tym żadnego oszustwa. Jego Mądrość zgodził się udać z tobą i pobłogosławić zawarty pokój; wielu ludzi już wie, że cię poparł. Kiedy zobaczą, że moja brygada w całości przechodzi na twoją stronę, pójdą w jej ślady.

– Jedwab wygra! – oznajmił triumfalnie Oreb.

– Idę z wami – oświadczyła Hiacynt.

– Musisz zrozumieć, że nie ma mowy o kapitulacji żadnej ze stron, caldé. Viron sam zdecyduje o

powrocie do rządów Karty, do współlistnienia caldé – którym ty zostaniesz – i Ayuntamiento. Czyż nie tego życzyła sobie Scylla, Wasza Mądrość?

– W rzeczy samej, synu. Moim największym marzeniem jest doprowadzić do ponownego ustanowienia takiego systemu władzy.

– Kiedy przelecimy przez miasto ślizgaczem, ludzie na pewno się zorientują, że jestem ranny – stwierdził Jedwab i prawie natychmiast przypomniał sobie, żeby dodać: – generalissimusie.

– Nie będziemy próbowali tego ukrywać, caldé. Jesteś bohaterem walk w mieście! Muszę powiedzieć Gekonowi, żeby wplótł ten wątek w tekst twojej przemowy. – Oosik cofnął się od łóżka. – Obawiam się, że teraz ktoś musi zająć się tym wszystkim, a ja najlepiej się do tego nadaję. Pani wybacz. – Skłonił się Hiacyntowi. – Caldé... Niebawem wrócę. Wasza Mądrość...

– Zły człowiek? – zamyślił się Oreb.

– Nikt, kto kładzie kres mordom i nienawiści, nie może być zły, nawet jeśli robi to dla własnych korzyści – odparł Jedwab. – Za bardzo potrzebujemy takich ludzi, żeby choćby i bogom pozwolić ich potępiać. Mieczniku... Ubiegłej nocy odesłałem cię w tej samej chwili, kiedy kazałem odejść Jego Eminencji. Czy niezwłocznie mnie opuściłeś?

Stary mistrz fechtunku wyraźnie się zawstydził.

– Czy wtedy też powiedziałaś „niezwłocznie”, chłopcze?

– Chyba nie. W każdym razie nie pamiętam.

– Przyniosłem ci ją! Pamiętasz? – Fechtmistrz podskoczył w odległy kąt pokoju i podniósł srebrną laskę. – Bardzo cenna! – Sparował nią pchnięcie wyimaginowanego przeciwnika. – I użyteczna! Myślałeś, że im pozwolę zostawić ją w ogrodzie?

– Poszedłeś za nami, kiedy go tu nieśliśmy, prawda? – spytała Hiacynt. – Widziałam, że obserwujesz nas z dołu schodów, ale wtedy zwracałam na ciebie tyle uwagi, co na szczury.

– Rozumiem – przytaknął z roztargnieniem Jedwab. – Jego Eminencja zapewne opuścił nas od razu. Kazałem mu znaleźć Waszą Mądrość. Udało mu się?

– Nie – odrzekł Kwezal. Niepewnym krokiem podszedł do obitego czerwonym aksamitem krzesła. Usiadł i położył sobie różgi na kolanach. – Jakie to ma znaczenie, patere caldé?

– Zapewne żadnego. Próbuję tylko poukładać sobie wszystko w głowie, ot co. – Jedwab z namysłem pogładził się po policzku. – Jego Eminencja znalazł już zapewne maytere Miętę... To znaczy generał Miętę; kto wie, może nawet zaczęli pracować nad wprowadzeniem rozejmu. Bardzo by nam w ten sposób pomogli. Pleśń z całą pewnością do niej dotarła, a gdy Mięta jej wysłuchała, uderzyła na Palatyn, mając nadzieję, że mnie odbije. Powinienem był to przewidzieć, ale ostatniej

nocy umysł miałem cokolwiek zmałowany. Inaczej przecież nie powiedziałbym jej, gdzie jestem.

– Pleśń? – zdziwiła się Hiacynt. – Obłąkana córka Krwi? To ona tam była?

– W pewnym sensie. – Jedwab odkrył, że jeżeli śledzi intensywnie wzrokiem wzór z żółtych kielichów i czekoladowych wiolonczeli na dywanie, jest w stanie rozmawiać z piękną Hiacynt, nie czując dławienia w gardle. – Spotkałem ją wieczorem w phaedag. Rozmawiałem z nią w oranżerii, zanim mnie znalazłaś. Jeśli jednak pozwolisz, później o niej opowiem; to złożona i niełatwa historia. Najważniejsze, że zgodziła się zanieść moją wiadomość generał Mięcie. I zrobiła to. Kiedy wcześniej rozmawiałem z pułkownikiem Oosikiem, jego brygadę trzymano w odwodzie, ale potem, gdy nastąpił atak, wezwano ją na Palatyn, by wzmocnić tamtejsze posterunki.

– To samo mi powiedział, zanim cię obudziliśmy – stwierdziła Hiacynt. – Mówił, że masz szczęście, bo radca Lori kazał mu przysłać kogoś, kto by cię zabił, a on zjawił się osobiście i sprowadził lekarza.

– Wczoraj cię operowałem, caldé – wtrącił chirurg. – Nie sądzę wszakże, byś mnie pamiętał; byłeś bliski śmierci. – Miał łysiejącą głowę, końską twarz, okolone czerwonymi obwódkami oczy i plamy krwi na wygniecionej zielonej tunice.

– Niewiele pan spał, doktorze.

– Cztery godziny. Nawet i tyle nie powinienem, ale ręce zaczęły mi się trząść. Mamy ponad tysiąc rannych.

Hiacynt usiadła na łóżku obok Jedwabia.

– Tak jak my – zauważyła. – Też jakieś cztery godziny snu. Wyglądam pewnie jak wiedźma.

Jedwab popełnił błąd, próbując zweryfikować prawdziwość jej twierdzenia. Stwierdził, że nie może oderwać oczu od jej twarzy.

– Jesteś najpiękniejszą kobietą w całym whorlu – oznajmił. Złapała go za rękę i lekkim skinieniem głowy wskazała Kwezala.

Przewodniczący Kapituły, który chyba drzemał na krześle, podniósł nagle głowę, jakby padło jego imię.

– Czy masz lusterko, moje dziecko? W takim apartamencie z całą pewnością jest jakieś zwierciadło.

– W garderobie, Wasza Mądrość, jest szkło. Jeśli Wasza Mądrość sobie zażyczy, pokaże odbicie Waszej Mądrości. – Hiacynt przygryzła dolną wargę. – Powinnam iść się przebrać. Oosik lada chwila wróci z przemówieniem dla patere i ze sztucznym uchem.

Kwezal z wysiłkiem wstał, podpierając się różgami. Jedwab wspierał go całym sercem: Jego Mądrość był taki delikatny!

– Ja spałem cztery godziny, Hiacynt chyba jeszcze mniej, nasz dobry doktor podobnie, ale ty, Wasza Mądrość, nie spałeś chyba w ogóle.

– Ludziom w moim wieku niewiele trzeba do szczęścia, patere caldé, ale nie mogę się obejść bez lusterka. Mam zapalenie skóry; jesteście zbyt dobrze wychowani, by o tym napomknąć, ale wiem, że to widać. Niczym kobieta nie rozstaję się ostatecznie z różem i pudrem. Przy każdej okazji poprawiam makijaż.

Hiacynt też wstała.

– W balneum, Wasza Mądrość, również jest lustro. Ja tymczasem spokojnie się przebiorę.

Kwezal oddalił się wolnym krokiem, Hiacynt zaś przystanąła jeszcze z ręką na klamce – z pewnością kokietowała Jedwabia, ale wyglądała tak uroczo, że był gotów wybaczyć jej znacznie cięższe grzeszki.

– Wy, mężczyźni, zawsze uważacie, że kobiety strasznie długo się stroją, ale dziś nie zajmie mi to wiele czasu. Nie ruszaj się stąd beze mnie.

– Nie ma mowy – obiecał jej Jedwab i wstrzymał oddech, aż drzwi buduaru zamknęły się za Hiacyntem.

– Zła rzecz – mruknął Oreb ze swojej grzędy na kolumieście łóżka.

Miecznik podał Jedwabiowi zdobioną srebrem laskę.

– Nareszcie mogę ci ją pokazać, chłopcze! Skromna? Dobra będzie? Augurowi nie wolno nosić miecza, prawda? Ale laskę możesz mieć przy sobie! Miałeś laskę, kiedy pierwszy raz przyszedłeś, nie?

– Zła rzecz! – Oreb wskoczył Jedwabiowi na ramię.

– Owszem, miałem wtedy laskę, ale już nie mam. Złamałem ją.

– Ta się nie złamie! Patrz! – Miecznik pociągnął, główka laski oddzieliła się od drzewca i ze środka wysunęło się smukłe, obosieczne ostrze. – Wystarczy przekręcić i pociągnąć! Sam spróbuj!

– O wiele bardziej wolałbym nie rozdzielać tych części – rzekł Jedwab, przyjmując laskę z rąk Miecznika. Jak na laskę była dość ciężka, jak na miecz natomiast – bardzo lekka. – Oreb ma rację: to zła rzecz.

– W tej stali jest nikiel! I chrom! Naprawdę! Można sparować nią cios azotha! Uwierzyłybyś?

– Chyba tak. – Jedwab się wzdrygnął. – Miałem kiedyś azoth; nie mogłem przebić nim stalowych drzwi.

Na myśl o azothcie natychmiast przypomniał sobie złożony igłowiec Hiacynta. Czym prędzej włożył rękę do kieszeni.

– Jest. Muszę jej oddać. Bałem się, że go nie znajdę, chociaż nie bardzo wiem, kto poza Hiacyntem mógłby mi go zabrać.

Położył broń na brzoskwiniowym prześcieradle.

– Ja ci oddałem ten duży, chłopcze. Masz go jeszcze? Jedwab pokręcił głową. Miecznik zaczął szukać, otwierając wszystkie szafki i zaglądnijac na półki.

– Laska mi się przyda, nie ukrywam – powiedział Jedwab – ale igłowca naprawdę nie potrzebuję.

Miecznik obrócił się nagle do niego, wyciągając rękę z igłowcem.

– Chcesz zaprowadzić pokój, tak?

– Taką mam nadzieję, mistrzu, a ten...

– A jeśli nie spodoba im się sposób, w jaki to robisz? Weź go!

– Proszę bardzo, caldé. – Do pokoju wpadł Oosik z kartką papieru i czarnym przedmiotem, który bardziej przypominał odlany z plastiku kwiat niż ludzkie ucho. – Włączę je, zanim ci podam, caldé; będziesz po prostu mówił do niego. Głośniki przekażą każde twoje słowo, tak że wszyscy cię usłyszą. Oto tekst przemówienia. – Podał Jedwabiowi kartkę. – Przeczytaj je najpierw po cichu. Jeśli chcesz, możesz dodać coś od siebie, ale na twoim miejscu starałbym się trzymać tekstu.

Słowa maszerowały po papierze niczym mrówki; niektóre niosły w swych żuwaczkach jakiś sens, ale większość była bez znaczenia: siły powstańcze... gwardia cywilna... bunt... komisarze i Ayuntamiento... armia... broń w Alambrerze... powstańcy i gwardia... pokój.

Nareszcie: pokój.

– Dobrze. – Jedwab wypuścił kartkę z rąk. Spadła mu na kolana.

Oosik dał znać komuś w drugim pokoju, chwilę odczekał, uzyskał spodziewaną odpowiedź, a potem odchrząknął i podniósł plastikowe ucho do ust.

– Mówi generalissimus Oosik z gwardii caldé. Zwracam się do wszystkich walczących, w szczególności zaś do was, buntownicy. Wydaliście nam wojnę, gdyż chcecie, by patere Jedwab został caldé, tymczasem caldé Jedwab jest z nami, jest z gwardią, bo wie, że my stoimy za nim murem. Teraz mówię do żołnierzy: waszym najwyższym zwierzchnikiem jest caldé, który siedzi tu, obok mnie. Wysłuchajcie jego rozkazów.

Jedwab zateśknął nagle za swoją starą amboną o wyszczerbionym parapecie. Odruchowo próbował się o niego oprzeć. Podniósł kartkę.

– Obywatele, rodacy! Generalissimus Oosik mówi prawdę. Czy nie jesteśmy... – Słowa jakby umyślnie chowały się pod jego drżącymi palcami. – Czy nie jesteśmy wszyscy obywatelami Vironu? W ten historyczny dzień, rodacy... – Litery rozmazały mu się przed oczyma i następne pół linijki kompletnie straciło sens. – Nasze miasto znalazło się w wielkim niebezpieczeństwie. Możliwe, że cały whorl jest zagrożony.

Odkasznął i splunął krwią na dywan.

– Wybaczcie mi, proszę. Jestem ranny. Nie ma to wielkiego znaczenia, gdyż rana nie jest śmiertelna. Wy również możecie uniknąć śmierci, jeżeli mnie posłuchacie.

Usłyszał słabe echo własnych słów, rozbrzmiewające za oknami „Gronostaja” – „...mnie posłuchacie”. Głośniki, o których mówił Oosik, usta obdarzone stentorowym głosem, jakoś go usłyszały i powtarzały jego myśli.

Drzwi do balneum stanęły otworem i od progu Kwezal skinął mu zachęcająco głową. Oreb wrócił na grzędę nad łóżkiem.

– Nie możemy się buntować sami przeciw sobie – ciągnął Jedwab. – Nie ma więc mowy o buncie. Nie ma żadnego powstania, a wy nie jesteście powstańcami. Możemy oczywiście toczyć wojnę między sobą; tak się od jakiegoś czasu dzieje. Wojna ta była konieczna, lecz czas owej konieczności się skończył. Nastął nowy caldé; ja nim jestem. Kiedy potrzebowaliśmy deszczu, dostaliśmy deszcz. – Powiódł wzrokiem po pokoju, aż natrafił na grube szare zasłony. – Czy mógłbyś otworzyć okno, Mieczniku? Dziękuję ci.

Z trudem, czując ból, wciągnął głęboko do płuc chłodne, wilgotne powietrze.

– Padało, a zapewne koniec deszczów jeszcze nie nastął. Przyszedł teraz czas na pokój, dar, który sami możemy sobie dać, cenniejszy od deszczu. Niech nastanie pokój. – (Co takiego powiedział kapitan dawno, dawno temu, w tamtej gospodzie?). – Wielu z was głoduje. Zamierzamy z funduszy miejskich kupić żywność i odsprzedać wam po obniżonej cenie. Nie rozdamy jej za darmo, gdyż znaleźliby się wówczas tacy, którzy by ją roztrwonili, ale sprzedamy bardzo tanio, tak że nawet żebracy będą mogli sobie na nią pozwolić. Moja gwardia uwolni więźniów z jam. Generalissimus Oosik, Jego Mądrość i ja udamy się rankiem do Alambriery, gdzie wydam stosowny rozkaz. Niniejszym wybacza się winy wszystkim skazańcom – ja im wybaczam. Będą głodni i słabi, więc proszę, podzielcie się z nimi tym, co będziecie mieli.

Przypomniał sobie głód, jaki sam czasem odczuwał, na plebanii i gorszy jeszcze, w podziemiach, zżerający wnętrzości głód, który niemalże przerodził się w chorobę, zanim Mamelta znalazła w podziemnej wieży dziwne, gorące posiłki.

– Słaby mieliśmy tego roku urodzaj – mówił dalej. – Módlmy się więc wszyscy, by za rok

szczęście się do nas uśmiechnęło. Często się o to modliłem i będę się modlił dalej, ale jeżeli chcemy, by do końca życia starczyło nam żywności, musimy zapewnić naszym polom nawodnienie w okresach, gdy deszcz nie pada. Pod miastem ciągną się stare tunele. Niektórzy z was wiedzą o tym doskonale, gdyż natknęli się na nie, kopiąc doły pod fundamenty. Tunele te sięgają aż do Limny; wiem o tym, gdyż byłem tam. Jeżeli uda się nam przebić do jeziora, doprowadzimy nimi wodę do naszych pól. Wtedy wszyscy będziemy mieli dość jedzenia i starczy go na długo.

Chciał dodać „do czasu, aż przyjdzie nam opuścić ten whorl”, ale ugryzł się w język i umilkł na chwilę, patrząc, jak kotary kołyszą się na wietrze. Nasłuchiwał własnego głosu przez okno.

– Jeżeli walczyliście w moim imieniu, powstrzymajcie się teraz od użycia broni, chyba że zostaniecie zaatakowani. Jeżeli należycie do gwardii, przysięgaliście posłuszeństwo oficerom. – (Nie był tego do końca pewien, ale wydawało mu się to tak prawdopodobne, że postanowił zaryzykować). – A waszym najwyższym oficerem jest generalissimus Oosik, który dowodzi i gwardią, i wojskiem. Słyszeliście, co powiedział. Chce pokoju. Ja również.

Oosik wskazał najpierw na siebie, a zaraz potem na czarne ucho.

– Niedługo znów go usłyszycie – dodał Jedwab.

Wydawało mu się, że klosz musiał się już podnieść i częściowo odsłonić słońce. Ba, moment ten – godzina pierwszego światła – dawno już pewnie minął i nadszedł czas porannej modlitwy do Thelxiepei. Miasto wciąż jednak kryło się w półmroku.

– Zwracam się teraz do zwolenników Ayuntamiento. Walczycie i umieracie w obronie instytucji, która wcale obrony nie potrzebuje. Ani ja, ani generalissimus Oosik, ani generał Mięta nie chcą jej obalić. Dlaczego więc nie mielibyśmy żyć w pokoju? Pomóżcie nam nieść pokój! Powołanie Ayuntamiento zostało zapisane w Karcie. Gdyby nie Karta, Ayuntamiento nie miałaby prawa istnieć. Karta przyznaje wam – wam, mieszkańcom Vironu, nie jakimś urzędnikom – prawo wyboru nowego caldé, jeżeli stanowisko to jest nieobsadzone, i podporządkowuje mu Ayuntamiento. Nie muszę wam chyba przypominać, iż Karta pochodzi od nieśmiertelnych bogów; wszyscy to wiecie. Wspólnie z generalissimusem Oosikiem konsultowaliśmy się w tej kwestii z Jego Mądrością przewodniczącym Kapituły. On również jest tu z nami i z całą pewnością zwróciłby mi uwagę, gdybym udzielił wam niezgodnych z prawdą informacji.

Kwezal przyjął podane mu ucho. Wziął je do lewej ręki, prawą zaś nakreślił nad nim znak dodawania.

– Bądźcie błogosławieni w przenajświętsze imię Paha, Ojca Bogów, w imię Echidny Miłosiernej, jego małżonki, w imię ich synów i córek, po wieki wieków, w imię ich najstarszej córki, Scylli, patronki naszego...

Przewodniczący mówił dalej, ale Jedwab już go nie słuchał – oto bowiem otworzyły się drzwi prowadzące do garderoby i weszła Hiacynt, przepiękna w powłóczystej sukni ze szkarłatnego jedwabiu.

– Szkło powiedziało mi właśnie, że Ayuntamiento wyznaczyła dziesięć tysięcy nagrody dla człowieka, który cię zabije – wyszeptwała. – I po dwa tysiące za Oosika i Jego Mądrość. Pomyślałam, że powinieneś o tym wiedzieć.

Jedwab podziękował jej skinieniem głowy.

– Należało się tego spodziewać – mruknął Oosik.

– Zważcie, dzieci moje – ciągnął Kwezal – jak bolesny musi być dla Scylli Wspierającej widok synów i córek jej miasta, którzy skaczą sobie do oczu. Scylla dostarcza nam wszelkich dóbr, jakich potrzebujemy. Przede wszystkim obdarzyła nas Kartą, która stanowi podstawę pokoju i sprawiedliwości. Jeżeli chcemy odzyskać jej łaski, wystarczy wrócić do Karty. Wiem, że wszyscy pragniecie sprawiedliwości, ja również. Pah Wielki posiał tę tęsknotę w naszych piersiach; nawet najgorsi złoczyńcy pragną żyć w świętości. Znaleźliby się zapewne niewdzięcznicy, którzy temu zaprzeczają, lecz naprawdę nieliczni. Wszyscy pragniemy tego samego, a nasze marzenie może się ziścić przez jeden prosty akt: przywróćmy Kartę. Tak chcą bogowie. Przyjmijmy tego oto pomazanego augura, patere Jedwabia, na naszego caldé. To również wola bogów. Chcąc być posłuszny prawu, które ustanowiła dla nas Scylla Wytrzymała, musimy mieć caldé, a nawet najmniejsze dzieci wiedzą, na kogo padł wybór. Jeżeli dręczą was wątpliwości, moje drogie dzieci, błagam was, porozmawiajcie o tym z augurem, który się wami opiekuje. Każda dzielnica ma swojego augura, ale równie dobrze możecie spytać o to augura spotkanego na ulicy albo którąś ze świętych sybilli. Powiedzą wam, że podążać drogą obowiązku jest łatwo, gdyż wiedzie ona prosto i gładko w przyszłość. – Kwezal z sykiem wypuścił powietrze z płuc. – Czas jeszcze, drogie dzieci, poruszyć kwestię najbardziej bolesną. Doszły mnie słuchy, iż diabły w ludzkiej skórze dążą do naszego unicestwienia. Są fałszywe i do szpiku kości złem przeżarte, gdyż obiecały pieniądze – których nie mają i nie wypłacą – za nasze głowy. Nie wiercie ich kłamstwom, które obrażają bogów. Ktoś, kto dla pieniędzy morduje niewinnych, gorszy jest od diabła, a jeśli zabija dla pieniędzy, których nigdy nie zobaczy, jest w dodatku naiwny. Gorzej, jest głupcem.

Oosik wyciągnął rękę, chcąc zabrać przewodniczącemu plastikowe ucho, lecz ten pokręcił tylko głową.

– Dzieci moje, niebawem nadejdzie pora rozjaśnienia. Nastanie nowy dzień. Niechaj będzie on dniem pokoju. Stańmy ramię w ramię i razem opowiedzmy się po stronie bogów, ich Karty i caldé, którego nam wybrali. Na razie żegnam się z wami, choć mam nadzieję, że wkrótce spotkamy się twarzą w twarz, a wówczas pobłogosławię was za pokój, który daliście miastu. Teraz zaś przemówi do was ponownie generalissimus Oosik.

– Mówi generalissimus. Działania przeciw buntownikom zostają odwołane ze skutkiem natychmiastowym. Oficerowie będą odpowiedzialni przede mną osobiście za wypełnienie tego rozkazu i posłuszeństwo swoich podwładnych. Caldé Jedwab i Jego Mądrość wyruszą w miasto na pokładzie jednego z naszych ślizgaczy. Wszyscy oficerowie i żołnierze mają ich powitać z należnym szacunkiem. – Oosik odwrócił się na bok. – Chcesz coś dodać, mój caldé?

– Tak. – Jedwab nachylił się ku niemu i przemówił do plastikowego ucha: – Proszę, zaprzestańcie walki. Przyznaję, zbrojny opór był niezbędny, teraz jednak stał się bezsensowny. Powstrzymaj ich, jeśli zdołasz, maytere Mięto. Generale Mięto, proszę, pokój jest w zasięgu ręki... Z chwilą gdy go przyjmie, wszyscy zwyciężymy. – Usiadł prosto, pełen podziwu dla cudownego wynalazku. Naprawdę przypomina czarny kwiat, pomyślał, kwiat, który rozkwita nocą. A skoro zakwitł, to rozjaśnienie musi być blisko, nawet jeśli noc jest zupełnie ciemna. – Za chwilę znajdziemy się wśród was – dodał. – Polecimy ślizgaczem, jak wspomniał generalissimus Oosik. Proszę, nie strzelajcie; my z pewnością nie mamy takiego zamiaru. Nikt już nie będzie strzelał. – Szukając potwierdzenia swoich słów, odwrócił się do Oosika, który z zapalem pokiwał głową. – Nawet jeżeli ktoś strzeli do mnie. Jeśli tylko zdołam, spróbuję stanąć w ślizgaczu, żebyście wszyscy mnie widzieli.

Jedwab umilkł; czy trzeba było mówić więcej? Jego słowa wróciły przez otwarte okno, stłumione niczym odległy grzmot: „...wszyscy mnie widzieli”.

– Tych, którzy walczyli dla Vironu, czeka nagroda, bez względu na to, po czyjej stronie się opowiedzieli. Maytere Marmur, jeżeli mnie słyszysz, podejdź, proszę, do ślizgacza. Jesteś mi bardzo potrzebna. Wy również, Alko i Acalypho.

A może Kypris opętała piękną Hiacynt i dlatego nie sposób się jej teraz oprzeć? Czy mogłaby wstąpić w dwie kobiety równocześnie? Zadał to pytanie w myśli wszystkim swoim nauczycielom, których twarze pamiętał ze scholi. Na zakończenie należałoby odwołać się do bogów, uznał, lecz wyświechtane tytuły bóstw nie chciały mu przejść przez gardło.

– Módlcie się za mnie do czasu naszego spotkania – powiedział. – Za mnie, za nasze miasto, za nas wszystkich. Módlcie się do Kypris Łaskawej, która jest miłością. Módlcie się w sposób szczególny do Zewnętrznego, gdyż jest on bogiem, którego czas nadchodzi, ja zaś jestem pomocnikiem, którego nam zesłał.

Opuścił rękę i Oosik wyjął mu ucho z dłoni.

– Za co wszyscy jesteście mi wdzięczni – powiedział.

– Uwaga – mruknął cicho Oreb.

Nikt więcej się nie odezwał. Mimo że Oosik, lekarz, Miecznik i Kwezal wciąż stali przy łóżku, pokój nagle zrobił się pusty. Cisza zaległa nad Palatynem: żaden kupiec nie zachwalał swoich towarów na straganie, wszystkie działa milczały.

Pokój.

Przynajmniej tutaj, na Palatynie i w jego najbliższej okolicy. Wydawało się to niewiarygodne, ale setki, tysiące ludzi zaprzestały walki dlatego, że on, Jedwab, kazał im tak uczynić.

Poczuł się lepiej; może pokój, tak jak krew, poprawia samopoczucie, pomyślał. Kiedy spał, chirurg przetoczył mu jeszcze trochę krwi. Ten sen musiał być podobny do śpiączki, skoro nie

obudziło go ukłucie igły. Krew innego człowieka – jego życie – pozwoliło mu żyć, chociaż poprzedniej nocy był pewien, że umrze. Zrodzone z chwilowej słabości złe przecucia srogo się pewnie rozczarowały. Jedwab postanowił to dobrze zapamiętać: z pomocą przyjaciół człowiek może sam tworzyć swoje przeznaczenie.

Zwycięstwo

Miecznik udał się do pałacu i przyniósł stamtąd jedną z pięknych tóg Remory. Pasowała na Jedwabia zadziwiająco dobrze, choć delikatna materia kojarzyła mu się z bogactwem i luksusem, którymi gardził.

– Idealnie na tobie leży, chłopcze! – rzekł Miecznik. – Jakbyś się w tym urodził.

Jedwab pokręcił tylko głową; wątpił, czy ktoś w ogóle go w takich szatach rozpozna.

– Kazałem zamontować na ślizgaczu dodatkowe reflektory – oznajmił Oosik, który właśnie zjawił się w pokoju. – Na antenie zawiesimy chorągiew. Większość światel skierujemy na ciebie, caldè, dwa na chorągiew. – Nie czekając na odpowiedź, zwrócił się do chirurga: – Jest gotowy?

– Byle nie musiał daleko chodzić.

– Jak będzie trzeba, obejdę całe miasto na własnych nogach – zapewnił Jedwab.

– Może na razie się połóż – zaproponowała Hiacynt, a Jedwab, chcąc zrobić jej przyjemność, wrócił do łóżka. – Wstaniesz, kiedy trzeba będzie ruszać.

Chyba niespełna minutę później Miecznik z chirurgiem przetoczyli go na nosze i wynieśli z komnaty. Hiacynt szła przy nim, tak jak wtedy, gdy lokaje wynosili go z oranżerii. Jedwab miał wrażenie, jakby wraz z nimi przemierzał ogród, który stał się ogrodem jego matki. Po drugiej stronie noszy podążał Kwezal, udzielając mu swych błogosławieństw. Z jego aksamitnej togi unosiła się woń kadzidła, mieszając się z chłodem i wiejącym w ciemności wiatrem. Rozbrzmiewający Jedwabowi tuż przy uchu szmer spódnicy Hiacynta i szelest togi Kwezala zagłuszały trzepotanie chorągwi Oosika. Gwardziści salutowali karnie, trzaskając obcasami; jeden z nich przyklęknął, prosząc o błogosławieństwo.

– Lepiej byłoby, gdybyśmy nie musieli cię wnosić do ślizgacza, caldé – rzekł Oosik. – Dasz radę sam wsiąść?

Pewnie, że da radę. Wstał z noszy, podpierając się laską Miecznika. Z oddali dobiegały odgłosy kanonady, a później, gdy strzały umilkły, rozległ się słaby, nierzeczywisty krzyk.

– Jeszcze walczą – skomentował Oreb.

– Tak, niektórzy wciąż walczą – przytaknął Jedwab. – Dlatego musimy tam jechać.

We włazie wejściowym lśniło blade światło. Lekarz czekał już wewnątrz pojazdu, by pomóc Jedwabowi.

– Krew miał ślizgacz bez dachu – przypomniał sobie Jedwab. – Siedziało się pod kopułą, przejrzystą jak powietrze, ale można ją było złożyć i stanąć między fotelami.

– W tym też można jechać na stojąco – uspokoił go chirurg. – O, tutaj. – Wskazał Jedwabowi miejsce. – Widzisz? Zmieścisz się pod wieżyczką.

Jedwab wyprostował się i skinął głową.

– Wczoraj takim jechałem, po deszczu. Siedziałem na panczeru; w środku było o wiele mniej miejsca niż tutaj.

Nie mówił, że najwięcej przestrzeni zajmowały ciała zabitych, w tym także doktora Żurawia.

– Wyciągnęliśmy stąd sporo amunicji, caldé – wtrącił gwardzista zza sterownicy.

Jedwab ponownie skinął głową, choć kierowca nie mógł go widzieć. *Znalazł drabinkę, która powinna się znajdować na panczeru – delikatną konstrukcję z metalowych prętów – i ostrożnie wspinał się do włazu na szczycie wieżyczki.*

– Zła rzecz! – odezwał się zdenerwowany Oreb. – Coś błyszczący.

– Chodzi ci o działko pulsacyjne? – Jedwab ku własnemu zdumieniu uśmiechnął się na widok matowoczarnej lufy i otwartego, lśniącego zamka broni. – Nie będą do nas strzelać, Orebie. Mam nadzieję, że do nikogo nie będą strzelać.

– Tu jest siedzenie dla strzelca, caldé – dobiegł z dołu głos lekarza. – I takie podpórki na stopy.

– Strzemiona. – Drugi głos z pewnością należał do Oosika.

Jedwab przeskoczył na obite skórą siedzenie, chociaż omal nie wypuścił przy tym laski Miecznika z ręki. Ślizgacz otoczyli ludzie na koniach, a niespełna przecnicę dalej stała chyba pełna kompania gwardii. Odźwierny, który wpuścił go do „Gronostaja”, obserwował wszystko ze stanowiska przy drzwiach. Kiedy Jedwab pokiwał mu laską, zamachał w odpowiedzi ręką i uśmiechnął się szeroko.

Jego białe zęby błysnęły w ciemności.

Znów zanosi się na deszcz, pomyślał Jedwab; chyba od wiosny nie było tak mrocznego poranka.

Na wysokości jego łokcia pojawiła się głowa Kwezala.

– Będę przy tobie, patere caldé. Znajdą mi tylko jakąś skrzynkę, żebym miał na czym stanąć.

– Nie mógłbym siedzieć, gdy Wasza Mądrość stoi – odparł Jedwab z całym zdecydowaniem, na jakie było go stać.

Z przodu pojazdu otworzył się właz, z którego wynurzyła się głowa i ramiona Oosika – mówił coś do siedzących w środku ludzi.

Jedwab poczuł na ramieniu dotknięcie palców Kwezala, zimnych, suchych i jak gdyby pozbawionych kości.

– Jesteś ranny, patere caldé, i bardziej osłabiony, niż myślisz. Siedź. Taka jest moja wola.

Głowa Kwezala znalazła się już na równi z jego głową.

– Jak sobie Wasza Mądrość życzy. – Chwyciwszy oburącz kołnierz włazu wieżyczki, Jedwab podciągnął się, zmuszając do wysiłku słabe, jakby nie swoje ciało. Przez chwilę zdawało mu się, że przesadził – serce waliło mu jak młotem, ręce się trzęsły – ale zaraz namacał stopą brzeg skrzyni, na której stał Jego Mądrość. Oparł się na niej mocno i wywindował na skraj otwartego włazu. – Waszej Mądrości zostawiam fotel strzelca.

Ślizgacz uniósł się lekko w powietrze i ruszył naprzód. Głos Oosika, zagłuszający ryk silników, zdawał się sięgać wszystkich ulic w mieście:

– Ludu Vironu! Zgodnie z obietnicą, nasz nowy caldé jest wśród was. U boku caldé znajduje się Jego Mądrość przewodniczący Kapituły, który potwierdził, że caldé Jedwab cieszy się łaską wszystkich bogów. Powitajcie go! Idźcie za nim!

Jasne reflektory, umieszczone po bokach na odległość wyciągniętej ręki, prawie oślepiły Jedwabia.

– Dzieweczka idzie! – zakrakał Oreb.

Czarny ślizgacz cywilny wcisnął się między ich maszynę a pieszych gwardzistów i z wolna przepychał się przez oddział jazdy. Na przednim siedzeniu, obok kierowcy, stała Hiacynt. Jedwab patrzył z rozdziawionymi ustami, jak przestępuje nad jakąś niską, niewidzialną barierą i wchodzi na wywoskowany, zaokrąglony pokład przedni.

– Laska! – krzyknęła.

Zacisnął mocniej dłoń na rękojeści, odchylił się daleko w tył i wyciągnął ozdobną laskę Miecznika w stronę dziewczyny. Czarny ślizgacz podpłynął jeszcze bliżej, aż pokrywą silnika dotknął tylnego pancerza maszyny gwardii.

I wtedy Hiacynt skoczyła; szkarłatna suknia wydeła się w podmuchach powietrza z wydechów i przez ułamek sekundy Jedwab był przekonany, że dziewczyna spadnie. Zaraz jednak złapała podaną jej laskę i stanęła pewnie na pochyłym pancerzu ślizgacza gwardii. Pomachała triumfalnie jeźdźcom, którzy salutowali w odpowiedzi. Zanim cywilny pojazd skręcił i zniknął poza kręgiem światła reflektorów, Jedwab rozpoznał siedzącego za sterami człowieka – tego samego, który w phaedag wieczorem odwiózł go na plebanię.

Hiacynt posłała mu psotny uśmiezek.

– Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha. Nie spodziewałeś się, że będziesz miał towarzystwo, co?

– Myślałem, że jesteś w środku, w naszym ślizgacz. Powinienem być... Przepraszam, strasznie mi przykro.

– I słusznie. – Jedwab musiał przytknąć ucho do ust Hiacynta, żeby słyszeć, co mówi, ona zaś, korzystając z okazji, skubnęła je lekko zębami i pocałowała. – Oosik kazał mi się wynosić. Nie mów mu, że tu jestem.

Kwezal wzniosł różgi, udzielając błogosławieństwa, chociaż oślepiiony reflektorami Jedwab poza świetlistym kręgiem dostrzegał tylko sylwetki jeźdźców. Ryk silnika ucichł nieco; słyszalny od czasu do czasu zgrzyt podpowiadał mu, że maszyna szybuje tuż nad brukiem.

– Mówiłaś, że wzięłaś ślizgacz – powiedział Jedwab. – Myślałem, że chodzi ci o to, że go po prostu... no, wzięłaś sobie.

– Nie umiałabym go poprowadzić. – Hiacynt usiadła i chwyciwszy się kołnierza włazu, przysunęła się bliżej. – Ty byś potrafił? Na szczęście kierowca jest moim przyjacielem i wystarczyło mu dać parę groszy.

Kiedy skręcili w boczną ulicę, z ciemności roztaczającej się poza kręgiem światła dobiegły wiwaty i triumfalne okrzyki niezliczonych widzów.

– Przyszliśmy do Jedwabia! – krzyknął ktoś.

Ciśnięta z tłumu chryzantema musnęła mu policzek. Pomachał w odpowiedzi ręką.

– Niech żyje caldé! – rozległ się inny głos, po którym okrzyki jeszcze się nasiliły. Hiacynt uśmiechała się i machała wszystkim przyjaźnie, jakby sama była tym caldé, którego witają.

– Dokąd jedziemy? Czy Oosik coś ci mówił?

– Do Alambrey. – Jedwab musiał krzyknąć, żeby jego głos wzbił się ponad panujący zgiełk. – Uwolnimy więźniów. Potem do Juzgado.

Stos skrzyń i mebli – barykada Liany – rozdzielił się, tworząc prześwit, w który wjechali. Kwezal modlił się do Dziewięciu:

– W imię Molpe Cudownej, bądźcie błogosławieni. W imię Tartarosa Mrocznego...

Oni ufają bogom, pomyślał Jedwab. Wszyscy ci nieszczęśnicy wierzą w moc bogów. I właśnie dlatego uczynili mnie swoim przywódcą. A ja czuję, że żadnemu z bogów nie mogę zaufać, nawet Zewnętrznemu.

– Tylko głupiec by im ufał, patere caldé – zauważył Kwezal spokojnie, jakby rozmawiali przy obiedzie. Jedwab wytrzeszczył oczy. – Czy nie mówiłem ci, że dołożyłem wszelkich starań, by zapobiec teofaniom? Ci, których nazywamy bogami, to zaledwie duchy, potężne tylko dzięki temu, że za życia zawłaszczyły moc.

– Ja... – Jedwab przełknął z wysiłkiem ślinę. – Nie wiedziałem, że powiedziałem to na głos, Wasza Mądrość. Przepraszam. Moja uwaga była nader niewłaściwa.

Siedzący mu na ramieniu Oreb poruszył się niespokojnie.

– Nie przemówiłeś głośno, patere caldé; po prostu ujrzałem wyraz twojej twarzy, a że mam sporo praktyki... Nie oglądaj się na mnie ani na tę młodą kobietę; patrz na ludzi. Pozdrawiaj ich, uśmiechaj się.

Obaj unieśli dłonie, a Jedwab posłusznie próbował się uśmiechnąć. Wzrok przywykł mu już do powodzi świateł na tyle, że dostrzegał chwilami ciemne, niewyraźne sylwetki także poza szeregiem jeźdźców.

– Echidna powiedziała nam, że Pah nie żyje – mruknął przez zaciśnięte zęby. – Wasza Mądrość to potwierdził.

– Nie żyje od dawna – przytaknął Kwezal. – Jest martwy, biedaczysko. Zginaj z rąk członków własnej rodziny, ale to było nieuniknione. – Zręcznie chwycił rzucony bukiet kwiatów. – Bądźcie błogosławione, dzieci moje! Bądźcie błogosławione... Niech Pah Wielki i nieśmiertelni bogowie przez wieki darzą swą łaską was i wszystko, co posiadacie.

– Jedwab jest caldé! Niech żyje!

– Niezłą mamy wycieczkę – stwierdziła uszczęśliwiona Hiacynt.

Jedwab skinął głową, uśmiechając się coraz cieplej i szczerzej.

– Patere caldé, to dla nich wielka chwila. Przelewali krew, by do niej doszło.

– Pokój! – zakrzyknął Jedwab, wymachując laską. – Pokój!

– Pokój! – potwierdził Oreb i machając skrzydłami wskoczył mu na głowę.

Jedwab zauważył, że wreszcie zaczyna świtać; przejaśniało się mimo burzowej chmury zwieszającej się nad miastem. Jak to dobrze się składa, uznał, że rozjaśnienie nadchodzi właśnie w takim momencie: pokój i słońce nadejdą razem! Jakaś rozradowana kobieta wymachiwała gałązką zimozielonego krzewu, symbolizującą życie. Skinął laską, spojrzał kobiecie w oczy i uśmiechnął się do niej przyjaźnie. Mało nie zemdląca z zachwytu.

– Tylko sam sobie nie zacznij rzucać kwiatów – przestrzegła go Hiacynt z udawaną surowością. – I tak niedługo wszyscy uznają cię za winnego.

– Cieszymy się zatem, póki możemy.

Widok kobiety z gałązką przypomniał mu jedną z tysięcznych wizji, które objawił mu Zewnętrzny: bohater jadący konno przez jakieś obce miasto, otoczony wiwatującym tłumem. Ludzie machają ogromnymi, wachlarzowatymi liśćmi. Czy Echidna i jej dzieci chciałyby zgładzić Zewnętrznego? W nagłym przyływie intuicji zdał sobie sprawę, że już próbują tego dokonać.

– Patrz! Orchidea! Tam, w oknie!

Reflektor skierowany na chorągiew oświetlił Orchideę. Wychylała się z okna na piętrze – tego samego, przez które wezwała go Kypris – tak że zdawało się, iż lada moment wypadnie na ulicę. Musieli zatem jechać teraz ulicą Lamp, już niedaleko od Alambrey.

Hiacynt przesłała Orchidei całusa. W tejże chwili coś gwizdnęło Jedwabiowi koło ucha i wyrznęło w przód ślizgacza. Pancierz zadzwieczał niczym gong. Rozległ się wysoki świst, grzmot eksplozji, a potem terkot działka pulsacyjnego. Ktoś kazał komuś gdzieś zejść, ktoś inny złapał Jedwabia za nadwerżoną kostkę i pociągnął do środka.

On jednak podniósł tylko wzrok na niebo, przesłonięte jakimś nieznanym mu, ogromnym obiektem, z całą pewnością nie chmurą. Kolejny wysoki, coraz wyższy skowyt narastał przez chwilę i nagle ulica przed ślizgaczem eksplodowała. Jedwabiowi sypnęło piaskiem w twarz; coś twardego trafiło go w głowę.

– Do środka, patere caldé! – krzyknął Oosik i schował się, zatraskując za sobą właz.

Porwał piękną Hiacynt w ramiona, wypuszczając laskę z rąk. Laska spadła do wnętrza maszyny, która pędziła już z pełną prędkością ulicą Lamp, roztrącając ludzi jak słomki. Hiacynt krzyczała wniebogłosy.

Znaleźli się na ulicy Klatak, nad którą piętrzył się niebotyczny mur Alambrey. W powietrzu przed bramą unosił się pojedynczy, uskrzydłony żołnierz – kobieta, sądząc po wypukłości pancerza na piersiach – z gotowym do strzału pistoletem kulowym. Jedwab ześliznął się z krawędzi włazu i

pociągnawszy za sobą dziewczynę, spadł na stłoczonych w kabinie ludzi. Wszyscy kłębili na podłodze w płataninie rąk i nóg, niczym masa złapanych do słoika żuczków. Ktoś nadepnął Jedwabowi na rękę, przepychając się ku drabince. Właz w wieżycze zatrzasnął się z hukiem.

– Szybciej, sierzancie! – rozkazał siedzący gdzieś z przodu Oosik.

– Już i tak mamy za duży wektor, generalissimusie.

Jedwab próbował się usprawiedliwić, osłonić uda Hiacynta jej szkarłatną suknią i znaleźć sobie miejsce, w którym mógłby się wyprostować – wszystko naraz. Nic mu się nie udało.

Coś wyrżnęło w ślizgacz niby młot kowalski i zbita z kursu maszyna uderzyła w jakąś przeszkodę. Przetoczyła się, przechyliła, wyprostowała; przeciążony silnik ryczał rozpaczliwie jak ranny byk. Cuchnący rybim tłuszczem dym zaczął się sączyć się do wnętrza.

– Szybciej! – powtórzył Oosik.

Niby w odpowiedzi na jego słowa zagrzmiało umieszczone w wieżycze działko i grało bez końca, jakby strzelec pokładowy zamierzał wymordować całe miasto. Przeczółgawszy się nad lekarzem i Miecznikiem, Jedwab wyjrzał nad ramieniem Oosika. W szkle tańczyły czerwone litery: NIEDOZWOLONY WEKTOR.

Coś grzmotnęło w pochyły przedni pokład nad ich głowami, grzmot silnika wzniósł się do ogłuszającego crescendo. Ślizgaczem szarpnęło w tył i nagle coś się zmieniło.

Maszyna przestała pędzić na oślep, podskakiwać na wybojach. Silnik milkł z wolna, aż wreszcie dał się pod nim słyszeć tylko wysoki jazgot wydechów, który wzniósł się do obłąkanego pisku, a potem ścichł. Na sterownicy migiała czerwona lampka.

Hiacyntowi zaparło dech w piersi, gdy z miejsca, gdzie siedział Oosik, uniósł się w powietrze niezwykle przedmiot. Zanim Jedwab go rozpoznał, obiekt ten zakończył leniwy ćwierćobrót i znalazł się ledwie o dłoń od jego twarzy – był to duży igłowiec, podobny do tego, który sam miał pasem. Wskoczył swobodnie z olstra u pasa Oosika, jak korek z butelki.

– Patrz! Patrz! Wciągają nas! – krzyknęła Hiacynt i pełnymi piersiami naparła z tyłu na Jedwabia. Złapał igłowiec i schował go pułkownikowi do olstra, a kiedy ponownie zerknął w szkło, ujrzał w nim złożony wzór z powyginanych linii, tu i ówdzie ożywionych czerwoną iskierką. Przypominał mu miasto w krainach niebios, chociaż znajdował się dużo bliżej. Zaciekawiony, otworzył zamek znajdującego się nad fotelem Oosika włazu i odrzucił pokrywę. Ledwie to zrobił, poczuł, jak obie stopy odrywają mu się od podłogi. Machnął ręką, starając się namacać krawędź włazu, chybił i szybował swobodnie jak przed chwilą igłowiec, dopóki ktoś nie złapał go za nogę.

Wzór, który ujrzał w szkle, rozciągał się przed jego oczyma bez końca: rozjaśnione światłem zmierzchu miasto na niebie, okolone brunatnymi polami i przycupniętymi wśród nich wioskami. Z boku widział srebrzyste zwierciadło, uczipione na krętej nitce barwy błota. Oreb sfrunął mu z

ramienia i zniknął w półmroku.

– Lecimy w powietrzu. – Niedowierzenie i strach zmieniły te słowa w westchnienie. Jedwab odchrząknął, splunął krwią i powtórzył: – Lecimy w powietrzu, do góry nogami. Widzę Viron, jezioro i prowadzącą nad nie drogę.

– Spójrz lepiej w drugą stronę, patere caldé – doradził mu Kwezal.

Byli już znacznie bliżej rozległego, czarnego brzucha stwora, który przesłaniał niebo. Zwieszała się z niego – na niciach pozornie nie grubszych od babiego lata – konstrukcja przypominająca łódź o wielu wiosłach. Jedwab zdążył wziąć głęboki wdech i wypuścić powietrze z płuc, zanim zorientował się, że wiosła są w istocie lufami dział. Dalsze pół minuty musiało upłynąć, żeby rozpoznał wymalowany na dnie łodzi czerwony trójkąt.

– Wasza Mądrość...

– Nie rozumiesz, dlaczego do nas nie strzelają – dokończył Kwezal. – Wydaje mi się, iż na razie nas nie zauważyli, ot i wszystko. Wiatr zmusza ich do utrzymywania pozycji równoległej do słońca, więc widzą tylko spowite w cień miasto. Nasz ślizgacz jest w tej chwili tak ustawiony, że w ich stronę zwraca najmniejszą powierzchnię. Kłopot w tym, że się obracamy i za chwilę będziemy dokładnie pod nimi. Lepiej się schowaj i zamknij włącz.

W szkle widniał teraz obraz jeziora Limna. Patrząc na jego brzegi, rozciągające się od jednego skraju ekranu do drugiego, Jedwab przypomniał sobie igłowiec Oosika: ślizgacz w podobnie zwolnionym tempie obracał się w powietrzu.

– Wcale się nie boisz, prawda? – zapytała go szeptem Hiacynt i zadrżała. – Bardzo wysoko jesteśmy?

– Oczywiście, że się boję. Dopóki sterczałem z włazu na zewnątrz, byłem po prostu przerażony. Wciąż bardzo się boję, ale nie myślę o strachu, bo głowę zaprzatają mi rozmyślenia o naszym obecnym położeniu. Nie widzę innego wytłumaczenia, jak tylko cud. – Patrząc w szkło, próbował w duchu znaleźć słowa dla opisanego statku powietrznego.

– Wciągają nas na górę, chłopcze! Myślisz, że moglibyśmy ciachnąć tę linę?

– Nie ma żadnych lin; gdyby nas z nimi łączyły, wiedzieliby, gdzie jesteśmy i nie omieszkaliby nas ostrzelać. To działa jakoś inaczej. A właśnie, czy to nie ty złapałeś mnie za nogę? Bardzo ci dziękuję.

Miecznik pokręcił głową i wskazał lekarza.

– Dziękuję – powtórzył Jedwab. – Bardzo dziękuję, doktorze. – Oparł rękę na ramieniu kierowcy. – Przed chwilą widziałem napis „Niedozwolony wektor”. Co to znaczy?

– Taki komunikat wyświetla się w szkle, mój caldé, kiedy ślizgacz za bardzo się rozpędzi lecąc na

północ albo na południe. Należy wtedy zwolnić. Jeżeli kierowca nie zareaguje na ostrzeżenie, monitor powinien sam zmniejszyć prędkość, ale w naszym ślizgaczu monitor już nie działa.

– Rozumiem. – Jedwab pokiwał głową; miał nadzieję, że gest ten był zachęcający. – Dlaczego należy zwolnić?

– Kiedy za szybko leci się na północ, człowiek zaczyna mieć wrażenie, jakby ktoś zasypywał go piachem – wtrącił się do rozmowy Oosik. – Nie jest to miłe, a poza tym spowalnia reakcje załogi. Kiedy z kolei leci się na południe, zaczyna się człowiekowi kręcić w głowie i robi się lekki, jakby pływał w wodzie.

– Czy wiesz, jaki kształt ma whorl, patere caldé? – spytał ledwie słyszalnym tonem Kwezal.

– Nasz whorl? Jest cylindryczny, Wasza Mądrość.

– A po której stronie cylindra się znajdujemy, patere caldé? Po zewnętrznej czy wewnętrznej?

– Jesteśmy w środku, Wasza Mądrość. Pospadalibyśmy, gdybyśmy chcieli wyjść na zewnątrz.

– Właśnie. Co nas tu trzyma? Co sprawia, że upuszczona książka spada na ziemię?

– Nie pamiętam tej nazwy, Wasza Mądrość, ale jest to ta sama siła, która sprawia, że kamień trzyma się w procy, dopóki nie zostanie z niej wyrzucony.

Hiacynt znów wsunęła rękę w jego dłoń. Ścisnął ją lekko.

– Dopóki chłopiec rozkręca procę, kamień nie może wypaść – ciągnął. – Whorl się kręci... Rozumiem już! Gdybyśmy zamiast kamienia wzięli... mysz, na przykład, i ta mysz biegłaby w tym samym kierunku, w którym obraca się proca, jeszcze pewniej by się w niej trzymała, jakby ktoś szybciej kręcił procą. Gdyby wszakże zaczęła biec w drugą stronę, mogłaby spaść, tak jakby proca za wolno się kręciła.

– Strzelec! – krzyknął Oosik, patrząc w szkło. – Twoje działko chyba stąd doniesie. – Odblokował bezpiecznik własnej broni, gdy w szkle pojawił się czerwony trójkąt.

– Trivigaunte – wyszeptała Hiacynt. – Sphigx nie pozwala im tworzyć wizerunków żadnych obiektów z natury. Taki znak jest na ich fladze.

Alka stał bez ruchu, nie mogąc sobie przypomnieć, gdzie się znajduje i skąd się tu wziął. Spadł z dachu? Słona krew z rozciętej wargi spłynęła mu do ust. Obok niego przemknął jakiś mężczyzna o nogach cienkich jak szczapy na rozpałkę i twarzy jak brodata czaszka, za chwilę następny, i jeszcze jeden.

– Nie bój się – szepnął mu do ucha ślepy bóg. – Bądź odważny i działaj mądrze, a ja będę cię chronił.

Wziął Alkę za rękę – nie w taki sposób jednak, jak Hiacynt przed chwilą wsunęła dłoń w dłoń Jedwabia, lecz tak jak starszy człowiek czepia się młodzieńca w chwili zagrożenia.

– Dobrze – zgodził się Alka. – Nie boję się, tylko trochę mi się we łbie pomieszało. – Ścisnął rękę boga: była duża, silna, zaopatrzona w długie, mocarne palce. Nie mógł sobie przypomnieć imienia ślepego boga i było mu z tego powodu wstyd.

– Nazywam się Tartaros i jestem twoim przyjacielem. Opowiadaj mi, co widzisz. Możesz mówić na głos albo nie, jak sobie życzysz.

– W samym środku ściany jest ogromna dziura, z której bucha dym. Jestem przekonany, że wcześniej jej tam nie było. Dookoła leży trochę trupów. Jeden z nich to chyba latająca żołnierka. Skrzydła się jej połamały, kiedy walnęła o ziemię. Wszystko ma brązowe: skrzydła, majtki i jakiś taki jakby bandaż na cyckach.

– Brązowe?

– No, niezupełnie. – Alka przyjrzał się uważniej. – Bardziej żółto-brązowe. Tak jak ziemia. O, idzie Acalypha.

– To dobrze. Utul ją, mój noktolatro. Czy statek powietrzny dalej wisi nad miastem?

– Ma się rozumieć – stwierdził Alka, tonem głosu dając do zrozumienia, że nawet sam bóg nie musi mu przypominać o tak elementarnych obowiązkach, jak pocieszenie dziewczyny. – Tak, wisi.

Acalypha rzuciła mu się na szyję.

– Już dobrze, szczebiotko – uspokoił ją. – Wszystko się ułoży, zobaczysz. Tartaros jest moim kumplem. – A zwracając się do Tartarosa, dodał: – Jeden ślizgacz hyclów spada do jamy, tylko tak jakoś powoli, i strzela cały czas. Mówię, bo też go widać w górze. Poza tym kilkaset żołnierek lata wszędzie dookoła, takich jak ta nieżywa.

Ślepy bóg ścisnął go lekko za rękę.

– Wyszliśmy tu z mniejszej jamy, Alko. Jeżeli nie widać nigdzie drogi na zewnątrz, lepiej wróć do tunelu. Są stąd inne wyjścia; znam je wszystkie.

– Zaraz, chwilę, posiałem gdzieś kosę... Już jest. – Alka puścił Acalypnę, przeszedł dalej i wyciągnął kordelas z błota. Wytarł go o skraj tuniki.

– Alko, synu...

Złodziej machnął kordelasem w stronę Kowadełka.

– Lepiej wracaj pod ziemię, patere, zanim coś ci się stanie. Tartaros też mi tak radzi, a on wie, co mówi.

Ślizgacz mknął teraz szybciej w dół, jakby naprawdę spadał bezwładnie. Alka doszedł do wniosku, że maszyna rzeczywiście leci na łeb, na szyję, chociaż nieco inaczej niż inne spadające obiekty. Do ostatniej chwili zdawało się, że ma szansę wylądować w pozycji pionowej, ale ostatecznie uderzyła o ziemię bokiem pokrywy silnika i przetoczyła się na burtę.

Coś, co znajdowało się o wiele wyżej, spadało znacznie szybciej: czarny punkt podobny do strzały. Trafił w uszkodzony mur Alambrey i eksplodował ogniem. Bryły rakplastu wielkości małych domów latały wokół jak plewy w młockarni. Alka doszedł do wniosku, że w życiu nie widział nic równie pięknego.

– Jedwab tutaj! – oznajmił dumnie Oreb i siadł złodziejowi na ramieniu. – Ptak przyprowadził!

Z przodu ślizgacza otworzył się właz.

– Ogierku! – krzyknęła Acalypha. – Chodź, ogierku! Wracamy do tunelu!

Alka uciszył ją machnięciem ręki. Mur Alambrey otrzymał właśnie śmiertelny cios: przecinające go szczeliny urosły w mgnieniu oka, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki przenosząc się na rakplast tworzący ściany jamy. Rozległ się głęboki pomruk, głośniejszy od najdonośniejszego grzmotu. Ziemia zatrzęsała się i – podczas gdy Alka desperacko starał się utrzymać na nogach – mur Alambrey oraz ściana jamy równocześnie runęły w dół. Drobnny gruz, ziemia i potrzaskane kamienne bloki zasypały pół jamy. Alka zakrztusił się pyłem.

– Dziura pęka – stwierdził Oreb.

Kiedy tumany kurzu opadły i Alka znów zaczął coś widzieć, z przewróconego ślizgacza wynurzyło się kilku mężczyzn i szczupła kobieta w szkarłatnym stroju. Zamontowane w wieżycze działko, nienaturalnie wykrzywione, ale wycelowane prosto w niebo, słało serię za serią w tabuny skrzydlatych żołnierek.

– Wróć do swojej kobiety – polecił Alce ślepy bóg. – Musisz ją chronić. Kobieta jest najważniejsza; to, co oglądasz, się nie liczy.

Złodziej rozejrzał się dookoła, lecz Acalyphy nigdzie nie zobaczył. Kilka chudych jak szkielety postaci zniknęło właśnie w dole, z którego on i szczebiotka wcześniej wyszli. Ludzie ze ślizgacza szli za nimi – w chmurach kurzu mignął mu siwobrody mężczyzna w czerni i drugi, wyższy od niego, odziany na zielono.

– Jedwab tutaj! – Nad dwoma uciekinierami kołował Oreb.

Dogonił ich, gdy weszli na wiodącą w dół spiralną ścieżkę; Jedwab kuśtykał pośpiesznie, pomagając sobie laską, wsparty na ramieniu kobiety w szkarłacie.

Alka złapał ją za włosy.

– Przykro mi, patere, ale muszę to zrobić.

Jedwab sięgnął za pas, lecz złodziej był szybszy. Pchnięty w pierś caldę zatoczył się w tył i spadł do mniejszej jamy.

– Słuchaj! – zwrócił mu uwagę ślepy bóg. Alka posłusznie nastawił uszu i usłyszał narastający jęk bomby na sekundę przed tym, jak spadła na ziemię.

Jedwab patrzył na ciało umierającego augura zarazem z radością i żalem – przecież było to jego własne ciało. Obok klęczał Kwezal, drugi, młodszy augur, kobieta w todze augura i trzeci mężczyzna, wiekiem chyba równy Kwezalowi.

Paciorki kołysały się rytmicznie, kreśląc w powietrzu znaki dodawania.

– Wybaczam ci, patere Jedwabi, synu mój, w imieniu wszystkich bogów. Wspomnij słowa Paha...

Dobrze się czuł, słuchając przebaczenia. Kiedy rytuał dobiegnie końca, będzie mógł odejść. Dokąd? Nieważne; dokąd zechce. Nareszcie był wolny! Choć od czasu do czasu zatęskni pewnie za swoją starą celą, wolność jest bez porównania lepsza. Wzniósł oczy ku górze, spojrzął na rakplastowy sufit, przebił go wzrokiem i zobaczył tylko ziemię – ale wiedział, że wyżej rozpościera się otwarte niebo i cały whorl.

– Modłę się, byś wybaczył nam, żyjącym – powiedział niższy augur i ponownie uczynił znak dodawania, który, jak Jedwab uznał po chwili namysłu, z pewnością nie był znakiem Paha. Znak dodawania to krzyż; pamiętał, jak maytere rysowała go na tablicy, gdy był chłopcem i uczył się rachować. Znakiem Paha nie był zwykły krzyż, lecz krzyż próżniowy. Sięgnął na pierś po swój własny, zawieszony na szyi, lecz go nie znalazł.

Starszy augur zabrał głos:

– Przemawiam w imieniu Paha Wielkiego, Echidny Boskiej, Scylli Parzącej.

– Molpe Cudownej, Tartarosa Mrocznego, Hieraxa Najwyższego, Thelxiepei Zamyślanej, Phaei Zawziętej i Sphigx Mocarnej – ciągnął młodszy.

– Jak też pomniejszych bogów – dokończył starszy.

Nad rakplastem była ziemia, a dalej czyste powietrze, jakim chciałby jeszcze odetchnąć. Zobaczył Alkę i śliczną Hiacynt. Przewalające się po kamiennym usypisku odłamy rakplastu odsłoniły w pewnej chwili macającą na oślep stalową dłoń.

Uszczęśliwiony Jedwab uniósł się w przestworza.

Statek powietrzny z Trivigaunte przypominał małego, nieskończenie odległego zuka, Złota Ścieżka

zaś znajdowała się tak blisko: wiedział, że nie może być jego celem.

Osiadł na niej łagodnie i przekonał się, że jest tylko wyłożoną sreberkiem drózką we whorlu nie większym od jajka. A gdzie ryczące bestie? Gdzie duchy innych zmarłych? Są! Dwaj mężczyźni i dwie kobiety. Zamrugał, wytrzeszczył oczy i przetarł je ręką.

– Jedwab! Mój synku! Synku! – Przytulili się do siebie. Popłynęły łzy radości.

– Matko!

– Jedwab, synku!

Whorl był brudny, cuchnął zdradą i daremnością – a tu miał wszystko: radość, miłość, wolność, czystość...

– Musisz wrócić, Jedwabiu. Przysłał nas, żebyśmy ci to powiedzieli.

– Nie masz wyjścia, chłopcze – zawtórował matce męski głos, który Lemur za życia ewidentnie naśladował. Podniósłszy wzrok, Jedwab ujrzał twarz, którą – rzeźbioną w drewnie – znał z matczynej szafki.

– Jesteśmy twoimi rodzicami – powiedział. Mężczyzna był wysoki i miał niebieskie oczy. – Ojcami i matkami.

Druga kobieta w ogóle się nie odzywała, ale w jej oczach wyczytał samą prawdę.

– Rozumiem – powiedział. – Byłaś moją matką. – Ponownie przeniósł wzrok na swoją prawdziwą, piękną matkę. – Zawsze będziesz moją matką. Zawsze!

– Będziemy czekać, Jedwabiu. Wszyscy. Pamiętaj o tym, synku.

Coś chłodziło mu twarz.

Otworzył oczy. Kwezal wachlował go smukłą, bladą dłonią, która poruszała się miarowo i bez wysiłku, niczym wahadło.

– Dobry wieczór, patere caldé. Tak mi się wydaje, że mamy już wieczór.

Leżał na ziemi, pod sufitem z rakplastu. Ból drażył mu szyję; bolała go też głowa, ręce, pierś, obie nogi i brzuch, każda część ciała na swój własny, odmienny sposób.

– Leż spokojnie – dodał Kwezal. – Szkoda, że nie mam dla ciebie ani kropli wody. Jak się czujesz?

– Wróciłem do swojej ohydnej klatki – odparł Jedwab, zapominając dodać „Wasza Mądrość”. – Wcześniej nie wiedziałem, że to klatka.

– Nie próbuj na razie siadać, patere caldé. – Kwezal przytrzymał go za ramię. – Zadam ci pytanie, ale nie traktuj tego zobowiązująco. Chcę tylko porozmawiać. Zgoda?

– Rozumiem, Wasza Mądrość. – Jedwab skinął głową, choć kosztowało go to wiele wysiłku.

– Oto moje pytanie: czy jeśli ci pomogę, dasz radę chodzić? Pamiętaj, tylko rozmawiamy.

– Chyba tak, Wasza Mądrość.

– Ledwie mówisz... Obejrzałem cię dokładnie, nic sobie nie złamałeś, patere caldé. Jest nas tu jeszcze czwórka, ale...

– Spadliśmy na ziemię, prawda? Lecieliśmy ślizgaczem gwardii, koziołkowaliśmy nad miastem... Czy to mi się śniło?

Kwezal zaprzeczył ruchem głowy.

– Ty, ja i Hiacynt. I jeszcze pułkownik Oosik i Oreb. I...

– Tak, patere caldé?

– Jakiś gwardzista... nawet dwóch gwardzistów i stary mistrz szermierki, którego ktoś mi przedstawił. Nie pamiętam, jak ma na imię, ale śniło mi się, że był z nami. To zbyt niesamowite.

– Jest w tej chwili z przodu, w tunelu, patere caldé. Uwolnieni przez ciebie więźniowie przysporzyli nam trochę kłopotów.

– A Hiacynt? – Jedwab spróbował usiąść.

– Leż spokojnie, bo nic ci nie powiem. – Kwezal trzymał mu oba ramiona przy ziemi.

– Gdzie Hiacynt? Na... Na wszystkich bogów, muszę się dowiedzieć!

– Nie przepadam za nimi, patere caldé. Ty zresztą też nie. Dlaczego zatem mielibyśmy mówić o czymś tylko przez wzgląd na bogów? Nie wiem, przykro mi, lecz nic o niej nie wiem. Może nie żyje. Nie mam pojęcia.

– Proszę, opowiedz mi, co się stało.

Bezwłosa głowa Kwezala poruszyła się na boki w kolejnym przeczącym geście.

– Lepiej ty mi powiedz, patere caldé. Znalazłeś się o włos od śmierci; muszę się dowiedzieć, czego nie pamiętasz.

– W tunelach jest woda. Byłem w nich już kiedyś, Wasza Mądrość. W niektórych okolicach było mnóstwo wody.

– To nie jest jedno z takich miejsc. Jeżeli doszedłeś już do siebie na tyle, żeby zrozumieć, jak bardzo jesteś osłabiony, i zdołasz dotrzymać obietnicy, pójdę poszukać wody. Pamiętasz, jak razem błogosławiliśmy tłumy? Opowiedz mi o tym.

– Próbowaliśmy przynieść pokój... całemu Vironowi. Krew go kupił... To znaczy Piżmo, ale on był tylko narzędziem w rękach Krwi.

– Krew kupił Viron, patere caldé?

Jedwab otworzył usta, ale zaraz je zamknął, nie mówiąc ani słowa.

– O co chodzi, patere caldé?

– Tak, Wasza Mądrość, kupił. On i jemu podobni kupili Viron. Nie przyszło mi to do głowy, dopóki nie zapytałeś, Wasza Mądrość. Pomieszały mi się obowiązki.

– Jakie obowiązki, patere caldé?

– Pokój i ocalenie mojego manteionu. Zewnętrzny prosił mnie, bym ratował manteion. Potem wybuchło powstanie i myślałem, że go uratuję, jeśli zdołam zaprowadzić pokój: ludzie uczynią mnie caldé, a wtedy wystarczy wydać rozkaz. – Jedwab umilkł na chwilę i leżał bez ruchu, z półprzymkniętymi powiekami. – Krew... Tacy ludzie jak Krew wykradli miasto, wykradli je po kawałku, całe, poza Kapitułą, która oparła się tylko dlatego, że ty, Wasza Mądrość, nią kierujesz. Kiedy Waszej Mądrości zabraknie...

– Czyli kiedy umrę, tak, patere caldé?

– Gdybyś umarł, Wasza Mądrość, dostaliby wszystko. Piżmo podpisał dokumenty, Piżmo był właścicielem... To ten, którego ciało spaliliśmy na ołtarzu, Wasza Mądrość. Pamiętam, jak się martwiłem tym, że Piżmo zostanie oficjalnym właścicielem manteionu, jak zgrzytałem zębami. Nadymałem się, puszyłem odwagą, której nigdy nie miałem, i wmawiałem sobie bez końca, że do tego nie dopuszczę.

– Jesteś jedynym mieszkańcem Vironu, który wątpi w swoją odwagę, patere caldé.

Jedwab nie zwrócił uwagi na słowa Kwezala.

– Myliłem się – ciągnął. – Bardzo się myliłem. Piżmo nigdy nie był zagrożeniem. W Orilli aż się roi od takich jak on. Kochał ptaki; mówiłem ci o tym, Wasza Mądrość?

– Nie, patere caldé. Jeśli jednak teraz chcesz mi opowiedzieć, chętnie posłucham.

– Naprawdę je kochał. Pleśń mi o tym opowiadała. Przyniósł jej książkę o kotach, które urodziła Krwi. Kiedy zobaczył Oreba, powiedział, że kruk mnie polubił, bo chciałem się z nim zaprzyjaźnić. Nie miał racji, a w dodatku rzucił w niego nożem. Nie trafił; myślę, że chybił celowo. Krew ze

swoimi pieniędzmi i chciwością wyrządził Vironowi więcej szkody niż całe rzesze Piżm. Wszystko, co robiłem, sprowadzało się do wyrywania mu skrawków miasta. Mówiłem, że chcę ocalić manteion, ale to niemożliwe: nie sposób uratować jeden manteion, tak jak nie da się uratować jednej tylko dzielnicy. Teraz to rozumiem, a jednak wciąż lubię Krew... W każdym razie chciałbym go lubić.

– Rozumiem cię, patere caldé.

– Małe skrawki: manteion, Hiacynt, Orchidea i Alka, który jest taki ważny dla maytere Mięty. Alka...

– Tak, patere caldé?

– To Alka mnie popchnął, Wasza Mądrość. Znajdowaliśmy się razem w ślizgaczu, Hiacynt i ja. I Wasza Mądrość, i... inni. Spadaliśmy i pułkownik Oosik...

– Mianowałeś go generalissimusem – przypomniał mu łagodnym tonem Kwezal.

– Tak, rzeczywiście. Podał mi ucho i przemówiłem do skazańców; powiedziałem, że są wolni, a potem uderzyliśmy o ziemię. Otworzyliśmy właz i ja z Hiacyntem wyczołgaliśmy się na zewnątrz...

– Wystarczy, patere caldé. Obiecuj mi, że nie będziesz próbował wstawać, dopóki nie wrócę. Poszukam wody.

Jedwab zatrzymał go, ściskając bladą, pozbawioną kości dłoń.

– Nie wiesz, co się z nią stało, Wasza Mądrość?

Kwezal pokręcił głową z boku na bok, tym samym wolnym, hipnotycznym ruchem.

– Alka ją zabrał. Nie wiem, dlaczego tak się stało, ale muszę mu ją odebrać. Co się ze mną działo, Wasza Mądrość?

– Zostałeś pogrzebany żywcem, patere caldé. Kiedy ślizgacz się rozbił, wyszliśmy z niego. Ja, ty i ta młoda kobieta. Poza tym szermierz i lekarz, to wiem na pewno. Więźniowie uciekali do dziury w ziemi, żeby schować się przed ostrzałem i wybuchami. Pamiętasz?

Tym razem skinięcie głową przyszło Jedwabiowi prawie bez trudu, chociaż kark miał wciąż sztywny i obolały.

– Ze ściany jamy wiodła spiralna pochylnia, a na dole była dziura w ścianie, prowadząca do tego tunelu. Wskoczyliśmy z fechtmistrem do środka i prawie w tej samej chwili nastąpił kolejny wybuch. Otwór został zasypany. Mieliśmy szczęście, że zdążyliśmy. Znasz protonotariusza mojego koadiutora, patere caldé?

– Kiedyś go spotkałem, Wasza Mądrość, ale znam go słabo.

– Jest tutaj. Zdziwiłem się na jego widok. Towarzyszy mu kobieta imieniem Acalypha, która twierdzi, że cię zna. Weszli do tuneli wczoraj, w Limnie, chcąc dojść do miasta.

– Acalypha, Wasza Mądrość? Wysoka? Z czerwonymi włosami?

– Zgadza się. Niezwykła z niej kobieta. Niedługo po tamtej eksplozji skazańcy nas zaatakowali: najpierw zachowywali się przyjaźnie, ale potem zażądali, żebyśmy oddali im patere Kowadełko i kobietę. Odmówiliśmy; Miecznik zabił czterech z nich... Miecznik, ten szermierz. Czy jasno się wyrażam?

– Bardzo jasno, Wasza Mądrość.

– Próbowaliśmy się przekopać do jamy, kiedy cię znaleźliśmy, patere caldé. Myśleliśmy, że nie żyjesz; razem z patere przynieśliśmy ci pojednanie z Pahem. Potem kopaliśmy dalej, ale w końcu daliśmy sobie spokój, bo nie miało to sensu. Może gdyby było nas z tuzin chłopów, a każdy ze szpadlem, to w dwa dni byśmy się uwinęli.

– Rozumiem, Wasza Mądrość.

– Zmęczyłem się okropnie, chociaż i tak kopałem mniej od tej kobiety. Potem wszyscy się rozeszli, żeby szukać innej drogi wyjścia. I ona, i patere są okrutnie wygłodzeni, ale mają tessere, która, jak twierdzą, pozwoli im dostać się do Juzgado. Obiecali tu wrócić, po mnie i po twoje ciało. Modliłem się za ciebie, odkąd odeszli.

– Przecież Wasza Mądrość nie ufa bogom.

– To prawda. – Kwezal pokiwał łysą głową na długiej szyi. – Wiem, kim naprawdę są, ale wierzę w nich, a z tej wiary czerpię siłę. Mówiłeś przed chwilą o swojej dzielnicy... ilu jej mieszkańców naprawdę wierzy w bogów? Połowa?

– Obawiam się, że jeszcze mniej, Wasza Mądrość.

– A ty, patere caldé? Zajrzyj głębiej w swoje serce.

Jedwab milczał.

– Powiem ci, co o tym myślę, patere caldé. Pewien młody człowiek wierzy w bogów i kocha ich, nawet jeśli na własne oczy ujrzał Echidnę. Ja również w nich wierzę, ale im nie ufam. Chciałby, żebym się za niego modlił; to mój urzędowy obowiązek i często się modlę, chociaż mam nadzieję, że nikt mnie nie słyszy. Niewykluczone, że tym razem bogini przywróci mu życie, żeby pokazać, że wcale nie jest taka zła.

Z daleka dobiegł słaby, lecz charakterystyczny trzask igłowca.

– Ten młody człowiek to nasz patere, patere caldé. Jeśli chodzi o broń, szczęście nam dopisało.

Miecznik ma swój miecz, a miał też mały igłowiec, który podobno należał do ciebie. Zostawiłeś go w łóżku, więc się nim zaopiekował. Dał go kobiecie, kiedy okazało się, że masz własny igłowiec za pasem. Patere zabrał ci go, czym ponownie mnie zaskoczył. Nasi kapłani potrafią zaskakiwać.

Mimo bólu i osłabienia Jedwab zmusił się do uśmiechu.

– Niektórzy chyba tak, Wasza Mądrość.

– Zanim ubiegłej nocy spotkaliśmy się w zaułku, patere caldé, spotkałem twojego akolitę, patere Gulo. Jest okropnie zakłopotany.

– Przykro mi to słyszeć, Wasza Mądrość.

– Nie przejmuj się tak. Jego wuj jest majorem w drugiej brygadzie gwardii. Ot, jeden z wielu interesujących krewnych. Wiedziałaś o tym?

– Nie, Wasza Mądrość. Słabo znam patere.

– Ja również, chociaż zanim mój koadiutor przydzielił go tobie, Gulo był jednym z moich kopistów. Teraz dowodzi paroma tysiącami ludzi; to wielka odpowiedzialność dla tak młodego człowieka. Mówił mi, że z każdą godziną dołączają nowi, bo rozeszła się wieść, iż jest twoim akolitą.

Jedwab z trudem przełknął ślinę.

– Mam nadzieję, że ich życie nie pójdzie na marne.

– Ja też. Pytałem, czy trudno mu się dowodzi. Każdą operację omawia z tymi, których musi posłać w bój. Uważa, że znają się na rzeczy, a sam wie co nieco o wojaczce, bo nasłuchiwał się opowieści wuja. Mówił mi, że osobiście prowadzi ludzi do szturmu.

– Wspominałeś coś, Wasza Mądrość, że jest zakłopotany...

– W rzeczy samej, patere caldé. – Kwezal zatrzęsł się cały i jeden kącik ust uniósł mu się w prawie niezauważalnym uśmiechu. – Wziął wuja do niewoli. Nasi kapłani potrafią zaskakiwać, jak mówiłem. Stary dowódca został upokorzony i sytuacja zrobiła się niezręczna, choć nie umiałem powstrzymać rozbawienia.

– Ja również, Wasza Mądrość. Dziękuję.

Kwezal wstał.

– Nasza sytuacja również stanie się zabawna, gdy znajdziemy stąd drogę wyjścia. Czy mogę poszukać wody?

– Ależ naturalnie, Wasza Mądrość.

– A ty nie będziesz próbował wstawać, póki nie wrócę? Daj mi słowo, patere caldé.

Jedwab usiadł.

– Patere, proszę cię...

– Muszę iść z tobą, Wasza Mądrość; powinienem znaleźć wodę, napić się i umyć, żebym potem mógł zrobić coś dla Hiacynta i Vironu. Nie masz w czym przynieść wody, a poza tym nawet we czwórkę daleko mnie nie uniesiecie.

– Przyduś się, patere caldé – rzekł Kwezal, pochylając się nad nim. – Pomyśleliśmy, że nie żyjesz; nasz błąd, nie powinienem się tu dopatrywać cudu. Żaden bóg nie może cofnąć śmierci, a nawet gdyby któryś to potrafił, nie robiłby tego dla naszej przyjemności. Żyłeś jeszcze, kiedy cię wykopaliśmy, i w naturalny sposób odzyskałeś przytomność...

Jedwab wstał o własnych siłach.

– Miałem laskę, Wasza Mądrość. Dostałem ją od Miecznika. Wtedy nie była mi potrzebna, ale teraz by mi się przydała.

Kwezal podał mu różgi.

– Masz, oprzyj się na nich.

– To wykluczone, Wasza Mądrość. Radca Lemur nazwał mnie... Nie zrobię tego.

Tunel za ich plecami zamykał się ziemnym osypiskiem. Wydeptaną w nim ścieżką Jedwab dotarł do dziury w ścianie.

– Tu mnie znaleźliście, Wasza Mądrość? W tym otworze?

– Tak, patere caldé. Jeśli jednak twoja młoda dama tam została, z pewnością już nie żyje.

– Zdaję sobie z tego sprawę. – Jedwab włożył w otwór rękę. – I mam nadzieję, że jest z Alką w jamie. Miecznik wysoko cenił sobie tę laskę, a ona pewnie leży blisko miejsca, w którym mnie znaleźliście. – Wsunąwszy głowę w czeluść, zaczął przepychać ramiona.

Ściana była zrobiona z rakplastu i miała nieco ponad łokieć grubości. Dalej znajdowała się wygrzebana w miękkiej ziemi dziura, w której panowała całkowita ciemność. Kiedy Jedwab próbował się w niej wyprostować, głową potarł o szorstkie sklepienie i niewidzialny deszcz drobnych kamyczków osypał mu się na ramiona.

– To się może w każdej chwili zawalić – stwierdził.

– Masz rację, patere caldé. Wyjdź już stamtąd, proszę. Macając na oślep palcami, Jedwab natrafił na sękatę nierówność w podłożu, które wziął za korzenie roślin. W kieszeni znalazł otrzymane od

Remory karty. Wziął jedną i zdrapał nią ziemię, a gdy następnym razem dotknął korzeni, na jednym z nich wymacał pierścień. Odgarnął jeszcze trochę ziemi, żeby mocniej złapać odkopaną rękę. Pociągnął, odsypał kolejną porcję ziemi i znów pociągnął.

– Z tunelu dobiegają niepokojące odgłosy, patere caldé. Lepiej wychodź.

– Kogoś znalazłem, Wasza Mądrość. Kogoś... – Jedwab zawahał się, bojąc się zaufać intuicji. – To chyba nie Hiacynt; ta ręka jest za duża.

– W takim razie nieważne kto. Musimy iść.

Chwyciwszy wystającą z usypiska dłoń, Jedwab pociągnął z całej siły. W nagrodę doczekał się kaskady ziemi i uścisku trupa.

Okradam grób, pomyślał, plując ziemią i ocierając oczy. Nie dość, że kradnę ciało, to jeszcze odbieram mu miejsce spoczynku. Czuł, że powinien się bawić co najmniej równie dobrze, jak słuchając opowieści o wuju Gula, ale wcale nie było mu do śmiechu. Uczepiwszy się chropowatej krawędzi otworu w ścianie, zdołał przezeń przeciągnąć własne, na wpół zasypane ciało. Kiedy znalazł się na powrót w tunelu (gdzie, o dziwo, uradował go chłód, mdłe światła i westchnienia przeciągów), zdołał wreszcie wydostać zwłoki ze zwałów luźnej ziemi, która je skrywała. Kwezala przy nim nie było.

– Poszedł szukać wody – mruknął Jedwab. – Może woda ożywi ciebie, tak jak coś ożywiło mnie – dodał, ale zmarły miał uszy zatkane ziemią. Oczyszczył je i otrzepał jego twarz z piasku. – Przepraszam, doktorze.

Jeszcze raz pogrzebał w kieszeniach. Nie znalazł paciorków, które razem ze starą, znoszoną togą zostały w „Gronostaju” – dawno, bardzo dawno temu.

Ponownie wcisnął się w mrok za ścianą tunelu. Hiacynt wykąpała go w hotelowej sypialni: rozebrała, a potem po kawałku umyła i wytarła. Powinien był się wstydzić (tak sobie powtarzał), ale był tak wyczerpany, że czuł tylko mętną satysfakcję, niepewną przyjemność z faktu, że zajmuje się nim piękna kobieta. Jej wysiłki poszły na marne, a piękna, prawie nie noszona toga Remory nie nadawała się teraz do użytku.

– Przywróciłeś mnie do życia, Zewnętrzny – wymruczał Jedwab, biorąc się znów do kopania. – Chciałbym, żebyś mógł mnie jeszcze oczyścić.

Ale Zewnętrzny był pewnie tylko, jak utrzymywał doktor Żuraw, pękniętą żyłką w mózgu.

A może sam Żuraw, który uważał się za agenta rani Trivigaunte – w każdym razie tak o sobie mówił – był wysłannikiem Zewnętrznego? To on umożliwił mu kontynuowanie starań o uratowanie manteionu, mimo zwichniętej nogi; to on go uwolnił, gdy uwięzili go radcy Ayuntamiento. Całkiem możliwe, ba, prawdopodobne nawet, iż jego sceptycyzm był tylko próbą wiary.

Czy on, Jedwab, wyszedł z niej zwycięsko?

Ważąc w myślach tę kwestię, kopał, aż czarna, cuchnąca złem ziemia furkotała dookoła. Z całą pewnością zostanie jeszcze poddany kolejnemu sprawdzianowi, skoro tak łatwo przychodziło mu wątpić.

Karta trafiła na coś twardego. W pierwszej chwili wydawało mu się, że uderzył nią o kamień, ale niewidoczny w mroku przedmiot był zbyt gładki w dotyku. Po dłuższej chwili wymacał zgrabnie zakrzywiony uchwyt. Wiedział już, że znalazł ozdobną laskę, którą Miecznik przyniósł mu do „Gronostaja”.

Nagle w wydrążonej w ziemi jamie rozblęskło jasne światło. Odwrócił się tyłem do jego źródła i zasłonił oczy.

– Widzę cię. Wylaż.

Szorstki głos brzmiał dziwnie znajomo, ale dopiero po następnych słowach Jedwab rozpoznał sierżanta Piaska:

– Trzymaj ręce tak, żebym je widział.

Siedząc na grzbiecie białego rumaka pośrodku ulicy Skarbca, maytere Mięta obserwowała maszerujące szeregi. Każdy z żołnierzy mógł się pewnie równać z trójką jej ludzi, ale było ich niewielu. Poczwała przypływ optymizmu, tym bardziej że zjawily się już żołnierki z Trivigaunte – na razie kilka setek, ale tysiące były w drodze.

– Ognia i cofać się! – zawołała półgłosem, dodając szeptem: – Echidno Miłosierna, spraw, by tylko nasi ludzie mnie usłyszeli. – Podniosła głos: – Nie za szybko, ale i nie za wolno. Nie chodzi o to, żeby się przede mną popisać, tylko żeby nie dać się zabić.

Pierwszy szereg metalowych wojowników znalazł się w zasięgu pistoletów kulowych. Zawróciła konia i pogalopowała wstecz, słysząc za plecami kanonadę.

Ktoś krzyknął.

Kazałam im, upomniała samą siebie. Podkreślałam to na odprawie.

Ale wiedziała, że rany jej ludzi będą prawdziwe. Powstrzymała wierzchowca i odwróciła się: oddział Gawrona, który miał odciąć żołnierzom odwrót, z wolna zajmował wyznaczone pozycje. Za wcześniej, pomyślała, stanowczo za wcześniej. Takich ludzi, jak Bizon i kapitan, z którymi mogła układać plany i pilnować ich wykonania, nie doceniało się, dopóki wypadki nie zaczynały biec nieprzewidzianym torem.

Wszystkie kolumny gmachu giełdy zbożowej oplatał gruby sznur. Na razie zwisał luźno; bardzo dobrze. Mięta zaryzykowała rzut oka w górę, na górującą nad ulicą fasadę budowli, a później

zerknęła ku Wełnie i jego poganiaczom, którzy czaili się bez ruchu w cieniu, pół przecznicy dalej; stali w pogotowiu przy zwierzętach, czekając na sygnał.

Poganiacze ufali jej, podobnie ci obdarci ludzie, którzy na przemian strzelali i cofali się przed napierającymi żołnierzami – tak jak ich uczyła. Strzelali i umierali, bo zaufali słabej kobiecie, a zaufali jej, gdyż Mazama w dzieciństwie nauczył ją jeździć konno.

Wbiła rumakowi pięty w boki. Sporo się poprzedniego dnia napracował, ale skoczył niezmordowanie naprzód, niczym spieniona fala czystej energii. Uniosła trzymany w ręce azoth patere Jedwabia i kciukiem wcisnęła demon.

Na widok przerażającego ostrza, które przeszło niebo, ludzie Wełny popędzili bydło. Lina napięła się niczym śliski stwór z ciszy i stali, największy z węży Echidny.

Kiedy dowodzący żołnierzami oficer dostrzegł ludzi Gawrona i zorientował się, że idzie w pułapkę, wydał głośny rozkaz. Jego podwładni stanęli w miejscu. Powstańcy musieli teraz zaatakować na całego, ale przecież jej głos (jak uparcie sobie powtarzała) nikogo nie zagrzeje do boju – a skoro głos nie wystarczy, musi poprowadzić ich osobiście. Szarpnęła wodze wierzchowca, a srebrna trąbka, która była jej głosem, zagrzmiała wśród murów.

Jakieś sto pięćdziesiąt metrów dalej ostrze azotha przebiło generator jądrowy i żołnierz, dla którego generator był sercem, zginaj na miejscu.

Naprzód! Wyprzedziła nierówny szereg swoich ludzi, padł następny żołnierz, i następny! Naprzód!

Rzucili się ku niej. Pociągnięty na ziemię koń upadł. Złapały ją metalowe ręce; dookoła biochemy mocowały się z chemami w bezsensownej, rozpaczliwej bijatyce. Jakaś kobieta, trzy razy większa od Mięty, zamachnęła się łomem. Żołnierz, którego trafiła, uderzył ją kolbą swojego pistoletu – upadła i już się nie podniosła.

Maytere Mięta usiłowała wyrwać się ze stalowego uścisku. Zgubiła azoth! Nie, leżał na ziemi, przydepnęła go tylko. Żołnierz zaczął ją podnosić – dłonie zaciskały się na jej ciele niczym szczypce – przydepnęła więc azoth z całej siły i ostrze odcięło mu stopę. Czarny, dymiący i śliski jak smar płyn trysnął z kikuta. Oboje upadli.

Wyrwała się żołnierzowi, podniosła azoth i zaczęła biec. Omal znów nie upadła, ale pędziła na oślep, aż wyrósł przed nią mur budynku giełdy. Okręciła się na pięcie i cięła azothem żołnierza, którego nadtopione połówki upadły jej do stóp.

– Uciekajcie! – krzyknęła. – Uciekajcie! Ratujcie się!

Ludzie rzucili się biegiem przed siebie, mijając ją jak pociski, chociaż miała wrażenie, że jej głos brzmiał tylko jak żałosny lament.

– Hieraksie, przyjmij ducha mego.

Ostrze azotha uderzyło w pierwszą kolumnę, która roztrzaskała się na tysiące odłamków. Kiedy następna kolumna padła, front gmachu zdawał się wisieć w powietrzu niczym złowroga chmura przybrudzonej cegły.

Jeden z żołnierzy wymierzył z pistoletu. Zdążył strzelić – ułamek sekundy później azoth rozłupał mu stalową płytę na piersi. Maytere Mięta poczuła szarpnięcie kuli przeszywającej habit, później zapach prochu, a potem pomknęła dalej, w biegu tnąc na oślep trzecią kolumnę. Dopiero kawałek dalej zatrzymała się z krzykiem:

– Dwadzieścia lat, o bogowie! – Gorące łzy płynęły jej strumieniem po twarzy. – Pozwólcie mi odejść!

Nieważkie i nieskończone ostrze wzniosło się do ciosu, potem opadło – a wraz z nim zaczęła padać fasada gmachu giełdy zbożowej. Runęła w całości, niczym rzucony z góry obrazek; prawie zachowała swój pozbawiony wdzięku kształt, gdy uderzała w ziemię. Kamienne bloki spadały wraz z tonami cegieł i drewna – ani szybciej, ani wolniej od nich. Maytere Mięta prawą dłońią, w której wciąż trzymała azoth, zaczęła kreślić przed sobą znak dodawania, gdy Gawron złapał ją z tyłu za drugą rękę i odciągnął.

Caldé Jedwab

Pozwólcie mi pójść – nalegała maytere Marmur. Był phaedagowy poranek. – Nie będą do mnie strzelać. Generalissimus Oosik spojrział na nią zdrowym lewym okiem; prawe miał przesłonięte płatkami gazy. Wzruszył ramionami. Generał Saba, dowódca sił Trivigaunte, wyduła wydatne wargi.

– I tak straciliśmy diabelnie dużo czasu na ten wiejski domek, a nikt nie wie...

– Mylisz się, córko – oznajmiła jej zdecydowanie maytere Marmur. – Pleśń wie. Ayuntamiento nie kłamie, przechwalając się, że nasz patere Jedwab jest więziony w tym domku.

– Duch, też coś!

– Nie byle jaki duch. Nie widziałam ani jednego przypadku opętania, dopóki nie zaczęła wchodzić w ciała naszych uczniów. Bardzo mnie tym zresztą niepokoi. – Maytere skinęła na Roga. – Przygotowałeś dla mnie białą flagę? Cudowna! I to na takim długim drzewcu... Dziękuję.

Generał Saba prychnęła pogardliwie.

– Nie podoba ci się, że sprowadziłam nasze dziewczęta i chłopców – zauważyła sybilla.

– Dzieci nie powinny walczyć.

– Ależ oczywiście, że nie. – Maytere pokiwała z powagą głową. – Tu jednak walczyły, a niektóre nawet poległy. Poszły za maytere Miętą, prawie wszystkie. Długo rozmyślałam, do kogo zwrócić się o pomoc, kiedy Pleśń mnie opuściła, i tylko nasi uczniowie przyszli mi do głowy. Róg i inni chłopcy są już wystarczająco dorośli, dojrzałsi od wielu starszych. Poza tym odwiodłam ich od centrum miasta, gdzie toczyły się najcięższe walki. – Zerknęła na Oosika, szukając u niego zrozumienia, lecz na próżno.

– I wciąż się toczą – warknęła generał Saba. – Oddziały, które tu przetrzymujemy, bardzo by się tam przydały.

– Walczyli przeciw twoim dziewczynom; nasze wojsko zresztą również. Część dzieci poległa. Nie mówiłam ci o tym? Są też inni, ciężko ranni. Imbirek podobno straciła rękę. Pewnie i wśród twoich nie brakuje rannych.

– Właśnie dlatego...

– Mówiłaś, że tracisz czas. – Maytere Marmur kichnęła jak z armaty; z wiekiem zaczęła kichać naprawdę potężnie. – Trudno mi się z tobą nie zgodzić. Jeżeli będą chcieli mnie zastrzelić, szybko będzie po wszystkim. Wtedy możecie atakować w każdej chwili. Jeżeli jednak obejdzie się bez strzelaniny, pewnie uda mi się porozmawiać z radcami. Mogliby wydać rozkaz wojsku i gwardzistom, którzy wciąż opierają się waszym ludziom...

– To dwójka – wtrącił Oosik.

– Właśnie, chodziło mi o drugą brygadę i żołnierzy. – Maytere Marmur skłoniła się uprzejmie Oosikowi w podzięcie za tę informację. – Dziękuję, synu. Radcy mogliby kazać im się poddać, ale nikt nie wie, czy w ogóle znajdują się w Juzgado. – Nie czekając na odpowiedź, wyjęła flagę z rąk Roga.

– Idę z tobą, sybillo.

– Nigdzie nie idziesz!

Ale Róg i tak poszedł za nią krok w krok prawie do strzaskanej bramy, nie zwracając uwagi na skrzydlatą żołnierkę, która kilkakrotnie kazała mu zawrócić. Później już tylko odprowadzał maytere nieszczęśliwym spojrzeniem, gdy przeciskała się wśród zwalonych kamiennych bloków i ciężkich sztab – odziana jak zwykle w czerń, ale za to w wygodnym, krótkim habicie maytere Róży.

Na trawniku, dzielącym bramę od willi, w kłębach dymu dopalały się dwa talusy. Kilka kroków za pierwszym z nich leżała adiutantka generał Saby. Twarz miała wciśniętą w ziemię, a w martwej dłoni ścisnęła białą flagę. Maytere przeszła do zdobnego w kolumnienki ganku. Starła się trzymać z daleka od fontanny, żeby uniknąć niesionego wiatrem wodnego pyłu.

To dom Krwi, przypomniawszy sobie, podziwiając wspaniałą posiadłość. Stąd właśnie przybył człowiek o oleistych włosach, którego złożyła Echidnie w ofierze. Przez długi czas absolutnie nie mogła sobie przypomnieć tamtych chwil, gdy Echidna ją opętała, teraz jednak ujrzała w wyobraźni udręczoną twarz mężczyzny w ognistej otoczce. Tak wyglądał, gdy wpychała mu głowę w płomień na ołtarzu. Czy w podzięcie za tę ofiarę Echidna Boska przyjdzie jej teraz z pomocą? Ta Echidna, którą latami wyobrażała sobie przy modlitwie, mogła ją za ten czyn potępić.

Na razie nie padł żaden strzał.

W jej stronę nie poleciał ani jeden pocisk. Panowała całkowita cisza, jedynie szeleściły poruszane wiatrem liście i trzepotały białej szmaty na szczycie kija. Jak młoda maytere się czuła! I jak silna!

Czy jeżeli teraz zatrzyma się i odwróci, poszuka wzrokiem Roga – zastrzelą ją i obudzą wystrzałem dzieci? Bo większość malców śpi, a w każdym razie powinna spać, ukryta w cieniu odartych z liści morw. Bezlitosny letni upał, pustynne gorąco, którego serdecznie nienawidziła, ustąpił całkiem nie w porę – dzieci potrzebowały go, a tymczasem przyszło im drzemać w chłodzie późnej jesieni. Drżąc z zimna tuliły się do siebie, jak prosiątka albo szczenięta, w domach bez dachów i okien, o ścianach dziurawych od kul i czarnych od dymu. Chociaż twierdziły, że wolą to od nauki; podobało im się, że zabijają ayuntamientos i rabują skarby umarłym.

W oknie obok drzwi pojawiła się zielona, cętkowana twarz. Tylko twarz, pomyślała z ulgą maytere. Nie pistolet i nie wyrzutnia.

– Przyszłam zobaczyć się z synem! – krzyknęła. – Z moim synem! Z Krwią! Powiedźcie mi, że przyszła matka!

Niskie kamienne stopnie prowadziły na szeroki ganek. Zanim weszła na ostatni schodek, drzwi domu otworzyły się z rozmachem. W środku mignęli jej żołnierze i kilka biochemów w srebrzystych zbrojach (najwidoczniej biochemy przebierały się za chemy, gdyż chemy były odważniejsze). Za nimi stał jeszcze jeden biochem – wysoki i czerwony na twarzy.

– Witaj – odezwała się pierwsza. – Dziękuję ci za białe króliki. Niech cię Kypris błogosławi.

– Zmieniłaś się, mamó. – Krew uśmiechnął się od ucha do ucha; mężczyźni w pancerzach zarechotali wesoło.

– Tak, zmieniałam się. Kiedy porozmawiamy na osobności, wszystko ci wyjaśnię.

– Myśleliśmy, że chcesz dobić targu dla hycła.

– Po to przyszłam. – Maytere Marmur zajrzała do wnętrza. Nie znała się na sztuce, ale domyślała się, że wiszący na wprost drzwi zamglony krajobraz jest autorstwa Murtagona. – O tym chcę porozmawiać. Chyba wywaliliśmy wam kawał muru; chciałabym oszczędzić przynajmniej twój piękny dom.

Żołnierze się rozstąpili i Krew wyszedł jej na spotkanie.

– Ja też, mamó. Chciałbym, żebyście i nas oszczędzili.

– Czy dlatego nie strzelaliście do mnie? Przecież zabiliście tę biedaczkę, którą wysłała generał Saba... Może nie powinnam o to pytać.

Krew zerknął przelotnie w prawo.

– Wyjaśnijmy sobie jedno od razu. Nie my strzelaliśmy do tej flądry z flagą, tylko jakiś dureń stamtąd. Jeżeli macie do nas o to pretensje, nie ma sensu rozmawiać. Nie zastrzeliłem jej, nie wydałem też takiego rozkazu. Żaden z chłopców nie strzelał i nikogo do strzelania nie przymuszał. Czy to jasne? Możemy już nie wracać do tej sprawy?

– Ktoś strzelał do niej z okna twojego domu. – Maytere uniosła dumnie głowę. – Widziałam.

– Dobrze, ty widziałaś, a ci z Trivigaunte dyszą żądzą zemsty. Rozumiem ich, ale twierdzę, że nie powinni mścić się na mnie ani na moich chłopcach. Nie zrobiliśmy tego i nie ma o czym dyskutować. Chcę, żeby to było jasne, zanim przejdziemy do dalszych rozmów.

Maytere Marmur położyła mu dłoń na ramieniu.

– Czy wiesz, kto to zrobił? Czy wskażesz nam winnych? Krew zawahał się, a jego czerwona z natury twarz ściemniała jeszcze bardziej.

– Jeśli... – Na ułamek sekundy przeniósł wzrok na jednego z żołnierzy, ale natychmiast wrócił spojrzeniem do maytere. – Tak, z całą pewnością.

Stojący za nim ludzie w zbrojach mruknęli z aprobatą.

– W takim razie twoje zapewnienie jest wystarczające. Zamelduję moim przełożonym, generalissimusowi Oosikowi i generał Sabie, że nie miałeś z tym nic wspólnego i chętnie złożysz zeznania umożliwiające ustalenie winnych. Kim oni są?

– Doskonale. – Krew jakby nie usłyszał pytania. – Świetnie. Nie zaatakują, póki będziemy rozmawiać?

– Oczywiście, nie. – Maytere Marmur modliła się gorąco, żeby jej obietnica się spełniła.

– Chciałabyś zapewne usiąść... Wejdz. Myślę, że dojdziemy do porozumienia. – Krew wskazał jej drogę do wyłożonego boazerią salonu dla gości, a kiedy oboje weszli, starannie zamknął drzwi. – Chłopcy są podenerwowani, a ich niepokój i mnie się udziela, kiedy ich widzę – wyjaśnił.

– Czy to moje wnuki? – Maytere Marmur zapadła się w obity ozdobną materią fotel, zbyt obszerny dla niej i za miękki. – Twój synowie?

– Nie mam synów. Powiedziałaś, że jesteś moją matką; rozumiem, że przychodzisz w jej imieniu, czy tak?

– Ja jestem twoją matką, Krwi. – Maytere przyjrzała mu się uważnie, odnajdując w jego masywnej, przebiegłej twarzy ślad zarówno własnych dawnych rysów, jak i – stanowczo zbyt liczne – ślady urody ojca Krwi. – Przypuszczam, że widziałeś mnie już, odkąd dowiedziałaś się, kim jestem. Albo może ktoś ci mnie opisał, a teraz mnie nie rozpoznajesz. To zrozumiałe, ale jesteś moim synem.

Krew natychmiast zwęszył swoją szansę.

– Więc chyba nie chcesz, żeby mnie zabili, co?

– Nie, nie chcę. – Wypuściła z rąk drzewce z białą flagą i pozwoliła mu upaść na dywan. – Gdybym pragnęła twojej śmierci, wszystko byłoby o wiele prostsze. Nie pojmujesz tego? Właśnie ty powinieneś najlepiej mnie rozumieć. – Zamyśliła się. – Zestarzałam się, zanim odkryłeś, kim jestem. Kiedy cię urodziłam, miałam już czterdzieści lat; to bardzo dużo jak na biochemiczną matkę.

– Matka odwiedzała mnie, gdy byłem mały. Trochę ją pamiętam.

– Co trzy miesiące; raz w każdej porze roku, jeśli tylko udało mi się wyrwać samej. Nie wolno nam było wychodzić nigdzie samotnie, tylko w parach.

– Czy ona nie żyje? To znaczy...

– Twoja mamka? Tego nie wiem. Straciłam z nią kontakt, kiedy miałeś dziewięć lat.

– Miałem na myśli Różę! Maytere Różę, moją prawdziwą matkę!

– To ja. – Maytere Marmur postukała się palcem w pierś. Zabrzęczało.

– Podobno było to jej nabożeństwo żałobne, tak mówiła ta druga sybilla.

– Spaliliśmy część jej szczątków – przyznała maytere Marmur. – W trumnie znajdowały się jednak przede wszystkim kawałki mojego ciała, ciała maytere Marmur, chociaż zostawiliśmy Różę jej imię. Tak jest łatwiej, zwłaszcza przy dzieciach. Została mi prawie cała jej pamięć i osobowość.

Krew wstał i podszedł do okna. Matowozielona wieżyczka ślizgacza gwardii wychynęła znad na wpół zburzonego odcinka muru.

– Mogę otworzyć?

– Oczywiście. Będzie mi bardzo miło.

– Chciałbym słyszeć, gdyby wybuchła strzelanina. Będę mógł kazać chłopcom wstrzymać ogień.

– O tym samym pomyślałam. – Maytere pokiwała głową. – Część dzieciaków ma pistolety, a prawie cała reszta igłowce. Może powinnam była im je odebrać, ale bałam się, że jeszcze będą potrzebne. – Westchnęła ciężko; zabrzmiało to tak, jakby ktoś przesunął szmatą po kafelkach tarasu. – Najgorsze maluchy pewnie i tak by schowały broń, chociaż żaden z nich nie jest naprawdę zły.

– Pamiętam, że straciła rękę – rzekł Krew. – Poklepywała mnie po głowie i mówiła: „Patrzcie, jak ten mój chłopak rośnie”. Któregoś dnia zobaczyłem, że ma taką rękę, jak ty teraz...

– Tę samą. – Maytere Marmur uniosła ramię.

– Spytałem, co się stało; nie wiedziałem jeszcze, że jest moją matką. Była po prostu sybillą, która czasem pojawiała się w domu. Mama szykowała wtedy ciastka i herbatę.

– Albo kanapki – uzupełniła maytere. – Wyśmienite kanapki, przyznam, chociaż bardzo się pilnowałam, żeby nie zjeść więcej niż ćwiarteczkę jednej. Na jesieni były z bekonem, zimą z serem, wiosną z marynowanym miętusem i szczypiorkiem, a latem z twarogiem i rukwią wodną. Pamiętasz? Zawsze dostawałeś kanapkę.

– Czasem nie dostawałem nic więcej – zauważył z goryczą Krew.

– Wiem. Dlatego sama zjadałam najwyżej ćwiartkę.

– Czy to naprawdę ta sama ręka? – Krew obrzucił dłoń maytere Marmur ciekawym spojrzeniem.

– Ta sama. Trudno samemu wymienić sobie dłonie, bo w którymś momencie zostaje ci tylko jedna ręka; mnie było jeszcze trudniej, bo i tak mam już w sobie dość nowych części... A właściwie starych, z odzysku. Ręce działały lepiej niż moje stare, dlatego tak mi się spodobały, tylko strasznie się zmordowałam, zanim nauczyłam się je montować. Nie chciałam ich spalić. Były w doskonałym stanie.

– Nawet jeśli to faktycznie ta sama proteza, nie zamierzam mówić ci „mamo”.

Maytere Marmur z uśmiechem podniosła głowę i po swojemu przekrzywiła ją w prawo.

– Już mnie tak nazwałeś, na ganku. Powiedziałaś „mamo”. Cudownie to zabrzmiało. – Krew się nie odezwał, więc przypomniła mu: – Chciałeś otworzyć okno. Na co czekasz?

Ustuchał.

– To dlatego kupiłem wasz manteion, wiesz? Nie byłem już szprotem, którego nikt nie chce. Miałem pieniądze, miałem wpływy i dowiedziałem się, że moja matka jest umierająca. Nie rozmawiałem z nią od piętnastu, może nawet dwudziestu lat, ale spytałem Piżmo o zdanie, a on powiedział, że jeśli chcę wyrównać rachunki, mam ostatnią szansę. Spodobało mi się to, więc razem do niej poszliśmy.

– Wyrównać rachunki? – Maytere Marmur uniosła brwi.

– Nieważne. Rozmawiałem z nią, a kiedy okazało się, że czegoś potrzebuje, posłałem Piżmo, żeby to załatwił. Potem powiedziałem coś jeszcze i nazwałem ją mamą, a ona na to: „Twoja matka żyje i ma się dobrze. Staralam ci się ją zastąpić i przysięgłam, że nikomu o tym nie powiem”. – Krew odwrócił się od okna. – Nie powiedziała, ale ja się dowiedziałem.

– I wykupiłeś manteion, żeby mnie dręczyć?

– Właśnie. Zalegał z podatkami. Mam bliskie kontakty z Ayuntamiento, o czym pewnie już wiesz,

bo nie przyszlubyście tu z całą armią.

– Są u ciebie radcy: Lori, Tarsjusz i Wari. To jeden z powodów, dla których chciałam się z tobą spotkać.

Krew pokręcił głową.

– Tarsjusza nie ma. Kto ci to powiedział?

– Tak jak twoja mamka, obiecałam, że przed nikim się z tym nie zdradzę.

– Któryś z moich ludzi? Ktoś z tego domu?

– Nie mogę ci powiedzieć.

– Może jeszcze później do tego wrócimy. Owszem, zatrzymali się u mnie. Nie pierwszy raz zresztą. Kiedy dowiedziałem się prawdy na twój temat – o ile faktycznie jesteś tą, za którą się podajesz – porozmawiałem z Lorim, prywatnie, jak przyjaciel z przyjacielem, i pozwolił mi przejąć manteion w zamian za spłacenie podatków. Wiesz, ile tego było? Tysiąc dwieście z hakiem. Ale ja chciałem trzymać cię w niepewności, straszyć, że zburzę manteion. I wtedy zjawił się u mnie Jedwab, wielki caldé Jedwab we własnej osobie. Nikt by w to teraz nie uwierzył, ale włamał się do mojego domu jak złodziej... Ba, na Phaeę, był przecież złodziejem.

Maytere Marmur kichnęła – a było to kichnięcie zaiste druzgocące, kichnięcie osoby, która całe miasta zrównuje z ziemią, a ich rządcom nieustraszenie stawia czoło. Krew się skrzywił, a jej tak się to spodobało, że kichnęła ponownie.

– Tak jak i ty.

– Fakt. – Krew przełknął ślinę. – Ale Jedwab nie jest wcale lepszy ode mnie, prawda? Ani trochę! Dostrzegłem szansę zarobienia paru kart, a poza tym czekał mnie niezły ubaw, gdy cała wasza nędzna szajka zaczęła się wic w agonii, czekając na wyrok. Jak już mówiłem, kupiłem wasz manteion za tysiąc dwieście kart; radca Lori puścił mi go z pocałowaniem ręki. Chciałem skłamać Jedwabiowi, że dałem tysiąc trzysta, a potem podwoić stawkę. – Krew otworzył ozdobną, inkrustowaną szafkę i do szerokiej szklanki nalał sobie džinu z wodą. – Ale kiedy z nim chwilę porozmawiałem, powiedziałem o trzynastu tysiącach kart, bo naprawdę myślał, że parę ruder w samym środku najbiedniejszej dzielnicy może być tyle warte! Obiecałem mu odsprzedać manteion za dwadzieścia sześć tysięcy. – Zaśmiał się i usiadł. – Nie jestem wcale niegościnnie, mammo. Gdybym wiedział, że wypijesz, nalałbym i tobie, chociaż nazwałaś mnie złodziejem.

– Tu nie chodzi o przewiska, tylko o fakty. Kiedy rozmawiamy w cztery oczy, możesz nazywać mnie dziwką, suką albo innym, równie wulgarnym epitetem. Taka właśnie jestem, a w każdym razie byłam, chociaż nikt poza twoim ojcem nawet mnie nie tknął.

– To nie w moim stylu – rzekł Krew. – Jestem ponad to.

– Ale nie przeszkadza ci to obrażać tego biednego chłopca tylko dlatego, że troszczył się o majątek oddany mu w opiekę, a potem naiwnie myślał, że nie okłamałbyś augura.

– Gdybym tak nie postępował, mamó, byłbym równie ubogi jak on. – Krew wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Nie pamiętam już, ile czasu mu dałem na zebranie szmalu; pewnie parę tygodni czy coś koło tego. Potem, kiedy zaczął się przede mną płaszczyć, powiedziałem, że jeśli przyniesie choć część sumy za tydzień, prolonguję mu spłatę reszty. A parę dni później posłałem Piżmo, by mu przekazał, że pieniądze są mi potrzebne natychmiast. Myślałem, że wróci i będzie błagał o więcej czasu, rozumiesz? Zapowiadała się niezła zabawa. To lubię.

Maytere Marmur pokiwała ze zrozumieniem głową.

– Od czasu do czasu wszyscy chyba lubimy się tak zabawić; ja też tak robiłam. Sęk w tym, że twoja gra dobiegła końca. Wygrałeś. Masz go tutaj, w swoim domu; jest twoim więźniem. Wiem to od osoby, która powiedziała mi o radcach. A teraz masz i mnie. Mówiłeś, że chciałeś się zemścić na mamce, którą ci znaleźliśmy, a potem kupiłeś manteion, żeby zemścić się na mnie, która dałam ci życie i pilnowałam, by nie stała ci się krzywda.

Krew obliznął spierzchnięte wargi.

– Wygrałeś dwa starcia, może nawet wszystkie trzy starcia. Dalej, na co czekasz? Jeden strzał wystarczy, by mnie zabić, a w korytarzu widziałam niejednego pistolet. Potem żołnierki Trivigaunte zastrzelą cię za zabicie adiutantki generał Saby albo generalissimus Oosik każe cię zlikwidować za to, że zabiłeś mnie. Może pozwolą ci wybrać? Wolałbyś zginać sprawiedliwie czy nie? – Milczał, mówiła więc dalej: – Może powinieneś zapytać Piżma. Często ci doradza, prawda? A właśnie, gdzie on się podziewa?

– Został na placu, kiedy oddaliśmy króliki na ofiarę. Powiedział, że musi załatwić parę spraw, a rzadko bywa w mieście. Myślałem, że może złapaliście go, jak wracał do domu.

Maytere Marmur pokręciła przecząco głową.

Krew pociągnął solidny łyk ze szklanki.

– Wcale nie zamierzałem cię zastrzelić, mamó. Jej też nie zastrzeliłem; już to sobie wyjaśniliśmy. Ustalmy szczegóły: za jakąś godzinę gwardia mogłaby wziąć mój dom sztormem i zabić wszystkich, którzy się w nim znajdują. Wiem o tym. Powstrzymuje ich tylko to, że przetrzymujemy tu Jedwabia. Zgadza się? Maytere skinęła głową.

– Uwolnij go i przekaz w moje ręce, a damy wam spokój.

– To nie takie proste. Owszem, jest tutaj, w moim domu, ale nie ja go przetrzymuję. Jest więźniem radców i ich żołnierzy.

– Wobec tego muszę z nimi porozmawiać. Zaprowadź mnie do nich.

– Nie, sprowadzę ich tutaj. Kręcą się po całym domu – rzekł Krew i mruknął pod nosem: – Na zarcie Phaei, przecież to ciągle jest mój dom, do cholery!

Wari otworzył drzwi u szczytu piwnicznych schodów i skinął na Piaska.

– Przeprowadźcie go na górę, sierżancie. Zbieramy wszystkich razem.

Piasek zasalutował pistoletem i trzasnął tytanowymi obcasami. – Tak jest, radco!

Prawą nogą szturchnął Jedwabia, który zaraz wstał z podłogi, ale dwa razy upadł na schodach – najpierw próbując wejść z drugiego na trzeci stopień, a później przy samych drzwiach.

– Trzymaj. – Pięściak podał mu laskę Miecznika.

– Dziękuję – mruknął Jedwab. – Przepraszam. Nogi mi się trzęsą.

– Spróbujemy oddać cię twoim przyjaciółom – oznajmił wesołym głosem Wari. Złapał Jedwabia za przód szaty i szarpnięciem postawił na nogi. – Jeżeli cię zechcą. Chciałbyś się znów położyć, co? I zdrzemnąć? Może coś zjeść? Pomóż nam, a dostaniesz to wszystko. – Radca puścił go tak gwałtownie, że pozbawiony oparcia augur ponownie upadł. – Czy znowu próbował uciekać, sierżancie?

Jedwab nie dosłyszał odpowiedzi Piaska, gdyż głowę zaprzętały mu zupełnie inne sprawy – na przykład kwestia imion.

Jego imię i imię Piaska były pod pewnymi względami bardzo podobne: miały po sześć liter, dwie sylaby i dwie – w dodatku te same – samogłoski (jeśli nie liczyć zmiękczającego „i” u Piaska). Nie mogli być spokrewnieni, gdyż sierżant był chemem, a on biochemem, a jednak podobieństwo imion w pewien sposób ich łączyło. Możliwe nawet (Jedwab uznał tę myśl za nader intrygującą), że Piasek był jego kognatem, wersją jego osoby pochodzącą z jakiegoś whorla wyższego rzędu. W wizjach, jakie zesłał mu Zewnętrzny, wiele wskazywało na to, że takie whorle istnieją naprawdę.

Piasek dźgnął go w plecy lufą pistoletu i Jedwab zatoczył się na ścianę. Ponieważ żaden chem nie mógł zostać augurem, przeznaczenie Piaska było zapewne inne; czy możliwe jest zatem, by to jemu, Jedwabiowi, pisany był los gwardzisty? Gdyby został gwardzistą, a nie augurem niedojdą, ich pokrewieństwo (i tak wyraźne) stałoby się jeszcze bardziej oczywiste, a nędzny whorl, który zamieszkiwali, zbliżyłby się do doskonałości.

Ale to chyba niemożliwe; matka zawsze chciała, by wstąpił w szeregi urzędników Juzgado – tak jak ojciec Hiacynta – a z czasem może dochrapał się posady komisarza. Z jakim zapałem roztaczała przed nim wizję kariery politycznej, i to prawie do samego końca, do dnia, gdy zaczął uczęszczać do scholi.

– Tędy – pokierował nim Wari i wepchnął go w drzwi prowadzące do przepysznego pokoju, pełnego wypoczywających żołnierzy i opancerzonych ludzi.

– Czy to jest caldé? – spytał jeden gwardzista, drugi potwierdził.

Wreszcie trafił do świata wielkiej polityki, tak jak chciała matka.

Przyciągnął krzesło do jej szafki i stanawszy na siedzeniu, oglądał ciemne popiersie caldé, skryte w ciemnościach, na najwyższej półce. Kiedy matka zastała go w tej pozycji, zdjęła rzeźbę, wytarła z kurzu i postawiła na toalecie, gdzie mógł się jej swobodnie przyglądać; podziwiał szerokie, płaskie policzki mężczyzny, wąskie szparki oczu, wysokie, zaokrąglone czoło i pełne usta, jakby stworzone do przemawiania. Kiedy rzeźbiona podobizna caldé stanęła mu przed oczyma, nie mógł oprzeć się wrażeniu, że dosłownie dzień czy dwa temu widział kogoś o takim obliczu.

Promienie słońca padały na policzki, ale nie te z gładko polerowanego drewna, lecz pokryte plamami i lekko dziobate. Czy to możliwe, że w dzieciństwie widział caldé na własne oczy?

– Posłuchaj mnie. – Radca Wari stanął przed nim, zadzierając lekko głowę i wysuwając do przodu swą miłą, pulchną twarz.

...Widział caldé na dworze, bo nawet bez okularów dostrzegł puder na policzkach i niedoskonałości cery, które puder próbował maskować... Wobec tego widział go – w pewnym sensie – pod auspicjami Zewnętrznego.

Krew i maytere Marmur siedzieli obok siebie, gdy Wari wepchnął go do pokoju. Jedwab był tak zaskoczony na ich widok, że nie od razu spostrzegł stłoczonych pod ścianą Acalyphę, Miecznika i przygarbionego augura.

– Jestem radca Lori – poinformował go stojący przy kominku przystojny starszy mężczyzna. – A ty jesteś Jedwab, jak mniemam?

– Patere Jedwab; Jego Mądrość przewodniczący Kapituły na razie nie przyjął mojej rezygnacji. Czy mogę usiąść?

– Zbuntowany caldé – mruknął Lori, jakby nie słysząc pytania.

– Ludzie nazywają mnie caldé, ale nie mam nic wspólnego z buntem.

Wari pchnął go pod ścianę, obok Acalyphy.

Lori uśmiechnął się; w błękitnych oczach mignęły lodowate iskierki, ale jego twarz promieniała taką mądrością, że nawet szyderczy uśmiech nie psuł efektu.

– Zabiłeś mojego kuzyna Lemura, caldé, prawda?

Jedwab zaprzeczył ruchem głowy.

– Nie znam tych ludzi, którzy przyszli z Acalyphą – zauważyła maytere Marmur. – Może powinniśmy się sobie przedstawić?

– Ja dokonam prezentacji – wtrącił Krew. – W końcu jesteście moimi gośćmi.

Jedwab z niejakim zdumieniem zarejestrował fakt, że Krew zasiada w tym samym fotelu, w którym widział go tydzień temu. Znajdowali się zresztą w tym samym pokoju.

– To jest radca Lori – powtórzył niepotrzebnie gospodarz. – Nowy sekretarz Ayuntamiento. A to radca Wari.

– Caldé Jedwab i radca Wari są starymi znajomymi – wymruczał Lori. – Nie mylę się, prawda, caldé?

– Tego żołnierza też nie znam – powiedział Krew i pociągnął łyk ze szklanki. – Ale to chyba bez znaczenia.

– To sierżant Piasek – poinformował go Jedwab. – Wraz z radcą Warim przesłuchiwał mnie w tardag. Było to dla mnie bardzo bolesne doświadczenie, a nie wykluczam, że będą chcieli je powtórzyć.

Piasek wyprężył się jak struna i chyba chciał coś powiedzieć, ale Jedwab uciszył go gestem ręki.

– Robiłeś, co do ciebie należy, sierżancie. Ja to rozumiem. Muszę przyznać, że wcześniej traktowałeś mnie przyzwoicie.

– Nie będziecie nam potrzebni, sierżancie – stwierdził Wari. – Znacie swoje obowiązki.

Piasek zerknął na Jedwabia, zasalutował, zrobił w tył zwrot i wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

– Co za przystojny młodzieniec – zauważyła maytere Marmur. – Przykro mi było słyszeć, że tak źle się z tobą obszedł, patere.

– Ta oto święta sybilla to maytere Róża... – Krew wskazał szklanką.

Acalypha zachichotała nerwowo, a maytere poprawiła go:

– Jestem maytere Marmur, nie pamiętasz? Opowiadałam ci o tym. Poznałam już Acalypnę, a z patere znamy się od dawna.

– Z patere Jedwabiem – dodał stojący w kącie augur. – Albowiem ja również mam prawo do tego zaszczytnego tytułu, podobnie zresztą jak i do innych, bardziej zwyczajnych. Scylla Wojownicza wyznaczyła mnie na nowego przewodniczącego Kapituły Vironu; w tej samej teofanii oznajmiła nam, że ty masz zostać caldé. Czyżbym był pierwszym...

– Miło cię znów widzieć, patere. – Jedwab zmusił się do uśmiechu.

– Jak to się stało, że żyjesz? – wykrztusiła Acalypha. – Stałam tam, obok ciebie... Żadne z nas nie...

– Twardy z niego gość! – zapał Miecznik. – Mój uczeń! To prawda!

– Czy znasz mistrza Miecznika, maytere? – zapytał Jedwab. – Uczy mnie szermierki. Mieczniku, święta sybilla, którą tam widzisz, to maytere Marmur, najstarsza rangą sybilla w moim... w manteionie przy ulicy Słońca.

– Jestem też oficjalną przedstawicielką naszego generalissimusa Oosika i generał Saby, dowodzącej wojskami Trivigaunte, patere – dodała cichym głosem maytere. – Przybyłam tu, by uzgodnić warunki twojego zwolnienia.

Głos Loriego ociekał fałszywą szczerością, gdy radca się odezwał:

– Jak widzicie, klucz do rozwiązania kryzysu spoczywa teraz w naszych rękach. Nasi łaskawi bogowie osobiście nam go oddali. Jakimiż głupcami są ci, którzy drwią z mocy nieśmiertelnych bogów!

Ciemny kształt wleciał przez okno do pokoju i z donośnym pacnięciem opadł Jedwabiowi na ramię.

– Ptak wraca!

– Oreb! – Jedwab popatrzył na niego ze zdziwieniem i radością, której wolałby nie okazywać.

– Scylla Parząca niczego wam nie dała. – Nie zwracając uwagi na przybycie kruka, Kowadełko oskarżycielskim gestem wycelował palec w Loriego.

– Wobec tego dzięki naszym zasługom znaleźliśmy się w uprzywilejowanej sytuacji. – Lori się uśmiechnął. – I wdzięczni jesteśmy hojnym bogom za rozliczne talenty.

Oreb przekrzywił ciekawie łebek.

– Bogowie dobrzy?

– Ona was wszystkich unicestwi, jeżeli któremuś z augurów albo obecnej wśród nas sybilli stanie się krzywda. Jesteśmy sługami bogów.

– Jeśli zajdzie taka potrzeba, zaryzykujemy wystawienie się na jej gniew. Przestań sięgać po miecz, staruszku; zabraliśmy ci go. Czyżby przyszło ci do głowy, że zdołacie nas pokonać?

Miecznik pokręcił głową.

– Myślisz, że nie wiem, że za drzwiami czekają żołnierze?

– Nawet gdyby ich nie było, i tak nie mielibyście szans. – Lori zdjął z kominka ozdobną podpórkę do książek. Złamał ją z trzaskiem. Sypnęła wokół białymi odłamkami, a drzwi otworzyły się z rozmachem i stanął w nich Piasek z dwoma innymi żołnierzami. Wszyscy trzej trzymali gotowe do

strzału pistolety. Oreb gwizdnął z podziwem.

– W porządku – rzekł do żołnierzy Wari. – Zamknijcie drzwi.

– Caldé Jedwab jest silnym człowiekiem, ale został ciężko ranny. Ty jesteś stary, bezbronny i słabszy, niż sądzisz. Nasz nowy przewodniczący również nie wzbudza respektu swą posturą. Czy mam mówić dalej?

– Rozumiem już, Mieczniku, jak to się stało, że znaleźliście się z Jego Mądrością w podziemnych korytarzach. Rzuciliście się naprzód w poszukiwaniu schronienia, tak jak ja z Hiacyntem...

– Jest z tobą? – przerwał mu Krew. – Gdzie?

– Nie ma jej tu, choć byliśmy razem. – Jedwab zwrócił się ponownie do Miecznika: – Po tym, jak mnie wygrzebaliście z ziemi, poszliście z Acalyphą i patere szukać wody. Jego Mądrość został przy mnie... Przy moich zwłokach, jak wtedy sądziliście. Dobrze mówię?

Miecznik pokiwał głową, Acalypha zaś rzekła:

– Wcale nie myśleliśmy, że jesteś martwy. Wiedzieliśmy, że żyjesz. Jego Mądrość twierdził, że wyczuwa u ciebie puls, chociaż nie mogliśmy zrozumieć, jak przeżyłeś zasypanie.

Lori zagrzechotał trzymaną w ręku resztką podpórki.

– Za pozwoleniem – wtrącił. – Wybaczcie, że przerywam wam tę frapującą dyskusję, lecz zdumiała mnie wzmianka o Jego Mądrości. Nie chodzi wam, jak mniemam, o naszego nowego przyjaciela, lecz o rzeczywistego przewodniczącego Kapituły? Czy był z wami w tunelach, caldé?

– Tak. Może nie powinienem był o tym wspominać.

– To staruszek – stwierdził beztrósco Wari. – Któryś z patroli na pewno go zgarnie, kuzynie.

– Przebiegły staruszek. – Lori wcale nie wyglądał na zadowolonego. – Intrygant.

Jedwab tymczasem próbował w duchu pogodzić słowa Kwezala, który zapewnił Acalyphę, iż Jedwab żyje, z wyjaśnieniem, że uznali go za zmarłego. W jednym albo drugim przypadku kłamał. Tylko po co?

– Zła rzecz! – oznajmił Oreb.

– Żołnierze z patrolu sierżanta Piaska... – ciągnął swe domysły Jedwab. – Zapewne taki sam patrol aresztował mnie wcześniej. Tym razem natknął się na mistrza Miecznika, patere Kowadełko i Acalyphę. Zdziwiłem się na ich widok, ale teraz chyba rozumiem. Piasek odesłał żołnierzy z więźniami tutaj, a sam poszedł dalej i znalazł mnie; może usłyszał mój głos, kiedy rozmawiałem z Jego Mądrością. Mam rację?

– Gdzie znajduje się ten tunel, patere? – spytała maytere Marmur. – Czy masz namyśli podziemia tego domu?

Wari obnażył błyszczące zęby w uśmiechu.

Krew odstawił drinka.

– Właśnie się nad nim znajdujemy, mamó – wyjaśnił. – Dalej łączy się z całym podziemnym labiryntem.

– To właśnie przede wszystkim powinnaś przekazać swoim zwierzchnikom, maytere – powiedział Lori. – Wydaje im się, że zapędzili nas w kozi róg, ale jest to stwierdzenie bardzo od prawdy odległe. Możemy stąd wyjść i zniknąć im z oczu, kiedy nam się spodoba.

– Nie chcę stąd uciekać – zauważył Krew. – To mój dom. Maytere Marmur zamyśliła się, przyciskając dłoń do policzka.

– Zła dziura. – Oreb nerwowo przeczesał piórka.

– Twój ptak był z nami pod ziemią – szepnęła Acalypha. – Alka zabrał go na łódź.

– Słońce cię tak poparzyło! – Jedwab skarcił się w duchu za własną niedomyślność. – Cały czas ci się przyglądam... Nie, gapię się na ciebie. Proszę, wybacz mi to, ale nie pojmowałem, czemu masz taką czerwoną twarz. Przypomina mi czerwonobrazowe drewno pewnej rzeźby, którą przechowywała moja matka.

– Na łodzi chodziła całkiem naga – wtrącił Kowadełko. – Dopiero potem przywdziała moją togę, a maytere zmusiła ich, żeby dali jej tę suknię.

– To nie ma nic do rzeczy – warknął Lori.

– Może i nie ma – zgodził się Jedwab. – Na widok Acalyphy przypomniało mi się pewne zdarzenie z dzieciństwa, radco.

Lori machnięciem ręki zbył kwestię opalenizny Acalyphy. Rzucił największy odłamek podpórki do książek na niski ozdobny stolik, przy którym siedziała maytere Marmur.

– Marmur... Czy nie tak się nazywasz, maytere? Caldé właśnie nam o tym przypomniał.

– Zgadza się, to moje imię.

– Ten drobiazg był chyba właśnie z marmuru, prawdziwego marmuru, który pochodził z whorla krótkiego słońca, tak samo jak ty. – W tej chwili twarz Loriego wcale nie wyglądała przyjemnie. – Zostawię ci ten odłamek, żebyś o tym pamiętała.

– Nie zapomnę – zapewniła go maytere. – Tak jak ty, radco, nie powinienes zapominać, że jesteś

otoczony przez kilka tysięcy uzbrojonych ludzi. Przypuszczam, że wielu negocjatorów na moim miejscu czułoby pokusę zawyżenia ich liczby, ja jednak tego nie zrobię. Powiem ci prawdę, gdyż nie chcę, byś mówił potem, że zostałeś wprowadzony w błąd czy wręcz oszukany. Są tam dwie kompanie skrzydlatych wojowniczek z Trivigaunte, prawie cała trzecia brygada gwardii cywilnej i część czwartej. Kiedy spytałam generalissimusa Oosika, co oznacza owa „część”, wyjaśnił mi, że chodzi o cztery ślizgacze i kompanię pancerną. Poza tym w okolicy zebrało się około pięciu tysięcy ludzi generał Mięty, a z każdą chwilą ich przybywa; słyszeli, że patere Jedwab jest przetrzymywany w tym domu i rwą się do szturm. Kiedy ich opuszczałam, generał Saba i generalissimus Oosik obawiali się, że nie zdołają ich powstrzymać bez pomocy gwardii, co tylko wzmogłoby napięcie.

– Teraz walka? – spytał Oreb.

Maytere Marmur z uśmiechem zwróciła się do Jedwabia:

– Czy to ten ptak, który skakał u ciebie po kuchni, patere, kiedy doktor Żuraw przyszedł opatrzeć ci nogę? Potem widziałam go, jak siedział u ciebie na ramieniu, w ogrodzie. Poznaję go. Nie, ptaszku, nie będzie walki. Jeszcze nie teraz. Generalissimus Oosik uprzedził mnie jednak, że jeśli nie zdoła powstrzymać powstańców generał Mięty od szturm, to nie zamierza do nich strzelać, lecz odstąpi i da im wolną rękę. Bo widzisz, ptaszku, powiedziałam swoim dzieciom, że twój pan tu jest. Zanim opuściliśmy miasto, wieść się rozniosła, czyli na dobrą sprawę to wszystko moja wina. Źle mi z tym, naprawdę mam wyrzuty sumienia, więc staram się naprawić szkody.

– Ale nie chcesz powiedzieć, od kogo się o tym dowiedziałaś – uzupełnił Krew. – A może zmieniłaś zdanie, mamó?

– Co to, to nie. Dałam słowo.

Lori, który słuchał tej przemowy oparty o kominek, stanął teraz przed maytere Marmur.

– Ta mała konferencja trwa już zbyt długo – stwierdził. – Pozwól zatem, że przedstawię ci nasze warunki, maytere. Będiesz mogła następnie wrócić do swoich i powtórzyć moje słowa przybyszom z Trivigaunte i pięciu tysiącom wichrzycieli Mięty, jeśli faktycznie tylu ich jest – a śmiem być na tyle niegrzeczny, iż wątpię w prawdziwość twoich słów. Nasza propozycja nie podlega negocjacom. Albo przyjmiecie nasze warunki, albo my zabijemy więźniów, Jedwabia też, i krwawo stłumimy bunt.

Kowadełko zerwał się na równe nogi.

– Nie macie prawa...

Wari trafił go pięścią w szczękę. Rozległ się trzask podobny do tego, jaki wydała złamana podstawka.

– A więc do tego już doszło. – Maytere Marmur przyglądała spódnicę habitu, osłaniającą jej metalowe uda. – Pewno zaraz w ruch pójda igłowce i noże.

– Ostrzegam cię, radco Wari, byś więcej tego nie robił – rzekł Jedwab.

– Bo co, skręcisz mi kark? – Wari uśmiechnął się paskudnie, niczym nieznośny łakomczuch, który właśnie zwędził komuś ciastko. – Uderz małego rzeźnika, a duży zaszczeka? Już raz urządziliśmy sobie małą demonstrację siły; jeżeli zapomniłeś, jakie są zasady, chętnie powtórzę lekcję. Kowadełko splunął krwią.

– Sprawiedliwi bogowie pomszczą krzywdy wyrządzone augurom. Przeznaczenie...

Wari wznosił rękę do ciosu i Kowadełko umilkł.

– Nie bij – zasugerował Oreb.

– Bogowie mogą się mścić, ale nie muszą – mruknął cicho Jedwab. – Nie wiem, jak się sprawy mają, ale gdybym miał wybierać, powiedziałbym raczej, że ani im to w głowie.

Lori sardonicznym uśmiechem wyraził aprobatę dla jego słów; Wari z minimalnym opóźnieniem przyłączył się do niego, gdy nagle głos Jedwabia zagrzmiął donośnie:

– Co innego prawo. Maytere powiedziała wam, ilu ludzi ma generalissimus Oosik; twierdzi ponadto – nader rozsądnie i uczciwie – że nie chce, byście czuli się oszukani, gdy już będzie po wszystkim. Powinniście byli jej słuchać.

– Powiedz im! – ponaglił go Miecznik.

– Właśnie próbuję to zrobić. – Jedwab pokiwał głową, chyba (tak to przynajmniej wyglądało) do własnych myśli. – Niewiele czasu wam zostało. Odbędzie się proces i wy, radcowie Lori i Wari, wysłuchacie przed sądem zeznań maytere, Acalyphy, Miecznika i patere Kowadełka. Oni zaś powiedzą, co widzieli, słyszeli i jak się czuli, a wysłucha ich sędzia, który nie będzie się was bał.

Wari zachichotał i popatrzył na Loriego.

– Jego wybrali, żeby nas zastąpił?

– Faktycznie – odezwał się niespodziewanie Krew. – Na początku tego nie rozumiałem, ale teraz zaczynam.

– Wszystko, co ludzkie, zużywa się i podlega wymianie, radco – stwierdziła maytere Marmur.

– Ja nie!

– A myślałam, że ci się to spodoba, radco. Ile to już lat pracujesz w pocie czoła, planując przyszłość naszego niewdzięcznego miasta? Pięćdziesiąt? Sześćdziesiąt?

– Dłużej! – Wari usiadł na poślacanej sofie.

– Czy pamiętasz, radco... Nie prawdziwy Wari, który przebywa na pokładzie łodzi podwodnej, lecz ty, z którym teraz rozmawiam. Czy pamiętasz whorl krótkiego słońca? – spytał Jedwab. – Radca Lori sugerował, że wydobywano na nim marmur. Nie znam się na antykach, ale słyszałem, że kamień ten nie występuje w naszym whorlu w stanie naturalnym.

– Nie jestem aż tak stary.

– Miałem właśnie przedstawić nasze żądania – burknął Lori. – Przejdźmy wreszcie do rzeczy.

Maytere Marmur wstała ze swojego miejsca i stanęła obok Jedwabia.

– Słuchamy, radco.

– Jak już wspomniałem, warunki te nie podlegają dyskusji. Wyraziliśmy je w pięciu punktach; ustępstwa nie wchodzą w grę.

Z wewnętrznej kieszeni Lori dobył złożoną na pół kartkę. Zaszleściła donośnie, kiedy rozprostował ją gwałtownym ruchem.

– Po pierwsze: Jedwab ogłosi publicznie i bez żadnych zastrzeżeń, że nie jest i nigdy nie był *caldé*, że w Vironie taki urząd w ogóle nie istnieje i że *Ayuntamiento* jest w mieście jedynym prawowitym organem władzy.

Z radością to uczynię, jeśli dzięki temu ma nastać pokój, odparł Jedwab. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że przemawia tylko w myślach.

– Po drugie: nie dojdzie do nowych wyborów radców. Wakujące stanowiska pozostaną nieobsadzone, a obecni członkowie *Ayuntamiento* zachowają swój urząd. Po trzecie: rani Trivigaunte wycofa swoje wojska z terytorium Vironu i dostarczy nam zakładników – wskażemy ich z imienia – którzy będą dla nas gwarancją, iż taka ingerencja w nasze wewnętrzne sprawy więcej się nie powtórzy. Po czwarte: gwardia cywilna wyda nam swoich oficerów, którzy sprzeniewierzyli się *Ayuntamiento*. Zostaną postawieni przed sądem i stosownie ukarani. Po piąte i ostatnie: buntownicy zdadzą całą broń wojsku.

– Proponuję ci, synu, byś długo i gorąco się modlił – wymruczał przez opuchnięte wargi Kowadełko. – Nie zawadzi też złożyć ofiarę. Mądrość bogów na razie cię nie oświeciła.

– Nie potrzebujemy mądrości bogów – powiedział Wari.

– Kiedy Scylla Rozdrażniona dowie się... – zaczął Kowadełko, ale maytere Marmur weszła mu w słowo:

– Co proponujecie w zamian rani, gwardii i – jak ich nazywacie – buntownikom?

– Pokój i amnestię. Więźniom, których tu widzisz, nie wyłączając Jedwabia, nie stanie się żadna

krzywda. Zostaną wypuszczeni.

– Rozumiem. – Maytere oparła dłoń na ramieniu Jedwabia. – I nie ukrywam rozczarowania. To ja przekonywałam generał Sabę i generalissimusa Oosika, że z pewnością okażecie odrobinę rozsądku. Słuchali mnie przez wzgląd na męstwo mojej kochanej generał Mięty i odniesione przez nią zwycięstwa, z których jesteście bardzo dumni. Mam nadzieję; że nie obrażam w ten sposób bogów, którzy jej te sukcesy zesłali. Widzę jednak, że przychodząc do was, zawiodłam pokładane we mnie zaufanie.

– Jeżeli uważasz, że brak nam rozsądku...

– Tak właśnie uważam. Twierdzisz, radco, że patere Jedwab nie jest caldé. Ile w takim razie są warte jego słowa? Co ma powiedzieć ludziom? Że augur z manteionu przy ulicy Słońca twierdzi, iż Ayuntamiento ma dalej rządzić miastem? Wyśmieją was.

– Ty się jakoś nie śmiejesz – zauważył opryskliwie Wari.

– Caldé? – Lori się uśmiechnął. – Znasz już nasze żądania. Powiedziałaś, że przewodniczący Kapituły jeszcze nie zwolnił cię ze ślubów, co oznacza, że chciałbyś, by do tego doszło. Czy jesteś gotów zrezygnować także z urzędu caldé, którego nawet nie objąłeś?

– Tak, niczego bardziej nie pragnę. – Jedwab, wsparty ciężko na ozdobnej lasce, wyprostował się, podnosząc głos. – Nie chciałem mieszać się do polityki, radco. To polityka mnie wybrała.

– Dobry Jedwab – wyjaśnił Oreb.

– Sama widzisz – rzucił Lori pod adresem maytere Marmur. – Powinnaś przekazać Oosikowi wszystko, co tu słyszałaś.

– Niestety – ciągnął Jedwab – pozostałe warunki są nie do przyjęcia. Na przykład drugi z nich. Ludzie żądają przywrócenia Karty, która jest podstawą naszego systemu prawnego. Karta zaś stwierdza, że w wypadku wakatu w Ayuntamiento ogłasza się wybory uzupełniające.

– Powinniśmy cię zabić – stwierdził Wari. – Sam to zrobię.

– A wówczas caldé przestanie być waszym zakładnikiem. Ludzie, których nazywacie wichrzycielami, wybiorą sobie nowego, z pewnością lepszego i bardziej zdecydowanego ode mnie; o gorszego byłoby naprawdę trudno. – Jedwab umilkł, czekając, by ktoś inny zabrał głos, ale cisza się przeciągała. Wreszcie rzekł: – Nie jestem adwokatem, chociaż szczerze tego żałuję. Gdybym nim był, mógłbym sobie wyobrazić, że bronię was przed każdym z dotąd postawionych zarzutów. Zawiesiliście prawa Karty, ale wierzę, iż istniały pewne niejasności związane z pośmiertną wolą ostatniego caldé, a poza tym było to dawno temu. Próbowaliście stłumić zamieszki, lecz wypełnialiście tylko swój obowiązek. Przesłuchiwaliście Mamelę i mnie, kiedy zostaliśmy zatrzymani za nieprzestrzeganie zakazu wejścia na teren wojskowy, ale łatwo was w tym wypadku usprawiedliwić.

– On mnie uderzył! – krzyknął Kowadelko. – Uderzył augura!

– To odrębna sprawa, dotycząca tylko radcy Wariego. – Jedwab pokiwał głową. – Na razie rozważam Ayuntamiento jako całość, a właściwie resztki całości. Masz jednak rację, patere; czyn radcy Wariego wskazuje dobitnie, na jakie tory zesła działalność Ayuntamiento. Chciałbym przemówić jej obecnemu sekretarzowi, radcy Loriemu, do rozsądku, by zawrócił z tej drogi, póki nie jest za późno.

Lori posłał mu nienawistne spojrzenie.

– Czyli nie zgadzasz się na nasze żądania, tak? W każdej chwili mogę wezwać żołnierzy i skończyć tę farsę.

– Nie mogę się na nie zgodzić. Nie mogę również, co zrozumiałe, zabierać głosu w imieniu rani Trivigaunte. Wolno mi jednak przemówić w imieniu Vironu: poza żądaniem mojego ustąpienia wszystkie wasze warunki są dla miasta nie do przyjęcia.

– Co nie zmienia faktu, że generał Mięta i generalissimus Oosik mogą się na nie przynajmniej częściowo zgodzić, by ocalić patere Jedwabia – wtrąciła maytere Marmur. – Czy mogłabym z nim porozmawiać na osobności?

– Wolne żarty!

– To nie żarty, lecz konieczność. Czy nie rozumiecie, że generał Mięta, generalissimus Oosik i ich ludzie wykonują tylko rozkazy patere Jedwabia? Kiedy im powiem, że widziałam go żywego i że uznajecie jego status caldé, będą zapewne ciekawi, czy zgodził się na wasze warunki. Muszą wiedzieć, czego się po nich spodziewa, ale nie zwrócą na moje słowa uwagi, jeśli nie zapewnię, że rozmawiałam z nim w cztery oczy. Pozwólcie mi porozmawiać z patere, a potem wrócić do generał Saby i generalissimusa Oosika. Jeżeli dopisze nam szczęście, będziemy mieli prawdziwy pokój, zamiast tego wymuszonego zawieszenia broni.

– Nie uznajemy jego statusu – oświadczył lodowatym tonem Lori. – Lepiej to odwołaj.

– Ależ uznajecie! W mojej obecności kilkakrotnie tak go nazwałeś, radco; poza tym widziałam, jak sobie gratulujecie, że udało się wam pojmać caldé. Nazwałeś go też kluczem do rozwiązania kryzysu; straszyłeś, że go zastrzelisz, jeśli nie zgodzi się przyjąć twoich warunków. Jeżeli grozisz w ten sposób caldé, jesteś po prostu okrutny; jeżeli zwykłemu augurowi, jesteś durniem. – Maytere złożyła błagalnie ręce i podniosła ku Loriemu wygładzoną upływem czasu twarz. – On jest okropnie osłabiony. Patrzyłam na niego, kiedy tak rozmawialiśmy; wydaje mi się, że gdyby nie laska, dawno by się przewrócił. Może pozwolisz mu usiąść? A reszcie każesz wyjść? Kwadrans powinien nam wystarczyć.

– Proszę tutaj, patere. – Krew wstał z fotela i zachwiał się na nogach. – Siadaj. To wygodne miejsce, lepsze niż krzesło, które ci poprzednio tu proponowałem.

– Dziękuję, dziękuję ci bardzo. Jestem twoim dłużnikiem – odrzekł Jedwab. Acalypha złapała go pod ramię. Chciał zapewnić, że nie potrzebuje jej pomocy, ale potknął się o skraj dywanu. Podenerwowany Oreb zaskrzeczał donośnie.

– Resztę wyprowadzić – rozkazał Wariemu Lori.

Miecznik przystanął w drzwiach. Spojrzał na Jedwabia, złożył dłonie, skręcił lekko jedną względem drugiej i rozdzielił je.

Acalypha pocałowała Jedwabia w czoło – dotyk jej ust był jak jedwabiste muśnięcie skrzydeł motyla. Wari odciągnął ją brutalnie, wyprowadził za próg i zamknął drzwi.

Maytere Marmur usiadła z powrotem na fotelu, który zajmowała poprzednio.

– No dobrze – mruknęła.

– Bardzo dobrze – przytaknął Jedwab. – Świetnie się spisalaś, maytere. Znacznie lepiej ode mnie. Zanim jednak porozmawiamy o... o tym wszystkim, chciałbym ci zadać pytanie, może nawet dwa. Zrobisz mi tę przyjemność i odpowiesz?

– Naturalnie, patere. O co chodzi?

Zamyślony Jedwab potarł dłonią policzek.

– Nie znam się na kobiecych fatałaszkach. Na pewno wiesz o nich więcej ode mnie. Wiesz, że radca Lori kazał przynieść Acalyphie sukienkę?

– Miała na sobie tylko togę augura – wyjaśniła maytere. – Powiedziałam, że o niczym nie będziemy rozmawiać, dopóki ona się nie ubierze. Na to Krew wezwał jedną ze służących i Acalypha poszła z nią i jednym żołnierzem poszukać czegoś do ubrania. Nie trwało to długo.

Jedwab pokiwał w milczeniu głową.

– Jest na nią troszkę za mała – dodała maytere Marmur – ale służąca mówi, że nic większego się w domu nie znajdzie. Poza tym nie wygląda aż tak źle.

– Rozumiem... Tak się zastanawiałem, czy jest własnością kobiety, którą tu kiedyś spotkałem.

– Rozmawiałeś o niej z Krwią, patere. – Głos maytere zdradzał, że niezręcznie się czuje, mówiąc o tym. – Zapytał cię, gdzie ona jest, a ty powiedziałaś, że się rozdzieliliście. Nie chcę być natrętna i wypytywać cię o sprawy osobiste...

– Jestem ci wdzięczny, maytere, uwierz mi. Bardzo wdzięczny. – Jedwab zawahał się, nie mogąc oderwać wzroku o falującego w podmuchach wiatru trawnika za oknem. – Myślałem, że suknia mogła należeć do Hiacynta; więcej, miałem wręcz nadzieję, że tak właśnie jest. Prawie pasuje na Acalyphe, a Hiacynt jest od niej drobniejsza. Ja się nazywa ten materiał?

– A co... Ach, rozumiem! Nie mylisz się, patere! To acalypha, a ona przecież tak ma na imię!

– Nie jedwab?

Maytere Marmur strzeliła palcami.

– Już wiem! Powiedziała pewnie służącej, jak się nazywa, a ta od razu pomyślała o tej sukni!

– Pocałowała mnie wychodząc – zauważył Jedwab. – Nie prosiłem o to, ale mnie pocałowała.

– Owszem, patere, zauważyłam to.

– Wydaje mi się, że chciała mi dać do zrozumienia, że jest z nami... że nas popiera. Miecznik również wykonał jakiś dziwny gest, chyba związany z szermierką. Ale mniejsza o niego. Pocałunek sprawił, że pomyślałem o jedwabiu, to znaczy o materiale. Chyba nie bez powodu... Pewnie dlatego że jej sukienka musnęła moją dłoń. Naprawdę tak się ta tkanina nazywa? Muszę z Acalypką porozmawiać. Nie w tej chwili, ale sprawa jest pilna.

– Dobra dziewczeczka!

– Tak, Orebie, to prawda. Kiedy przed chwilą rozmawiałeś z Lorim, maytere, uparłaś się, żebyśmy zostali w tym pokoju. Możesz mi powiedzieć dlaczego?

– Czy aż tak bardzo było to widać?

– Wprost przeciwnie, ale ja cię znam i gdybyś naprawdę tak się o mnie martwiła, poprosiłabyś o udostępnienie nam sypialni, żebym mógł się położyć. Poza tym kazałabyś posłać po lekarza; wątpię, czy Krew ma w tej chwili osobistego medyka, odkąd doktor Żuraw nie żyje. Lori mógłby jednak wysłać człowieka z białą flagą, żeby sprowadził lekarza z gwardii.

– Powinna była go o to poprosić – przyznała ponuro maytere Marmur. – Wciąż jeszcze mogę to zrobić, patere. Zaraz wrócę.

– Nie idź, nie trzeba, czuję się dobrze. Z łaski Phaei... – było już za późno, by cofnąć tradycyjną formułę – ...wyzdrowieję. Dlaczego chciałaś tu zostać?

– Ze względu na to okno. – Maytere wyciągnęła rękę. – Krew otworzył je, kiedy jeszcze siedzieliśmy tu tylko we dwoje, a ja cały czas się martwiłam, że komuś będzie za zimno i każą je zamknąć. Z pewnością znasz Pleśń, patere. Mówiła, że ją do mnie przysłałaś.

– Krew ją adoptował.

– Adoptował? Nie wiedziałam o tym. Powiedziała tylko, że jest jego córką. To było w hieraxdag, w środku nocy... Czy znasz Asfodel, patere?

– Ależ naturalnie. – Jedwab się uśmiechnął. – Mała wiercipięta.

– Właśnie. Dopiero co pozmywałam i chciałam wylać brudną wodę do ogródka; mydliny lepiej robią roślinom niż czysta woda. Wiem, że dziwnie to brzmi, ale to prawda.

– Skoro tak mówisz, wierzę.

– Wylewałam wodę po trochu na każdą grządkę, a tu nagle Asfodel ciągnie mnie za spódnicę habitu. Pytam: „Co ty tu robisz o tej porze, maleńka?”. A ona na to, że poszła z innymi walczyć, ale Róg kazał jej wracać...

– Kot idzie! – zaskrzeczał ostrzegawczo Oreb. Jedwab rozejrzał się, ale żadnego kota w pobliżu nie zobaczył.

– Róg kazał jej wracać do domu; moim zdaniem dobrze zrobił, patere. W każdym razie chciała się dowiedzieć, czy w thelxdag ma przyjść do palestry.

– I wtedy twarz jej się zmieniła – dopowiedział Jedwab. – Tak było, maytere?

– Tak, właśnie tak! Zrobiła się... no, po prostu przerażająca. Musiała zobaczyć, że się boję – a bałam się okrutnie – bo powiedziała „Nie bój się, babciu. Nazywam się Pleśń i jestem córką Krwi”. – Maytere urwała, nie mając pewności, czy Jedwab ją rozumie. – Mówiłam ci, że Krew jest moim synem, patere? Tak, z pewnością ci mówiłam, zaraz po tym nabożeństwie na ulicy.

– Jest synem maytere Róży – stwierdził ostrożnie Jedwab. – Owszem, wiem, że czasem nią bywasz.

– Cały czas nią jestem, patere. – Maytere zaśmiała się radośnie. – Zintegrowałam nasze oprogramowanie. Wśród sybilli jestem teraz zarazem twoją najgorętszą zwolenniczką i największym wrogiem.

Jedwab poruszył się niespokojnie na fotelu.

– Mam nadzieję, że nigdy nie byłem wrogiem maytere Róży.

– Ale myślałeś, że ja jestem twoim, patere. Może i miałeś rację, przynajmniej po części.

Pochylił się ku niej, wsparty oburącz na lasce.

– A teraz, maytere? Czy jesteś moim wrogiem? Proszę, odpowiedz szczerze.

– Nie, patere, jestem twoim przyjacielem i życzę ci jak najlepiej.

Oreb z entuzjazmem zatrzepotał skrzydłami.

– Dobra dziewczeczka!

– Nawet gdybym była tylko maytere Różą, zrobiłabym wszystko, żeby ci teraz pomóc, patere.

Jedwab odprężył się i opadł na oparcie fotela. Zdumiewała go miękkość siedzeń w domu Krwi. Przypomniawszy sobie, jak rozmawiając z Krwią marzył, żeby rozsiaść się wygodnie, zdrzemnąć chwilę na krześle. Ale Krew miał rację – fotel, na którym teraz siedział, był jeszcze wygodniejszy; poddawał się w odpowiednich miejscach, w innych zachowywał należytą sztywność. Jedwab pogładził szeroką skórzaną poręcz, w dotyku gładką jak atlas.

– Mogłem się położyć na chwilę, kiedy mnie przyprowadzili – przyznał się maytere Marmur. – Piasek mi pozwolił. Musiałem na własnych nogach iść aż tutaj, a to szmat drogi. Wydawało mi się daleko już wtedy, gdy jechaliśmy z Alką na osłach, ale kiedy szedłem przodem, a Piasek poszturchiwał mnie w plecy lufą pistoletu, droga dłużyła mi się potwornie. Kiedy już dotarliśmy tutaj i weszliśmy przez klapę w podłodze do piwnicy, pozwolił mi się położyć na ziemi. Piasek naprawdę nie jest zły, tylko zdyscyplinowany żołnierz, który służy złym ludziom. W Lorim też drzemie dobro; nawet w Warim. Z pewnością je wyczuwasz, tak jak ja, maytere, inaczej nie przemawiałabyś do Wariego w taki sposób. To dlatego – między innymi – nie wydaje mi się, żebym się znalazł w aż takich tarapatach, jak ci się wydaje. Ale i tak jestem ci wdzięczny.

– Kot! Kot! – Oreb przefrunął z ramienia Jedwabia na alabastrowe popiersie Thelxiepei.

– Nie ma tu żadnego kota, śliczny ptaszku – uspokoiła go z uśmiechem maytere Marmur.

– Opowiadałaś mi o tym pokoju – przypomniał Jedwab. – I o tym, jak pierwszy raz spotkałaś Pleśń. Chciałbym, żebyś dokończyłaś swą opowieść, bo może okazać się znacząca.

– Ja... Patere, najpierw chciałabym ci powiedzieć o spotkaniu z tobą. Nie potrwa to długo, a może mieć dużo większe znaczenie. Wiem, że wciąż myślisz o dniu, w którym przybyłeś do naszego manteionu. Parokrotnie o tym wspominałaś.

Jedwab pokiwał głową.

– Poznałeś patere Płetwę, którego obdarzyłeś miłością i szacunkiem, ale każdy mężczyzna chce czasem porozmawiać z kobietą. Wychowywała cię matka i wszyscy widzieliśmy, jak za nią tęskniłeś.

– Nadal tęsknię.

– Nie masz się czego wstydzić, patere; nikt nie powinien wstydzić się miłości.

Maytere Marmur umilkła na chwilę, żeby zebrać myśli. Wróciła jej dawna szybkość skanowania i teraz mogła się nią rozkoszować.

– Było nas trzy, trzy sybille. Maytere Mięta – młoda i śliczna, ale tak nieśmiała, że na twój widok czmychała w kąt, a kiedy nie miała gdzie uciekać, nie potrafiła wykrztusić ani słowa. Może domyślała się, co przed laty stało się ze mną. Przychodziło mi to czasem do głowy, zwłaszcza że byłeś młody i przystojny; dalej zresztą jesteś.

Jedwab już zamierzał ją o coś zapytać, ale po namyśle zrezygnował.

– Nie powiem ci, kto był ojcem Krwi, patere. Nigdy nikomu tego nie powiedziałam i teraz też nie zamierzam. Powiem ci co innego: on się o niczym nie dowiedział, nawet chyba nie domyślał się prawdy.

Jedwab odetchnął głęboko.

– Ubiegłej nocy spałem z kobietą, maytere. Z Hiacyntem, z tą samą, o której rozmawiałem z Krwią.

– Przykro mi, że mi o tym mówisz.

– Chciałem ci to powiedzieć. Chciałem... Tak strasznie chciałem powiedzieć o tym wszystkim ludziom, którzy nic nie wiedzą, chociaż sporo jest takich, którzy wiedzą. Jego Mądrość, Miecznik, generalissimus Oosik...

– I ja. – Maytere Marmur postukała się w oblekający metalową pierś habit. – Wiedziałam o tym, czy raczej domyślałam się tego. I żałuję, że nie pozostawiłeś tego w sferze domysłów, patere. O pewnych sprawach nie należy mówić głośno.

Oreb zaprzestał podziwiania rysów Thelxiepei i oznajmił z entuzjazmem:

– Bystra dziewczeczka!

– Było nas trzy, jak już powiedziałam, ale maytere Mięta mogłaby dla ciebie nie istnieć, więc zostawałyśmy tylko my dwie. Ja byłam już stara, chyba nawet nie podejrzewałeś, jak bardzo. Moje twarze zniknęły na długo przed twoim narodzeniem. Nie przypuszczałeś pewnie wcale, że ich nie ma, co?

– Co ty wygadujesz, maytere? Twoja twarz znajduje się na swoim miejscu. Właśnie na nią patrzę.

– O tym mówisz? – Sybilla zabębniła palcami w swoje metalowe oblicze. – To tylko płyta twarzowa, a kiedyś miałam prawdziwą twarz, taką jak ty. Właściwie taką jak Dalia, ale ona odeszła, zanim nastały twoje czasy. Miałam twarz jak Rzep czy Pokrzywa, upstrzoną drobinkami alnika, które pozwalały mi się naprawdę uśmiechać czy marszczyć brwi; poruszałam nimi dzięki ukrytym pod płytą cewkom. Teraz zostały mi tylko cewki.

– To piękna twarz – uparł się Jedwab. – Twoja.

– Mojej drugiej twarzy wcale nie uznawałeś za piękną, co widziałam po twoich oczach, ilekroć się spotkaliśmy. Sprawiało mi to przykrość, a tobie robiło się przykro, że mnie ranisz, i zwróciłeś się w końcu do mnie, bo ciężko ci było w samotności. Byłyśmy jednak bardziej do siebie podobne i sobie bliskie, niż sądziłeś, mimo że nigdy nie przejmowałam się maszynami i nie traktowałam ich jak ludzi. A teraz jestem tylko przekazem zapisanym na tych maleńkich złotych niteczkach, które znasz z kart. Ale nadal jestem sobą, żywą osobą, bo zawsze nią byłam.

Jedwab pogrzebał w kieszeniach zniszczonej szaty Remory w poszukiwaniu chusteczek, a nie znalazłszy ani jednej, otarł oczy rękawem.

– Nie po to ci to powiedziałam, żebyś się nade mną roztkliwiał, patere. Żadna z nas nie dawała się łatwo polubić; pod tym względem niewiele się zmieniło. Ty jednak zdołałeś jedną pokochać, choć niewielu mężczyzn, nawet augurów, byłoby do tego zdolnych. Myślałam, że kiedy ci wyjaśnię, jak to się stało, że kochasz mnie i nie cierpisz zarazem, przyda ci się to w kontaktach z inną kobietą.

– Na pewno – westchnął Jedwab. – Dziękuję, maytere. Przyda mi się w kontaktach z samym sobą.

– Zostawmy już ten temat. Co sądzisz o żądaniach Ayuntamiento? Podtrzymujesz to, co powiedziałeś Loriemu?

Jedwab ostatni raz przytknął rękaw togi do oczu. Czuł, że materiał jest w dotyku szorstki od piachu i ziemi, i wiedział, że brudzi sobie twarz.

– Chyba tak.

– Są beznadziejne – zgodziła się maytere Marmur. – Trivigaunte nic nie zyskuje; gwardia ma wydać swoją starszyznę... Dlaczego niby generalissimus Oosik miałby się na to zgodzić? Gdybyśmy jednak zaproponowali im rzetelną rozprawę, z niezawisłymi sędziami...

– Człowiek wraca!

Na parapecie okna pojawiła się masywna, upierścieniona dłoń i ramię w żółtej szacie. Do pokoju napłynął zapach różanego piżma.

– Dlatego chciałaś tu zostać. – Jedwab wstał niepewnie, zachwiał się na nogach i podpierając się laską, podszedł do okna.

– Żeby twój syn mógł do nas dołączyć.

– Nie, patere. Wcale nie dlatego.

– Czekał, podam ci rękę – zaproponował Jedwab, przechylając się przez parapet. – Pomogę ci.

– Dzięki. Powinienem był przynieść stołek.

Maytere Marmur również podała Krwi rękę, wychylona z okna.

Twarz Krwi pociemniała z wysiłku jeszcze bardziej niż zwykle, gdy wynurzył się znad parapetu. Stęknął ciężko, podciągnął się i stoczył na podłogę.

– A teraz moja wnuczka; po tym, jak wciągnęliśmy Krew, pójdzie nam jak z płatka.

Maytere Marmur wychyliła się przez okno, złapała za kościste, wychudłe dłonie i wciągnęła do

pokoju wymizerowaną młodą kobietę o poparzonej twarzy.

– Biedna dziewczeczka!

Jedwab skinął głową i wrócił do swojego fotela.

– Witaj, Pleśnio. Usiądź, proszę, żebym i ja mógł spocząć. Oboje jesteśmy osłabieni.

– Igłowce są do niczego, kiedy trzeba strzelać do żołnierzy – wysapał Krew. Przyglądził z przodu tunikę i sięgnął pod nią, za pas. – Dlatego dam ci to, caldè Jedwabiu.

Azoth miał długą, inkrustowaną złotem i gęsto wysadzaną rubinami rękojeść. Ostro zakrzywiona garda była bardziej ozdobna niż w broni, którą doktor Żuraw za namową Hiacynta dał Jedwabowi. Głowicę okalał wianuszek brylantów.

Jedwab usiadł.

– Powiniennem być się domyślić. Doktor Żuraw mówił mi, że masz dwa.

– Nie chcesz go? – Krew nie krył zdumienia.

– Nie.

– Jest wart...

– Wiem, ile jest wart, i zdaję sobie sprawę, jak groźną może być bronią w silnych rękach. Na razie jednak moje ręce są do niczego, chociaż to i tak najbliższy z powodów, dla których ci odmawiam. – Jedwab usadowił się wygodnie. – Prosiłem twoją córkę, żeby usiadła, ona zaś okazała się na tyle uprzejma, że mnie posłuchała. Nie mogę cię namawiać, byś usiadł, bo to ty jesteś tu gospodarzem, ja zaś zdaję sobie sprawę, że zajmuję twoje miejsce. Są jednak inne krzesła i fotele. Krew usiadł.

– Dziękuję. Maytere...

– Kot idzie!

Rzeczywiście, tym razem ledwie Oreb zdążył wydać ostrzegawczy krzyk, kocur przeskoczył lekko przez parapet i bezszelestnie wylądował na środku pokoju. Wlepił w Krew spojrzenie płonących bursztynowo oczu. Maytere Marmur zebrała w garści spódnice, jakby przestraszyła się myszy, a Jedwab spytał:

– Czy to Lew? Chyba go sobie przypominam.

Ryś obrócił się w jego stronę i skinął głową. Maytere Marmur zwróciła się do Pleśni:

– Patere chciał, żeby wszyscy usiedli. Miło byłoby, gdybyś też kazała swojemu kociakowi

przycupnąć, kochanie. Mniej bym się denerwowała.

Lew posłusznie położył się na dywanie, wodząc ślepiami od Krwi do Oreba i z powrotem.

– Niech cię Sphigx błogosławi. – Maytere Marmur uczyniła w powietrzu znak dodawania. – Ja... To nawet zabawne, jak się nad tym chwilę zastanowić; dzieci byłyby zachwycone. Patere myślał, że chciałam mieć otwarte okno, żeby twój tato mógł do nas wejść, ale powiedziałam mu, że nie, nawet mi to do głowy nie przyszło, naprawdę. Uparłam się przy swoim, gdyż kiedy widziałyśmy się pierwszy raz, poradziłaś mi, żebym nie przebywała w miejscach, gdzie drzwi i okna są zamknięte, bo nie mogłabyś mnie odwiedzić. Ucieszyłam się więc, kiedy Krew otworzył okno – i ty przez nie weszłaś, i twój długonogi kociak.

– Nie wiedziałem, że potrafi opętać zwierzę. – Krew trzymał palec na demonie. – Nie mieliśmy pojęcia, jaką ma moc, dopóki Lemur nie podsłuchiwał rozmowy caldé z Żurawiem. Wygląda jednak na to, że odwiedzała was oboje.

– A ty co, podsłuchiwałaś nas pod oknem? To bardzo nieładnie.

– Nie podsłuchiwałam.

– Podsłuch – westchnął Jedwab. – Czuję się zawiedziony. Myślałem, że może gdzieś za obrazem jest ukryte przejście. Kiedy byłem małym szprotem, w książkach dla chłopców często czytałem o sekretnych drzwiach, ale nigdy ich nie widziałem.

– Wiedziłaś, że przyjdę?

– Domyślałem się. Chcesz, żebym ci to dokładniej wyłożył?

Maytere Marmur kichnęła potężnie.

– Ja chcę, patere.

– Wolałbym, żebyś nie robiła takiego hałasu – zbeształ ją Jedwab.

– Spróbuję się opanować, patere. Ale Krew jest moim synem i mam prawo wiedzieć.

– Dobrze więc, zacznę od początku. – Jedwab odchylił się na oparcie fotela i przymknął oczy. – W hieraxdag przemierzyłem w towarzystwie Jego Mądrości kawał miasta, od Wschodniego Skraju do „Gronostaja”. Viron był podzielony mniej więcej po równo między powstańców maytere Mięty i gwardię. Jak już mówiłem, przespałem się parę godzin w „Gronostaju”, a kiedy się zbudziłem, okazało się, że z połowa gwardzistów przeszła na stronę maytere Mięty.

– Podobno wszyscy oprócz drugiej brygady – dodała maytere Marmur.

– To dobrze. Zanim trafiłem tutaj, znajdowałem się w tunelach albo w jakiejś piwnicy, więc nie widziałem wiele. Tutaj spotkałem radców. Wyglądało na to, że osobiście wydają rozkazy swoim

ludziom, a nie posunęliby się do tego, gdyby sytuacja nie była naprawdę krytyczna. Potem ty się zjawiłaś i powiedziałaś o dzieciach i tej generał z Trivigaunte...

– O Sabie. Ma złote serce, chociaż jest z natury dumna i bywa uparta.

– Domyślam się, że to jej statek powietrzny nas zaatakował, kiedy wraz z Jego Mądrością lecieliśmy ślizgaczem Oosika.

– Statek unosił się nad miastem, strzelał i zrzucał bomby. To prawda. Jest ogromny.

– Ten twój doktor Żuraw szpiegował dla Trivigaunte – rzekł Jedwab do Krwi. – Na pewno już o tym wiesz. Kiedyś zażartował, że gdybym potrzebował pomocy, wystarczy, że go zabiję. W klatce piersiowej miał wbudowane urządzenie, które pozwalało go odszukać, a także sygnalizowało, czy jego serce wciąż bije. Zaszło pewne nieporozumienie i doktor Żuraw zginął w hieraxdag rano. Podejrzewam, że do ostrzelania naszego ślizgacza doszło również wskutek błędu w ocenie sytuacji. Żołnierze Trivigaunte wiedzieli, że walczymy z gwardzistami, więc kiedy ujrzeli maszynę gwardii w asyście konnych, zaatakowali ją.

– Nie rozumiem, co to ma wspólnego ze mną – zachnął się Krew.

– Wszystko – odparł Jedwab. – I co do tego od początku się nie myliłem, chociaż intuicja zawiodła mnie poza tym na całej linii. Twoja walka była z góry skazana na porażkę. Zanosiło się na to, że twój dom zostanie zniszczony, a ty sam ranny albo zabity. Wiedziałaś o tunelach; na pewno nieraz je odwiedzałaś. Ja też je znam, lepiej nawet, niżbym sobie tego życzył. W głowie mi się nie mieściło, żebyś mógł porzucić płonący dom i pogodzić się z tułaczką pod ziemią – chyba że nie będziesz miał wyboru.

– Ciężko harowałem, psiakrew, żeby się go dorobić!

– Nie przeklinaj, to do ciebie niepodobne – upomniała Krew maytere Marmur.

– Naprawdę! Wy myślicie, że to takie proste, ale nie: jeden fałszywy krok i won! Do Centralnego Procesora! I tak dzień w dzień, sam, bo nikomu nie mogłem zaufać, nikomu, dopóki nie poznałem Piżma. Na moim miejscu nie wytrzymałobyście nawet tygodnia. Na pewno nie! Dwanaście lat pracowałem, zanim mogłem się tu, we własnym kiblu, wysrać.

– Przestań!

– To tylko domysły – przyznał Jedwab. – Nie mogę udawać, iż znam na pamięć przebieg twoich procesów myślowych. Doszedłem jednak do wniosku, że od ostatniej nocy perspektywa zmiany stron mogła stać się dla ciebie bardzo atrakcyjna.

– A co takiego zrobiła dla mnie ta przeklęta Ayuntamiento? To popracowałem dla nich za łapówki i parę drobnych przysług, to znowu przytknęli mnie na chwilę, żeby dobrze wyglądało. Dlaczego mam im coś być winien?

– Nie mam pojęcia. Grunt że mniej więcej godzinę temu na scenę weszła twoja matka, oficjalnie – i zapewne szczerze – po to, żeby mi przyjść z pomocą, ale nie ulega wątpliwości, że ma pewne wpływy wśród powstańców i ciebie też chciałyby uratować. Kiedy więc zorientowałem się, że chce, byśmy zostali w tym pokoju, spodziewałem się, że wyjdiesz z za któregoś obrazu.

Jedwab uśmiechnął się i z przeproszającą miną wzruszył ramionami.

Następna odezwała się Pleśń, zaskakując wszystkich swoim pytaniem:

– Chcecie, żebym zobaczyła, co robią?

– Wolałbym, żebyś coś zjadła – powiedział Jedwab – ale tu pewnie nic nie znajdziesz. Możesz iść, jeżeli Lew będzie grzeczny.

Czekał na odpowiedź, ale Pleśń milczała.

– Dzieweczka idzie. – Skrzek Oreba był ledwie słyszalny. – Tutaj nie.

Lew wyciągnął się jak długi na podłodze i zamknął oczy.

– Właściwie dziwiłem się nawet, że wcześniej nie przyszedłeś – stwierdził swobodnym tonem Jedwab. – Ale musiałeś przecież przyprowadzić Pleśń, a wcześniej ją ubrać... A może i umyć, korzystając z pomocy służącej. Dziwię się tylko, że Pleśń uznała, iż najpierw musi przysłać Lwa.

– Tak? – Krew obrzucił dziewczynę zaciekawionym spojrzeniem.

– Na to wygląda. Oreb, mój ptak, musiał go dostrzec, albo raczej usłyszeć, bo parę razy nas ostrzegał, że jakiś kot kręci się w pobliżu.

– Pewnie nie zdawała sobie sprawy, że żołnierze się go nie przestraszą – podsunęła maytere Marmur.

– Zły kot – mruknął Oreb.

– Nie tak głośno – ostrzegł go Jedwab. – Bo cię usłyszy.

– Miło, że przyszedłeś – powiedziała maytere Marmur do Krwi, wygładzając habit na udach. – Dobrze zrobiłeś, jak powiedział patere, chociaż dużo ryzykujesz.

– Wiem o tym. – Krew wstał. – Nisko mnie cenisz, prawda, caldé?

– Doceniam twój spryt; cieszyłbym się, mając tak przebiegłego gracza po swojej stronie. Zdaję sobie jednak sprawę, że wszelka moralność jest ci obca.

– Ten pułkownik Oosik... – Krew machnął azothem – ...jest twoim człowiekiem; generał Saba reprezentuje rani, pułkownik Oosik was, prawda?

– Generalissimus Oosik.

Krew prychnął pogardliwie.

– Jemu ufasz, a mnie zaufać nie chcesz, chociaż przez lata siedział u mnie w kieszeni?

– Usiądź – powiedziała maytere Marmur.

– Chciałem się napić, ale ponieważ caldé nie chce mojego azotha, będę go trzymał w garści i pilnował tego kociska. Przyrządzisz mi drinka, mamó?

– Oczywiście. – Maytere wstała z fotela. – Pewnie dżin?

– Jeśli to nie kłopot, maytere... – odezwał się Jedwab.

– Z lodem – dorzucił Krew. – Na dole, pod klapką, jest lód.

– Naturalnie. Napijesz się brandy, patere, czy... – Maytere obrzuciła wzrokiem butelki. – Jest tu niezłe czerwone wino.

– Wystarczy woda z lodem, maytere. Myślę, że i Pleśń by się napiła.

– Tylko bez lodu, mamó. – Krew pokręcił głową. – Bo zwymiotuje. Znam ją.

– Biedny ptak!

– Jeśli byłabyś tak miła, maytere, to nalej Orebowi wody do miseczki. Zejdzie się napić, jeśli postawisz mu ją na szafce.

– Czysta woda dla Oreba. – Maytere Marmur stanęła na palcach, stawiając pełną po brzegi miseczkę na szafce. Spod habitu wyjrzał przy tym fragment jej srebrzystej, metalowej nogi. – Woda sodowa z lodem dla patere, dżin z wodą i lodem dla Krwi. Woda bez lodu dla mojej wnuczki; i tak jest przyjemnie chłodna i orzeźwiająca. – Stawiając ostatnią szklankę przed Pleśnią, rzekła do Krwi: – Źle wygląda. Chyba niezbyt się o nią troszczysz.

– Zwykle musimy karmić ją siłą. – Krew wziął swoją szklaneczkę do ręki. – Poza tym notorycznie zdziera z siebie ubranie.

– Kto był jej matką? – zainteresował się Jedwab.

– Nie miała matki. – Krew pociągnął łyk dżinu. – Słyszałeś kiedyś o zamrożonych embrionach? Można je czasem tu i ówdzie dostać, chociaż to kupowanie kota w worku.

Jedwab wzdrygnął się na wspomnienie skrawków gnijącego mięsa.

– Stary caldé, Tussah, podobno robił coś takiego, plotkowano o tym po jego śmierci.

Postanowiłem sam spróbować. Kupiłem embrion obdarzony ponoć jakąś niezwykłą mocą i jednej z dziewcząt kazałem go donosić.

– Naprawdę udało ci się go kupić? Embrion, z którego wyrosła Pleśń?

– Powtarzam, to jak kupno kota w worku, ale ja nie dałem się nabrać i mam, czego chciałem. – Krew smętnie pokiwał głową. – Ma moc, tylko jest stuknięta. Od dziecka.

– Zatrudniłeś specjalistę, który przeprowadził operację na jej mózgu.

– No jasne, chciałem ją wyleczyć, ale się nie udało. Gdyby wszystko poszło po mojej myśli, sam zostałbym caldé.

– Pleśń jest moją przyjaciółką – rzekł Jedwab. – Czasem sprawia kłopoty, ale nieraz bardzo mi pomogła. Chyba mnie lubi; dobry bóg wie, jak bardzo chciałbym jej odpłacić.

– Dobry bóg? – Oreb podchwycił ten zwrot.

– Chodziło mi o Zewnętrznego.

– Kłóć się o ciebie – powiedziała Pleśń słabym, jakby dobiegającym z daleka głosem. Nietknięta szklanka z wodą stała przed nią na stoliku.

Jedwab przełknął trochę wody z lodem, starając się pić małymi łykami.

– Mężczyźni i kobiety płodzą dzieci pod wpływem impulsu – powiedział. – My, augurowie, potępiamy ich za to, ale mimo iż takie postępowanie jest niewybaczalne, mogę tych ludzi zrozumieć. Dają się porwać uczuciom chwili, a gdyby takich gwałtownych emocji zabrakło, whorl pewnie szybko by opustoszał. Natomiast adopcja jest aktem, który został głęboko rozważony, a do jej dopełnienia potrzebny jest adwokat i sędzia. Rodzic adoptujący dziecko nie może potem twierdzić „nie wiedziałem, co robię” albo „nie przyszło mi do głowy, że tak się to skończy”. Takie protesty ponieważ są nie tylko bezwartościowe, lecz i nieuzasadnione.

– Myślisz, że wiedziałem, co z niej wyrośnie? – Krew posłał córce złowrogie spojrzenie. – Jestem od ciebie dwakroć starszy, patere, może nawet więcej. Może osiągnąwszy moje lata, również będziesz żałował pewnych swoich czynów.

– Już teraz mi ich nie brakuje.

– Tak ci się tylko wydaje. Masz na myśli kobiety. Hiacynt. Zresztą jakie to ma znaczenie, do ciężkiej cholery?! – Krew odstawił szklankę i wytarł wilgotną rękę o udo. – Kobiety mało mnie obchodzą. Rozumiałbyś mnie lepiej, gdybyś tyle czasu co ja siedział w tym interesie. Zaczynałem mając siedem czy osiem lat; byłem zwyczajnym małym szprotem, obdartusem, który zaczepia mężczyzn na targu. Ale i tak Pleśń jest jedynym dzieckiem, jakie mam. Nie doczekam się już następnych.

– Dla mnie jest jedyną wnuczką – dodała maytere Marmur. – Jeśli ty się nią nie zaopiekujesz, ja to zrobię.

– Tak jak mną się zaopiekowałaś?

Jedwab nigdy jeszcze nie widział Krwi tak rozwścieczonego.

– Lepiej nie podnoś głosu – ostrzegł go. – Nikt nie wie, że tu jesteś.

– Żałuję, że przyszedłem. – Uśmiech na chwilę wykrzywił usta Krwi. – Zrobiłbym złoty interes; równie dobrze mógłbym zginąć, próbując ukraść parę bitów na targu. Chcesz poznać moją siostrę, patere? Gorąca dziewczyna!

– Przestań, Krwi!

– Za późno, żeby mnie tak strofować, mamó. Co, nie mam racji? – Nie czekając na odpowiedź, Krew ponownie zwrócił się do Jedwabia: – Zaproponuję ci pewien układ. Jeśli się zgodzisz, zrobię co w mojej mocy, żebyście wyszli stąd w jednym kawałku.

Jedwab chciał coś powiedzieć, ale Krew nie dał mu dojść do słowa:

– Wszyscy! Ty, ten drugi augur, staruszek, mama i ta duża dziewczucha od Orchidei. Twój ptak też. Wszyscy wyjdziecie z tego cali i zdrowi. Pasuje ci?

– Naturalnie.

– Jeżeli odrzucisz moją propozycję, znikam za oknem. Rozumiemy się? Bez urazy, ale z porozumienia nici.

– Kiedy będziesz wychodził oknem, też mogą cię zastrzelić – zauważyła maytere Marmur. – Właściwie dziwne, że nikt nie strzelał, kiedy tu wchodziliście.

Krew pokręcił głową.

– Mamą zawieszenie broni, nie pamiętasz? Poza tym schowam azoth pod tunikę, a przecież nikt nie będzie strzelał do bezbronnego człowieka i dziewczynki, którzy nawet nie zbliżą się do muru.

– To lepsze niż tajne przejście. – W oczach maytere błysnęły iskierki rozbawienia.

– Dużo lepsze. – Krew stanął przy oknie. – Posłuchaj mnie, caldé. Przejdę na waszą stronę, do ciebie i Mięty; dopilnuję, żebyście wszyscy się z tego wykaraskali. Potem przepiszę manteion na ciebie za symboliczną opłatę w wysokości jednej karty i, jak to mówimy, pewnych świadczeń dodatkowych; powiedzmy, że twój dług u mnie wyniesie właśnie kartę. – Przerwał, czekając na reakcję Jedwabia, ale augur milczał. – Kiedy wyjdziemy, dalej będę twoim człowiekiem. Byłem bardzo użyteczny dla Ayuntamiento, to i tobie się przydam. Zrobię, co będę mógł. Nie zapominaj, że mam Pleśń. I wiem, co potrafi. Banda Lemura nigdy nie miała kogoś takiego do dyspozycji.

Jedwab pociągnął łyk wody ze szklanki.

– Dalej mówi – mruknął Oreb. Nie było jasne, czy zachęca obecnych do rozmowy, czy raczej się skarży.

– A oto czego od ciebie oczekuję, caldé. Nie chcę pieniędzy. Interesują mnie trzy sprawy. Po pierwsze: zachowam swoją własność – tę posiadłość, konta w skarbcu i całą resztę. Po drugie: będę dalej prowadził swój interes. Nie proszę, byś go legalizował; ba, nie chciałbym, żeby do tego doszło. Żądam tylko, żebyś nie kazał mi go zwijać. I po trzecie: nikomu nic nie płacę poza należnymi podatkami. Otworzę przed tobą moje księgi, ale na tym koniec; żadnych haraczy.

– Krew oparł się plecami o parapet. – Zastanów się, a na pewno dojdiesz do wniosku, że proponuję ci najlepszy z możliwych układów. Zyskujesz moje całkowite, bezwarunkowe poparcie i kawał pięknej nieruchomości, a w zamian proszę tylko o to, żebyś zostawił mnie w spokoju; pozwolisz mi zachować, co do mnie należy, dasz mi spokojnie zarabiać na życie i nie będziesz naprzykrzał mi się bardziej niż innym. Co ty na to?

Przez długą chwilę Jedwab się nie odzywał. Zza ozdobnie rzeźbionych orzechowych drzwi dobiegł stłumiony tupot gumowych podeszew żołnierza, taktowany chrapliwym, rozkazującym głosem Wariego. Haftowane kotary w pokoju szeleściły w podmuchach chłodnego wiatru.

– Spodziewałem się, że zostanę poddany próbie. – Jedwab spojrział na swoją szklankę, ze zdumieniem odnotowując fakt, że wypił już ponad połowę wody. – Przez Zewnętrznego. Poddał mnie już sprawdzianowi fizycznemu, byłem pewien, iż niebawem przyjdzie czas na próbę mojej moralności. Ledwie zacząłeś mówić, zorientowałem się, że ta chwila nadeszła. Jakie to proste!

Rys podniósł łeb, zerknął ciekawie na Jedwabia, a potem wstał, przeciągnął się i podreptał do niego. Otarł mu się o kolana.

Maytere Marmur pogroziła Krwi palcem.

– Źle sobie poczynałeś. Sprzedajesz rdzę, prawda? Tak właśnie myślałam.

– Zaczniemy od tego, że oddasz mi manteion – rzekł Jedwab. – Teraz, zaraz. Jeżeli nie przyniosłeś ze sobą aktu sprzedaży, możesz po niego wrócić, wychodząc oknem. Poczekam.

– Mam go tutaj – przyznał Krew i z wewnętrznej kieszeni tuniki dobył złożony arkusz papieru.

– Świetnie. Mój manteion za trzy karty.

Krew przeszedł do inkrustowanego sekretarzyka. Pleśń wstała, poruszając bezgłośnie wargami, jakby czytała mozolnie kaligrafowane przez Krew litery.

– Nędzny ze mnie pisarz... – rzekł. – Proszę bardzo, patere. Musiałem podpisać się w imieniu Piżma, ale to nic nie szkodzi. Mam jego pełnomocnictwo.

Atrament jeszcze nie wysechł, więc Jedwab delikatnie wachlował papierem, czytając dokument.

– W porządku. – Wyjął z kieszeni trzy z otrzymanych od Remory kart i wręczył je Krwi. – Oczekuję teraz, że dołożysz wszelkich starań, by doprowadzić do zakończenia walk bez dalszych strat wśród ludzi. Ja ze swej strony uczynię to samo. Jeżeli po wszystkim zostanę wybrany na urząd caldé, w co najwyraźniej nie wątpisz, zostaniesz w majestacie prawa osądzony za wszystkie zbrodnie, które popełniłeś. Proces będzie uczciwy; poza tym oszustwem, którego się teraz dopuściłem, nie stanie ci się krzywda. To spore ustępstwo z mojej strony, ale zgadzam się na nie. Ostrzegam cię tylko, że sąd nie przeoczy żadnych przewin. Jeżeli zostaniesz uznany za winnego stawianych ci zarzutów, a myślę, że tak właśnie się stanie, poproszę sąd, by wydając wyrok uwzględnił twoje zasługi dla miasta. Czy wyrażam się jasno?

Wściekły Krew spojrział na niego spode łba.

– Podstępnie wymusiłeś na mnie zwrot manteionu. Wprowadziłeś mnie w błąd.

– Owszem. – Jedwab skinął głową. – Popełniłem przestępstwo, by naprawić zło, które inny przestępca wyrządził mieszkańcom naszej dzielnicy. Dlaczego ludzie tacy jak ty mają mieć wolną rękę, mają robić, co chcą i kiedy chcą, i żyć w poczuciu bezkarności? Gdy nastanie pokój, będziesz mógł złożyć na mnie skargę; masz świadka w osobie swojej matki. – Poklepał rysia po łbie i odepchnął go delikatnie. – Nie radziłbym ci jednak powoływać na świadka twojej adoptowanej córki. Nie jest wiarygodna, a poza tym mogłaby napomknąć coś sądowi o pochodzeniu jej ulubionych kociaków.

– Mnie też lepiej nie bierz na świadka – dodała maytere Marmur. – Musiałabym powiedzieć sędziemu, że chciałeś przekupić naszego caldé.

– Idą tu – oznajmiła Pleśń. – Radca Lori rozmawiał przez szkło z radcą Tarsjuszem. Postanowili cię zabić i odesłać twoje ciało wraz z kobietą, która zabiła Piżmo.

Jedwab zamarł bez ruchu, nie odrywając oczu od Krwi.

– Uwaga! – krzyknął Oreb.

Maytere Marmur instynktownie wyciągnęła do syna rękę, w geście wybaczenia i zrozumienia zarazem.

Krew ścisnął mocniej rękojeść azotha i migotliwy koszmar przeciął wszechświat na pół: maytere znalazła się po jednej stronie, jej ręka po drugiej. Odcięta kończyzna upadła na dywan, gdy potworna nieciąłość pomknęła ku górze, tnąc sufit, obsypując wszystkich pokruszonym tynkiem i odłamkami drewna. Jedwab krzyknął ostrzegawczo i w całkiem bezsensownym odruchu zasłonił się laską Miecznika przed spadającym nań ostrzem azotha.

Drewniana pochwa eksplodowała deszczem drzazg, ale azoth odbił się od ukrytego w niej obosiecznego miecza, chociaż przeciął twardą stal do połowy.

Jedwab miał wrażenie, że jego ręka skoczyła naprzód kierowana własną wolą, patrzył tylko bezwolnie, jak się porusza. Drzwi otworzyły się z hukiem i w tej chwili ręka pchnęła pokieroszowane ostrze.

Radca Wari, schowany za plecami sierżanta Piaska i drugiego ogromnego żołnierza, krzyknął:

– Zabić go!

Wyszczerbiony miecz wszedł w gardło Krwi lekko, jak świątynny nóż w podgardle ofiarnego barana.

– Zabić caldé?! – Piasek złapał drugiego żołnierza za przegub ręki z pistoletem.

Kolana ugięły się pod Krwią, błysk w jego oczach zgasł i obosieczne ostrze, niemal całe unurzane w jego posoce, wysliznęło się z rany.

– Tak, zabić caldé!

Przez chwilę Jedwab czekał, aż maytere Marmur uklęknie przy rannym, by napełnić ofiarny kielich jego krwią. Musiała pomyśleć podobnie, bo kucnęła przy nim, wyciągając ocalałą rękę.

Jedwab z mieczem w dłoni odwrócił się ku drzwiom. Pistolet Piaska nie był już wymierzony w niego... Może sierżant ani przez chwilę do niego nie celował? Piasek strzelił, a ułamek sekundy później drugi żołnierz poszedł w jego ślady. Wari upadł; jego wesółą twarz sflaczała nagle, wyrażając kompletne zaskoczenie.

– Weź, patere. – Maytere Marmur wcisnęła azoth w wolną rękę Jedwabia. – Weź, zanim cię nim zabiję.

Ujął azoth w dłoń, ona zaś zabrała mu zniszczoną laskę Miecznika. Oparłszy główkę laski między stopami, zaczęła starannie wycierać ostrze miecza wytrząśniętą z rękawa chustką.

Stuknęły obcasy i szczęknęły pistolety, gdy dwaj żołnierze w pokoju zasalutowali. Ich koledzy, zaglądający im przez ramię, i gwardziści w srebrnych pancerzach wyprężyli się na baczność. Jedwab skinął im głową, a gdy gest ten wydał mu się niewystarczający, uczynił w powietrzu znak dodawania.

Epilog

Wybudowano go w pośpiechu, uświadomił sobie caldé Jedwab, podziwiając rozpięty nad Alamedą łuk triumfalny. W ogromnym pośpiechu. Ale z pewnością generalissimus wojsk Trivigaunte zrozumie sytuację. Musi zdawać sobie sprawę z trudności, z jakimi borykali się, szykując jej oficjalne przyjęcie w mieście wciąż jeszcze targanym wojną z resztkami Ayuntamiento. Weźmie na to poprawkę. Tylko ten wiatr.

Podmuchy wichury wzbijały tumany żółtego kurzu z rynsztoków i trzęsły prowizorycznym łukiem jak osiką. Ładniej by wyglądał przybrany kwiatami, ale wtedy, w upalny hieraxdag, kwiaty nie wchodziły w grę. Tym lepiej, pomyślał Jedwab, wiatr pewnie dawno zerwałby wszystkie płatki. Na jego oczach długa wstęga kolorowego papieru oderwała się od konstrukcji, zmieniając się w zielonego latającego węża, który poszybował pod niebo.

A tam statek powietrzny z Trivigaunte szarpał się na uwięzi. Zawisł tak wysoko nad miastem, że choć trudno byłoby powiedzieć, iż jest ozdobą parady, przynajmniej jego ogromny kadłub nie budził grozy. Pewnie z jego pokładu bez trudu dało się śledzić marsz oddziałów generalissimus Siyuf. Jedwab żałował teraz, że zawczasu nie ustalił jakiegoś systemu sygnalizacji – z gondoli można by na przykład wywiesić flagę w chwili, gdy Siyuf wejdzie do miasta, albo odpalić świecę dymną, która sygnalizowałaby ewentualne opóźnienie. Ku własnemu zaskoczeniu stwierdził, że chciałby znaleźć się tam, hen, wysoko, na statku, by znów oglądać przypominający krainy niebios Viron i szybować wśród obłoków. Jak lotnicy.

Lotników było tego dnia mnóstwo; szybowali unoszeni chłodnym wiatrem i Jedwab doszedł do wniosku, że chyba nigdy w życiu tylu ich naraz nie widział. Spora gromada niczym stado bocianów wynurzyła się właśnie zza kadłuba powietrznej maszyny. Które miasto ich wysyłało, by patrolowali cały whorl? Co dawały takie patrole? Spekulacje na temat lotników w scholi zbywano jako bezcelowe, dopóki Ayuntamiento nie potępiła ich jako szpiegów.

Czy miała rację? Czy radca Lori, który dzierżył resztki władzy w rozpadającej się radzie, wiedział, kim są?

Czy nie można by ich wyśledzić, lecąc statkiem powietrznym? Na koniec zacumować w tym tajemniczym mieście, dowiedzieć się, jak się nazywa, i zaproponować wszelką pomoc, jaką Viron i Trivigaunte mogły zaoferować?

(Kiedy przysypała go ziemia, był dokładnie tam, gdzie mu się wydawało, że jest).

Świeży powiew wiatru, zimniejszy i bardziej gwałtowny od poprzednich, przemknął przez całą Alamedę, wprawiając w drżenie brązowożłote korony osik. Stojąca na prawo od Jedwabia generał Saba wyprostowała się nagle, on sam zadygotał. Miał na sobie herbacianej barwy Płaszcz Prawowitej Władzy, narzucony na zwykłą togę augura; utkany z gęstego aksamitu i sztywny od złotych nici płaszcz opadał mu na buty. Jedwab powinien był spływać potem, lecz czuł, że przede wszystkim przydałoby mu się jakieś nakrycie głowy. Generał Saba przywdziała szarą wojskową czapkę, stojący za nią generalissimus Oosik – wysoki hełm z zielonej skóry, ozdobiony dodatkowo pióropuszem, a Jedwab miał gołą głowę.

Przypomniał sobie słomiany kapelusz z szerokim rondem, który założył do naprawy dachu manteionu; nawiasem mówiąc, po takiej wichurze z dachu ubędzie dalsze kilka gontów. Naciągnął kapelusz na oczy, żeby talus Krwi go nie poznał, ale właśnie przez to został rozpoznany.

(Obaj zginęli z jego ręki – i Krew, i talus).

Potem gdzieś zgubił kapelusz. Może ten wiatr mu go zwróci? Po ulicach niósł masę śmiecia, a i dziwniejsze rzeczy już się zdarzały.

Rana pulsowała bólem, lecz starał się o niej nie myśleć. Zmusił się do głębokiego wdechu, rozkoszując się chłodnym powietrzem. Klosz dopiero niedawno zaczął się podnosić, ale zamiast odsłonić ognistą nić czystego złota, odkrył bladą smużkę zbrązowiałej purpury. Złota Ścieżka była pusta i bladła w oczach, zapowiadając koniec ludzkiego snu o rajach i niepojętym braterstwie z bogami.

Jedwabiowi przypomniawszy się Iolar, umierający lotnik. Z pewnością słońce zostało tylko chwilowo przyćmione, przesłonięte kłębam kurzu. W każdym razie zima okrutnie się tego roku spóźniała. Czy Maytere Mięta, której brakowało na paradzie z okazji jej zwycięstwa, też marzła w tej chwili? Gdzie była?

A Hiacynt? Jedwabiem znów wstrząsnął dreszcz.

W oddali zagrała orkiestra i usłyszał – albo zdawało mu się, że słyszy – słaby jeszcze dźwięk fanfar, tupot maszerującej piechoty i tętent kopyt kawalerii.

Z pewnością był to dobry znak.

[1] Kość udowa (łac).

[2] Skóra i tłuszcz dużych ssaków morskich (morsów, wielorybów, narwali itp.), ważny składnik eskimoskiej diety.